MIECZYSŁAW HAIMAN

Z Przeszłości Polskiej w Ameryce

Szkice historyczne.

1927
BUFFALO, NEW YORK, U. S. A.
Drukiem "Telegramu," 935 Broadway.

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C095895241

Przedmowa Autora

Co wiemy o przeszłości wychodźtwa polskiego w Ameryce? Co wiemy o dawnych stosunkach, łączących Polskę z Ameryką, i Polaków z Amerykanami?

Doprawdy, bardzo niewiele.

Gdyby nie "Historja Polska w Ameryce" ks. Wacława Kruszki, wiedzielibyśmy jeszcze mniej. Dzieło to pozostanie na zawsze pomnikiem mrówczej pracowitości autora.

Ale jest to dopiero historja osad polskich, historja wielkiej rzeki wychodźczej, która swym ożywczym i potężnym strumieniem wylała się z serca Polski na obcy ląd.

Co jednak było przed tym wylewem? Jakie są dzieje tych, którzy przybywali tu w pojedynkę lub gromadkami większymi lub mniejszymi, od tylu, tylu lat, — nim jeszcze w teksaskiej Panie Marji zadźwięczał dzwon, przeniesiony z niw polskich?

Szkice niniejsze mają na celu przedstawienie kilku epizodów z tej przeszłości, nieraz górnej, ale częściej chmurnej, z tej przeszłości, którą pokrył kurz zapomnienia niemal zupełnie, choć przecie nie taka jeszcze dawna.

Wychodźtwo, przechodząc trudne początki, nie miało dotychczas czasu na takie badania. Żyło, bo żyć musiało, teraźniejszością i przyszłością. Ale czas już najwyższy zwrócić się do przeszłości, zdmuchnąć pył zapomnienia i sięgnąć ku nieznanemu źródłu wspomnień dla nauki i pokrzepienia obecnych i następnych pokoleń wychodźczych.

Rozrastamy się, rozwijamy i dojrzewamy w społeczeństwo i nie przystoi już nam poprzestać tylko na skromnych wiadomościach o Kościuszce i Pułaskim.

Nietylko ich krew i pot wsiąkały w tę ziemię. Byli tu i inni Polacy przed nimi i po nich, a nam, ich potomkom i spadkobiercom ich pracy i sławy, słusznie należy zbierać po nich pamiątki, poznawać je i składać do skarbca wspólnego.

Znają Niemcy dokładnie historję swych przodków w Ameryce; w każdej niemal większej czytelni publicznej znajdują się dzieła o

wczesnej imigracji najrozmaitszych narodowości; żydzi wielkie sumy łożą na wydawnictwa o swych przodkach i ich zasługach dla Ameryki, a my niemal najubożsiśmy pod tym względem.

O ciągłej historji naszych początków imigracyjnych nie może być mowy, choćby z tych względów, że historję tę tworzyły jednostki. Wielka, jednolita i zorganizowana społeczność polska wytworzyła się dopiero w naszych oczach. To, co było dawniej da się zamknąć jedynie w oderwanych szkicach, opisujących losy jednostek i poszczególne epizody.

Niechaj ten pierwszy zbiór szkiców historycznych wypełni choć w części dotkliwą lukę i zaznajomi nas z szeregiem faktów i postaci, któreśmy poznać powinni.

Mieczysław Haiman.

I.

Polacy wśród pjonierów Ameryki

Dlaczego masowe wychodźtwo z Polski do Ameryki zaczęło się dopiero za naszych niemal czasów?

Dlaczego wśród wielkiej wędrówki ludów europejskich po szlaku Kolumba brakło nas długo prawie zupełnie?

Złożyły się na to różnorodne powody.

Przedewszystkiem Rzeczpospolita Polska nigdy nie odczuwała potrzeby ekspanzji kolonjalnej ani ze względów handlowych, ani z powodu nadmiaru ludności. Polak z natury był rolnikiem, związanym z ziemią jak najściślej. Kupczyć nigdy nie umiał, łokciem i wagą gardził, łatwego zysku nawet w Ojczyźnie nie szukał, tembardziej więc nie kwapił się po niego do krain zamorskich. Na przeludnienie Polska nigdy nie cierpiała, w granicach jej było zawsze miejsca i chleba dosyć nie tylko dla swoich, ale i dla obcych.

Powtóre, czasy pierwotnej kolonizacji Ameryki przypadały na okres nieustannych prawie wojen Rzeczypospolitej z Moskwą, Szwedami, Kozactwem, Tatarami i Turkami. Wojny te pochłaniały energję narodu i równocześnie dawały szerokie pole do popisu charakterom śmiałym i przedsiębiorczym lub choćby tylko spragnionym przygód, — a więc zajmowały właśnie takich ludzi z jakich rekrutują się pjonierowie ruchu wychodźczego. Gnuśne potem czasy saskie były naturalnem odprężeniem energji narodowej po potężnych wysiłkach 17-go wieku, a więc był to okres równie mało sprzyjający organizacji wychodźtwa. Charakterystyczne jednak, że wraz z powrotem dobrobytu i spokoju do Polski, wraz z moralnem odradzaniem się narodu pod panowaniem króla Stanisława Augusta, powstał pierwszy znany nam pomysł masowej wędrówki Polaków za ocean i założenia tam "Nowej Polski". Projektodawcą był Paweł Mostowski, jeden z ostatnich wojewodów mazowieckich, ojciec Tadeusza, zasłużonego ministra Królestwa Kongresowego.

Trzecim wreszcie, może najważniejszym powodem słabej tylko obecności Polaków w pierwotnej kolonizacji Ameryki była tolerancja religijna i polityczna w Polsce. Barbarzyńskie prześladowania jednych wyznań przez drugie w okresie reformacji wypędzały do Ameryki wielkie masy ludu z Anglji, Francji, Niemiec, Szwecji, Holandji i innych krajów przez długie dziesiątki lat. Walki religijne, jakie wówczas wstrząsały niemal całą Europą i przenikały jej życie polityczne, były najpotężniejszym czynnikiem wzrostu kolonij amerykańskich. Polak natomiast cieszył się swobodą przekonań i religji, nie potrzebował więc szukać jej w obcych krajach.

Chociaż jednak brakło w Polsce i zewnętrznych i wewnętrznych

pobudek do rozbudzenia gorączki wychodźczej. Polacy nie tylko odegrali nieostatnią rolę w historji początków Wirginji, nietylko stali się pjonierami przemysłu i swobód amerykańskich, ale sama Polska niemało, choć pośrednio tylko ,wpłynęła na samo założenie tej najstarszej angielskiej kolonji w Ameryce.

* * *

Z początkiem wieku 17-go Anglja znalazła się w ciężkiem położeniu gospodarczem. Wytrzebienie lasów przyniosło jej nietylko rozmaite klęski naturalne, jak niedostateczność opadów wodnych, powodzie i wyjałowienie ziemi, ale i zagroziło dalszemu istnieniu przemysłu angielskiego, zwłaszcza trzem jego najważniejszym gałęziom: budowie okrętów, wyrobowi towarów wełnianych i hutnictwu. Pierwsza potrzebowała drzewa na kadłuby statków i maszty, ponadto przetworów drzewnych, jak smoły, dziegciu i żywicy; druga wielkiej ilości innego przetworu drzewnego, potażu; trzeciej drzewo było konieczne do opalania pieców hutniczych, gdyż użytek węgla kamiennego nie był jeszcze znany.

Braki te musiała Anglja zastępować przywozem z obcych krajów, które miały jeszcze wielkie lasy, a więc z Polski, Niemiec, Rosji i Szwecji. Powstały spółki kupieckie specjalnie dla handlu z krajami bałtyckiemi. Statki The Eastland Company, zwanej też Baltic Company i drugiej The Muscovy Company, już w drugiej połowie 16-go wieku dążyły do Gdańska, Rewla i Libawy po surowce, tak potrzebne dla Anglji.

"Moskwa i Polska otrzymują corocznie wiele tysięcy za smołę, dziegieć, ług, żywicę, len, sznury, jesiotry, maszty, reje, lamperje, jedlinę, szkło i tym podobne rzeczy, a Szwecja za żelazo i miedz" — wspominał w swych pamiętnikach kapitan Jan Smith, bohater wczesnej Wirginji.

Wojny Rzeczypospolitej z sąsiadami poważnie jednak zagroziły dowozowi towarów do Anglji. Broszura "A True Declaration of the Estate of the Colonie in Virginia", wydana w Londynie w roku 1610-tym, zwraca uwagę, że "przez zamieszki w Polsce i w Moskwie, których odwieczne wojny są jak nienawiść smoka i słonia, cały handel masztami, jedliną, smołą, dziegciem, lnem, konopiami i sznurami jest z każdym dniem coraz więcej zagrożony, a lasy tych krajów są prawie wytrzebione". Ponadto handel ten obciążały cła wywozowe i utrudniały ostre zimy północne, wśród których Bałtyk nieraz zamarzał.

Wszystkie te niedogodności i grożący ciągle upadek marynarki handlowej, jedynej komunikacji Anglji z resztą świata i głównej jej obrony, zmuszały do szukania szybkich środków zaradczych. Tak powstała myśl założenia angielskiej kolonji w Ameryce za przykładem Hiszpanów i Portugalczyków, którzy już osiedlili się za oceanem i ciągnęli stamtąd znaczne zyski.

Jeszcze w r. 1584 Ryszard Hakluyt, angielski podróżnik i pisarz, wskazywał, że Ameryka może dostarczyć Anglji potrzebne "pitche, tarr, rosen, sopeashes", a rok przedtem kapitan Krzysztof Carleil nakłaniał kompanię Muscovy, aby przestała handlować z Polską i Rosją, a zwróciła uwagę na niezajęte ziemie zamorskie.

Projektowana kolonja miała nietylko uwolnić Anglję od zależności ekonomicznej od Polski i innych krajów bałtyckich, ale nadto dostarczyć wielu innych produktów, sprowadzanych z zagranicy, głównie z krain środziemnomorskich. I ten bowiem przywóz, pominąwszy już to, że wpływał ujemnie na balans handlowy Anglji, ciągle był narażony na napady korsarzy, grasujących po Morzu Śródziemnem.

Kolonja miała także zapewnić Anglji nowy wielki rynek zbytu dla jej własnych towarów, które coraz więcej traciły popyt na dotychczasowych rynkach europejskich. "Dokąd mamy wywozić nasze sukna i jak mamy utrzymać naszych rzemieślników?" — pytał z troską autor wspomnianej broszury londyńskiej z r. 1610. Wyliczając po kolei wszystkie kraje, wszędzie stwierdzał zwrot na niekorzyść Anglji: "Mamyż je wywozić do Polski i Moskwy? Niebezpieczeństwo przewyższa zyski w czasach wojennych".

"Wobec upadku przemysłu wełnianego" — pisze historyk kolonizacji Wirginji, T. J. Wertenbaker, "wobec bezczynności warsztatów okrętowych, wobec masowego opuszczania służby przez zdolnych żeglarzy, wobec stopniowej utraty rynków zagranicznych dla towarów angielskich, wobec wzrastających szeregów bezczynnych i głodnych robotników, wobec zupełnego prawie wyczerpania głównych swych zasobów naturalnych i ciągłego niebezpieczeństwa, wśród jakiego prowadzony był handel, zaspakający potrzeby kraju, Anglja zwróciła się do Ameryki jako nadziei ratunku". A więc od zdobycia nowego świata zależała przyszłość Anglji i jej niezawisłość gospodarcza.

W takich to warunkach w roku 1606 król Jakób I, zwany "koronowanym błaznem" przez swych ziomków, nadał przywileje kolonizacji i handlu (t. zw. charter) kompanji Plymouth, nazwanej tak od miejsca założenia, która miała kolonizować północną część kontynentu północnej Ameryki, i drugiej, Virginia Company of London, dla kolonizacji południowej jego części.

Kompanja virginijska, pobudzona nadzieją szybkich a stokrotnych zysków, zwłaszcza bajkami o bogatych zamorskich kopalniach złota i djamentów, czemprędzej zorganizowała pierwszą wyprawę i już w grudniu 1606-go roku flotyla wychodźcza była gotowa do wyjazdu. Składała się ona z trzech statków: "Susan Constant" o pojemności stu ton, "Good-Speed" o pojemności 40 ton i "Discovery", drobnej łodzi o pojemności zaledwo 20 ton. Dowódcą flotyli był kapitan Krzysztof Newport, doświadczony żeglarz, a wiozła ona, oprócz załogi i zapasów, stu pięciu przyszłych osadników.

Flotyla dopiero dnia 26-go kwietnia 1607 r. dotarła do brzegów Ameryki i zawinęła do zatoki Chesapeake, blisko ujścia pięknej rzeki Powhatan, którą na cześć króla Jakóba nazwano James River. Szukając przez kilka dni odpowiedniego miejsca na osadę, koloniści wylądowali na półwyspie na północnym brzegu rzeki, około 50 mil od jej ujścia, gdzie postanowili wybudować pierwsze miasto, nazwane również imieniem króla, James City, albo James Town.

Zaraz pierwsze dnie pobytu na lądzie amerykańskim wykazały zupełną bezwartościowość materjału ludzkiego, który kompanja wirginijska przeznaczyła na budowę podwalin pod przyszłą kolonję. Większość osadników, wśród których nie było wcale kobiet, stanowili osławieni w historji "vagabond gentlemen", awanturnicy i pieczeniarze, nie rozumiejący dyscypliny, stroniący od wszelkiej pracy a przyzwyczajeni do lekkiego życia. Do Wirginji zagnała ich jedynie nadzieja znalezienia legendarnych kopalń złota i rychłego powrotu do Europy z pełnemi kieszeniami.

Z takimi ludźmi trudno było cokolwiek dokonać. Pierwsze tygodnie upływały kolonistom na próżnem poszukiwaniu bogactw, na bezcelowych swarach i zjadaniu przywiezionych zapasów żywności. Zdołano zaledwie postawić kilka domów i obwarować Jamestown.

Głód, napady Indjan i choroby, wynikłe ze złej wody i nierozważnego wyboru miejsca na miasto pośród moczarów, poczęły szybko dziesiątkować osadników. Samuel Adams Drake w swej historji "The Making of Virginia" opowiada, że "w trzech miesiącach ze stu czterech osób pozostawionych przez Newporta żyło jeszcze tylko sześćdziesiąt. Zła woda, złe pożywienie i do tego w niedostatecznej ilości, nieodpowiednie mieszkania, strażowanie dniem i nocą sprowadziły dyzenterję, wodną puchlinę i febrę malaryczną. Tomasz Wolton, lekarz kolonji, był bezsilny wobec postępu chorób. Po trzy, po cztery osoby umierały co dnia i pod osłoną nocy, wywlekano trupy z dotkniętego zarazą fortu do grobów, przygotowanych naprędce. Stan rzeczy stale pogarszał się. Głód wzmagał cierpienia osadników a rozpacz dopełniała dzieła zniszczenia. Ludzie padali i umierali bez opieki w swych nędznych budach. Niebezpieczeństwa zewnętrzne nie mogły wyrwać cierpiących z desperacji. Raz zdarzyło się, że zaledwo pięciu zdrowych mężczyzn mogło stanąć do obrony fortu..."

Kiedy jednak osada zdawała się być skazana na nieuchronną zagładę, znalazł się człowiek z żelazną energją, który ocalił ją w najkrytyczniejszym momencie. Był nim kapitan Jan Smith, którego słusznie, mimo wad, nazwała historja "bohaterem Wirginji". Jako kilkunastoletni sierota porzucił rodzinną Anglję i odtąd przez kilka lat tułał się po krajach europejskich, szukając przygód i szczęścia. Brał udział w walkach Węgrów przeciw Turkom i za odwagę został odznaczony przez Zygmunta Batorego, księcia siedmiogrodzkiego i bratanka króla polskiego, Stefana. Ranny w bitwie, dostał się do nie-

woli tureckiej. Sprzedany potem w jasyr tatarski na Krym, zdołał uratować się ucieczką przez Moskwę i Polskę.

W najważniejszem swem dziele p. t. "The True Travels, Adventures and Observations of Captaine John Smith", wydanem w Londynie w r. 1629, wspominał z wdzięcznością — pisząc o sobie w trzeciej osobie — o przyjęciu, jakiego doznał wówczas w Polsce:

"Udał się on (z Moskwy) pod zbrojną strażą do Rzeczycy nad rzeką Dniepr, w granicach Litwy, a stamtąd z równą grzecznością został przewieziony przez Kołocko (?), Dobrzesko (?), Dużybył (?), Drohobus i Ostróg na Wołyniu; Zasław i Olesko na Podolu; Halicz i Kołomyję w Polsce i tak aż do Sybina w Siedmiogrodzie. W całem swem życiu rzadko kiedy doświadczył większej czci, radości, zadowolenia i zabawy, i każdy wojewoda, do którego przyszedł, nietylko użyczył mu gościny, ale i dał mu coś w darze; albowiem sami widzą się narażeni na podobne nieszczęście (niewoli)".

(W oryginale: "He went with a safe conduct to Rezechica, upon the river Niper, in the confines of Littuania, from whence with as much kindnesse he was conveyed in like manner by Coroski, Duberesko, Duzibell, Drohobus and Ostroge in Volonia; Saslaw and Lasko in Podolia; Halico and Collonia in Polonia; and so to Hirmonstat in Transilvania. In all his life he seldome met with more respect, mirth, content and entertainment; and not any Governour where he came, but gave him somewhat as a present, besides his charges; seeing themselves as subject to the like calamity...).

Odsunięty zrazu od władzy przez zazdrosnych towarzyszy, Smith siłą swego charakteru wybił się na pierwsze miejsce i odrazu ujął niesforną gromadę w żelazne karby dyscypliny. On jeden nie opuścił rąk i nie poddał się rozpaczy, choć już wszystko zdawało się być stracone. Sprytem, gdy się dało, przemocą, gdy trzeba było, zdołał uspokoić Indjan i nakłonić do dostawy zboża dla głodującej kolonji. Przedewszystkiem zaś zaprzągł kolonistów do pracy, grożąc leniuchom, że kto nie będzie pracował, ten nie będzie jadł. Pomimo szemrań i intryg, stał się wkrótce bezwzględnym panem osady, którego słuchać musieli nawet i "szlachetni włóczędzy".

Garść mąki i woda przez długi czas stanowiły niemal jedyne pożywienie kolonistów, ale kto chciał zarobić choćby na to, musiał pomagać przy budowie domów i składów, uprawie roli i ogólnych pracach.

Wśród tych zajęć Smith urządził kilka dalszych podróży w głąb lądu dla zbadania kraju i odkrycia drogi wodnej, która, wedle upartego mniemania ówczesnych, miała łączyć Atlantyk z Pacyfikiem. W jednej z tych wypraw dostał się do niewoli indyjskiej i już na rozkaz wodza Powhatana miał być stracony przez roztrzaskanie głowy, gdy Pocohantas, córka królewska, rozmiłowana w młodym Angliku, osłoniła go swem ciałem i wyprosiła życie i wolność dla niego.

* * *

Równocześnie niemal z kapitanem Smithem na historyczną widownię Wirginji i Stanów Zjednoczonych występują poraz pierwszy Polacy, nie już jako nawpół mityczni bohaterowie, jak Jan z Kolna, ale jako niewątpliwie historyczne osoby.

Nie jest rzecza niemożliwą, że paru Polaków było już wśród pierwszych osadników wirginijskich. Kapitan Smith w jednem ze swych wczesnych sprawozdań do kompanji wirginijskiej wspominał, że na całą kolonję miał zrazu tylko czterech cieśli i dwunastu robotników, przeważnie Niemców. Starania kompanji o robotników polskich nasuwają domysł, że wśród pozostałych robotników nie-Niemców mogli być też Polacy, a w takim wypadku pierwsze domy w Wirginji budowane byłyby przy pomocy rąk polskich.

Poza tem przypuszczeniem zupełnie pewną jest rzeczą, że Polacy byli w Wirginji już we wrześniu 1608-go roku. W miesiącu tym zawinął do Jamestown kapitan Newport, wioząc z Anglji nowy, trzeci już z rzędu, transport osadników. W swoich "The True Travels" kapitan Smith notuje, że wśród siedmdziesięciu świeżych przybyszy było "ośmiu Niemców i Polaków" (eight Dutch men and Poles) oraz Michał Łowicki, szlachcic (Michael Lowick, gentleman).

Co zacz był ów imci pan Łowicki, czego szukał w Wirginji, jakie spotkały go w niej losy — wszystkie te pytania muszą pozostać bez odpowiedzi. Żaden z późniejszych dokumentów nie wspomina nic o nim.

O polskich towarzyszach Łowickiego możemy wnioskować, że byli to rzemieślnicy z miast, nakłonieni przez agentów kompanji wirginijskiej do wyjazdu za morze obietnicami dobrego zarobku — w podobny zupełnie sposób w jaki za naszych czasów, podczas masowej emigracji ludowej, agitowali nowocześni agenci. Metody jednych i drugich nie różniły się niczem, jak świadczą liczne broszury, wydane przez kompanję, z przesadnemi pochwałami kolonji.

Wobec tego, że anglikanizm został wprowadzony do Wirginji jako religja panująca i każdy osadnik zobowiązywał się przestrzegać jej przepisów, przeto Polacy owi musieli być protestantami, co jeszcze silniej wskazywałoby na ich pochodzenie mieszczańskie.

Jako fachowi robotnicy, przybywali oni do Wirginji na odmiennych warunkach niż zwyczajni osadnicy. Ci ostatni podlegali systemowi komunistycznemu, który obowiązywał w kolonji aż do r. 1613. Owoce pracy kolonistów, jakkolwiek nikłe, szły na wspólny wszystkich rachunek. Robotnikom zaś, oprócz pewnego wynagrodzenia w naturze, kompanja zobowiązywała się płacić wynagrodzenie pieniężne. Z petycji niejakiego Adama Dixona do króla z r. 1622 okazuje się, że był on wynajęty przez kompanję jako cieśla okrętowy w Wirginji z płacą po 36 szylingów miesięcznie. Takie same mniejwięcej wynagrodzenie pobierać musieli polscy rzemieślnicy.

Łowicki i jego towarzysze z Polski dali początek najstarszej polskiej osadzie w Ameryce, równie odwiecznej jak dzieje Stanów Zje-

dnoczonych, choć, niestety, prędko zaginionej. Pozostały po niej wprawdzie bardzo szczupłe ślady na "piaskach czasu" — jak pięknie wyraża się Longfellow. Są one jednak tak chlubne, że starczą za długie opisy szarych zdarzeń codziennych i aż dziw, że je dotychczas okrywało zupełne zapomnienie.

Kompanja wirginijska, pragnąc jak najprędzej urzeczywistnić swe plany rozwinięcia kolonji w bogate źródło dochodów, wysyłała tych Polaków jako specjalistów i instruktorów w wyrobie szkła, oraz potażu, ługu, smoły, dziegciu i tych wszystkich przetworów drzewnych, których Polska dostarczała Anglji. Z pośpiechu kompanji można wnioskować, jak bardzo zależało jej na rozwinięciu własnej produkcji materjałów okrętowych.

Nawet kapitan Smith nie był zbytnio zadowolony z tego pośpiechu.

"Co do wynajęcia Polaków i Niemców do wyrobu smoły, dziegciu, szkła, ługu i budowy młynów, byłoby to dobre wtedy, gdy kraj zaludni się i zaopatrzy w konieczne rzeczy, ale wysyłać ich i siedmdziesięciu innych bez żywności do pracy, nie było należycie doradzone ani rozważone" — pisał w liście do przełożonych w Londynie zaraz po wylądowaniu nowej gromady osadników.

Miał też Smith słuszny powód do niezadowolenia. Trudno bowiem było zabierać się do wyrobu tych wszystkich rzeczy, które kompanja potrzebowała, gdy byt kolonji był ciągle zagrożony, a na dobitek trudności, z Anglji przysyłano ciągle taką samą leniwą hołotę, jak za pierwszym razem.

Nic więc dziwnego, że zniecierpliwiony Smith nalegał na radców kompanji: "Gdy jeszcze raz wyślecie ludzi, błagam, wyślijcie raczej tylko trzydziestu cieśli, rolników, ogrodników, rybaków, kowali, murarzy i ludzi umiejących karczować drzewa, dobrze zaopatrzonych, niż tysiąc takich, jakich mamy".

Z dumą możemy stwierdzić, że Polacy zaraz z początku wyróżnili się korzystnie od ogółu. Podczas gdy nowi przybysze zaczynali na nowo leniwe poszukiwania za złotem, robotnicy polscy tak raźno zabrali się do roboty w lasach wirginijskich, że jeszcze przed powrotem Newporta do Anglji zdołali dostarczyć mu pierwsze próby przetworów.

"Kapitan Newport" — notuje Smith w "True Travels" — "powrócił do Anglji z próbkami smoły, dziegciu, szkła, kadzidła, ługu, desek i lamperji, jakie mogliśmy dostarczyć. Pozostało nas w kolonji około dwustu".

Wnet też majstrowie polscy i niemieccy rozpoczęli pracę przy topieniu szkła. Wybudowana została huta szklana w lesie po drugiej stronie półwyspu, około mili od Jamestown. Szklarnia ta miała wyrabiać paciorki i rozmaite inne świecidełka, przeznaczone dla handlu wymiennego z Indjanami.

Smith z przezornością ostrzegał kompanję, by nie roiła zbyt wielkich nadziei po tych zawiązkach przemysłu wirginijskiego.

"Doglądałem nowozaczętych robót przy smole i dziegciu, szkle, ługu, klepkach, których drobne ilości wysłaliśmy wam...", donosił do Londynu. "A choć wasi faktorzy tamtejsi mogą kupić w jednym tygodniu tyle, ile trzeba na wyładowanie okrętu, albo tyle, ile wam się spodoba, nie spodziewajcie się od nas czegoś podobnego, którzy jesteśmy nieboracy nieobeznani z niczem, zaledwo mogący wyżyć i obronić się przed zdradliwymi dzikimi i zaledwo tu i ówdzie możemy znaleźć drzewo odpowiednie do celu i brak nam wszelkich innych rzeczy potrzebnych".

Pomimo trudności, praca Polakom szła zrazu rzeźko naprzód. Po odparciu Indjan "tak spokojnie prowadziliśmy roboty", — notuje dalej Smith — że w trzech miesiącach zrobiliśmy trzy albo cztery łaszty (last, równa się 4,000 funtów) smoły, dziegciu i ługu i przygotowaliśmy próbkę szkła".

Rychło potem jednak przerwało się na razie całe przedsięwzięcie, obmyślane przez kupców londyńskich zbyt pośpiesznie, bez wzięcia w rachubę położenia niezagospodarowanej, niezaludnionej, odciętej od świata, kolonji. Wśród chorób i głodu, wśród częstych napadów Indjan, Polacy musieli zaniechać wyrębu lasów i przeróbki drzew.

Upadła też i opustoszała huta szklana, ale dotychczas na brzegach rzeki James w okolicy dawnego Jamestown znachodzą w ziemi paciorki i inne drobiazgi ze szkła, wyrobu tej pierwszej szklarni amerykańskiej, pędzonej rękoma polskiemi.

Powodem przerwy w fabrykacji był wyłącznie nieodpowiedni stan kolonji. Gdyby Polacy w czemkolwiek zawinili, z pewnością nie omieszkałyby zanotować tego ówczesne dokumenty. Tymczasem kapitan Smith, który nie szczędził gorzkich słów prawdy swym własnym rodakom, z uznaniem wspominał o pracowitości Polaków.

Cóż może być dla nas chlubniejsze nad to jego świadectwo, nad tę krótką, ale dobitną pochwałę?

"Nigdy oni" — pisze Smith ogólnie o kolonistach w swych "True Travels" — "nie wiedzieli co znaczy dzień pracy, z wyjątkiem tylko Niemców i Polaków i jakiego tuzina innych. (They never did know what a dayes worke was, except the Dutchmen and the Poles, and some dozen other). Gdyż cała reszta byli to goli szlachcice, kramarze, sługusy, rozpustnicy i podobni im, dziesięć razy zdolniejsi do zepsucia osady, niż do rozpoczęcia jej lub do pomocy w utrzymaniu jej. Jeżeli bowiem ani bojaźń Boga ,ani prawa, ani wstyd, ani pogarda przyjaciół nie mogły nimi władać w Anglji, to mała jest nadzieja sprowadzenia choćby jednego z pośród dwudziestu na dobrą drogę w Wirginji. Pomimo to, przyznaję, rozmaici między nimi mieli lepsze myśli i stali się pracowitsi, niż można było spodziewać

się; przecież dziesięciu dobrych robotników więcej zrobiłoby pracy w jednym dniu, niż dziesięciu ich w tygodniu".

Zarzucają wprawdzie niektórzy historycy Smithowi, że silnie przekoloryzował swe pamiętniki, a zwłaszcza opisane w nich własne zasługi. Jednakowoż można w zupełności polegać na jego pochwałach pod adresem Polaków, jakiż bowiem cel miałby w wyróżnianiu ich? O bezstronności jego pod tym względem można przekonać się z tego, że chociaż chwali tu Niemców na równi z Polakami, gdzieindziej nie szczędzi im ostrych potępień za zdradę osady i ucieczkę do Indjan. Polakom nie potrzebował wyrzucać zdrady.

Niemałym ciosem dla całej kolonji a zapewne i dla dalszej wytwórczości polskiej był powrót Smitha do Anglji z końcem roku 1609-go. Zraniony w wybuchu prochu, musiał jechać leczyć się do ojczyzny, pozostawiając w Wirginji Jamestown, silnie opalisadowany i liczący już około 60 domów, kilka fortów i plantacyj, rozrzuconych wzdłuż ujścia rzeki James, oraz około 400 osadników. Koloniści jednak, pozbawieni silnej ręki kierowniczej, nie mogli sobie sami dać rady. Po odjeździe Smitha wzmogły się choroby i głód, niesnaski wybuchły na nowo ze wzmożoną siłą. Zima 1609—1610 była straszną i przeszła do historji Wirginji jako "Starving time". Przeżyło ją zaledwo 60 osadników. Głód był tak wielki, że zjadano skóry końskie i zdarzyło się nawet kilka wypadków ludożerstwa. Historyk niemiecko-amerykański H. Schuricht słusznie przypuszcza, że w tym krytycznym okresie wyginąć musieli przedewszystkiem rozwiązli i leniwi Anglicy, a ocaleć pracowici i zapobiegliwi Polacy i Niemcy.

Miarę cierpień nieszczęsnych niedobitków nędzy przepełniły wznowione napady rozzuchwalonych Indjan. Osadnicy postanowili rzucić niegościnne wybrzeża i płynąć z powrotem do Anglji. Kiedy jednak statek ich wypływał z rzeki James, spostrzeżono flotę lorda Delaware, nowego gubernatora Wirginji. płynącego z nowym, lepiej dobranym zapasem kolonistów i żywnością. Delaware zdołał skłonić odjeżdżających do powrotu i odtąd, pod jego rozumnym rządem, nastały pomyślniejsze nieco czasy dla kolonji.

Wraz z lordem Delaware dnia 10-go czerwca 1610 r. wylądował w Wirginji jego lekarz przyboczny, doktor Wawrzyniec Bohun. Nazwisko, równobrzmiące z nazwiskiem sienkiewiczowskiego bohatera, mające mało cech angielszczyzny, nasuwa odrazu domysł, czy przypadkiem ów doktor Bohun nie pochodził z polskich wschodnich kresów. Encyklopedja Orgelbranda wspomina wprawdzie o jednym tylko rodzie Bohunów, kozackim, ale nie przekreśla to wcale możliwości polskiego pochodzenia doktora Bohuna. Że nie był Anglikiem, wnioskować można z tego, iż studja naukowe odbywał w Holandji. Kapitan Smith nazywa go "jednym z najuczeńszych lekarzy i chirurgów w Holandji", a więc raczej każe się domyślać, że Bohun był Holendrem. Przeciw temu przemawiałyby jednak wzmianki, że doktor

Bohun tylko "uczył się" w Holandji. Nigdzie nie znaleźliśmy stwierdzonego faktu, aby tam urodził się.

Doktór Bohun nie długo przebywał w Wirginii. Zaszczycony tytułem "generalnego lekarza" kolonji, wyjechał wkrótce potem do Indji Zachodnich wraz z lordem Delaware, który rozchorował się pod wpływem klimatu wirginijskiego. Wnet też obaj wrócili do Londynu.

Protokóły z posiedzeń kompanji wirginijskiej wykazują, że doktor Bohun przez kilka następnych lat brał żywy udział w radach kompanji i był też jej udziałowcem. W roku 1620-ym otrzymał od kompanji znaczny obszar gruntu w Wirginji i zorganizował wyprawę z paruset ludzi, których zamierzał na nim osadzić. Jednakowoż podczas drogi, koło wyspy San Domingo, dnia 17 marca 1621 r., spotkał się z wojennym okrętem hiszpańskim, który wszczął z nim bitwę. Okręt Bohuna wyszedł ze spotkania obronną ręką, ale sam doktor został śmiertelnie ranny, gdy zachęcał załogę do walki. Dzielny lekarz zmarł na statku. Kapitan Smith w swoich "True Travels" oddaje mu hołd w słowach: "a worthy valiant Gentleman".

Późniejsze dokumenty, tyczące kolonji w Wirginji, nie wspominają nic o Polakach przez parę lat, choć niewątpliwie garść naszych rodaków mieszkała w osadzie, pozostała z niedobitków "czasu głodowego", wzmożona prawdopodobnie przytem nowym napływem.

Dopiero w r. 1616, za rządów gubernatora Yeardley'a znajdujemy znowu wzmiankę o jednym Polaku. Yeardley, zmuszony brakiem żywności, urządził wyprawę przeciw Indjanom szczepu Chickahominy, którzy złamali układ na jej dostawę. W bitwie, w której Indjanie zostali rozgromieni, odznaczył się żołnierz Polak, imieniem Robert (Robert a Polonian) wzięciem do niewoli jednego z naczelników indyjskich. Ów Robert, znany nam tylko z imienia, kto wie nawet czy prawdziwego, zapewne nie był jedynym Polakiem w szeregach załogi wirginijskiej.

Tymczasem kompanja wirginijska uległa zupełnej reorganizacji. Do składu jej weszli wybitni lordowie, duchowni i dygnitarze angielscy. Przywileje jej zostały znacznie rozszerzone. Niezrażona dotychczasowem niepowodzeniem, kompanja podjęła kroki celem wskrzeszenia przemysłu drzewnego, tym razem na większą skalę i z lepszymi widokami na powodzenie. W wysiłkach tych, trwających bez przerwy przez następne kilka lat, przyświecała kompanji znowu ta sama nadzieja wyrugowania z Anglji towarów polskich i obcych i zastąpienia ich własnymi.

Kadry rzemieślników polskich w Wirginji zostały więc uzupełnione nowymi przybyszami z Polski i już w relacji Jana Rolfe'a, początkodawcy hodowli tytoniu w Wirginji, do króla Jakóba I. o stanie kolonji w r. 1617-ym znajdujemy wiadomość, że na plantacji Bermuda Nether Hundred (na południowym brzegu, około 85 mil od ujścia

rzeki James) znajdowały się nowe zakłady wyboru "smoły i dziegciu, potażu i węgla drzewnego i inne".

Ilu było robotników polskich, niewiadomo. Rolfe ogólnie w relacji swej wylicza, że "urzędników i robotników jest 205, farmerów 81, oprócz kobiet i dzieci", razem zaludnienie kolonji 351 osób. Prawdopodobnie liczba robotników drzewnych wynosiła około dziesięciu.

W r. 1619-ym, za powtórnych rządów gubernatora Yeardley'a, zaszła w życiu Wirginji doniosła zmiana. Kolonja w ciągu ostatnich lat wzrosła do dwóch tysięcy głów i posiadała już jedenaście osad. Koloniści, rządzeni dotychczas absolutnie, zostali obdarzeni samorządem, chociaż ograniczonym. W dniu 30-go lipca 1619 r. w drewnianym zborze w Jamestown zebrało się pierwsze w Ameryce ciało ustawodawcze — House of Burgesses. Zasiadało w niem po dwuch przedstawicieli z każdego osiedla.

Nie wszyscy jednak osadnicy otrzymali prawo głosu. Z dokumentów wynikałoby, że odmówiono go, między innymi, wszystkim robotnikom-cudzoziemcom, a w tej liczbie i Polakom.

Musiał ich los być wogóle nie do pozazdroszczenia, jeżeli pokrzywdzenie polityczne skłoniło Polaków do porzucenia pracy i urządzenia pierwszego strajku w Ameryce.

Zatarg przybrał tak wielkie rozmiary, że musiał zająć się nim zarząd kompanji w Londynie. Zwyciężyli ostatecznie Polacy.

Księga protokółów kompanji (The Court Book of the Virginia Company of London) podaje w protokóle z posiedzenia dnia 31-go lipca 1619:

"W sprawie sporu Polaków, zamieszkałych w Wirginji, postanowiono teraz (pomimo wszelkich poprzednich rozporządzeń przeciwnych), że mają być obdarzeni prawem głosu i uczynieni tak wolnymi, jak każdy inny mieszkaniec tamtejszy; a ażeby ich zręczność w robieniu smoły i dziegciu i ługu nie zaginęła wraz z nimi, postanowiono, że niektórzy młodzieńcy mają im być przydani do wyuczenia się ich zręczności i wiedzy w tym fachu dla dobra przyszłości kraju". (Upon some dispute of the Polonians resident in Virginia, it was now agreed (notwithstanding any former order to the Contrary) that they shallbe enfranchised, and made as free as any inhabitant there whatsoever: And because their skill in making pitch and tarr and sope-ashes shall not dye with them, it is agreed that some young men, shalbe put unto them to learne their skill and knowledge therein for the benefit of the Country hereafter).

Ustępstwa kompanji skłoniły Polaków do zakończenia strajku. Protokół z dnia 17-go maja 1620 r. notuje o tem: "Polackers are returned to their work for the making of Pitch and Tarr, Pot-Ashes and Sope-Ashes".

M. I. J. Griffin, historyk katolicyzmu w Ameryce, taką wydaje

opinję o tym pierwszym strajku amerykańskim w "Records of American Catholic Historical Society:"

Strajk "dowodzi, że poczucie wolności było silne u tych Polaków i że podnieśli bunt przeciw swemu upośledzeniu społecznemu lub rzeczywistej niewoli, w jakiej znaleźli się, niewątpliwie wbrew obietnicom, składanym im celem nakłonienia ich do wyjazdu do nowej kolonji".

Nieco dalej w tym szkicu cytowane dokumenty wykazują, że jeśli położenie Polaków w Wirginji nie było istną niewolą, to w każdym razie, było niedalekie od tego określenia. Polacy mieli więc słuszne powody do strajku a przez swą walkę zdobyli prawo do chlubnego tytułu pjonierów swobód amerykańskich.

Ożywieni duchem wolności, dawni ci synowie najwolniejszej wówczas Rzeczypospolitej znosili spokojnie głód i trudy i cierpieli milcząco ucisk, pracując uczciwie, gdy inni próżnowali. Nie zdradzali kolonji dla chleba i wygód, jak Niemcy. Nie zasłużyli z niczyich ust na słowa, wyrzeczone przez Jerzego Sandysa, jednego z przywódców kompanji, o włoskich robotnikach szklanych, że "bardziej przeklętej bandy nigdy jeszcze piekło nie zwymiotowało". Nie spierali się o władzę i nie knuli ciągłych spisków przeciw niej, jakkolwiek nikczemnej, jak angielscy koloniści. Ale kiedy odsunięto ich od głosu, kiedy usiłowano zrobić z nich podległych w prawach drugim, odmówili posłuszeństwa. Jeżeli bowiem musieli znosić wspólne przykrości, czyż nie byli równie godni wspólnych przywilejów?

Dawny ten strajk Polaków w Wirginji to fakt doniosły i zarazem piękny w dziejach wychodźtwa polskiego w Ameryce. Polacy więc nietylko bronią fizyczną walczyli o niepodległość i swobody Unji amerykańskiej. Na wiele, wiele lat przed rewolucyą, w czasach kiedy w kolonjach władała jeszcze nietolerancja i tyranja, kiedy z mglistych prądów ludzkich zaledwie wyłaniał się duch wolności na drugiej półkuli, przodkowie nasi pierwsi stoczyli walkę o wolność i równość i pierwsze odnieśli w niej zwycięstwo.

Że zarząd kompanji wirginijskiej, pomimo tego zatargu i pomimo swej przegranej, był zadowolony z Polaków, świadczą bezpośrednio potem podjęte nowe starania o sprowadzenie liczniejszej rzeszy robotników polskich.

Dnia 31-go maja 1620 r. kompanja rozpoczęła układy z niejakim panem Moore w sprawie umowy o dostawę ludzi "z krajów wschodnich" (from the Easterne parts") — a więc i z Polski — do wyrobu ługu, potażu, smoły i dziegciu, a nadto ludzi do uprawy lnu i konopi i tkaczy do przeróbki tych roślin. Tysiąc funtów szterlingów projektowano wyłożyć na przewóz robotników, powiększenie warsztatów drzewnych i rozpoczęcie uprawy lnu i konopi. Umowa została zawartą i garstka Polaków wyjechała do Wirginji dzielić losy rodaków.

Kompanja nie przestała na tem. O dalszych jej zabiegach o robotników polskich dla Ameryki podaje protokół z dnia 13-go listopada 1620 r.:

"Pewne pismo zostało przedłożone posiedzeniu przez niejakiego Gabrjela Wishera, męża dobrze znanego niektórym z tej kompanji, który, rozumiejąc, że mają być rozmaite wyroby rozpoczęte w Wirginji, zobowiązuje się kompanji sprowadzić z Polski i Szwecji, (gdzie jest dobrze znany) ludzi obznajomionych z wyrobem dziegciu i smoły, potażu i ługu, klepek, i z czesaniem konopi i lnu. Jak również ludzi umiejących wyrabiać saletrę i proch i przywiezie ich z tych krajów do Anglji z końcem maja następnego roku po dziesięć szylingów od głowy, ilu tylko kompanja uzna za potrzebne. Dla dokonania tego chce 60 funtów na rękę, które mają być płatne w Hamburgu, na co złoży zabezpieczenie".

W dwa dni potem księga protokółowa notuje, że oferta Wishera została przyjęta:

"Co się tyczy poprzedniej propozycji Gabrjela Wishera, posiedzenie poleciło, aby mu dać sto funtów na sprowadzenie poprzednio wymienionych robotników, ale co do sposobu, w jaki ma być zawarty z nim kontrakt i innych okoliczności odesłano- wspomnianego Gabrjela Wishera do omówienia ich z komitetami".

Ostatecznie jednak propozycja Wishera została odrzucona, jako zbyt kosztowna.

"Gabrjel Wisher", donosi protokół z 13-go grudnia 1620 r., "stawiwszy się na posiedzeniu z propozycją usług w sprowadzeniu ludzi do wyrobu rozmaitych rzeczy ze Szwecji i Polski po dogodnej cenie, prosił, aby mógł dostać listy od Jego Królewskiej Mości do króla Szwecji w tym celu; odpowiedziano mu, że posiedzenie uznaje za rzecz niestosowną kłopotać Jego Królewską Mość taką drobną sprawą; a ponieważ uznano, że koszt sprowadzenia w ten sposób ludzi (jakkolwiek pożytecznych) byłby za wielki i za wysoki, dlatego postanowiono chwycić się innego sposobu, mianowicie prosić kupców, handlujących w tych krajach, by sprowadzili tych ludzi znacznie tańszym kosztem. W międzyczasie kompanja zadowolni się tymi, których ma już w Wirginji i którym dostarczy większą liczbę pomocników, czego właściwie głównie potrzeba".

Pomimo tych wszystkich starań kompanji, przemysł drzewny w Wirginji nie zdołał rozwinąć się. W r. 1622-im gubernator kolonji powtarzał radzie londyńskiej niemal to samo, przed czem bystry kapitan Smith ostrzegał dziesięć lat przedtem. "Smoła i dziegieć, obawiamy się", — pisał gubernator — "nie będą nigdy głównymi produktami, gdyż drzewa rosną tak rzadko, że nie warto znosić ich razem". Z nadniszczonego w tem miejscu rękopisu można domyślać się, że gubernator przypuszczał jednak, iż wyrób ługu i potażu opłaci się, o ile kolonja będzie miała dosyć robotników i tańszych, niż dotychczas.

W tem właśnie tkwił główny powód niepowodzeń w rozwinięciu przemysłu drzewnego w Wirginji przy pomocy Polaków. Byli oni przedewszystkiem stosunkowo za drogim robotnikiem, którego kompanja musiała swym kosztem sprowadzać z daleka, utrzymywać i opłacać, — a przynajmniej zobowiązała się do tego. Powtóre, Wirginia nawet w latach 1620-tych była za słabo zaludniona ,aby jakikolwiek przemysł mógł w niej rozwinąć się prócz takiego, do którego kraj z samej swej przyrody nadawał się szczególnie. Takim uprzywilejowanym produktem był tytoń. Uprawa jego rozszerzyła się tak szybko w kolonji, że zasiewano go po ulicach Jamestownu a po plantacjach uprawiano go prawie wyłącznie. Tytoń zyskał nawet prawa monety obiegowej w kolonji, wartości około 75 centów za funt.

Wszystkie inne próby przemysłowe w Wirginji, jak hodowla jedwabiu, uprawa wina, hutnictwo żelazne i szklane, upadły rychło z tych samych powodów. Wszystkie te przedsięwzięcia przyniosły kompanji tylko straty.

Ostateczny cios produkcyi drzewnej zadała wielka rzeź w r. 1622. Indjanie, uśpiwszy czujność białych długim i pozornym spokojem i kłamaną przyjaźnią, porozumieli się w tajemnicy i równocześnie uderzyli na osady. Koloniści, rozrzuceni po licznych farmach i plantacjach, nie zdołali stawić oporu. Z ręki dzikich, pomordowani okrutnie, zginęli mężczyźni, niewiasty i dzieci. Jamestown został zawczasu ostrzeżony o gotującym się napadzie i zdołał uniknąć rzezi ,ale w innych osadach Indjanie wyrżnęli trzysta czterdzieści siedem osób.

Ilu Polaków padło wtedy z ręki Indjan, dokładnie stwierdzić niepodobna. Napewno wiadomo tylko o jednym. Współczesna broszura Edwarda Waterhouse'a p. t. "A Declaration of the State of the Virginia", zawierająca najdokładniejszy spis ofiar rzezi, podaje, że w domu osadnika Marcina Brandsona zabity został Polak imieniem Mateusz (Mathew a Polander). Napewno zginęło ich więcej, gdyż w innych miejscach Waterhouse podaje tylko imiona chrzestne ofiar, nawet bez zaznaczenia narodowości ,albo też ogólnie: 4 ludzi, 2 służących, chłopiec i t. p.

Obecność owego Mateusza na plantacji Brandsona wskazuje, że Polacy pracowali nietylko jako majstrowie w przemyśle drzewnym, ale także jako robotnicy rolni, sprowadzeni do kolonji prawdopodobnie na podstawie tak zwanej "indenture". System ten polegał na tem, że kompanja lub prywatni przedsiębiorcy opłacali przewóz chętnym do osadnictwa w Wirginji, zaopatrywali ich w narzędzia, żywność na pierwsze miesiące, odzież i broń, a za to wychodźca musiał przez umówioną liczbę lat, zwykle przez siedem, odrabiać to swoją pracą. Taki "indented servant" pozostawał przez cały czas swej służby w stanie prawie niewolniczym. System indentury był powszechny w dawnej Wirginji i nie jest rzeczą niemożliwą, iż niejeden Polak, za-

słyszawszy o przechwalanych dostatkach kolonji, dał się skusić do wyjazdu i zaprzedania w służbę obcych.

Po rzezi w r. 1622 w lasach wirginijskich, przestały dzwonić polskie siekiery, ucichły dawne smolarnie i opustoszały przetwórnie potażu. Ci z Polaków, którzy uszli skrytobójczej ręki, rozprószyli się po kolonji i zwrócili się do innych zajęć bezpieczniejszych, niż praca na odludnych pustkowiach. W każdym razie po roku 1622 nie słychać już nic o produkcji drzewnej. Dokumenty kompanji niejednokrotnie wspominają, że rzeź dobiła ją ostatecznie.

Dokumenty te przechowały także epizod, rzucający jaskrawe światło na twardy los polskich osadników wirginijskich.

Zawiązki kolonij amerykańskich — jak już wspomnieliśmy — rodziły się wśród ucisku i ślepej nietolerancji. Hiszpan Don Diego Molina, więzień Wirginji, opisując jej stan w roku 1613-ym, wspomniał, że osadnicy są traktowani, "jak niewolnicy z wielkiem okrucieństwem".

Nie lepiej na ogół działo się i później, nawet po obdarzeniu kolonji prawem głosu, a jeżeli dola wychodźców angielskich była iście niewolniczą, o ileż cięższą musiała być dola Polaków?

Wkrótce po rzezi jeden z nich zdołał wyrwać się z Wirginji i zapewne, nie bez trudności wrócić do Londynu, aby przed zarządem kompanji dochodzić krzywd swoich i swych rodaków. A musiały one być bardzo wielkie i bardzo widoczne, jeżeli rada londyńska przyznała mu odrazu słuszność.

Polaka tego znamy tylko z przekręconego nazwiska "Molasco the Polander" nazywają go dokumenty kompanji. Fonetycznie prostując je, wnosić można, że nazywał się właściwie Malewski.

Skarga jego, nieznana nam, niestety, szczegółowo, była omawia na na posiedzeniu kompanji dnia 19-go lutego 1924 r.

"Molasco the Polander usilnie prosił" — notuje protokół z tego dnia — "aby jego petycja mogła być odczytana, twierdząc, że zabiegał o to już ćwierć roku temu, a hrabia Southampton powiedział, że jeżeli jego sprawa ma się tak, jak został powiadomiony, w takim razie poniósł wielką krzywdę. Pan podskarbi kompanji, (którym był Mikołaj Ferrar, jeden z najwybitniejszych jej przywódców) powiedział, że nie jest zupełnie nieświadomym tej sprawy, ale nie wiedział, że było tam (w Wirginji) tyle niegodziwego ucisku, który był użyty przeciw temu biednemu człowiekowi i również przeciw rozmaitym innym w podobnych wypadkach, iż obawia się, że kompanja i plantacje obciążone brzemieniem własnych grzechów poniosły karę Bożą za te dawne przestępstwa. Dlatego też sądził, że koniecznie należy starać się wynagrodzić go, ale musi to być zrobione wedle przepisanej formy przez kwartalne posiedzenie. Na tem (zwykłem) posiedzeniu nie można tego zrobić, gdyż jego sprawa jest bardzo długa i nieco zawikłana. Wobec czego hrabia Southampton zlecił panu podskarbiemu, aby możliwie najprędzej zwołał komitet, któremu ta

sprawa została oddana, aby posiedzenie mogło mu wymierzyć sprawiedliwość. Co też pan podskarbi obiecał".

Pomimo takiej gorliwości kompanji w chęci naprawienia krzywdy, Malewski bardzo długo musiał czekać na dalsze załatwienie sprawy "wedle przepisanej formy". Przez cały rok księgi kompanji nic o nim nie wspominają. Dopiero w protokóle z dnia 12-go lutego 1624 r., natrafiamy na następujący ustęp:

"Molasco the Polander prosi o takie pieniadze, jakie, jak powiedział, komisarze Jego Królewskiej Mości uznali, że są mu należne od kompanji. Odpowiedziano mu, że kompanja w odpowiedzi swej dała wspomnianym komisarzom do poznania, że nie ma być wynagrodzony przez nią, ale przez tych, którzy otrzymali wielkie sumy od kompanji na zapłacenie jego i reszty Polaków, jak wykazują rachunki kompanji, a mianowicie przez p. Woodalla, którego komisarze obiecali wybadać pod przysięgą w sprawie tych pieniędzy".

A więc odsyłano Malewskiego od Annasza do Kaifasza i ostatecznie nigdzie nie można znaleźć wzmianki, by krzywda Polaków została naprawiona. Księgi kompanji nie wspominają też nic o pociągnięciu owego Woodalla do odpowiedzialności.

Z przytoczonych obydwóch wyjątków protokółowych widać tylko dowodnie, że nie sam Malewski był pokrzywdzonym, ale i inni Polacy. Pierwszy bowiem ustęp wspomina o "rozmaitych innych", którzy "znosili cierpienia", drugi zaś wyraźnie wymienia, że tymi rozmaitymi innymi są Polacy, którym należały się pieniądze od kompanji.

Protokóły rady londyńskiej jeszcze raz wspominają o Malewskim w listopadzie 1623 r., kiedy razem z "Marcinem Ormianinem" (Martin the Armenian) — kto wie, czy nie polskim Ormianinem — i siedmiu innymi udziałowcami głosował przeciw przeważnej większości za oddaniem "czarteru" kompanji królowi.

Innym dowodem bliskich stosunków polskich z Wirginją jest wzmianka w dokumentach kompanji, że kapitan Robert Haswell, niezbyt grzeszący zacnością — o ile wierzyć opinji jej radców — był w r. 1622 tłumaczem z "własnego wyboru" jakiegoś magnata polskiego (Polonian Lord) w Wirginji.

W roku 1624 król Jakób I odwołał przywileje kompanji i Wirginja z prywatnego przedsiębiorstwa stała się kolonją królewską. Jakób uczynił to z dwuch powodów: przedewszystkiem nienawidził purytanów, którzy z czasem zawładnęli kompanją, a w ćwierć wieku potem mieli zawładnąć królestwem angielskiem; powtóre, chodziło mu o zagarnięcie coraz to wzrastających zysków kompanji z handlu tytoniem.

Pomimo niepowodzeń ministrowie angielscy długo jeszcze żywili nadzieję uniezależnienia swej marynarki od przywozu polskiego przy pomocy Wirginji. Broszura londyńska z roku 1650 p. t.: "Vir-

ginia; More especially the South parth thereof, Richly and truly valued", roiła piękne projekty wskrzeszenia wyrobu potażu i innych przetworów drzewnych. Ale przyroda przeznaczyła kolonję prawie wyłącznie na uprawę tytoniu.

Handel tytoniem stał się też wkrótce nowym łącznikiem między Wirginją, a Rzeczypospolitą Polską, która za to ziele indyjskie nadal zaopatrywała Anglję w przybory okrętowe.

I musiał to być handel na wielką skalę, jeżeli od niego w znacznej mierze zależał dobrobyt Wirginji i sąsiedniego Marylandu. Wojny polsko-rosyjsko-szwedzkie z początkiem 18-go wieku były może nie mniejszą klęską dla kolonisty wirginijskiego, niż dla Polaka w Polsce, gdyż zagrażały mu odcięciem rynku zbytu i niedostatkiem.

Broszura z roku 1708 p. t.: "The Present State of the Tobacco Plantations in America" wyraźnie pisała: "Zamieszki w Szwecji, Polsce i Rosji itd., przeszkodziły zwykłemu wywozowi wielkich ilości tytoniu do ich portów. Wirginja i Maryland dotkliwie odczuły ubytek tego wywozu, który tak zubożył plantatorów, że przez kilka ostatnich lat cały dochód z tytoniu mógł wystarczyć zaledwo na okrycie sług, którzy pracowali przy nim".

Holendrzy skorzystali z tych wojen i odebrali Wirginji handel tytoniem z Polską i innymi krajami bałtyckimi. Wiadomo, że w roku 1707 wysłali do Gdańska i Królewca 2,000,000 funtów tytoniu dla konsumentów polskich.

Od samego prawie założenia Wirginji przypływ imigrantów niemieckich był dosyć liczny. Pozostały po nich ślady w formie osad o nazwach niemieckich. Nazwiska o brzmieniu polskiem, choć przekręconem, jakie od czasu do czasu pojawiają się w dokumentach Wirginji głównie wśród tych właśnie Niemców, każą domyślać się stałej obecności polskich kolonistów. Bardzo być może, że Polacy, zwłaszcza z zachodnich kresów polskich, dali się porywać falom wychodźczym niemieckim, a znając język sąsiadów, najchętniej wśród nich osiadali.

Spis ludności z roku 1704 zawiera kilka nazwisk, które możnaby podejrzewać o polskie pochodzenie. I tak, w powiecie Surry żył Owen Mierick (Mierzycki?); w powiecie Norfolk Henryk Widdick (Widycki, Wojdycki?); w powiecie Warwick Karol Stuckey (Stocki?); w powiecie King and Queen Jan Pann (Pan?) i Elżbieta Paulin; w powiecie Accomack Ino Sincocke (Sękowski?) i Ino Burocke (Burak, Borowski?); w powiecie Northamton Jan Smaro (Smara?), oraz wielu innych.

Napady Indjan i prześladowania religijne z jednej strony, z drugiej zaś nęcące opisy żyzności ziemi na zachodzie wywołały ruch emigracyjny w Wirginji w drugiej połowie 18-go wieku. Wielu osadników wirginijskich wywędrowało wtedy do Pennsylwanji, do Kentucky, do Ohio i do Indiany.

Z Wirginji w r. 1773 wraz z gromadą Niemców, wyemigrował na zachód ów Jakób Sadowski, legendarny założyciel miasta Sandusky, Ohio.

Jeszcze przed nim garstka Polaków wirginijskich przeniosła się do Pennsylwanji. Kimże bowiem, jeżeli nie Polakami, byli Jan Houcki i Jan Fricki, jedni z pierwszych osadników w Easton, Pa.? Pomimo przekręcenia pisowni, końcówka ich nazwisk stanowczo przemawia za polskością obu pjonierów wychodźczych a twierdzenie to jest poparte przez ich katolicyzm.

Kroniki wspominają że ksiądz Ritter, misjonarz belgijski, pierwszy stały kapłan katolicki na całą północno-wschodnią Pennsylwanię, odprawiał stale Mszę św. w domu Jana Houckiego w Easton przez lata 1767, 1769 i 1771.

Ks. J. E. McCann w szkicu "History of Catholicity in Northampton County, Pa." cytuje ciekawy dokument z roku 1753-go, wspominający nazwisko Jana Frickiego, który, oprócz Niemca, Pawła Millera, były jedynym wówczas katolikiem w Easton. Dokument ten jest protestem współmieszkańców Eastonu, wyznania protestanckiego, wniesionym do sądu pokoju przeciw przyznaniu Frickiemu pozwolenia na otwarcie gospody, tylko z tego powodu, że był katolikiem. Na skutek protestu, petycja Frickiego została rzeczywiście odrzucona.

Wszystkie powyższe szczegóły dowodzą słabej wprawdzie, ale niemal ciągłej obecności Polaków w Wirginji i innych kolonjach amerykańskich od najdawniejszych czasów, a dalsze poszukiwania w archiwach odkryłyby zapewne niejedną jeszcze ciekawą rzecz.

Na tem jednak zamknijmy ten urywek ze starych dziejów.

Ma on dla wychodźtwa naszego doniosłe znaczenie. Pominąwszy bowiem szczegóły historyczne o uczestnictwie Polaków w początkach kolonizacji Ameryki, i to o uczestnictwie zaszczyconem pochwałami "bohatera Wirginji" za pracowitość i odwagę — przedewszystkiem ważny jest stwierdzony dokumentami fakt, że Polacy stoczyli pierwszą walkę o swobody w Ameryce i to w czasie, kiedy przyszłe Stany Zjednoczone tonęły jeszcze w mroku ciemięstwa.

O fakcie tym warto dzisiaj przypomnieć Ameryce.

II.

Jak Imć Pan Wojewoda za maść cudowną chciał kupić Nową Polskę w Ameryce.

Wolność! — dla nikogo chyba to słowo nie było i nie jest milsze i świętsze, niż dla Polaka. Pojęcie jego w ciągu wieków zrosło się nieodłącznie z duchem polskim i objęło nietylko własny naród, ale całą ludzkość.

Czyż walka, podniesiona przez kolonje amerykańskie przeciw tyranji angielskiej, mogła przebrzmieć bez echa w Polsce? Rzeczpolita zbliżała się już ku przepaści, ale nie wymarły w niej jeszcze szlachetne serca i wzniosłe umysły. Owszem, tem powszechniejsze u Polaków musiały być wówczas uczucia przyjazne dla Ameryki, że w kraju zaczynało już puszczać szlachetne ziarno z zasiewu, po którem miłościwie wówczas panujący król Stanisław August "najwięcej dobra się spodziewał".

Gdyby nie ocean, który lądy rozdzielał, wieleżby to młodzieży zapalnej, za przykładem Kościuszki i Pułaskiego, wysypało się z Polski do szeregów powstańczych! Przedostać się było jednak trudno, zwłaszcza, że koloniści nie byli zbyt chętni przybyszom, szczególnie katolikom, których z pogardą zwali "papistami".

Runęła Rzeczpospolita i znowu powstała. Karta świata od tego czasu zmieniła się wielokrotnie. Pozostały jednak ślady tych porywów polskich ku Ameryce, dzisiaj może już dziwnie, a nawet śmiesznie nam wyglądające, ale przecie szacowne i ciekawe.

Jednym z takich śladów — to list ze zbiorów Nowojorskiego Towarzystwa Historycznego. Dokument bez daty, ale łatwo poznać z treści, że pochodzi z czasów wojny rewolucyjnej. Autorem jego jest Paweł Mostowski, wojewoda mazowiecki w latach 1770-tych.

Dostępne nam szczupłe dzieła historyczne nie podają żadnej szerszej wiadomości o owym Pawle Mostowskim. Zaginął, nie wybiwszy się niczem nadzwyczajnem wśród ówczesnej sceny historycznej, tak rojnej od postaci unieśmiertelnionych, choć rozmaitych charakterami — jak chyba w żadnym innym okresie przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Z tego jednak faktu, że był ojcem Tadeusza Mostowskiego, ministra Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego, jednego z najświatlejszych i najzasłużeńszych Ojczyźnie Polaków, można wnioskować, że był sam człowiekiem niezłym i niegłupim.

Pomimo to trudno nie wstrzymać się od uśmiechu, czytając list Imci Pana Wojewody.

Jakże bowiem wierzyć w cudowne balsamy, co w paru dniach ciężko chorego człowieka mają przerobić w najzdrowszego; jakżeż bowiem naiwne snuć plany Nowej Polski w Ameryce; jak wypadało

tytułować się księciem, gdy się było wprawdzie jednym z primos inter pares, ale przecie bez mitry.

A jednak — ktokolwiek czytać będzie list Imci Pana Wojewody, niechaj go czyta, jeśli chce z uśmiechem; ale niech to będzie uśmiech nie drwiący i złośliwy, lecz wyrozumiały i pobłażliwy.

Trzeba bowiem wziąć pod uwagę różnicę czasu i pojęć i wybaczyć Imci Panu Wojewodzie, iż wierzy w szarlatańskie jakieś środki, boć w nie wierzyli wówczas i najdostojniejsi i najoświeceńsi. Z względnością też trzeba traktować i to, że się w nieswoje piórka stroi, tytułując księciem. Toć najmarniejszy szlachetka polski bywał u obcych dukiem lub przynajmniej grafem, i sam pan Kościuszko uległ pokusie i hrabią się raz podpisał. Nie wypadało więc Wojewodzie pisać do zamorskich kolonistów — i to kupczyków bez indygenatów — nie przydawszy sobie odpowiedniego splendoru.

Nową Polskę i hrabstwo Mostów chciał pan Mostowski na nowej półkuli założyć i udzielnym księciem zostać w Ameryce — aleć, mój Boże, czyż i dzisiaj ludzie nie marzą o koronach i władzy! Czyż zresztą lord Baltimore nie był rzeczywistym królem Marylandu, choć bez tytułu króla! Z planów Mostowskiego widać, że żywił wysokie ambicje — co chyba nie jest rzeczą zdrożna, że miał ducha przedsiębiorczego i że umiał patrzeć nieco dalej, niż na koniec swego nosa.

Przeczytajmy jednak sami list Imci Pana Wojewody, pięknie wystosowany do Kongresu Kontynentalnego kolonij amerykańskich:

"Chociaż Książę Mostowski, Wojewoda i Generał Księstwa Mazowieckiego, Szef i Właściciel Konnej Gwardji Szlacheckiej, Generał Porucznik Wojsk Koronnych i Kawaler Orderu Orła Białego, etc., nie jest jeszcze zupełnie pewny przedsięwzięcia, które postanowił sobie doprowadzić do skutku dla chwały i wolności Najjaśniejszych Kolonij, i chociaż pewność ta zależy jeszcze od biegu wypadków, ale, pomimo to, nie zważa on na te względy; będąc obywatelem Wolnej Rzeczypospolitej i Senatorem pierwszego stopnia, (co w Polsce jest więcej, niźli książę i par we Francji) cieszy się on, że Najjaśniejsze Kolonje w rozmaitych Krajach (t. j. stanach) uwolnią się od despotyzmu, który je gniecie, i spodziewa się widzieć je cieszące się słodką wolnością, podobną do tej, jaka panuje w jego Ojczyźnie, (wedle systemu dawnego Wielkiego Angielskiego Republikanina, sławnego Algernona Sidneya).

'Imć Pan Książę, nie dbając na niepewność, na jaką się naraża, pobudzony jedynie gorliwością i przywiązaniem, postanowił spróbować złożyć widoczne dowody swych szczerych uczuć dla Najjaśniejszych Kolonij, które walczą tak chwalebnie dla odzyskania swej wolności.

"Imć Książę pragnie pomódz Najjaśniejszym Kolonjom w ich bohaterskiej walce przez dostarczanie im rzeczy, którą znajdą najbardziej użyteczną i korzystną w swem obecnem położeniu. Jest to

Balsam, którym ranni żołnierze mogą zupełnie wyleczyć się od razu w przeciągu sześciu lub siedmiu dni; bez pomocy chirurgów i w tym krótkim czasie będą mogli wziąć znowu za broń i wrócić do szeregów.

"Imć Książę, będąc Generał-Porucznikiem sił zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej, w której posiada własne regimenty, miał szczęście znalezienia Lekarza, posiadającego cudowny sekret wyrobu tego Balsamu, tak nieocenionego dla wszystkich rannych, a w szczególności dla żołnierzy w czasie wojennym: A że Księcia wielce obchodzi los Najjaśniejszych Kolonij, przeto postanowił kupić od tegoż Lekarza ilość 50,000 funtów Balsamu i ofiaruje się je wysłać dostojnemu Kongresowi.

"Sądzi on jednak, że w uznaniu tej pożytecznej i ważnej usługi, którą pragnie oddać Kongresowi w jego obecnej potrzebie, dostojny Kongres przyzna mu we Florydzie, Karolinie albo Wirginji Księstwo Udzielne i Hrabstwo, które ma być nazwane Hrabstwem Mostów, razem z portem morskim w jednem lub w drugiem i że to nadanie będzie w zupełności jego i jego potomków własnością.

"A że Imć Książę zamyśla wysłać do Ameryki i osiedlić tam niektórych ze swych współobywateli polskich, pragnie przeto, aby posiadłości, jakie mu dostojny Kongres odstąpi w jednym z tych trzech Krajów wyżej wspomnianych, nosiły nazwę "Nowej Polski", gdyż imię to będzie zachęcało Polaków, aby tam emigrowali.

"A ponieważ Imć Książę jest na mocy swego urzędu gubernatorem Księstwa Mazowieckiego, spodziewa się przeto, że dostojny Kongres zrobi go Gubernatorem albo Namiestnikiem tej Nowej Polski, i że nada mu prawa, jakiemi cieszą się inni Książęta, jak naprzykład Książę Monaco; i że on i jego następcy lub ci, którzy zajmą ich miejsca, będą mogli mieć swój głos w Kongresie na tych samych prawach, co obywatele innych Kolonij".

Do powyższego listu są dołączone "wyjaśnienia i powody, niektórych ustępów i warunków, których Książę Mostowski, Wojewoda Mazowiecki, etc., żąda rozważenia razem z nadaniem mu ziemi w Kolonjach".

W "Wyjaśnieniach" tych Mostowski przedewszystkiem uzasadnia dlaczego nowa kolonja ma być zwana Nową Polską i dlaczego powinny przysługiwać mu prawa udzielnego księcia: "Ponieważ Imć Książę zamierza wysłać wielu Polaków na tę ziemię, jest rzeczą pewną, że gdy będzie miał wszelkie prawa i przywileje, zachęci to jego współobywateli do osiedlania się tam, gdyż nie mogą oni ufać nikomu szczerzej, niźli Księciu, swemu współobywatelowi i Senatorowi. Z tego to właśnie powodu Imć Książę pragnie, by kraj ten był nazwany Nową Polską.

"Żąda on być Gubernatorem, ponieważ jest już Wielkorządcą Księstwa Mazowieckiego.

"Aby miał swych Ambasadorów w Kongresie: A to w celu, by ci pilnowali jego spraw i zdawali sprawę Kongresowi.

"Aby podlegał jedynie Generalnemu Kongresowi. Będzie to bowiem kosztowało niezmierną sumę pracy i pieniędzy, by zaludnić Nową Polskę i jeżeli jej obywatele będą musieli podlegać rozmaitym jurysdykcjom, wynikłaby z tego ich ruina, co spowodowałoby ich do opuszczenia Kraju, a przez to ucierpiałoby wiele zaludnienie. Z drugiej zaś strony własna jurysdykcja kraju, mając na względzie cierpienia mieszkańców, oszczędzać ich będzie we własnym interesie.

"We Francji Książęta i Parowie, jak i Prawnicy i Prokuratorzy Parlamentu mają prawo Committimus i są jedynie odpowiedzialni przed Parlamentem. W ten sposób Książę mianowany przez Kongres chce być odpowiedzialny jedynie przed nim.

"Na swym Herbie Książę ma mieć litery L. C. — Libertas Coloniarum, a to na oznakę wdzięczności, jaką on i jego następcy winni będą Kongresowi i ponieważ będzie on Członkiem wolnych Kolonij;

"W ten sam sposób, jak Rzeczpospolita, kiedy nadaje tytuły Szlacheckie której osobie, daje jej też herb, również na oznakę tego.

"Rzeczpospolita Kolonij będzie w ten sposób pewna, że ma za sobą na północy Polski rodzinę Księcia, sprzymierzonych z nim rodów i innych, którzy zawsze będą przywiązani do niej i do jej wolności i niepodległości.

"Co do prawa bicia monety etc.:

"W kraju, w którym powstaje osadnictwo, wiele Pieniędzy jest potrzeba i jeżeli Książę nie będzie miał własnej mennicy, mógłby się znaleźć przymuszonym do używania pieniędzy sąsiadów i pozwalać im na ich korzyść z własną szkodą.

"Książę Monaco ma także to prawo.

"Co do stałych Wojsk.

"Armja jest nieodzowną koniecznością. Ponadto sprawi ona zwiększenie ludności; ponieważ nieskończona liczba młodzieży w Europie, którzy mają pragnienie zostania żołnierzami, zostaną zwabieni do Nowej Polski".

"Wyjaśnienia" kończą się "tytułem nadania", t. j. umową, którą wojewoda przysyłał kolonjom gotową do podpisu, zaczynając ją od słów:

"Ponieważ Książę Mostowski, Wojewoda Księstwa Mazowieckiego, dał naszym Kolonjom widoczny dowód swego przywiązania i miłości do nas znacznym wydatkiem własnych pieniędzy, aby nam pomódz w obecnej wojnie;

"Dlatego, aby dać dowód naszej wdzięczności dla niego, My etc. etc. etc.".

Z powyższego widzimy, że Nowa Polska, którą Imć Pan Mostowski próbował wytargować za maść cudowną ,miała być rzeczywiście prawdziwą nową Polską. Kontrakt, który w zapobiegliwości

swej już naprzód przysyłał Kongresowi do zatwierdzenia, obejmował niemal wszystko co dotyczyło urządzenia niezawisłego państwa, złączonego ze Stanami Zjednoczonemi tylko przez przedstawicielstwo w Kongresie. Jednakże plan Mostowskiego nie mógł przemówić do przekonania Amerykanów, chociażby nawet chodziło im wówczas o zaludnienie wyniszczonych wojną ziem. Przedewszystkiem bowiem wymagał podziału już ustalonych kolonij. Możliwym dalszym pertraktacjom przeszkodziła śmierć wojewody, która nastąpiła w r. 1780.

Nowa Polska Mostowskiego pozostała nieziszczalną mrzonką, ale — bądź co bądź — armja Waszyngtona dostała cudowną maść, jak świadczy dopisek na dokumencie: "Do pana Rusha, pod nazwą Berginas, Balsam został wysłany przez pana Savarora, kupca".

Czy użyli go żołnierze rewolucyjni i czy okazał się rzeczywiście tak skuteczny, jak go pan Mostowski zachwalał, o tem już nigdzie żadnej wzmianki nie znaleźliśmy.

* * *

Jeszcze jednym wczesnym przyczynkiem do historji przyjaźni polskiej względem Ameryki jest następujący ustęp, zapisany w Dzienniku Kongresu Kontynentalnego (Journals of the Continental Congress) pod datą 5-go stycznia 1784-go roku:

"W sprawie raportu komitetu, złożonego z p. Ellery, p. Lee, p. Izarda, p. Petersa i p. M'Henry, któremu przekazano list od naczelnego wodza, z dnia 28-go sierpnia, zawierający propozycję od sekretarza Polskiego zakonu Rycerzy Boskiej Opatrzności, aby Kongres przedstawił listę odpowiednich osób dla mianowania ich Kawalerami tegoż orderu,

"Postanowiono, że były naczelny wódz ma być proszony, aby zawiadomił kawalera Jana de Heintza, sekretarza zakonu Rycerzy Boskiej Opatrzności, że Kongresowi wielce pochlebia propozycja tego zakonu, aby przedstawił listę odpowiednich osób dla mianowania ich Kawalerami orderu Boskiej Opatrzności, ale że Kongres, zgodnie z zasadami konfederacji, nie może przyjąć tej grzecznej propozycji".

Chodziło tu prawdopodobnie o jednę z polskich lóż masońskich, która w liście do Jerzego Waszyngtona, tuż po ostatecznem zwycięstwie Stanów Zjednoczonych, wyraziła gotowość ozdobienia swą odznaką najzasłużeńszych Amerykanów. Waszyngton przekazał sprawę Kongresowi, a ten, miłem sercem przyjąwszy ten objaw sympatji, polecił mu wymówić się od orderów, jako niezgodnych z pojęciami republikańskiemi.

III.

Pułaski pod Brandywine

Widzieliście go kiedy przy pracy?

Juści znacie go i kochacie, juści wiecie, że był to rycerz nieustraszony i bez skazy, że godnie hetmanił jeździe dzielnych kolonistów, z których serdecznym trudem umiał krzesać iskry lotnego zapału.

Ale jeszcze nie widzieliście go w ogniu! Opisał wprawdzie Imć Pan Rotmistrz Rogowski zacne sprawy swego druha, ale gdzie dziś tu szukać jego "Resztek Rękopisu"?

A przecież warto zobaczyć przy pracy ostatniego rycerza szlacheckiej Polski. Zachwycali się nim nawet obcy, kiedy z piorunami w oczach i z piorunami w dłoni leciał na wraże zastępy.

W zachwyceniu pisze o nim nieznany żołnierz rewolucyjny, pod komendny Pułaskiego — i oto macie jego wspomnienie, wydarte przeszłości.

* * *

Było to pod Brandywine... Pamiętny 11 września 1777 roku...

Pułaski ledwo przybył do Ameryki, jeszcze "komisji" nie dostał, a już niecierpliwił się i wyrywał się na pole walki.

"Główna rzecz, o którą proszę, jest to być w pobliżu nieprzyjaciela, abym jaknajprędzej mógł znaleźć sposobność do zdobycia imienia dobrego oficera" — pisał w parę tygodni po przybyciu do Ameryki w liście (z 24 sierpnia 1777) do kongresu z prośbą o nominację.

Nie czekając na to, co powolny kongres o nim postanowi, Pułaski opuścił Filadelfję i dognał armję Waszyngtona, gotującą się do obrony stolicy.

Niedługo czekał na "sposobność zdobycia imienia dobrego oficera".

Pod Brandywine nastręczyła mu się setna okazja. Tam był początek jego zawodu amerykańskiego, tam pierwszy popis rycerski wśród obcych.

Tam to "przeleciał cały obóz angielski ze swymi dragonami, rąbiąc co się napatoczyło, tak, że cała klinga jego pałasza była od krwi czerwona" — jak wspominał o towarzyszu Imć Pan Rogowski, który w rozprawie owej sam po łbie oberwał od Anglików.

Ale Imć Rogowski swoją drogą, a stary wiarus rewolucyjny swoją. — Niechże nam opowiada co pamięta z batalji brendywajnskiej.

Słuchajcie:

* * *

Byliśmy w siodle około godziny pod nieustraszonym Pułaskim, który własnoręcznie zbadał nasze szable, pistolety i inne części uzbrojenia, jakby był pewny, że walka będzie zaciekła i długa. Dzień był jednym z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek przyświecały ziemi. Byliśmy około pół mili od głównej armji, uszykowani wzdłuż zielonego pagórka., zwróceni twarzą ku zachodowi, a konie nasze, razem w liczbie około czterystu, stały nieruchome, jakby tyleż posągów marmurowych.

Wschód począł różowieć i jaśnieć, a chmurka po chmurce podnosić i nadymać z wiatrem, i całe niebo zdawało się zlewać swą piękność i promienność na jeden punkt ziemi. Przypadkiem obróciłem się i zobaczyłem wysokiego Polaka (Pułaskiego) z odkrytą głową, pochylonego na koniu. W mrokach porannych wydał mi się jakąś rycerską postacią, wyłaniającą się z pod ziemi, by ze szczytu pagórka, wznoszącego się za nami, odprawić modły poranne. A że był to mąż szlachetny i żołnierz całą duszą, dwojako mogłem tłumaczyć sobie jego postawę — albo zajęty był korną modlitwą, albo też bardziej ziemską czynnością, obserwacją wojskową. Ale Pułaski nagle ściągnął cugle swego rumaka, otrząsnął ciężką rosę z kołpaka, włożył go na głowę i puścił się całym pędem ze wzgórza.

W tej samej chwili błysnęło na horyzoncie. Nastąpił głośny huk i tuż potem część naszego szyku ogarnęła chmura pyłu i trawy, wyrzucona w powietrze przez kulę armatnią, która uderzyła prawie w to samo miejsce, skąd Pułaski właśnie odjechał.

Konie nasze zastrzygły uszami na ten odgłos i nagle, jakby sto trąb zagrzmiało we wietrze. To nieprzyjaciel nadciągał. Pułaski dobył swej szabli, wywołał wyborowy oddział i ruszył pełnym galopem na bardziej odległe wzgórze, skąd zobaczyliśmy nieprzyjaciela postępującego w dwuch kolumnach, jednej pod Knyphausenem, która posuwała się jednostajnie, czarną, zbitą masą, ku miejscu, zajętemu przez generała Maxwella; i drugiej pod Cornwallisem, która zdawała się zagrażać prawemu skrzydłu naszej głównej armji. Natychmiast wysłany został raport do Waszyngtona i wezwane zostały posiłki w miejsce, które opuściliśmy.

Tymczasem kilka drobnych oddziałów, które były wysłane, przybywały po jednemu z wiadomością, że Knyphausen natarł na Maxwella całą siłą i został odparty, ale ostatecznie wziął górę i Maxwell musiał się cofnąć poza rzekę. Rzadki opar podniósł się w dolinie poniżej nas i zupełnie zakrył nieprzyjaciela przed naszym wzrokiem. Nie mogliśmy już śledzić ruchów wroga; słyszeliśmy tylko jego ciężki chód, pod którym ziemia drżała, a drżenie to przenosiło się na ludzi i koni; od czasu do czasu przelatywał wśród mgły szybki błysk, czasem sztandar wypłynął nad nią, czasem broń zamigotała lub zajaśniał muszkiet, niby płomienista rakieta.

Jakos w godzinę potem jeździec jakiś wysunął się z poza dymów na samym krańcu horyzontu i, przebiegłszy nieosłonięte pola przez mniejwięcej milę, spotkał się z dwoma czy trzema konnymi, którzy zaraz rozbiegli się w rozmaite strony. Jeden z nich przypadł do nas z rozkazem, aby ruszyć w dół rzeki, gdzie naczelny wódz chciał uderzyć na Knyphausena całą swą siłą i zgnieść go, zanim Cornwallis zdążyłby mu na pomoc. Plan był świetny, ale ryzykowny i Pułaski, którego rumał zwijał się jak jasny piorun wzdłuż stromej i skalistej przepaści, z niepokojem wpatrywał się w prawą stronę, jakby jeszcze nie był pewny, czy rozkaz nie zostanie odwołany.

Złączyliśmy się wnet z generałem Greenem, który stał cały w ogniu, aby wydać Knyphausenowi bitwę, a tuż potem zobaczyliśmy i Sullivana, spuszczającego się w pełnym marszu z odległego wzgórza na skrzydło nieprzyjacielskie. Byłoby to pewnie źle skończyło się dla Knyphausena, gdyby, na nieszczęście, ruchy nasze nie zostały wstrzymane w tym właśnie momencie, kiedy mieliśmy — pieszo i konno runąć na niego. Nadeszła bowiem niespodziewanie wiadomość, że Cornwallis zmienił swe stanowisko. Nastąpiła chwila niepewności i wahania. Był to śmiertelny cios dla naszych nadziei na zwycięstwo. Greene został odwołany i Sullivan otrzymał rozkaz wstrzymać się.

Zaledwie to się stało — a konie nasze były, okryte pyłem i potem, pieniły się i gryzły wędzidła, jak tygrysy na uwięzi, gdyż dzień robił się coraz gorętszy i parniejszy — gdy posłyszeliśmy silną kanonadę na naszem prawem skrzydle. Greene, do którego dywizji i my byliśmy przydzieleni, dostał rozkaz ruszenia na poparcie Sullivana. Prawda spadła teraz na nas jak grom. Nieprzyjaciel, zebrawszy swe siły, atakował nasze prawe skrzydło i bliskie zwycięstwo nasze zamieniało się w klęskę.

Nigdy nie zapomnę twarzy Greene'a, gdy dostał tę wiadomość. Stał on przy drodze, na stromem urwisku, ale wnet podbiegł naprzód i zjechał w dół brzegu. Przypadł do nas, a twarz miał białą, jak wybielony marmur. Krzyknął z jakąś taką straszną mocą, byśmy biegli naprzód, że cztery mile przebyliśmy w czterdziestu minutach. Postępując w chmurze pyłu, natknęliśmy się na Sullivana, znajdującego się już w zupełnej rozsypce. On sam okryty potem i krwią cofając się krok po kroku, szedł na przedzie oddziałów i aż ochrypł od krzyku, nadaremnie próbując zatrzymać swych ludzi, uchodzących pod ciągłym naporem Cornwallisa.

Pułaski skoczył na prawo poprzez płoty i tam stał chwilę w strzemionach, badając położenie. Nieprzyjaciel tymczasem podwoił swe wysiłki. W chmurach pyłu i dymu, jakie wiatr niósł przed nimi, Anglicy zdawali się być bliżej, niż byli rzeczywiście. Wreszcie Pułaski zobaczył dobrą sposobność. Kolumna nieprzyjacielska szła ciągle naprzód. Wiatr na chwilę odsłonił jej przednią straż, i wtedy

zdawała się być jakimś oddziałem duchów, ziejących ogniem i dymem. Pułaski dał znak; Archibald powtórzył go, potem Arthur, potem ja. W trzy minuty byliśmy gotowi na rozkaz.

Pułaski, krzyknąwszy głosem, który nas przeszedł do szpiku kości, wśpiął konia ostrogami i rzucił się naprzód z takim strasznym i szalonym rozpędem, żeśmy ledwo w pół minuty dogonili go.

Czego on chciał?

Boże święty! Ręka, jakby u tonącego zadrżała mi konwulsyjnie i mimowoli ściągnąłem cugle konia.

Pędziliśmy bowiem prosto na las angielskich bagnetów. Pułaski był pierwszym! A któżby za nim nie poszedł!

Lecieliśmy za nim a z takim huraganem ognia i stali, że przewierciliśmy na wskroś szeregi Anglików. Z lewej i prawej strony zamykały nas ściany ognia, ale przed sobą mieliśmy pustkę — ani bagnetu, ani szabli, z wyjątkiem tych, które leżały pod kopytami naszych koni. Krew mi w żyłach kipi dotychczas, gdy wspomnę ten straszny atak i zniszczenie, jakieśmy wyrządzili aż prawie po samo serce kolumny nieprzyjacielskiej.

Ale Pułaski — on, który potem wjechał w angielskie okopy na koniu ze szablą w ręku — był do tego przyzwyczajony. A przełamawszy ich raz, rozumiejąc swe niebezpieczeństwo, jeśliby dał im czas na opanowanie zamieszania, pędził w blaskach ognia z zamiarem powrotu przez ścianę śmierci, groźniejszą niż ta, która otaczała dzieci Izraela na morzu Czerwonem.

Nie udało się jednak! Ściany angielskie zwarły się na nas i nie mieliśmy innego wyboru, jak dalej walczyć, tak, jakeśmy zaczęli.

Nieustraszony Polak szalał poprostu! Był w swoim żywiole. Pamiętam dobrze, jak przebiegł koło mnie, pokryty potem i kurzem, jadąc dosłownie na ostrzach angielskich bagnetów. Nieprzyjaciel począł nas coraz bardziej naciskać. Jeden po drugim z naszych jeźdźców upadał z konia. — Byliśmy wszyscy już wyczerpani i słabi — nawet Archibald walczył pieszo nad trupem swego pięknego rumaka, a Arthur wspierał go obok konno — gdy posłyszeliśmy okrzyk: "Pomoc! Pomoc!" Natychmiast też poczuliśmy, że nieprzyjaciel ustępuje, przewala się na tę, to na ową stronę ,aż wreszcie cofnął się i począł gromadzić się poza nami.

"Jeszcze raz! Jeszcze raz!" — wołał Pułaski i już skoczył ku Anglikom, łamiąc ich formujące się szyki i tratując całe plutony, nim który z nieprzyjaciół zdołał nadziać bagnet lub wymierzyć karabin. Sam widok — kiedyśmy pędzili z hukiem na nich — był wystarczający. Anglicy uciekli i naszych towarzyszy odbiliśmy cało.

Byłem w wielu bitwach, w niejednej takiej, że na jej wspomnienie włosy stawały mi na głowie, ale nie widziałem nigdy takiej krwawej i nie słyszałem nigdy takiej strzelaniny, jak ta, która nastąpiła po przybyciu Greene'a. Nieprzyjaciel jednak tak skutecznie zabezpieczył swe odsłonięte pozycje szeregami żołnierzy klęczących z na-

sadzonymi bagnetami, że nie mogliśmy ich ugryźć i złamać, chociaż atakowaliśmy ich raz po raz i strzelaliśmy im z pistoletów tuż niemal przed nosem.

* * *

Tu się urywa opowiadanie starego żołnierza, wydobyte z rzadkich dzisiaj roczników "Niles' Register" (Baltimore, 1839 r.). Niepozbawione ono zalet literackich i, choć trudno stwierdzić jego autentyczność, ciekawe jest dla nas i ze względu na temat i ze względu na wiek.

Autor widocznie kochał swego wodza i podziwiał go. Ale, z miłości dla niego nie przesadzał.

Pułaski z garścią swych ludzi uratował armję Waszyngtona od rozbicia pod Brandywine.

Przyznaje mu to też pułkownik Paweł Bentalou, który z Pułaskim zapoznał się w przeddzień bitwy pod Brandywine i odtąd był jego nieodstępnym towarzyszem aż do bohaterskiej śmierci pod Savannah.

"Prawe skrzydło nasze" — pisze Bentalou w swej broszurze "Pulaski vindicated" z r. 1824 — "zostało okrążone przez zwycięskiego nieprzyjaciela, skutkiem czego musiało cofać się, pociągając za sobą centrum. Pułaski zaproponował wówczas Waszyngtonowi, aby mu dał komendę nad swą strażą przyboczną, złożoną z około 30 jeźdźców. Zgodził się natychmiast wódz naczelny, a Pułaski, ze zwykłą sobie odwagą i bystrością, uderzył na nieprzyjaciela, wstrzymując jego postęp, przez co spowodował zwłokę, bardzo korzystną dla naszej cofającej się armji. Prócz tego, bystry wzrok Pułaskiego dostrzegł rychło, że nieprzyjaciel tak manewruje, aby zająć drogę, prowadzącą do Chester, i przeciąć nam odwrót lub przynajmniej odciąć bagaże. Pośpieszył więc do Waszyngtona i doniósł mu o tem, a zaraz został upoważniony do zebrania tylu rozprószonych żołnierzy, ilu znajdzie pod ręką, i uderzenia z nimi na nieprzyjaciela. Zostało to jak najpomyślniej wykonane. Skośnem uderzeniem na front i prawe skrzydło angielskie przeszkodził on zamiarom nieprzyjaciela i zasłonił nasze tabory i odwrót armji".

Między relacją nieznanego żołnierza a Pawła Bentalou zachodzi wielka różnica co do liczebności oddziału Pułaskiego. Pierwszy podaje ją na 400 koni, Bentalou na 30. Albo zaszła tu zwykła pomyłka drukarska i składacz zrobił czterysta z czterdziestki, co mniej więcej zgadzałoby się z wiarygodniejszem pod tym względem opowiadaniem Bentaloua, — albo też pamięć zawiodła starego żołnierza i pomieszały mu się liczby i uboczne szczegóły, alé pozostało niezatarte ogólne wrażenie, zgodne zresztą z tem, co mówi Bentalou.

* * *

Po Brandywine przyszły potem Warren Tavern, Germantown, White Marsh, nastąpiły dziesiątki potyczek i bitew, nastąpiły trudy kampanji południowej i wreszcie Savannah...

A potem... chcecie wiedzieć dalej?...

Potem...

Po zwyczaju, w białe żaglów płótna
Omotano bohatera zwłoki,
I dźwignęła je garść druhów smutna
I spuściła w wody nurt głęboki,
Jakby dla martwego jego ciała
Ni piędź ziemi na grób nie została.

* * *

Ciekawym przyczynkiem do historji udziału Pułaskiego w bitwie pod Brandywine jest wyjątek z listu sławnego powieściopisarza Jakóba Fenimore Coopera do Skinnera, redaktora czasopisma "The American Turf Register and Sporting Magazine". List, datowany z Paryża, dnia 28 stycznia 1831, podaje co następuje:

"Przepraszam, że kłopoczę Pana swym listem, ale chciałbym sprostować błąd, który jest bardzo często popełniany i nawet znalazł się w kilku dziełach historycznych i wielu czasopismach. Między tymi, którzy ten błąd popełnili, jest też Bigland; w swem dziele "View of the World" opowiada on anegdotę o tem jak pod Brandywine życie Waszyngtona było w rękach sławnego angielskiego strzelca, majora Fergusona, który jednakowoż był za szlachetnym, by skorzystać ze sposobności.

"Pan J. P. De Lancey (ojciec żony Coopera), choć pochodził ze znanej rodziny amerykańskiej, otrzymał wyszkolenie wojskowe angielskie i jako osiemnastoletni młodzieniec uzyskał patent na oficera armji angielskiej. W r. 1774 stał kwaterą w Filadelfji z częścią swego oddziału, mianowicie 18-tym pułkiem irlandzkim. Waszyngton był wtedy delegatem do kongresu. A ponieważ jadał zwykle z oficerami 18-go pułku i utrzymywał z nimi bliskie stosunki, p. De Lancey znał go osobiście doskonale. Kiedy armja Howe'a przygotowywała się do wyjazdu na Chesapeake, z najlepszych strzelców z rozmaitych pułków stworzony został oddział strzelecki pod dowództwem majora Fergusona, który posiadał wielką wprawę we władaniu bronią palną. P. De Lancey został zastępcą dowódcy w tym oddziale. Podczas ruchów, które poprzedziły bitwę pod Brandywine, strzelcy ci staczali utarczki w przedniej straży jednej z kolumn angielskich. Raz wypadło im przejść przez otwarte pole i wtedy Ferguson został zraniony w ramię. Oddział zajął stanowisko na skraju gęstego lasu. P. De Lancey był właśnie zajęty przygotowaniem temblaku na ranne ramię Fergusona, gdy doniesiono, że jakiś wyższy oficer amerykański w towarzystwie tylko konnego ordynansa, wyjechał na otwarte pole przed lasem i był tak blisko, że możnaby go łatwo dosięgnąć strza-

łem. Dwaj czy trzej najlepsi strzelcy zgłosili się zaraz na ochotnika i prosili o pozwolenie zabicia go. Ferguson stanowczo odmówił. Udał się jednak na skraj lasu i wyszedłszy tak, by Amerykanin mógł go widzieć, próbował go nastraszyć pojawieniem się kilku strzelców. Potem zaczął wołać na niego i dawać mu znaki, aby się przybliżył. Konny oficer spostrzegł nieprzyjaciół, ściągnął cugle swego rumaka i patrząc na nich uważnie stał w miejscu przez kilka chwil.

"Wtedy jeden z sierżantów zaproponował, że trafi konia nie raniąc jeźdzca. Ale Ferguson znowu odmówił pozwolenia, oświadczając, że musi to być sam Waszyngton na zwiadach i że nie mógłby pozwolić na narażanie życia tak wielkiego człowieka w taki podstępny sposób. Jeździec tymczasem zawrócił konia i odjechał powoli.

"Kiedy armja angielska przybyła do Filadelfji, p. De Lancey został mianowany majorem w innym pułku, a Ferguson niedługo potem odszedł na południe, gdzie zginął pod Górą Królewską. Aż do ostatniej chwili maj. Ferguson utrzymywał, że oficerem, którego życie oszczędził, był Waszyngton; i prawdopodobnie stąd wzięła swój początek krążąca legenda. Ale, z drugiej strony, p. De Lancey, któremu osoba Waszyngtona musiała być dobrze znana, zawsze obstawał przytem, że jego dowódca był w błędzie. Często słyszałem jak p. De Lancey opowiadał o tym epizodzie i chociaż nigdy nie twierdził, że jest pewny osoby nieznanego jeźdzca, jednakowoż utrzymywał, że był nim hrabia Pułaski, którego poznał po stroju i postawie.

"Chociaż więc major Ferguson pomylił się co do osoby, której życie oszczędził, wiadomość prawdy nie umniejsza jego zasługi. Poprawiam ten błąd tylko dlatego, ponieważ Waszyngton, wbrew legendzie, nie mógł w tak ważnej chwili znajdować się na zwiadach a każdy szczegół, związany z dziejami tego wielkiego męża jest wielce interesujący nie tylko dla jego rodaków, ale i dla całego cywilizowanego świata. Z poważaniem — J. Fenimore Cooper".

Mamy więc w liście Coopera nowy, nieznany dotychczas epizod ze służby Pułaskiego w Ameryce — drobny wprawdzie, ale wielce charakterystyczny.

De Lancey prawdopodobnie nie pomylił się co do osoby jeźdźca. Po wysokiej czapce, po kurtce huzarskiej można było Pułaskiego poznać z daleka, gdyż wśród Amerykanów nikt więcej tak się nie ubierał. Za zdaniem De Lanceya przemawia też brawura jeźdźca, która Pułaskiego tak wybitnie wyróżniała z pomiędzy wodzów armji rewolucyjnej. Słusznie również wskazuje Cooper, że naczelny wódz nie mógł tuż przed rozpoczęciem spodziewanej bitwy wyruszać na zwiady i to jeszcze z takiem lekceważeniem życia; przypuszczać wreszcie można ,że gdyby nawet wyjechał na rekonesans, wziąłby był z sobą liczniejszą świtę, niż tylko jednego ordynansa.

Pułaski był to więc prawie na pewno.

IV.

Historja Sztandaru Pułaskiego

Szacowny znak...

Walczył pod nim ongiś Kazimierz Pułaski i pod nim młode swe życie położył.

Pobladły barwy sztandaru, zczerniały złote jego hafty, ze świetności dawnej tylko szare ślady zostały, ale, poezja uwieńczyła go wiecznie żywą legendą, a tradycja historyczna otoczyła niezniszczalnym szacunkiem narodu.

Niewielka ta chorągiew to jedyna prawie dotychczas istniejąca pamiątka po Pułaskim i jego legjonie. Z pomiędzy rozmaitych formacyj rewolucyjnej armji amerykańskiej, legjon ten jest najmniej znany. Rejestry jego, oraz rozmaite inne dokumenty zaginęły bez śladu podczas przemarszów, tak że dzisiaj niewiadome są nawet nazwiska oficerów legjonowych, innych zaś znane są tylko w poprzekręcanem brzmieniu. Szkoda to wielka, gdyż przy boku Pułaskiego walczyła za wolność Ameryki garstka Polaków, których do legji ściągły sława i pobratymstwo dowódcy.

Służył przecie pod tym sztandarem i kapitan Jan Zieliński, krewniak Pułaskiego, zabity 25-go września 1779 podczas utarczek legjonu na południu; i zawadjacki Maciej Rogowski — Kotkowski ,towarzysz Kazimierza z konfederacji barskiej; i pułkownik Michał Kowacz, Słowak czy też Polak, również zabity pod Charleston 11-go maja 1779; i porucznik Karol Litomski, o którym nic bliższego nie wiadomo; i pułkownik baron de Botzen czy De Boze, też wedle zapisków, Polak, zabity podczas zdradzieckiego napadu pod Egg Harbor; i Aleksander O'Neil, Irlandczyk, błędny rycerz, który pod Pułaskim w konfederacji barskiej stopnia majora się dosłużył i ze swym wodzem tułał się potem po obczyźnie; wreszcie i sławny Maurycy Beniowski, konfederat barski, Sybirak, król Madagaskaru, jedna z najciekawszych postaci tych dawnych czasów. Gdyby dokumenty legjonu były kompletne, pewnie niejedno jeszcze nazwisko polskie możnaby z nich odgrzebać z zapomnienia.

Szczególnie więc dla nas szacowny to znak, bo pod nim jedni rodacy nasi krew swą przelewali, drudzy razem z dowódcą i życia kładli za wolność Ameryki.

Początek sztandaru nie jest zupełnie pewny.

Kiedy Pułaski, wedle jednej wersji, począł tworzyć swą legję w początkach roku 1778, nieraz z obowiązku służbowego musiał przebywać w Bethlehem, Pa., które stanowiło osadę t. zw. Braci Morawskich. Była to sekta religijna, zorganizowana na zasadzie braterstwa i wspólności majątkowej. Nieraz zdarzało się, że niesforne bandy mi-

licji amerykańskiej rabowały i dopuszczały się innych gwałtów. Pułaski często ochraniał przed nimi "dom sióstr" t. j. mieszkanie kobiet niezamężnych, a te z wdzięczności za to wyszyły i ofiarowały mu sztandar dla jego legji.

Inna wersja powiada, że Pułaski bawił w Bethlehem celem odwiedzenia chorego generała Lafayette i przy tej sposobności zamówił sztandar u sióstr, utrzymujących się z pracy igłą. Fakty historyczne wskazują, że to drugie podanie — chociaż bardziej prozaiczne — jest więcej zbliżone do prawdy.

W każdym razie jest rzeczą zupełnie pewną, że sztandar wykonały "siostry morawskie" specjalnie dla legji Pułaskiego. Pomysł jego miała dać Zuzanna Gersdorf, przełożona domu sióstr, rysunek wykonały Rebeka Langley i Julja Bader, w pracy zaś udział brały Anna Beam, Anna Hussey, Ermuth, Langly i inne panny. (Nazwiska te podaje prof. W. Kozłowski w swej pracy "Pułaski w Ameryce".)

Jeden z największych poetów amerykańskich, Henry Wadsworth Longfellow, unieśmiertelnił narodziny sztandaru pięknym wierszem p. t. "Hymn Sióstr Morawskich z Bethlehem podczas poświęcenia sztandaru Pułaskiego". Wiersz ten przedstawia scenę poświęcenia chorągwi w świątyni Bethlehemu, kiedy wieczorną porą...

Ginącego słońca błyski
Cicho płyną przez witraże
Płomień świec mdlejący, niski
Opromienia mniszek twarze.
A z kazdzielnic dym okrywa
Znak rycerski purpurowy,
Co wśród nawy w fałdach spływa
Ponad rozmodlone głowy.
I słodki hymn mniszek cichymi tonami
Rozbrzmiewa w kościele spowitym dymami:

"Weź ten sztandar! Niechaj płynie
Dumnie ponad twą drużyną,
Gdy w zacisznej tej dolinie
Bitw dalekich echa zginą,
Kiedy dźwięki trąbek grania
Na tych wzgórzach się rozgwarzą,
Gdy miecz zadrga wśród spotkania,
Lanca trafi na pierś wrażą.

"Weź ten sztandar! Niechaj świeci
Wśród morderczych bitw wichury
Aż nam jasna wolność zleci!
Strzeż go! Bóg ci szczęści z góry!
Czy to w trudnej gdzie przygodzie,

Czy w potyczce, czy w pogoni,
Czy w zwycięskim wprzód pochodzie,
Bóg prawicą cię osłoni!

"Weź ten sztandar! Ale w chwili,
Gdy noc przerwie bój zacięty
I wróg ci się do nóg schyli,
Szczędź go! Prosim na ślub święty,
Na łzy nasze, modlitw słowa,
Na tę litość, co ból koi,
Szczędź go! Niech cię Bóg zachowa,
Byś nie splamił swojej zbroi!

"Weź ten sztandar! A gdy w trumnę
Legniesz mieczem wroga skłuty,
Gdy powiedziesz rzesze tłumne
W takt żałobnej, smętnej nuty,
Niech z purpury znak skrzydlaty
Starczy ci za śmierci szaty".

I poszedł bohater sztandarem swym dumny
I legł nim okryty do trumny.

Nie wiadomo, czy wszystko odbyło się tak, jak wysnuła fantazja poety, ale sztandar do dzisiaj znajduje się w oszklonej szafce wśród zbiorów Marylandzkiego Towarzystwa Historycznego w Baltimore. Barwy jego są już tak spełzłe, że trudno je rozróżnić. Zrobiony jest z ponsowego jedwabiu. Na jednej stronie jego jest Oko Opatrzności, z którego wychodzą złote i srebrne promienie. Otaczają je trzynaście gwiazd i napis: "Non alius regit". (Nikt inny nie rządzi). Brzegi obramowane są złotem wyszyciem, a po rogach znajdują się cztery granaty. Na drugiej stronie są litery U. S., inicjały Stanów Zjednoczonych, splecione ze sobą i znowu łaciński napis: "Unita virtus fortior". (Zjednoczona odwaga jest dzielniejszą). Wielkość sztandaru wynosi około kwadratowy łokieć.

Sztandar przechodził rozmaite koleje. W swych świetnych czasach przewodził drużynie Pułaskiego, ale kiedy bohater padł pod Savannah nie został jego całunem, jak chciał Longfellow. Pułaski został pochowany, zdaje się, w morzu, a sztandarem zaopiekował się jego serdeczny przyjaciel Paweł Bentalou, kapitan legjonu, Francuz z pochodzenia, w którego przechowaniu pozostawał długie lata. Potem sztandar poszedł w poniewierkę ,aż od zupełnego zniszczenia uratował go Brantz Mayer, sekretarz Marylandzkiego Towarzystwa Historycznego, który w lutym 1845 wydostał pamiątkę z rąk właścicieli prywatnego "muzeum", nie umiejących jej uszanować.

W rzadkich dzisiaj rocznikach tygodnika "Niles National Register" znajdujemy protokół z posiedzenia Towarzystwa Historycznego z 8-go marca 1845, na którem Mayer przedstawił pozyskany dar i wygłosił mowę, streszczającą dzieje sztandaru:

"Panowie" — były jego słowa — "Sztandar ten, który powiewał nad niejednem sławnem pobojowiskiem i dostarczył tematu Longfellowowi do jednego z najwdzięczniejszych poematów, zostaje dzisiaj doręczony naszemu towarzystwu, aby przechowało go na zawsze jako jedną z najcenniejszych relikwji amerykańskiej rewolucji.

"Jest rzeczą szczególnie stosowną, aby ten sztandar został powierzony naszej opiece. Kiedy Waszyngton udał się na leże zimowe do Valley Forge, kawalerja została wysłana do New Jersey. Pułaski zaś stanął kwaterą w Trenton. Z tego miejsca zaproponował kongresowi, aby mu udzielił pozwolenia na zrekrutowanie niezawisłego legjonu, z którym mógłby prowadzić walkę podjazdową; chodziło zaś mu o to, aby w ten sposób mógł oddać skuteczniejsze usługi jako dowódca. Kongres zgodził się na projekt hrabiego przez rezolucję, uchwaloną 28-go marca 1778, i nim wiosna tegoż roku upłynęła, rycerski Polak zrekrutował, zorganizował i wyćwiczył w naszem mieście legjon, na którego czele potem zginął. *)

---

*) Ciekawe ogłoszenie, mające na celu zwabienie ochotników do legjonu Pułaskiego, (z "New Jersey Gazette", Trenton, N. J., z dnia 23-go kwietnia 1778 roku) podaje Griffin w swej pracy o Pułaskim:

"Ponieważ kongres uchwalił zorganizować korpus, składający się z piechoty i kawalerji, który ma być dowodzony przez generała hrabiego Pułaskiego, wszyscy ci, którzy pragną odznaczyć się w służbie ojczyzny, są zaproszeni do zaciągnięcia się do tego korpusu, który jest tworzony na tych samych zasadach, co rzymskie legjony. Częste sposobności, jakie charakter służby tego korpusu nastręczy przedsiębiorczym, dzielnym i czujnym żołnierzom, którzy będą w nim służyli, powinny być pobudką dla tych, którzy są odpowiedni, by raczej wstąpili do niego, niż do innych korpusów, nie przeznaczonych do tak bezpośredniego dokuczania nieprzyjacielowi. A liczne zdobycze, jakie niechybnie przypadną w udziele, muszą wynagrodzić żołnierzy legjonowych za trudy i nieznaczną sumę, wypłacaną jako żołd. Czas służby będzie nie dłuższy nad rok od chwili uzupełnienia korpusu. Mundur jest obliczony na to, by nadawał marsowy wygląd i zabezpieczał żołnierza od wpływów pogody i pory roku. Czas działania zbliża się i ci, którzy chcą mieć sposobność odznaczenia się w tym korpusie, są proszeni o zgłoszenie się do pułkownika Kowacza w Easton, do majora Juljusza hrabiego Mont-Fort w głównej kwaterze, lub do kwatery majora Betkena w Trenton".

"W tych czasach kraj pozbawiony był wszelkich rzeczy zbytkownych i większości rzeczy koniecznych do życia. Żołnierze byli źle odziani i karmieni, a dobosze i trębacze stanowili całą ich muzykę. Sztuki piękne nie były pielęgnowane a całą energję narodu pochłaniała wojna. Wobec takich warunków można sobie łatwo wyobrazić, że nie wiele troszczono się o piękny wygląd mundurów albo wojskowych sztandarów i bez wątpienia chorągiew, którą złożono nam w darze, — wówczas świeża w swym karmazynowym jedwabiu i jasnem wyszyciu — zachwycała niejedno oko swemi lśniącemi fałdami, gdy ją poraz pierwszy rozwinięto na ulicach Baltimore.

"W ciągu lat 1778 i 1779 legjon, dowodzony przez hrabiego, był w czynnej i niebezpiecznej służbie, aż w jesieni 1779, po stracie pułkownika i podpułkownika, Pułaski sam został zabity przez odłamek granatu pod murami Savannah.

"Po śmierci generała resztki legjonu przeszły pod komendę majora, jedynego jeszcze pozostałego w czynnej służbie oficera, i zostały wysłane do obozu generała Hugera w Monk's Corner na czas oblężenia Charlestonu przez Henryka Clintona. Obóz ten, założony dla utrzymania komunikacji między miastem a okolicą, został niespodzianie napadnięty i w popłochu, jaki z tego wynikł, zabity został major. Sztandar jednakowoż, został szczęśliwie uratowany i oddany w ręce kapitana Bentalou przez jego porucznika, czternastokrotnie rannego w służbie.

"Być może że sztandar był używany podczas dalszego ciągu wojny, gdyż rozbitkowie z legjonu zostali wcieleni do korpusu markiza de la Rouiere, ale tu kończy się jego związek z historją Pułaskiego. Występując z wojska, pułkownik Bentalou zabrał pamiątkę ze sobą do domu i przechowywał starannie razem z lancą ułańską i pasami do szabli swego ukochanego generała. Przez czterdzieści pięć lat uważał je za święty skarb, z którym za nic w świecie nie byłby się rozłączył. Kiedy jednak generał Lafayette przybył do Baltimore w roku 1824, relikwje te, jak wszelkie inne pamiątki rewolucyjne, zostały wyciągnięte z ukrycia i ciekawie oglądane. Ochotnicza kompanja z Forsyth, dowodzona przez kapitana Hoss, a przyłączona do 2-go marylandzkiego pułku strzelców, prosiła pułkownika Bentaloua o pozwolenie, aby mogła nieść sztandar w pochodzie, kiedy generał Lafayette dokona przeglądu obywatelskiej milicji z Baltimore. Pułkownik zgodził się na to i sztandar, przytwierdzony do lancy i otoczony pasem Pułaskiego niesiono w szeregach tego dzielnego pułku.

"Kapitan kompanji ochotniczej z Forsyth przyjął sztandar na ulicy Eutaw z rąk pani Richards, oraz panien Julji i Laury Stricker. Po przeglądzie złożono go w Muzeum, gdzie go wśród stosownych ceremonji przyjęły panny Van Wyck, Elizabeth Cooke Tilghman i inne.

"Pułkownik Bentalou zmarł w kilka lat potem i odtąd sztandar

spłowiały, pokryty kurzem i pajęczynami, wisiał bez żadnej osłony, zawieszony z powały Muzeum. Drzewce jego i pasy, które Pułaski nosił rozkrzyżowane na piersiach, zostały oddzielone od sztandaru. Muzeum przechodziło następnie w ręce rozmaitych właścicieli (jako przedsiębiorstwo prywatne), ale wkrótce po nabyciu go przez obecnego właściciela, pana Edmunda Peale, zwróciłem tegoż uwagę na te haniebnie zaniedbane pamiątki dawnych czasów. Z radością mogę powiedzieć, że p. Peale natychmiast zawiadomił mnie o swym zamiarze uczynienia naszego Towarzystwa przyszłym ich opiekunem.

"Taka jest mniej więcej krótka historja tych pamiątek. Sztandar był dziełem pobożnych, dzielnych niewiast podczas najburzliwszego okresu naszej rewolucji, został poświęcony ich modlitwami i krwią najdzielniejszego legjonu, jaki wyszedł z ziemi marylandzkiej więc przyjmijmy i zachowajmy ten dar z odpowiednią czcią dla pamięci tych, przez których został zrobiony, i tych, którzy go nosili".

Oprócz chorągwi, w zbiorach Marylandzkiego Towarzystwa Historycznego znajduje się też pas Pułaskiego, o którym wspomina Mayer, i kopia powyższego wiersza Longfellowa.

Każdy Polak, który przy sposobności zajedzie do Baltimore, powinien pamiątki te oglądnąć i podumać nad niemi o tych, którzy imię Polski rozsławili na drugiej półkuli.

V.

Smierć, pogrzeb i pomnik Pułaskiego w Savannah

Tyle legend oplotło ostatnie chwile Kazimierza Pułaskiego, że śmierć jego i miejsce złożenia zwłok pozostaną na zawsze do pewnego stopnia zagadką.

Historja z wielu podań wybrała najprawdopodobniejsze, odrzucając sprzeczne tradycje. Takie bowiem jest jej zadanie.

Ale dla nas, którzyśmy tu zostali spadkobiercami bogatej sławy Kazimierza, drogim jest każdy szczegół, dotyczący jego rycerskiej postaci, drogą jest każda baśń, związana z jego bohaterskiem życiem.

Dźwięczy w nich okrzyk jego bojowy: — "Naprzód, bracia, naprzód!", z którym padł pod murami Savannah. Jaśnieje w nich kurtka jego szamerowana i przemiga szabla-błyskawica.

Dziwy opowiadano o jego zręczności jako jeźdźca. Potrafił przecie w pełnym pędzie zeskoczyć z rumaka, porwać ze ziemi czapkę umyślnie zrzuconą i znowu wskoczyć na rozgalopowanego konia. Amerykanie łby sobie rozbijali, próbując naśladować go w tem.

Torysi z przestrachem myśleli o nim. Damy wierne Anglji przedstawiały go w wierszach "z djabelską postacią i djabelskim głosem" i modląc się o śmierć dla niego, wzywały: "Good Britons, give him a severe retort".

Podwładni kochali go, jak kochali niewielu tylko z wodzów rewolucyjnych. Trzymał ich wprawdzie krótko, męczył ćwiczeniami, ale dbał o potrzeby i samemu Waszyngtonowi się naprzykrzał i z własnej szkatuły łożył, byle żołnierz miał należyty ekwipunek i kieliszek rumu na pociechę.

Nie dziw, że panu Pułaskiemu, przy jego szerokiem sercu i szczodrej dłoni, brakło nieraz grosza, więc — starokrajskim zwyczajem — odwiedzał Chaima Solomona, majętnego żyda polskiego w Filadelfji, który finansował rewolucję amerykańską i zawsze miał otwarty dom i worek dla kogo wartało. Tam, u owego Chaima, najpewniej musiał imć Kazimierz spotykać się czasem z innymi Polakami z armji rewolucyjnej i niechybnie z samym pułkownikiem Kościuszką, którego bliską przyjaźnią Chaim szczycił się również. Żyd gościł panów oficjerów, napełniał im kieszenie zaliczką na żołd, który zwykle napływał bardzo leniwie — lub na spodziewane pieniądze od rodzin — wreszcie dzielił się z nimi najświeższemi wiadomościami z Polski. (Publications of American Jewish Historical Society.)

Niechybnie wśród obczyzny miło było Pułaskiemu spotkać choćby żyda polskiego i pogawędzić z nim po polsku, aby wnet potem wracać znowu do służby.

A choć służba ta była iście "nie-drużbą" — Pułaski czuł się w niej w swoim żywiole.

Fantazją swą rycerską, odwagą nieustraszoną, zapałem, tak rzadkim u Anglo-Sasów, nawet we wrogach wzbudzał cześć. Opowiada jeden z jego wielbicieli, że "gdy upadł ranny pod Savannah i otoczyli go towarzysze, odległość od wałów angielskich była tak mała, iż Anglicy z łatwością mogli każdego z nich trafić z broni ręcznej. Nie uczynili tego jednak. Wiedzieli bowiem, że tym, który dostał postrzał, był Pułaski a taki był ich szacunek dla bohaterskiego i nieustraszonego dowódcy, że pozwolili towarzyszom unieść go swobodnie".

Najwiarygodniejszy bjograf Pułaskiego, Paweł Bentalou, opowiada, że, wedle planu szturmu, ułożonego przez amerykańskiego generała Lincolna i francuskiego admirała D'Estainga, dwie kolumny piechoty miały równocześnie uderzyć na Savannah, każda w innym punkcie. Pułaski z całą kawalerją, amerykańską i francuską, miał stać w odwodzie i dopiero, gdyby która z kolumn złamała opór Anglików, wpaść do wnętrza miasta.

D'Estaing osobiście poprowadził atak kolumny francuskiej. Przez nieostrożność jednak dostał się w moczary, gdzie krzyżowy ogień dział angielskich zdziesiątkował jego oddział. Sam D'Estaing został ciężko ranny.

Pułaski — opowiada Bentalou, niewątpliwie obecny przy nim w tym szturmie — ukrył kawalerję o ile na to pozwalał grunt, a sam, wziąwszy Bentaloua, ruszył naprzód, aby pilnować, kiedy ma uderzyć z jazdą. Zauważywszy zamieszanie w szeregach francuskich, popędził tam, spodziewając się swą obecnością zagrzać ducha rozbitych Francuzów. W drodze trafiony został pociskiem z kartaczownicy w górną część prawego biodra.

Jerzy Waszyngton Park Custis, adoptowany syn Jerzego Waszyngtona, w swych "Wspomnieniach" utrzymuje, iż Pułaski padł podczas ataku na czele jazdy, wołając jeszcze na swych ludzi w złej angielszczyźnie: "Forwarts, brouthern, forwarts!"

Karol C. Jones w broszurze "Pogrzeb gen. maj. Nataniela Greene'a i gen. brygady hr. Kazimierza Pułaskiego" (Sepulture of Maj. Gen. Nathanael Greene and Brig. Gen. Count Casimir Pulaski, Augusta, Ga., 1885) popiera twierdzenie Custisa, iż Pułaski został ranny w ataku:

"Podczas szturmu połączonych armji hrabiego D'Estainga i gen. Lincolna na linje angielskie pod Savannah dnia 9-go października 1779 r. hrabia Pułaski, za przyzwoleniem amerykańskiego dowódcy, usiłował na czele dwustu kawalerzystów wedrzeć się w pozycje nieprzyjaciela. Zamierzał przebić się do miasta, przejść poza linjami nieprzyjacielskiemi i wnieść zamieszanie i popłoch do obozu Anglików. Wykonując ten plan, posuwał się naprzód całym pę-

dem ,aż wstrzymała go zapora z drzew. Tu oddział jego dostał się w silny ogień krzyżowy, który wzniecił w nim zamieszanie. Sam hrabia został obalony z konia kartaczem, który przebił mu prawe biodro, zadając śmiertelną ranę. Wyniesiono go z krwawego pobojowiska".

Ze słów Bentaloua wynikałoby, że tylko on sam był przy Pułaskim w chwili jego upadku. Tymczasem Maurycy Beniowski, konfederat barski, w jednym ze swych memorjałów do kongresu powiada wyraźnie, że "w kilka dni po przybyciu do legjonu spotkało go największe nieszczęście, gdyż przy szturmie Savannah generał Pułaski padł u jego boku".

Zresztą do obecności przy Pułaskim w tej chwili przyznawał się także Maciej Rogowski.

Tak więc są już dwie teorje co do okoliczności, w jakich nasz bohater odniósł śmiertelną ranę — wedle jednej, padł podczas spieszenia samowtór na pomoc Francuzom, wedle drugiej, podczas ataku.

W r. 1909 specjalny komitet stowarzyszenia Sons of Revolution of Georgia na podstawie badań orzekł, że miejsce, gdzie padł Pułaski, znajdowało się mniejwięcej na dzisiejszej Augusta Road, o jakie 420 stóp na zachód od ulicy Broad.

Sprzeczne są zdania co do tego jak zginął Pułaski, ale jeszcze sprzeczniejsze są co do tego, gdzie umarł i gdzie został pochowany. Istnieją tu trzy teorje.

Bentalou w broszurze "Obrona Pułaskiego" pisze, że po nieudałym szturmie na Savannah Pułaski, razem z nim, został przeniesiony na pokład bryga amerykańskiego "Wasp", który miał odpłynąć do Charleston. Przez kilka dni pozostawał statek na rzece Savannah. Przez ten czas najzdolniejsi lekarze floty francuskiej doglądali Pułaskiego. Nie potrafili jednak wstrzymać jątrzenia się rany, z której wywiązało się zatrucie krwi. Właśnie, gdy "Wasp" wypłynął z rzeki na morze, Pułaski wyzionął ducha i ciało jego zaczęło natychmiast wydzielać taki odór, że Bentalou był zmuszony, choć z bólem serca, złożyć do wodnego grobu szczątki swego ukochanego wodza.

Bentaloua, którego wiarygodność w innych szczegółach została stwierdzona przez historyków, popiera także świadectwo Jakóba Lyncha z Południowej Karoliny, który w liście do "New York Herald" z 7-go stycznia 1854, podaje następujące ciekawe informacje o śmierci Pułaskiego:

"Dziadek mój, dr. Jakób Lynch z Charleston, N. C., który dożył bardzo późnego wieku, opowiadał mi często, że wyjął kulę, która zadała Pułaskiemu śmiertelną ranę. Operacji dokonał na polu, w pobliżu wałów Savannah, przy pomocy mego ojca, który jako młodzieniec służył przy nim w charakterze pomocnika lekarza, oraz wier-

nego murzyna, nazwiskiem Guy. Kula jest żelaznym kartaczem, znajdującym się obecnie w mojem posiadaniu i, wedle przypuszczeń, została wystrzelona z angielskich galer, które pomagały w obronie miasta. Kula weszła w pachwinę i została wydobyta z wielką trudnością, ale Pułaski zniósł operację z niepojętem męstwem.

"Chociaż rana była ciężka, dziadek mój sądził, że hrabia mógłby był z niej wyzdrowieć, gdyby był zgodził się pozostać pod jego opieką i pozwolił nieść się na noszach za armją amerykańską. Hrabia Pułaski oparł się jednak tej propozycji, gdyż obawiał się wypadu oblężonych i pościgu armji angielskiej ,która mogłaby go schwytać do niewoli. Przypuszczał, że w tym wypadku rząd angielski wydałby go Rosji, mocarstwu, którego był śmiertelnym wrogiem i którego prześladowania wygnały go z Polski jako tułacza i męczennika sprawy narodowej. Lepsza śmierć, niż niewola, powiedział Pułaski i zdecydował się na leczenie na statku francuskim. Stosownie do tego przeniesiono go na okręt, na którym zmarł podczas drogi do Charleston a ciało jego pochowano w morzu". Miało to być blisko wyspy św. Heleny, leżącej przy wybrzeżach Południowej Karoliny.

Jerzy Waszyngton P. Custis twierdzi tak, jak Bentalou, że Pułaski zmarł na statku amerykańskim "Wasp", lecz został pochowany nie w morzu, tylko "pod dużem drzewem na wyspie św. Heleny, około 50 mil od Savannah, przez swego porucznika i przyjaciela, Karola Litomskiego". Tak samo śmierć i pogrzeb Pułaskiego opisuje Lossing w "Field Book of the Revolution"'

Jedyną współczesną wiadomość o pogrzebie Pułaskiego, niestety, zbyt krótką i ogólnikową, znajdujemy w "South Carolina and American General Gazette" z piątku, 19-go października 1779-go r. "Dzielny hrabia Pułaski" — pisze ta gazeta — "zmarł z rany na morzu podczas drogi powrotnej z Georgii. W czwartek odbył się w Charleston jego pogrzeb w sposób, odpowiadający randze i zasługom tego nieustraszonego i wielce opłakiwanego oficera".

Bentalou opisuje obszerniej ów uroczysty pogrzeb: "Wasp" wjechał do portu Charlestonu z flagą spuszczoną do połowy masztu. Żałobny ten znak powtórzyły wszystkie okręty znajdujące się w porcie, a wszystkie forty i baterje odpowiedziały nań w sposób zwykły przy takich okazjach głębokiego i powszechnego smutku. Gubernator i rada stanu Południowej Karoliny, oraz władze miejskie Charlestonu wspólnie przyjęli rezolucje, wyrażające jak najgłębszą cześć dla pamięci generała Pułaskiego, oraz postanowiające, że pogrzeb ma mu być sprawiony z jak najwspanialszymi honorami. Wyznaczony został dzień pogrzebu, a generalny kwatermistrz Stanów Zjednoczonych w Charlestonie polecił porobić na koszt rządu wszystkie przygotowania konieczne do tej smutnej uroczystości. Pochód był olbrzymi, wspaniały, odpowiedni do okazji. Trumnę

nieśli trzej amerykańscy i trzej francuscy oficerowie najwyższej rangi. Za nią prowadzono pięknego konia, na którym Pułaski jechał, gdy otrzymał śmiertelną ranę. Na koniu złożone było jego uzbrojenie i mundur, który miał na sobie w owej chwili. Tak niezwykle tłumna była żałobna procesja, że trzeba było okrążać całe miasto do kościoła, gdzie wojskowy kapelan wygłosił piękną i wzruszającą mowę".

Domyślać się trzeba, że trumna, niesiona w pochodzie, była pustą; pogrzeb był więc właściwie tylko żałobną demonstracją, mającą na celu okazanie uczuć ludności względem polskiego rycerza.

* * *

Osierocony po klęsce pod Savannah koń Pułaskiego ciężkie potem musiał przechodzić koleje. Pamiątką po sierocie-mizeraku, o którego nie było już komu dbać, jest następujące ogłoszenie, które pojawiło się w nowojorskiej "Royal Gazette" z 15 lutego 1783 r., kiedy to Nowy Jork był jeszcze zajęty przez Anglików:

"Do sprzedania na licytacji publicznej w następny poniedziałek, 17-go lutego, rumak, najwspanialszy, jakiego kiedykolwiek dosiadał oficer. Był on dawniej własnością nieżyjącego już hrabiego Pułaskiego, który na nim stracił życie podczas ataku na wały Savannah w Georgia. Obecny jego właściciel zamierza wyjechać z miasta i dlatego wystawia go na sprzedaż. Pomimo, że koń znajduje się teraz w mizernym stanie, jego wielkie przymioty jako wierzchowca wojskowego są tak dobrze znane oficerom armji angielskiej, którzy służyli na południu, jak i całemu światu, który słyszał o Pułaskim, że wszelkie zachwalanie jest zbyteczne. Koń liczy dopiero siedem lat, jest zupełnie zdrowy w piersiach i nogach. W maju był sprzedany za 130 gwinei. Bradley i Reardan".

* * *

Na wiadomość o śmierci Pułaskiego kongres uniósł się odruchową wspaniałomyślnością i uchwalił wznieść pomnik ku czci bohatera. A chociaż uchwała została wykonana dopiero w przeszło sto lat później ,niemniej stanowi dobitny dowód poważania, jakiem cieszył się Pułaski u współczesnych.

Pierwszy pomnik Pułaskiego na ziemi amerykańskiej stanął w mieście Savannah. Projekt jego zrodził się jeszcze w początkach XIX-go wieku, równocześnie z projektem pomnika dla generała Nataniela Greene'a. W r. 1820 rada miejska Savannah wyznaczyła komitet, który miał odszukać zwłoki Greene'a, aby je złożyć u podstawy jego pomnika. O poszukiwaniach zwłok Pułaskiego nie było wówczas mowy, co świadczy, że uważano je ogólnie za pochowane w morzu.

W roku 1825-ym komitet budowy pomników stanowili: Jan Shellman, Ryszard W. Habersham, Jakób B. Read, Aleksander Telfair, Samuel B. Parkman, William P. Marshall i Jakób Severen.

Korzystając z wizyty generała Lafayette w Ameryce, obywatele Savannah uprosili go, aby osobiście położył kamienie węgielne pod oba pomniki. Na uroczystość zaproszeni zostali wszyscy żyjący jeszcze weterani wojny rewolucyjnej. Dla przyjęcia Lafayette'a i innych gości utworzone zostały trzy komitety, pod ogólnem przewodnictwem W. C. Daniella.

"Kurjer Warszawski" z dnia 22-go marca 1925 r. podał streszczenie bardzo rzadkiej broszury p. t. "An Account of the Reception of Generał Lafayette in Savannah on Saturday, March 19-th 1825, of the Entertainments given him, and of the Ceremonies, Masonic and Civic, on laying the Corner Stones of Monuments to the Memory of Generals Greene and Pulaski", wydanej w r. 1825 przez georgijską lożę masońską.

Streszczenie to, pióra Fr. Jan, zawiera następujący opis uroczystości:

Lafayette zawitał do Savannah w sobotę, 19-go marca, witany entuzjastycznie przez tłumy i serdecznie goszczony przez miasto. W poniedziałek, dnia 21-go marca ,rano przed mieszkaniem starego bojownika wolności sformował się olbrzymi pochód dla uroczystego położenia kamieni węgielnych pod pomnik generała Greene'a na Johnson Square i pod pomnik Pułaskiego na Chippewa Square. Pochód odbywał się w następującym porządku: wojsko, generalicja, komitet przyjęcia gen. Lafayette'a, sędziowie, duchowieństwo, mayor miasta, gubernator stanu Georgia, komitet budowy pomników i organizacje masońskie.

Pochód doszedł do Chippewa Square, gdzie była wzniesiona brama tryumfalna a na niej znajdowała się tarcza z napisem:

"Pułaski zawsze waleczny, lecz zawsze królów wróg!"

Miały to być, zdaniem pisarzy amerykańskich, słowa wyrzeczone przez Stanisława Augusta na wiadomość o śmierci Pułaskiego. Na drugiej stronie tarczy był napis:

"Pułaski padł w obronie Savannah 9 października 1779".

Plac otoczyło wojsko szpalerem a pięćset dzieci usypało kwieciem miejsce, gdzie miał stanąć pomnik. Poczem Aleksander Telfair przemówił w te słowa:

"Zebraliśmy się w celu uczczenia sławnego bohatera; wierzymy w błogosławieństwo Boże, które sprawia, że trwałemi stają się kroniki dziejów i utrzymują się w pokolenia marmury i spiże pomników, niosąc przyszłości wzory do naśladowania. Udzielają one nauk moralnych przyszłym pokoleniom i są żywym dowodem wdzięczności tych, którzy je wznoszą. Czyniąc zadość szlachetnym popędom naszym, położyliśmy właśnie kamień węgielny pod pomnik generała

Greena, a jednocześnie nie zapominamy o słusznych prawach cudzoziemskiego rycerza. Oto zakładamy podwaliny pod pomnik dla Pułaskiego, tego dzielnego, rycerskiego Pułaskiego, który wygnany ze swej ojczyzny przez przemoc obcego despotyzmu, stał się tu wielbicielem i miłośnikiem wolności. Zaciągnął się on jako ochotnik do naszych szeregów, walczył o naszą wolność, aż przed linjami obronnemi naszego grodu padł śmiercią bohaterską i krwią swoją nasycił ziemię, na której stawiamy mu pomnik wdzięczności. Aczkolwiek nie złączony z nami rodowemi węzłami, aczkowiek z dalekich krain pochodzący, Pułaski żywił w sobie podobne do naszych pobudki serca i rozumu i z tych dalekich krain oczyma duszy dojrzał podziwu godną walkę, jaką staczaliśmy tu o ideały wolności. Przybył tu walczyć, dorwał się do pola chwały i na niem legł, składając życie w ofierze świętej sprawie wolności. Nieszczęsna dziś Polska szczyci się, że była kolebką tego rycerza. Ameryka zaś, która stała się widownią jego czynów i chwały, ma zaszczyt uczczenia go. Niechaj na wieczne czasy poświęcone będzie to miejsce pamięci Pułaskiego.

"Doniosłość obecnej chwili podnosi szczęśliwa okoliczność, że możemy jednocześnie powitać i podziękować za współpracę temu, który ożywiony tem samem szlachetnem uwielbieniem wolności, porzucił swój kraj rodzinny i swoje ognisko domowe i pospieszył dzielić trudy i niebezpieczeństwa Pułaskiego i który jest też wyrazicielem tychże samych rycerskich cnót. Generale! Po niemal półwiekowej rozłące odwiedzasz swą przybraną ojczyznę. Śmierć zabrała już wielu twych towarzyszów broni. Nie danem ci więc jest osłodzić schyłku życia twojego miłem z nimi obcowaniem. Pozostaje ci smętna przyjemność zwiedzenia widowni walk i bohaterskich czynów, uprzytomnienia sobie wzruszających wspomnień. Na równinie tej rozegrały się wypadki, których pamięć dla ciebie jest droga. Jest to pole walki, na którem ramię przy ramieniu walczyła Francja z Ameryką. Na tej równinie we wspólnej mogile spoczywają szczątki Lincolna i D'Estainga, a teraz kładziemy kamień węgielny pod pomnik, poświęcony pamięci generała Pułaskiego".

Na tę przemowę odpowiedział Lafayette:

"Jestem do głębi wzruszony tym zbiegiem okoliczności, że swego czasu miałem zaszczyt przedstawić rycerskiego Pułaskiego w chwili jego wylądowania naszej amerykańskiej armji i jej naczelnemu wodzowi, a obecnie po czterdziestu ośmiu latach mam honor w imieniu tejże armji kłaść kamień węgielny pod jego pomnik. Pułaski, moi panowie, zabłysnął wśród najprzedniejszych mężów, któremi Polska słusznie chlubi się. W Stanach Zjednoczonych wykazał najgórniejsze cnoty jako patrjota i żołnierz, całą duszą oddany sprawie przybranej ojczyzny. Dla tej sprawy walcząc przy boku Lincolna i D'Estainga złożył godnie życie w ofierze. To braterstwo broni, mojem i zapewne panów zdaniem, złączy nierozerwalnym węzłem oba

narody, z których jeden dosięgnął najszlachetniejszych wyżyn politycznej kultury, drugi zaś, oddając hołd amerykańskim zasadom wolności, ceni je i ufa, że z czasem wszechwładnie i w Polsce zapanują".

Po tych przemówieniach zamurowano następujące pamiątki w fundamentach pod pomnikiem:

1) protokoły komitetu przyjecia gen. Lafayette'a; 2) medal z podobizna Lafayette'a i napisem "Gość Narodu"; 3) medal Waszyngtona i Franklina, wykonany przez Augusta G. Oemlera z Savannah; 4) papierowe pieniądze stanu Georgia z lat 1778 i 1825; 5) dolar z prowincji Rio Plata, ofiarowany przez E. J. Olmsheada, wielkiego kapłana masońskiej kapituły georgijskiej; 6) dolar republiki kolumbijskiej, ofiarowany przez Samuela Philbricka, pomocnika budowniczego pomnika) 7) odezwe komitetu budowy: 8) czasopisma; 9) medal generała Greene'a; 10) reprodukcię portretu dr. Kollocka.

Przedstawiciel masonów, A. Carter, wygłosił następnie rodzaj modlitwy, poczem dokonano wmurowania kamienia węgielnego, na którym znajdował się następujacy napis:

"Dnia 21-go marca Roku Pańskiego 1825 położony został przez generała Lafayette, na prośbe obywateli Savannah ten kamień węgielny pod pomnik ku czci brygadjera hrabiego Pułaskiego".

Odprawiono jeszcze rozliczne ceremonje masońskie a podczas tego korpus marynarzy co minuta dawał salwe armatnią z dwudziestu czterech dział, muzyka zaś grała marsze żałobne.

Tegoż dnia wielka loża georgijska wydała uczte na cześć Lafayette'a, podczas której wygłoszono kilkanaście toastów. O godzinie 5-tej wieczór, w otoczeniu honorowej eskorty wojskowej i tysiacznych tłumów, wśród nowych mów i salw armatnich, czcigodny gość opuścił Savannah.

Od położenia kamienia węgielnego do ustawienia pomnika było jednak jeszcze daleko. Ofiary napływały bowiem zbyt wolno.

"Niles' Register" z 27-go maja 1826 donosił, że komitet pomników otrzymał dar 500 dolarów od pani Luizy C. Shaw, córki generała Greene'a i 4.000 dolarów od legislatury stanowej, oraz ogłosił plan, wedle którego pomnik Greene'a miał być granitowym obeliskiem, wysokim na 50 stóp, a pomnik Pułaskiego dorycką kolumną z najlepszego marmuru amerykańskiego, wysoką na 40 stóp.

Legislatura stanu Georgia, dnia 30-go listopada 1826 r., uchwaliła prawo, dozwalające komitetowi budowy na zebranie przez loterję sumy 35.000 dolarów "celem dopomożenia do budowy pomników generała Greene'a i hrabiego Pułaskiego w mieście Savannah — miejscu już poświęconem krwią jednego a prochami drugiego".

Ponieważ, pomimo loterji, fundusze napływały wolno, komitet postanowił zamiast dwuch pomników postawić na razie tylko jeden wspólny, poświęcony zarazem pamięci Greene'a jak i Pułaskiego. Z początkiem stycznia 1830 r., jak donosił "New York Courier", zakła-

dy kamieniarskie Masterson & Smith w Nowym Yorku wykończyły pomnik i część jego wysłały już do Savannah, gdzie miał być zaraz ustawiony na Johnson Square. "Wysokość jego, wedle opisu "Couriera", jest 50 stóp, podstawa zaś ma 20 przez 11 stóp. Piedestał jest 8 stóp 5 cali długi, 4 stopy 8 cali szeroki i 13 stóp wysoki, a na tem spoczywa gzyms wysoki na stopę. Z piedestału wznosi się obelisk na 36 stóp wysoki, gruby u podstawy na 5 stóp 4 cale przez 3 stopy przez 2 stopy 3 cale. Całość jest wykończona tak, że przyniesie zaszczyt miastu Savannah i jest z jak najtrwalszego materjału. Obelisk składa się tylko z siedmiu części, z których każda waży przeszło 8,000 funtów".

Choć więc pomnik był gotów w r. 1830, dopiero w 12 lat po dedykacji kamieni węgielnych przez Lafayette'a, a więc w r. 1837, zdobyło się Savannah na ustawienie i wykończenie go. Kamień węgielny pod pomnik Pułaskiego przeniesiono z Chippewa na Johnson Square i ustawiono obelisk, który aż do roku 1853 znany był jako "Greene and Pułaski monument". Z opisu "Couriera" widać, że był to nieregularny słup, bez żadnych większych ozdób — typ pomnika, powszechny dawniej w Ameryce.

Miasto, pod którego murami przelał krew Pułaski, nie zaniedbało jednak w całości dopełnić swego zobowiązania względem pamięci bohatera. Wolno wprawdzie, ale nieustannie zbierano fundusze na osobny dla niego pomnik. Do r. 1848 dochód z loterji wynosił już 12,000 dolarów. Wreszcie w r. 1853 uzbierano dostateczną sumę.

Z końcem r. 1853 Launitz, rzeźbierz pomnika, rozpoczął kłaść fundamenty pod kolumnę Pułaskiego na nowem miejscu, mianowicie na Monterey Square. Wyjęto przedewszystkiem kamień węgielny, dedykowany przez Lafayette'a, ze wspólnego pomnika Pułaskiego i Greene'a i przeniesiono go pod nowy pomnik, gdzie położono jeszcze drugi kamień dla upamiętnienia chwili. Dedykacja kamieni odbyła się w siedemdziesiątą czwartą rocznicę śmierci Pułaskiego, dnia 11-go listopada 1853, z odpowiednią uroczystością. Głównym mówcą był Henryk Williams, który w części powiedział do zebranych tłumów:

"Nie wiele nazwisk przekazała nam historja, otoczonych piękniejszym nimbem, niż nazwisko Pułaskiego. Jego patrjotyczne czyny we własnej ojczyźnie, jego wybitna służba w naszym kraju, jego zapał dla wolności, jego rycerski charakter, jego żywiołowa odwaga i jego sławny, choć niewczesny skon tak opromieniły jego nazwisko, że fantazja mogłaby pozazdrościć go historji...

"Przez Atlantyk doszła go wieść, że naród innej półkuli podniósł czoło przeciw ciemięstwu i zbroi się do walki. Wieść ta podnieciła serce Pułaskiego, jakby głos trąbki bojowej. Był to bój za wolność. Była to jego własna sprawa, bez względu na to kim był walczący naród i gdzie miejsce walki. Los nie pozwolił mu zdobyć niepodległości dla własnego kraju, więc, wierny szlachetnym porywom swej duszy, przybył walczyć za niepodległość Ameryki..."

Pomnik, jaki wznosi miasto Savannah, zakończył Williams, "będzie odpowiednim wyrazem wdzięcznej pamięci dla tego, który przelał krew na naszej ziemi za swobody naszej ojczyzny i uwolni nasz kraj od zarzutu niewdzięczności. Powstanie tu wyniosła kolumna marmurowa ku pamięci świetnych czynów i smutnej śmierci bohaterskiego syna Polski, wielbiciela wolności i męczennika za jej sprawę, przyjaciela i towarzysza broni Waszyngtona, szlachetnego i rycerskiego Pułaskiego".

Już oddawna krążyła na Południu legenda, która wyznaczała zupełnie nowe miejsce spoczynku zwłok Pułaskiego i zrodziła projekt przeniesienia ich i złożenia pod pomnikiem.

W miasteczku Greenwich, nad rzeką Augustine, o pięć mil od Savannah, znajdowała się farma, której właścicielka, pani Beecroft, twierdziła do końca swego życia, że rannego Pułaskiego przeniesiono z pola bitwy do jej domu razem z hrabią D'Estaingiem, również ciężko rannym. Jako 14-letnie wówczas dziewczę zapamiętała doskonale, że ów rzekomy Pułaski znosił straszliwe katusze i w kilka godzin potem, w ciągu nocy, zmarł. Towarzysze jego, pragnąc czemprędzej połączyć się z flotą francuską, pogrzebali go zaraz w sadzie. Na potwierdzenie swych słów pani Beecroft pokazywała miejsce w swym sadzie, wśród krzewów i zarośli, w odległości około dwustu jardów od domu, które miało być grobem Pułaskiego. Poczciwa kobiecina tak wierzyła w prawdziwość tego, że, przejęta czcią dla bohatera, z największą pieczołowitością doglądała grobu, obsadzała go kwiatami i utrzymywała w porządku ścieżkę, prowadzącą do niego.

Opowiadanie pani Beecroft, przechodząc z ust do ust, urosło w legendę. Niejeden Amerykanin śpieszył do Greenwich, by oddać cześć prochom rycerza, niejeden Polak, rzucony losem na drugi koniec świata, pielgrzymował na mniemany grób Pułaskiego.

Niejaki Jakób Lewis, późniejszy zarządca farmy ,opowiadał, że w roku 1803-cim odwiedziła mogiłę gromadka legjonistów polskich, wysłanych przez Napoleona na San Domingo. Lewis, który podobno sam był także z pochodzenia Polakiem, podejmował ich u siebie, między nimi też kapitana Bogusławskiego, siostrzeńca Pułaskiego.

Kiedy Savannah przystępowała do urzeczywistnienia projektu osobnego pomnika dla Pułaskiego, zwrócono uwagę na tę legendę. Pułkownik William P. Bowen, wydelegowany do zbadania grobu, otworzył go w grudniu 1853 r. i znalazł w nim rzeczywiście szkielet, oraz rozmaite szczątki, które starannie zebrał i odwiózł do Savannah. Lekarze William G. Bullock i Jakób B. Read, którzy zbadali szkielet, orzekli co następuje:

"Zwłoki odkryte i odkopane przez pułkownika W. P. Bowena były dobrze zachowane, chociaż kości były już nagie. Szkielet był kompletny z wyjątkiem niektórych kości rąk i nóg, wobec czego mogliśmy dojść do następujących wyników: 1) że odkryte kości tworzyły szkie-

let mężczyzny średniego wzrostu; 2) że zmarły musiał być mężczyzną w kwiecie wieku, gdyż wszystkie zęby, w tem i ząb mądrości, były całe i zdrowe; 3) kształt czaszki znamionował, iż zmarły należał do rasy kaukazkiej, przyczem kąt twarzowy wynosił 85 stopni, co jest powyżej średniej miary, podanej przez Campera i Nortona, mianowicie 80 stopni; 4) czaszkę odznaczała wielka szerokość między oczyma u nasady nosa i szerokość twarzy w kościach policzkowych. Porównując kształt całej głowy, to jest kształt czaszki i twarzy razem, z litografowaną podobizną Pułaskiego, pokazaną nam, uznaliśmy, iż jest wielkie podobieństwo rysów".

Zwłoki, uznane w ten sposób za zwłoki Pułaskiego, złożono tymczasem w Kolegjum Medycznem w Savannah.

Oprócz kości, w grobie znaleziono części drzewa, okute żelazem, ale już tak zniszczone, że kształtu ich pierwotnego nie można było odgadnąć. Pułkownik Bowen przypuszczał, że były to resztki szabli, albo sztyletu, albo też okutego krzyża.

Odkrycie zwłok wywołało szeroki spór co do ich prawdziwości. Obie strony miały za sobą argumenty, w części przyznające im słuszność. Ostatecznie jednak postanowiono znalezione szczątki umieścić pod kolumną. Dr. Skinner, profesor Kolegjum Medycznego, i kilku wybitnych mieszkańców Savannah przenieśli je na miejsce pomnika i w obecności rzeźbiarza Launitza, jego pomocników i robotników, ostrożnie złożyli do skrzynki metalowej, razem z pergaminem, na którym wypisany był następujący akt:

"Skrzynka ta zawiera przypuszczalne prochy generała brygady Kazimierza Pułaskiego, dzielnego i sławnego Polaka, który padł śmiertelnie ranny podczas oblężenia Savannah, dnia 9-go października 1779-go roku, gdy prowadził oddział kawalerji do ataku na linje angielskie.

"Szczątki te zostały odkopane w grudniu 1853-go roku w Greenwich nad rzeką Augustine, o pięć mil od miasta Savannah, w miejscu, gdzie wojska francuskie, dowodzone przez hrabiego D'Estainga, wylądowały a po bitwie 9-go października wsiadły na okręty, leżące na kotwicy w Cockspur Roads. Podanie od wielu lat wskazywało na miejsce, gdzie te zwłoki odkopano, jako na grób Pułaskiego, a badania anatomiczne, przeprowadzone przez lekarzy z Savannah i wykazujące podobieństwo szczątków do zwłok mężczyzny, podobnego z opisu do Pułaskiego, oraz inne okoliczności, związane z odkopaniem prochów, w znacznej mierze potwierdzają prawdziwość podania. Komitet pomnika uznał dlatego za stosowne umieścić te szczątki w pomniku, który jest obecnie budowany".

Jakkolwiek więc u podstawy pomnika Pułaskiego w Savannah znajdują się zwłoki z grobu na farmie pani Beecroft, tożsamość ich budzi poważne wątpliwości.

Henryk Williams w swej mowie nad fundamentami pomnika ubolewał, że "chociaż Pułaski był otoczony przyjaciółmi i towarzyszami broni, chociaż zajmował wybitne stanowisko, chociaż wsławił się

swoimi czynami, brak jest jakichkolwiek dowodów, wskazujących z pewnością miejsce złożenia jego zwłok. Czy morze przyjęło je do swego łona, czy leżą pod którymś z rozłożystych dębów na wyspie św. Heleny w sąsiednim stanie, czy też spoczywają pod murawą w Greenwich nad brzegami jednej z naszych uroczych rzek, o godzinę drogi od miejsca, gdzie padł, pozostaje tajemnicą".

Patrjotyczni obywatele Savannah rozstrzygnęli tę tajemnicę na korzyść legendy, która z pewnością najlepiej odpowiadała ich życzeniom, ale zarazem miała najmniej cech prawdopodobieństwa.

Można przypuszczać, że w domu pani Beecroft umarł i w jej sadzie został pochowany całkiem kto inny, chociaż prawdopodobnie także jakiś Polak z legjonu Pułaskiego. Nazwisko zmarłego, trudne do spamiętania dla Amerykanina, szybko musiało ulecieć z pamięci pani Beecroft, o ile wogóle było jej znane. Pozostała u niej tylko pewność, że był to Polak, a z tego, z biegiem czasu, mogło urósć przekonanie, że zmarłym był Pułaski.

W grudniu 1854-go roku pomnik Pułaskiego razem z żelaznem ogrodzeniem był już gotów, a w styczniu 1855 r. komitet budowy oddał go urzędowo miastu jako część własności publicznej.

Sygurd Wiśniowski tak opisuje pomnik: Jest to kolumna z marmuru kararyjskiego, czworoboczna, stożkowata, wysoka na 55 stóp i osadzona na czworobocznej, masywnej podstawie. U góry, nad kapitelem, unosi się bogini wolności, trzymająca gwiaździstą chorągiew Stanów Zjednoczonych. Z jednej strony kolumny widać napis "Pulaski", a z drugiej orła amerykańskiego. Na cokole pod orłem jest płaskorzeźba, przedstawiająca bohatera Częstochowy i Charlestonu w chwili fatalnej, gdy pędząc z podniesionym mieczem, ugodzony kartaczem chwieje się, chyli się na bok i spada z konia. Herby Rzeczypospolitej Polskiej i Georgji zajmują inne strony postumentu.

Taka jest historja pomnika Pułaskiego w Savannah.

Cześć dla Pułaskiego była zawsze szczególnie żywa na Południu, jak świadczą o tem słowa Jakóba Lyncha z poprzednio cytowanego listu:

"Chyba żadne z nazwisk nie wywołuje tyle gorącego zapału wśród południowców, jak nazwisko Pułaskiego. On i William Waszyngton (brat Jerzego) byli wielkimi dowódcami jazdy, a my, Południowcy, kochamy się w koniach.

"Wedle wszelkich tradycyj, jakie przeszły do nas od tych, którzy widzieli Pułaskiego za życia, zarówno białych, jak i czarnych, był on prawdziwem wcieleniem siły, energji i zgrabności, gdy siedział w siodle... Jego romantyczna odwaga zdawała się graniczyć z fantazją i oślepiała tych, którzy nań patrzyli. A jego cierpienia za Polskę, ukochaną ojczyznę i panią jego duszy, utrata majątku, wygnanie i skon — wszystko to pogłębia smutek, jaki wywołuje myśl o nim. Imię jego jest codziennem słowem wśród obywateli Savannah..."

Prosta i skromna kolumna na Monterey Square jest dla Polaka

miłą pamiątką uczuć Amerykanów dla naszego wielkiego przodka. A chociaż tożsamość zwłok w jej wnętrzu pozostanie nazawsze zagadką, czyż nad prochy, które niszczeją, nie znaczy więcej sława bohatera, która nigdy nie zginie i czyż nie znaczą więcej wdzięczne i pełne podziwu serca żywych?

VI.

Obrońca honoru Pułaskiego.

Nie kwieciem zasłała się droga na nowym lądzie Kazimierzowi Pułaskiemu. — Nie kwieciem, ale cierniem licznem i ostrem, które nieraz boleśnie kłuło jego rycerskie serce.

Cała jego służba amerykańska pełna była dotkliwych utrapień. Koledzy-Amerykanie zazdrosnem nieraz patrzyli na niego okiem, bo przewyższał ich odwagą i gorliwością służbową i doświadczeniem, nabytem w długich, a bajecznych swą brawurą bojach z Moskwą. Członkowie kongresu, z którymi miał wiele do czynienia jako dowódca legjonu, zamęczali go swym biurokratyzmem. Cywilni Torysi, niechętni sprawie rewolucji, tem gorliwiej prześladowali skargami obcokrajowca. O byle drobnostkę, popełnioną przez żołnierza legjonu, wysyłali zażalenia do kongresu. Intrygi, niechęć otaczały go zewsząd, a w przykrych tych stosunkach osłodą były mu chyba przywiązanie podkomendnych, miłość nielicznej garstki druhów i szacunek narodu.

"Entuzjastyczny zapał dla szlachetnej sprawy, ożywiającej Amerykę i pogarda śmierci pobudziły mnie naprzód do przyjęcia waszej służby" — pisał w pełnym goryczy ostatnim swym liście do kongresu. "Pochlebiałem sobie, że będę dosyć szczęśliwym, aby uzyskać uznanie i wywołać wasze zadowolenie. Wszakże taki był mój los, że oprócz honoru, któremu nigdy nie sprzeniewierzę się, nic nie utrzymuje mnie w służbie, która zaczyna mi być nienawistną wskutek złego traktowania.

"Każdy krok względem mnie przedsięwzięty był tak nawskroś obrażający, że nic prócz szczerości mego serca i gorącego zapału nie popiera mnie w tej służbie...

"Od tej chwili fatalnej, w której przedsięwziąłem werbowanie mego oddziału byłem i jestem ustawicznie prześladowany...

"Bądźcie sprawiedliwi, Panowie, i pomyślcie, że jak nie mogłem uchylić czoła przed mocarzami Europy, tak przybyłem tu poświęcić wszystko dla wolności Ameryki i pragnę spędzić resztę życia w kraju naprawdę wolnym, a zanim osiądę jako obywatel, chcę walczyć o jego wolność; ale widząc, że robione są wszelkie starania dla zniechęcenia mnie do tego, zaczynam myśleć, że zapał dla wolności nie jest przeważną cnotą w Ameryce dzisiejszej".

W dwa miesiące po tym liście Pułaski bohaterskim skonem pod Savannah zadokumentował swój zapał dla sprawy wolności Ameryki.

Wtedy dopiero, wśród ogólnych objawów czci i żalu, przycichły głosy zawiści, ścigające go przez dwa lata służby.

Pamięć bohatera błyszczała odtąd jasnym i coraz jaśniejszym

płomieniem. Imię Pułaskiego dostało się między imiona najzasłużeńszych.

Zdawało się, że niechęć i zazdrość, któremi prześladowano go za życia, wygasły już zupełnie, że ci, którym nie miał szczęścia podobać się, potrafili zdobyć się na tyle uczciwości, by przynajmniej uszanować pamięć jego.

Ale zła wola niechętnych ścigała niezłomnego rycerza aż poza grób. W przeszło 40 lat po śmierci oszczerca oskarżył go o spowodowanie klęski Amerykanów pod Germantown i to przez niedbalstwo w służbie — jego, który czynnością i niezmordowaną obowiązkowością przewyższał wszystkich; jego, który dla służby obcej całe serce swe oddał i cały zapał; jego, którego żywiołem był ogień!

Znalazł się jednak szczery druh, który stanął w obronie spotwarzonego bohatera. Człowiekiem tym był Paweł Bentalou, Francuz, dzielny oficer z czasów wojny rewolucyjnej.

Bentalou, jak opowiada o sobie w jednej ze swych broszur, wyjechał do Ameryki z Bordeaux w listopadzie 1776 roku i wylądowawszy w Filadelfji udał się do głównej kwatery Waszyngtona w Morristown, N. J., gdzie wręczył naczelnemu wodzowi swe listy polecające i prosił o rangę oficera w kawalerji. Kiedy mu jednak Waszyngton powiedział, że nie będzie mógł uczynić zadość jego prośbie, gdyż formowane są tylko cztery pułki jazdy i wszystkie "komisje" w nich zostały już rozdane, Bentalou nie zniechęcił się tem, ale oświadczył gotowość służenia przy piechocie jako ochotnik. Waszyngton wobec tego przydzielił go jako porucznika do niemieckiego bataljonu w brygadzie generała Maxwella.

W tym charakterze poznał go Pułaski podczas marszu przed bitwą pod Brandywine.

Musieli przypaść sobie obaj do serca, gdyż odtąd Bentalou nie odstępował Pułaskiego aż do śmierci. Francuz służył mu z prawdziwie serdecznem przywiązaniem, Pułaski nawzajem darzył go przyjaźnią i zupełnem zaufaniem. A skoro otrzymał pozwolenie na zwerbowanie legjonu, Bentalou był jednym z pierwszych, którzy zgłosili się do służby pod nim W randze porucznika dzielił Bentalou losy legjonu. Brał udział we wszystkich jego bitwach i przeprawach. Ranny razem ze swym wodzem pod Savannah, Bentalou został za odwagę mianowany kapitanem legjonu. Jemu zawdzięczamy uratowanie sztandaru legjonowego, jedynej prawie pamiątki, istniejącej jeszcze po Pułaskim w Ameryce.

Po wojnie rewolucyjnej Bentalou osiadł w Baltimore, Md., i oddał się kupiectwu. Za prezydentury Waszyngtona, Adamsa i Jeffersona piastował godność marszałka Stanów Zjednoczonych. W roku 1806 wyjechał do Francji z żoną swą, Katarzyną z domu Keeports, zaślubioną w roku 1780, aby odwiedzić swe strony rodzinne. Bona-

parte wtrącił go wówczas do więzienia z niewiadomych bliżej przyczyn.

Bentalou był swego czasu jednym z najwybitniejszych obywateli Baltimore. Podpis jego znajdujemy wśród podpisów jedenastu innych obywateli miasta na adresie gratulacyjnym, wręczonym Waszyngtonowi, gdy ten w roku 1789 przyjeżdżał przez Baltimore do Nowego Yorku na swą inaugurację na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych.

W roku 1798 Bentalou zorganizował kompanję ochotniczej jazdy, której został pułkownikiem, ale mimo to nazywano go nadal powszechnie "kapitanem".

Kiedy Lafayette odwiedził Baltimore w roku 1824, Bentalou jechał z nim razem w otwartym powozie przez ulice miasta. Spotkanie obu Francuzów, zasłużonych dla Ameryki, było nadzwyczaj serdeczne. Obaj znali się jeszcze z Francji. Obaj przybyli młodzieńcami walczyć za wolność na drugiej półkuli. Obaj spotkali się znowu po długich latach rozłaki, ale już siwymi starcami.

W roku 1830 umarł Bentalou skutkiem pokaleczeń, odniesionych w upadku. Zwłoki jego spoczywają w podziemiach zboru Westminster w Baltimore w grobowcu familijnym, obok zwłok żony. Rodzina Bentalou jest już wygasłą.

Na cześć szlachetnego Francuza nazwana została jedna z ulic Baltimore. Wedle urzędowego przewodnika, "Bentalou street" biegnie na południe od ulicy Hollins i na zachód od ulicy Smallwood.

Podczas pobytu w Paryżu Bentalou dał zrobić swój portret, który do dziś znajduje się w przechowaniu rodziny jego żony. Przedstawia on pięknego mężczyznę o sympatycznych rysach twarzy, w peruce i ówczesnym stroju francuskim.

Pozatem niewiele tylko przechowało się po nim szczegółów i pamiątek. Historyk amerykański wyraża się o nim jako o "rycerskim Francuzie, jednym z naszych zagranicznych sprzymierzeńców w czasach walki o niepodległość, który służył zaszczytnie przez pięć lat w szeregach i potem przez pół wieku cieszył się szacunkiem i powagą współobywateli — jako o towarzyszu i przyjacielu Lafayette'a i pełnym siły obrońcy dobrej sławy swego dawnego dowódcy".

W roku 1822 pojawiło się dwutomowe dzieło "Szkice z życia i korespondencja Nataniela Greene'a, generał-majora armji Stanów Zjednoczonych w wojnie rewolucyjnej". Autorem tej biografji był William Johnson z Charleston, S. C., sędzia najwyższego trybunału Stanów Zjednoczonych. Po autorze, zajmującym tak wybitne stanowisko, należało spodziewać się jeżeli już nie rzeczy doskonałej pod względem literackim, to przynajmniej sumiennej co do szczegółów

Tymczasem dzieło okazało się pod każdym względem nieudatnem. Prasa potępiła je ostro jako pracę zagmatwaną i niedołężną, przedewszystkiem zaś jako paszkwil przeciw całemu szerego-

wi wybitnych postaci rewolucyjnych. "Szkice" sędziego Johnsona wywołały cały szereg sprostowań. Krewni i potomkowie pokrzywdzonych w broszurach i nieraz obszernych dziełach musieli prostować kłamliwe oskarżenia, rzucone przez Johnsona.

Autor "Szkiców" nie oszczędził i Pułaskiego. Pisząc o bitwie pod Germantown, zakończonej dotkliwą klęską armji amerykańskiej, sędzia Johnson odrzucił wszelkie ustalone pojęcia o przyczynie przegranej i tak wysnuł ją na podstawie oszczerstwa generała Pinckney, jednego z śmiertelnych wrogów Pułaskiego:

"Amerykanie nie mogą pojąć także niektórych wypadków jedynie dlatego, ponieważ byli pod błędnem wrażeniem, że napad (armji Waszyngtona) był zupełną niespodzianką. Tymczasem Anglicy twierdzą — i twierdzeniu ich zaprzeczyć nie można — że patrole ich przyniosły im wieść o zbliżającym się ataku na godzinę przedtem. Nie można dziwić się, że Amerykanie wątpią w to, przypuszczając, iż angielskie patrole nie mogłyby zbliżyć się do armji amerykańskiej bez odkrycia ich przez Amerykanów. Jednakowoż jest to ubolewania godny fakt, o którym niewiele osób było poinformowanych, że sławny Pułaski, który dowodził patrolem amerykańskim, został znaleziony przez samego generała Waszyngtona śpiącym w domu farmerskim. Polityka tylko i wzgląd na rangę i nieszczęście przestępcy mogły skłonić Waszyngtona do zatajenia tego faktu. A jednak tej właśnie okoliczności najprawdopodobniej musimy przypisać sukces nieprzyjacielskiego patrolu, który mógł zbliżyć się dosyć blisko, by odkryć postęp amerykańskiej kolumny".

Zarzut ten był poważny, tem poważniejszy, że ten, przeciw któremu został wytoczony, dawno był w grobie, a wśród żyjących niewielu było już takich, którzy mogliby dać świadectwo prawdzie. Żył jednak jeszcze Bentalou, wówczas już starzec około 70-letni, który poczuł się powołanym do obrony swego umiłowanego komendanta.

Uczynił to w broszurze, wydanej w Baltimore w r. 1824 pod tytułem "Obrona Pułaskiego przed gołosłownem oskarzeniem, nierozważnie lub złośliwie podniesionem w sędziego Johnsona "Szkicach z życia i korespondencji gen. maj. Nataniela Greene'a" przez Pawła Bentalou". (Pułaski vindicated from unsupported charge inconsiderately or malignantly introduced in Judge Johnson's "Sketches of the Life and Correspondence of Major Gen. Nathaniel Greene" by Paul Bentalou.)

Oryginalna broszura ta, zawierająca około 30 stron druku, jest dziś niezmiernie rzadka. Za jeden jej egzemplarz płacono niedawno po $5 u antykwarzy nowojorskich.

Bentalou, mimo podeszłego wieku i braku literackiego przygotowania, napisał rzecz prawdziwie piękną swem przywiązaniem do dawnego zwierzchnika. Kiedy mówi o Pułaskim, mówi zawsze z młodzieńczym ogniem. Kiedy wspomina o jego oszczercy, ma dla niego

ostry sarkazm i ironię. Z oburzeniem, pochodzącem z głębi serca, odpiera jego zarzut i zbija go faktami.

Broszura pełna jest nadto ciekawych szczegółów z życia Pułaskiego, dlatego słuszną jest rzeczą, aby chociaż w przeszło sto lat po tej "Obronie Pułaskiego" Wychodźtwo nasze zapoznało się z jej treścią i autorem.

Prof. Kozłowski korzystał wiele z tej i drugiej broszury Bentaloua w swej pracy "Pułaski w Ameryce" — szkoda, że tak mało znanej wśród Wychodźtwa. Jednakowoż, z konieczności, musiał pominąć, prócz ścisłych faktów, to wszystko, co stanowi właściwą a piękną treść tych pism.

"Obrona" dzieli sie mniejwięcej na dwie części. W pierwszej Bentalou podaje głosy krytyki prasy amerykańskiej o dziele sędziego Johnsona, potępiające nieudolność autora bezwzględnie, i tę część zamyka okrzykiem:

"Taki to pisarz odważył się rzucić oszczerstwo na Pułaskiego!"

W drugiej części sam rozprawia się z nieszczęśliwym autorem, zajmując się wyłącznie jego zarzutem przeciw Pułaskiemu.

* * *

Pisze więc Bentalou:

"Takie oskarzenie, podniesione przez bjografa generała Greene'a, bez jakiegokolwiek specjalnego, stanowczego i dostatecznego dowodu tego gorszącego faktu, — oskarzenie, któremu zadaje kłam cały szereg znaczacych okoliczności, przedewszystkiem zaś poprzednie i następne zachowanie się Pułaskiego, — mogłoby całkiem słusznie wywołać oburzenie każdego bezstronnego przyjaciela prawdy historycznej, każdego wielbiciela bohaterskiego i rycerskiego charakteru dzielnego Polaka, każdego patrjoty, wdzięcznego za szlachetne i skuteczne poświęcenie się tego wybitnego cudzoziemca dla sprawy amerykańskiej. W tym wypadku chodzi o coś więcej. Ten, który teraz uważa się za powołanego do obrony dobrej sławy znienawidzonego Pułaskiego, jest jednym z żyjących jeszcze jego oficerów; jednym z tych, którzy zawsze szczycić się będą, że służyli swemu krajowi pod tym sławnym dowódcą, bezsprzecznie najczynniejszym i najwiekszym współczesnym partyzantem; jednym z tych, którzy byli przy jego boku, gdy otrzymał śmiertelną rane, i jednym z tych, którzy opiekowali się nim aż do chwili, gdy jego szlachetna dusza odeszła ze zgangrenowanego ciała do swej niebieskiej ojczyzny. Cios wymierzony w dobre imię ukochanego i czczonego dowódcy wraził się głeboko w jego serce i nie może on spoczać zadowolony póki nie uczyni sprawiedliwości pamięci Pułaskiego i własnym swym uczuciom przez uroczysty protest, wobec Boga i ludzi, przeciw zarzutowi, który, jak wszelkie okoliczności wskazują, jak najzupełniej pozbawiony jest podstawy!

Do protestu tego skłaniają go nadto dwa inne powody. Dzieło

sędziego Johnsona, mimo swych licznych i krzyczących braków, może przecież w świetnem nazwisku — w nazwisku słusznie czczonem i drogiem nieśmiertelnego Greene'a — znaleźć paszport do potomności. A oszczerstwo, o ile nie zostanie zawczasu zaprzeczone, może rozszerzyć się i przez to uzyskać prawo bytu.

Wedle historyków, przyczyny klęski nad Germantown były — pośrednie, brak dyscypliny i ducha w armji, niedoświadczenie generałów i zawiły plan bitwy, — bezpośrednie zaś, brak równoczesnej akcji w kolumnach amerykańskich, nieregularność ich ataków, nieroztropne zatrzymanie się przed domem Chew'a (gdzie Amerykanie zaczęli oblęgać garstkę Anglików, zamiast ścigać uchodzącą armję nieprzyjacielską), oraz ciemność poranka. Sędzia Johnson, niezadowolony z przyczyn tak dowodnie prawdziwych i dostatecznych, przypisuje klęski tego fatalnego dnia częścią drzemce Pułaskiego, częścią zdradzie Conwaya i częścią karygodnemu błędowi Waszyngtona, że nie skierował głównego ataku na lewe skrzydło nieprzyjaciela.

Zarzut przeciw Pułaskiemu jest jedynym, który autor zamierza rozpatrzeć.

"Anglicy", — powiada sędzia Johnson — "twierdzą i twierdzeniu ich zaprzeczyć nie można, że patrole ich przyniosły im wieść o gotującym się ataku na godzinę przedtem".

Przypuśćmy, że była to prawda. Czyż koniecznie z tego wypływa, że aby otrzymać powyższą informację, patrole te musiały zetknąć się z armją amerykańską? Czyż nie mogły otrzymać jej od jakichs niezadowolonych osób, w które ta część kraju, jak dobrze jest wiadomem, obfitowała w tym krytycznym czasie? Dalej, czyż Anglicy, z powodów łatwych do odgadnięcia, nie przypisali swym patrolom zasługi zdobycia wiadomości, gdy w rzeczywistości zawdzięczali ją czujności i doniesieniu jakiegoś szpiega, który, korzystając z ciemności nocy, przekradł się niepostrzeżenie do obozu nieprzyjacielskiego? Ale, pomijając wszystko co Anglicy i sędzia mogą mówić przeciw, atak był zupełnie niespodziewany i o tym fakcie każdy kto był w naszej armji może zapewnić sędziego pod legalną przysięgą, w razie potrzeby, — a co więcej, gdyby nie nieszczęsne zatrzymanie się przed tą nieznaczną przeszkodą, domem Chew'a, rezultatem dnia byłoby jak najświetniejsze zwycięstwo.

"Ale", dodaje sędzia — "jest to ubolewania godny fakt, o którym niewiele osób było poinformowanych, że sławny Pułaski, który dowodził (amerykańskim) patrolem, został znaleziony przez samego generała Waszyngtona śpiącym w domu farmerskim".

"Ubolewania godny fakt, o którym niewiele osób wiedziało!" Uważajcie, jak ostrożnym, jak podstępnym jest bjograf w tem miejscu! Ci, którzy cośkolwiek wiedzą o Pułaskim, gdy usłyszą o tej niewytłumaczonej senności w najczujniejszym, najbardziej niezmordowanym, najczynniejszym dowódcy w historji świata, prawdopodobnie zawołają: "Co? Pułaski spał w takiej chwili? tuż przed bitwą, któ-

ra mogła być krwawą i decydującą?! — i to wtedy, kiedy tak wiele zależało na jego czujności! Jest to rzecz nie do wiary! — i rzeczywiście, żaden historyk nigdy o niej nie wspomniał!"

"O!" — odpowiada na to sędzia, — "jest to ubolewania godny fakt, o którym nie wiele osób było poinformowanych". Doskonałe zastrzeżenie! Podziwu godny wykręt! Ale świat może być tego pewnym, że gdyby rzecz taka zdarzyła się kiedykolwiek, to wkrótce nie tylko wieść o niej krążyłaby w ostrożnych szeptach, ale głośno krzyczanoby o niej. Za wiele osób domagało się zbadania nawskroś tej bolesnej rany, zadanej klęską pod Germantown, aby nie wykryto szybko przyczyny zła, gdyby istniało tam, gdzie je nasz bjograf wskazał. Za wiele zazdrosnych oczu spoczywało na Pułaskim, aby taki czyn jego pozostał ukryty w wiadomości kilku dyskretnych osób. Nie mówiąc już o jego własnych żołnierzach, gdyby wówczas oddawał się niewczesnej drzemce w domu farmerskim, właściciel tego domu, jego żona, jego dzieci, jego słudzy ,albo przynajmniej niektórzy z nich, musieliby o tem wiedzieć; a naogół osoby takie są bardzo gadatliwe. Nakaz utrzymania tajemnicy byłby tylko podniecił ich języki i przygoda Pułaskiego już dawno znalazłaby się w jakichś pamiętnikach wojskowych, w jakiejś wielotomowej bjografji — w jakichś opowiadaniach z rewolucji itp.; i panu Johnsonowi oszczędzonoby kłopotu usuwania tajemniczej i nieprzeniknionej zasłony, która, według niego, zakrywała przed oczyma publicznemi, główny, jeśli nie jedyny powód klęski pod Germantown, aż dopiero jego cudowna mądrość odkryła ukryte wspomnienie, któremu zawdzięczamy "ubolewania godny fakt!"

Waszyngton znalazł Pułaskiego śpiącego w domu farmerskim! Kto dał sędziemu tę wiadomość? Czy był to sam generał Waszyngton, jedyna osoba, na której słowach mógłby bezpiecznie polegać? To niemożliwe! Sędzia nie uważa za stosowne podać źródła, skąd ją zaczerpnął. Sprawa jednakowoż jest dostatecznie ważna i wymaga jakiejś stanowczej informacji, jakiegoś jasnego przedstawienia, jakiejś zadowalającej referencji, jakiegoś niezbitego świadectwa; i dopóki nasz bjograf nie przedstawi takiego dowodu na poparcie swego twierdzenia, musi ono być uważane za podłe, złośliwe i bezpodstawne oszczerstwo. Gdyby można wskrzesić z grobu cień wielkodusznego Greene'a, z pewnością zgromiłby z oburzeniem nierozważnego i nieudolnego bjografa, który nieoględnem oszczerstwem splamił dzieło, poświęcone jego pamięci!

Chociaż sędzia nie uznał za stosowne wyraźnie podać swego źródła, może zamierzał ułatwić domysł przez zamieszczenie w swem dziele dłuższego i pochlebnego opisu o tym, który odegrał ważną rolę w tych czasach, a obecnie już nie żyje (generał Pinckney z Południowej Karoliny). Jeżeli tak, to gdyby wiedział o zapamiętałej nienawiści, jaką osoba ta żywiła do Pułaskiego, z pewnością świadectwo tak stronniczego i tak zdecydowanego wroga nie miałoby u

niego wartości. Ale o tym przedmiocie zamilczmy. Autor nie chce naruszać prochów zmarłych i niech Bóg broni, aby miał niepotrzebnie ranić uczucia pozostającej przy życiu rodziny, chociażby wroga! Nie! ubolewa on szczerze, że sędzia zmusił go do wzajemnego oskarzenia go przeciw sobie.

"Polityka tylko", — dodaje bjograf, i wzgląd na rangę i nieszczęście przestępcy mogły skłonić Waszyngtona do zatajenia tego faktu". Jaka polityka? Dla Waszyngtona w takim wypadku mogła być tylko jedna droga. Prawdziwą polityką, polityką wysoce odpowiedzialnego naczelnika, w którego ręce Ameryka złożyła kierownictwo nad swą siłą fizyczną, to jest, w znacznej mierze, losy swych politycznych przeznaczeń, była stanowczość; był nią wzgląd na dobro kraju, wyższy nad osobiste względy: było nią wpajanie wszelkiemi możliwemi środkami, a w razie potrzeby przez przykładną surowość, dyscypliny, jedności wysiłków, czujności, gotowości, systemu, posłuszeństwa, słowem, tych wszystkich cnót, które czynią z masy żołnierzy jedno dobrze zorganizowane ciało, posłuszne jednej myśli, poruszane jedną wolą i dążące do jednego celu, do armji, która wówczas więcej odznaczała się przyrodzoną odwagą i entuzjastycznem przywiązaniem do sprawy wolności, niż wyszkoleniem wojskowem. A że Waszyngton był wiernym tej polityce, stwierdzają to cały bieg i cała treść jego karjery wojskowej. Czyż nie był Stephen (generał Adam Stephen z Wirginji) postawiony przed sąd wojenny za tę właśnie sprawę, którą tu rozważamy — za nieszczęsną bitwę pod Germantown?

Do wskazań politycznej natury nasz bjograf dodaje "wzgląd na rangę i nieszczęścia przestępcy". Czyliż jednak nie jest więcej jak prawdopodobne, że cokolwiek czułości i sympatje mogły w tym wypadku dyktować sercu Waszyngtona, dwa przeważne uczucia, — gorąca miłość kraju i niezłomne trwanie przy obowiązku i zasadzie, zagłuszyłyby w jego piersi uczucia, tak same w sobie wzniosłe i czcigodne, i nie pozwoliłyby mu zataić faktu, który miał tak fatalne skutki dla armji i Ameryki? Co więcej, dumna i szlachetna dusza Pułaskiego pogardziłaby taką litością. Im wyższa jego ranga, im większe jego nieszczęścia, tem surowszy dla siebie był jego zacny duch! Był to żołnierz w pełnem tego słowa znaczeniu, niezdolny do kompromisu z honorem. Nie zgodziłby sie on nigdy na to, by swe miejsce w armji amerykańskiej miał zawdzięczać jedynie tylko polityce i jedynie tylko względom na swe stanowisko i nieszczęścia. Byłby bezwłocznie zażądał sądu i z ochotą poddał się temu kodeksowi wojskowemu, którego zawsze gotów był sam słuchać i którego wykonania zawsze żądał od drugich. Nie! w tem zatajeniu rzekomej drzemki Pułaskiego i jego pobudkach jest logiczna niedorzeczność, nie możnaby też późniejszych względów naczelnego wodza dla Pułaskiego, jego poleceń Pułaskiego do kongresu, jego publicznego podzi-

wu dla waleczności i ruchliwości tegoż, pogodzić z jego świadomością o "drzemce", tak szkodliwej dla sprawy amerykańskiej. Gdyby nawet Waszyngton zataił ją przez politykę itp., nigdy nie mógłby był o niej zapomnieć.

Ale, dla dowodnego rozumowania, przypuśćmy, że Pułaski został znaleziony śpiącym,, jakiż będzie wniosek? Został on wysłany naprzód z oddziałem kawalerji. Zapewne posuwał się tak daleko jak mógł bez narażania się na odkrycie przez nieprzyjaciela. Jeżeli potem, po rozstawieniu pikiet i widet i zupełnem zabezpieczeniu się, rozkwaterował się w domu farmerskim, rzucił się na łoże i przez kilka chwil cieszył się kojącym i wzmacniającym odpoczynkiem, by módz potem tem gorliwiej podjąć się trudów i stawić czoła burzy zbliżającej się bitwy, — któż z tego powodu mógłby mu robić jakiekolwiek zarzuty? Czyż żołnierz nigdy nie śmie spać? Tylko w powieściach i utworach poetyckich, spotykamy bohaterów tak nadzmysłowych, tak eterycznych, tak wolnych od potrzeb, konieczności i słabości biednej natury ludzkiej; bohaterów, którzy Bóg wie kiedy jedzą i śpią, którzy ciągle biegną po wzgórzach i górach, po równinach, dolinach i lasach, których nie wstrzymuje żadna niepogoda, żadna powódź, żaden wodospad, żadna przepaść, których broń nigdy nie spoczywa, którzy wiecznie zabijają wrogich olbrzymów lub czarodziejów itp. Ale sędzia pisał historję, nie romans, mógł więc pozwolić Pułaskiemu na chwilę niewinnego odpoczynku, jeśli trafiła się sposobność po temu, skoro przedsięwziął wszelką ostrożność dla zabezpieczenia się i gdy nasze kolumny spóźniły się z powodu wielu błędów i trudności, wynikłych z ciemności nocy. Powtarzamy jednakowoż, że piszemy to jedynie dla argumentacji, gdyż nie możemy uwierzyć, by Pułaski mógł być znaleziony w takiej sytuacji, o jakiej wspomina nasz bystry bjograf.

Przypuszczamy, żeśmy dowodnie wykazali, że rozważany przez nas zarzut nosi wszelkie cechy nieprawdopodobieństwa, co więcej niemożliwości, dostateczne do przekonania o swej czczości każdego uczciwego, nieuprzedzonego i myślącego człowieka. Przekonanie to zyska na sile z krótkiego, dokładnego i bezstronnego przeglądu zachowania się Pułaskiego przed i po bitwie pod Germantown.

* * *

Bentalou w tem miejscu zaczyna opis czynów Pułaskiego podczas walk przeciw przemocy rosyjskiej w Polsce. Dla swego dawnego wodza ma najwyższe uwielbienie, dla wrogów Polski najgłębsze oburzenie. Dla uniknięcia rozwlekłości opuszczamy ten długi ustęp. Treść jego, bohaterską rolę Pułaskiego w walce o niepodległość Ojczyzny, zna mniejwięcej każdy Polak. Ciekawsze dla nas jest to, co Bentalou dalej pisze o czynach Pułaskiego w Ameryce:—

Ojczyzna Pułaskiego utraciła wolność, postanowił więc walczyć za wolność Ameryki. U niego powzięcie myśli i wykonanie jej było

prawie równoczesne. W roku 1777 widziała go Filadelfja ofiarującego swe usługi kongresowi amerykańskiemu. Wrodzony zapał jego walecznego ducha. przyzwyczajenie do ciągłej czynności i pragnienie skutecznego służenia sprawie, którą tak gorąco umiłował, nie pozwoliły mu czekać na to, co kongres postanowi o jego prośbie, ale natychmiast przyłączył się do armji. Był pod Brandywine w dniu bitwy razem z markizem De La Fayette i innymi wybitnymi oficerami zagranicznymi w świcie generała Waszyngtona. Gdy nasze prawe skrzydło zostało odrzucone przez zwycięskiego nieprzyjaciela, napierającego na nas, i gdy skutkiem tego prawe skrzydło i środek naszej armji poczęły szybko cofać się, wtedy Pułaski zaproponował generałowi Waszyngtonowi, aby mu dał komendę nad swą strażą przyboczną, złożoną z około 30 jeźdźców. Waszyngton z ochotą na to przystał i Pułaski, ze zwykłą sobie nieustraszonością i roztropnością, poprowadził ich do ataku i zdołał powstrzymać postęp nieprzyjaciela. Zwłoka ta miała jak najdonioślejsze znaczenie dla naszej cofającej się armji. Ponadto, przenikliwy wzrok Pułaskiego dostrzegł wkrótce, że nieprzyjaciel tak manewruje, aby zająć drogę, prowadzącą do Chester, i przeciąć nam odwrót lub przynajmniej odciąć bagaże. Pośpieszył więc do generała Waszyngtona, aby donieść mu o tem i został natychmiast upoważniony do zebrania tylu rozprószonych żołnierzy, ilu znajdzie pod ręką i użycia ich w możliwie najlepszy sposób. Pułaski wykonał to najpomyślniej, gdyż przez skośne uderzenie na front i prawe skrzydło nieprzyjaciela przeszkodził jego zamiarom i skutecznie osłonił nasze bagaże i odwrót armji.

Ważna ta usługa była należycie ceniona przez gen. Waszyngtona, który nie zaniedbał polecić Pułaskiego kongresowi. Dnia 15-go września 1777 r. kongres uchwalił następującą rezolucję:

"Postanowiono, że dowódca jazdy ma być mianowany z rangą brygadjera.

"Zarządzono głosowanie i hrabia Pułaski został wybrany".

Następnego dnia po bitwie pod Brandywine, 12-go września 1777 r., armja odpoczywała koło Chester; dnia 13-go przeszła przez Filadelfję i posunęła się pod Germantown; następnego dnia przekroczyła rzekę Schuykill i zatrzymała się na drodze Lancaster, w okolicy gospody, zwanej wówczas Warren Tavern. Dnia 16 września niezmordowana czujność Pułaskiego uratowała armję od zupełnie niespodziewanego ataku. Jest to fakt nadzwyczaj zajmujący i wysoce chlubny dla Pułaskiego. O fakcie tym bjograf nasz zdaje się nic nie wiedzieć, ani też nie wie dokładnie o wypadkach tego dnia, jak świadczy dowodnie poniższy ustęp z jego dzieła:

"Waszyngton", pisze sędzia Johnson, "przygotował się znowu do wydania bitwy nieprzyjacielowi. Ale z armją słabszą liczebnie, nie posiadającą kawalerji i artylerji i upadłą na duchu z powodu klęski nie mógł odważyć się na spotkanie chyba w sprzyjających

okolicznościach, których jednak nie nastręczał mu roztropny przeciwnik. Dnia 16-go września w okolicy Goshen obie armje spotkały się znowu z zamiarem stoczenia bitwy. Ulewny deszcz rozdzielił je jednak i tak uszkodził broń i amunicję Amerykanów, że Waszyngton był zmuszony na razie zaniechać walki i nadzieji obrony Filadelfji".

Waszyngton nietylko nie "przygotowywał się do wydania bitwy nieprzyjacielowi", ale armja jego była wówczas w prawdziwie opłakanym stanie; nietylko "upadła na duchu", ale wycieńczona zmęczeniem i głodem. Żołnierze otrzymali ciepłą strawę, której pozbawieni byli już od długiego czasu. Pragnęli spoczynku. Pułaski, który ani na chwilę nie mógł pozostać bezczynny, wyruszył z oddziałem kawalerji na rekonesans. Ujechawszy niedaleko, spostrzegł całą armję angielską w pełnym marszu idącą na nasz obóz. Pułaski cofnął się pędem, udał się do głównej kwatery, doniósł ważną wiadomość gen. Waszyngtonowi, który, jak można sobie wyobrazić, przyjął ją z równem zdziwieniem, jak i niepokojem, gdyż nie podejrzewał bynajmniej, że nieprzyjaciel zdecyduje się na taki ruch. Zaskoczony tem Waszyngton zapytał Pułaskiego o radę. Ten odparł, że oddział z około trzystu piechoty z jego jazdą będzie dostateczny do opóźnienia pochodu nieprzyjaciela dopóki naczelny wódz nie przygotuje się na jego przyjęcie. Dowództwo nad tym oddziałem otrzymał generał brygady Scott z Wirginji. Ledwo jednak rozpoczęła się bitwa, kiedy od wschodu nadeszła straszna burza. Wylała ona na nas potop deszczu, o którym wspomina sędzia i który trwał bez przerwy całą noc. Skutki nie były dokładnie takie, jak on opowiada, mianowicie, że "broń i amunicja Amerykanów były tak uszkodzone, iż Waszyngton był zmuszony na razie zaniechać walki". Broń i amunicja nieprzyjaciela nie były w lepszym stanie. Ustawiczny deszcz nie oszczędził żadnej strony. Padał on strumieniami na obie i stał się nieprzezwyciężoną przeszkodą walki. I jakkolwiek Amerykanie wiele ucierpieli tej nocy, jednakowoż szczęście było po ich stronie, gdyż ulewa prawdopodobnie ocaliła naszą armję od zupełnego zniszczenia.

Nie będziemy opisywali dalszych dziejów Pułaskiego w tej kampanji i jego czynów jako dowódcy kawalerji. W dniu bitwy pod Germantown był on boleśnie zawiedziony i zmartwiony. Amerykanie mieli cztery pułki jazdy i żaden z nich nie był zupełny. Tylko trzy z nich, takie jakie były, przyłączyły się do armji generała Waszyngtona. W dniu bitwy pułki te rozebrano na straże przyboczne dla naczelnego wodza i innych generałów, albo też użyto je do innej służby i Pułaski został z tak małą garstką ludzi, iż nie mógł przedsięwziąć żadnej ważniejszej akcji. Smuciło to i gniewało go bardzo.

Kiedy generał Waszyngton zajął kwatery w Valley Forge, kawalerja została posłana do New Jersey, gdyż łatwiej tam było o furaż i nadto potrzeba było kogoś do służby na drugim brzegu Delaware. Pułaski założył swą główną kwaterę w Trenton. Stamtąd przedsta-

wił kongresowi położenie, w jakiem znalazł się w bitwie pod Germantown, gdzie w rzeczywistości został dowódcą bez ludzi. Dlatego też zaproponował kongresowi, aby mu oddał dowództwo nad niezawisłym legjonem, któryby prowadził walkę podjazdową; spodziewał się bowiem, że w ten sposób będzie mógł być użyteczniejszym dla sprawy amerykańskiej. Dnia 28-go marca 1778 kongres, odczytawszy jego list i rozważywszy raport rady wojennej z 19-go tegoż miesiąca, uchwalił następującą rezolucję:

"Postanowiono, że hrabia Pułaski zatrzyma swą rangę brygadjera w armji Stanów Zjednoczonych i że utworzy niezawisły korpus piechoty i jazdy, którego komendę obejmie; jazda ma być uzbrojona w lance, a piechota na sposób lekkiej piechoty; korpus ma być utworzony w taki sposób i złożony z takich ludzi, jaki i jakich generał Waszyngton uzna za stosowne i właściwe; i że, o ile nie będzie to szkodliwe dla służby, aby mógł w tym szczególnym wypadku nie liczyć się z postanowieniem kongresu przeciw zaciągowi dezerterów".

Stosownie do tej uchwały legjon został zwerbowany, zorganizowany i wyprowadzony w pole z możliwą szybkością. Zbytecznem jest przedłużać opowiadanie szczegółowem wyliczaniem wypadków, jakie zaszły w dalszym ciągu tej kampanji. Wystarczy powiedzieć, że Pułaski działał gdziekolwiek i kiedykolwiek tylko potrzeba było jego talentu i odwagi, — że jego podpułkownik (baron De Botzen, czy do Boze, według niektórych źródeł, Polak) został zabity pod Egg Harbor, w New Jersey, i że legjon udał się na zimowe leże poza góry, do Minisink nad rzeką Delaware.

Dla niezmordowanego partyzanta otworzyło się wkrótce na południu nowe pole działania. Dnia 2-go grudnia 1778 kongres uchwalił następującą rezolucję:

"Postanowiono, że hrabia Pułaski ma otrzymać rozkaz wymarszu ze swym legjonem do Południowej Karoliny i oddać się pod komendę gen. Lincolna, albo dowódcy południowego departamentu".

Stosownie do tego legjon wyruszył na ten daleki marsz skoro tylko wszelkie potrzebne przygotowania mogły być zrobione. Legjon dotarł do Charleston właśnie w czasie, kiedy angielski generał Prevost, posunąwszy się nagle i szybko z pod Savannah, pojawił się pod tem miastem, dnia 11-go maja, 1779, pewny, że podda się ono na jego pierwsze wezwanie. Niespodziewane przybycie Pułaskiego udaremniło wszystkie jego nadzieje. Już gubernator i rada zgodzili się na niezbyt honorowe warunki kapitulacji, kiedy Pułaski w towarzystwie dzielnego pułkownika Laurensa zjawił się w sali rady, aby zaprotestować przeciw niewczesnej uchwale, oświadczając, że jako oficer armji kontynentalnej będzie bronił miasta dla Stanów Zjednoczonych. Prevost został natychmiast zawiadomiony o tem postanowieniu. Pułaski, widząc konieczność ożywienia upadłego ducha mieszkańców, urządził wycieczkę ze swym legjonem, który właśnie przybył

z marszu. W tej akcji zginął pułkownik legjonu (Michał Kowacz. Polak, czy też Słowak), ale Prevost zaniechał swego przedsięwzięcia i cofnął się przez wyspy.

Dnia 1-go września 1779 r., hrabia D'Estaing (admirał francuski) pojawił się u wybrzeża Georgji z wielką flotą i około 6,000 żołnierzy. Podczas podróży blisko Indji Zachodnich poinformowano go o sytuacji w stanach południowych. Dlatego też przybył do tej części wybrzeży amerykańskich, aby wspólnie z Lincolnem przedsięwziąć jakąś stanowczą akcję na większą skalę.

Savannah nie była ani fortecą, ani warownem miastem. Prevost, gdy go D'Estaing wezwał do kapitulacji, zażądał czasu do namysłu. Nierozważnie pozwolono mu na to. Przerwy tej Anglicy użyli na wprowadzenie do miasta znacznych posiłków i wzmocnienie wałów, potem zaś oznajmili, że decydują się na walkę. Wobec tego, szturm, albo oblężenie stały się nieuniknione. Wybrano to drugie. Po koniecznych przygotowaniach otwarto ostrą kanonadę na wały nieprzyjacielskie. Żywy ogień trwał kilka dni, ale bez pożądanego skutku. Oficerowie floty D'Estainga zaczęli oponować przeciw dalszemu narażaniu cennych okrętów na niebezpieczeństwo żywiołów podczas tej burzliwej pory roku, albo na możliwe pojawienie się silniejszej floty angielskiej — i głośno żądali wyjazdu D'Estainga. Dlatego też postanowiono wykonać szturm. Miał on być wymierzony na prawe skrzydło angielskie. Dwie kolumny, jedna francuska, druga amerykańska, miały atakować równocześnie każdą inną redutę. W tyle kolumn cała kawalerja, amerykańska i francuska, miały być ustawione pod komendą hrabiego Pułaskiego. Gdyby, jak się spodziewano, reduty zostały zdobyte i droga została otwarta, nieustraszony ten wódz miał z całą jazdą wjechać do miasta z bronią w ręku i wzniecić popłoch i zamieszanie wśród garnizonu.

D'Estaing osobiście prowadził atak francuskiego korpusu. Chcąc uniknąć obchodzenia bagna i przypuszczając, że dno jego jest dostatecznie stałe, pomaszerował prosto przez nie. Nieprzyjaciel został jednak wprzód powiadomiony o jego planie. Anglicy wiedzieli na które punkty atak ma być wymierzony i skąd spodziewać się należy przybycia napastników. Dlatego też zebrali całą swą siłę na zagrożone miejsca i na pierwszy alarm otworzyli straszny i morderczy ogień.

Pułaski niecierpliwie pragnąc dowiedzieć się kiedy ma działać, ukrył swą kawalerję o ile na to pozwalał grunt i postanowił podjechać sam naprzód. Przywołał wtedy do siebie na towarzysza jednego z kapitanów legjonu, który żyje jeszcze, ale jest w bardzo podeszłym wieku. (Bentalou mówi tu o sobie, ze skromności widocznie unikając wymienienia swego nazwiska). Ujechawszy niedaleko dowiedzieli się o spustoszeniu, sprawionem na bagnie przez nieprzyjacielskie baterje. D'Estaing sam został ciężko ranny. Rozumiejąc

jakie fatalne skutki klęska ta może wywrzeć na ducha żołnierzy francuskich, Pułaski pospieszył na scenę zamieszania i rozlewu krwi, spodziewając się obecnością swoją zagrzać serca Francuzów. W chwili, gdy próbował przedrzeć się na miejsce rzezi, trafiony został pociskiem z kartaczownicy w górną część prawego biodra. Oficer, który mu towarzyszył (Bentalou), został zraniony kulą z muszkietu podczas swej drogi powrotnej.

Armje sprzymierzone zaniechały dalszego oblężenia Savannah. Amerykanie i Francuzi, doświadczywszy nawzajem swego zapału i odwagi, rozeszli się w zupełnej zgodzie, uznając, że żadna strona nie ponosi winy klęski. Hrabia D'Estaing wsadził na okręty swe wojska i artylerję, a Pułaski, razem ze swym rannym oficerem, został przeniesiony na pokład bryga amerykańskiego "Wasp", który miał odjechać do Charleston. Przez kilka dni pozostawali na rzece Savannah. Przez ten czas najzdolniejsi lekarze floty francuskiej doglądali Pułaskiego. Nie potrafili jednak wstrzymać jątrzenia się rany i wywiązało się zatrucie krwi. Właśnie gdy "Wasp" wypłynął z rzeki na morze, Pułaski wyzionął ducha i ciało natychmiast zaczęło wydzielać taki odór, że jego oficer (Bentalou) był zmuszony, chociaż z bólem serca, złożyć do wodnego grobu szczątki swego ukochanego i czczonego dowódcy.

"Wasp" wjechał do portu Charleston z flagą spuszczoną do połowy masztu. Żałobny ten znak powtórzyły wszystkie okręty znajdujące się w porcie, a wszystkie forty i baterje odpowiedziały nań w sposób zwykły przy takich okazjach głębokiego i powszechnego smutku. Gubernator i rada stanu Południowej Karoliny, oraz władze miejskie Charlestonu wspólnie przyjęli rezolucje, wyrażające jak najgłębszą cześć pamięci generała Pułaskiego, oraz postanawiające, że pogrzeb ma mu być sprawiony z jak najwspanialszemi honorami. Wyznaczony został dzień pogrzebu, a generalny kwatermistrz Stanów Zjednoczonych w Charleston polecił porobić na koszt rządu wszelkie przygotowania, konieczne do tej smutnej uroczystości. Pochód był olbrzymi, wspaniały ,odpowiedni do okazji. Trumnę (naturalnie pustą) nieśli trzej amerykańscy i trzej francuscy oficerowie najwyższej rangi. Za nią prowadzono pięknego konia, na którym Pułaski jechał, gdy otrzymał ranę śmiertelną. Na koniu złożone były jego uzbrojenie i mundur, który miał na sobie w owej chwili. Tak niezwykle tłumna była żałobna procesja, że trzeba było okrążać całe miasto do kościoła, gdzie kapelan armji wygłosił piękną i wzruszającą mowę.

Kongres sprawę tę omówił dnia 29-go listopada, wedle sprawozdania:

"List z dnia 31-go października od gen. maj. Lincolna został odczytany wraz z dołączonym do niego listem podpułkownika

Bedaux'a, datowanym 15-go tegoż miesiąca i donoszącym o śmierci brygadjera hrabiego Pułaskiego.

"Postanowiono, że pomnik ma być wystawiony na cześć brygadjera hrabiego Pułaskiego i że komitet z trzech ma być wyznaczony dla wniesienia rezolucji w tym celu.

Wybrani zostali następujący członkowie: Gerey, Livingston i Harnett".

W powyższym prostym, krótkim i skromnym szkicu o czynach wojskowych Pułaskiego w Polsce i Ameryce, z konieczności pominięto wiele szczegółów, które jeszcze jaśniej przedstawiłyby wielkie cnoty tego prawdziwie niezwykłego męża, jego gorliwość dla sprawy niepodległości kraju, jego iście nadprzyrodzoną przezorność, jego niezmordowaną czujność, jego niezrównaną wytrwałość, jego niewyczerpaną cierpliwość, jego wzniosłą wielkoduszność i wiele innych cnót, które czyniły z niego prawdziwie idealnego rycerza.

Takim był ów mąż, którego autor "Szkiców" z życia jednego z największych bohaterów rewolucyi oskarżył jeśli nie złośliwie to przynajmniej nierozważnie o zaniedbanie obowiązku w nadzwyczaj ważnej chwili, — w chwili, kiedy czujność Pułaskiego musiała się wzmódz, jeśli to było możliwe, przez świadomość, iż wtedy miały się rozegrać ważne rzeczy i przez chwalebną dbałość o własne dobre imię i charakter. Zaiste, skoro bjograf rzucił takie oskarzenie, — oskarzenie samo w sobie już wysoce nieprawdopodobne, zaprzeczone każdym rysem żywota Pułaskiego, nigdy jeszcze nie podniesione przez żadnego z historyków wojny rewolucyjnej i obecnie podtrzymywane jedynie powagą samego oskarzyciela, — musiał on być wysoce nierozważnym i pozbawionym zdrowego rozsądku, jak i zwykłej delikatności. Czyż nie powinien był zastanowić się nad tem, że może jest jeszcze przy życiu który z towarzyszów broni Pułaskiego, który chlubi się tem, że mógł służyć Ameryce pod takim świetnym dowódcą i którego duszę przeniknie ból z powodu zarzutu niemniej okrutnego dla swych uczuć, jak i przeciwnego tym wszystkim możliwościom, z jakich wypływa historyczna moralna prawda? Pułaski był żołnierzem, patrjotą i nieszczęśliwym człowiekiem. Dostojeństwa, bogactwa, ojczyznę, rodzinę — wszystko to stracił, oprócz honoru. Ten przynajmniej należało zostawić niesplamiony. Pułaski spi w głębinach — cienia jego nie należało naruszać.

Następnie zaś, gdy podniesiono taki niegodziwy zarzut bez silnych i niezbitych dowodów, jakich wymaga surowa Muza historji, gdzież była wdzięczność Amerykanina dla zasług Pułaskiego wobec sprawy naszej ojczyzny, położonych w bitwie pod Brandywine, na drodze Lancaster i w wielu innych wypadkach, zapisanych przez kroniki rewolucyjne? Gdzież wdzięczność obywateli Charlestonu dla bohatera, który uratował miasto od poniżającego poddania się armji angielskiej? Jeżeli nasz bjograf mógł być tak niewdzięcznym, to na-

ród, dzięki Bogu, nie może! O! nie — a dowodem tego jest entuzjastyczne przyjęcie, jakie niedawno zgotowano naszemu dostojnemu gościowi, dzielnemu Lafayette, jednemu z tych, który znał, czcił i podziwiał Pułaskiego. (Lafayette odwiedził Amerykę w r. 1824).

Wspaniałe honory pogrzebowe oddane przez obywateli Charlestonu pamięci dzielnego Pułaskiego, ogólny żal narodu i armji z powodu straty oficera, niemniej kochanego, jak użytecznego i ostatni hołd złożony jego cieniowi w kongresie zaświadczyły już o uczuciach i wdzięczności naszej młodej republiki. Dzielny syn Polski, jak i dzielny syn Francji z zapałem bronili sprawy Ameryki. Pułaski zasłużył się tej sprawie, coprawda, nie tak doniośle jak rycerski Lafayette, który prócz pomocy swego miecza oddał także sprawie amerykańskiej swe wpływy w radach potężnego sprzymierzeńca — ale z taką samą gorliwością, z takim samym zapałem i z taką samą wiernością. I gdyby doczekał naszych czasów, byłby i on także bezwątpienia cieszył się znaczną częścia tego uwielbienia i tej miłości, jakiemi naród nasz obdarza swych dawnych przyjaciół, dzielnych i nieustraszonych wojowników, których krew przypieczętowała niezniszczalna kartę naszych swobód!

Na zakończenie — czy sędzia Johnson posiada dowody oskarzenia, które nam wydaje się zupełnie nieprawdopodobnem i bezpodstawnem? Jeżeli ma takie dowody, niechaj pokaże je światu — otwarcie, honorowo, uczciwie; jeżeli nie, niechaj uzna swój błąd. Nieomylność nie jest przywilejem człowieka, ale skoro historyk spostrzeże swój błąd, winien jest złożyć prawdzie publiczny hołd. Inaczej pisarz, który zbłądził mimowolnie lub nierożważnie, nie ma prawa do szacunku społeczeństwa.

* * *

W tem miejscu Bentalou zakończył "Obronę Pułaskiego" położeniem daty 22-go września 1824; do broszurki swej dołączył nadto nowe głosy krytyki "Szkiców" sędziego Johnsona i opis bitwy pod Germantown, wedle historji Davida Ramseya. Przedstawił też jeden z grubych błędów geograficznych autora "Szkiców", wreszcie dodał krótką uwagę, zatytułowaną "Śmierć Pułaskiego", treści następującej:

"O ile Pułaski został oskarzony przez sędziego Johnsona o spanie w obliczu nieprzyjaciela, o tyle jego zrównoważona odwaga, jako partyzanta, została przez innych uznana za lekkomyślną porywczość. Kilka osób, usłyszawszy, że został śmiertelnie zraniony podczas szturmu na Savannah, przypuszczało, że w przystępie niebacznego zapamiętania Pułaski musiał próbować szturmu na miasto na czele swej kawalerji. Co było zrazu przypuszczeniem kilku nieświadomych, przechodząc z ust do ust, stało się ustaloną opinją łatwowiernych. Opis tego smutnego wypadku, podany poprzednio przez naocznego świadka, musi usunąć każde podobne błędne mniemanie.

"Kiedy król polski został powiadomiony o śmierci Pułaskiego, miał zawołać:

"Pułaski umarł jak żył: — bohaterem, ale nieprzyjacielem królów".

Wspomnieniem tem, niewiadomo czy historycznem, zamyka ostatecznie Bentalou swą broszurę. W dwa lata potem, w 1826 roku, wydał jednak drugą, stanowiącą dalszy ciąg "Obrony". W niej podaje zdanie Lafayette'a, który na pytanie, czy kiedy słyszał, by Pułaski był oskarzony o zaniedbanie obowiązku i spanie na posterunku, odpcwiedział stanowczo: "Nie — nigdy".

Bentalou oddał pamięci swego ukochanego dowódcy wielką usłukę. Ciężki bowiem zarzut stronniczego pisarza odparował i przygwoździł raz na zawsze.

Zasłużony historyk amerykański, Jared Sparks, w swej pracy "Life of Count Pulaski" (1864), na podstawie pism Bentaloua taki wydał sąd o zarzucie sędziego Johnsona:

"W bitwie pod Germantown Pułaski wziął taki udział, na jaki pozwoliło mu jego stanowisko. Został on oskarzony przez jednego z pisarzy o niedbalstwo przy tej sposobności, mianowicie o zejście z posterunku podczas nocy, gdy szedł w przedniej straży armji, maszerującej ku linjom nieprzyjacielskim. Ponieważ żaden inny pisarz nie wspomina o tem, ponieważ oskarzenie to zostało ogłoszone publicznie dopiero w przeszło czterdzieści lat potem, ponieważ wreszcie całe życie Pułaskiego dowodzi, że jego błędem wojskowym, o ne miał jaki, było uderzanie na nieprzyjaciela ze zbytnią natarczywością, dlategoteż byłoby nierozsądnem i niesprawiedliwem żywić choćby na chwilę takie podejrzenie, zwłaszcza gdy jedyną jego podstawą zdają się być domysły i plotki. Kawalerja była tak bardzo rozprószona przez przydział do różnych dywizyj armji podczas marszu i do innej służby, że podczas bitwy rozbite jej oddziały nie mogły być zebrane pod swym dowódcą, który nad tą koniecznością głęboko ubolewał".

Warto tu przytoczyć jeszcze opinję Sparksa o charakterze Pułaskiego, zwłaszcza, że jest to pisarz cieszący się dotychczas powagą jednego z najlepszych historyków wojny rewolucyjnej.

"W życiu prywatnem" — pisze Sparks — "był Pułaski miłym, łagodnym, zgodnym, prawym, szczerym, szlachetnym wobec nieprzyjaciół, a oddanym dla przyjaciół... Żołnierze lgnęli do niego jak do brata i ochotnie znosili trudy i stawiali czoło największym niebezpieczeństwom, gdy zachęciły ich do tego jego słowa i porwał ich jego przykład. Posiadał w wielkim stopniu zdolność pozyskiwania ludzi i władania nimi, przymiot tak rzadki, że można go nazwać zarówno owocem dojrzałej sztuki, jak i darem natury. Energiczny, czujny, niezmordowany w dążeniu do celu, nieustraszony, bogaty w pomysły, spokojny w niebezpieczeństwie, stanowczy i nieustępliwy wobec przeszkód, był zawsze przygotowany na każdą niespodziankę i

umiał osiągać swe cele jak najpomyślniej. Był wierny swym zasadom i silny w utrzymaniu ich. Gorące przywiązanie do ojczyzny i jej swobód i nadzieja uwolnienia jej z niewoli despotów były temi pobudkami, które porywały jego oburzonego ducha, ożywiały zapał i wzmacniały ramię do walki, aż wolność Polski zginęła w uścisku potężnych i wiarołomnych ciemiężycieli.

"Podczas jego krótkiej karjery w Ameryce widzimy u niego te same rysy charakteru i te same zawsze stałe zasady działania. Fakt ten, że pozyskał i zachował przyjaźń Waszyngtona, który niejednokrotnie chwalił jego talent wojskowy, jego bezinteresowność i gorliwość, jest dostatecznym dowodem zasług Pułaskiego jako oficera i jego zachowania się jako człowieka. Jego czynność była nieustanna, a jego odwaga błyszczała przy każdej sposobności, w której mógł spotkać nieprzyjaciela. Ukochał naszą sprawę jak swoją własną, gdyż harmonizowała z jego zasadami, z wszelkiemi szlachetnemi uczuciami jego natury i ze sprawą wolności i praw ludzkości. Położył życie w jej obronie, w ten sposób zyskując najwyższe prawo do pamięci i wdzięczności narodu".

VII.

Druga broszura Bentaloua.

Gdyby nie Paweł Bentalou, kto wie czy dobra sława Kazimierza Pułaskiego nie byłaby ucierpiała uszczerbku, kto wie czy dzisiaj my, Polacy amerykańscy, moglibyśmy z taką dumą szczycić się jego imieniem.

Dzielny Francuz dochował do grobu przyjaźń i wierność dla swego wodza i do grobu uparcie bronił jego pamięci przed atakami złośliwego oszczercy. A bronił go z takim młodzieńczym zapałem — choć był już starcem — i z taką przekonującą mocą, że obronił go skutecznie, zostawiając potomnym czyste imię uwielbianego Polaka i piękny przykład niezłomnej przyjaźni.

Dwie broszury Bentaloua — to, poza szczupłymi urzędowymi dokumentami, jedyny niemal materjał do historji służby Pułaskiego w Ameryce, dlategoteż każda ich strona jest dla nas wielką pamiątką historyczną.

Pierwsze z pism: "Obronę Pułaskiego" (Pulaski Vindicated) streściłem już poprzednio. Poznajmy teraz drugie, zatytułowane "Odpowiedzi na Uwagi sędziego Johnsona o artykule w North American Review, dotyczącym hrabiego Pułaskiego" (A Reply to Judge Johnson's Remarks on an Article in the North American Review, relating to Count Pulaski).

Wydana w Baltimore w roku 1826-ym, to jest w dwa lata po "Obronie", broszura ta jest dziś równie rzadkością bibljograficzną, jak i tamta. Stronic liczy 41 zwykłego formatu.

"Odpowiedź" powstała w następujących okolicznościach:

Kiedy Bentalou wydał swą "Obronę Pułaskiego", czasopismo "North American Review" omówiło ją bardzo przychylnie i na jej podstawie poddało w wątpliwość wszelkie oskarzenia, jakie sędzia Johnson podniósł przeciw Polakowi w swem nieudolnem dziele o życiu generała Greene'a.

Pobudziło to "nierozważnego i bezmyślnego oskarzyciela zmarłych" — jak Johnsona nazwał Bentalou — do ponownego napadu na Pułaskiego i zarazem na jego obrońcę. Nieszczęsny autor usiłował w swych "Uwagach o artykule" ratować własną reputację i rzekomo nowemi dowodami poprzeć swe oszczerstwa.

"Uwagi" spotkały się jednak z równie silną odprawą, jak i poprzednie kalumnie Johnsona. Stary Bentalou czuwał i nieprawdomównego a upartego w swem kłamstwie sędziego schłostał ponownie, przygważdżając ostatecznie jego zarzuty.

Osią, dokoła której obracają się "Uwagi" i "Odpowiedź" jest znowu ten sam zarzut, że Pułaski zaspał podczas rekonesansu przed

bitwą pod Germantown, powodując przez to klęskę armji amerykańskiej.

Ale tym razem Johnson powoływał się nietylko na świadectwo generała Pinckneya, śmiertelnego wroga Pułaskiego, od którego miał słyszeć o fatalnej drzemce. Z całą bezczelnością oświadczał w "Uwagach", że generał Lafayette, bawiąc niedawno w Columbia, potwierdził plotkę Pinckneya, choć, wedle słów Johnsona, zastrzegł swe potwierdzenie słowami: "o ile mi wiadomo". W każdym razie mógł to już być dowód poważny, zwłaszcza, że Lafayette żył jeszcze i trudno było podejrzewać sędziego najwyższego trybunału Stanów Zjednoczonych, by wkładał kłamstwo w usta poważanego męża lub ośmielał się przekręcać jego słowa.

A jednak sędzia Johnson skłamał.

"Podczas pierwszej wizyty Lafayette'a w Baltimore" — odpowiada mu na to Bentalou — "ofiarowałem mu egzemplarz swej "Obrony Pułaskiego". Przyjął go uprzejmie i po przeczytaniu raczył wyrazić mi uznanie za spełnioną usługę, a właściwie ścisły obowiązek jako towarzysz broni i przyjaciel Pułaskiego. Rozumiejąc jak delikatne było położenie Lafayette'a w naszym kraju i nie chcąc prosić go o to, co mogło być niewskazane, nie żądałem od niego pisemnego lub formalnego oświadczenia w sprawie naszego sporu. Starałem się jednakowoż znaleźć odpowiednią chwilę, aby otrzymać jego opinję ustnie. Wkrótce zdarzyła mi się taka sposobność w jego mieszkaniu, zapytałem go więc w obecności nieżyjącego już przyjaciela, czy kiedykolwiek słyszał, aby Waszyngton lub ktokolwiek inny mówił, że Pułaski został znaleziony śpiącym przez Waszyngtona i że to było głównym powodem niepowodzenia pod Germantown. Pytanie to zdumiało go. Odpowiedział z naciskiem: "nie, nigdy", albo, używając jego własnych słów, gdyż pytanie było postawione po francusku: "non, jamais".

"Taką samą odpowiedź dał Lafayette przy innej sposobności, której naoczny i nauszny świadek żyje dotychczas. Podczas drugiej, zdaje mi się, wizyty Lafayette'a w Baltimore — a było to w niedzielę — generał, jego syn, p. Levasseur i ja poszliśmy razem na wieczorne nabożeństwo do zboru unitarjańskiego w tem mieście. Generał wychodząc z kościoła zaproponował, byśmy wieczór spędzili w moim domu. Pan Jan Barney, syn nieżyjącego już komodora Barneya, obecnie reprezentant w kongresie z Baltimore, również przyłączył się do nas. Tego wieczora, na łonie mej rodziny, rozmawialiśmy wiele o ludziach i wypadkach naszej rewolucji a Pułaski był ulubionym naszym tematem. Lafayette liczył zaledwie dziewiętnaście lat, gdy poznał się osobiście z Pułaskim w Ameryce a sława wojskowa Polaka, jak zauważył generał, była wtedy tak wielka i powszechna, że nie mógł patrzeć na niego inaczej, jak ze czcią i podziwem. W czasie rozmowy zadałem to samo pytanie, co poprzednio, i otrzymałem taką

samą poważną odpowiedź: "nie, nigdy". Dołączam tu list p. Barneya na potwierdzenie mych słów:

Izba Reprezentantów,
14 lutego 1826

"Szanowny Panie:

"W odpowiedzi na pytanie Pana co do rozmowy, jaką mieliśmy w Jego domu podczas zimy 1824-25, donoszę, że wyraźnie przypominam sobie, iż kiedy zapytałeś generała Lafayette'a, czy kiedykolwiek słyszał, by generał Waszyngton wspominał, że znalazł hrabiego Pułaskiego śpiącego na swym posterunku przed bitwą pod Germantown lub że przez jego niedbalstwo udaremniony został nasz nagły napad, generał Lafayette odpowiedział z uczuciem: nie, nigdy, i począł mówić o Pułaskim z najwyższemi pochwałami.

"Odniosłem wrażenie, że Lafayette czcił głęboko pamięć Pułaskiego jako dzielnego żołnierza, który poświęcił się służbie naszego kraju i zakończył swe życie bez skazy. Pozostaję...

Jan Barney.

"Do pułkownika Bentalou w Baltimore".

Bentalou stwierdza dalej w "Odpowiedzi", że Lafayette nie mógł w Columbia mówić o oskarzeniu sędziego Johnsona przeciw Pułaskiemu, iż "o ile mu wiadomo, jest prawdziwe" (to be true of his own knowledge), gdyż w czasie bitwy pod Germantown generał leczył się z rany w Bethlehem, Pa. Był więc o 40 mil od miejsca wypadku i o rzekomej drzemce Pułaskiego mógł tylko słyszeć z ust drugich. "O ile wiadomo" Lafayette'a miałoby w tym wypadku wartość zwykłej pogłoski, a nie niezbitego dowodu, na mocy którego oskarzony mógłby być potępiony.

Ale najtęższym dowodem kłamstwa sędziego jest — zdaniem Bentaloua — sam charakter Lafayette'a.

Jakże bowiem mógł przejeżdżając przez Baltimore, po powrocie z podróży po południowych i zachodnich stanach, wziąć Bentaloua za rękę i wyrazić mu w ciepłych słowach radość, jaką odczuł, gdy na prośbę mieszkańców Savannah położył pierwszy kamień pod pomnik Pułaskiego? "Gdyby reputacja sędziego, jako dokładnego sprawozdawcy, zawisła od tego jednego punktu, musiałbym rozstrzygnąć rzecz przeciw niemu" — pisze Bentalou. Jeżeli zarzut Johnsona był prawdziwy, trzebaby wysnuć z niego jeden z dwuch wniosków: "Albo cnotliwy Lafayette zbeszcześcił w Columbia pamięć bohatera, na którego cześć poświęcił pomnik w Savannah; albo też był na tyle fałszywym, że wyraził zadowolenie ze swego udziału w uczczeniu pamięci niedbałego żołnierza, znalezionego śpiącym na posterunku w godzinie niebezpieczeństwa, zganionego za to przez swego generała i będącego powodem ciężkiej klęski armji amerykańskiej".

Tymczasem człowiek szlachetny, jakim był Lafayette, nie zbru-

kałby się nigdy ubliżeniem pamięci towarzysza broni, ani nie upodliłby obłudą.

Bentalou zarzuca następnie, że sędzia w "Uwagach" podał opis czynów Pułaskiego w Polsce i jego charakter na podstawie lichego i stronniczego materjału. Oświadcza, że Pułaski nieraz rozmawiał z nim o swej przeszłości i zawsze zaprzeczał, jakoby kiedykolwiek zamierzał zabić króla Stanisława Augusta.

"Ilekroć rozmawiałem z nim o tym przedmiocie", powiada Francuz, "zawsze jako pobudki swego zamachu na króla podawał to, co napisałem w "Obronie". Mianowicie, że Pułaski w Stanisławie Auguście widział raczej rosyjskiego namiestnika, niż króla niepodległego narodu; że wprawdzie uplanował i zorganizował porwanie jego z Warszawy, ale nie po to, aby targnąć się na jego życie, ale aby przez sprowadzenie go do swego obozu wciągnąć ociągającą się jeszcze szlachtę do ruchu konfederackiego i zjednoczyć naród z królem do walki przeciw zdrajcom i najeźdzcom.

"Słowa patrjoty nie są godnem wzgardy świadectwem nawet wtedy, kiedy przemawia w swojej własnej obronie" — dodaje słusznie Bentalou.

Przystępuje potem do roztrząśnięcia zarzutów przeciw charakterowi Pułaskiego jako żołnierza, podniesionym przez Johnsona w jego "Remarks". Rozpoczyna opowiadaniem własnych dziejów przybycia do Ameryki:— jak wsiadł na statek w Bordeaux w listopadzie 1776 roku, jak stamtąd udał się do głównej kwatery amerykańskiej w Norristown, jak został zamianowany porucznikiem w niemieckim bataljonie piechoty w brygadzie Muhlenberga, jak wreszcie z bataljonem tym był w bitwach pod Brandywine i Germantown.

"Pod pierwszą-to z tych miejscowości miałem szczeście poznać Pułaskiego, który, nie mając cierpliwości czekać w pobliżu Kongresu na patent, pośpieszył do Waszyngtona i razem z Lafayettem i wieloma innymi wybitnymi cudzoziemskimi oficerami tworzył w tym dniu część jego świty. Dzięki swym niezwykłym zaletom mógł Pułaski oddać bardzo ważną usługę w tej cieżkiej potrzebie; i gdyby cień Greene'a mógł przemówić do swego bjografa, zganiłby go za usiłowanie ośmieszenia czynu, spełnionego w tak odpowiedniej chwili i tak świetnie. Ramsay (historyk) zdaje się mieć sprawiedliwsze wyobrażenie o jego ważności. Wspomniawszy, że Pułaski walczył pod Brandywine, dodaje, że "był piorunem wojny i zawsze szukał miejsca niebezpiecznego jako miejsca zaszczytnego". W oczach takiego jednak, który zna tylko "niebezpieczeństwa trybunału" — dodaje Bentalou z ironją — "może się to wydawać dziwnem, że oddział z trzydziestu jeźdźców, jeszcze niemal rekrutów, ale podnieconych przez okoliczności i prowadzonych przez nieustraszonego i doświadczonego oficera, powstrzymał przez ciągłe ataki postęp nieprzyjaciela i dał czas naszej armji na zajęcie stanowisk. Nie byłem sam świadkiem naocznym tych ataków, ale widziałem Pułaskiego i rozma-

wiałem z nim tuż po jego powrocie z tej ważnej i pomyślnej służby".

"Greene zasłaniał odwrót. Właśnie temu zawdzięczam swą pierwszą rozmowę z Pułaskim. (Bataljon bowiem Bentaloua był przydzielony do dywizji gen. Greene'a i po bitwie pod Brandywine szedł w tylnej straży). Zatrzymawszy się aż do przejścia reszty armji, zajęliśmy wreszcie nasze miejsce w pochodzie. Było już znacznie po zachodzie słońca, ale noc była piękna i księżyc świecił, że było jasno jakby w dzień. Pułaski z jazdą, spełniwszy swą służbę, dogonił nas nim doszliśmy do Chester a widząc z mego wyglądu, gdy posuwał się wolno wzdłuż naszej kolumny, że byłem oficerem francuskim, zwolnił kroku i wdał się w rozmowę ze mną. Dowiedziawszy się, iż ubolewam nad tem, że nie mogę dostać się do kawalerji, obiecał wezwać mnie, gdy nadarzy się sposobność. Miałem szczęście podobać się mu. Gdy więc potem, wczesną wiosną 1778-go roku, dostał pozwolenie na zwerbowanie niezawisłego korpusu legjonowego, wezwał mnie i mianował dowódcą pierwszego szwadronu lekkich dragonów legji. Sądze, że mogę przypisać sobie skromną zasługę, iż stosownie do swych zdolności spełniłem obowiązek jako oficer podczas wojny rewolucyjnej i ostatniej".

Po tem odbieżeniu od tematu Bentalou wraca znowu do wypadków po bitwie pod Brandywine:

"Dziesięciotysięczna armja zwycięzców, która, wedle naszego autora "powinna była zniszczyć oddział Pułaskiego ogniem jednej tylko kompanji", pozwoliła nam jednak cofnąć się swobodnie a nawet odpocząć i pożywić się koło Chester. Stamtad skrzydło armji, w którem byłem, posunęło się przez Schuykill ku Filadelfji i szło dalej wzdłuż lewego brzegu rzeki; potem zaś, przeprawiwszy się przez nią z powrotem, pomaszerowało drogą Lancaster aż do Warren Tavern, gdzie rozdano nam porcje. Te i inne okoliczności wskazywały, że Waszyngton zamierzał dać tam krótki odpoczynek swej armji. Wtedy to Pułaski, chcąc przepatrzeć okolicę ze swą kawalerją i zrekognoskować nieprzyjaciela, wpadł, ku swemu zdumieniu, na całą jego armję, znajdującą się w pełnym marszu. Uderzywszy na przednią straż, powstrzymał na krótko pochód Anglików a powróciwszy pędem do głównej kwatery, znajdującej się w domu farmerskim, zażądał widzenia się z wodzem naczelnym. Odpowiedziano mu, że jest zajęty i nie może go przyjąć. Pułaski nalegał i naglił, aż sam naczelny wódz, słysząc głośną rozmowę, wyszedł dowiedzieć się o co chodzi. Przy pomocy Hamiltona, adjutanta Waszyngtona, który znał język francuski i pośredniczył jako tłumacz, doniósł Pułaski o niebezpieczeństwie, jakie groziło armji. Wiadomość ta wprawiła Waszyngtona w zdumienie. Hamilton wówczas wystąpił z uwagą, że Pułaski musiał omylić się, biorąc za nieprzyjaciela jakiś spóźniony oddział armji amerykańskiej. Uwaga ta rozgniewała Pułaskiego. Waszyngton, dowiedziawszy się o co chodzi, zaczął tłumaczyć Hamiltona, zapew-

niając, że nie chciał obrazić Pułaskiego, zarazem zaś zapytał, co należałoby uczynić.

"Oddział z trzystu pieszych razem z moją kawalerją wystarczy na powstrzymanie nieprzyjaciela, póki wojsko nie zajmie stanowisk, odrzekł Pułaski.

"Rozkazano więc pułkownikowi Scott ruszyć pospiesznie z oddziałem Wirginijczyków a Pułaski udał się również na spotkanie wroga. Równocześnie uderzono na alarm. Armja stanęła pod bronią i poczęła przygotowywać się na przyjęcie Anglików. Jednakowoż zaledwie zdołano wymienić kilkanaście strzałów, gdy zaczął padać deszcz coraz-to ulewniejszy. Niebawem ulewa stała się iście tropikalną. Deszcz ten rozdzielił walczących.

"Wszystko to podaję jako naoczny świadek, gdyż byłem z Pułaskim od odkrycia nieprzyjaciela aż do końca jego rozmowy z Waszyngtonem. Gdyby żył generał Hamilton, mógłby potwierdzić moje słowa. Niestety, jestem jedynym już żyjącym jej świadkiem. Ale co do niespodziewanego postępu nieprzyjaciela, każdy żyjący jeszcze oficer, który pełnił służbę w tym dniu, może potwierdzić co mówię".

Przytoczywszy jeszcze dwa listy dawnych towarzyszów broni jako świadków tego epizodu, Bentalou przechodzi do zarzutów Johnsona co do południowej kampanji Pułaskiego:

"Na krótką moją wzmiankę o roli Pułaskiego w Charleston autor "Uwag" rozpisał swą odpowiedź na pięciu stronach i ostatecznie przyznaje i sam potwierdza wszystko, co powiedziałem w tej sprawie. We wspomnianym ustępie podałem, że część Legjonu Pułaskiego, nie sam Pułaski, przybyła do Charleston akurat w chwili, kiedy Prevost pojawił się pod miastem; i że przybycie jego w porę przyczyniło się wiele do pokrzyżowania nadziei nieprzyjaciela. Jestem pewien, że żaden rozsądny i uczciwy czytelnik nie przypuszczał, abym w obliczu historji mógł być na tyle naiwny, by przypisywać odwrót Prevosta jedynie przybyciu Pułaskiego. Że zaś wspomnienia o nim łączę głównie z osobą pułkownika Laurensa, pochodzi to stąd, że pamiętam o ich wielkiej przyjaźni. Obaj stracili życie w służbie kraju. W Charleston obaj udali się do izby Rady z postanowieniem oporu przeciw zamierzonej kapitulacji i jest rzeczą pewną, iż popierali energicznie generała Moultriego w jego postanowieniu obrony miasta. Ożywiony tym samym duchem wojennym, Pułaski urządził wycieczkę, o której wspomniałem w "Obronie".

"Ze słów Moultriego, przytoczonych w "Uwagach", czytelnik mógłby sądzić, że Pułaski przybył do Charlestonu 8-go maja razem z kawalerją, ale piechota jego nadciągnęła dopiero 11-go maja, to jest w dniu, w którym Prevost rozłożył się obozem pod miastem. Nie pójdę za przykładem autora, aby krętactwami wykazać, chociażby na jego własnych wywodach, kiedy legjon mógł przybyć i czy przybył odrazu cały czy też tylko w części; pozwalam sobie jednak podać prawdziwy opis tych dziejów. Z wczesną wiosną 1779-go roku Pła-

ski otrzymał rozkaz wyruszenia ze swym legjonem z zimowej kwatery w New Jersey do Georgji, świeżo najechanej przez nieprzyjaciela. Sam Pułaski maszerował tak zwaną górną drogą, dolną zaś drogą wysłał oddział dragonów i kompanję piechoty, gdyż droga ta dawała sposobność łatwiejszego wyżywienia ludzi i opatrzenia tych chorych i konwalescentów, którzy mogli znieść trudy podróży. Pułaski dał rozkaz dowódcy tego oddziału, aby werbował rekrutów i zbierał zapasy, ile się da, od gubernatorów stanowych. Kiedy oddział dotarł do Williamsburga, wówczas będącego siedzibą rządu Wirginji, mała flota angielska pojawiła się na rzece James i wysadziła wojska na ląd. P. Jefferson zastąpił właśnie wtedy Patryka Henry w zarządzie stanu i dowódca oddziału ofiarował swe służby gubernatorowi przy tej okazji. Wypadek ten opóźnił pochód oddziału, który dotarł do Charlestonu dopiero wtedy, gdy nieprzyjaciel cofnął się. Dlatego Pułaski nie miał całego legjonu ze sobą w czasie swego przybycia do Charlestonu; ani też nie przyprowadził ze sobą całej siły, którą wiódł górną drogą. Dowiedziawszy się bowiem po drodze o najeździe nieprzyjaciela na Południową Karolinę, pośpieszył naprzód z wyborowym oddziałem piechoty i jazdy. Gdyby nawet Pułaski przybył z całym swym legjonem do Charlestonu w dniu 8-go maja, na trzy dni przed pojawieniem się Prevosta, chronologja moja byłaby dostateczną do wykazania, że przybył na czas, aby być obecnym podczas oblężenia. Z mozołów, jakie sobie sędzia zadaje, by udowodnić, że Pułaski przybył na trzy dni przed Prevostem, możnaby przypuszczać, że nierozsądnie podejrzewa mnie o wyobrażanie sobie, iż sam postrach imienia Pułaskiego i legjonu skłonił angielskiego dowódcę do zaniechania oblężenia. Niewiadomo, czy nierozum czy obłuda skłaniają go potem do narzucania mi twierdzenia, jakoby wycieczka Pułaskiego stała się powodem, iż Prevost, zaprzestał oblężenia i zwinął obóz.

"Pozostawiam jednak czytelnikowi do rozstrzygnięcia o ile skutek ten został osiągnięty przez rolę Pułaskiego, gdy wspólnie z Laurensem popierał Moultriego w postanowieniu walki i w oporze przeciw kapitulacji, proponowanej przez gubernatora i Radę. Pewną jest rzeczą, że Prevost cofnął się dowiedziawszy się o postanowieniu dowódcy załogi. W ten sposób silna wola Moultriego ocaliła miasto a jest rzeczą uznaną, iż Pułaski był jednym z tych, którzy go w tem popierali przed gubernatorem i Radą. "Hrabia Pułaski i ja", powiada Moultrie, cytowany w "Uwagach", doradziliśmy im, aby nie poddawali miasta..."

"Nic jednak nie złości naszego autora "Uwag" tak bardzo, jak moja przelotna wzmianka, że Pułaski pragnął podnieść upadającego ducha mieszkańców Charlestonu. Gordon (historyk) w swem dziele posiada ustęp, który przytoczę, ponieważ jest silniejszy niż mój a pozatem wyjaśnia nam, w jaki sposób Pułaskiemu udało się ożywić ducha oblężonych: "Pułaski wszakże przez okazywanie największej nie-

ustraszoności i przez zwycięskie pojedynki z kawalerzystami angielskimi wpłynął znacznie na rozprószenie powszechnego popłochu i wpojenie wojennego ducha w umysły obywateli..."

"Może też pamiętają jeszcze ci, którzy byli w Charleston w tym czasie a żyją jeszcze, jak-to na przybycie Pułaskiego wszyscy młodzieńcy, którzy tylko mogli dostać konie, gromadnie oddali się pod jego dowództwo.

"Prześladowca, pozbawiwszy w ten sposób Polaka wszelkiej zasługi, odsuwa go następnie na szary koniec. "Chociaż bowiem", pisze on, "Pułaski pojawia się czasem w dziejach kampanji do końca czerwca, nie słyszymy o nim nic więcej aż do oblężenia Savannah; istnieje jednak list od pułkownika Grimke, wedle którego Pułaski w zniechęceniu wycofał ze służby swój korpus legjonowy". Wprawdzie naszemu autorowi trudno przychodzi mówić prawdę, ale, doprawdy, dziwno nieraz, jak może kłamać. Jak mógł nie słyszeć o tem, o czem cały świat wie? — że po odwrocie Prevosta z Karoliny do Georgji generał Lincoln cofnął się na zdrowe miejsce w okolicy Beaufort a Pułaski tymczasem został w Charleston. Obaj byli nieczynni, co prawda, ale oczekiwali na D'Estainga, który w końcu, dnia 1-go września, przybył na wybrzeże Georgji ze znaczną flotą i trzema czy czterema tysiącami wojsk lądowych. Przybycie jego ożywiło cały kraj. D'Estaing wysłał szefa sztabu, hrabiego de Fontanges, do Charlestonu, aby naradził się z Lincolnem w sprawie wspólnego działania. Kiedy zaś dowiedziano się, że D'Estaing ma wysadzić swe wojska na ląd w Beaulieu, w Georgji, w dniu 11-go września, w porozumieniu z Lincolnem, który w tym dniu miał przejść przez rzekę Savannah, Pułaski, który bynajmniej nie "usunął się zniechęcony od służby", wyruszył z Charlestonu, aby połączyć się z Lincolnem. Obaj spotkali się w Bubley's Ferry nad Savannah w dniu umówionym.

"Tutaj nie znaleźliśmy żadnych łodzi, gdyż nieprzyjaciel zniszczył je, te zaś, których przybycia spodziewaliśmy się z góry rzeki, jeszcze nie nadeszły. Po poszukiwaniach znaleźliśmy tylko jedną małą łódkę. Ponieważ zaś Lincoln chciał koniecznie przerzucić garść jazdy na drugą stronę rzeki celem zasiągnięcia języka i śledzenia nieprzyjaciela, Pułaski podjął się tego. Wsadzał on po jednym jeźdźcu do łodzi razem z uzbrojeniem, koń zaś musiał płynąć obok niej. W ten sposób dwudziestu czy trzydziestu kawalerzystów przeprawiło się na drugi brzeg. Pułaski oddał mi dowództwo nad tym oddziałem. Droga nasza wiodła przez groblę, wzniesioną nad bagnem. Musieliśmy naprawiać kilka mostów, aby przejechać przez nie końmi. Po ujechaniu jakich trzech mil dotarliśmy do wzgórz, gdzie odkryliśmy dwie reduty przed wejściem do wąwozu. Szczęściem dla nas, nieprzyjaciel opuścił je tuż przedtem, gdyż w razie napadu nie moglibyśmy ustąpić ani na prawo, ani na lewo, ani cofać się w tył. Nie mam zamiaru opowiadać szczegółów wyprawy, niebezpiecznej ze względu na szczupłość naszych sił. Wobec zupełnego odcięcia od

armji, od której oddzielała nas rzeka, niemożliwa do przebycia, bezpieczeństwo nasze tej nocy i następnego dnia leżało w czujności i ruchliwości. Pomyślną dla nas okolicznością było to, że wszystkie wysunięte placówki i reduty znaleźliśmy opuszczone, gdyż nieprzyjaciel skoncentrował swe siły w obrębie wałów Savannah. Natknęliśmy się na niego późnym wieczorem następnego dnia, kiedy już moi ludzie i konie byli zupełnie wyczerpani. Zacząłem się wówczas cofać drogą, prowadzącą do miejsca, w którem przepłynąłem rzekę. Około północy usłyszałem, że ktoś woła mnie. Ku swej wielkiej radości przekonałem się, że był to Pułaski z resztą legjonu i garścią ochotników, których prawie nigdy przy nim nie brakowało. Szli oni szybko mi na pomoc. Skierowaliśmy się pierwszą drogą na prawo przez las i resztę nocy spędziliśmy na dużej plantacji.

"Wczesnym rankiem następnego dnia odkryliśmy żołnierza w czerwonej bluzie jadącego przez las. Dragoni wysłani na pościg, wkrótce schwytali go i sprowadzili do naszej kwatery. Okazało się, że jest to posłaniec D'Estainga z listem do Lincolna i z drugim do Pułaskiego. W liście tym D'Estaing zawiadomiał go o swem wylądowaniu i oświadczał, wśród wielu pochlebnych rzeczy, że "wiedząc o obecności Pułaskiego jest pewny, że pierwszy się z nim połączy". Mimo ulewnego deszczu, Pułaski zaraz pośpieszył na spotkanie D'Estainga w miejscu, gdzie ten wylądował. Tam obaj serdecznie objęli się w ramiona i nawzajem wyrażali swą radość ze spotkania (znali się bowiem jeszcze w Europie). Następnego dnia D'Estaing, nie chcąc czekać na Lincolna, powiadomił Pułaskiego, że zamierza iść na Savannah i prosił go, aby jego legjon tworzył przednią straż. Stosownie do tego natychmiast wyruszyliśmy i doszliśmy pod Savannah jeszcze przed D'Estaing'iem. Zaraz też starliśmy się z wysuniętą pikietą nieprzyjacielskiej piechoty i odcięliśmy ją. D'Estaing przybywszy przemaszerował ze swojemi wojskami przed nieprzyjacielem i wysłał żądanie poddania. Wynik jest wiadomy. Na drugi dzień Lincoln połączył się z nami i obaj dowódcy zdecydowali się na regularne oblężenie, potem zaś na szturm. Od czasu naszego przybycia aż do nieszczęsnego szturmu nie było prawie ani dnia ani nocy bez potyczek legjonu z wysuniętymi pikietami lub patrolami nieprzyjaciela.

"Wszystkie te szczegóły dowodzą ruchliwej czynności Pułaskiego i jego legjonu, chociaż nasz autor "Uwag" nie wie o nich..."

Bentalou rozprawia się następnie z zarzutem sędziego, jakoby Pułaski szturmował wały Savannah z kawalerją i to wbrew rozkazom, — opuszczony w ostatniej chwili przez swych żołnierzy. Przytacza co o tem powiedział w pierwszej swej broszurze, rozszerza to i oświadcza, że kawalerja wcale nie brała udziału w szturmie, gdyż piechota francuska nie zdobyła wałów, jak miała wedle planu, zatem nie otworzyła drogi Pułaskiemu do miasta. Prawdziwość swych

słów poświadcza faktem, że w tym dniu z kawalerji tylko Pułaski i on byli na liście zabitych i rannych.

Z kolei Bentalou przechodzi do obrony całej legji, równie niemiłej Johnsonowi, jak i jej wódz, i przy tej sposobności opowiada kilka epizodów z jej bojów:

"Z tego wszystkiego widać dobrze, że ani legjon ani jego dowódca nie są w łaskach u autora "Uwag". Co prawda, jego niechęć do Pułaskiego, z drugiej zaś strony niemożliwa do zaprzeczenia dobra sława polskiego wodza utrzymują naszego autora w ciągłem wahaniu się między słabą pochwałą a zrzędną naganą. Przyznaje on, że Pułaski poświęcił dom, wysokie stanowisko i majątek jednakowoż nie dla Polski, ani dlatego, że był "nieprzyjacielem królów", ale dlatego, że Stanisław August nie był królem z jego wyboru; przyznaje, że był niezwykle odważny i uznaje też wpływ dojrzałej odwagi na uczucia tłumu; jednakowoż nie może pozwolić na to, by odwaga Pułaskiego miała jaki wpływ na mieszkańców Charlestonu; powiada, że Pułaski zasługuje na naszą wdzięczność za swe zasługi; ale nie chce mu przyznać żadnych. Tak urągając sławie dowódcy, sędzia wścieka się na wspomnienie samego legjonu. W swej bjografji Greene'a dziesiątkuje go pod Egg Harbor, niszczy go pod Charlestonem, a pod Monk Harbor ocala z niego tylko kapitana Bentalou i sztandar...

"Co do Egg Harbor rzecz ma się tak: W jesieni 1779-go roku mała flota angielska z pewną liczbą wojsk lądowych została wysłana z Nowego Jorku na wybrzeże New Jersey. Aby zapobiedz łupiestwu, wydział wojny wysłał tam Pułaskiego z jego legjonem, kompanją artylerji Proctora i oddział milicji jerseyskiej i pennsylwańskiej. Po naszem przybyciu nieprzyjaciel cofnął się na okręty, które pozostały na kotwicy przy brzegu. Pułaski rozłożył się obozem przed nieprzyjacielem, umieściwszy piechotę legjonu pod dowództwem podpułkownika barona De Bosen w pewnej odległości na prawem skrzydle. Lewe tworzył pierwszy szwadron lekkich dragonów legjonowych oraz milicja, a dowodził niem kapitan szwadronu (Bentalou). Podczas ostatniej zimy trzej hescy oficerowie uciekli do nas od nieprzyjaciela a najmłodszy z nich, który z pewnością nie zasługiwał ani na przyjęcie ani na względy, został przez wydział wojny przysłany Pułaskiemu, co prawda bez oficerskiego patentu, ale z rozkazem, aby mu pozwolił spełniać obowiązki podporucznika w legjonie. De Bosen traktował go bardzo surowo, gdyż przez wysokie pojęcie honoru gardził tym, który, chociaż oficer, mógł zbiedz z pod swego sztandaru. Za to Niemiec postanowił zemścić się w sposób, którego nie można było przewidzieć. Pewnego dnia pod pozorem łowienia ryb wyszedł z obozu z dwoma swymi towarzyszami, a gdy nie wrócili, sądzono, że utonęli, gdyż nikt nie przypuszczał, by mieli odwagę wrócić do nieprzyjaciela. Zdaje się jednak, że odważyli się na powrót i nieprzyjaciel, idąc za ich wskazówkami i pod osłoną nocy, wysadził wojska na ląd i przed świtem dostał się do kwatery De Bosena. Na pierwszy

alarm podpułkownik wybiegł uzbrojony w szablę i pistolety; ale chociaż był niezwykle tęgim mężczyzną i walczył jak lew, przemogła go liczba nieprzyjaciół i poległ. Skoro tylko wiadomość o napadzie doszła do głównej kwatery, kawalerja popędziła na miejsce. Dobiegłszy jednak z żalem musieliśmy patrzeć na nieprzyjaciela, siedzącego już w łodziach i wracającego na okręty z wyjątkiem niewielu maruderów, których wzięliśmy do niewoli; a było ich więcej niż straciliśmy sami. Głównym celem napadu zdawał się być De Bosen. Słyszano wyraźnie głos dezertera, który wołał: Jest to pułkownik — zabijcie go! Ciało DeBosena było całe pokłute bagnetami. Być może, że pułkownik nie dostatecznie pamiętał o własnem niebezpieczeństwie; ale trudno pojąć, jak można winić za ten napad Pułaskiego lub jego legjon. Wina, jeżeli wogóle można mówić o czyjejkolwiek winie, leżała po stronie wydziału wojny, który przysłał Pułaskiemu zdradzieckiego Hessa".

Bez zachowania porządku chronologicznego, Bentalou opowiada następnie o bitwie pod Monk's Corner, za której niepowodzenie sędzia Johnson wini także legjon:

"Po śmierci Pułaskiego legjon, znacznie uszczuplony przez śmierć i z innych powodów, przeszedł pod komendę majora, jedynego pozostałego przy życiu oficera linjowego, i razem z innymi oddziałami i milicją został wysłany do obozu, utworzonego przez generała Hugera pod Monk's Corner podczas oblężenia Charlestonu przez Henryka Clintona. Obóz ten, który miał za zadanie utrzymywać komunikację między miastem a resztą kraju, został niespodzianie napadnięty i w zamieszaniu zabity został major legjonu. Ja sam nie byłem tam i życie zawdzięczam nie rączości nóg mego konia, jak nasz autor, czerpiąc więcej z fantazji niż prawdy, zdaje się przypuszczać, ale tej okoliczności, że jeszcze nie wyleczyłem się z ran, otrzymanych pod Savannah. Sztandar został mi wręczony przez mego porucznika, który jeszcze żyje pomimo 14 ran otrzymanych podczas służby. Że jednak coś więcej ocalało pod Monk's Corner niż sztandar legjonu, widać z następującej rezolucji kongresu, z dnia 23-go lutego 1780:

"Uchwalono, że resztki legjonu zmarłego hrabiego Pułaskiego mają być połączone z korpusem pułkownika Armanda, markiza de la Rouerie w taki sposób, jaki uzna za stosowny naczelny wódz armji południowej, poczem połączony korpus ma być zamieniony na legjon pod dowództwem pułkownika Armanda".

"Co do wypadków pod Stono Ferry mogę wyjawić fakt, który przyniesie najwyższy zaszczyt generałowi Hugerowi. Nie żyje on już, ale jeżeli jego papiery ocalały i jeżeli wśród nich możnaby znaleźć list, otrzymany w chwili, gdy on i Pułaski zamierzali uderzyć na ten fort, wyjaśniłby on dlaczego musieli zaniechać przedsięwzięcia, po którem spodziewali się zwycięstwa i sławy; zawód ten omal nie wycisnął łez z oczu generała Hugera a dla Pułaskiego był przedmiotem udręki aż do dnia jego śmierci.

"Nasz autor usiłuje żartować z wystąpienia ze sztandarem legjonu podczas wjazdu Lafayette'a do Baltimore. Pamiątkę tę z uczuciem starca, przywiązanego do wspomnień młodości, przechowywałem przez 45 lat w swym domu, gdzie prawdopodobnie pozostałaby, gdyby powrót rycerza wolności na nasze brzegi nie wydobył z ukrycia dawnych zabytków, jakkolwiek drobnych, aby mu były wdzięcznem przypomnieniem czasów i towarzyszy młodzieńczych trudów. Wśród innych pamiątek sztandar ten niosła kompanja ochotników z Baltimore, która prosiła mnie o wypożyczenie go na ten cel. Potem sztandar został złożony w muzeum baltimorskiem jako zabytek dawnych czasów, ciekawy przynajmniej dla Baltimore, które, wówczas jeszcze jako wieś, było kolebką legjonu i którego kobiety z patrjotyzmu sprawiły ten sztandar i ofiarowały go młodemu oddziałowi".

Pamięć zawiodła nieco starego Bentaloua. Sztandar legjonu nie pochodził od dam baltimorskich, ale był dziełem rąk Sióstr Morawskich z Bethlehem, od których Pułaski kupił go albo otrzymał w darze.

W zakończeniu broszury wierny druh Pułaskiego łapie jeszcze sędziego Johnsona na kłamstwie o przestrzelonych lokach generała Greene'a, który nigdy peruki i loków nie nosił. Zamyka ją sarkastyczną uwagą, że Johnson powinien był wstrzymać się z wydaniem swego dzieła, aż mgła zapomnienia przesłoniłaby temat i zabrakłoby już naocznych świadków, gotowych stanąć w obronie prawdy.

W cztery lata potem Bentalou już nie żył. O ile to tyczyło honoru Pułaskiego, mógł umierać spokojnie. Pisma jego stały się tarczą, która skutecznie osłoniła pamięć wielkiego Polaka przed oszczerstwami, rzuconemi lekkomyślnie i złośliwie.

VIII.

Kościuszko a West Point.

"A voice from the glorious dead!
"Awake to the call of fame!
"By yon gorgeous banner's spangled folds,
"And by Kosciuszko's name!"
(Z wiersza "West Point", pióra Jerzego B. Stronga w "New York Mirror" z 29 lipca 1833 r.)

Póki wody w Hudsonie, póty West Point będzie w wiernym ślubie z pamięcią Kościuszki.

Pobudowali mu rodacy pomniki po miastach amerykańskich pokaźniejsze i wspanialsze jako dzieła sztuki. Ale żaden z nich nie może być droższy uczuciom Polaka nad tę prostą kolumnę, która z nad brzegu Hudsonu podnosi się ku niebu.

Tamte pomniki — to tylko przypomnienia na szarzyznę życia o tym, który uczył "kochać Polskę nie połową, ale całą duszą". Przechodzień myślą oderwie się ku nim ze zgiełku wielkomiejskiego, by za chwilę znowu wpaść w wir spraw codziennych.

A tu? — tu poezja, tu żywe wspomnienia, tu tradycja wiekowa, tu nietylko ten pomnik, ale każdy krok uświęcony pamięcią wielkiego bohatera...

Długie lata przesłużył Kościuszko pod gwiaździstym sztandarem, rozwijającym młode skrzydła do lotu. Gdzie bywał, kędy chadzał — historja zapisała to złotemi zgłoskami. Błyszczą niektóre z nich świetniej, ale żadne tak serdecznie jak West Point.

Nie tyle bowiem drogie jest to miejsce jego trudem ofiarnym, przejawem jego talentów wojskowych — choć i tych pozostawił tutaj pamiątki — co wspomnieniem sielanki, którą tu przeżył; sielanki cichej i skromnej, jak cichym i skromnym był jego charakter.

Jadącemu do West Point towarzyszyły jak najlepsze rekomendacje. Gubernator stanu Nowy Jork, Jerzy Clinton, wysyłając Kościuszkę z Poughkeepsie do generała Parsona, dnia 22-go marca 1778 r., zalecał go jako "młodzieńca zdolnego i gotowego uczynić wszystko w swej mocy w sposób najprzyjemniejszy".

"Praca Kościuszki w West Point" — pisze Monica M. Gardner w swym życiorysie Kościuszki ("Kosciuszko, a biography"; Londyn 1920) — "była najdłuższą i najważniejszą jego pracą w Stanach Zjednoczonych i jest nieodłącznie związana w umysłach Amerykanów z jego nazwiskiem. Niewiele przechowało się z jego fortyfikacyj, ale pomnik wzniesiony na jego cześć przez młodzież amerykańską stoi dotychczas jako wdzięczny hołd dla jego pamięci. Stworzenie Aka-

demji Wojskowej w West Point jest w znacznej mierze zasługą Kościuszki. Kiedy postanowiono założyć szkołę dla wyćwiczenia młodzieży amerykańskiej w sztuce wojskowej, Kościuszko domagał się, aby umieszczono ją w West Point i wybrał miejsce, na którem stoi obecnie.

"Kościuszko był w West Point przez dwa lata. Tu — jeżeli odrzucimy legendy i domysły o poprzednich spotkaniach — zetknął się po raz pierwszy z Waszyngtonem. Miał pod sobą 2,500 robotników, których traktował z grzecznością i taktem, jakie zawsze cechowały go w obejściu się z bliźnimi, czy równymi sobie, czy podwładnymi. Wedle podania, własnemi rękoma, przy pomocy robotników, wybudował sobie domek, spodziewając się, że kiedyś może będzie gościł w nim rodaków. Jeden z jego nowoczesnych bjografów (Rychlicki) często słyszał w swej młodości piosnkę, ułożoną rzekomo przez Kościuszkę do wtóru gitary — grał bowiem na gitarze i skrzypcach — na powitanie gości polskich. Niezgrabne zwrotki jej wyrażają nadzieję, że rodacy chętnem sercem przyjmą wszystko czem chata bogata i opowiadają im, że gospodarz wybudował jej ściany umyślnie na ich powitanie. Wierny miłości Polaka do ziemi, Kościuszko założył ogródek, dotychczas zwany "Ogrodem Kościuszki", w którym spędzał wolne chwile sam na sam z myślami o Polsce. Czasy były ciężkie w West Point i o żywność było trudno. Sam Waszyngton nie mógł należycie zastawić swego stołu, a Kościuszce, rzecz jasna, musiało się powodzić jeszcze gorzej. Mimo to, ze swej płacy, z której tylko z trudnością mógł sobie cokolwiek uszczuplić, i ze swych własnych skromnych zapasów Polak ciągle posyłał żywność jeńcom angielskim, którzy cierpieli straszną nędzę. Podobno nawet, gdyby nie pomoc Kościuszki, wielu więźniów wymarłoby z głodu. Wiele lat później jeden z bjografów Kościuszki (Sygurd Wiśniowski) zapadł na febrę w Australji. Pewien Anglik sklepikarz wziął go do swego domu i zaopiekował się nim jak własnym synem dlatego tylko, że był rodakiem człowieka, który uratował życie jego dziada, gdy ten przymierał głodem jako więzień angielski w West Point".

Ileż podobnych świadectw wzniosłego charakteru Kościuszki przekazała nam przeszłość! Możnaby niemi zapełniać liczne karty, ale w tym krótkim szkicu niechaj wystarczą nieznane dotychczas szerzej słowa Samuela Richardsa, towarzysza jego doli i niedoli westpointckiej, który pisał:

"Mieszkałem przez długi czas z Kościuszką w tym samym domku i wkrótce odkryłem w nim podniosłość umysłu, która już wtedy rokowała wielkie obietnice tych świetnych czynów, jakie miał potem dokonać. Obejście się jego było łagodne i jednające mu serca, a równocześnie pełne godności. Z wielką przyjemnością towarzyszyłem mu zwykle, gdy chodził z teodolitem na pomiar okolicznych gór. Był on bardzo biegły w matematyce".

W lecie 1780 r. Kościuszko, dotknięty mimowolnym może nie-

taktem Waszyngtona, zażądał przeniesienia na południe i tak skończyła się sielanka west-poincka.

"Ogród Kościuszki" znalazł miejsce nawet w literaturze amerykańskiej. Samuel L. Knapp, prawnik, dziennikarz i autor (ur. 1784 zmarł 1838), spędzając wolne od zajęć chwile w zacisznem ustroniu Polaka, zaczerpnął w niem temat do cyklu nowel pod ogólnym tytułem "Tales of the Garden of Kosciuszko", wydanego w Nowym Jorku w r. 1834.

Zdaje się, że myśl uczczenia pomnikiem związku Kościuszki z West Pointem powstała tuż po jego śmierci w Szwajcarji. Konkurs na projekt pomnika został ogłoszony w r. 1824, jak o tem donosi ówczesny tygodnik "Niles' Register":

"Kadeci Akademji Wojskowej w West Point ofiarowali złoty medal, wartości 50 dolarów za najlepszy projekt pomnika ku uczczeniu pamieci generała Tadeusza Kościuszki. Pomnik ma być wzniesiony w West Point, na uroczem miejscu nad brzegiem Hudsonu, zwanem "Ogrodem Kościuszki".

Pomnik został ustawiony w r. 1828, wedle projektu H. B. Latrobe, kosztem 5,000 dolarów, złożonych przez kadetów. W pierwotnej swej postaci był tylko kolumną z białego marmuru, na stożkowatym i czworograniastym piedestale, ogólnej wysokości 22 stóp. Z jednej jej strony był napis "Kościuszko", z drugiej zaś "Wzniesiony przez korpus kadetów w r. 1828".

"Pomnik" — pisze stara "Zgoda" Związkowa z r. 1882 — "wznosi się na najwyższym szczycie w pieknem bardzo położeniu w miejscowości założonej przez Tadeusza Kościuszkę. Gdyby nie ta zieloność drzew, te urocze pagórki, piękne doliny i srebrzysta wstęga Hudsonu, okalająca jakby w uroczystym nastroju samotnie wśród drzew położone miejsce, to pomnik Kościuszki, wydałby się nam prostym piedestałem, bez żadnego wdzięku; ale tu, wśród tego poważnego nastroju natury, nawet pozorne niewykończenie jego dodaje mu poezji. Brakuje bowiem pomnikowi popiersia, widać trudno było oddać je w bryle kamienia, wydobyć z niej rys żywej duszy naszego Kościuszki, oddać smutek jego oblicza i pomnik pozostał niewykończony. Ale najwiekszym dla niego pomnikiem jest ta natura tak smętna i szmer liści drzew w tem pięknem ustroniu".

Czy rzeczywiście pomnik był niewykończony?

Zdaje sie, że nie. Okoliczności wskazują, że, według pierwotnych planów, miał być tylko kolumną. Pozorne niedokończenie mogło być tylko przypadkowym efektem.

Uroczyste położenie kamienia węgielnego pod pomnik miało odbyć się w Dzień Niepodległości, 4 lipca 1828. Z niewiadomych powodów uroczystość nie odbyła sie, ale pozostała pamiatka w postaci mowy młodo zmarłego kadeta Karola Petigru, wydana przez korpus kadetów w broszurze pod tytułem: "Mowa przygotowana z okazji położenia kamienia dnia 4 lipca 1828". (An Oration, Prepared for

Delivery on the Occasion of Laying the Corner Stone of a Monument Erected to the Memory of Kosciuszko at West Point by the Corps of Cadets, July 4, 1828. Newburgh, 1828.)

Prawie sto lat upłynęło od tej chwili i sędziwa broszurka stała się prawdziwą rzadkością bibljograficzną. Może jej nigdy jeszcze nie oglądały oczy polskie — a przecie temat jej drogi przedewszystkiem duszy Polaka. Przeczytajmy ją chociaż w wyjątkach, poznajmy co obca młodzież czciła w naszym Naczelniku siermiężnym.

"Koledzy kadeci!" — zaczyna Petigru swą mowę:

"Przypadło mi w udziale przypomnieć przy tej sposobności niektóre cnoty i zalety wielkiego i dobrego męża, którego pomnik, będący już na ukończeniu, ma być wyrazem naszego podziwu dla jego charakteru i jego doniosłych zasług wobec sprawy wolności na obu półkulach. I słusznie mogę powinszować sobie, że mam mówić o takim przedmiocie, w takim czasie i przy takiej okazji. Albowiem — jak krasomówca rzymski oświadczył na wstępie swej sławnej mowy w której wychwalał zasługi wielkiego Pompejusza — każdemu mówcy, zwłaszcza słabemu i niedoświadczonemu, trudniej wybrać temat, niż go zmyśleć. Nie bedę, co prawda, mówił tyle o bitwach wygranych i pobitych armjach — nie mam, coprawda, mówić o krajach zniszczonych i pokonanych narodach. Ale czyny te, choć wyglądają świetnie i chlubnie, jakże tracą na wartości wobec wielkich i podniosłych cnót, które zdobiły charakter i unieśmiertelnią nazwisko Kościuszki! wobec jego szlachetnego poświęcenia dla sprawy ojczyzny i wolności, jego stałości celu, jego niezłomnej wytrwałości i niezmordowanej gorliwości, z jakiemi pracował wśród najrozmaitszych okoliczności, by podnieść i podtrzymać te wielkie zasady, które oświecony rozum poddał mu jako drogowskazy życia. Nie zważając, z jednej strony, na ponęty władzy i przyjemności, z drugiej zaś na trudności i niebezpieczeństwa, które przeraziłyby mniej stanowczych, był niezachwianym wśród przeciwieństw, skromnym w powodzeniu i rozmiłowanym w sprawiedliwości, nawet w czasach wojen domowych i sporów stronnictw, kiedy węzły społeczne zdawały się rozluźniać doszczętnie. Są to cechy charakteru o wiele rzadsze i o wiele czcigodniejsze, niż nawet wyższe siły umysłu, które od czasu do czasu zdumiewają świat. Ale Kościuszko posiadał w wysokim stopniu także i te siły umysłu. Śmiały w swych planach, stanowczy w wykonaniu ich, szybki w działaniu i zimny wśród niebezpieczeństw — nad zdolnościami, z jakiemi wykonywał swe plany, górowały u niego tylko czystość zasad i niesamolubność celu, które te plany zrodziły. W ten sposób łączył zalety serca, które najwięcej zdobią ludzki charakter, z zaletami umysłu, najpotrzebniejszemi do zużytkowania tych cnót do służby dla szczęścia ojczyzny i ludzkości. Nie są to czcze i puste pochwały, jakiemi zbyt często niesłusznie i na ślepo obsypywani są ludzie niezasłużeni — kiedy każda cnota przypisywana jest przedmiotowi pochwały, bez względu na jego rzeczywiste za-

sługi, a jego charakter podnoszony do doskonałości wbrew prawdzie, — kiedy stronniczość przyjaźni chętnie ucieka się do pomocy fantazji, by znaleźć te zalety, które nie istniały, albo kiedy wreszcie próżnemu mówcy chodzi o to, by zdobyć poklask próżnych słuchaczy. Powołuję się na historję, by dała świadectwo prawdy tego wszystkiego, co powiedziałem i, zaiste, przyznała mu jeszcze wyższe pochwały, niż te, które mógłby mu oddać zdolniejszy nawet mówca. Historja bowiem życia Kościuszki jest jego najwspanialszą pochwałą — najwspanialszą pochwałą, jakiej mogłaby pragnąć żądza sławy. Przebiegnijmy ją pokrótce. Znajdziemy w niej wiele rysów pouczających, gdyż rzadko kiedy w dziejach spotykamy charakter tak godny zbadania jako wzór; charakter, w którym każdy musi znaleźć wiele do podziwu, a nawet najpodlejszy może znaleźć tak niewiele do potępienia".

Wspominając ogólnikowo o amerykańskiej służbie Kościuszki, Petigru tak ją ocenił:

"Chociaż wysokie zdolności, jakie rozwinęły się w nim następnie pod wpływem nieszczęść ojczyzny wówczas jeszcze nie wystąpiły w całej pełni, jednakowoż za gorliwość i wierność z jakiemi spełniał ciężkie obowiązki swej ważnej służby, zasługuje na wysokie miejsce wśród tych, którzy mają wielkie prawa do naszej wdzięczności; względem niego wdzięczność nasza powinna być tem większa, że przelewał swą szlachetną krew i zużywał kwiat swej młodości dla osiągnięcia błogosławieństw, z których ani on sam, ani nikt z jego bliskich nie miał korzystać. Czyż powiedziałem, że nikt z jego bliskich? Zaiste, był on bliski towarzyszom tej sławnej walki, wprawdzie nie powinowactwem, ale silniejszym jeszcze związkiem, łączącym dzielnych, kochających ojczyznę, szlachetnych i wolnych pod każdem niebem i w każdym kraju — pokrewny im nie rodem, ale podobieństwem uczuć i podobieństwem zasad, walczył za powodzenie tych, których powodzenie leżało mu na sercu, ponieważ wykazali, że mają ducha i kierują się zasadami ludzi, miłujących wolność".

Opis dalszej karjery Kościuszki i powstania polskiego w r. 1794 zajmuje lwią część mowy kadeta Petigru. Nie brak tam błędów historycznych; jednakowoż zasługują one na usprawiedliwienie ze względu na fakt, że podobne błędy popełniali i polscy bjografowie Kościuszki nawet w dziesiątki lat po Petigru.

Doszedłszy do rozbiorów Polski młody mówca wołał z zapałem:

"Jest coś, co wywołuje mimowolny podziw dla charakteru potężnego zdobywcy, który ożywiony miłością sławy, mocą swojego genjusza wydziera berła z rąk słabszych i losy królestw czyni zależne od swego skinienia. Ale gdy człowiek, żądny podbojów, bez genjusza zdobywcy, nikczemnie naśladuje karykaturę jego charakteru, spaczając go w najlepszych rysach, wtedy podbój wyradza się w rabunek. Patrzymy na jego czyny z oburzeniem, a na jego podłość z pogardą. Tak jednak postępowali sprzymierzeni władcy,

taki był charakter tych, którzy naprzód złupili, a potem zabili i poćwiartowali Rzeczpospolitą Polską. Jak wzniosłym wygląda charakter Kościuszki, nieustraszonego, pełnego poświęcenia obrońcy ojczyzny, w porównaniu z charakterami jej ciemięzców — jak godną zazdrości jego sława w porównaniu z sądem, jaki potomność wyda na tych, którzy go zwyciężyli, a choćby w porównaniu ze sławą najświetniejszego nawet zdobywcy, jaki kiedykolwiek prowadził armje na podbój! Czyż może być umysł czyj na tyle nikczemnym, by nieskazitelną aureolę, która zawsze, póki na ziemi żyć będą ludzie miłujący cnotę i ceniący wolność, otaczać będzie jego nazwisko, chciał zamienić na splamioną świetność Aleksandra, czy Cezara, czy Karola, czy choćby Napoleona? Przeszukajcie karty historji, a nigdzie nie znajdziecie zapisanych czynów człowieka, któryby zdobył sławę bardziej godną zazdrości, z wyjątkiem tylko tego, z którego sławą zawsze łączyć się będzie sława, pomyślność i samo niepodległe istnienie naszego kraju — tego, z którego chwałą jednoczy się wszystko, co uważamy za najcenniejsze i najświętsze".

"W roku 1817" — kończył kadet Petigru swą mowę — "cała Europa i Ameryka okryły się żałobą, gdyż świat stracił swego dobroczyńcę — ludzkość straciła jedną ze swych najświetniejszych ozdób i jednego ze swych najszlachetniejszych wodzów. Kościuszko, pełen lat i sławy, umarł w Solurze, w Szwajcarji, gdzie spędził kilka ostatnich lat życia. Rodacy jego otrzymali pozwolenie na sprowadzenie jego prochów do Polski, gdzie obecnie spoczywają obok szczątków Jana Sobieskiego; tam ku jego czci wybudowano wspaniały pomnik, na którego budowę złożyli ofiary dzielni mężowie wielu narodów. Ale sława jego przeżyje granit pomnika, wzniesionego dla jej uwiecznienia — i nazwisko jego, jak nazwisko Waszyngtona, będzie nieśmiertelnem hasłem... A jeżeli kiedy, jak lubią przypuszczać filantropowie — nadejdzie czas, w którym wszystkie narody będą wolne, sława jego będzie zataczała coraz to większe kręgi, aż obejmie cały świat. A chociaż nie zostawił potomstwa, dziećmi jego będą dzielni i miłujący ojczyznę obywatele wszystkich narodów.

"Koledzy kadeci! Gdy dziś łączymy się w czci, jaką otoczono go już powszechnie, i staramy się ściślej połączyć jego nazwisko z tem miejscem, z którem łączą je już wspomnienia rewolucyjne, i upamiętnić ustronie, do którego, gdy mu obowiązki służbowe pozwalały, lubiał się chronić, by swą duszę rozszerzać w rozmyślaniach nad majestatem dzieł przyrody; i gdzie sadził róże, lilje i fjołki, by kwitnęły wśród wspaniałej scenerji górskiej — jak jego miłe i proste cnoty domowe przy świetniejszych i wznioślejszych zaletach żołnierza, patrjoty i męża stanu — pamiętajmy, że i my jesteśmy żołnierzami rzeczypospolitej — że jako tacy także winniśmy dług, który on tak szlachetnie spłacił — i dumni z wysokiego wyróżnienia starajmy się zawsze postępować godnie. Uczmy się z jego przykładu, że sława w wielkich i zaszczytnych przedsięwzięciach nie zależy od powodze-

nia — że ten, kto odważnie naraża się dla dobra ojczyzny, kto ochotnie poświęca się dla jej sprawy, ten, bez względu na los swego czynu lub swój własny, zawsze może być pewnym nagrody w wdzięczności narodu i oklasku świata".

I nie były słowa kadeta Petigru pustemi frazesami, nie była to tylko pochwała dla formalności, jeżeli cześć dla Kościuszki, jako patrona West Pointu, przechowała się w tej sławnej szkole aż do naszych czasów.

Odnowienie kolumny i ozdobienie jej spiżowym posągiem Kościuszki jest jednak dziełem wyłącznie Polaków.

Z odezwy, wydanej w listopadzie 1912 r. i podpisanej przez pułkownika Józefa Smolińskiego, weterana wojny domowej amerykańskiej, ks. dra. J. Dworzaka, ks. Antoniego Górskiego, Wiktora Wilusza i dra. Bronisława Smykowskiego, dowiadujemy się, że projekt uwieńczenia kolumny posągiem dał pułkownik Smoliński i on też rychło uzyskał potrzebne pozwolenia od władz wojskowych. Za poradą ówczesnego sekretarza wojny, pułkownik Smoliński stworzył też powyższy komitet, który zajął się zbiórką funduszów. Obszerna odezwa komitetu, pióra ks. Górskiego, zawiera ciekawy opis pielgrzymki jego do West Point celem obejrzenia pomnika i porozumienia się z komendantem Akademji w niektórych sprawach.

"Według postanowienia" — opowiada ks. Górski — "na drugi dzień. t. j. 3 września 1912 roku, Komitet Wykonawczy udał się statkiem parowym, kursującym po Hudsonie, do West Point, gdzie wylądowaliśmy przed południem.

"Szliśmy... Szliśmy tą samą drogą, po której przed stu laty kroczył nasz Naczelnik, strategik, inżynier, żołnierz, miłośnik wolności narodów. Z zaparciem tchu, owiani duchem wielkiego męża, z jakimś dziwnym pjetyzmem zbliżaliśmy się do miejsc, gdzie nasz bohater pozostawił po sobie wieczne pamiątki i nieskazitelne imię.

"Obejrzeliśmy naprzód pomnik, postawiony na północno-zachodniej stronie od budynków. Pomnik jest w dosyć dobrym stanie, ale tak wysoki, że biust tylko — jaki zrazu projektowano — choćby znacznych rozmiarów, znikłby i źle by wyglądał.

"Postanowiliśmy więc umieścić całą figurę Kościuszki, na wzór waszyngtońskiej.

"Oglądaliśmy ów sławny łańcuch, którym Kościuszko zakuł Hudson, aby nie pozwolić flocie brytyjskiej płynąć po zwycięstwo.*) Przyglądaliśmy się armatom i haubicom, używanym w owych i późniejszych czasach. Obejrzeliśmy też forty, zbudowane według planów Kościuszki. Rzuciliśmy okiem na wsze strony West Pointu i przyznaliśmy, że genjalne to miejsce nietylko dla Akademji Wojskowej, ale jako świetny strategiczny punkt obronny na wsze strony i na daleką okolicę. Poszliśmy w końcu na miejsce zwane "Ogrodem Kościuszki" — Kosciuszko Garden. Przepiękne to ustronie ze wspaniałym widokiem na Hudson i okolicę. Tamto Kościuszko marzył —

planował, myślał, sadził kwiaty i drzewka. Tam z pewnością rozmyślał o Ojczyźnie, o Jej ratunku, tam postanowił oddać choćby życie dla wybawienia Jej od wrogów. Tam też Kościuszko odkrył źródło, omurował je własną ręką, rzeźwił się zdrojową wodą. Źródło do dzisiaj obfite w czystą wodę, dobrze zachowane. Piliśmy z niego wszyscy, ciesząc się, że zdrową wodą pijemy zdrowie Ojczyzny i napawamy się duchem i męstwem naszego bohatera.

"Obok źródła wyryte głęboko w skale napisy: "Kosciuszko Garden 1777", po drugiej stronie: "Saratoga".

"Zwiedziwszy owe pamiątki udaliśmy się do komendanta Akademji, pułkownika C. H. Townsleya. Przyjął nas nadzwyczaj grzecznie, uprzejmie i zapewnił, że nikt nie będzie przeciwnym umieszczeniu statuy na kolumnie, owszem, przyrzekł, że jeżeli będzie dzień odpowiedni, wszyscy wezmą udział w uroczystości odsłonięcia. Kadeci zatem Akademji, wojsko regularnej armji, marynarka i milicja stanowa wystąpią na uroczystość...

"Potem oznajmił nam pułkownik, że jest tu szabla Kościuszki... Poszliśmy więc do muzeum Akademji. Tam to ujrzeliśmy ów cenny przedmiot dla każdego rycerskiej duszy Polaka. Braliśmy ją w ręce, pieścili jak dziecko najmilsze, przyglądaliśmy się każdemu szczegółowi, cieszyliśmy się i dumni byliśmy, że trzymamy w ręku szablę, której Kościuszko z honorem używał na obronę wolności ludów i wyzwolenie Ojczyzny. Szabla dosyć ciężka, około trzy stopy długa i prosta. Napisy na klindze po starohiszpańsku następujące: "Nie dobywaj mnie bez potrzeby", na drugiej zaś stronie: "Nie chowaj mnie bez honoru".

"Szabla ta dostała się przypadkowo na sprzedaż. Kadeci i zarząd Akademji złożyli się na jej zakupno i zeszłego roku za kilkaset dolarów dostali do skarbca i trzymają pod kluczem. Jakże więc Amerykanie cenią podobne pamiątki! O ileż więcej my, Polacy, powinniśmy czcić nasze starożytne zabytki!

"Szablę tę Kościuszko ofiarował po rewolucji, wyjeżdżając z Ameryki, pułkownikowi Janowi Bayard, z Bohemia Manor, powiat Cecil, Maryland. Potem szabla dostała się w ręce generała I. G. Wilsona, którego żona była z domu Bayard, od niej zaś przeszła do Akademji.

"W r. 1893 taż szabla była na wszechświatowej wystawie w Chicago.

"Napoiwszy się do syta owemi pamiątkami, zadowoleni z nadzwyczaj uprzejmego przyjęcia, wróciliśmy do Yonkers..."

Komitet tak energicznie zabrał się do pracy, że uroczystość odsłonięcia posągu Kościuszki odbyła się, według planów, dnia 1-go września 1913 r. Posąg, wysokości 9 stóp, odlany ze spiżu wedle modelu Antoniego Popiela, sprowadzony został z Europy kosztem 1,428 dolarów. Ogólny koszt upiększenia pomnika wynosił 3,000 dolarów i pokryty zostały ze składek rodaków.

Króluje odtąd kolumna Kościuszki nad Hudsonem, strojniejsza już spiżowym posągiem i uczy obcą młodzież ideałów wielkiego Polaka. Często gęsto u stóp jej przewinie się pielgrzymka polska z okolicy. Wtedy niejedno serce żywiej uderzy, niejedna głowa skłoni się w zamyśleniu o Ojczyźnie i niejedną pierś rozeprze duma, że ten bohater, czczony w całym świecie, z krwi i kości jest naszym.

* * *

Wśród zbiorów muzeum Akademji prawdopodobnie znajduje się jeszcze jedna pamiątka, pośrednio związana ze wspomnieniem Kościuszki. Jest to serdeczny list generała Lafayette'a z roku 1831, podówczas przewodniczącego Komitetu Polsko - Amerykańskiego w Paryżu, do kadetów w West Point z podziękowaniem za ofiarę 248 dolarów, złożoną na cele powstania listopadowego i odpowiedzią na ich list, dołączony do składki. "Niagara Courier" z Lockport, N. Y., z 31-go stycznia 1832 podaje treść listu sławnego Francuza w następującem brzmieniu:

"Paryż, 9 listopada 1831.

"Moi drodzy młodzi przyjaciele!

"Przy każdej sposobności raduje się serce moje nowymi dowodami waszych — jak wam podoba się nazwać je — synowskich uczuć i z patrjotyczną dumą i braterską miłością przyjąłem wasz dar na rzecz bohaterskiej a teraz nieszczęsnej Polski.

"Smutna wiadomość z tej sławnej części Europy musiała was dojść niedługo po wysłaniu waszego miłego listu do nas. Ale teraz właśnie, więcej niż kiedykolwiek, pobici choć niezwyciężeni Polacy potrzebują przyjaznej pomocy; tysiące ich wybrały raczej śmierć na obczyźnie, niż uznanie miłości ojczyzny za winę i poddanie się jarzmu rosyjskiego despoty. W żadnym wypadku, nawet podczas walki, nie mogły być tak dobrze użyte ofiary przyjaciół prawdziwej sławy, takiej, która jest oparta na zasadach niepodległości i wolności.

"Amerykański Komitet został na moją prośbę utworzony w Paryżu dla pomocy w wypełnianiu obowiązku, nałożonego na niego przez ofiarodawców w Stanach Zjednoczonych. Utrzymujemy porozumienie z Polskim Komitetem Narodowym, który został niedawno stworzony w tem mieście i z Francuskim Komitetem, aby rozdział darów był możliwie najwłaściwszy.

"Właśnie z pod pomnika, który wasi poprzednicy wznieśli na cześć Kościuszki na historycznej ziemi westpoinckiej przekroczyły Atlantyk pierwsze ofiary dla jego rodaków. Ufajmy, że nadejdzie dzień, kiedy pod tym samym pomnikiem święcone będzie zmartwychwstanie Polski.

"Przyjmijcie, moi kochani młodzi przyjaciele, wyrazy ojcowskich uczuć i błogosławieństwo od amerykańskiego weterana,

"Lafayette'a."

Prorocze te niemal słowa generała spełniły się za naszej pamięci, kiedy wódz odrodzonej Polski, Józef Haller, odwiedził West Point.

Pobyt jego w zakątku nadhudsońskim był żywem świadectwem zmartwychwstania ojczyzny Kościuszki.

* * *

I jeszcze jedno nieznane wspomnienie o Kościuszce, związane już nie z West Pointem, ale jego dalszą okolicą — miastem Albany, stolicą stanu New York.

Kiedy w jesieni 1782 Waszyngton wybrał się w podróż inspekcyjną na północ kraju, Kościuszko należał do jego świty. Nadto byli w niej generałowie Lafayette, Hamilton, Steuben, Knox i Greene. Wojownicy odwiedzili, między innemi miastami, także Albany, gdzie zgotowano im owacyjne przyjęcie. Mayor Abraham Ten Broeck i rada miejska powitali ich w sławnej wówczas gospodzie Dennitsona, która znajdowała się u północno-zachodniego narożnika ul. Beaver i Green. Wśród mów i rozmaitych ceremonji Waszyngtonowi, Kościuszce i ich towarzyszom wręczono dyplomy honorowych obywateli Albany. Wieczorem zaś podejmowali ich albańczycy hucznie i gościnnie w rezydencji Schuylera.

---

*) Współczesny Kościuszce autor tak opisuje ów łańcuch: "Łańcuch był tak długi, jak szeroka jest rzeka między West Point a wyspą Konstytucji (około 500 jardów), gdzie był przytwierdzony do wielkich bloków po obu stronach. Ubezpieczały go baterje z obu brzegów rzeki. Ogniwa miały około dwanaście cali szerokości a osiemnaście cali długości, były zaś grube na dwa cale kwadratowe. Ciężki ten łańcuch wisiał na bardzo dużych kłodach, może na szesnaście stóp długich, albo i dłuższych, nieco zaostrzonych na końcach, aby zmniejszyć ich opór przeciw sile wody przy przypływie i odpływie. Kłody były umieszczone w niewielkich od siebie odstępach a łańcuch był przytwierdzony do nich przy pomocy haków, aby zapobiedz ich usunięciu się; nadto była zarzucona pewna liczba kotwic w odstępach od siebie, połączonych linami z łańcuchem, by go lepiej utrzymać na miejscu". Szesnaście ogniw z tego łańcucha przechowały się dotychczas i można je oglądać w West Point, w miejscu zwanem Trophy Point.

IX.

Kongres Stanów Zjednoczonych wobec śmierci Kościuszki.

(POCHWAŁA GENERAŁA KOŚCIUSZKI PRZEZ WILLIAMA H. HARRISONA)

Nie można o niej powiedzieć, że jest arcydziełem wymowy. Retorycznej piękności nie wiele w niej znajdziecie.

Ale ma ta pochwała wysoką wartość, jako jedyny pośmiertny akt hołdu urzędowej Ameryki dla pamięci Kościuszki i to wartość tem większą, że wyszła z ust męża, który potem został dziewiątym prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Kiedy Kościuszko umarł w Szwajcarji, William Henryk Harrison był członkiem kongresu ze stanu Ohio i generałem, wsławionym już w walkach z Indjanami i wojnie z r. 1812. Mowa jego świadczy, że był gorącym wielbicielem wielkiego Polaka.

Błędów historycznych w niej sporo. Ale właśnie dla tych błędów mowa ta jest dzisiaj tem ciekawsza, że daje nam poznać wyobrażenia Amerykanina z początku 19-go wieku o stosunkach w Polsce i o historycznej roli Kościuszki.

Błędy te spostrzeże łatwo każdy, obznajomiony jako tako z historją Polski i życiem Kościuszki.

Uwzględnić tu trzeba, że Harrison wygłosił poniższą pochwałę tuż prawie po dojściu wiadomości o śmierci Kościuszki do Ameryki, nie mógł więc opracować należycie bjograficznych szczegółów. Skądże miał je dostać, jeżeli pierwszy wiarygodny, na dokumentach oparty, polski życiorys Kościuszki pojawił się dopiero prawie w 100 lat po jego śmierci.

Harrisonowi zresztą chodziło o coś więcej, niż o wygłoszenie pochwały, która wkrótce miała przebrzmieć i spocząć w pleśniejących rocznikach kongresu.

Chodziło mu o jakieś trwalsze, wymowniejsze uczczenie pamięci "przyjaciela wolności i praw człowieka".

Nie jego wina, że kongres nie poczuł się do tego obowiązanym i nie podzielił tej gorącej czci dla Kościuszki.

W naszych oczach nie umniejsza to zasługi Harrisona, dla którego — za jego pamięć o Kościuszce — Polak amerykański czuć będzie zawsze wdzięczność.

Protokóły kongresowe notują, że we wtorek, dnia 20 stycznia 1818 r., reprezentant William Henryk Harrison z Ohio wniósł do niższej izby kongresu Stanów Zjednoczonych rezolucję, żądającą wyznaczenia komitetu, któryby wspólnie z komitetem, mianowanym w tym celu przez senat, rozważył, w jaki sposób należałoby uczcić publicznie pamięć generała Tadeusza Kościuszki, "byłego oficera w służbie Stanów Zjednoczonych, wytrwałego i głośnego przyjaciela wolności i praw człowieka".

Reprezentant Harrison, przedkładając swój wniosek, wypowiedział w izbie następującą mowę:

"Gazety doniosły o wypadku, który musi wzbudzić współczucie w każdej piersi amerykańskiej! Kościuszko, męczennik wolności, nie żyje! Wedle wiadomości, umarł on w Solurze, we Francji, zeszłego października.

"Przebiegając myślą wypadki z życia tego wielkiego człowieka, widzimy w nim stałość charakteru, która tembardziej godna jest podziwu, że się ją tak rzadko spotyka. Nie był on raz przyjacielem ludzkości, a drugi raz narzędziem ucisku jej; — ale przez całe życie swe zachował te szlachetne zasady, które wyróżniały go w młodości, kiedy to rzucił swój kraj i swych drogich, aby na drugiej półkuli walczyć za prawa ludzkości.

"Kościuszko urodził się i wychował w Polsce, ze szlacheckiej i wybitnej rodziny. Urodził się w kraju, w którym różnice klasowe są może bardziej wybitne, niz gdziekolwiek indziej. Stwórca jednak wyposażył go duszą, zdolną do podniesienia się nad ciasne przesądy kastowe i do zerwania pęt, które błędne wykształcenie nałożyło na jego umysł.

"Gdy był jeszcze bardzo młody, głos sławy doniósł mu, że sztandar wolności został podniesiony w Ameryce — że znieważony i uciemiężony naród postanowił zostać wolnym, lub zginąć w walce. Jego gorący i szlachetny umysł schwycił z zapałem ten święty płomień i od tej chwili Kościuszko został wiernym żołnierzem wolności.

"Stopień jego w armji amerykańskiej nie dał mu wielkiej sposobności do odznaczenia się. Ale przez cały ciąg służby czczono go dla tych zalet, które zdobią ludzki charakter. Jego bohaterskiej odwadze na polu bitwy mogła dorównać jedynie jego skromność i uprzejmość w życiu prywatnem. Żołnierze ubóstwiali go za męstwo, a oficerowie kochali i szanowali za dobroć serca i wielkie przymioty umysłu.

"Przyczyniwszy się wiele przez swe czyny do zdobycia niepodległości Ameryki, Kościuszko mógł tu pozostać i korzystać z dobrodziejstw, jakie daje wolność, pod opieką naczelnika, który kochał go i czcił i na łonie wdzięcznego i kochającego narodu.

"Kościuszko miał jednakowoż inne cele. Nie wiadomo, czy do czasu, o którym mówię, miał jakie wyrobione pojęcie o tem, co możnaby lub co należałoby zrobić dla własnej ojczyzny. Ale w wojnie rewolucyjnej poił się obficie temi zasadami, które ją wywołały. W rozmowach swych z mędrcami naszego kraju zdobywał nowe poglądy na sztukę rządzenia i prawa człowieka. Widział też, że aby być wolnym, potrzeba tylko, aby naród chciał być wolnym. A czy było możliwem zdobycie tych błogosławieństw dla Polski? Dla Polski, ojczyzny jego, która miała prawo żądać wszystkiej pracy jego, wszystkich usług jego dla siebie? Ten naród nieszczęśliwy jęczał pod

wielorakiem złem i był w takiem położeniu, jak chyba żaden inny naród w historji. Masy ludności były nędznymi niewolnikami szlachty; szlachta, podzielona na stronnictwa, stawała się raz narzędziem, to znowu ofiarą potężnych i chciwych sąsiadów. Rzeczpospolita przez intrygi, przekupstwa i przemoc straciła najpiękniejsze prowincje, a mieszkańców, jak bydlęta, oddawano w ręce obcych despotów, którzy czekali na stosowną chwilę, aby dokonać nowego rozbioru. Odrodzenie tak upadłego narodu, zdobycie dla kraju, znajdującego się w takich warunkach, błogosławieństw wolności i niepodległości, było pracą zarówno trudną, jak i niebezpieczną. Ale dla umysłu takiego jak Kościuszki ,trudności i niebezpieczeństwa przedsięwzięcia były pobudką do czynu.

"Historja tych czasów nie podaje nam szczegółów o postępach Kościuszki w pracy dla wielkiego dzieła, od chwili jego powrotu w Ameryki aż do przyjęcia nowej konstytucji polskiej w r. 1791. Jednakowoż ta przerwa i pozorna bezczynność zostały pożytecznie użyte na oświecenie umysłowej ciemnoty, która ogarniała jego rodaków; — na ożywienie nieświadomych i ograniczonych chłopów nadzieją przyszłego wyzwolenia; na nauczenie dumnej ale dzielnej szlachty, że prawdziwą sławę można znaleźć jedynie na drodze obowiązku i miłości ojczyzny. Wpływ jego cnót i jego przykład łagodził najsprzeczniejsze dążenia, rozpędzał najupartsze przesądy i łamał najzastarzalsze zwyczaje. Burza, którą przewidział i na którą przygotowywał się, wybuchła wreszcie nad Polską. Słaby, ale nielubiany rząd skłonił się przed jej zajadłością i poddał się pod rosyjskie jarzmo najeźdźcy. Ale naród był za dumny, by pójść za jego przykładem. W swej najcięższej chwili zwracał oczy na bohatera, który już staczał jego boje, na mędrca, który oświecił go i na patrjotę, który dał przykład osobistych poświęceń dla wyzwolenia narodu.

"Kościuszko został jednogłośnie wybrany naczelnym wodzem Polski z nieograniczoną władzą do czasu, gdy nieprzyjaciel zostanie wypędzony z kraju. Na łonie jego cnót naród mógł spoczywać z zupełną ufnością; i z pewnem pocieszeniem można wspomnieć w obecnych czasach powszechnego upodlenia ludzkości, że równocześnie zdarzyły się dwa przykłady, w których tego rodzaju władza została użyta jedynie w tym celu, w jakim została nadana". (Harrison mówi o Kościuszce i Waszyngtonie).

"Nie jest moim zamiarem, panie przewodniczący, iść w ślady wodza polskiego przez zwycięstwa, które przez jakiś czas uwieńczały jego wysiłki. Wiedziona jego talentami i prowadzona jego odwagą niekarna, źle uzbrojona milicja Kościuszki uderzała ze skutkiem na weteranów rosyjskich i pruskich; opancerzeni kirasjerzy wielkiego Fryderyka poraz pierwszy zostali złamani i uciekli przed lżejszą i zręczniejszą konnicą polską. Nadzieja przepełniała serca patrjotów. Po długiej nocy nad Polską zdawał się wschodzić świt chwalebnego

dnia. Ale dla bystrego oka Kościuszki światło to było mdłe i złowróżbne, zapowiadające jeszcze straszniejszą burzę niż ta, którą już przetrzymał.

"Przygotowywał się do stawienia jej czoła z odwagą, ale z siłami zupełnie niedostatecznemi. Połączeni despoci, mając po swojej stronie przewagę liczby, taktyki, dyscypliny i niewyczerpanych zasobów, zapewnili sobie nadto poparcie stronnictwa w sercu Polski. A chociaż może ona poszczycić się Waszyngtonem, hańbi ją również zrodzenie drugiego Arnolda. Nadszedł wreszcie dzień, który miał stanowić o losie narodu i bohatera. Opatrzność w swych mądrych celach postanowiła, że ma to być ostatni dzień wolności polskiej. Losy, zaprawdę, były już rozstrzygnięte przed rozpoczęciem bitwy. Zdrajca Poniński, który z oddziałem zakrywał pochód armji polskiej, oddał swą pozycję w ręce nieprzyjaciela i cofnął się.

"Kościuszko był zdumiony, ale nie strwożony. Uszykowanie jego armji przyniosłoby zaszczyt nawet Hannibalowi. Walka, jaka nastąpiła, była okropna. Kiedy zdolności generała nie mogły kierować stłoczoną masą walczących, wojownik oddał ramię na pomoc swym żołnierzom. Dokazywał cudów waleczności. Bajeczna dzielność Ajaksa, broniącego okrętów greckich, została urzeczywistniona przez polskiego bohatera. Wojska jego nie ustępowały mu w dzielności. Dopóki głos jego kierował niemi, dopóki przykład jego zapalał je, były niezwyciężone. W tej nierównej walce długo widziano Kościuszkę, aż wreszcie stracono go z oczu".

"Hope for a season bade the world farewell,
An freedom shriek'd when Kosciuszko fell".
(Nadzieja na długo pożegnała świat,
A wolność jęknęła, gdy Kościuszko padł.)

"Padł on okryty ranami, ale jeszcze żywy. Kozak byłby mu przebił pierś, gdyby oficer nie powstrzymał go. "Niechaj zrobi co zamierza", rzekł okryty krwią bohater; "jestem wiernym Ojczyźnie żołnierzem i nie przeżyję utraty jej wolności". Imię Kościuszki uderzyło w serce Tatara, jak ongiś imię Marjusza zdumiało cymbryjskich wojowników. Podniesiona broń wypadła mu z ręki.

"Kościuszko został przeniesiony do lochów Petersburga; a caryca Katarzyna, ku wiecznej swej niesławie, zrobiła go celem swej zemsty, choć nie mógł już być strasznym dla niej. Jej szlachetniejszy syn przywrócił mu wolność. Resztę swego życia spędził Kościuszko w cnotliwem usunięciu się z widowni publicznej. Z czasów swego pobytu we Francji opowiadają o nim anegdotę, którą dobrze przedstawia jak jego cnoty i zasługi opanowały umysły rodaków.

"Podczas ostatniego najazdu Francji kilka pułków polskich w służbie Rosji przechodziły przez wieś, w której mieszkał. Dowiedziawszy się, że Polacy dopuszczają się łupiestwa na mieszkańcach, Kościuszko wyszedł z domu. "Kiedy ja byłem polskim żołnierzem", powiedział do łupieżców, "własność spokojnych obywateli była sza-

nowaną". — "A kim ty jesteś!", powiedział jeden z oficerów, "który przemawiasz do nas takim rozkazującym tonem?" — "Jestem Kościuszko!" Było to czarodziejskie słowo. Przebiegło ono od oddziału do oddziału. Żołnierze otoczyli go i patrzyli w zadziwieniu i przestrachu na potężną ruinę swego wodza. Czyżby naprawdę był to ich bohater, którego sława była sławą ojczyzny? Tysiące ciekawych myśli spadły na ich umysły; pamiętali jego patrjotyzm, jego poświęcenie dla wolności, jego tryumfy i jego sławny upadek. Żelazne ich serca zmiękczały a tkliwa łza spłynęła im po policzkach, zahartowanych na niepogody. Możemy łatwo domyśleć się, panie przewodniczący, jakie były uczucia bohatera w tej chwili. Wielkie jego serce musiało nabrzmiewać wzruszeniem, kiedy znalazł się znowu otoczony towarzyszami swej sławy. Pewnie przez chwilę otwierały mu się usta, by powiedzieć im:

"Behold your General! come once more
To lead you on to laurel'd victory,
To fame, to freedom".
(Patrzcie na swego wodza! Pójdźcie za nim razem
Niech raz jeszcze was wiedzie po zwycięstwa wieniec,
Po sławę i po wolność).

"Złudzenie to mogło trwać tylko chwilę. Kościuszko sam, niestety, był tylko godnym litości kaleką, a oni! — oni nie byli już żołnierzami wolności, ale narzędziem dumy i tyranji. Przejęty żalem na tę myśl, powrócił do swego domku, by na nowo opłakiwać niedolę swego kraju.

"Taki był to mąż, panie przewodniczący, dla którego pamięci proszę o drobny hołd czci od amerykańskiego kongresu. Nie na to, panie przewodniczący, by uwiecznić jego sławę, ale naszą wdzięczność. Sława jego będzie żyła tak długo, jak długo wolność trwać będzie na ziemi; jak długo czciciel składać będzie kadzidło na jej ołtarzu, imię Kościuszki będzie uwielbiane. A jeśli, za wspólną zgodą świata, zostanie kiedyś zbudowana świątynia ku czci tych, którzy oddali ludzkości największe usługi, jeżeli posąg naszego wielkiego rodaka zajmie miejsce "najgodniejszego", posąg Kościuszki będzie tuż obok niego i wieniec laurowy, spleciony z palmą cnoty, ozdobi jego czoło".

Mowa Harrisona została przedrukowana przez prasę ówczesną, ale rezolucja jego o uczczeniu pamięci Kościuszki przez kongres natrafiła na opór z powodów formalnych. Sprzeciwiano się jej w izbie dlatego, że żądała także wyznaczenia komitetu od senatu, a nie od samej izby.

Harrison nie dał jednak za wygraną i w kilka dni potem, w czwartek, 22 stycznia, 1818 r., cofnął poprzednią rezolucję, a na jej miejsce wniósł następującą:

"Zważywszy, że Izba Reprezentantów żywi najwyższą cześć dla pamięci generała Kościuszki i jego zasług, członkowie Izby okażą tę cześć przez noszenie żałobnej krepy na lewem ramieniu przez miesiąc".

Wniosek wywołał dyskusję, w której Harrison przemawiał za nim, a reprezentanci Reed, Forsyth i Desha przeciw. Wobec tej opozycji Harrison oświadczył, że manifestacja powinna być jednomyślną, gdyż brak jedności zniszczy jej wartość. Dlatego wycofuje i drugi swój wniosek, przeświadczony, że przynajmniej sam uczynił dla pamięci Kościuszki to, co mu dyktowało sumienie.

W debacie, jaka rozwinęła się na ten temat, mówcy przyznawali wielkie zasługi Kościuszki, "obrońcy wolności i przyjaciela ludzkości", — jak notują sprawozdania kongresowe. Ale przypominali, że żadnego ze zmarłych bohaterów walki o niepodległość nie uczczono przez noszenie krepy żałobnej, oprócz tylko jednego Jerzego Waszyngtona. Dlatego też nie chciano teraz robić wyjątku dla Kościuszki.

Na tem sprawa skończyła się i kongres nie "uwiecznił swej wdzięczności" dla pamięci Kościuszki, jak tego pragnął William Henryk Harrison, późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych.

X.

Walka o spadek Kościuszki.

"Jeżeli pozwolimy na wyrządzenie tego gwałtu i uwiecznienie tej niesprawiedliwości, która niewątpliwie zostanie uwieczniona, o ile jej nie zapobiegniemy, to nietylko pozwolimy na okropne pokrzywdzenie spadkobierców nieśmiertelnego Kościuszki, na rozmyślne, z zimną krwią uplanowane i oszukańcze pozbawienie ich całego majątku, ale także na wielką hańbę, która spadnie na nasz naród".

(Z mowy senatora Henryka S. Foote z Mississippi, wygłoszonej w senacie 9-go maja 1850 r.)

Możnaby spory tom zapisać o sprawie amerykańskiego spadku po Tadeuszu Kościuszce, gdyż ciągnęła się przez dziesiątki lat i do dzisiaj jeszcze nie można jej uważać za rozstrzygniętą. Jednakowoż szczegóły jej byłyby niewiele interesujące dla ogółu, a nawet dla specjalistów prawników, którzy tylko z trudnością mogliby się dzisiaj rozeznać w olbrzymiej masie nagromadzonego materjału i przebić się przez nią do jądra rzeczy.

To też nie chodzi nam w niniejszym szkicu o losy samej spuścizny Kościuszki, ale raczej o jedną fazę tej długiej walki, fazę tembardziej interesującą, że przed osiemdziesięciu laty, była to głośna sprawa w Ameryce, omawiana w prasie i dyskutowana w obu izbach kongresu.

Nie już o sam spadek chodziło w niej, ale raczej o ochronę wygnańca polskiego przed drapieżnością Rosji, która nawet na tej wolnej półkuli szukała swych ofiar i pod bokiem rządu republikańskiego prześladowała nienawistnych sobie "buntowników" polskich.

Z żalem bezstronny obserwator tych wydarzeń przyznać musi, że, o ile z jednej strony, prywatna opinja amerykańska stanęła przeważnie przy niewinnie uciśnionym, o tyle, z drugiej strony, urzędowy Waszyngton, zahypnotyzowany potęgą Rosji, związany z nią przyjaźnią, z obojętnością odwrócił się od Polaka-obywatela tej ziemi, który prosił tylko o to, co mu się z racji tegoż obywatelstwa należało.

Główną figurą w tym epizodzie z dawnych dziejów wychodźtwa polskiego w Ameryce był Kasper (Gaspard) Tochman, major wojsk polskich z 1831 roku, który przybywszy do Ameryki po upadku powstania, własną pracą dorobił się wysokiego stanowiska i poważania w najwyższych kołach amerykańskich. Znała go niemal cała Ameryka, głównie z jego wytrwałej pracy agitacyjnej na rzecz Polski.

Kościuszko przybył do Ameryki ponownie w r. 1797, aby odwiedzić dawnych swych towarzyszów broni i odetchnąć po trudach niewoli petersburskiej. Przywiózł wtedy ze sobą, prócz wielu innych prezentów, sporą sumę pieniędzy, któremi obdarzono go podczas tryumfalnej podróży po Europie. Sam Kościuszko nie chciał korzystać z tej gotowizny. Na wyjezdnem z Ameryki pozostawił pieniądze w rękach swego przyjaciela, Tomasza Jeffersona, który ulokował je w papierach rządowych. Kościuszko zostawił nadto u Jeffersona sławny testament, datowany 5-go maja 1798 r., którym zapisywał całą tę sumę na cele uwolnienia z niewoli murzynów i "dania im takiego wykształcenia, jakieby pomogło im do zostania dobrymi ojcami, dobremi matkami, dobrymi synami i dobremi córkami". Dokument wyznaczał Jeffersona wykonawcą woli. Procenty lub dywidendy od funduszu miały być posyłane Kościuszce do Europy jak długo żył, co też Jefferson wypełniał z jak najskrupulatniejszą punktualnością.

Oprócz powyższej gotówki, amerykański majątek Kościuszki składał się z wielkiego obszaru ziemi, nadanego mu przez kongres za zasługi w wojnie rewolucyjnej. Dotychczas wśród Wychodźtwa utrzymuje się podanie, że dzisiejsze miasto Cincinnati, O., jest zbudowane na gruntach Kościuszki. Ks. Andrzej Ignasiak, proboszcz par. św. Stanisława w Erie, Pa., w swych "Wrażeniach z Podróży do Polski", drukowanych w eriejskiej "Trybunie Polskiej", podaje ciekawy szczegół o tych gruntach. W drodze do Polski zabawił on przez parę dni w Nowym Jorku, u swego przyjaciela p. Kahanowicza, zapalonego miłośnika polskich zabytków przeszłości, posiadającego między innemi, w swych zbiorach 47 listów własnoręcznych Kościuszki. W kolekcji tej znalazł też ks. Ignasiak "deed", wykazujący, że ziemi tej było 5,000 akrów w okolicy Cincinnati, Ohio, i że posiadłość tę Kościuszko sprzedał niejakiej Ludwice Fr. Felix za 9,000 liwrów, t. j. około 27,000 dolarów. Chociaż więc w późniejszej walce o spadek niejednokrotnie akty wspominają o gruntach Kościuszki w Ohio, można wobec tego dokumentu przypuszczać, że sprawa gruntów przez sprzedaż tą została ostatecznie załatwiona.

Amerykański spadek Kościuszki składał się więc wyłącznie z pieniędzy, zapisanych na szlachetny cel wykupienia murzynów z niewoli. Jednakowoż sprawa wykonania tego testamentu gmatwała się coraz więcej, a przeszkody prawne, bardzo być może, że stawiane umyślnie, — piętrzyły się coraz liczniejsze. Ostatecznie wolę Kościuszki skrzywiono i zmarnowano, a fundusz rozpłynął się bez śladu. Na odszukanie go dzisiaj i wydarcie przywłaszczycielom trzebaby długoletniej pracy i wielu tysięcy dolarów, o ile wogóle odzyskanie funduszu byłoby jeszcze możliwe.

W październiku 1817 r., Kościuszko umarł w Szwajcarji, wobec czego Jefferson wniósł do sądu celem legalizacji jego testament z 5-go maja 1798. Sam jednak, nie czując się na siłach z powodu starości, odmówił przyjęcia obowiązków administratora funduszu. Sąd

opiekuńczy Dystryktu Kolumbia zamianował Benjamina Leara z Waszyngtonu administratorem.

Ani jednak Lear, ani następni po nim administratorzy nie wykonali poleceń wielkiego męża. Dopiero w 9 lat po śmierci Kościuszki natrafiamy na pierwszą próbę realizacji jego woli. "Niles' Register" z Baltimore donosił w sierpniu 1826:

"Instytucja pod nazwą Szkoły Kościuszki ma być wkrótce założona koło Newark, N. J. Została ona zorganizowana na ostatniem posiedzeniu trustysów Stowarzyszenia Edukacyjnego Afrykanów w tem mieście. Jest w planie, aby użyć fundusz Kościuszki, wynoszący obecnie wraz z procentami około $23,000 i zebrać drogą składek takąż sumę na wyposażenie tej szkoły. Tomasz Jefferson, świetnej i nieodżałowanej pamięci wykonawca testamentu Kościuszki, oddał jeszcze za swego życia zarząd nad tym świetnym funduszem w ręce Benjamina L. Leara, jednego z członków rady trustysów tegoż Stowarzyszenia. Jesteśmy upoważnieni do oświadczenia, że użycie funduszu wedle planu, przedstawionego na powyższem posiedzeniu i przyjętego przez trustysów, zostało aprobowane przez Jeffersona".

Drugim śladem tej Szkoły Kościuszki jest następujący ustęp ze sprawozdania rady zarządzającej Amerykańskiego Towarzystwa Kolonizacyjnego za rok 1827:

"Rada usłyszała ze zadowoleniem, że instytucja, nazwana Szkołą Kościuszki, została założona w New Jersey i że jednym z jej głównych celów jest wyszkolenie młodych murzynów do użytecznej pracy w Liberji. Nazwisko Kościuszki jest związane z tą szkołą dla uczczenia pamięci tego wielkiego męża, który przy swym ostatecznym wyjeździe z Ameryki powierzył p. Jeffersonowi fundusz na wykupno i wykształcenie niewolników afrykańskich. Fundusz ten, pod pewnymi warunkami, ma być użyty na korzyść tego seminarjum. Wierzymy, że będzie ono długo trwało jako pomnik miłosierdzia tego szlachetnego cudzoziemca, którego odwaga i służba dla sprawy wolności i ludzkości są szanowane w całym naszym kraju i w świecie cywilizowanym.".

Wbrew jednak tym nadziejom, Szkoła Kościuszki musiała istnieć krótko i nie pozostawić po sobie żadnych trwalszych śladów.

W pół wieku potem zaginął po niej tak doszczętnie wszelki słych, że gdy na łamach "Magazine of American History" z r. 1882 czytelnik pewien dopytywał się o historję szkoły i miejsce jej, nikt mu nie umiał dać na to odpowiedzi.

Przypuszczać można, że do upadku Szkoły Kościuszki przyczyniła się decyzja sądów, które uznały testament, przekazujący fundusze na kształcenie murzynów, za "zbyt niejasny i nieokreślony" i dlatego nieważny.

Czy chodziło tu o czyjeś niskie cele prywatne, trudno powiedzieć, dosyć na tem, że otworzyło to drogę do całego szeregu procesów spadkowych.

Kościuszko umarł w stanie bezżennym i bezdzietnym. Najbliższymi jego krewnymi i spadkobiercami w czasie śmierci były dzieci i wnuki jego dwuch sióstr: szczególnie ukochanej Anny, zamężnej za Piotrem Estko, i Katarzyny, zamężnej za Żółkowskim.

Już w r. 1818 Poletica, rosyjski minister w Waszyngtonie, zawiadomił spadkobierców przez namiestnika Królestwa Polskiego, generała Zajączka, o otwarciu sukcesji do spadku Kościuszki. W r. 1823, po uznaniu testamentu z 5-go maja 1798 r. za nieważny, Stanisław Estko, major armji polskiej a wnuk Kościuszki, oraz Katarzyna Estko, w imieniu swych nieletnich dzieci, upoważnili barona de Thuye, następcę Poletici, do wynajęcia amerykańskiego adwokata, któryby przeprowadził sprawę o spadek.

Powierzono ją prawnikom Swan i Sampson z Waszyngtonu, którzy obaj zmarli w r. 1836 nie dokonawszy niczego. Są poszlaki, że do niepowodzenia sprawy przyczyniły się w znacznej mierze wpływy administratorów funduszu, którzy nie byli bardzo skorzy do wypuszczenia z rąk intratnej dla siebie schedy.

Następnie przez długi czas spadkobiercy Kościuszki nie mieli w Ameryce przedstawiciela prawnego, z czego usiłowali skorzystać nawet zwykli oszuści, pozujący na jego potomków.

Przedewszystkiem pojawił się na horyzoncie niejaki Klimkiewicz, który rozpoczął sprawę o spadek na podstawie dokumentów, prawdopodobnie podrobionych. Klimkiewicz ogłaszał się wszędzie za wnuka Kościuszki po jego siostrze i gdzie się dało zaciągał długi na rachunek przyszłego spadku. Ignacy Chutkowski, krewny Estków i wygnaniec polityczny, mieszkający wówczas w Nowym Jorku, doniósł do kraju o pojawieniu się samozwańca i uzyskawszy od Estków potrzebne papiery, usiłował niedopuścić do przejścia spadku w ręce oszusta. Sprawę, ciągnącą się przez parę lat, przerwała ostatecznie śmierć Klimkiewicza.

Drugim roszczącym sobie pretensje do spadku był Kościuszko Armstrong, zapewne syn albo wnuk generała Armstronga, towarzysza Kościuszki, nazwany "Kościuszką", wedle zwyczaju amerykańskiego, przez cześć rodziców dla wielkiego imiennika. Ów Armstrong, na podstawie jakiegoś testamentu z r. 1806, próbował zagarnąć spadek dla siebie, a nawet uzyskał w sądzie wyrok na 10,000 dolarów. Wykonanie wyroku zostało jednakowoż wstrzymane dzięki zabiegom majora Tochmana, który odszukał jakiś nowy testament Kościuszki z r. 1816, unieważniający podobno wszystkie poprzednie.

Wśród tego zamętu prawnego rodziny Estków i Żółkowskich wznowiły swe starania o pozyskanie spadku i w r. 1843 upełnomocniły Ignacego Chutkowskiego do wszczęcia nowych kroków prawnych.

Rosyjskim ministrem w Waszyngtonie był wówczas Aleksander Bodisco, typowy biurokrata rosyjski, nienawidzący Polaków z głębi swej podłej duszy, ale układny i usiłujący zachować pozory demokratyczne wobec rządu waszyngtońskiego.

Chutkowski, nie mogąc dojść sam do ładu z adwokatami, doradził Estkom, aby prosili Bodisca o pomoc, spodziewając się, że przyniesie to im korzyść i przyśpieszy rozwiązanie sprawy. Estkowie usłuchali rady i na skutek ich prośby Bodisco powierzył prowadzenie procesu adwokatom J. H. Bradleyowi i Bayardowi Smith z Waszyngtonu. Okazało się jednak, że Smith był krewnym pułkownika Bomforda, ówczesnego administratora funduszu Kościuszki, z którego rąk należało spadek wyrwać. Wobec tego spadkobiercy zażądali zmiany adwokata i, w miejsce Smitha, Bodisco wyznaczył P. R. Fendalla, również członka palestry waszyngtońskiej.

Bradley i Fendall byli to prawnicy o znacznej renomie i szerokich wpływach, ale i oni sprawy swych klijentów nie posunęli naprzód. Korespondencja ich z Katarzyną Estko z Siechnowicz, która załatwiała z nimi interesy w imieniu całej rodziny, wykazuje, że przedewszystkiem chodziło im o wynagrodzenie. Chutkowski widząc ich opieszałość i interesowność zerwał z nimi i w listopadzie 1845, na mocy swego pełnomocnictwa zaangażował majora Tochmana, adwokata w Nowym Jorku, do dalszego prowadzenia procesu.

Estkowie z największą gotowością zaaprobowali wybór Chutkowskiego i major Tochman, wszedłszy z konieczności w porozumienie z Fendallem i Bradleyem, jako obznajomionymi ze sprawą, zabrał się energicznie do pracy, zadawalając sie obietnicą późniejszego wynagrodzenia, zależnie od wyniku procesu. Przedewszystkiem przekonał się, że majątek Kościuszki, wskutek złego zarządu, znajduje się w stanie niewypłacalności. Przez szybką akcję uratował jednak fundusz, który wówczas wraz z odsetkami wynosił już 60,000 dolarów, i w małej części złożony był w papierach wartościowych, przeważnie zaś w gotówce. Administratora, pułk. Bomforda, zmusił Tochman sądownie do złożenia kaucji odpowiedniej wysokości. Ponadto odkrył, jak już wyżej wspomnieliśmy, nowy testament Kościuszki, ułożony na rok przed śmiercią, a nieznany dotychczas spadkobiercom, przez co utorował im drogę sukcesji.

Sprawa zdawała się wyjaśniać. Ale wtedy zdarzyło się to, czego może najmniej spodziewali się spadkobiercy Kościuszki i sam major Tochman. Na widownię wszedł minister Bodisco.

"Major Tochman ,na swe nieszczęście, jest polskim wygnańcem politycznym", podawał artykuł ze starych roczników "New York Tribune". — "Jest on naturalizowanym obywatelem i członkiem palestry Stanów Zjednoczonych. Nie przestał jednakowoż być siostrzeńcem sławnego bohatera polskiego, Jana Skrzyneckiego, który w r. 1830 wstrząsnął tronem samodzierżcy aż do jego posad. Nadto sam major Tochman, jako młodzieniec, był żołnierzem tej armji, która w r. 1830 walczyła o wolność Polski. Fakty te, a także odczyty i mowy publiczne majora Tochmana przed publicznością amerykańską i w ciałach ustawodawczych o polityce Rosji i historji i nadziejach Polski, nie mogły nie zwrócić uwagi rosyjskiego dyplomatycznego przed-

stawiciela przy naszym rządzie. Kiedy p. Bodisco dowiedział się, że major Tochman został doradcą prawnym spadkobierców Kościuszki, natychmiast zażądał od adwokatów, z którymi major Tochman połączył się (t. j. od Fendalla i Bradleya), aby wystarali się o wyłączne dla siebie pełnomocnictwo wprost od spadkobierców Kościuszki, gdyż ci są poddanymi rosyjskimi a major Tochman niema prawa przeprowadzać dla nich jakiejkolwiek sprawy, albowiem zakazują mu tego prawa Rosji jako wygnańcowi politycznemu. Wspólnicy majora Tochmana (Fendall i Bradley) przyjęli tę propozycję. Następujący ustęp z listu, który p. de Bodisco wysłał do Katarzyny Estko, prowadzącej korespondencję w imieniu całej rodziny Estków, wyjaśni co dalej nastąpiło:

Waszyngton, 15 lutego, 1846.

"Pani: Otrzymałem list pani i śpieszę z odpowiedzią. Wysłałem właśnie do ministerstwa Jego Cesarskiej Mości dokumenty, które wkrótce zostaną jej zakomunikowane. Będzie pani wezwana do podpisania nowego pełnomocnictwa, w którem pani formalnie zamianuje jako swych adwokatów panów Fendalla i Bradleya. Nowe to pełnomocnictwo unieważni upoważnienie, jakie pani nierozważnie dała p. Chutkowskiemu. Krewny pani może być jej bardzo oddany, ale stanowisko jego (jako byłego powstańca polskiego) nie pozwala cesarskiej legacji wchodzić z nim w jakikolwiek stosunek, a tem mniej z Tochmanem".

Rząd rosyjski, otrzymawszy od Bodisca raport o wrogiej dla siebie działalności Tochmana w Ameryce i jego stosunkach ze spadkobiercami, czemprędzej wykonał instrukcje waszyngtońskiego ministra i zmusił rodzinę Estków do podpisania pełnomocnictwa na protegowanych przez legację Fendalla i Bradleya. Było to już samo w sobie pogwałceniem traktatów istniejących między Rosją a Stanami Zjednoczonymi i zaczynało nadawać całej sprawie charakter polityczny. Dalsze wypadki spotęgowały go jeszcze.

Tochman, dowiedziawszy się o usunięciu go przez Bodisca od sprawy, publicznie zarzucił mu gwałt i podstęp i nie myślał ustępować. Między adwokatami doszło do zerwania stosunków i do otwartego sporu, kto właściwie ma prawo reprezentować Estków. Fendall i Bradley rościli sobie do tego pretensje na mocy świeżo zdobytego pełnomocnictwa i stosunków z legacją rosyjską, Tochman zaś na mocy pełnomocnictwa Chutkowskiego i korespondencji z rodziną Estków. Sprawa oparła się o sąd w Waszyngtonie, ale nim została zadecydowana, na widowni pojawiła się nowa osobistość.

Był nią Władysław Wańkowicz, prawnuk Kościuszki z bocznej linji. Z rodowodu jego, złożonego razem z innymi papierami między dokumentami tej sprawy, okazuje się, że po odbyciu 10-letniej służby w wojsku rosyjskiem, wystąpił z niego w r. 1839 w randze kapitana i osiadł na swej wsi Kamionce w okolicy Wilna. Widocznie cieszył

się zaufaniem obywateli, gdyż przez kilka lat piastował z wyboru urząd sędziego sądu okręgowego wileńskiego.

Rząd rosyjski, łaskawszy na rodzinę Żółkowskich, jako nie zadających się dotychczas z Tochmanem, pozwolił im w r. 1847 na wysłanie Wańkowicza do Ameryki celem osobistego doglądnięcia sprawy spadku, który w równej mierze należał się Estkom, jak i Żółkowskim.

Wańkowicz wyjechał do Ameryki z wyraźnym rozkazem rządu rosyjskiego, że ma natychmiast po wylądowaniu zgłosić się do Bodisca. Miało to na celu oddanie go w ręce ministra w Waszyngtonie i zdyskredytowanie majora Tochmana wobec opinji amerykańskiej przez wysunięcie przeciw niemu jednego ze spadkobierców. Sprawa bowiem nabierała już rozgłosu w Ameryce. Uczciwa prasa i szlachetniejsza część społeczeństwa amerykańskiego stanęła po stronie polskiej przeciw legacji rosyjskiej, zwłaszcza, że major Tochman oddawna cieszył się szeroką sympatją. Gdyby więc teraz Wańkowicz wystąpił przeciw niemu, byłoby to do pewnego stopnia rehabilitacją Bodisca.

Jednakowoż intryga rosyjska spaliła na panewce.

Wańkowicz, po przybyciu do Ameryki we wrześniu 1847, wbrew instrukcjom rosyjskim, udał się naprzód do Tochmana. Ten doradził mu jednak, aby nie narażał niepotrzebnie siebie i sprawy. Chociaż więc rozumiał, że wyjdzie to na jego własną niekorzyść, polecił Wańkowiczowi udać się zaraz do ministra i zastosować się do jego żądań.

Bodisco natychmiast rozkazał Wańkowiczowi odwołać wszelkie pełnomocnictwa na majora Tochmana i nadto zabronił mu najmować do obrony swych interesów Reverdy'ego Johnsona, wybitnego prawnika, ówczesnego senatora i późniejszego generalnego prokuratora Stanów Zjednoczonych, który z przyjaźni dla Tochmana tuż przed przyjazdem Wańkowicza podjął się dalszego prowadzenia sprawy spadku Kościuszki wspólnie ze swym kolegą.

Bodisco tryumfował. Adwokatami spadkobierców Kościuszki zostali znowu jego poplecznicy Fendall i Bradley. Tochman był upokorzony, a Wańkowicz, bojąc się, aby opór jego przeciw carskiemu ministrowi nie został uznany za bunt i nie ściągnął kary na niego i całą rodzinę, poddał się chwilowo jego zarządzeniom, chociaż zmiana adwokatów nie mogła być z korzyścia dla sprawy samego spadku.

Wańkowicz był jednak za uczciwym człowiekiem, aby długo w tej fałszywej roli wytrwać. Spostrzegłszy że jest narzędziem w ręku Bodisca dla poniżenia znienawidzonego przez niego Tochmana i że dłużej niemoże słuchać rozkazów ministra bez narażenia na szwank swego imienia i honoru, zawiadomił Fendalla i Bradleya, że pełnomocnictwo ich jest skończone i że odtąd major Tochman i Reverdy Johnson są jego wyłącznymi zastępcami prawnymi.

To doprowadziło Bodisca do wściekłości. Spotkawszy Wańkowicza na ulicy Waszyngtonu, minister zwymyślał go ordynarnie i zagro-

ził posłaniem na Sybir. Nie przestając na tem, czemprędzej napisał raport do Petersburga o "buncie" prawnuka Kościuszki i w rezultacie Wańkowicz dowiedział się niedługo, że jego Kamionka w Wileńszczyźnie, wartości 120,000 rubli, została skonfiskowana za nieposłuszeństwo władzom.

Tak rząd rosyjski postąpił ze swym poddanym, byłym oficerem swej armji, za to, że poważył się w sprawie czysto osobistej postąpić nie według rozkazów czynownika.

W odpowiedzi na tę krzyczącą niesprawiedliwość, Wańkowicz wyrzekł się poddaństwa carowi i wyjął pierwsze papiery obywatelskie. Wyzuty ze swej własności, był teraz nędzarzem, rzuconym zbiegiem okoliczności na obcą ziemię. Próbował Wańkowicz szukać sprawiedliwości przez memorjał wprost u cara Mikołaja I, potem u ministra spraw zagranicznych Nesselrodego, ale system rosyjski był nieubłaganą machiną. Kto się raz dostał w jej tryby, tego miażdżyła bezlitośnie.

Major Tochman pośpieszył mu jednak na pomoc — i za jego inicjatywą Reverdy Johnson, wówczas już generalny prokurator, wyrobił Wańkowiczowi posadę urzędnika w jednem z biur rządowych w Waszyngtonie. Johnson uczynił to ze szczerej życzliwości. "Potomek Kościuszki, który widocznie odziedziczył patrjotycznego ducha swego przodka, zawsze znajdzie w Amerykaninie, pomnym na przeszłość, jak największą sympatję" — pisał Johnson w liście do Wankowicza w sprawie tej posady.

Wszystko to nie nasyciło żądzy zemsty Bodisca. Kiedy Johnson, upełnomocniony przez Wańkowicza, zażądał od niego wydania papierów tyczących sprawy spadku Kościuszki, Bodisco odpowiedział mu niegrzecznie i odmownie, tłumacząc się wykrętnie, że bez wiedzy swego rządu nie może nic wydawać z legacji.

Dopiero, gdy Johnson zagroził mu zajęciem papierów bez pytania o pozwolenie z Petersburga, Bodisco zmiękł i już w grzeczniejszym tonie prosił o porozumienie się z Fendallem i Bradleyem w tej kwestji.

Zabrnąwszy w kolizję z prawem międzynarodowem, Bodisco szedł już coraz dalej, byle tylko dopiąć swego. Odmawiając uznania pełnomocnictwa majora Tochmana i Johnsona, wystosował list wprost do sędziego sądu opiekuńczego w Waszyngtonie, przed którym toczył się proces spadkowy, z żądaniem powstrzymania wszelkiej akcji, która niema sankcji jego sprzymierzeńców Fendalla i Bradleya.

Stanowiło to jawne pogwałcenie przywilejów dyplomatycznego reprezentanta, który uświęconym zwyczajem może porozumiewać się z władzami krajowemi tylko przez departament stanu. Niewinna sprawa spadkowa przemieniła się w skandal polityczny, o którym pisała już cała prasa amerykańska.

Major Tochman, wobec tej drapieżnej mściwości Bodisca, nie pozostawał bezczynny.

Już w październiku 1846 r., gdy Bodisco wysłał na niego donos do Petersburga, Tochman wystosował memorjał do prezydenta Stanów Zjednoczonych, Polka, z prośbą o udzielenie mu takiej ochrony przed represjami ministra, jaka przynależy mu z tytułu obywatelstwa.

"Zawiadomiono mnie niedawno", pisał major Tochman w tym memorjale, "że rosyjski pełnomocny minister, p. Bodisco, napisał do Petersburga urzędową notę dyplomatyczną z żądaniem, aby jego rząd zmusił spadkobierców generała Kościuszki do odwołania mego pełnomocnictwa i do wysłania nowego na pp. Fendalla i Bradleya. Uczynił on to nie z innych powodów, jak tylko z tych, że jestem Polakiem z pochodzenia i uciekłem przed politycznem prześladowaniem cara rosyjskiego.

"Ponieważ takie wmieszanie się obcego ministra w prawa i przywileje obywatela kraju, do którego został wysłany jako przedstawiciel swego władcy, jest zupełnie niezgodne z międzynarodowym zwyczajem, gwałci prawo narodów i może okazać się bardzo zgubne dla kraju, który w ten sposób pozwoliłby obcemu ministrowi deptać prawa swych adoptowanych obywateli, przeto proszę Waszej Ekscelencji aby p. Bodisco został wezwany do natychmiastowego zaniechania podjętych przez siebie kroków i do odwołania wyżej wspomnianej noty, wysłanej do swego rządu. A jeżeli będzie trwał w swem nieprawnem i bezwzględnem postępowaniu, zechce Wasza Ekscelencja podjąć takie środki, jakie będą zgodne z honorem mej przybranej ojczyzny i dostateczne do ochrony moich praw".

Na memorjał major Tochman nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Wkrótce potem rozeszła się pogłoska, iż Bodisco stara się u rządu amerykańskiego o wydanie Tochmana w ręce władz rosyjskich. Tochman ponownie zaapelował do rządu o swą ochronę. Wówczas dopiero sekretarz stanu, Jakób Buchanan, odpowiedział mu krótko, iż uważa interwencję rządu za niewskazaną w jego sprawie.

Wobec niechęci rządu do jakiejkolwiek akcji, gdy tymczasem Bodisco nie przestawał podstawiać mu nogi gdzie się dało, major Tochman wystosował niedługo potem nowy memorjał, tym razem do kongresu. Memorjału tego, z początków roku 1848, nie mogłem znaleźć w dostępnych dla mnie archiwach, ale następny memorjał, podpisany przez Wańkowicza pod datą 3-go stycznia 1849, prawdopodobnie nie wiele różni się w treści od poprzedniego. Chodziło w nich Polakom o uzyskanie uchwały kongresu w sprawie przeniesienia sprawy spadkobierców Kościuszki z federalnego sądu okręgowego dla Dystryktu Kolumbia, gdzie wpływy Bodisca i jego popleczników były zbyt silne, na grunt neutralny, do sądów pobliskiego Marylandu.

"Celem doradcy prawnego spadkobierców, majora K. Tochmana", — wyjaśnia ten memorjał — "było, po pierwsze, uzyskanie ochrony dla spadkobierców od szkodliwych skutków, wynikłych z miejscowych wpływów, któremi w Dystrykcie Kolumbia cieszą się obecni

posiadacze majatku Kościuszki; powtóre, chodziło mu o ochronę własnych konstytucyjnych praw i przywilejów jako naturalizowanego obywatela i członka palestry Stanów Zjednoczonych przeciw takimże wpływom p. de Bodisco, ministra rosyjskiego, który wmieszał się miedzy majora Tochmana i jego klijentów w Polsce i w sądach Dystryktu usiłuje obalić jego autorytet, aby przemocą wykonać na nim prawo rosyjskie, które za rzekome przestepstwa polityczne nie pozwala mu prowadzić żadnych spraw dla poddanych Rosji.

"Wysoki Kongres nie załatwił tej petycji. W Izbie Reprezentantów oddano ja Komitetowi Sądowemu a potem, na jego wniosek, położono ją na stole; senat zaś odłożył akcję tymczasowo.

"Autor niniejszego memorjału (Wańkowicz), będąc zainteresowany w tej sprawie jako jeden ze spadkobierców generała Tadeusza Kościuszki, pozwala sobie najuprzejmiej przedstawić rozwadze wysokiego Kongresu nastepujące fakty:

"Istnieja dwie gałezie spadkobierców Kościuszki, jedni z rodziny Estków, drudzy z rodziny Żółkowskich.

"Niektórzy członkowie rodziny Estków zostali swego czasu zmuszeni przez rząd rosyjski do podpisania pełnomocnictwa, które ze względów politycznych, miało unieważnić upoważnienie, wystawione na majora Tochmana; dokument ten przysłał p. de Bodisco z Waszyngtonu do rosyjskiego ministerstwa w Petersburgu. Niektórym jednak Estkom udało się uniknąć przymusowych środków rządu w tej sprawie.

"Ponieważ petycja majora Tochmana nie została załatwiona podczas ostatniej sesji wysokiego Kongresu, spadkobiercy nie bedą mogli dłużej opierać się tym przymusowym środkom, które, jak autor memorjału ma powody do przypuszczenia, zostały ponowione na żądanie p. de Bodisco. Zostana oni także zmuszeni do wyrzeknięcia się obrońcy z własnego wyboru i p. de Bodisco i jego rząd będą głośno chlubili się, że prawa karne rosyjskie moga być przemoca wykonane na polskich wygnańcach politycznych, nawet w kraju Waszyngtona!

"Czy taki tryumf rosyjskiego ministra przy rządzie amerykańskim nad konstytucyjnymi przywilejami naturalizowanego obywatela Stanów Zjednoczonych, jak i nad interesami spadkobierców Kościuszki, dotyczącymi ich prawa wyboru doradcy, zgadza się z godnością i polityka Stanów Zjednoczonych, autor memorjału wstrzymuje się z wyrażeniem swej opinji. O ile to tyczy jego osobiście, następujace fakty mają wieksze znaczenie:

"Autor memorjału jest członkiem rodziny Żółkowskich, stanowiącej drugą gałąź spadkobierców Kościuszki.

"Autor memorjału był w domu, w Polsce, gdy formularz pełnomocnictwa, nadesłany przez p. Bodisco do Petersburga, został przedłożony Żółkowskim do podpisu. Członkowie tej rodziny prosili rząd, aby pozwolił jednemu z nich na wyjazd do Ameryki z pełnomocnictwem innych celem wzięcia kierownictwa sprawy w swe własne ręce.

Po uzyskaniu tego pozwolenia, autor memorjału przyjechał do Waszyngtonu we wrześniu 1847 r. i wkrótce potem pełnomocnictwo od innych członków rodziny Żółkowskich zostało nadesłane za pośrednictwem rządu rosyjskiego. P. de Bodisco wręczył je autorowi niniejszego memorjału.

"Jednakowoż p. de Bodisco zniweczył cel przybycia autora memorjału do tego kraju. Rozkazał on mu natychmiast odwołać pełnomocnictwa, wystawione na majora Tochmana, i nawet nie pozwolił na zatrzymanie jako doradcy p. Reverdy Johnsona, senatora Stanów Zjednoczonych, który na prośbę majora Tochmana, ofiarował spadkobiercom swą zawodową pomoc i w tym celu połączył się z nim jako adwokatem spadkobierców jeszcze przed przyjazdem autora memorjału do tego kraju. P. de Bodisco powiedział: "Nienawidzę Johnsona, ponieważ pomaga temu buntownikowi Tochmanowi".

"Ponieważ rosyjskie ministerstwo w Petersburgu nakazało autorowi memorjału słuchać tu poleceń p. de Bodisca, a prawo rosyjskie karze jako bunt wszelkie nieposłuszeństwo względem rosyjskiego ministra — nawet w obcym kraju — przeto p. Reverdy Johnson i major Tochman zostali zastąpieni przez dwuch adwokatów z Waszyngtonu, których p. Bodisco przemocą narzucił autorowi memorjału i, jak już zaznaczono poprzednio, niektórym członkom rodziny Estków za pośrednictwem swego rządu.

"Chociaż przymusowa ta zmiana doradców prawnych została zrobiona za zgodą majora Tochmana i po poprzedniem wyjaśnieniu przez niego panu R. Johnsonowi okoliczności, które ją spowodowały, autor memorjału nie mógł znosić długo roli, narzuconej mu przez p. de Bodisca. Usłyszawszy, że działa to na niekorzyść majora Tochmana i pomaga planom p. de Bodisca wiecej, niż zrazu sądził, autor memorjału wystosował list do adwokatów, których przeznaczył mu p. de Bodisco i zawiadomił ich, że odtad p. Reverdy Johnson i major Tochman są jego doradcami prawnymi.

"Skoro o liście tym dowiedział się p. de Bodisco od panów, do których pismo było adresowane, zaraz doniósł o tem rządowi, a ten skonfiskował wszystek majątek, który autor memorjału posiadał w Polsce.

"Takie sa skutki i wyniki, których można było uniknać, gdyby Wysoki Kongres podczas poprzedniej sseji (przed trudnościami, jakich autor memorjału doznał ze strony p. de Bodisco po odwołaniu pełnomocnictwa narzuconych sobie adwokatów) uchwalił akt dotyczący pomocy dla spadkobierców, o który prosił ich doradca, major Tochman.

"Autor memorjału jest obecnie wygnańcem, skazanym na zależność w tym dalekim kraju od tej drobnej części, należącej mu się jako jednemu ze spadkobierców majątku, który dziadek jego, generał Kościuszko, przywiózł do tego kraju i tu pozostawił. Złożył on już deklarację zamiaru zostania obywatelem Stanów Zjednoczonych i

jak najuprzejmiej prosi wysoki Kongres, aby osłonił go przed dalszemi krzywdami przez szybkie uchwalenie aktu, przewidującego przeniesienie spraw, tyczących tego majątku, z federalnego sądu okręgowego dla Dystryktu Kolumbja do federalnego sądu okręgowego dla Dystryktu Maryland, gdyż jest to najbliższy dystrykt od Dystryktu Kolumbia, w którym mieszkają obecni posiadacze majątku Kościuszki.

"Autor memorjału przedstawia dalej wysokiemu Kongresowi, że generał Kościuszko umarł w r. 1817 i że w r. 1819 niektórzy spadkobiercy z rodziny Estków przedłożyli swe pretensje do majątku, który pozostawił w Ameryce, jednakowoż miejscowe wpływy tymczasowych posiadaczy tegoż majątku nie dopuściły spadkobierców do odebrania go, pomimo prawie 30-letniego sporu w sądach Dystryktu Kolumbia. Gdy teraz wpływy te połączyły się z wpływem, jaki p. De Bodisco posiada w tym dystrykcie, widocznem jest, bez żadnych prawnych wykrętów, że — bez względu na wszelkie okoliczności, dotyczące politycznych poglądów p. de Bodisca, jak i nieusprawiedliwionych krzywd, zadanych już przez niego autorowi memorjału i innym spadkobiercom Kościuszki, sprawiedliwość i honor sądownictwa Dystryktu Kolumbia stanowczo wymagają roztoczenia takiej ochrony nad spadkobiercami, o jaką proszą.

"Ponieważ przedłożenie dowodów pochodzących z legalnego źródła, mogłoby narazić niektóre osoby na zemstę rządu rosyjskiego i zesłanie na Sybir, autor memorjału dołącza tu swe własne zaprzysiężone zeznanie. Z szacunkiem itd... Władysław Wańkowicz, wnuk generała Kościuszki".

Na skutek pierwszego memorjału Tochmana i Wańkowicza reprezentant Jan D. Cummins z Ohio wniósł 31-go maja 1848 "bil określający prawa naturalizowanych obywateli Stanów Zjednoczonych i mający na celu ich ochronę w spokojnem wykonaniu i używaniu przysługujących im praw i przywilejów przeciw czynom i wpływom rządów obcych i ich dyplomatycznych przedstawicieli".

Bil ten, jak podaje wyżej cytowany memorjał, oddany został komitetowi sądowemu do rozpatrzenia. Ponieważ jednak decydowało to o jego śmierci, Cummins i grupa reprezentantów, przychylnych sprawie pokrzywdzonych, podjęli starania o przekazanie bilu specjalnemu komitetowi.

Na tem tle dnia 5-go czerwca 1848 r. rozegrała się w kongresie walka słowna, w której główną rolę odegrał reprezentant Lewis C. Levin z Pennsylvanji. Wspaniała i odważna mowa jego, ostro potępiająca brutalną mściwość Rosji, godną jest powtórzenia tu w całości, tembardziej że jest niejako zestawieniem i słuszną oceną faktów.

"Bil, znajdujący się obecnie przed izbą" — mówił Levin — "ma na celu pomoc dla spadkobierców Kościuszki i majora Tochmana, obecnie obywatela Stanów Zjednoczonych, szeroko znanego jako wygnaniec — patrjota ze zdeptanej i krwawiącej Polski. Jest to pa-

nie przewodniczący, dziwny zbieg okoliczności, który Polskę i Rosję — pierwszą tak przeniknioną duchem wolności, że zdaje się być tworem wyobraźni, drugą zaś despotyczną w charakterze i systemie — sprowadza na tę arenę, przed kongres amerykański, celem rozstrzygnięcia podstawowych zasad wolności. Jest to nawet jeszcze dziwniejsze, że zdarza się to w okresie kiedy wszystkie ludy Europy zrywają uciążliwe jarzmo tyranji — wśród rewolucyj narodowych, wybuchających i wyrastających z ziarna, zasianego przez naszych czcigodnych przodków w r. 1776! Zaprawdę, cudowne są drogi, któremi Bóg prowadzi ludzką rodzinę do swobody! Odurzeni swą potęgą, rozmiłowani w swej władzy, królowie starego świata pędzą na oślep ku swej zagubie. Ministrowie ich tutejsi, również odurzeni i zaślepieni, dopuszczają się nadużyć władzy, obelżywych nietylko dla narodu amerykańskiego, ale i dla instytucyj naszego kraju; popełniają oni gwałty na prawach amerykańskich, na co żaden patrjota patrzeć nie zdoła cierpliwie, ani nie będzie tolerował tego bezkarnie.

"Major Tochman jest obecnie obywatelem amerykańskim, naturalizowanym według praw i konstytucji i w pełni uprawnionym do obrony wszystkich swych praw i przywilejów. Prawda, że jest on z pochodzenia rodakiem Tadeusza Kościuszki i reprezentuje prawa jego spadkobierców do pewnej własności w tym kraju. Imię Kościuszki wskrzesza tysiące uszlachetniających i miłych wspomnień z naszych walk o wolność. Już w r. 1776 Polska przybyła na pomoc i ratunek niemowlęcej Ameryki, gdy ta walczyła o swe swobody. Zdobyliśmy niepodległość i mogliśmy wygnanym synom Polski ofiarować bezpieczne schronienie. Od tego czasu aż do dziś, osłanialiśmy tarczą wolności amerykańskiej wszystkich wygnanych patrjotów. Odtąd jednak Europa nie będzie nam już wysyłała patrjotów lub miłośników wolności. Ktokolwiek bowiem jest patrjotą, ktokolwiek kocha wolność, ten pozostanie w swym kraju, aby walczyć o nią. Ale naturalizowany Polak jest obywatelem amerykańskim i zatruta strzała tyranji ściga go nawet w tym jego przybranym kraju wolności. Satrapa, którym wzgardził w swej ojczyźnie, tropi go nawet na wygnaniu, czyż bowiem kiedy który z tyranów umiał zapomnieć albo przebaczyć urazy? Czyż kiedy samodzierżca Rosji zaniedbał prześladować patrjotę, gdy ten uderzył w jego czarnego orła w świętej sprawie praw ludzkich? Panie przewodniczący, czy kraj nasz ma być schroniskiem dla wygnanych obrońców wolności, czy też klatką, w której tyrani Europy mają zamykać ich jak zbrodniarzy i męczyć ich, jak złoczyńców?

"Petycja majora Tochmana jest przed izbą i członkowie są zapewne zaznajomieni z jej ważnością. Sprawa ta bowiem jest nietylko przykładem niezwykłego ucisku, niezwykłej i bezprawnej tyranji ministra samodzierzcy Rosji, ale i olbrzymiego znaczenia dla zasad naszych instytucyj, dla sławy i dobrego imienia naszej ojczyzny. Nie jest moim zamiarem wdawać się w prawniczy przegląd tej ciekawej

sprawy. Izba bowiem ma zająć się jej stroną polityczną a nie prawną. Jesteśmy wezwani do osłonięcia obywatela amerykańskiego, pragnącego korzystać z praw, bezsprzecznie mu przysługujących, przed nieprawnem wmieszaniem się obcego despoty. Niema w tej sprawie żadnego innego punktu spornego, poza tym jednym tylko, co w tym kraju stanowi najwyższy autorytet — konstytucja Stanów Zjednoczonych, czy też samowola autokraty Rosji? Panie przewodniczący, ludzie mogą bawić się w dwuznaczniki i mieszać znaczenie wyrazów, oszukiwać i przekręcać fakty, a jednak to jest jedynym punktem spornym. Cesarz rosyjski, żywiąc nieograniczoną nienawiść do majora Tochmana za jego szlachetną służbę dla ojczyzny w jej walce w r. 1830, uznał za stosowne prześladować go przez swego ministra, p. Bodisco, przy sposobności sprawy spadkobierców Kościuszki. Minister użył całej mocy i władzy swego stanowiska, aby zgnieść swą upatrzoną ofiarę. Jak dotychczas, udawało mu się to. Dlatego jest obowiązkiem tej izby, jako przedstawicielki narodu amerykańskiego i wolnej konstytucji, powstrzymać tę krzyczącą krzywdę, gdy już nabrzmiała potwornością.

"Panie przewodniczący, oto ofiara rosyjskiej tyranji prosi nas o obronę swych praw obywatela amerykańskiego. Czyż możemy odmówić jego prośbie? Czyż możemy odmówić osłonięcia go tarczą wolności amerykańskiej? Panie przewodniczący, wszelkie obowiązki względem ludzkości i Boga nakazują nam bronić go. Wobec prawa narodów, rosyjski minister nie śmie mieszać się do tej sprawy, o ile spadkobiercy są zdolni i chętni do wyboru przedstawicieli prawnych dla załatwienia swej własnej sprawy. Chociażby nawet Polska była podbita prowincją Rosji, niema to żadnego związku z prawami majora Tochmana jako obywatela amerykańskiego. Przypuśćmy, że zwierzchnictwo Rosji rozciąga się nad Polską, czyż daje to Rosji władzę nad obywatelem amerykańskim? Sama ta myśl jest niedorzeczną. Amerykanin, panie przewodniczący, odpycha zniewagę, pogardza obelgą i odpiera nieprawne przywłaszczycielstwo. Nie chcę wchodzić w żaden spór co do samego faktu tej natrętnej i obelżywej interwencji — leży ona oto przed nami w jak najprawdziwszej formie zaprzysiężonego zeznania (Tochmana i Wańkowicza).

"Przez sposoby, które pojąć mogą tylko obznajomieni z machinacjami i intrygami obcych tyranów, obywatel amerykański, poważany wysoko w społeczeństwie i należący do najważniejszego i najczcigodniejszego zawodu w kraju, jest pozbawiony swych praw konstytucyjnych, i to przez kogo? Przez ministra rządu rosyjskiego — rządu, który jest szyderstwem naszego wieku, karykaturą nowoczesnej umysłowości, gwałtem przeciw prawom ludzkim, satyrą na wszystkie pretensje do cywilizacji — i, co najgorsze, ciężką i piekielną krzywdą ludzkości!

"Panie przewodniczący, są chwile, w których nie stanąć w obronie praw człowieka, wedle gwarancji konstytucji, znaczy tyle co zo-

stać przymierzeńcem tyrańskiego ciemiężyciela. I oto, panie przewodniczący, jest jedna z tych uroczystych chwil, kiedy każde szlachetne uczucie, każdy szlachetny popęd i każda zapalna myśl, wieńcząca tarczę wolności, zmusza nas do udzielenia szybkiej pomocy petentowi.

"Panie przewodniczący, kiedy cały świat zdaje się chwytać za broń o wolność, czyż my jedni tylko mamy być sprzymierzeńcami tyrana i pomagać mu w pozbawieniu praw obywatela amerykańskiego, dlatego że chlubi się Polską jako swym krajem rodzinnym, dlatego że odważnie dzierżył miecz w obronie swej ojczyzny, dlatego że jego patrjotyzm rozpalił gniew despoty? I to jeszcze w takim czasie, jak teraz, kiedy ludy Europy obalają zgniłe trony i spieszą pod sztandar, który ogłasza na swych płomiennych fałdach prawa człowieka — kiedy nawet Austrja rozbroiła despotyzm swego miecza i przez wygnanie Metternicha powaliła samego ojca wszystkich systemów tyranji kiedy Włochy płoną ogniami oswobodzenia — kiedy zjednoczone głosy wszystkich szlachetnych serc w starym świecie szlą pod sklepienia niebieskie hymn i modlitwę za uwolnienie Polski, której rodzony syn, rycerski i pełen zapału obrońca niepodległości swej ojczyzny, stoi oto przed naszym wolnym rządem z prośbą o ochronę przeciw tyranji rosyjskiej!

"Czyż, panie przewodniczący, wiek nasz uwierzy, że ten potworny paradoks nowoczesnego despotyzmu może istnieć w wolnym kraju? Czyż potomność nie odeprze go jako fałszu, i nie odrzuci go jako obelgi? Czyż Rosji nie dosyć, że podbiła Polskę, że uciemiężyła ją i zniszczyła jako państwo, że więzi jej bohaterów, że skazuje na wygnanie jej patrjotów, że morduje jej meczenników, i konfiskuje majątki opuszczonych i bezbronnych — czyż musi ona jeszcze przychodzić tu, na same łono wolności, aby wlec polskich wygnańców pod pręgierz, aby proskrybować ich i piętnować? Niema w całym naszym narodzie ani jednego człowieka, mającego w sercu choć jedno uderzenie dla wolności, któryby nie zaprotestował przeciw temu.

"Panie przewodniczący, powaga rządu amerykańskiego jest tu narażona na szwank. Instytucje naszego kraju są zagrożone. Konstytucja jest zagrożona, nasze dobre imię jest w niebezpieczeństwie. Powaga rządu amerykańskiego wymaga, aby stanąć w obronie praw każdego obywatela amerykańskiego, gdy ten publicznie woła o ochrone narodu. Jeżeli prosi o jakiekolwiek znane prawo, nie możemy mu odmówić go. Jeżeli skarzy się na jawną krzywdę, nie możemy odmówić mu zadosyć uczynienia bez wzięcia tej krzywdy na swe barki.

"Panie przewodniczący, wolna konstytucja nie powinna nigdy skostnieć w martwą literę. Wieczna żywotność jest jej pierwszą i jedyną cechą. Skoro jest nieczynną, bierną lub nieskuteczną, już jest umarłą. Niechajże więc promienieje świętą myślą, niechaj przemawia swą natchnioną prawdą, niechaj wymierza swe uświęcone prawa, —

inaczej jest popiołem, prochem, inaczej robak ją zgryzł i jest zgnilizną.

"Ale panie przewodniczący, nietylko prawa jednego z petentów zostały pogwałcone przez to potworne wmieszanie się, przez tę złośliwą uzurpację władzy, przez tę zuchwałą tyranię ministra Mikołaja rosyjskiego. Major Tochman jest tylko jedną stroną pokrzywdzoną, a przez niego spadkobiercy Kościuszki — i oto dla ciemiężycieli zastawiono podwójną ucztę, na której tyran rosyjski będzie mógł nasycić dawną nienawiść, jaką czuje do Polski. Czyż my, kongres i naród Stanów Zjednoczonych, mamy stać się wspólnikami niesprawiedliwości względem spadkobierców dzielnego i czcigodnego Kościuszki, którego bohaterskie czyny na polach walki rewolucji amerykańskiej i jego własnej ojczyzny, okrywają chwałą nawet jego potomków i narażają ich na wściekłą nienawiść rosyjskiego autokraty? Czyż mamy popełnić niesprawiedliwość względem Kościuszki i pomódz do niegodziwej krzywdy względem majora Tochmana?

"Panie przewodniczący, czy minister tyrana ma wykonywać prawa karne obcego kraju na obywatelu amerykańskim za to, że ten narażał swe życie w obronie swej ojczyzny? Jest to wyłącznie sprawa narodowej sprawiedliwości z jednej strony, z drugiej zaś dobrego imienia narodowego. Poświęcić jedno z nich znaczyłoby tyle, co upodlić kraj na rozkaz zagranicznego władcy, który wierzy, że lud, jako niewolnik, może korzystać tylko z takich praw, jakie panowie jego ustąpią mu w drodze łaski i wspaniałomyślności. Może to odpowiadać Rosji; ale, panie przewodniczący, cóż mamy mówić my, cóż mamy zrobić my, widząc jak minister samodzierżcy rosyjskiego próbuje pogląd ten stosować w praktyce w Stanach Zjednoczonych?

"Weźcie n. p. list Aleksandra de Bodisco do sędziego sądu opiekuńczego, N. P. Causina, a znajdziecie w nim bezpośrednie wmieszanie się we władzę sądowniczą Stanów Zjednoczonych. Nie obchodzi nas wprawdzie nic sama istota sporu między spadkobiercami generała Kościuszki, ale obchodzi nas wszystko co dotyczy wmieszania się obcego ministra w czynności amerykańskiego prawnika przed amerykańskim sądem. Jak śmie Aleksander de Bodisco kwestjonować prawa członka palestry amerykańskiej? Czyżby zapomniał, że jest w Stanach Zjednoczonych? Czyżby zapomniał, że major Tochman, nie jest już więcej uciemiężonym i podbitym Polakiem, podległym tyranji rosyjskiej, ale obywatelem amerykańskim, dostatecznie bronionym przez konstytucję amerykańską? Czyżby zapomniał, że władza sądownicza republiki jest częścią zorganizowanej wolności ludu, i że wszelkie próby obalenia jej wyroków przez władzę dyplomatyczną są pogwałceniem praw amerykańskich i brutalnem przeszkadzaniem w wymiarze sprawiedliwości. Oto car rosyjski wchodzi do sądu amerykańskiego i wrzeszczy w uszy sędziów swe bezczelne rozkazy! Pamiętajcie, że podaję słowa samego Aleksandra de Bodisco, który, przystępując do sędziego, w ten sposób zawiadamia go o swej kró-

lewskiej woli, przypuszczając, że car rosyjski jest najwyższym sędzią w Stanach Zjednoczonych, a nie sądownictwo i prawa naszego kraju:

"W międzyczasie", pisze Bodisco "proszę nie podejmować żadnej akcji, niekoniecznej do zachowania własności majątku, ani też nie robić nic bez aprobaty adwokatów rosyjskiej legacji".

"Cóż oto ten list oznacza? To, że wszelkie postępowanie sądu amerykańskiego ma być wstrzymane i zawieszone na arogancki rozkaz cara rosyjskiego. Czyż sądownictwo amerykańskie jest jego wasalem? Prawa narodów nie mają nic do czynienia z naszym systemem sądowym, który opiera się na konstytucji i prawach. Żaden traktat z zagranicznem mocarstwem nie może obalić naszego sądownictwa. Jakżeż więc śmie car rosyjski straszyć sąd amerykański, wstrzymywać bieg sprawiedliwości i rzucać klątwę na postępowanie sędziego? Czy spadkobiercy Kościuszki udali się do rządu rosyjskiego po sprawiedliwość, której odmówił im nasz rząd?

"Nie! Kroniki nie notują nic podobnego. Cała sprawa, w należytej formie prawnej, była prowadzona i w pełni już rozwinięta przez majora Tochmana i jego kompetentnego kolegę p. Reverdy Johnsona, kiedy jego rosyjska mość, jak prawdziwy kozak, wpadł do sądu i ostrzem swej spisy powalił sprawiedliwość z tronu.

"Wobec tego, że to pogwałcenie praw amerykańskich doszło do wiadomości kongresu, nie mamy innego wyboru, jak dać mu należytą odprawę przez szybkie uchwalenie tego bilu.

"Jeżeli oddzielimy od tej kwestji wszelkie inne i ważne, choć uboczne szczegóły, już ta sama intruzja posła rosyjskiego wymaga uchwalenia tego bilu. Oby nigdy nie wyszła w świat wieść, jako temat do poniżenia i wzgardy ze strony wszystkich niezawisłych umysłów, że Stany Zjednoczone potulnie poddały się wmieszaniu się Rosji do swych trybunałów sprawiedliwości i pozwoliły podeptać obywatela amerykańskiego, ponieważ szlachetna i wolna krew Polski płynęła w jego rycerskich żyłach. Taka zuchwałość, o ile nie zostanie odparta, pociągnie za sobą dalsze, jeszcze niegodziwsze mieszania się.

"Zachęcony naszem pobłażaniem, ośmielony naszą bierną i nikczemną cierpliwością, minister ten gotów wejść do samych hal kongresu i, na mocy rozkazu cara Mikołaja, postawić wniosek o odrzucenie petycji majora Tochmana. Ma on do tego takie same prawo, jak i do tamtego. Sądy są jednym z wydziałów rządu; izba jest innym tegoż wydziałem. Jeżeli Aleksander de Bodisco ma jaki obowiązek urzędowy do spełnienia, musi załatwić go przez porozumienie z sekretarzem stanu. Minister cara rosyjskiego wie o tem dobrze. Dlaczegoż więc wszedł do sądu, wbrew wszelkim prawom narodów, wbrew wszelkim formom gościnności, wbrew wszelkim przepisom grzeczności, wbrew wszelkim zasadom sprawiedliwości, aby pogwałcić naszą niepodległość i zelżyć majestat narodu? Oto dlatego, aby wywrzeć zemstę samodzierżcy rosyjskiego na patrjocie polskim i aby

dosięgnąć majora Tochmana, o którym wiedział, że go nie potrafi dosięgnąć, jeżeli zwróci się do sekretarza stanu. Któryż bowiem z amerykańskich sekretarzy stanu chociaż przez chwilę słuchałby propozycji, dotyczącej konstytucyjnych praw obywatela amerykańskiego, który przypadkowo kochał swój kraj rodzinny i walczył w jego obronie?

"Dotąd, jeżeli rumienimy się ze wstydu za nasz kraj, iż jeden z sądów amerykańskich pozwolił na splugawienie swych rekordów przez taki list z rozkazami posła obcego władcy, to jedynie dlatego, że nie mieliśmy sposobności wyrazić oburzenia, jakie ta izba kongresu ma na ten zuchwały gwałt.

"Gwałt taki zawsze byłby nam bodźcem do szybkiej i jak najenergiczniejszej akcji. Ale wśród takiego kryzysu, jak obecny, gdy Polska znowu zbroi się do walki o swą niepodległość, my, naród amerykański, czujemy żywiej, niż kiedykolwiek indziej, wysoką odpowiedzialność obrony praw narodowych od despotycznego skażenia.

"Panie przewodniczący, cóż ten bil proponuje? Aby ugoda obywatela Stanów Zjednoczonych, rodowitego lub naturalizowanego, z obcym poddanym lub obywatelem w sprawie majątku w Stanach Zjednoczonych, nie mogła być unieważnioną na żądanie zagranicznego dyplomaty przy naszym rządzie, jeżeli ten domaga się tego ze względów politycznych. Taka jest treść tego bilu, który jest w zupełnej zgodzie z duchem naszych instytucyj i powinien uzyskać jednogłośną uchwałę tej izby.

"Panie przewodniczący, w Stanach Zjednoczonych niema więcej jak 150 Polaków. Polacy zostają w Ojczyźnie, aby czekać, aż zaświta dzień, dzień wskrzeszenia Polski, podczas, gdy setki i tysiące Irlandczyków i Niemców opuszczają swój kraj w godzinie niebezpieczeństwa ojczyzny. Kiedy ci, jak Polacy, pozostaną w domu, aby walczyć o wolność, wtedy dopiero, a nie pierwej będę miał dla nich sympatję...

"Stoję, jak od lat stałem, w obronie praw nietylko rodowitych, ale i naturalizowanych obywateli. Major Tochman pragnie powrócić do swej rodzinnej ziemi, aby jeszcze raz wystawić swe życie na niebezpieczeństwo w jej obronie. Pragnie on powrócić z takiem samem nieskalanem imieniem, z jakiem tu przyjechał. Pragnie odwiedzić sceny swego dzieciństwa, odnowić wspomnienia minionych dni, uklęknąć tam, gdzie klęczał niegdyś przed ubóstwianym obrazem i usłyszeć z bladych ust matki wieczno-żywe słowa. Ale, panie przewodniczący, Rosja zasadziła się na jego zgubę! Rosja, która sprowokowała klątwę z ust Europy! Rosja, która jest szampjonem krucjaty przeciw ludzkiej wolności i ludzkim prawom! Rosja, której wiarołomstwo względem Grecji i okrucieństwo względem Polski ściągnęło na nią gniew całego świata!

"Panie przewodniczący spodziewam się, że izba rozważy swą uchwałę i odda sprawę osobnemu komitetowi. Whigowie i demokra-

ci, którzy zabiegają o głosy obcokrajowców, mają teraz sposobność osłonienia bezbronnego, wygnanego patrjoty; mają teraz sposobność wykazać, że są szczerzy w swych oświadczeniach przyjaźni, składanych naszym naturalizowanym obywatelom, i są gotowi do ochrony ich przed niesprawiedliwem wmieszaniem się obcych despotów. Panie przewodniczący, godzina próby nadeszła nareszcie! A chociaż rodowici Amerykanie odrzucają myśl ubiegania się o głosy obcokrajowców, to będą mogli wskazać na dzisiejszą akcję izby, jako na dowód, że w ich rękach prawa naturalizowanych obywateli, jak i prawa ich własnych dzieci, będą nieustraszenie bronione".

Levin w silnej swej mowie postawił sprawę jasno i na ostrzu noża. Major Tochman był obywatelem amerykańskim i miał, jako adwokat amerykański, prawo zastępowania w sądach krajowych kogokolwiek, kto mu swą sprawę powierzył. Skoro obcy reprezentant śmiał stawiać mu w tem przeszkody ze względów politycznych, był to jawny gwałt i rząd Stanów Zjednoczonych był obowiązany osłonić go.

Przyznawali to nawet przeciwnicy bilu Cumminsa, mającego na celu ochronę Tochmana. Co więcej z ust jednego z nich, Józefa R. Ingersolla z Pennsylvanji, padła groźba wydalenia Bodisca "w ciągu pół godziny" i postawienia w stan oskarzenia nietylko sędziego, który uległ nakazowi ministra rosyjskiego, przedstawionemu w mowie Levina, ale i sekretarza stanu i samego prezydenta Stanów Zjednoczonych, jeżeli ci nie staną w obronie uciśnionego obywatela amerykańskiego.

Jednakowoż większość izby nie chciała uznać politycznego charakteru sprawy. Szczególnie oponował przeciw temu Aleksander D. Sims z Południowej Karoliny. Ten w długiej mowie usiłował wykazać, że bil w sprawie Tochmana dąży do zmiany praw naturalizacyjnych, które już dawno zostały rozstrzygnięte. Powołując się na decyzję najwyższego trybunału Stanów Zjednoczonych, że obywatele Dystryktu Kolumbia (jakimi były osoby interesowane w tej sprawie) nie są w ścisłem znaczeniu obywatelami Stanów Zjednoczonych i nie mogą być procesowani, lub występować ze skargą w sądach innych dystryktów lub stanów, Sims uznał sprawę za ściśle sądową i zażądał pozostawienia jej w rękach komitetu sądowego. Ostatecznie 76 głosami do 64 izba uchwaliła to i bil został pogrzebany w komitecie sądowym. Bodisco mógł znowu zatryumfować nad Tochmanem.

Kiedy w grudniu 1848 r. 30-ty kongres zebrał się po ferjach letnich na sesję, Tochman i Wańkowicz w memorjale z 3-go stycznia 1849, ponownie prosili go o ochronę przed Bodiscą.

Memorjał przeszedł jednak bez echa.

Niezrażeni zlekceważeniem sprawy przez kongres i zupełną obojętnością rządu, major Tochman i Wańkowicz wystosowali trzeci memorjał do kongresu. Memorjał ten, wniesiony do senatu dnia 24-go

grudnia, 1849 przez senatora Henryka S. Foote z Mississippi, oddany został komitetowi spraw zagranicznych, który przekazał go do zbadania sekretarzowi stanu. Senator Izaak P. Walker z Wisconsinu. przyjaciel Tochmana, obawiając się dalszej nieczynności rządu, już wtedy zażądał jakiejś akcji senatu dla nadania powagi sprawie. Ale senator William R. King z Alabama, przewodniczący komitetu spraw zapranicznych, przemówił przeciw, zapewniając, że departament stanu sam zrobi co potrzebne bez wtrącania się senatu.

Obawy senatora Walkera okazały się usprawiedliwione. Ówczesny sekretarz stanu, Jan M. Clayton, przez blisko pół roku nie tylko nie zabierał się do badania sprawy, nie tylko nic nie uczynił w sprawie prześladowanych Polaków, ale nawet nie raczył odpowiedzieć na ich listy. Było to już widocznym dowodem, że urzędowy Waszyngton proteguje ministra rosyjskiego i unika konfliktu z Rosją, chociażby kosztem pokrzywdzenia własnego naturalizowanego obywatela.

Głuchego na prośby Polaków Claytona zmusił do akcji ten sam senator Walker, który dnia 9 maja, 1850 wniósł do senatu rezolucję, żądającą sprawozdania od sekretarza stanu z tego, co uczynił w sprawie spadkobierców Kościuszki.

Ponieważ podniosły się głosy opozycji przeciw poruszaniu departamentu stanu, senator Walker wyjaśnił kwestję obszerniej w mowie, w której zajął takie same stanowisko, jedynie logiczne, jak swego czasu reprezentant Levin; — że wmieszanie się Bodisca w prawa majora Tochmana jest gwałtem, który wymaga odprawy ze strony rządu.

"Sprawa, której zbadania domaga się ta rezolucja" — powiedział Walker — "dotyczy osobistych i cywilnych praw obywatela Stanów Zjednoczonych. Dotyczy ona kwestji, czy car rosyjski, przez wmieszanie się swego ministra, ma wykonywać na obywatelu Stanów Zjednoczonych prawa karne Rosji za przestępstwa polityczne. Jeżeli nie można zmusić naszego rządu do zajęcia się tą sprawą, to niechaj przynajmniej wiemy o tem, a wtedy możecie ubić tę rezolucję. Komitet spraw zagranicznych sądził, że memorjał Wańkowicza i Tochmana należy właściwiej do sekretarza stanu. Posłano go więc do niego i to posłano już dawno. Panowie ci, którzy są obecnie obywatelami Stanów Zjednoczonych, którzy są obecnie pod ochroną naszych praw i naszej flagi, napisali list do sekretarza stanu z zapytaniem w swej sprawie. Sekretarz stanu zlekceważył go i nie odpowiedział wcale i teraz senat ma obowiązek wypowiedzieć się, czy pozwoli, aby obywatele amerykańscy byli deptani przez rosyjskiego ministra. Jeżeli senat pozwoli na to, to w takim razie nie mam więcej nic do mówienia".

Na zapytanie senatorów o szczegóły, Walker przedstawił pokrótce całą historję nieszczęśliwego spadku Kościuszki, jak Bodisco zmusił spadkobierców do usunięcia majora Tochmana od prowadzenia sprawy, jak narzucił im swych zaufanych adwokatów, jak stra-

sznie zemścił się na Wańkowiczu za nieposłuszeństwo. "Panie przewodniczący", zakończył Walker swą mowę, "jeżeli ci nieszczęśliwi ludzie nie mają być sponiewierani i puszczeni z torbami przez postępowanie rosyjskiego ministra i tyranję sądu okręgowego Dystryktu Kolumbia, to tylko rząd może osłonić ich przez swą interwencję, która, spodziewam się, że nastąpi. Panie przewodniczący, kiedy nadejdzie właściwy czas, będę gotów ogłosić pełne szczegóły tej sprawy..."

Krótko, ale dobitnie przemówił potem senator Foote:

"Nie będę zabierał czasu senatowi szczegółowem przedstawieniem tej sprawy, co już uczynił inny senator. Jednakowoż muszę powiedzieć, że sprawa nie została przedstawiona zbyt jaskrawo. Muszę powiedzieć — chociaż pragnę zachować wszelkie względy, należne przedstawicielowi obcego rządu, przebywającemu wśród nas, — że zachowanie się rosyjskiego ministra było bezwzględne, gwałtowne, brutalne i nieokrzesane w najwyższym stopniu. Takie jest moje zdanie. Minister napisał również list wielce obrażający do generalnego prokuratora Stanów Zjednoczonych, który odpowiedział mu z wielką godnością i z wielkim skutkiem. Szczegóły tej sprawy są tego rodzaju, że wymagają przynajmniej zbadania jej i umożliwienia stronom uzyskania sprawiedliwości.

"Nie mogę zrozumieć, panie przewodniczący, jak taka rezolucja, jak ta, może w jakikolwiek sposób postawić nasz rząd w kłopotliwe położenie. Jestem zupełnie pewny, że o ile nie podejmiemy jakichś kroków celem zbadania tej sprawy, tym nieszczęśliwym osobom stanie się bardzo bolesna krzywda. Muszę dodać nadto, że jeżeli pozwolimy na wyrządzenie tego gwałtu i uwiecznienie tej niesprawiedliwości, która niewątpliwie zostanie uwieczniona, o ile jej nie zapobiegniemy w proponowany obecnie sposób, to nie tylko pozwolimy na okropne pokrzywdzenie spadkobierców nieśmiertelnego Kościuszki, na rozmyślne, z zimną krwią uplanowane i oszukańcze pozbawienie ich całego majątku, ale także na wielką hańbę, która spadnie na nasz naród. Wobec tego uważam za nasz obowiązek, aby zwrócić uwagę sekretarza stanu na okoliczności i zapytać go, jakie kroki podjął w tej sprawie, aby, jeśli nic jeszcze nie uczynił, zmusić go tą rezolucją do zajęcia się nią natychmiast, do zbadania faktów i uczynienia tego, co rząd uzna za sprawiedliwe i właściwe".

Po mowie Foote'a rezolucja została uchwalona 20 głosami do 13.

Dopiero wtedy sekretarz stanu Clayton zajął się sprawą Tochmana i Wańkowicza. Do kogóż zwrócił się po wyjaśnienia i opinję? Oto do tego samego P. R. Fendalla, którego legacja rosyjska narzuciła spadkobiercom Kościuszki i który na równi z Bodiscą zwalczał Tochmana, otwarcie i pokryjomu.

Rzecz jasna, że Fendall przedstawił Claytonowi sprawę w świetle jak najgorszem dla strony przeciwnej, a jak najlepszem dla Bodisca.

Nie inną mogła być też opinja J. H. Bradley'a, drugiego zausznika legacji rosyjskiej, którego Fendall, z własnej już inicjatywy prosił o osądzenie postępowania Tochmana dla sekretarza stanu.

Na podstawie takiej jednostronnej opinji sekretarz Clayton przygotował dnia 21 maja 1850 odpowiedź na rezolucję senatu. Clayton oświadcza w niej, jak już z góry można było przewidzieć, — że podtrzymuje w pełni decyzję swego poprzednika Buchanana, iż sprawa Tochmana "nie nadaje się do interwencji rządu", a pozatem stara się oczyścić Bodisca z postawionych mu w kongresie zarzutów.

"Bodisco w stosunkach z departamentem stanu — powiada Clayton — okazał się zdolnym, uczciwym i pełnym honoru przedstawicielem swego kraju".

Czyż jednak rzeczywiście z pojęciem uczciwości zgadzało się postępowanie Bodisca z Tochmanem? Czyż uczciwością była zemsta jego na Wańkowiczu? Czy "pełnem honoru" było narzucanie spadkobiercom Kościuszki niemiłych im adwokatów i mieszanie się obcego ministra w sądy amerykańskie? Czyż tylko na taką odpowiedź zdobył się wolny rząd amerykański, gdy Rosja prześladowała byłych swych poddanych a obywateli amerykańskich pod jego bokiem?

Ostatnim wysiłkiem przyjaciół Tochmana w celu zyskania dla niego sprawiedliwości była rezolucja, którą senator Walker wniósł dnia 18 czerwca 1850. Domagał się on w niej, aby prawa karne obcych państw za przestępstwa polityczne nie mogły być wykonywane w granicach Stanów Zjednoczonych i aby rząd bronił obywateli amerykańskich przed wszelkiem wmieszaniem się obcych dyplomatycznych przedstawicieli w ich prawa i przywileje. Rezolucja w dalszym ciągu polecała sekretarzowi stanu zawiadomić cara, że "rząd amerykański potępia usiłowanie Aleksandra de Bodisca, ministra rosyjskiego przy tym rządzie, zmierzające do usunięcia Kaspra Tochmana od sprawy spadkobierców Kościuszki".

Rezolucja ta jednak nie została uchwalona.

W kilkuletniej walce zwyciężył wpływowy minister. Do zwycięstwa słusznej sprawy nie pomogły nawet prawa obywatelskie Tochmana. Rosja potrafiła wywrzeć na nim swą zemstę i w republikańskiej Ameryce.

Sprawa już dawno przebrzmiała i poszła w zapomnienie, ale pozostały dokumenty i pozostały rekordy kongresowe. Będą one zawsze potępieniem dyplomacji, która nawet tej świetnej republice podyktowała raczej pobłażliwość dla gwałtów, popełnianych przez możnych tyranów, niźli sprawiedliwość dla polskiego wygnańca.

Co stało się ze spadkiem Kościuszki? Odpowiedź na to pytanie jest dziś prawie niemożliwa.

W jednym z listów Bodisca do Reverdy Johnsona, senatora Stanów Zjednoczonych i współobrońcy interesów spadkobierców Kościuszki (z dnia 1 grudnia 1847), znajduje się ciekawy ustęp.

"Powiedziano mi", — pisze Bodisco, "że jest ono (pełnomocni-

ctwo wystawione na Tochmana) ograniczone przez wyraźną klauzulę, na mocy której w stosownym czasie suma spadku ma być doręczona legacji rosyjskiej". Być więc może, że spadek został następnie zagarnięty przez rząd rosyjski, albo też do dzisiaj, wartości już miljonowej, znajduje się w rękach jakichś nieprawnych posiadaczy.

W każdym razie, szlachetny zapis Kościuszki został zmarnowany i przepadł bez śladu.

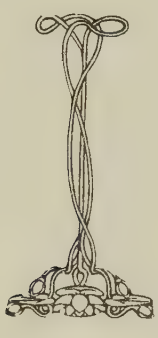

XI.

Jakób Fenimore Cooper, jako przyjaciel A. Mickiewicza i Polski.

Jakób Fenimore Cooper, twórca powieści amerykańskiej, który w literaturze Stanów Zjednoczonych odgrywa podobną rolę, co Kraszewski w polskiej, jest nam blizki z dwuch względów. Po pierwsze, Cooper był przyjacielem naszego wieszcza, Adama Mickiewicza, i już z tego tytułu byłby dla nas ciekawą postacią. Po drugie, był przyjacielem Polski i gorliwym pracownikiem dla jej sprawy w okresie powstania listopadowego, co jeszcze bardziej zbliża nas do niego.

Pragnąc skreślić możliwie dokładny obraz węzłów, łączących szlachetnego Amerykanina z Polską, zapoznałem się listownie z panem Jakóbem Fenimore Cooperem, żyjącym jeszcze wnukiem pisarza. Pan Cooper w rodzinnem swem gnieździe w Cooperstown, N. Y., posiada bogate archiwum pamiątek po sławnym dziadku, zawierające przedewszystkiem mnóstwo oryginalnej korespondencji. Chodziło mi o wydobycie z tego archiwum korespondencji Coopera z Mickiewiczem i innymi Polakami, oraz protokołów i innych dokumentów Polsko-Amerykańskiego Komitetu w Paryżu, którego jednym z twórców był pisarz amerykański.

Pan Cooper (wnuk) z największą gotowością podjął się przeszukania swego archiwum. Niestety, nie przyniosło to takich rezultatów, jakich spodziewałem się. W zbiorze, prócz kilku listów, ogłoszonych już przez pana Coopera w dziele "Correspondence of James Fenimore Cooper", nie ma żadnych dokumentów, tyczących pracy pisarza dla Polski. Brak jest także jakichkolwiek listów Mickiewicza, choć jest rzeczą pewną, że przynajmniej jeden powinien być.

Z tego powodu szkic niniejszy opiera się głównie na tem, co zdołałem zebrać z roczników starych gazet amerykańskich i z wydanego zbioru listów Coopera. Może nie da to pełnego obrazu wzajemnego stosunku dwuch wielkich ludzi, ani zabiegów jednego z nich, podjętych dla Polski, ale, w każdym razie, przedstawi Wychodźtwu chociaż w zarysach jeden z nieznanych a ciekawych epizodów przeszłości.

Sława Coopera obiegała już obie półkule, gdy nasz Mickiewicz stawał do boju z klasycyzmem i wypuszczał w świat pierwsze swe poezje. Do roku 1829, t. j. do czasu swego wyjazdu z Rosji zagranicę, Mickiewicz wydał "Ballady i romanse", "Grażynę", "Konrada Wallenroda", wreszcie "Sonety Krymskie", — pierwsze "przędze swych myśli i pierwsze kwiaty swych uczuć", które w Polsce były czytane i rozchwytywane, ale nie przeniosły jeszcze sławy autora daleko poza jej granice.

Wieszcz nasz, nim w sobie własne rozpalił słońce, pozostawał pod silnym wpływem zachodu. Stamtąd romantyzm przyswoił Polsce. Angielski poeta Byron kształtował przedewszystkiem jego wyobraźnię, a obok niego na młodego poetę działała cała plejada wielkich pisarzy ówczesnej epoki romantycznej.

Nie mógł Adam nie znać pism Coopera, zwłaszcza jego "Pionie-

rów" i "Ostatniego Mohikanina", gdyż rozrywano je wówczas zarówno w Ameryce, jak i w Europie. Nie mogły też dzieła te pozostać bez pewnego wpływu na wrażliwy jego umysł.

Że Mickiewicz znał i cenił wysoko Coopera jeszcze przed osobistem zetknięciem się z nim, świadczy o tem wyjątek z listu Antoniego Edwarda Odyńca do Juljana Korsaka, pisanego z Wejmaru 28 sierpnia 1829:

"Ale wiesz Ty, jakim obrazem cała ta poranna rozmowa (o sztuce w pokoju Mickiewicza i Odyńca z rzeźbiarzem Davidem i poetą Holtei) odbiła się w wyobraźni mojej? Oto widzę jakby lazurowy strop nieba, roztoczony nad całą ziemią. Zachód, płonący jeszcze żywym ogniem i blaskiem, chociaż zgasłego już słońca — to Byron. Wschód promieniający jutrzenką — to Adam. Księżyc w pełni i na zenicie swej drogi to Goethe. Trójca gwiazd-słońc pierwszej wielkości — to Chateubriand i Walter Scott nad Europą, a nad Ameryką -- Cooper. Plejada słonecznych planet — to Manzoni, Moore, Beranger, Lamartine, Tieck, Tegner i nasz Ursyn (Niemcewicz). Mglistopłomienisty kometa — to Wiktor Hugo. Zorza północna — to Puszkin".

Klasyfikacja ta jest prawdopodobnie odzwierciedleniem sądu Mickiewicza. Odyniec pozostawał bowiem pod jego zupełnym wpływem. Nie byłby więc stawiał Coopera tak wysoko, gdyby młody jego mistrz nie podzielał tej opinji.

Cooper, zdobywszy sławę przebojem, wyjechał w r. 1826 do Europy z całą swą rodziną. Zrazu jako konsul amerykański przebywał w Paryżu, potem jednak, złożywszy urząd, zwiedził Holandję, Belgję, Anglję, Szwajcarję i Włochy. Zimę 1829-30 roku spędził w Rzymie i wtedy to doszło do spotkania między nim a Mickiewiczem, który w towarzystwie nieodstępnego Odyńca "wojażował" też dla wrażeń po szerokim świecie.

Dokładny opis tego spotkania pozostawił Odyniec w liście do Ignacego Chodźki, datowanym z Rzymu 9 marca 1830 r. (A. E. Odyniec. "Listy z podróży", tom III.)

"Z kolei mam ci mówić o nowej znajomości, której wiem, że mi będziesz zazdrościł" — donosi Odyniec przyjacielowi. — "Poznałem Fenimora-Coopera! Przyjechał tu z Paryżu; a że miał ztamtąd listy do panny Anastazji Klustin, matka jej wyprawiła dlań świetny wieczór ,na którym wszystkie znakomitości tutejsze, literackie i artystyczne, mogły widzieć, powitać i uczcić tę gwiazdę drugiej półkuli, która wprost przez ciekawość zajrzała, na naszą i przebiega ją lotem komety, z całą konstellacją swojej rodziny, to jest z żoną i czterma córkami. To też gdy go spytałem, słysząc, że ma być w Dreźnie, czyby nie miał zamiaru i chęci ztamtąd zarazem odwiedzić i Polski, która go zna i ceni na równi z całą Europą? — odpowiedział mi bardzo uprzejmie, że w istocie pragnąłby szczerze widzieć i poznać ojczyznę Kościuszki: "Mais, Monsieur, (dodał z dobrodusznym uśmiechem),

oui voyage, avec cinq jupons, n'est pas maitre de sa volonte". (Ale, panie, kto podróżuje z pięcioma spodnicami, ten nie jest panem swej woli.) — Sama już ta odpowiedź, a cóż dopiero ton głosu, gdybyś go był słyszał, mogłyby ci dać odrazu wyobrażenie o dziwnie jakoś poczciwej prostocie i bezpretensyjności, która jak w sposobie mówienia, tak i w całem obejściu jego przebija. Pan Kriwcow, urzędnik ambasady rosyjskiej, wielki elegant i światowiec (chociaż bez ręki), przedstawiony mu przez gospodynię domu, powitał go dobornemi słowy, mówiąc między innemi: Je m'estime heureux, Monsieur, de faire la connaissance d'un homme, dont la gloire remplit les deux mondes" (Mam to sobie za wielki zaszczyt, panie, że mogę poznać człowieka, którego sława napełnia dwa światy). — Cooper, który właśnie swobodnie z otaczającymi siebie rozmawiał, zmieszał się na ten komplement, i widocznie zakłopotany, kłaniając się bardzo grzecznie nawzajem, nie znalazł widać z prędka innej odpowiedzi, nad dziwne w samej rzeczy: "Oui, Monsieur!" (Tak, panie). — Obecni przygryźli wargi, żeby nie dopuścić uśmiechu, widząc zwłaszcza wzajemne zmieszanie się pana Kriwcowa, który na tę niespodzianą odpowiedź, języka w ustach, jak to mówią, zapomniał. — "C'est un rustre!" (Jest to prostak) — mówił wprawdzie potem do swoich; ale co do mnie, to właśnie ta prostota i nieśmiałość w takim człowieku, zdaje mi się być szczytem wielkości, bo znać z nich, że jest wyższy nad próżność i pychę. Pod tym względem przypomniał mi on naszego Karola Lipińskiego, najskromniejszego pewnie ze wszystkich sławnych artystów, którym ciągłe pochwały i oklaski, nie dziw, że często zawracają głowę. Z fizjognomji też i postaci, Cooper wyglądać zda się raczej na poczciwego gospodarza-fermera, niż na takiego, jakim jest, autora. Ale i o Walter-Skocie powiadają to samo. Musi już mieć lat przeszło 50. (W rzeczywistości Cooper miał wówczas 41 lat.) Wzrost wysoki, ruchy poważne; wyraz twarzy spokojny i łagodny; głos powolny, oczy biękitne. W rozmowie więcej słucha niż mówi. Z Adamem rozmawiał dość długo i rozpytywał go zwłaszcza o duchu i charakterze Słowian i o plemionach koczujących na stepach. Panna Anastazja nie zaniedbała pewnie uprzedzić go, kto był Adam. Jakoż traktował go z wyraźnym szacunkiem, ale żadnych komplementów nie prawił. W ogólności zdawał się nie czuć, że on to był bohaterem fety; albo jeżeli czuł wewnątrz, to widać, że umyślnie ten charakter w sobie zacierał, uważając się tylko za jednego z gości. Póki stał w gronie mężczyzn, na środku salonu, starałem się być jak można najbliżej, aby dosłyszeć co mówi. Ale były to zwykłe potoczne rozmowy: o podróżach, o Włoszech, o Rzymie itp. Nadewszystko byłbym ciekawy co i jak rozmawiał z damami, które go wkrótce między siebie zabrały; ale tam już nie można się było przybliżyć. Widziałem tylko zdaleka jak się kłaniał na wszystkie strony, pewnie za komplementa dziękując. Żony i córek jego na tym wieczorze nie było, chociaż były także proszone. Wymówił je niezdrowiem i znużeniem z podróży".

Tymczasem Odyniec na tym wieczorze dał początek sporu z rzeźbiarzem Thorwaldsenem o jego dzieło, pomnik księcia Józefa, który dopiero niedawno. po długich wędrówkach, stanął w Warszawie. W sporze wzięli udział wybitni artyści, obecni na przyjęciu. Odyniec powiedział Thorwaldsenowi, że w Polsce "wszyscy admirując doskonałość sztuki, żałują, że nie dość przypomina osobę, którą ma wyobrażać". To wyraźnie ubodło starego rzeźbiarza, który zawołał jakby z oburzeniem: "Cóż to? tożbyście może panowie chcieli. żeby był w uniformie ułańskim, w kaszkiecie i z kitą na głowie?" Gdy Odyniec potwierdził i dodał jeszcze o sławnej burce książęcej, Thorwaldsen zaśmiał się ironicznie i powiedział: 'A, a, a! come un Cosacco" (jakby jaki kozak) i z gniewem zerwawszy się z krzesła zawołał "Siete i barbari, miei signori! i barbari! (Jesteście barbarzyńcami, moi panowie, barbarzyńcami!) I dlatego nie lubię posyłać dzieł moich do krajów, gdzie niema poczucia sztuki". Okrzyk ściągnął uwagę innych. Pierwsza księżna Zeneida zbliżyła się ku nim i dowiedziawszy się o co chodzi, wzięła delikatnie stronę Odyńca. Potem wmieszali się inni. Rozwinął się spór o to, czy w sztuce historycznej powinien przeważał ideał, czy prawda i wszyscy, prócz malarza Cateła, wzięli stronę Odyńca przeciw Thorwaldsenowi.

"Podczas tej rozmowy ogólnej Adam z malarzem Vernetem ojcem rozmawiał kilka minut na stronie i widać było po obu, że się w zdaniach zgadzali. Cooper słuchał zdaleka, ale sam się do rozmowy nie mieszał. Gdy się zaś ta przeciągała za długo, panna Anastazja, chcąc jej koniec położyć, a może i wyprowadzić Thorwaldsena z kłopotu, wzięła sama w niej udział i ogólną zasadę kwestji zręcznie od sztuk plastycznych do muzyki zwróciła. Poczem jakby na dowód tego, co mówiła, usiadła do fortepianu i zagrała kilka rzewnych melodyj ukraińskich. Wszyscy zbliżyli się ku niej i otoczyli instrument. Cooper stał tuż obok jej krzesła i unosił się na rzewnością melodji".

Spotkanie u pani Chlustin zbliżyło pisarza amerykańskiego do młodego poety polskiego. Cooper wprawdzie nic nie wspomina o spotkaniu z Mickiewiczem w swem "Pokłosiu z Europy" (Gleanings in Europe), ale wiadomo z innych źródeł, że odtąd spotykali się częściej i nawet razem odbywali wycieczki po Rzymie i okolicy.

Mary E. Phillips w życiorysie Coopera pisze, że "ruiny Wiecznego Miasta były dla niego niezmiernie interesujące. Ze szczególną przyjemnością jeździł całemi godzinami w towarzystwie którego z przyjaciół po Kampanji, włócząc się wśród szczątków budowli lub dawnych pomników. Może nikt z tych, którzy z nim jeździli, nie był mu tak miły, jak sławny polski poeta, Adam Mickiewicz, człowiek pełen oryginalności, genjuszu i smutku za utraconą ojczyzną".

Nie wspomina nic i Odyniec w swych "Listach z Podróży" o tych wspólnych wycieczkach Mickiewicza i Coopera, ale nie stanowi to jeszcze dowodu, że ich nie było.

Niedługo potem rozeszły się ich drogi. Cooper z wiosną 1830 r.

wyjechał z Rzymu do Wenecji, a stamtąd przez Monachjum i Drezno do Paryża, gdzie był świadkiem rewolucji lipcowej. Tam też wkrótce doszła go wiadomość o wybuchu powstania listopadowego w Polsce.

"Powstanie trwało około dziesięciu miesięcy i Cooper całem sercem stanął przy Polsce. Wiele prawdopodobnie wpłynęła na to jego osobista przyjaźń z poetą polskim, Mickiewiczem, z którym połączył go bliski stosunek w Rzymie" — pisze inny bjograf Coopera, Thomas R. Lounsbury.

Szlachetny Amerykanin uczuł potrzebę oddania Polsce w godzinie potrzeby czegoś więcej nad platoniczne uczucia. W Paryżu przebywało wtedy spore grono wybitnych Amerykanów, bawiących w Europie w sprawach handlowych, dla studjów naukowych i artystycznych, wreszcie podróżujących dla rozrywki. Dnia 9-go lipca 1831 r., odbyło się liczne zebranie przedstawicieli kolonji amerykańskiej w Paryżu, zwołane specjalnie celem rozważenia środków pomocy dla Polaków. Cooper został wybrany jego przewodniczącym, a J. A. Washington z Północnej Karoliny sekretarzem. Reprezentowane były prawie wszystkie części Stanów Zjednoczonych, razem w liczbie około 80 osób. Obrady toczyły się w nastroju zgodnym i poważnym.

Zebrani postanowili poprzeć czynnie walkę orężną Polaków i w uchwalonych rezolucjach wyrazili swe sympatje dla sprawy polskiej a generała Lafayette wezwali, by, jako cieszący się ogólnem zaufaniem, zajął się przyjmowaniem składek od Amerykanów i wręczaniem ich odpowiednim władzom polskim.

Sędziwy generał w parę dni potem odpowiedział Cooperowi na to wezwanie:

"Miałem przyjemność otrzymać list pański z 10-go lipca razem z rezolucjami, uchwalonemi na zebraniu w obronie podziwu godnej Polski. Pozwólcie mi, że chociaż nie byłem na tem zebraniu, na mocy mego obywatelstwa amerykańskiego podpiszę i ja te rezolucje.

"Jest to dla mnie źródłem radości patrjotycznej, gdy widzę, że sympatje Stanów Zjednoczonych łączą się z uczuciami, które sprawa i bohaterskość Polaków wywołały w Europie, a zwłaszcza w całej Francji. Możemy już zanotować niejeden dowód amerykańskich uczuć w tej sprawie. Cokolwiek zostanie zebrane od Amerykanów w Paryżu, w innych częściach Europy, lub w Stanach Zjednoczonych, to z radością i dumą doręczę władzom polskim".

W ten sposób zapoczątkowany został w Paryżu Amerykańsko-Polski Komitet, którego działalność stanowi jedną z najpiękniejszych kart w historji stosunków polsko-amerykańskich.

Pierwszy fundusz Komitetu stanowiła składka, złożona przez uczestników zebrania w Paryżu w sumie 6,300 franków.

"Przeglądając listę ofiarodawców", — pisze o składce tej poważny tygodnik "New York Mirror" z 10 września 1831 — "widzimy, że złożyli ją obywatele wysoce poważani i znajdujemy nazwiska kil-

ku pań. Z radością uważamy tę zgodność uczuć, które przenikają Amerykanów w każdej części świata i szczególnie cieszymy się, że nasze piękne rodaczki biorą udział w tych szlachetnych uczuciach, których zresztą one są najsilniejszą podnietą".

Inicjatywa Amerykanów w Paryżu znalazła więc podatny grunt w Ameryce, gdzie sympatje polskie były bardzo żywe w okresie powstania listopadowego.

Silniej jeszcze podnieciła je odezwa, napisana przez Coopera z polecenia rodaków paryskich i ogłoszona niemal we wszystkich ówczesnych pismach amerykańskich. Urok sławy jej autora tem większy nadawał walor sprawie polskiej w oczach Amerykanów.

Historyczny ten dokument braterstwa polsko-amerykańskiego, na który później Mickiewicz powoływał się w swych wykładach o literaturze słowiańskiej w Kolegjum Francuskiem, brzmi następująco:

"Odezwa obywateli amerykańskich, przebywających obecnie w Paryżu, w sprawie narodu polskiego.

"Do narodu amerykańskiego!

"Wasi rodacy w Paryżu ośmielają się zwrócić do was w sprawie byłej rzeczypospolitej polskiej. Spodziewają się oni znaleźć u was posłuch głównie dlatego, że są stosunkowo blisko sceny nieszczęsnej wojny, że mogą łatwiej znaleźć środki działania i pozyskać wiadomości, wreszcie dlatego, że pragną być użyteczni. Występując zaś jako obrońcy ludzkości, zapominają o swej niewielkiej liczbie i domagają się spełnienia swej prośby z ufnością ludzi, którym znana jest wasza filantropja.

"Konieczność ładu i obrony zrodziła narody. W ciągu wieków rodziny wyrosły na społeczeństwa a ze wspólnego początku, wspólnego języka i wspólnych zwyczajów powstały te uczucia i pobudki, które wiążą naród. Poza węzłem krwi, najsilniejszym jest węzeł łączący człowieka z krajem rodzinnym. Uczucie ojczyzny należy do najczystszych uczuć, zdobiących naturę ludzką i doświadczenie wykazało, że gdzie ono zniszczeje, tam następuje moralne upodlenie, które odbiera ludziom zdolność do wszelkich natchnionych i szlachetnych czynów. W każdym wypadku, w którym społeczna organizacja wyrobiła odrębne charaktery i obyczaje, wolny byt narodowy zdaje się być rzeczą prawie konieczną dla istnienia cnoty narodowej. Niewola spada na naród jak zaraza, wstrzymując obieg szlachetnych dążeń i niszcząc jego nadzieje na długie wieki. Nie znajdziemy większego obszaru ziemi, gwałtem strąconego z wysokiego stanu wolnego państwa do zawisłego położenia prowincji, gdzieby nie było widocznych dowodów złych rządów. Zakazy, które są konieczne dla zabezpieczenia nieuczciwie nabytej przewagi i ucisk, który cierpi słabszy od mocniejszego, są to tylko niektóre z bardziej rażących objawów zła. Do tego należy dodać upadek ducha pobitych, osobiste poniżenie i osobiste zepsucie, wraz z całym szeregiem przygnębiających następstw. Gdyby los taki spotkał choćby najmniejsze społeczeństwo,

miałoby już ono prawo do waszej litości i jesteśmy pewni, że wzbudziłoby ją. Ale gdy Polska została pokonana, piąte co do wielkości mocarstwo w chrześcijaństwie zostało zdeptane!

"Są okoliczności szczególnie krzywdzące i szczególnie obciążające, które należy dodać do tego obrazu. Zbrodnią Polski była nadmierna wolność. Sąsiedzi jej oparłszy swe trony na despotyzmie, nie mogli znieść jej niepodległego bytu. Współobywatele! ani starodawne urządzenia, ani starodawne zwyczaje Polski nie były zrozumiane. Te pierwsze miały, wspólnie z całą Europą, dziedziczne błędy zwyczajów feudalnych, jednakowoż należały do najbardziej wolnych na tej półkuli. Te drugie, — jak zawsze było i jak zawsze będzie póki człowiek powszechnie nie wejdzie w posiadanie tych praw, których tak długo był pozbawiony przez polityczne zmowy i umysłowe monopole, — zostały spotwarzone i spaczone, by mogły służyć celom tych nielicznych, którzy pragną żyć z pracy mas. Polska była oskarzona o niezgodę i anarchję.. Wolni przekazują potomności błędy i cnoty, jako towarzyszy swej wielkości ale przeszłe zbrodnie niewolnych pogrążone są w wiecznem zapomnieniu. Słyszymy o niezgodzie greckich republik, ale daremnie szukalibyśmy choć tylko za nazwiskami współczesnych despotów. Nie potrzebujemy jednak badać historji starożytnej, aby ocenić wartość tych oszczerstw lub poznać ich pobudki. Narodzie amerykański! I ty jesteś oskarzony, że żyjesz wśród anarchji i zamętu bezprawia, i o tobie mówią, że jesteś już znużony wolnością, i ciebie lżą, że zapominasz o Bogu, i o tobie głoszą, że tęsknisz za monarchją! A co jest fałszem względem ciebie, z wyjątkami, wynikającemi z różnicy wieków i rządów, było również fałszem względem Polski. Wraz z wolnością Polski upadła również suwerenność państwa. — I nie jest to już wszystko; przynależność państwowa została nietylko zmieniona, ale i podzielona. Polak może być wezwany, na słowo swych panów, do walki z Polakami i w tej wojnie o byt musi być gotów zadać gwałt wszystkim swym świętym uczuciom, związanym z przeszłością, aby podtrzymać znienawidzoną i zgubną władzę obcych.

"Brak było tylko jeszcze jednej obciążającej okoliczności, aby rozbiór tego pięknego kraju stał się jeszcze bardziej wstretny i, niestety, i ją należy zaliczyć do jego cierpień. Kiedy Polska została ujarzmiona, większa część jej obszaru przeszła w poddaństwo narodu mniej posuniętego w cywilizacji, niż jej właśni obywatele. W ten sposób odebrano jej jedyną pociechę w klęsce i skazano na to, by była świadkiem stopniowego rozkładu tych sztuk i myśli, które tworzą podstawę narodowej pomyślności.

"Przeciw niesprawiedliwości losu i przeciw dalszemu pomnażaniu się wielorakich krzywd Polacy powstali wobec Boga i ludzkości. Przedstawiwszy światu swe cierpienia, wystąpili. w obronie swych praw i szlachetnie oddali wszystko dla sprawy. Wśród najtrudniejszych i najbardziej zniechęcających warunków okazali się godnymi

swego wysokiego pochodzenia. Odcięci od morza, otoczeni pozorną neutralnością i opuszczeni przez wszystkich i wszystko, zbrojni tylko w odwagę i wiarę w świętą sprawiedliwość swej sprawy, podnieśli charakter swej walki z powstania do godności wojny. Nie występujemy z tą odezwą w duchu propagandy; Warszawa, rząd kraju i wszelkie konieczne przywileje suwerennej władzy zostały już odzyskane; i zanim Rosja kiedykolwiek będzie mogła znowu rządzić Polską, Rosja musi wprzód na nowo podbijać Polskę.

"Wytrwałość, z jaką bohaterski ten naród lgnął do swych wspomnień, jego dzielna gotowość do porwania za broń we własnej obronie i jego zupełna szczerość i godność, z jaką zachowuje się po dobyciu miecza, wzbudzają nasz szacunek. Królestwo Polskie jest obozem; mężczyźni są w polu, niewiasty w szpitalach. Nie szczędząc dla sprawy ani siebie, ani środków na potrzeby publiczne, Polak pogardza ułudą: patrzy śmiało niebezpieczeństwu w oczy i stawia mu czoło, jak przystoi Polakowi.

"Narodzie amerykański! Ze wszystkich narodów ziemi jesteś w najszczęśliwszem położeniu. Nie obawiasz się żadnych nieprzyjaciół; nie grozi ci głód, posiadasz wszelkie dary, jakiemi dobroczynna Opatrzność obsypała człowieka. Ofiary i trudy twych przodków przyniosły ich potomkom dziesięciokrotny plon pokoju, bezpieczeństwa i szczęśliwości. Do ciebie więc odzywamy się, abyś ze swej obfitości złożył ofiarę na konieczne potrzeby tego pokrzywdzonego narodu. Oddalony od wypadków, jakie rozgrywają się na tej półkuli, nie wiesz sam o przewadze, jaką posiadasz, ani o moralnej sile, jaką dzierżysz. Silne objawy twych uczuć więcej niż inne przyczyny sprawiły niedawno religijną emancypację miljonów. Wielki twój przykład podkopuje pocichu a nieustannie podstawy despotyzmu. Moralne przewodnictwo, którem się inni chlubią, wykonujesz ty wyłącznie, ponieważ jesteś prawym stróżem prześladowanych praw człowieczeństwa. Nie bądź więc niegodnym swego posłannictwa przez zimne powstrzymywanie się od wyrażenia prawdziwych swych uczuć. Pamiętaj, że w każdym wolnym człowieku, który pada choćby na najdalszym krańcu świata, tracisz brata, który walczył za twą własną szlachetną sprawę. Złoto twoje złagodzi wiele boleści, wyleczy wiele ran, opłaci wiele ulgi w cierpieniach i zmartwieniach; ale współczucie twoje będzie milsze nad wszystko. Niechaj historja nie powie, że gdy zimni i bezlitośni handlarze praw ludzkich łączyli swe siły, aby pokonać dwadzieścia miljonów ludzi, walczących za wolność i godnych tej wolności, wtedy trzynaście miljonów, ożywionych temi samemi ideami, patrzyło się na to obojętnie, ponieważ rozdzielał ich ocean. Gdyby nie ten ocean i na was napadniętoby, aby zniszczyć inny zgubny przykład. Skutku tej odezwy wyglądają tysiące zakrwawionych serc, powodowane nie pragnieniem korzystania z waszej hojności, ale raczej szlachetną nadzieją znalezienia, w razie zwy-

cięstwa, zachęty w waszym poklasku, a, w razie klęski, pociechy w waszem współczuciu.

"Przedstawiliśmy wam w prostych słowach sprawę Polski. Sprawa jej jest tak widocznie słuszna, że nie potrzebuje pomocy ozdób językowych, ani też szumnych odezw do waszego miłosierdzia. Nie zamykamy oczu na czułe stosunki, jakie istnieją między naszym własnym krajem a Rosją. Nie zaprzeczamy, przeciwnie, z przyjemnością poświadczamy, że Rosja przez swą mądrość, przezorność i wspaniałomyślność zdobyła trwałe prawo do przyjaźni i czci Ameryki. Istnieją liczne powody, dla których oba kraje powinny zostać przyjaciółmi; niektóre zaś z tych powodów mogą je łatwo doprowadzić do sojuszu. Nie oskarzamy Mikołaja o tyranję, gdyż wiemy, że musi działać stosownie do okoliczności, których nieszczęsną ofiarą jest Polska. Ponieważ na filantropję naszą nie wpływają ani interesy narodowe, ani obawy narodowe, możemy oddać równą sprawiedliwość napastnikowi i napadniętemu. Do tych wyjątków od osobistych oskarzeń z przyjemnością zaliczamy też dwuch łagodnych wielkich książąt, którzy wspólnie z carem stali się spadkobiercami fałszywego systemu, przekazanego przez poprzednie rządy. Nie chcąc zwalać win na drugich, którzy może są niewolnikami sądów, odmiennych od naszych, skłaniamy się przed majestatem prawdy. Krzywda istnieje, i sprzeniewierzylibyśmy się naszemu pochodzeniu, naszym zasadom, i tej łagodnej religji, w której zostaliśmy wychowani, gdybyśmy wahali się w wyborze między Polską a jej nieprzyjaciółmi.

"Do naszych szlachetnych rodaczek odzywamy się z ufnością w imieniu cierpiących. One to są towarzyszkami mężów, przywykłemi uważać siłę za podległą rozumowi. Błogosławieństwo to, którem one tak wybitnie cieszą sie, nie stanie się nigdy powszechnem, dopóki potęga silnego nie będzie wszędzie ustępowała namowom dobrego. Apelujemy do nich o pomoc dla sierot i nieszczęśliwych; prosimy je o poparcie w dodaniu otuchy zrozpaczonym i umocnieniu śmiałych. Wzywamy je, aby zostały dobroczynnymi pośrednikami w tej świętej sprawie i stanęły na czele tej zbożnej pracy z tą nieustraszoną szlachetnością, która objawia się zawsze u nich wobec zgwałcenia zasady prawa przez złośliwą przemoc.

"Powstań więc, narodzie amerykański, na ratunek tego bardzo pokrzywdzonego i dzielnego narodu! Pomoc twą dasz tym, którzy chcą złożyć wszystko na ołtarzu wolności; tym, którzy chcą sami zdobyć swe wyzwolenie; tym, którzy już okazali się godnymi swej starożytnej sławy na dwudziestu pobojowiskach i którzy nigdy nie spoczną w walce, chyba w ostateczności.

"J. Fenimore Cooper, przewodniczący,
"J. A. Washington, sekretarz".

Ustęp o Rosyi w odezwie Coopera wymaga kilku słów wyjaśnienia. W jego opisach podróży po Europie można zauważyć pewne

sympatje prorosyjskie, ale były one raczej powierzchowne. Cooper sądził Rosję z tych nielicznych Rosjan, których spotykał. A że byli to przeważnie ludzie wykształceni i ugrzecznieni dyplomaci i arystokraci, nic więc dziwnego, że wedle nich mierzył ogół i uczucia osobiste uogólniał. Zresztą cała Ameryka była przeważnie zawsze prorosyjską, i o ile ogół narodu czasami nie sympatyzował z Rosją, o tyle rząd amerykański, szczególnie dawniej, darzył ją stałą przyjaźnią. Tem większa zasługa Coopera, że "się skłonił przed majestatem prawdy" i "nie zawahał się w wyborze między Polską a jej nieprzyjaciółmi".

W odpowiedzi na odezwę Coopera w miastach Stanów Zjednoczonych wszczął się ruch ofiarny. Urządzano wiece, organizowano komitety składkowe i zbierano datki na poparcie oręża polskiego.

Ale Amerykę od Polski oddzielała wówczas zbyt wielka przestrzeń. Nie było kolei zelaznych, szybkich parowców i telegrafu. Dwa miesiące wędrowała wiadomość z Polski do Ameryki i dwa miesiące wracała z powrotem. Skutkiem tego, echa i objawy sympatyj amerykańskich zapóźno doszły do Polski, by zachęcić walczących za świętą sprawę i wspomódz ich w walce.

"Otrzymałem Twą odezwę w sprawie Polski" — pisał do Coopera przyjaciel Wilhelm Dunlap, artysta-malarz, z Burlington, Vt., 20-go września 1831. — "Niechaj Bóg pomaga tym dzielnym zuchom! Co do mnie, mogę się tylko modlić za nich. Twe wysiłki nie są bez skutków w tym kraju. Ale wypadki następują jedne po drugich tak szybko, że trudno nam oswoić się z nimi. Może już teraz Polacy tryumfują, albo Warszawa leży w ruinach..."

Rzeczywiście, wypadki następowały po sobie tak szybko, że nim pierwsze składki z Ameryki napłynęły do Paryża, Warszawa była już zdobyta i powstanie upadło.

Zapóźno też nadeszły dwa sztandary, ofiarowane przez młodzież Bostonu walczącej armji polskiej. Opóźnienie to nie zmniejszyło jednak wdzięczności Polski. Generał Kniaziewicz i Ludwik Plater, agenci rządu narodowego w Paryżu, dziękowali Cooperowi w gorących słowach za te objawy uczuć narodu amerykańskiego.

"Panie!" — pisali mu Polacy — "Generał Lafayette zawiadomił nas właśnie o otrzymaniu 20,000 franków od obywateli Nowego Jorku, jak również hojnej ofiary od sławnej Akademji Wojskowej w West Point, przeznaczonych na poparcie sprawy polskiej. (Kadeci z West Point złożyli 248 dolarów). Pokazał nam również dwa sztandary, które młodzież Bostonu ofiarowała naszym dzielnym obrońcom. Ta hojna pomoc, ten dowód pamięci rodaków Waszyngtona dla rodaków Kościuszki, doszły nas, niestety, zapóźno. Polska, jako państwo niepodległe, przestała istnieć! Okrutnie opuszczona przez gabinety, upadła! Ale chociaż naród polski został pokonany, nie zginął jednak. Zwycięzca, pan fortec i kraju, może robić co mu się podoba, gdy Europa i Los pozostawiły mu wolną rękę do działania, ale nawet on nie

ma dosyć mocy, aby zmienić nasze serca. Nad Wisłą i nad Dnieprem, w pustyniach po obu stronach Uralu, gdzie tylko, wogóle, Polak żyje, jako wygnaniec, czy jako niewolnik, marzy on tylko o Polsce i Wolności! Nasze dzieci będą szeptały te święte słowa, nasze kobiety będą wplatały je w swe śpiewy żałosne, a co się tyczy nas, którzyśmy działali w ostatnich wypadkach i byli ich świadkami, słowa te są naszą ciągłą myślą i stanowią nasze ostateczne cele. Tak będzie dopóty, aż Bogu spodoba się nakazać, aby sprawiedliwość stała się narodowi, pozbawionemu swych praw — aż nazwiska tak wielu męczenników i bohaterów, poległych w tak wielu walkach, padłych na niezliczonych pobojowiskach, zostaną pomszczone. Tak musi być dopóty, aż Polska doczeka się tryumfu prawa nad uciskiem, który uwolnił Amerykę od Anglji, Portugalji i Hiszpanji, a samą Rosję od Tatarów!

"Dzień uwolnienia Polski nadejdzie. Chociaż może my nie doczekamy się tej chwili, ale nasi potomkowie doczekają się jej; a czy nadejdzie wcześniej, czy później, nie zapomnimy nigdy o tych, którzy łączyli swe wysiłki z naszymi wysiłkami, swe modlitwy z naszemi modlitwami! Ze wzruszeniem wspominamy zebranie w zeszłym lipcu, na którem Pan przewodniczył i ofiary, jakie wtedy złożono na naszą sprawę. Podziękowaliśmy wówczas Panu i teraz składamy Mu podziękowanie dla rodaków tu we Francji i w Ameryce zarówno za to co zrobiliście, jak i za to co życzyliście sprawie Wolności i Sprawiedliwości! Sztandary i ofiary ostatnio otrzymane mają w oczach naszych cechę świętości, gdyż dostały się w nasze ręce jako ostatni ślad niepodległości Ojczyzny.

"Zechciej, prosimy cię, Panie, być pośrednikiem w przesłaniu Twemu wielkiemu i szlachetnemu narodowi tego wyrażenia wdzięczności polskiej. Niechaj nasze dzięki będą wiadome na całym wielkim obszarze waszych stanów; są one głosem narodu, który w swym własnym kraju jest niemym. Niechaj Ameryka, wzór wszystkich wolnych krajów, zachowa pamięć naszych wysiłków i naszych krzywd; pamięć jej żywiołowego i szlachetnego współczucia zawsze będzie droga Polakowi.

"Paryż, 21 października 1831.

"Generał Kniaziewicz

"Ludwik Plater".

Cooper list ten nadesłał do dziennika "New York American" z następującym dopiskiem własnym: "Od byłych posłów rządu polskiego we Francji otrzymałem list, który proszę łaskawie ogłosić. List był pisany po francusku i przetłumaczyłem go pragnąc zatrzymać oryginał, przez co prawdopodobnie stracił nieco na sile; sądzę jednak, że Pan, panie redaktorze, na równi ze mną będzie go uważał za szlachetny wyraz tych uczuć, które od wieków cechowały Polskę..."

Za dziennikiem tym przedrukowały korespondencję inne gazety amerykańskie.

W jesieni i zimie 1831-32 roku Cooper był pilnie zajęty pracą ratunkową w Komitecie Amerykańsko-Polskim w Paryżu. W swych wspomnieniach z Europy — mianowicie w "Szkicach z Szwajcarji" (Sketches of Switzerland by an American) — tylko bardzo pobieżnie wspomina o tem: "Tej zimy widziałem generała Lafayette'a częściej niż zeszłej dzięki temu, że komitet Amerykanów, mianowany do niesienia pomocy wygnańcom polskim, zbiera się co tydzień w moim domu i rzadko tylko braknie generała na tych zebraniach".

To wszystko co Cooper kiedykolwiek napisał o swej pracy dla Polski. Skromność kazała mu milczeć o własnej działalności. Autor "Ostatniego Mohikanina", obok doktora Samuela Gridley Howe'a, był jednak najczynniejszym członkiem Komitetu Amerykańsko-Polskiego, który niejednego z wygnańców polskich, napływających do Francji, uratował od śmierci głodowej i ostatniej nędzy.

O pracach tego Komitetu pisał Cooper w nieco późniejszem sprawozdaniu, złożonem ofiarodawcom w Ameryce:

"Sposób, w jaki zbierano składki na ratunek Polaków, jest ogólnie znany. Pieniądze były wysłane do generała Lafayette z prośbą, aby postarał się o doręczenie ich skarbowi polskiemu, jeżeli nadejdą jeszcze na czas, by mogły być użyte na pomoc w walce; jeżeli by zaś przyszły zapóźno, miały być użyte na pomoc dla ofiar powstania. Wobec tego, że pierwsze przesyłki nadeszły do Francji po upadku Warszawy, z konieczności pieniądze użyto na ten drugi cel...

"Amerykańsko-Polski Komitet został utworzony na pisemną prośbę generała Lafayette'a. Komitet miał utrzymywać rachunki, badać położenie proszących o pomoc, decydować o pomocy dla nich i spełniać wszelkie inne czynności, związane z wiernem wypełnianiem tak świętego zadania...

"Dr. Samuel G. Howe z Massachusetts... został mianowany jego przewodniczącym...

"Kilka tygodni upłynęło po regularnem zorganizowaniu Komitetu, a na ręce nasze nie wpłynęła żadna prośba o pomoc. Nieprzewidziana ta wstrzemięźliwość ze strony emigrantów polskich wynikła z kilku powodów. Nie wielu z nich dotarło do Paryża, z wyjątkiem tych, którzy mieli jakie takie środki. Sympatje Francuzów (dla Polski) zostały potężnie rozbudzone i pomoc ich, wynosząca wspaniałą sumę, mogła być rozdzielana regularniej i systematyczniej niż nasza; nas obowiązywała delikatność, jaka cudzoziemcy powinni przestrzegać w obcym kraju. A wyrządzilibyśmy niesprawiedliwość szlachetnym ludziom, którzy padli ofiarą nieszczęśliwego wysiłku zdobycia Polsce niepodległości, gdybyśmy nie dodali że w niektórych wypadkach pomoc nasza została nieprzyjęta, z wdzięcznością co prawda, ale i z dumną ufnością we własne siły w zdobyciu utrzymania. W tym czasie, kiedy odbywaliśmy nasze regularne posiedzenia

bez możności uczynienia wiele dla tych, dla których pomoc była przeznaczona, widocznem stało się, że państwa sąsiadujące z Polską (Prusy), zamierzają zmusić rozbitków armji polskiej do powrotu w ręce nieprzyjaciela. Już sam ten fakt musiał wzbudzić współczucie każdego szlachetnie myślącego człowieka. Nadto zaś mieliśmy powody do przypuszczania, że nasze pieniądze, bezużyteczne w Paryżu, mogą być pomocą wielu dzielnym Polakom, znajdującym się zdala od nas i cierpiącym rzeczywiście nędze. Wobec tego postanowiono przesłać część naszych funduszów do Niemiec".

Powiózł je więzionym przez Prusaków rozbitkom armji polskiej dr. Howe, który za swe poświęcenie dostał się do więzienia w Berlinie, skąd go władze amerykańskie z trudnością wydostały.

Zima 1831-32 była w dziejach emigracji polskiej we Francji pamiętna głodem i chłodem, ciężka prześladowaniem ze strony obłudnego rządu francuskiego.

Natan P. Willis, poeta amerykański, przyjaciel Coopera i doktora Howe'a, opisuje wymownie nedze emigrantów polskich w liście z Paryża, 11 lutego 1832, do tygodnika "New York Mirror":

"Polacy przybywają tu gromadami codzień i ulice pełne są ich smutnych twarzy. Biedacy! Nędza dusi ich niemiłosiernie. Publiczna dobroczynność dla uchodźców została już dawno wyczerpana i najbardziej bohaterskie serca polskie, straciwszy wszystko prócz życia w daremnej walce, giną z głodu na ulicach. Przypadkiem zbliżyłem się do pewnego znanego liberała, jednego z tych ludzi, którego dumni mogą prosić o wsparcie bez poniżania się, i od niego dowiedziałem się o szczegółach, które poruszyłyby serce kamienne. Fikcyjne cierpienia "Tadeusza z Warszawy" są niczem w porównaniu z rzeczywistą nędzą, jaką znoszą tu codziennie ludzie, niemniej szlachetni jak bohater tej powieści. Lafayette, jak mnie zapewniano, obdłużył swój dochód kilkuletni na pomoc dla nich; i żadne miłosierdzie nie mogłoby być lepiej użyte, jak składki na Polaków, ginących z głodu w tych bezdusznych miastach.

"Słyszałem właśnie, że Chodźko, Polak wybitnego talentu i nauki, który oddał cały swój majątek i energję na rzecz ostatniej rewolucji, został wczoraj wieczorem aresztowany razem z ośmioma swymi rodakami, jako podejrzany przez rząd..."

Tym właśnie nędzarzom starali się spieszyć z pomocą szlachetni Amerykanie paryscy.

Praca Coopera dla Polski nie ograniczała się tylko do Komitetu Amerykańsko-Polskiego. Z równą ochotą pomagał w zabiegach innych szlachetnych cudzoziemców, mających na celu miłosierdzie względem emigrantów polskich.

Z tej zimy 1831-32 roku przechował się ciekawy list Elżbiety Marlay, Angielki, pisany w sprawie Polaków do Coopera.

"Poddano mi myśl" — donosiła mu jakoś w styczniu czy lutym 1832 — "że Pan znowu gotów jest podać pomocną dłoń Polakom i

poprosić p. Morse'go (malarza amerykańskiego, zamieszkałego wówczas w Paryżu), by dał jakiekolwiek szkice, lub rysunki na nagrody w loterji, która jest obecnie urządzana przez przyjaciół tych biednych uchodźców. Wielu francuskich artystów z p. Gerardem na czele dają swe obrazy i ja, która mam pod swą opieką sprzedaż biletów i stykam się z tymi, co odczuwają litość dla Polaków i biednych wogóle, wiem jak wielką pomocą jest cokolwiek z pod pędzla artysty, by nakłonić te osoby do spróbowania szczęścia. Czy nie zechce Pan też spróbować szczęścia i zapisać się na moją listę, o ile już nie jest na innej? Bilety są po 50 sous... Pragnęłabym również nakłonić Pana i pannę Cooper, byście poszli na koncert, którego program dołączam. Pan Chopin jest jednym z najmilszych artystów, jakich słyszałam, tak co do muzyki, jak i wykonania. Wielkiego Poloneza będzie warto posłuchać, chociażby tylko jako rzeczy niezwykłej. Pan Chopin, powiada, że jest on wspaniały".

Pobyt w Paryżu i praca dla Polski przyczyniły się do nawiązania osobistej znajomości i przyjaźni między Cooperem a emigracją. Wedle słów T. T. Jeża, jednego z jej uczestników, Polska po upadku powstania listopadowego "wysłała na zachód czoło narodu — wszystko, co najlepszego i najdostojniejszego pod moralnym i umysłowym posiadała względem". Cooper musiał w Paryżu zapoznać się z Szopenem i Lelewelem, Dwernickim i Kniaziewiczem, Słowackim i Zaleskim i innymi z tych, którzy "zrobili z Polski nazwiska pacierz, co płacze i piorun, co błyska".

O bliskich jego stosunkach z kolonją polską i chętnem śpieszeniu z pomocą potrzebującym świadczą dwa listy generała Lafayette. Wynika z nich, że Cooper równie ochotnie i z własnej kieszeni wspierał Polaków.

Dnia 6 lutego 1834 r. pisał Lafayette Cooperowi już do Ameryki:

"Chodźko (Leonard) wyjechał z Francji, prześladowany przez rząd. Dotychczas nie mogłem odebrać piętnastu set franków, które należą się naszemu Komitetowi od Komitetu Francuskiego. Generał Dwernicki zapewnia mnie od czasu do czasu, że w ciągu kilku dni będzie miał Twoje pieniądze. Wszystkiego tego przypilnuję, gdy wstanę z łóżka". (Był wtedy Lafayette chory z przemęczenia.)

A w dwa miesiące potem, 14 kwietnia 1834 r., donosił znowu:

"Napisałbym był Ci już wcześniej, gdyby nie to, że każdego dnia spodziewałem się odebrać Twoje sto dolarów. Polsko-Francuski Komitet, który jest bez centa, jeszcze nie oddał tej pożyczonej sumy, uchwalonej przez nas dla biednego Chodźki, który musiał opuścić Francję i teraz bieduje w jakimś zakątku Anglji. Tak mi przynajmniej mówiono, bo nic od niego wprost nie słyszałem. Dwernicki zapewnił mnie, że lada dzień spodziewa się pieniędzy z Polski. Jest to teraz bardziej możliwe niż poprzednio. Ale póki nie otrzymasz swych pieniędzy z powrotem, nie przestanę pilnować Twych spraw".

Mickiewicz przybył do Paryża dnia 31 lipca 1832, ale już nie zastał Coopera, który tymczasem wyjechał do Szwajcarji. Zacna panna Marlay donosiła Cooperowi do Genewy o przyjeździe naszego wieszcza w liście z 4-go października 1832:

"Biedny Mickiewicz przyjechał, miły, jak zawsze, ale niezdrów i w złym humorze i widzę go tylko niewiele. Zdaje się, że powziął wstręt do Paryża i że widzi wszystko w czarnych barwach, co zresztą jest uzasadnione, chociaż ostatnio rząd zdaje się lepiej traktować Polaków. Drukuje on z Chodźką nowe wydanie swych poezji, w jakim celu w tym niestosownym czasie? nie mogę pojąć, ale przypuszczam, że w połowie patrjotycznym, w połowie zaś pieniężnym. Co do pierwszego — niestety! Co do drugiego, spodziewam się, że mają jakąś pewność powodzenia, gdyż inaczej nie braliby się do wydawnictwa".

Prawdopodobnie Mickiewicz i Cooper zetknęli się znowu osobiście po powrocie Amerykanina do Paryża, ale nie długo już mogli być blisko siebię. Cooper w roku 1833 wyjechał z Francji i powrócił na zawsze do Ameryki.

Rozłączenie nie zerwało węzłów, zadzierżgniętych między Cooperem a Polakami. W korespondencji powieściopisarza, wydanej przez jego wnuka, znajduje się kilka tego dowodów.

Niedługo po powrocie Coopera do Stanów Zjednoczonych w domu jego znalazł gościnny przytułek młody Józef Truskolaski, jeden, zdaje się, z tych powstańców, których Austrjacy na dwuch fregatach deportowali z Trjestu do Nowego Jorku i tam na bruk wyrzucili.

W jaki sposób Cooper zapoznał się z Truskolaskim, niewiadomo — dosyć, że z Nowego Jorku zawiózł go do swej pięknej siedziby "Otsego Hall" w Cooperstown, N. Y., i tam go przez dłuższy czas gościł i uczył języka angielskiego.

"Truskolaski uczy się i robi postępy. Ciągle jednak chodzi rozdrażniony i powtarza swoje: Boże, Boże, co ja zrobię, nie mam pieniędzy ,ani nic nie umię" — donosił bratanek Cooperowi podczas chwilowego pobytu stryja w Nowym Jorku.

Nieswojo musiał się czuć Truskolaski w Cooperstown, pomimo serdecznej gościnności gospodarza. Był bowiem wśród obcych, których języka nie znał, a ponadto dręczyła go myśl o przyszłości. Nie chcąc być długo ciężarem zacnemu Cooperowi, skoro tylko poduczył się trochę angielszczyzny, poprosił go, aby mu wyszukał posadę w jakim sklepie w Nowym Yorku. Skarżył się przytem z żalem Cooperowi w liście pisanym lichym językiem angielskim, że niejaki pan Lee nie chciał go przyjąć do swego sklepu w Cooperstown i radził mu, by raczej został kapelusznikiem lub krawcem. "Polish man not tailor or Hatter" — pisał Truskolaski Cooperowi. — "I will study what make me destinguished when I go back to Poland, will you please find me

a place in store. I for that cannot express my gratutide, you have bein very good to me — for that I am very thankful".

Czy spełniły się te ambicje młodego wygnańca? Zapewne nie wszystkie, jak zresztą bywa z każdemi marzeniami młodości. O Truskolaskim wiadomo tylko tyle, że został podobno mierniczym rządowym i dokonał pomiaru rządowych gruntów w Louisiana i Utah. Na odznaczenie się czemś i powrót do kraju nie starczyło mu życia i sił.

Innym dowodem pamięci Coopera o Polakach jest następująca odezwa w "New York American" z dnia 20-go maja 1834-go roku:

"Wśród emigrantów polskich jest pewien oficer w randze kapitana, który pozostawił za sobą żonę i rodzinę. Pragnie on bardzo gorąco powrócić do Europy. Jeden z zagranicznych ministrów w Waszyngtonie ofiarował mu bezpłatny paszport na ten cel. Potrzebna jest jeszcze suma stu dolarów na pokrycie kosztów podróży. Ci którzy chcą pomódz temu Polakowi, wyświadczą dobrodziejstwo, przesyłając swe ofiary do redakcji na ręce p. J. Fenimore Coopera".

W grudniu 1849 odwiedził Coopera w Nowym Jorku hrabia Adam Gurowski, jeden z wybitnych członków emigracji polskiej we Francji, który przywiózł mu garść nowin o znajomych Polakach. Znajomości te obchodziły widocznie i panią Cooper, bo powieściopisarz donosił jej listownie zaraz po wizycie:

"Hrabia Gurowski, jednooki Polak, który odwiedzał nas w Paryżu, jest w moim domu i rozmawiałem z nim dziś rano. Biernacki jeszcze żyje, ale Ludwik Plater umarł. Mickiewicz (Cooper pisze nazwisko przez Mickiewitz) wynalazł religję, ale poddał się Piusowi IX. Powodzi mu się dobrze. Jański pracuje w prasie".

Ów hrabia Gurowski, jeden z założycieli Towarzystwa Demokratycznego Polskiego we Francji, następnie jeden z apostołów panslawizmu, po rozmaitych kolejach życia osiadł na stałe w Ameryce i został urzędnikiem w departamencie stanu w Waszyngtonie, dzięki znajomości ośmiu języków. Posadę tę jednak stracił przez zbyt długi język. Wydał kilka dzieł politycznych, poprzednio w językach francuskim i niemieckim, w Ameryce zaś w angielskim. Umarł w Waszyngtonie w r. 1866. Była to postać ciekawa, ale, niestety, nie zasługująca na pochlebne wspomnienie.

Niedługo po odwiedzinach "jednookiego" Gurowskiego Cooper otrzymał list od Mickiewicza.

"Mój francuski list był od Mickiewicza" — pisał żonie z Nowego Jorku pod datą 22-go września 1850 r. — "Podaje on, że panna Marlay umarła niedawno i że często przez nią miał wiadomości o nas — jak, nie umiem powiedzieć. Celem jego listu było pozyskać moją pomoc dla pewnego artysty niemieckiego, który, jak zapewnia Mickiewicz, posiada niezwykłe zdolności".

Czy stosunki listowne między Cooperem a Mickiewiczem ograniczały się tylko do tego listu? Prawdopodobnie nie prowadzili ze sobą stałej korespondencji, inaczej Mickiewicz nie donosiłby, że dowia-

duje się o powieściopisarzu i jego rodzinie od panny Marlay. Ale Cooper zapewne nie pozostawił francuskiego listu Mickiewicza bez odpowiedzi. Prócz tych mogli też wymienić inne listy, które dzisiaj byłyby ciekawym przyczynkiem do historji genjalnego Polaka i wielkiego Amerykanina, gdyby przechowały się.

Jakkolwiek bądź, stosunku Mickiewicza z Cooperem nie można inaczej nazwać jak przyjaźnią. Do korespondencji ciągłej może czasu i podniety zewnętrznej nie mieli. Mickiewicza pochłaniał wówczas towianizm i praca polityczna dla Polski. Cooper wielki szmat swego życia strawił na bojach sądowych z prasą. Ale w uczuciach z pewnością pozostali sobie wierni. Świadczy o tem fakt, że Mickiewicz parokrotnie wspominał o Cooperze i jego dziełach w swych wykładach o literaturze słowiańskiej, świadczą o tem zresztą ich charaktery szlachetne.

Wspominając o duchowej łączności Coopera z Polską, trudno pominąć jego dzieła. Już kilka pokoleń polskich rozczytywało się w przygodach "Skórzanej Pończochy" i innych bohaterów cooperowskich. I długo jeszcze młodzież polska czytać je będzie z niemniejszym zachwytem, jak jego młodzi ziomkowie w Ameryce. Mimowolnym hołdem, jaki Polska złożyła talentowi Coopera, jest nobilitacja tytułu "Ostatniego Mohikanina" do godności przysłowia.

Łączył go wreszcie z naszą Ojczyzny i związek krwi. Jak w jednym z listów doniósł mi p. Jakób Fenimore Cooper, wnuk, rodzina Cooperów była spokrewniona z Juljanem Ursynem Niemcewiczem przez jego żonę, Zuzannę Kean. Rodowód Coopera przechowany jest z troskliwością i pietyzmem w rodzinnem gnieździe Cooperstown.

XII.

Dr. Samuel Gridley Howe, więzień za sprawę polską.

"Pro Polonia invictissima bellavit" — za Polskę niezwyciężoną walczył.

Doktor Samuel Gridley Howe wprawdzię nie walczył za nią z bronią w ręku, ale dla sprawy polskiej pracował z zapałem i poświęceniem i nawet więzienie pruskie za nią cierpiał. A że praca i cierpienia dla idei są niczem innem, jak walką, więc mu słusznie przyjaciel słowa te wypisał w poważno-komicznym epitafie, dedykowanym przed śmiercią.

Łączył w sobie dr. Howe wszystkie najszlachetniejsze rysy charakteru amerykańskiego i całe swę życie poświęcił sprawie ludzkości. Od młodości aż do grobu kierowała nim jedna myśl zasadnicza, aby z każdego czynu jego wykwitł pożytek dla drugich.

Wychodźtwo polskie w Ameryce nie wię nic o doktorze Howe, jak wogóle mało wie o tem, co było przed wielką emigracją i co ongiś łączyło Ojczyznę naszą z Ameryką. Warto więc z tej mrocznej przeszłości wskrzesić ciekawą postać "sługi ludzkości", jak nazywano Howe'a. Zwłaszcza z pewnością każdego Polaka amerykańskiego zaciekawi jego służba dla Polski, co właśnie jest główną treścią niniejszego szkicu.

Samuel Gridley Howe urodził się w Bostonie, Mass., 10-go listopada 1801, jako syn powrożnika, podupadłego skutkiem wojny rewolucyjnej. Po ukończeniu szkół początkowych studjował na uniwersytecie Brown w Providence. a w r. 1824 uzyskał stopień doktora medycyny na uniwersytecie Harvard.

Właśnie w tym czasie wybuchło w Grecji powstanie przeciw tyranji tureckiej, ciążącej nad krajem od stuleci. Walka Greków o wolność odbiła się żywem echem w całym cywilizowanym świecie i wywołała ruch, zwany filhellenizmem. Z Europy, przejętej poezją Homera i pełną chwały historją starożytnej Hellady, pośpieszyły dziesiątki zapalnej młodzieży na pomoc Grekom; między nimi był lord Byron, największy poeta angielski, który później zginął w tej walce.

Dwudziestoletni Howe, ledwo rzuciwszy ławę szkolną i zdobywszy doktorat, wyjechał do Grecji i zaofiarował rządowi powstańczemu swe usługi jako lekarz. Przyjęto go i odtąd "piękny młodzieniec" — jak go zwali Grecy dla piekności fizycznej — przebiegał Grecję wszerz i wzdłuż, pełniac służbę dobrego Samarytanina i walcząc w szeregach, gdy walczyć trzeba było. Grecy mianowali go później naczelnym lekarzem floty. Po ukończonej pomyślnie wojnie, widząc straszne zniszczenie kraju i nędzę ludności, udał się do Ameryki i tak wymownie i skutecznie przedstawił swym ziomkom los Grecji, że wkrótce mógł wrócić do niej na okręcie, naładowanym żywnością i odzieżą oraz ze sporą gotówką.

Przypadek skierował młodego Howe na dalszą drogę pracy humanitarnej. Kilku obywateli dobrej woli zamierzało założyć w Bo-

stonie szkołę dla ślepych. Kierownictwo jej zaproponowano świeżo przybyłemu z Grecji doktorowi Howe. Wybór nie mógł być szczęśliwszy. Howe ofertę przyjął, ażeby jednak przygotować się dobrze do nowego a trudnego zawodu, wyjechał do Europy, aby w tamtejszych, niedawno założonych szkołach dla ślepych poznać metody nauki.

Tymczasem zaszły okoliczności, które doktora Howe związały z Polska i odtąd zaczyna się właściwa o nim opowieść.

Był to rok 1831, rok powstania listopadowego. Odgłosy walki nad Wisłą odbiły się żywem echem w Ameryce i nie pozostały bez wpływu na wrażliwą duszę młodego doktora. Jak przedtem sprawa Grecji, tak teraz sprawa Polski wzbudziła w nim żywe sympatje i gotowość do pomocy. Można słusznie przypuszczać, że doktor Howe byłby pośpieszył na pole walki i stanął w polskich szeregach, gdyby nie przyjęty na siebie obowiązek.

Pierwszą jego służbą dla Polski było przewiezienie do Paryża dwuch sztandarów, które młodzież bostońska, zdaje się, z inicjatywy doktora Howe, sprawiła własnym kosztem i ofiarowała armji polskiej.

Uroczystość poświęcenia ich była olbrzymią manifestacja amerykańską na cześć Polski, o ile można wnioskować z opisów ówczesnych gazet.

Zabrawszy sztandary i ponadto sporą gotówkę, złożona przez Amerykanów na cele powstania polskiego, wyjechał 30-letni Howe do Europy, aby poświęcić się zamierzonym studjom.

Dalsze jednak wypadki pokrzyżowały w części plany doktora i zaciągnęły go do szerszej służby dla sprawy polskiej.

Nim doktor Howe przybył do Paryża, już Warszawa była zdobyta i powstanie upadło, a resztki armji polskiej pod generałem Rybińskim, przeszedłszy granicę pruską, zostały rozbrojone. Prusacy rozmieścili je po obozach wzdłuż granicy Królestwa Polskiego i, niechcąc otwarcie działać, by nie ściągać na siebie pogardy świata, potajemnie wszelkiemi sposobami starali się zmusić żołnierzy polskich do powrotu przez granicę rosyjską, gdzie czekało ich nic innego, jak pojmanie, knuty i Sybir.

Paryż i Francja poczęły zapełniać się setkami i tysiącami rozbitków z pogromu, którzy skazani byli na nędzę i kij tułaczy.

Już przedtem powstał w Paryżu Amerykański Komitet, zawiązany w lipcu 1831 roku, celem niesienia pomocy powstaniu polskiemu. Głównymi jego inicjatorami byli generał Lafayette i Jakób Fenimore Cooper, który też został jego tymczasowym przewodniczącym. Do Komitetu należało kilkudziesięciu wybitnych członków kolonji amerykańskiej w Paryżu, a Cooper wystosował w imieniu jego odezwę do ludności Ameryki, powtórzoną przez całą niemal prasę amerykańską.

Wymowne jego apele nie pozostały bez echa. W miastach Ameryki

wszczął się ruch i do Paryża poczęły napływać obfite składki. Upadek powstania przeszkodził użyciu tych szlachetnych ofiar na cele walki z Rosją. Komitet wobec tego postanowił fundusze, przeznaczone pierwotnie na zasilenie powstania, użyć na ratunek rozbitków polskich.

Doktor Howę natychmiast po przybyciu do Paryża złożył przywiezione fundusze i oba sztandary na ręce generała Lafayette, który następnie oddał je generałowi Kniaziewiczowi.

W atmosferze paryskiej, przejętej wówczas klęską Polski, nie mógł młody Amerykanin zamknąć swych rąk i swego serca dla niej. Przyłączywszy się do Polsko-Amerykańskiego Komitetu, gdzie tylko mógł pomagał Polakom.

"Miałem wówczas zaszczyt dzielenia z doktorem Howe jego mieszkania w Paryżu przez kilka miesięcy" — pisał później jeden z naocznych świadków pracy doktora dla Polski. "Był on wtedy zajęty studjami nad systemem nauczania ślepych, — który następnie znacznie ulepszył, przez co zdobył sobie osobną sławę wśród filantropów. Filantropja zdaje się być jednak jedynym jego celem i jedynem jego posłannictwem w życiu, gdyż, chociaż większą część swego czasu poświęcał przedmiotom swej specjalnej misji, mimo to znajdował dosyć czasu, aby zostać najużyteczniejszym człowiekiem we Francji dla sprawy Polski.

"Po upadku Warszawy" — pisze dalej autor tegoż wspomnienia — "Paryż zapełnił się nieszczęsnymi uchodźcami. Wybitni mężowie polscy, którzy brali udział w tej rozpaczliwej walce, żyli dosłownie bez dachu nad głową na ulicach paryskich. Nasz wspólny pokój jadalny był zwykle przepełniony tymi nieszczęśliwymi patrjotami, gdyż doktor Howe ze szlachetną hojnością, miał zawsze dom otwarty dla wszystkich. Wielu z nich, o ile mi wiadomo, żyli tem tylko, co zjedli u doktora Howe.

"Pamiętam też dobrze, jak pewnego zimowego poranka przyszedł do niego Joachim Lelewel, sławny pisarz i patrjota, prosić o ciepłe śniadanie po mroźnej nocy spędzonej na ulicy.

"Lafayette był wówczas duchem kierowniczym komitetu pomocy Polakom, a Fenimore Cooper — którego szlachetność wobec Polaków powinna być zanotowana, gdyż sprawie polskiej poświęcał ochoczo swój czas i swe zdolności — wspólnie z doktorem Howe pomagali temu czcigodnemu starcowi w radzie i skutecznej pracy".

Pełen energji i entuzjazmu dla sprawy wolności, opromieniony już sławą, zdobytą w powstaniu greckiem, młody doktor został wybrany przewodniczącym Polsko-Amerykańskiego Komitetu. Wkrótce potem powołano go do służby, może mniej ważnej materjalnie, ale doniosłej dla Polski w znaczeniu moralnem. Jak do tego doszło, opowiada Jakób Fenimore Cooper w późniejszem sprawozdaniu Komitetu:

"Doktor Samuel G. Howe z Massachusetts został mianowany

przewodniczącym naszego Komitetu, ponieważ niektórzy z ofiarodawców w Ameryce wyraźnie życzyli sobie, aby działał jako ich pełnomocnik i ponieważ generał Lafayette chciał go mieć w Komitecie. Doktora Howe wybrano, stosownie do życzenia generała Layafette, dla osobistych zalet kandydata i ze względu na to, że prawdopodobnie wybór ten zgadzał się z wolą znacznej większości ofiarodawców w Ameryce. Kilka tygodni upłynęło po regularnem zorganizowaniu komitetu, a na ręce nasze nie wpłynęła żadna prośba o pomoc. Nieprzewidziana ta wstrzemięźliwość ze strony emigrantów wynikła z kilku powodów. Niewielu z nich dotarło do Paryża z wyjątkiem tych, którzy mieli jakie środki. Sympatje Francuzów (dla Polski) zostały potężnie rozbudzone i pomoc ich, wynosząca wspaniałą sumę, mogła być rozdzielana regularniej i systematyczniej, niż nasza; nas obowiązywała delikatność, jaką cudzoziemcy powinni przestrzegać w obcym kraju. A wyrządzilibyśmy niesprawiedliwość szlachetnym ludziom, którzy padli ofiarą nieszczęśliwego wysiłku zdobycia Polsce niepodległości, gdybyśmy nie dodali, że w niektórych wypadkach pomoc nasza została nieprzyjęta, z wdzięcznością coprawda, ale i z dumną ufnością we własne siły w zdobyciu utrzymania.

"W tym czasie kiedy odbywaliśmy regularnie nasze posiedzenia bez możności uczynienia wiele dla tych, dla których pomoc była przeznaczona, widocznem stało się, że państwa, sąsiadujące z Polską, zamierzają zmusić rozbitków armji polskiej do powrotu w ręce nieprzyjaciela. Już sam ten fakt musiał wzbudzić współczucie każdego szlachetnie myślącego człowieka. Nadto zaś mieliśmy powody do przypuszczenia, że nasze pieniądze, bezużyteczne w Paryżu, mogą być pomocą wielu dzielnym Polakom, znajdującym się zdala od nas i cierpiącym rzeczywiście nędzę. Wobec tego postanowiliśmy przesłać część naszych funduszów do Niemiec.

"Ważną rzeczą było wyszukanie odpowiedniego wysłannika. Na szczęście nasz przewodniczący (doktor Howe) miał właśnie wyjechać na północ w tych celach, które sprowadziły go do Europy. Przyjął on misję pod warunkiem, że nie będzie obowiązany jechać dalej niż będą wymagały jego obowiązki. W tem zrozumieniu znaczna część naszych funduszów została oddana w jego ręce i doktor Howe w styczniu 1832 wyjechał z Paryża w misji dobroczynnej".

Doktor Howe właśnie w tym czasie zamierzał zwiedzić szkołę ślepych w Berlinie. Misji do Polaków podjął się ochotnie, a delikatny i niebezpieczny jej charakter nietylko go nie zniechęcał, ale, owszem pociągał.

"Zapewne wiecie z gazet", — pisał z Paryża amerykański poeta N. Willis do redakcji "New York Mirror" — "że kilkutysięczny oddział Polaków ustąpił z pod Warszawy po przegranej i schronił się do lasów północnych Prus. Złożyli oni broń na uroczystą obietnicę króla, iż otrzymają wszelkie prawa pruskich poddanych. Jednakowoż uznał on za stosowne złamać swe słowo i kazał im wynosić się z po-

wrotem do Polski. Polacy odmówili i zostali otoczeni przez żołnierzy pruskich, którzy otrzymali rozkaz strzelania do nich. Żołnierze nie chcieli jednak strzelać, a Polacy, korzystając z tej sympatji armji, przeszli przez szeregi pruskie i uciekli do lasów, gdzie, wedle ostatnich doniesień, zbroją się w pałki, gotowi bronić się do ostatka. Następstwem powrotu ich do Polski byłoby nic innego, jak natychmiastowa zsyłka na Sybir. Polski Komitet w Paryżu, zarówno amerykański, jak i francuski, z generałem Lafayette na czele, uchwalił większą część funduszu wysłać dla tego oddziału i nasz rodak dr. Howe podjął się niebezpiecznego i trudnego zadania przewiezienia pieniędzy. Wyjechał on z Paryża do Brukseli z listami do generałów polskich i poleceniami Lafayette'a do wszystkich komitetów pomocy Polakom w miejscowościach, przez które dr. Howe miał przejeżdżać, aby wszystkie swe fundusze składały w jego ręce. Jest to dzielny człowiek i jeżeli kto, to tylko on zdoła wykonać tę misję. Jednakowoż naraża się na wielkie niebezpieczeństwo. Niech go Bóg prowadzi!"

Mimo swego poprzedniego zastrzeżenia, że nie jest obowiązany jechać dalej, niżby wymagały jego studja, doktor Howe uległ prośbom i namowom Polaków i po przyjeździe do Berlina wyjechał zaraz na własny koszt do Elbląga. Przebywał tam wtedy generał Rybiński, ostatni naczelny wódz rozbrojonej armji polskiej. Karol Kaczkowski, naczelny lekarz armji polskiej, wspomina w swych pamiętnikach o misji doktora Howe, mylnie jednak bierze go za wysłannika rządu Stanów Zjednoczonych. Opowiada on, że Howe złożył na ręce generała wyrazy współczucia narodu amerykańskiego dla narodu polskiego, oraz oświadczył, że Ameryka, pomna zasług Kościuszki i Pułaskiego, pragnie wedle możności i sił przyjść Polsce z pomocą. Doktor Howe, z polecenia generała Rybińskiego, porozumiał się z Kaczkowskim i na jego ręce złożył przywiezione pieniądze.

Dalsze dzieje misji doktora najlepiej opowiedzą jego własne listy, które ponadto odźwierciedlą nam jego szlachetną duszę i pozwolą poznać gorące uczucia, jakie żywił dla sprawy polskiej.

Do swego przyjaciela, dra. Jana M. Fishera z Bostonu, tak pisał dnia 20 marca, 1832, już z więzienia berlińskiego:

..."Prawdopodobnie nie jesteś obeznany z tem, co ustawicznie było mi na myśli przez ostatnie dwa miesiące, mianowicie niezwykle ciekawe, powiedziałbym bohaterskie, położenie tych ostatnich szczątków dzielnej armji polskiej. Po upadku krwawej walki, zdecydowani nigdy nie poddać się Rosjanom, ani nigdy nie żyć pod nimi, wkroczyli Polacy na terytorjum pruskie i złożyli broń pod warunkiem, że otrzymają zupełną wolność udania się dokądkolwiek zechcą. Przez ostatnie dwa miesiące robione są jednak wszelkie możliwe starania, aby zmusić ich do powrotu do Polski w ręce Rosjan. Lecz Prusacy przekonali się, że ani namowy, ani prośby, ani groźby nie zdały się na nic, dopóki oficerowie pozostawali przy żołnierzach. Dlatego też rozdzielili jednych od drugich; tych zaś oficerów, którzy nie chcieli usłuchać

rozkazu, przemocą oderwali od żołnierzy; niewielu tylko oficerom udało się pozostać przy swoich w przebraniu prostych żołnierzy. Był to smutny dzień, ów dzień rozstania; zdawało się, jakby rozdzielano gromadkę braci. I niejeden oficer udawał chorobę, albo też umyślnie robił się chorym, aby tylko pozostać przy swoich. Niektórym udało się w ten sposób pozostać potem przez tygodnie i w nocy porozumiewać się ze swoimi ludźmi. Oficerowie zostali wysłani do Francji, dokąd wszyscy żądali, aby ich odstawiono.

"Szkoda, żeś nie mógł widzieć" — pisze dalej doktor Howe — "tych dzielnych ludzi, rozbrojonych, w mundurach, które były niegdyś świetne, a dzisiaj brudne i podarte, jak ich wsadzano tuzinami na wozy chłopskie, wysłane słomą i wywożono gościńcami wśród ciężkiej zimy. Za nimi zostawał ich kraj, ich dom, i wszystko, co kochali; przed nimi leżała droga niewiadomo dokąd. Nigdy nie zapomnę tego dnia ,kiedy w Tczewie, mieścinie nadwiślańskiej, spotkałem trzy wozy, naładowane tymi bohaterami. Każdy z nich był młody i każdy przedstawiał się wspaniale. Moja kareta pocztowa zatrzymała się właśnie przy zajeździe, w którego bramie stało kilkanaście osób. Podczas przejazdu wozów Niemcy patrzyli na nie swemi okrągłemi głupiemi oczyma, ale żaden z nich ani ust nie otworzył, ani ręki nie podniósł na pożegnanie, ani kapeluszem nie wywinął w powietrzu. W duszach ich nie było żadnego współczucia, albo jeżeli było, nie śmieli zdradzić się z niem, gdyż argusowe oko policji czuwało nad nimi.

"Co do mnie, zapomniałem wówczas o policji i o wszystkiem innem. Owładnęło mną uczucie, jakie musiało się zrodzić w duszy człowieka w podobnym wypadku. Nierozważnie ulegając temu uczuciu, zerwałem kapelusz z głowy i wywijając nim w powietrzu, zawołałem:

"— Honneur! Honneur aux braves! (Cześć, cześć dzielnym!)

"Polacy oglądnęli się zdumieni tym głosem i poczęli mnie wskazywać sobie nawzajem. Podniósłszy zaś czapki, aby oddać mi ukłon, zawołali:

"— Vive la France! (Niech żyje Francja)

"Biedacy! wzięli mnie za Francuza. Znaleźli oni dotychczas tak mało współczucia, że zdawali się być zdumieni tym jego objawem. Już przejechali obok mnie, a jeszcze wymachiwali swemi czapkami i starali się wzrokiem wyrazić mi swą wdzięczność. Wzruszyło to mnie tak bardzo, że odwróciłem się szybko, aby ukryć kobiecą słabość i uniknąć Niemców, którzy gapili się i dziwowali, co za licho mogło mnie tak rozczulić.

"Wiesz zapewne (albo może i nie wiesz), że podczas mego pobytu w Paryżu zajmowałem się wiele losem wygnańców polskich i kiedy miałem wyjechać do Niemiec, generał Lafayette i Komitet Polsko-Amerykański zaproponowali mi, abym wziął część funduszu i udzielił z niego pomocy tym Polakom, których napotkam, a którzy będą jej potrzebowali. Zgodziłem się na to z największą chęcią. Podczas po-

dróży w te strony, napotkałem wielu, którzy zdawali się bardzo potrzebować pomocy, ale większość z nich nie chciała jej przyjąć. Mówili, że chcą dostać się do Francji. A niektórzy z nich, którym posłałem pomoc zwracali mi połowę, mówiąc że więcej nie potrzebują. Wszyscy jednak błagali mnie, abym udał się do ich żołnierzy, od których zostali oderwani przemocą.

"Tam — mówili oni — będziesz pan mógł zrobić wiele dobrego. Będziesz mógł uratować ich od wkroczenia do Polski, gdzie grozi im niebezpieczeństwo gorsze od śmierci. Są oni opuszczeni przez wszystkich, których mogą nazwać przyjaciółmi i pańska obecność będzie dla nich radością i zachętą, gdyż masz ze sobą namacalne dowody uczuć swych szlachetnych rodaków. Idź pan, mówili, i obacz na własne oczy najwierniejszych i najszlachetniejszych w świecie żołnierzy.

"Kilku zaś powiedziało mi: Niestety! Nasi biedni nieoświeceni żołnierze są lepsi od nas, lepsi od naszych wodzów. Czuli oni jedynie miłość dla Polski a nienawiść do Rosji; nami kierowały i inne uczucia. Ale idź pan — idź i zobacz tych biedaków. Wielu z nich już teraz jest bez odzieży.

"Czyż wobec tego mogłem wahać się? Kiedy załatwiłem swe sprawy w Berlinie, wyruszyłem w dalszą drogę, aby na własne oczy zobaczyć położenie żołnierzy. Spodziewałem się też, że będę mógł tam odrazu złożyć wszystkie te dary miłosierne, których byłem posłem. W rzeczywistości znalazłem Polaków cierpiących moralnie i fizycznie; to jest upadłych na duchu i zatrwożonych o przyszłość, a do tego nędznie ubranych. Wielu z nich nie miało nawet koszuli na sobie".

Następuje teraz w tym ciekawym liście doktora Howe scena jakby żywcem wyjęta z ponurej okupacji niemieckiej w Polsce podczas wojny światowej. Widać, że w ciągu stu lat dusza pruska, jeżeli w czem się zmieniła, to chyba wzrosła w okrucieństwie i zbrodni.

"Ku memu zdziwieniu" — ciągnie dalej doktor Howe — "przekonałem się, że nie mogłem Polakom dać niczego bez pytania pruskiego komendanta o pozwolenie. Poprosiłem go więc o nie. Nie mógł mi odmówić, chociaż uczynił to warcząco i niechętnie. Zaraz zakrzątnąłem się około wydania zamówienia na koszule itp. Jednakowoż nim zostały skończone otrzymałem rozkaz, abym natychmiast opuścił okolicę, w której stoi armja polska. A rozkaz ten był poparty siłą. Daremnie powoływałem się na ochronę, jaką dawał mi mój paszport, daremnie przypominałem pozwolenie, dane mi przez komendanta Schmidta. On sam wydał przeciwny rozkaz i zakazał rozdawać mi cokolwiek Polakom, ani nawet widywać się z nimi, choćby w obecności pruskiego oficera.

"— Miałeś pan dosyć czasu" — powiedział mi — "na wydanie kontraktu; dary zostaną rozdane przez urzędników pruskich.

"Pragnąłem rozdać sam te rzeczy — powiedzieć tym biedakom skąd pochodzą i pocieszyć ich zapewnieniem o współczuciu, jakie ży-

wi dla nich Ameryka. Ale adjutant naglił i musiałem wyjechać chcąc niechcąc.

"Przybyłem do Berlina we własnych sprawach nie myśląc wcale o tem, że kładę głowę pod nóż. W rozkazie opuszczenia armji polskiej, jaki wydał mi Schmidt, było powiedziane, że Prusacy podejrzewają mnie, iż jestem emisarjuszem. Byłem jednak tak pewny swej niewinności, że wzgardziłem myślą wymknięcia się z Prus podczas drogi powrotnej do Berlina, chociaż mogłem uczynić to i uciec do Saksonji".

Tak więc, zawiedziony w swych nadziejach dopomożenia osobiście Polakom, ale ufny w swą niewinność wobec rządu pruskiego, powracał doktor Howe z Elbląga. Niejednokrotnie w swych latach późniejszych wspominał w rozmowie z przyjaciółmi, z jakim żalem wypełniał rozkaz pruski! Zaraz pierwszego dnia podróży zauważył, że krok w krok za jego karetą, przejeżdżającą przez równie wielkopolskie, snuli się jak cień dwaj konni żandarmi, którzy ciągle mieli go na oku, chociaż ani razu nie zbliżyli się do niego, ani nie molestowali go. Ale to nie niepokoiło go zbytnio. Nie znał jeszcze doktor Howe obłudy pruskiej.

Przybywszy do Berlina udał się spokojnie do swego hotelu. Około północy zbudziło go głośne dobijanie się do drzwi. Otworzywszy je, zobaczył trzech mężczyzn, ubranych po cywilnemu, którzy zażądali ,aby natychmiast z nimi szedł. Zaskoczony niespodziewanie wezwaniem, zapytał nieznajomych, co są za jedni. Ci w odpowiedzi odsłonili płaszcze i pokazali mu odznaki policyjne.

Jedną z cech charakteru doktora Howe była zdolność szybkiej orjentacji. W jednej sekundzie zrozumiał, co znaczyli tropiący go jeźdzcy i powagę swego położenia. Błyskawicznym ruchem wypchnął za drzwi wszystkich trzech policjantów i zamknął je im przed nosem na klucz. Chodziło mu o to, aby za wszelką cenę zyskać choć kilka minut swobody i pozbyć się papierów, które wiózł ze sobą, a które mogłyby skompromitować osoby, związane ze sprawą polską.

Podczas gdy agenci wśród gróźb i przekleństw dobijali się do drzwi, doktor Howe pociemku począł szukać za kryjówką dla niebezpiecznych papierów. Przypadkowo namacał gipsowy biust króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma, stojący na porcelanowym kominku. Strzeliła mu myśl do głowy, że w wydrążeniu figury będzie najbezpieczniejsza skrytka dla dokumentów, wśród których była korespondencja generała Lafayette, członków Polsko-Amerykańskiego komitetu i innych osób w sprawie niesienia pomocy Polsce. Resztę papierów, mniej ważnych, podarłszy starannie na jak najdrobniejsze cząstki, wrzucił do miednicy z wodą i rozsypał koło kominka. Potem dopiero otworzył drzwi i oddał się w ręce policji. Gipsowy król nie zdradził tajemnicy powierzonej mu przez doktora. Agenci skwapliwie wydobyli z miednicy wszystkie, najdrobniejsze nawet papierki. Pokazano mu je nazajutrz podczas badań, posklejane razem skrupulatnie. Natomiast papiery ukryte w głowie królewskiej, uszły bez-

piecznie oczu policji. W sześć miesięcy później doktor Howe, już uwolniony z więzienia, napisał do swego przyjaciela w Berlinie i ten, udawszy się do hotelu, wydobył papiery z figury i odesłał mu je nietknięte.

Prosto z hotelu doktor Howe został odprowadzony do więzienia. Było to dnia 28 lutego 1832 roku.

I wówczas jeszcze szlachetny Amerykanin nie martwił się wiele swem aresztowaniem, do którego, jak się zdaje, przyczynił się także rząd rosyjski. Nie wiedział wprawdzie o jaką zbrodnię był podejrzany — powiedzieli mu Prusacy o tem dopiero w dniu uwolnienia — ale czuł się Bogu ducha winnym i spodziewał się rychłego wyzwolenia.

Nadzieja ta zawiodła go. Przez pięć tygodni władze pruskie trzymały go w więzieniu, przez pierwsze trzy w zupełnem odosobnieniu, aż do ostatka pozostawiając go w nieświadomości popełnionego przestępstwa.

To zupełne odosobnienie i odcięcie od świata i przyjaciół było zrazu może najdotkliwszym ciosem dla doktora Howe. Dla Polaka więzienie polityczne było codziennym chlebem, dla Amerykanina rzeczą nową i niezrozumiałą.

Ażeby porozumieć się z przyjaciółmi i donieść im o swym losie, uciekł się doktor Howe do niewinnego fortelu. Fizyczna piękność jego i bądź co bądź, niezwykłe jak na więźnia zachowanie się zwróciły na niego uwagę córki klucznika. Rad nie rad doktor skorzystał z tego. Porozumiawszy się ukradkiem z dziewczyną, uzyskał tyle, że ta pokryjomu podała mu do celi papier i ołówek, a potem listy jego nadawała na pocztę.

W pierwszym z tych przemyconych listów pisał doktor Howe do tegoż Fishera:

"Często pisałem do Ciebie, z niezwykłych, niecodziennych miejsc, z miast i obozów, z gór i chat i zdaje mi się, z jaskiń, ale nigdy nawet nie śniłem, że będę kiedyś do ciebie pisał z celi więziennej, a i to tylko pokryjomu, na kawałku szarego papieru, w który była moja świeca zawinięta, odłamkiem ołówka, wyłudzonym przez pochlebstwo i przy słabem świetle, które wciska się przez gęsto zakratowane okno. A jednak wszystko to jest rzeczywistością. Jestem tu pod jak najsilniejszą opieką krat, rygli i kamiennych murów. Jestem tu już od dwudziestu dni i będę tu może jeszcze przez dwadzieścia miesięcy, gdyż nic nie wiem. Że jestem w więzieniu to jeszcze nie wszystko, że cela moja jest ledwo na osiem stóp szeroka, to jeszcze nie najgorsze; ale więzienie moje jest rodzaju, jaki nam biednym śmiertelnikom w Ameryce jest nieznany. Nazywa się ono au secret. Nikt do mnie pisać tu nie może, nikt nie może mi przysłać słowa pocieszenia, ani też nikomu nie śmię donieść o swem położeniu; nawet gazety są mi zabronione, abym przypadkiem nie spostrzegł, że kto został powiadomiony o mojem uwięzieniu. Na Boga — zawołasz zapewne, — czyż ten człowiek uknuł zdradę, czy może zastrzelił zwierzynę królew-

ską, albo nie ustąpił miejsca na ulicy księciu krwi? Nic z tego, żadnego ludzkiego prawa nie złamałem, o jakiem wiem, ale chociaż ciągle napróżno dopominałem się o kopję aktu oskarzenia, chociaż żądałem objaśnienia mnie o winie i konfrontacji z moimi oskarzycielami, chociaż odwoływałem się do praw kraju i do sprawiedliwości i chociaż na wszystkie te żądania nie potrafiłem wydobyć choćby najkrótszej odpowiedzi, to jednak nie mogę upierać się przy nieświadomości mojego przestępstwa. Jest ono ogromne! Woła o pomstę do nieba! Udzieliłem trochę pomocy i pocieszenia tym dzielnym resztkom armji polskiej, które schroniły się do Prus. Starałem się rozdać pomiędzy nędznych, półnagich żołnierzy szlachetne ofiary narodu amerykańskiego. A namacalny ten dowód jego współczucia, otrzymany przez Polaków w chwili, kiedy sądzili, że cały świat o nich zapomniał, tak ich podniósł na duchu, a równocześnie tak rozwścieklił władze pruskie, że wynagrodziły mnie tem bezpłatnem pomieszczeniem. Jestem więc aux frais de l'etat, gościem narodu. To jedyne wytłumaczenie, jakie Ci dać mogę.

"Po przybyciu do Berlina" — pisze dalej doktor Howe, — "zostałem aresztowany, odarty ze wszystkiego, zaciągnięty do więzienia i zamknięty w celi bez możności otrzymania choćby słowa wyjaśnienia. Na drugi dzień przyszedł sztywny, uroczysty pisarz, aby badać mnie z wypadków mego życia, począwszy od samego urodzenia. Odpowiedzi moje zapisywał, ani razu nie podniósłszy od papieru swych małych oczu, poczem odszedł z całą moją bjografją pod pachą, nie podziękowawszy mi nawet za informacje. Potem przyszły krzyżowe badania i indagacje różnego rodzaju, ale nie dopuszczono do mnie żadnej wiadomości zewnętrznej. Wszystko to, jak możesz sobie wyobrazić, wzburzyło moją krew jankeską i może moje odpowiedzi nie zawsze były dosyć pokorne, stosownie do atmosfery, mimo to były zawsze prawdziwe. Przez ostatnie jednak dziesięć dni pozostawiono mnie w spokoju i choć nie mogę dowiedzieć się o co jestem oskarzony, nie męczą mnie przynajmniej pytaniami.

"Jeżeli następna poczta nie przywieźie ci wiadomości o mojem uwolnieniu" — kończy doktor Howe ten list — "wtedy, na miłość Boską, rób co możesz, aby mnie uwolnić. Pozornie kpię ze swego położenia, ale, zapewniam cię, nie ma tu żartów.

"W Berlinie nie ma naszego ambasadora; jestem w rękach ludzi nie liczących się z niczem; służyłem sprawie, którą oni nienawidzą; upadam na duchu, gdy pomyślę, że marnuję swe siły w tej nędznej celi i zdrowie moje powoli psuje się od zgniłego, niezdrowego powietrza, którem oddycham. Inni cierpieli lata całe tylko za marne słowa, i być może, że dopuściłem się śmiertelnej obelgi przez to, iż pocieszałem i podnosiłem na duchu tych, których oni chcieli doprowadzić do zupełnej rozpaczy".

W owych czasach powolnej komunikacji szybka interwencja w sprawie szlachetnego doktora była niemożliwa, tembardziej, że cho-

dziło o uwolnienie go ze szponów pruskich, które nigdy nie puszczały łatwo schwytanej raz ofiary.

Drugi list doktora Howe z więzienia berlińskiego, bez daty, do tegoż doktora J. M. Fishera w Bostonie jest już o wiele pogodniejszy. Ożywiała więźnia nadzieja porzucenia kaźni, słaba wprawdzie, gdyż odcięty od świata, nie wiedział nic o skutkach swych listów i o akcji dyplomatycznej, jaką tymczasem podjął minister amerykański Rives w Paryżu, — ale dla człowieka w położeniu doktora Howe każda nadzieja, nawet najsłabsza, bywa pociechą.

W liście tym doktor wspomina, że spodziewał się zabawić wśród Polaków sześć do dziesięciu dni, gdy Prusacy przemocą wyrwali go z pomiędzy nich.

"Wyjeżdżając z Berlina do Elbląga" — pisze — "myślałem jedynie o spełnieniu czynu miłosierdzia i ludzkości; mogłoby to, co prawda, wywołać ku mnie niechęć rządu takiego jak rosyjski lub austrjacki, ale nie powinno takiego cywilizowanego i chrześcijańskiego, jak Prusy. Nie byłem niczem związany ze sprawami politycznemi, ani też nie miałem celów politycznych; a jednak nie mogę im tu wybić z głowy, że nawet moja podróż do Europy nie miała żadnego celu politycznego. Prusacy sądzą, że moje badanie zakładów dla ślepych w Niemczech było tylko pozorem dla ukrycia innego zamiaru; i dlatego to, a nadto wobec braku przedstawiciela naszego rządu w Berlinie, odważyli się mnie uwięzić, wsadzić do celi au secret, i trzymają mnie tu już trzy tygodnie, nie powiedziawszy mi nawet o co jestem podejrzany.

"Wyda ci się to zapewne dziwnem, że w takim kraju, jak Prusy, gdzie są prawa i sądy, cudzoziemiec może być zamknięty jak zwykły zbrodniarz, że nie pozwolą mu widzieć ani żywej duszy, ani odebrać choć kilku słów od przyjaciela, ani wieści, że przyjaciele wiedzą o jego losie. Dopiero dzień, czy dwa temu jak mi pozwolono pisać, a ponieważ moje listy muszą przejść przed oczyma tych, którzy tak okrutnie zdeptali moje prawa i sprawiedliwość, muszę pisać o ich postępowaniu ze mną w takich umiarkowanych słowach, na jakie tylko pozwoli mi oburzenie, gdyż inaczej nie przepuszczą mojego listu..."

Już i więzienie nie dręczyło tyle doktora Howe, co przedewszystkiem zobowiązania, których podjął się wobec przyszłego zakładu ślepych w Bostonie. Dalsze wyjątki z tego listu objawiają jego wielką skrupulatność wobec obowiązków, a zarazem przedstawiają nowe dowody jego gorącego współczucia dla nieszczęśliwych Polaków.

"Nie męczy mnie więzienie" — pisze on — "ale zwłoka, ale strata czasu, ale przygniatająca myśl, że w domu mogą mnie posądzić, iż zaniedbałem swe obowiązki... Gdybym był wolny od wszelkich zobowiązań, uważałbym więzienie za bagatelkę. Śmiałbym się z ludzi, którzy mogą mnie tak karać za czyn, który muszą pochwalić, jeżeli mają w sobie choć iskrę ludzkości.

"Udałem się, aby nieść pomoc i pociechę dzielnym rozbitkom tej

bohaterskiej armji, która walczyła tak długo i tak chwalebnie za najczystszą sprawę, za jaką człowiek może dobyć miecza. Sądzili oni, że cały świat ich opuścił; cierpieli fizycznie i moralnie; stali na granicach Prus, w pobliżu swej utraconej ojczyzny, opierając się wszelkim próbom zmuszenia ich do powrotu do niej. Udałem się do nich w imieniu tysięcy swych współobywateli, aby odziać tych, którzy byli nadzy i powiedzieć wszystkim, że z nimi są sympatje i serdeczne a dobre życzenia Ameryki. Uczyniłem to otwarcie w biały dzień i za nagrodę mam smutną celę więzienną. Wtrącono mnie w gniazdo morderców, złodziei i przestępców; a jednak, z głębi mojej celi, mogę z ręką na sercu powiedzieć, że nie zamieniałbym miejsca z tymi, którzy uznali za swój obowiązek wsadzić mnie tutaj..."

A potem dodaje z mocą:

"Jestem dumny z tego, co uczyniłem i zawsze będę dumny".

Pomimo hartu duszy, doktor Howe cierpiał w więzieniu i pamięć tych cierpień utkwiła mu w pamięci. Później, kiedy "przywracał wzrok ślepym, a mowę niemym, bezrozumnych nauczał rozumieć, a obłąkanych leczył", (wedle wyżej cytowanego epitafu) — kiedy w r. 1845, wśród masy innych zajęć filantropijnych, starał się o reformę więzień w Massachusetts, aby osłodzić dolę więźniów i podnieść ich moralnie, szlachetny Bostończyk tak wspominał te chwile:

"Byłem sam więźniem. Poznałem jak nużąco długi jest dzień, przeżyty w mrocznej celi bez zajęcia, bez książek, bez nadziei; jakim wiekiem jest tydzień, spędzony w ciasnem zamknięciu; jaką wiecznością jest miesiąc, przebyty samotnie w celi, skąd nigdy nie widziałem ani słońca, ani księżyca, ani gwiazd. W początkach mego uwięzienia w Berlinie za zbrodnie pomagania Polakom w ich walce o wolność, nie mogłem widzieć nikogo, oprócz klucznika, który przynosił mi pożywienie, ani dowiedzieć sie o co jestem oskarzony, ani kiedy będę sądzony, ani jaki będzie mój los, nie mogłem otrzymać listu, ani gazety, ani dowiedzieć się co dzieje się w świecie.

"Pod takim przygniatającym systemem, umyślnie obliczonym na udreczenie więźnia, trzymałem się tak, jak tylko może ten, kto ma młodość, siłę i przeciętną dozę odwagi. Widocznem jednak było, że zdrowie moje długo nie wytrzyma w wąskiej celi i przychylono się do mojej prośby o trochę ruchu. Wyprowadzono mnie na podwórze więzienne i mogę was zapewnić, że chociaż świeże powietrze było mi bardzo przyjemne, a jasne słońce bardzo pożądane , nie chciałem już więcej wychodzić. Zewsząd otaczali mnie zbrodniarze w swych celach i ci podchodzili do krat; mężczyźni rozpoczynali plugawe mowy, kobiety dawały mi znaki porozumiewawcze, a ponieważ wzdrygałem się na to wszystko, bluźnili mi i przeklinali mnie, aż z radością znalazłem schronienie w swej celi. I wtedy dziękowałem Bogu za jej ciszę i samotność. Zdawała mi się być rajem, w którym mogłem żyć zadowolony, gdy porównałem go z piekłem, jakie musiałbym przejść, gdyby mi przyszło żyć z takimi łotrami, jakich widziałem".

W takich męczarniach duchowych przeżył doktor Howe pięć tygodni. Uwięzienie jego trwałoby z pewnością znacznie dłużej, gdyby nie pomyślny wypadek. Wieczorem w dniu swego powrotu do Berlina doktor u wejścia do hotelu spotkał rodaka i znajomego, Alberta Brisbane i podczas rozmowy z nim prosił o odwiedziny. Następnego dnia Brisbane udał się do hotelu i zapytał o doktora Howe. Ze zdumieniem usłyszał odpowiedź, że takiej osoby nie znają w hotelu i że wogóle żaden Amerykanin nie mieszkał w nim i obecnie nie mieszka.

Wzbudziło te podejrzenie Brisbane'a, że zaszło coś niezwykłego z doktorem Howe. Prawdopodobnie musiał wiedzieć o misji przyjaciela i dorozumiał się reszty. Podejrzenia jego potwierdziła wiadomość, że zeszłej nocy policja była w hotelu. Ponieważ w Berlinie nie było wówczas posła amerykańskiego, Brisbane zaraz napisał do Williama C. Rivesa, posła w Paryżu, prosząc go o zbadanie sprawy.

Rives, osobisty przyjaciel doktora Howe, natychmiast zażądał od rządu pruskiego uwolnienia niesprawiedliwie uwięzionego. Odpowiedź była zdumiewająca swą bezczelnością. Rząd berliński oświadczył, że nie wie nic o żadnym Howe i jeszcze parokrotnie to samo powtórzył w korespondencji z amerykańskim ministrem. Tymczasem jednak na ręce Rivesa nadszedł list doktora, przemycony z więzienia i proszący o pomoc. Na podstawie takiego corpus delicti Rives podjął nowe starania i ostatecznie zdołał wymusić uwolnienie Howe'a ze szponów pruskich.

Ale nie zakończyło to jeszcze prześladowań jego ze strony Prusaków. Opisuje je doktor Howe w liście do posła Rivesa, wysłanym już z Metzu, 6-go kwietnia 1832.

"Z radością donoszę", pisze, "że jestem już bezpieczny na ziemi francuskiej i uwolniony z rąk Prusaków. Przypisuję moje oswobodzenie pańskim wysiłkom, gdyż nie wiem o niczem innem, co mogłoby wpłynąć na zmianę usposobienia tych, którzy tak niesprawiedliwie pozbawili mnie wolności. Ale, choć muszę panu podziękować za starania, podjęte w mojej sprawie, równocześnie muszę prosić o dalszą pomoc. Krzywdy, które wycierpiałem, nie skończyły się z mojem uwolnieniem. W tym dniu minister policji poraz pierwszy zawiadomił mnie o co jestem oskarzony, mianowicie o to, że namówiłem żołnierzy polskich, aby nie słuchali rozkazów rządu pruskiego i odmówili powrotu do Polski; oświadczył mi też, że za to mógłbym być postawiony przed sąd, ale jego królewska mość w swej łaskawości polecił jedynie wysłać mnie do Francji. Natomiast zatrzymane zostały niektóre moje papiery, w tem zapiski moje i paszport.

"Protestowałem ostro przeciw tej decyzji; odrzuciłem łaskę królewską, jako obelgę, przydaną do niesprawiedliwości. Prosiłem, aby mnie postawiono przed sąd, a nie wysyłano z kraju. Wzywałem ministra lub kogokolwiek innego, aby mi udowodnił, że w czemkolwiek złamałem prawa Prus; zażądałem zwrotu paszportu i papierów; wreszcie zaprotestowałem przeciw nowemu gwałtowi wysyłania mnie

sześćset mil z mej drogi. Jeżeli mam być deportowany z Prus, powiedziałem im, to niech przynajmniej wyszlą mnie przez najbliższą granicę do Saksonji, dokąd powołują mnie interesy. Ten protest dołączono do protokołu, przysłanego przez ministra i odesłano mu go z powrotem. Odpowiedział jednak, że jego pierwsze rozkazy mają być wykonane co do joty.

"Wyprowadzono mnie do karetki pocztowej w nocy i w towarzystwie dwuch oficerów policyjnych wywieziono z Berlina w stronę Francji. (Starania przyjaciół o uwolnienie go od tej eskorty spełzły na niczem). Pobyt w więzieniu osłabił mnie nieco i ku wieczorowi drugiego dnia podróży rozchorowałem się na dobre z gwałtownych a ciągłych wstrząśnień wozu. W Homburgu, gdzie zatrzymaliśmy się na kilka minut, byłem już tak ciężko chory, że nie mogłem utrzymać głowy i prosiłem na miłość Boga, aby przywołano mi lekarza, któryby dał mi jakiś środek na wymioty. Rzeczywiście przywołali mi jakiegoś głupca starego czy oszusta, który zamiast zbadać mnie, dał oficerom świadectwo, iż jestem zdolny do dalszej podróży bez niebezpieczeństwa życia. Znowu wsadzono mnie czemprędzej na nieszczęsny wóz, którego trzęsienie po nierównej drodze sprawiało mi ból piekielny przez dwie godziny. aż obfite wymioty ulżyły mym cierpieniom. Po nich jednak zaczęło mnie palić męczące pragnienie i czy pan uwierzysz? nie mogłem doprosić się ich, by mi podali kubek wody...

"Swemu silnemu ustrojowi fizycznemu zawdzięczam, że przetrwałem trudy tej podróży, trwającej sześć dni i pełnej udręczeń. Wspominam o swej chorobie na dowód surowości rozkazów ministra, gdyż, zdaje mi się, oficer dowodzący moim konwojem miał w sobie trochę ludzkości i bolał nad tem, że musi ze mną postępować tak surowo. Miał on rozkaz wieźć mnie dniem i nocą, omijać duże miasta, pilnować, abym z nikim nie rozmawiał i nie pozwalać mi na jakikolwiek odpoczynek; a gdybym próbował uciekać, miał mnie uwięzić w najbliższej fortecy i karmić tylko chlebem i wodą".

Raz podczas tej podróży udało się doktorowi Howe wymknąć na chwilę z rąk swych prześladowców. Było to w ten sam dzień, kiedy przywołano do niego rzekomego lekarza. Wóz z więźniem przejeżdżał właśnie przez Hanower, który wówczas podlegał Anglji. Podczas postoju w małem miasteczku hanowerskiem spostrzegł doktor przez szparę szczelnie zakrytego wozu czerwone mundury Anglików. Ożywiony nadzieją wolności zebrał ostatek sił i wyrwawszy się z karetki, podbiegł do gromadki oficerów, oddając się pod ich opiekę.

Policjanci pruscy schwytali łatwo chorego doktora, widząc jednak, że nie zdołają zaciągnąć go z powrotem do karetki bez stoczenia rozpaczliwej walki z więźniem, zgodzili się zastosować do decyzji Anglików. Ci postąpili równie podle jak Prusacy. Oświadczyli doktorowi Howe, że ochrony mu nie dadzą, nawet gdyby był Angli-

kiem, i jeżeli spokojnie nie podda się swej eskorcie , pomogą zmusić go do posłuszeństwa.

"Gdyby oficer ów, dowodzący konwojem" — kończy doktor Howe — "wykonał dosłownie wszystkie swe rozkazy i nie pozwolił mi na wypoczynek, byłby chyba trupem dostawił mnie siódmego dnia do granic Francji, taki byłem chory. Na granicy dano mi moje rzeczy i pruski paszport, ale papiery, o których wspomniałem, a także 40 dolarów z mych pieniędzy zatrzymano". (Ponadto zakazano mu raz na zawsze przekraczać granice Prus.)

"Żądam zadosyćuczynienia za te krzywdy. Byłem aresztowany i trzymany w odosobnionem więzieniu przez miesiąc jedynie na słabe podejrzenie; zostałem wyrzucony z kraju jakby jaki zbrodniarz, chociaż nieustannie domagałem się sądu według jego praw; do niesprawiedliwości dodano okrucieństwo, a do okrucieństwa obelgę. Oświadczam, ze pruski minister umyślnie dopuścił się na mnie tych krzywd..."

Drobny, ale charakterystyczny szczegół postępowania Prusaków z doktorem Howe stanowi fakt, że musiał z własnej kieszeni zapłacić za swe utrzymanie w więzieniu pruskiem. Ściągnięto mu należną sumę przemocą.

Znacznie później, kiedy rozsławił swe imię pracami filantropijnemi, król pruski obłudnie nadesłał mu złoty medal za zasługi w nauczaniu ślepych. Doktor z ciekawości zważył ów medal i przekonał się, że wartość jego w złocie równała się tej sumie, ściągniętej za utrzymanie w więzieniu.

Prusacy nie zapomnieli nigdy doktorowi Howe jego sympatji polskich. Kiedy w r. 1843 wybrał się z swą świeżo zaślubioną małżonką w podróż poślubną do Europy i zapragnął pokazać jej Ren, zatrzymano go na granicy pruskiej na rozkaz gabinetu. Jego pisemną prośbę o pozwolenie na przejazd granicy zbyto milczeniem. Sprawa stała się przedmiotem sarkastycznych docinków Amerykanów, że "król pruski, posiadający 200,000 ludzi pod bronią i mogący powiększyć swą armję w każdej chwili do miljona, zląkł się jednego obywatela Stanów Zjednoczonych; jakżeż więc bać się musi całego narodu amerykańskiego".

Ale świat cywilizowany i wówczas nie składał się wyłącznie z Prusaków, Moskali i despotów. Doktor Howe zjednał sobie serca Polaków i przyjaciół ich sprawy. Generał Lafayette, dowiedziawszy się o jego uwolnieniu, pisał mu w liście z Paryża (16-go kwietnia 1832):

"Wdzięczne uznania Polaków, ich podziw dla pańskich wysiłków w ich sprawie, dobrze zasłużone pochwały, jakie zjednałeś Pan swą pracą dla Polsko-Amerykańskiego Komitetu i dla imienia amerykańskiego, rozradowały nasze serca i ucieszyły nas... Musimy podnieść protest, że obywatel Stanów Zjednoczonych został bez powodu uwięziony i trzymany przez pięć tygodni, potem zaś pod eskortą wysłany nietylko do granic pruskich, ale przez wszystkie państwa

Niemiec. I nie mniej oburzającym jest fakt, że rząd hanowerski nie odważył się na swem własnem terytorjum położyć kresu zbrodni pruskiej, której dopuszczono się na Panu pod wpływem Rosji. Jest zamiarem, a czuję gorąco, że i obowiązkiem Polsko-Amerykańskiego Komitetu w Paryżu uchwalić Panu podziękowanie za sposób, w jaki wykonałeś nasze polecenia z wielkim pożytkiem żołnierzy polskich, ku chwale imienia amerykańskiego i ku zadowoleniu każdego dobrego serca i zdrowego umysłu..."

A przy końcu tegoż listu Lafayette dodaje:

"Powiedz moim młodym przyjaciołom z Bostonu, co stało się z ich dwoma sztandarami; jak pięknie błyszczały na naszych publicznych zebraniach w sprawie Polski i z jaką starannością przechowuję je na lepsze czasy. (Sztandary te znajdują się obecnie w Muzeum Narodowem w Rapperswylu.) Powiedz im przedewszystkiem jak chwalebnie wybór ich chorążego (doktor Howe) został usprawiedliwiony przez zasługi, które położył dla sprawy i dla żołnierzy Polski, zdobywając przez to gorące błogosławieństwa dla imienia amerykańskiego. Z całego serca winszuję Panu miłego wspomnienia, jakie ta część twego młodzieńczego życia z pewnością pozostawi na całą twa dalsza karjerę, gdyż było to twoim dobrze zasłużonym udziałem oddać wielką i bardzo pocieszającą w skutkach przysługę temu bohaterskiemu narodowi w chwili nieszczęścia.

Twój na zawsze przyjaciel, Lafayette".

Czcigodny generał nietylko prywatnie, lecz i publicznie podniósł zasługi doktora Howe dla sprawy polskiej. Kiedy kolonja amerykańska w Paryżu w liczbie 80 osób zasiadła do bankietu w dniu 4-go lipca 1832, aby uczcić Dzień Niepodległości, obecny na tej uroczystości sędziwy Lafayette powiedział w swem przemówieniu:

"Niechaj mi będzie wolno w tym dniu uczynić sprawiedliwość zainteresowaniu się Amerykanów sprawą bohaterskiej Polski. Niechaj mi będzie wolno przedewszystkiem wyrazić wdzięczność za pomoc, jaka otrzymałem od Komitetu w Paryżu w rozdawnictwie darów amerykańskich i złożyć hołd czci i podzięki doktorowi Howe za wykonanie misji powierzonej mu, gdy niósł pomoc materjalną i moralną do obozów, założonych przez Prusaków na ich wschodniej granicy dla nieszczęśliwych i patrjotycznych żołnierzy polskich. Za jego to sprawą imię amerykańskie okryło się wielką chwałą i spadły na nie gorące błogosławieństwa".

Kiedy zaś potem Polsko-Amerykański Komitet w Paryżu nadesłał do prasy amerykańskiej sprawozdanie ze swej działalności i misji doktora Howe, generał Lafayette do dokumentów tych dołączył następujący list:

La Grange, 28-go lipca, 1832.

"Odezwa naszego Polsko-Amerykańskiego Komitetu do narodu amerykańskiego i specjalny komunikat do współobywateli, którzy zaszczycili nas swem zaufaniem, mają moją serdeczną aprobatę i

sympatje. Świadomi spełnienia jak potrafiliśmy najlepiej, ich życzeń filantropijnych, uczuwamy zarazem dumę patrjotyczną, gdy pomyślimy, że ich dary, prócz dopomożenia nieszczęśliwym, wysoce na to zasługującym, przysporzyły wielkie i powszechne uznanie charakterowi amerykańskiemu. Przy każdej sposobności powtarzać będę, że szczęśliwy ten wynik zawdzięczamy głównie sposobowi, w jaki doktor Howe wywiązał się z powierzonej mu misji. Jemu winniśmy podziękowanie za poprawne postępowanie i za światłą gorliwość jego starań; równocześnie zaś w faktach tych i innych działaniach Komitetu, współdziałajacego ze mną, znajdujemy nowe powody do dumy z roli odegranej przez amerykańskich ofiarodawców i żywimy nadzieję, że naród Stanów Zjednoczonych będzie nadal interesował się losem bohaterskiej Polski i jej wygnanych synów, ilekroć zdarzy się sposobność jej uwolnienia. Z radością przy tej okazji składam osobiste uznanie przewodniczącemu, sekretarzowi i członkom Komitetu, którzy zawsze znajdą we mnie wdzięcznego, przywiązanego współobywatela i przyjaciela — **Lafayette.**"

Wyprawa nad Wisłę i więzienie berlińskie nie były ostatnią zasługą doktora Howe dla sprawy polskiej. Wyjeżdżając z Paryża w lecie 1832 roku, szlachetny Amerykanin zabrał ze sobą memorjał Komitetu Narodowego Polskiego dla prezydenta Jacksona, podpisany przez Joachima Lelewela i siedmiu innych członków Komitetu.

"Uważają oni" (t. j. członkowie Komitetu) — brzmi końcowy ustęp tego memorjału —"za bardzo szczęśliwą okoliczność, że uczucia ich i życzenia zostaną Mu (prezydentowi) przedłożone przez doktora Howe, który przez swą gorliwość i pracę dla naszej sprawy zyskał tem większe prawo do wdzięczności Polaków".

Tę samą wdzięczność wyraża list Edwarda Wodzińskiego, kasjera tegoż Komitetu Narodowego, pisany w r. 1833 do doktora Howe w Bostonie:

"Nie zapomnimy nigdy cośmy winni Ameryce za głos współczucia i pożądane dary, nadesłane nam w czarnej godzinie naszej agonji. Nie zapomnimy co jej pełnomocnik wycierpiał w więzieniu berlińskiem za niesienie pociechy i nadziei naszym biednym żołnierzom w lasach Wielkopolski, ani też nie zapomnimy, że nawet do tego czasu Amerykanie zajmują się naszem położeniem i modlą się o nasze uwolnienie".

Ale, pomimo tylu zapewnień o nieśmiertelności jego zasług, naród polski zapomniał prawie zupełnie o tym, który "pro Polonia invictissima bellavit". Prasa polska, wspominając o nim z okazji pobytu Herberta Hoovera w Polsce, jako o "poprzedniku Hoovera", nie potrafiła podać o nim prawdziwych szczegółów. Gdy zaś w r. 1901 w całej Ameryce obchodzono setną rocznicę urodzin doktora Howe, ze strony polskiej nie odezwał się ani jeden głos hołdu.

Niechże więc w czasach naszych, którzy jesteśmy świadkami nowego zbliżenia serdecznego między bratnimi duchem narodami, czy-

je i wyjdzie z zapomnienia postać szlachetnego przyjaciela Polski.

* * *

Dalszy ciąg swego życia poświęcił doktor Howe pracy filantropijnej. Przyczynił się wielce do założenia Perkins Institution for the Blind w Bostonie, pierwszego zakładu wychowawczego dla ślepych w Ameryce. Był jego pierwszym kierownikiem. Udoskonalił pismo wypukłe. Dzięki jego niezmordowanym wysiłkom podobne instytucje powstały w wielu miastach Ameryki. Wykształcenie ślepej, głuchej i niemej Laury Bridgman pozyskało mu nową sławę na obu półkulach. Zajął się losem idjotów i pomógł do założenia szkoły dla umysłowo upośledzonych w Bostonie. Był gorącym przeciwnikiem niewolnictwa. Zorganizował Massachusetts State Board of Charities, pierwszą w świecie rządową instytucję dobroczynności. Opiewany przez poetów, sławiony przez prozaików, zakończył życie w r. 1876 i przeszedł do historji Ameryki jako jeden z najszlachetniejszych jej synów.

"Obstacles are things to be overcome" — przeszkody są to rzeczy, które mamy pokonać! Takie było jego motto życiowe, — hasło mądrych i energicznych. Zwłaszcza nam, Polakom, którzy nieraz wolimy cofać się przed przeszkodami, powinno ono przyświecać.

XIII.

Historya gruntów polskich w Stanie Illinois.

Prasa polska w Ameryce kilkakrotnie wspominała o gruntach, nadanych przez Kongres powstańcom z roku 1831, ale były to najczęściej informacje błędne. Rzecz niniejsza opracowana jest na dokumentach historycznych, przeważnie urzędowych i po raz pierwszy obszernie i szczegółowo przedstawia historję gruntów polskich w Illinois.

Kiedy upadło powstanie listopadowe i tysiące najlepszych synów Ojczyzny poszły na tułaczkę, oczy ich zwracały się na zachód, ku Francji i Anglji, przedewszystkiem zaś ku Ameryce, jako ku miejscu przytułku w rozbiciu.

Ameryka miała im być portem zbawienia, nową, przybraną ojczyzną. Wprawdzie we Francji i Anglji sprawa polska miała wielu przyjaciół, ale były to sympatje prywatne; rządy zrażały serca polskie swą obojętnością dla powstania.

Ameryka urzędowo nie miała sposobności zaznaczyć swego stanowiska wobec rewolucji polskiej, ale sympatje ludności szły stąd za ocean i objawiały się w niejednym pięknym czynie. Jakób Fenimore Cooper, przyjaciel Mickiewicza, najsławniejszy powieściopisarz amerykański, zorganizował polsko-amerykański komitet w Paryżu i odezwami swemi ściągał ofiary z Ameryki. Dr. S. G. Howe, członek tego komitetu, jeździł aż do Polski, by rozdzielać dary amerykańskie między rozbitków, za co Prusacy wtrącili go do więzienia w Berlinie. Młodzież z Bostonu nadsyłała sztandary dla szeregów powstańczych. Miasta Unji składały znaczne sumy na powstanie i ratunek pokonanych. Cały naród amerykański — a przynajmniej wszystko, co było w nim najlepsze — współczuł gorąco z Polską.

Ameryka wszystkiem wówczas zjednała sobie serca polskie, niczem nie odstręczyła ich. Nęciła je zresztą wolnością, o której tułacze musieli słyszeć i słuchać chciwie. Dlatego to Stany Zjednoczone stały się zrazu ich celem,, ba — byli nawet tacy, którzy cały naród polski chcieli przenieść za morze na szczęśliwy ląd.

Dowodem tych nieziszczonych pragnień jest odezwa, wydana z końcem października 1831 roku przez "najwybitniejszych polskich patrjotów z Francji i Anglji do narodu polskiego". W słowach, wrzących żalem i miłością Ojczyzny, wyrzucała ona "narodom, którym honor, obowiązek i nawet własny interes nakazywały nam pomódz, że małodusznie zdradziły wspólną sprawę".

"Polacy! — brzmiał końcowy ustęp odezwy — porzućmy ten nieszczęśliwy kraj, który już teraz nie jest naszym własnym, chociaż przesiąknięty najlepszą krwią swych obrońców; porzućmy Europę, bezlitosnego widza naszych walk i naszej rozpaczy. Ameryka jest jedynym krajem, godnym zostania schroniskiem ludzi, którzy poświęcili wszystko dla wolności; tam Polska będzie przechowana jak świę-

tość w sercach naszych, a Niebo pobłogosławi może naszemu przywiązaniu".

Słowa odezwy, która migiem obiegła prasę amerykańską, znalazły tu entuzjastyczny oddźwięk. One to zrodziły pomysł obdarowania ziemią polskich tułaczy.

Typowym komentarzem odezwy tej jest artykulik "Buffalo Journal and General Advertiser" z 4 stycznia 1832 roku, pod charakterystycznym tytułem "Krew Polski".

"Z odezwy — pisze Journal — którą dziś drukujemy, od Polaków z Anglji i Francji do ich rodaków, czytelnicy nasi poznają, że kraj nasz został wyznaczony jako ostatnie schronisko dla tego najciężej prześladowanego i szlachetnego narodu. Teraz jest stosowna chwila dla naszego rządu, aby postąpił sprawiedliwie wobec tego wzniosłego narodu, którego charakter tak gorąco podziwiamy i nad którego krzywdami tak często ubolewaliśmy. Wygnani przez prześladowanie i brutalną siłę z tchórzliwej Europy, gdzie każda ich cnota była zbrodnią — ci szlachetni synowie szlachetnej Polski zwracają się z ufnością o miejsce wypoczynku do kraju, któremu niegdyś Kościuszko i Pułaski pomagali do osiągnięcia wolności.

"Czy ścierpimy, by przybyli na nasze wybrzeża i chodzili między nami obcy, obojętni dla wszystkich i nieznani? Każde wspomnienie przeszłości i każde szlachetniejsze uczucie zabrania tego. Niechaj ramiona naszego narodu otworzą się na przyjęcie tych rycerskich rozbitków z jatek rosyjskich, jak przystoi narodowi wielkiemu i wolnemu, który tak wiele jest winien przodkom tych, którzy teraz szukają osłony przed panowaniem despotycznego teroru. Jesteśmy bogaci, prawie bez długu i wolni od wszelkich ciężarów. Niechaj więc kongres wydzieli wygnańcom ziemię z naszych gruntów publicznych, przyjmie ich jako narodowych gości i osiedli ich na nich, w warunkach, które, o ile możności — powinny im pozwolić na zapomnienie krzywd. Taki czyn byłby godny wieku, w którym żyjemy, i zasad, które wyznajemy. — Potomni z omdlewającem sercem będą czytali o strasznej tragedji upadku Polski, a skoro cała Europa jest współwinną zbrodni jej wygaśniecia, uwiecznijmy fakt, że przynajmniej Ameryka nie była winna jej krwi".

Z równym zapałem odezwały się i inne gazety współczesne, ale, rzecz jasna, do gromadnego przesiedlenia się narodu polskiego za ocean nie doszło. Rychło powstańcze plany emigracji do Ameryki stopniały. Przebijały się tu tylko pojedyńcze jednostki z Francji i Anglji. Innych odstraszały koszty i polityczne niebezpieczeństwa podróży. Inni wreszcie znaleźli w Europie jaki taki kęs chleba i lepsza sposobność do pracy politycznej dla Polski, chociażby to były tylko "potępieńcze swary".

W połowie 1832 roku, Komitet Polski w Paryżu, z Joachimem Lelewelem na czele, wystosował memorjał do prezydenta Stanów Zjednoczonych, Jacksona. Memorjał prosił o schronienie dla 3,000 do

4.000 wygnańców i zagwarantowanie im bezpiecznego przejazdu przez morze. W imieniu Polaków doręczył go Jacksonowi dr. Howe, zwolniony już z więzienia pruskiego. I ten plan masowej emigracji pozostał tylko planem.

Pierwszym Polakiem, który przybył do Ameryki po powstaniu listopadowem, miał być Józef Hordyński, major 10-go pułku litewskich ułanów.

"New York Whig" z 23-go listopada 1831 podał obszerny opis jego przejść. Hordyński był żołnierzem napoleońskim, w wojsku polskiem służył przez 17 lat, w powstaniu walczył w korpusie Giełguda i wraz z nim przeszedł granicę pruską. Po uwięzieniu udało mu się uciec wraz z towarzyszem z obozu pruskiego, ale złapano ich i odesłano do fortecy w Pilawie, gdzie Prusacy znęcali się nad nimi srogo i morzyli głodem. Dowiedziawszy się tam o upadku Warszawy, widząc, że sprawa powstania upadła i bojąc się wydania w ręce Moskwy, Hordyński ponownie uciekł podczas spaceru i schronił się na żaglowiec amerykański "Eliza Ann", który zawiózł go do Bostonu.

Bostończycy przyjęli go bardzo serdecznie. Hordyński zaraz w dniu swego przybycia, które stało się głośne w mieście, otrzymał znaczniejszą gotówkę w darze od pewnego obywatela, a prasa wezwała mieszkańców do składek na jego rzecz.

W pierwszych latach swego pobytu w Ameryce major Hordyński napisał "Historję ostatniej rewolucji polskiej i wypadki kampanji" w języku angielskim ("History of the Polish Revolution and the Events of the Campaign"). Dzieło to, zadedykowane "narodowi amerykańskiemu", liczyło około 500 stronic w ósemce, z portretami Kościuszki i Pułaskiego i planami bitew. Książkę sprzedawali po miastach wygnańcy polscy. W Buffalo kolportował ją major Mogilski.

Jednym z rozbitków powstania, który wcześnie wylądował w Ameryce był doktor Paweł F. Eve, major-chirurg armji polskiej. "New York Whig" z 6-go stycznia 1832 podaje jego artykuł o cholerze, jaka wówczas szerzyła się w Europie i ogarniała właśnie Amerykę w swe śmiertelne objęcia.

Liczba Polaków, przeważnie oficerów armji powstańczej, rosła szybko w miastach amerykańskich, zwłaszcza w Nowym Jorku. W listopadzie 1832 roku "New York American" donosił o znacznej ich liczbie w tem mieście i o wielkiej ich nędzy. Wielu z nich po zastawieniu ostatnich kosztowności, uniesionych z kraju, żyli z dnia na dzień z drobnych sum, zdobywanych ze sprzedaży garderoby. Niektórzy ogołocili się ze wszystkiego, co mniej lub więcej zbyteczne było do okrycia grzbietu. Nędzę ich podzielały żony, a w niektórych wypadkach i dzieci, które tułacze sprowadzili ze sobą.

Wśród tych biedaków miał być także jakiś krewniak Kazimierza Pułaskiego.

Tymczasem dnia 31 marca 1834 roku zawinęły do portu nowo-

jorskiego dwie fregaty austrjackie "Guerriere" i "Hebe", dowodzone przez komodora Bandierę, i przywiozły 235 powstańców, deportowanych przez rząd austrjacki. Przyjazd ich ściągnął do portu tłumy Amerykanów; jedni przybyli — wiedzeni litością, drudzy z ciekawości, a byli i tacy, którzy w przybyszach spodziewali się łatwych ofiar spekulacji.

Wygnańcy, nie znając mowy, nieobeznani ze zwyczajami kraju, nie mając w ręku przeważnie żadnego rzemiosła, skazani byli na niedostatek, zwłaszcza, że przybyli w jak najgorszym czasie. Gazety ówczesne wskazują na to, że dziesiątki tysięcy rodowitej ludności żyły wówczas w nędzy i tylko z łaski dobroczynności tych niewielu, — których stać było jeszcze na czyny miłosierdzia.

Pomimo tego, znalazły się szlachetne dusze, które nie dały naszym zginąć z głodu. Niejaki Gerard, były oficer polski, który bawił już w Ameryce od 18-tu miesięcy, ogłosił w gazetach nowojorskich apel o składki dla świeżo przybyłych wygnańców i wnet posypały się ofiary. Dorywczo przeprowadzona składka w Nowym Jorku przyniosła znaczną sumę. Jakaś nieznana osoba złożyła w redakcji gazety "Daily Advertiser" 200 dolarów, aby swym hojnym darem zachęcić drugich do ofiarności. Na wezwanie biskupa Dubois, kościoły katolickie w Nowym Jorku złożyły 900 dolarów. W Brooklynie zbierane były składki po wardach przez panie i zwiększyły fundusz na wygnańców o 300 dolarów. "Board of Brokers" wyasygnowała 250 dolarów.

Dnia 19-go kwietnia odbyło się publiczne zebranie w Merchants Exchange pod przewodnictwem Abrahama Ogdena. Sekretarzował William B. Townsend. Uchwalona została rezolucja, na mocy której Albert B. Townsend, Jakób G. King, S. V. S. Wilder i Mojżesz H. Grimmell zostali wybrani do komitetu, którego celem było "zbieranie składek w Nowym Jorku i w innych miastach i rozdział ich między potrzebujących wygnańców z Polski, jacy już wylądowali, albo jeszcze wylądują w Nowym Jorku i obmyślenie innych planów, jakie mogą okazać się potrzebne do wykonania dobroczynnych zamiarów ofiarodawców na fundusz polski". William W. Woolsey został wybrany skarbnikiem tegoż komitetu, który działał przez kilka miesięcy.

"New York American" z 16-go maja donosił: "Wczoraj wieczorem pastor Jakób S. Richmond wygłosił kazanie w zborze św. Stefana na korzyść polskich wygnańców i zebrał 108.25 dolarów, które razem z subskrybowaną sumą 22 dolarów zostaną obrócone na doraźną dla nich pomoc".

Tenże "New York American" z 3-go czerwca 1834 podał: "Otrzymaliśmy siedemnaście koszul, zrobionych przez młode panie, należące do Kółka Szycia przy Zreformowanym Holenderskim Zborze przy placu Exchange. Koszule, wedle polecenia, zostały wysłane dla rozdania między wygnańców polskich".

Za przykładem metropoli szły inne miasta Unji. Zawiązywały

się w nich lokalne komitety dla niesienia pomocy Polakom. Kilku szlachetnych Amerykanów, między nimi M. Carey, dali inicjatywę w zbieraniu ofiar w Filadelfji. W Bostonie składka w zborze dra. Channinga przyniosła 2,432 dolarów. W związku z nią zdarzył się ciekawy fakt. Oto na tacy składkowej, prócz innych ofiar, znalazł się czek z następującym napisem:

"Wypłacić hrabiemu Pułaskiemu — mojemu dowódcy w bitwie pod Brandywine — jego braciom, lub okazicielowi, 100 dolarów".

Ofiarodawcą był pułkownik Henry Purkett, były sierżant w legji Pułaskiego, który ongiś cieszył się zaufaniem swojego dowódcy. Purkett, jak piszą ówczesne gazety, był żołnierzem w każdym celu; potężnej postawy, zimnej krwi, odważny i roztropny. Pułaski posyłał go na każdą trudniejszą wyprawę. W r. 1834 liczył już 80 lat, a czyn jego świadczy, że lata nie osłabiły jego miłości dla wodza.

W Bostonie też jakiś dr. King urządził widowisko ze sztucznymi piorunami na dochód polskich wygnańców.

W Filadelfji w kościele katolickim św. Jana Ewangelisty zacny ksiądz Hughes, późniejszy biskup nowojorski, wygłosił porywające kazanie o Polakach i zebrał 203 dolarów na ich rzecz.

W związku z tem kazaniem filadelfijska "United States Gazette" z roku 1834 opowiada wzruszającą i charakterystyczną anegdotę:

W zeszłą niedzielę dwaj "dżentelmani" z zachodu poszli wysłuchać kazania księdza Hughesa o wygnańcach polskich. Po zajęciu ławki i wysłuchaniu nieszporów jeden z owych jegomościów przypomniał sobie, że ma być zbierana składka; rozpoczął więc badania stanu swej kieszeni. Pieniędzy miał dosyć, ale, na nieszczęście, źle rozgatunkowane — mianowicie jeden banknot 5-dolarowy i półdolarówkę. Ponieważ nawet ta ostatnia moneta zdawała się mu za wielką, zapytał przyjaciela jakie ma drobne. Przyjaciel miał tylko dwie pięciocentówki i ów jegomość pożyczył jedną od niego na składkę.

Wkrótce jednak po rozpoczęciu kazania przez księdza, jegomość uznał, że pięciu centów nie wypada mu dać na taki cel, jaki głosił kapłan. Żałował więc, że nie ma ćwierćdolarówki.

Tymczasem kazanie trwało dalej. Kaznodzieja wyliczał zasługi narodu polskiego i zasługi Polaków wobec Ameryki. Jegomość wsunął pięciocentówkę do kieszeni.

Dalsze słowa kazania wzbudziły w nim nowe uczucia. "Dzielny ten naród" — mówił ksiądz — "został obrabowany ze wszystkiego. Domy ich zajęli obcy, najlepsi i najcnotliwsi z narodu zostali wygnani, innym odmówiono nawet prawa do grobu na ziemi ojczystej..."

Jegomość wyjął pół-dolarówkę — przynajmniej tyle należało się takim ludziom! — i oczekiwał niecierpliwie kiedy rozpocznie się kolekta.

Ale kaznodzieja mówił dalej i powiadał, że od Amerykanów, którzy szczyca się swemi swobodami, należy się wiele tym, którzy oddali wszystko dla sprawy, umiłowanej i przez Amerykanów — tym, którzy

dźwignęli w swej ojczyźnie sztandar wolności i wysłali Kościuszkę i Pułaskiego dla jego obrony na ziemi amerykańskiej.

Jegomość z zachodu spostrzegł, że skąpstwo nie przystałoby Amerykaninowi w takim wypadku. Schował więc z powrotem swe 50 centów i, wyciągnąwszy z kieszeni banknot 5-dolarowy, ostrożnie zwinął go, aby uniknąć pozorów ostentacji.

A ksiądz tymczasem mówił dalej:

"Nie możemy zwykłą miarą mierzyć naszego miłosierdzia w tej okoliczności. Dumą naszą są Waszyngton i Jefferson, utwierdziciel i obrońca naszej niepodległości. Ale Opatrzność Boża mogła inaczej pokierować sprawami i Waszyngton i Jefferson mogli zostać pokonani i z upadkiem swej sprawy mogli zostać zmuszeni do szukania schronienia w Polsce — cóż wtedy Polska zrobiłaby dla nich i dla ich przyjaciół? To właśnie, co chcielibyście, aby uczyniła im, uczyńcie wobec jej synów, wygnanych przez tyranję z kraju, w którym napróżno walczyli o niepodległość".

W oczach jegomościa zaświeciły łzy. Trzymając w ręku swą 5-dolarówkę, zwrócił się do towarzysza i szepnął mu: "Masz tu swą pięcio-centówkę. Złóż ją do koszyka razem z tą, która ci została i dołóż jeszcze moją 50-centówkę. Ja zadowolnię się ofiarą pięciu dolarów".

Niemal tę samą myśl, którą ks. Hughes wypowiedział w swem wzruszającem kazaniu, rozwijał też "New York Mirror" z dnia 12 kwietnia 1834:

"Czy nie powinniśmy zdobyć się na czyn i to piękny czyn wobec tego prześladowanego narodu?" — zapytywał "Mirror". "Wyobraźcie sobie, że przegraliśmy wielką walkę o wolność, która uczyniła naszą republikę tem, czem dziś jest; że zamiast być schroniskiem uciśnionych z całego świata, zostaliśmy sami przez rozgniewanego króla Jerzego wypędzeni na bezdomną i nędzną tułaczkę, na żebraninę współczucia u obcych. Wszystko to mogło zdarzyć się. A gdyby tak zdarzyło się, czegóż moglibyśmy spodziewać się od tych, którzy wyznawali miłość dla sprawy, za którą ginęli nasi blizcy, za którą kraj nasz został skreślony z listy państw a my sami zostaliśmy wyzuci ze wszystkiego. Czyż nie mielibyśmy prawa spodziewać się, aby do tych wszystkich utrapień nie przydawano nam jeszcze rozpaczy?

"Nie potrzebujemy rozpisywać się na ten temat. Polecamy bowiem naszym rodakom najszlachetniejszą sprawę, jaka kiedykolwiek czekała na pomoc szlachetnego narodu".

* * *

Powyższe przykłady ofiarności i nastrojów społeczeństwa amerykańskiego wobec Polaków stanowią rozrzewniającą pamiątkę przeszłości. Możnaby je przytaczać o wiele obszerniej, gdyż imię Polaka było wówczas w Ameryce równoznaczne z mianem bohatera. Nie dziw, że wśród tego nastroju pro-polskiego zdarzały się też wy-

padki nadużywania miłosierdzia Amerykanów przez oszustów. "New York Whig" donosił o dwuch Włochach, którzy rozpowiadając niestworzone rzeczy o swych rzekomych przejściach w powstaniu polskiem, naciągnęli wielu obywateli w New Haven, Middletown i Hartford, Conn.

Ofiarność amerykańska była w początkach jedynym środkiem utrzymania naszych wygnańców i, mimo wszystko, niedostatecznym. Chroniła ich jedynie od śmierci głodowej. To też z upragnieniem i pełni nadziei oczekiwali na akcję kongresu w sprawie nadania ziemi.

Jeszcze przed wylądowaniem deportowani przez Austrję Polacy wybrali między sobą komitet, który miał reprezentować ich wobec Amerykanów. Do komitetu weszli: Ludwik Bończakiewicz, jako przewodniczący; ks. Ludwik Jeżykowicz, Pijar, z Międzyrzecza na Wołyniu, jako skarbnik; Marcin Rosienkiewicz, Jan Rychlicki, Jan Hiz, Feliks Gwinczewski i Józef Kosowski, jako członkowie. Po wylądowaniu dodano im dla lepszego porozumienia się dra. Karola Kraitzira, Węgra, byłego lekarza armji polskiej, który przybył już dawniej do Ameryki i tymczasem poduczył się trochę po angielsku.

D. 9 kwietnia 1834 Bończakiewicz, Rosienkiewicz i Kraitzir w imieniu wygnańców wystosowali następujący memorjał do "przedstawicieli narodu Stanów Zjednoczonych, zebranych w kongresie":

"Podpisani Polacy, wybrani przez 235 rodaków, wysadzonych na gościnne wybrzeża Stanów Zjednoczonych, na rozkaz cesarza Austrji, ośmielają się prosić Wasze dostojne zgromadzenie o taką pomoc, do jakiej mogą mieć prawo ludzie, znajdujący się w naszem szczególnem położeniu.

"Dopóki mieliśmy kraj, który mogliśmy nazwać naszym własnym, walczyliśmy śmiało o jego niepodległość, aż przeważające siły Rosji zmusiły nas do schronienia się w granice Austrji i Prus, od których żądaliśmy tylko swobodnego przejścia do Francji. W kwietniu, zeszłego roku, rząd austrjacki obiecawszy nam wolność i ochronę, nagle, bez poprzedniego zawiadomienia, wtrącił nas do więzienia w Bernie, na Morawach, a na nasze protesty odpowiedział zapewnieniami, że po zebraniu nas wszystkich razem odeszle nas do Francji. Po trzy-miesięcznem więzieniu rząd austrjacki dał nam do wyboru albo powrót do Rosji albo też wyjazd do Stanów Zjednoczonych i poinformował nas, że z rządem Stanów Zjednoczonych porozumiał się co do ochrony naszej i utrzymania. Jako miłujący wolność i wolne urządzenie, wybraliśmy żywot wśród wolnego narodu, chociaż, decydując się na to, musieliśmy pożegnać się z wszelką nadzieją zamieszkania w umiłowanym kraju rodzinnym, wśród naszych zwyczajów, naszych praw i naszego języka. Po przybyciu do Trjestu, byliśmy tam zamknięci przez trzy miesiące, aż nareszcie wsadzono nas na pokład dwuch austrjackich fregat i po żegludze, trwającej cztery miesiące i dziesięć dni, wylądowaliśmy w Nowym

Jorku, w Stanach Zjednoczonych — gdzie obecnie znajdujemy się w najkrytyczniejszem położeniu, ponieważ nie znamy ani języka, ani obyczajów kraju i jesteśmy pozbawieni wszelkich środków do życia, oprócz drobnego zapasu pieniędzy, dostatecznego na kilka dni.

"Chociaż jesteśmy wygnańcami w obcym kraju i cały nasz majątek stanowią smutne wspomnienia przeszłości i nadzieje na przyszłość, pragniemy jednak wieść życie pracowite i stać się użytecznymi dla kraju, który wybraliśmy. Ponieważ Opatrzność, w swej nieprzeniknionej mądrości, pozbawiła nas kraju rodzinnego, pragniemy założyć w Stanach Zjednoczonych nową Polskę, gdzie nasi rodacy — niezwyciężeni jeszcze synowie niedoli — mogliby zebrać się i żyć.

"Mając to na widoku, uprzejmie prosimy Wasze dostojne zgromadzenie o udzielenie nam ziemi pod takimi warunkami, które pozwolą nam żyć z własnej pracy, zgromadzać przy sobie tych rodaków, którzy jeszcze mogą przyjechać do tych brzegów i stać się użytecznymi dla narodu Stanów Zjednoczonych.

"Dziękując za tę pomoc, pozostajemy i t. d.

Ludwik Bończakiewicz,
Marcin Rosienkiewicz,
Dr. Karol Kraitzir,
Komitet Wygnańców Polskich".

Do memorjału tego dołączone są "notatki o położeniu polskich wygnańców", opisujące obszernie ich przejścia:

"Polacy, którzy są rozprószeni po rozmaitych krajach Europy i którzy są obecnie przewożeni do Stanów Zjednoczonych, nie mogą być uważani na równi z innymi emigrantami, gdyż powody opuszczenia siedzib, ich położenie, ich poglądy na przyszłość są odmienne od innych przybyszów. Najsroższa surowość i wiarołomstwo rządu rosyjskiego zmusiły ich do pożegnania drogiej ojczyzny; nie mogą oni wierzyć najsolenniejszym zapewnieniom amnestji, gdyż te nie były nigdy wiernie dochowane; nie mieli innego środka do wyboru, jak wracać pod panowanie knuta, do kopalń Sybiru, do pułków moskiewskich, na Kaukaz albo iść do Francji. Ten ostatni kraj został im zakazany przez politykę dworów sprzymierzonych — przeto rządy austrjacki i pruski wysłały ich do tego kraju. Dwa austrjackie okręty wysadziły już 235, a trzeci okręt wojenny (korweta "Lipsia") znajduje się obecnie w drodze do Nowego Jorku z 50 do 60 osobami. Trzy okręty pruskie, wiozące prawie 700 Polaków, przeznaczonych do Nowego Jorku, Nowego Orleanu i jakiegoś trzeciego portu, zatrzymały się w Hawrze, Coves i w Portsmouth i wątpić należyć czy przybędą. Prywatne kredyty i kredyt rządu pruskiego — przyznane tym wygnańcom, zostały już wycofane i niewiadomo, czy zostaną odnowione, czy nie, jeżeli tu przybędą.

(Powstańcy ci, wysłani przez Prusaków do Ameryki z Grudziądza, gdzie ich w niewoli trzymano, nie dotarli rzeczywiście do Stanów Zjednoczonych. Część ich pozostała we Francji, część zaś w Anglji).

"Petycja przedłożona kongresowi nie może przeto być szkodliwą dla tych Polaków, którzy przybędą potem do tego kraju i czas przybycia nie może im dawać żadnych przywilejów lub prerogatyw nad tych, którzy już są w tym wolnym kraju.

"Czterdzieści dolarów otrzymał każdy Polak na austrjackich fregatach: 4 dolary na Malcie, 3 na Gibraltarze, a 33 w Nowym Jorku. (Prócz tego przed wyjazdem z Trjestu dostali po płaszczu, parze spodni i trochę bielizny).

"Byłoby dla nich rzeczą bardzo ważną i bardzo dobroczynną, gdyby uchwała kongresu została im wcześniej podaną do wiadomości, aby mogli rozpocząć osiedlanie się jeszcze przed latem, gdyż finanse ich i pora roku wymagają wielkiej oszczędności czasu.

"Petenci pragną być użytecznymi dla przybranej ojczyzny, dla wielkiej sprawy, w obronie której znoszą cierpienia, dla tych rodaków, którzy w miarę postępu czasu padną ofiarą ucisku. Pragną oni zachować święty ogień patrjotyzmu, wolności i ludzkiej godności pod opieką kraju Penna, Washingtona i tylu wzorów prawdziwego człowieczeństwa. Pokażą oni Europie, że obecność ich jest tylko tam niebezpieczna, gdzie panują tyranja i poniżenie człowieczeństwa i, że potwarze służalców są najnikczemniejszą bronią, wbitą w serce Polski.

"Przeszło połowa z tych 235 Polaków są to oficerowie rozmaitych stopni, z których najwyższym jest stopień majora. Mniejszość była szeregowcami. Pięćdziesięciu byli w armji przed rewolucją; inni chwycili za broń podczas rewolucji, i skutkiem tego, są więcej narażeni na zemstę rządów monarchistycznych. Większość pochodzi z polsko-rosyjskich prowincji, to jest tych, które zostały zajęte przez Rosję w pierwszym rozbiorze Polski. Mniejszość jest z Królestwa Polskiego — stworzonego na kongresie wiedeńskim. Największa nienawiść samodzierżcy zwraca się przeciw mieszkańcom tych prowincji, które lubi nazywać swemi łupami.

"Niektórzy z wygnańców są ponad lub blisko 60 lat; niektórzy liczą od lat 17 do 20; przeważna część jest w wieku od 26 do 40 lat. Niektórzy byli ranni, dlatego też nie mogą pracować, jakby chcieli. Tylko jeden ma żonę ze sobą; wielu innych pozostawiło w kraju swe rodziny; niektórzy są wdowcami ale mają dzieci.

"Prawie wszyscy szeregowcy i niektórzy oficerowie niższych stopni byli rolnikami. Większość mieszkała na wsi i zna zajęcie rolnicze i podobnie pragnie pracować. Niektórzy z młodych byli studentami, gdy rewolucja wybuchła i okazali się najgorliwszymi patrjotami, jak wykazuje historja wojny polskiej.

"Jeżeli Konstytucja Stanów Zjednoczonych pozwala na nadanie osadnikom przywilejów obywatelstwa amerykańskiego, byłoby to

najsilniejszym bodźcem dla nich. by starali się być użytecznymi nowej ojczyźnie.

"Komitet kongresowy, który zajmuje się sprawą polskich wygnańców, weźmie zapewne pod uwagę, że krytyczne ich położenie wymaga rychłego załatwienia sprawy, bez względu na potrzebę wyjaśnienia niektórych kwestji. Deputacja polska będzie się starała dostarczyć wszelkich wyjaśnień w swej mocy. Ważną rzeczą jest, by komitet miał przynajmniej jednego członka, mówiącego po francusku, gdyż jeden z delegatów polskich zna bardzo słabo język angielski, a dwaj inni nie znają go wcale".

W dalszym ciągu memorjał wyraża przypuszczenie, że do Ameryki przyjadą wkrótce nowe rzesze wygnańców polskich i opisuje obszernie ich los w rozmaitych krajach europejskich.

Przedłożenia memorjału kongresowi podjął się reprezentant C. C. Cambreleng z Nowego Jorku. Dnia 27-go kwietnia, 1834-go roku, za jednogłośną zgodą izby Cambreleng wniósł memorjał i wygłosił przytem mowę, którą "Register of Debates in Congress" podaje w następującem streszczeniu:

"Cambreleng oświadczył, że z wielką przyjemnością przedkłada memorjał polskich wygnańców przedstawicielom wolnego narodu. Wypędzeni ze swego kraju ojczystego, ci pielgrzymi wolności przybyli modlić się u naszych ołtarzy. Polacy, którzy wnieśli memorjał, są ledwo drobną cząstką tych 100,000 Polaków, którzy zostali wypędzeni ze swego kraju. Niewielu z nich znalazło przytułek w Europie, ale przeważna część została wygnana na pustkowia Sybiru. Spodziewam się, panie przewodniczący, że nigdy nie złamiemy tych przepisów prawa publicznego, tak koniecznych dla ochrony praw narodów i zachowania pokoju w świecie — które zakazują nam mieszać się do spraw politycznych innych krajów. Nie wiem jednak o żadnem zobowiązaniu państwowem, które mogłoby nam przeszkodzić w użyczeniu tym wygnańcom naszej gościnności i naszej sympatji. Ani też surowe przepisy prawa publicznego nie mogą zabronić przyjaciołom wolności w każdym kraju interesować się żywo walkami patrjotów, gdziekolwiek one toczą się. Chociaż może sprawa nieszczęśliwej Polski nie jest sprawą narodów, ale jest ściśle zjednoczona ze sprawą ludzkości".

Tu przewodniczący izby przerwał Cambrelengowi, oświadczając, że odbiega od porządku dziennego. Zażądał podania tylko treści i celu memorjału.

"Panie, rzekł Cambreleng, wiem, że to nie jest na porządku dziennym, o ile izba na to nie przyzwoli; ale w tym wypadku nie chcę ubliżać patrjotyzmowi członków izby przez proszenie o pozwolenie na wypowiedzenie kilku krótkich uwag w łączności z memorjałem. Powtarzam, panie, że sprawa Polski jest ściśle zjednoczona ze sprawą ludzkości. Wolność płacze nad jej losem i dzieci wszystkich oświeconych krajów uczą się jej historji i ronią łzy nad jej klęskami.

Prawo publiczne nie może nas oślepić na tyle, byśmy nie widzieli prawdziwych stosunków w świecie politycznym. Społeczne żywioły cywilizowanych narodów są poruszone — przeciwne zasady toczą czynną i powszechna wojne. Historja ostatnich 20 lat — zasadnicze zmiany w rządach Wielkiej Brytanji, Francji i Hiszpanji, dowodzą, że duch reform tajemnie burzy plan i formę dawnych rządów. Zachodnia Europa jest ożywiona tym duchem i absolutne monarchje ustępują miejsca rządom konstytucyjnym i przedstawicielskim. Widocznem jest, że wschodnie i zachodnie części Europy nie mogą długo pozostać w pokoju — starcie między sprzecznemi zasadami jest nieuniknione. Tak, panie, prędzej, czy później musi być zadecydowana kwestja, czy wszyscy, co walczą o prawa człowieka mają być wygnani do naszego wolnego kraju, czy też Biały Orzeł Polski ma wzlecieć zwyciesko nad pobojowiska Warszawy.

"Jestem pewny, panie przewodniczący, że niepotrzebuję wyliczać cierpień polskich wygnańców, by wzbudzić sympatję lub też zjednać zgodę izby. Od granic kanadyjskich do meksykańskich jest, i może być, tylko jedno uczucie. Głos narodu, od oceanu aż do puszcz, powita ich u naszych wybrzeży i uzna ich prawo do żądania naszej gościnności. Rodacy Kościuszki i Pułaskiego znajdą wymownego obrońcę w sercu każdego Amerykanina. Dług wdzięczności nie może być nigdy unieważniony. Żadania autorów memorjału poparte są nadto przez prawa gościnności i zwyczaj narodów. Proszą oni o nadanie im gruntów, by mogli zakończyć swe dnie w spokoju i bezpieczeństwie. Dajmy schronienie tym wygnańcom, a gdy ubolewają nad losem nieszczęśliwej swej ojczyzny, niech się przynajmniej pociesza myśla, że dzielny Polak nie może być nigdy wygnańcem w kraju wolności.

"Zwyczajem było dotychczas, że tego rodzaju memorjały odsyłano do komitetu gruntów publicznych. Pragnąłbym w tym wypadku prosić o wyznaczenie specjalnego komitetu. — Wiem jednak, że członkowie poprzedniego ubiegać się będą o zaszczyt przychylnego rozważenia memorjału i dlatego nie mogę pozbawić ich tej sposobności".

Jeśli się zważy, że Stany Zjednoczone były wówczas w przyjaźni z Rosją, przyznać trzeba, że entuzjastyczne te słowa o Polsce, były śmiałą obroną jej praw.

Po odczytaniu memorjału w izbie, odesłano go do komitetu gruntów publicznych, wcielono w bil i poddano zwykłej procedurze ustawodawczej.

W senacie sprawą zajął sie senator Poindexter z Mississipni, który dnia 29 kwietnia, w imieniu takiegoż komitetu, wniósł bardzo przychylny raport o memorjale Polaków.

Raport uznawał zasadę, że grunta publiczne nie powinny być nadawane obcokrajowcom, ale "ze względu na szczególne położenie tych nieszczęśliwych wygnańców, komitet jednogłośnie poleca ich

sprawę przychylności senatu. Historja niedawnej rewolucji w Polsce" — brzmiał raport — "jest tak dobrze znana i rozumiana, że wszelkie próby powtórzenia w krótkości wypadków tej sławnej i ciężkiej walki za wielką sprawę wolności narodów można uważać za zbyteczne i niepotrzebne. Petenci stanowią drobną garstkę tej walecznej armji, która prowadziła rozpaczliwą i nierówną walkę przeciw przeważającej potędze rosyjskiej z tem mocnem postanowieniem, że Polska musi być wolna, albo też wymazana na zawsze z mapy narodów. Walczyli oni odważnie za niepodległość swej ojczyzny, z którą wiązały ich uczucia patrjotyzmu; wygrali wiele bitew, dokonując cudów waleczności, nieznanych w dziejach czasów i ludów; stali nieustraszeni wobec potężnego wroga i z ufnością odzywali się do uczuć cywilizowanych narodów Europy, by pomogły im w tak słusznej sprawie; ale wołania ich przeszły bez echa, a nadzieje ich zostały okrutnie zawiedzione".

Raport opisywał dalej losy powstania i dzieje garstki wygnańców, którzy "zgnębieni nieszczęściami, pozbawieni ojczyzny i domu, bez środków do życia, zostali rzuceni w obcy kraj, którego językiem nie mówią i którego obyczajów zupełnie nie znają. Petenci zdają się na hojność i łaskawość wielkodusznego narodu i wolnego rządu, prosząc o kąt, w którym mogliby spocząć w pokoju i bezpieczeństwie i gdzie pracą rąk własnych mogliby wyratować się z obecnej nędzy i zależności. Komitet sądzi, że przez przychylne załatwienie prośby petentów rząd nasz okaże należny wzgląd na cierpienia rozbitków z wszystkich krajów, którzy mogą być wyrzuceni na nasze wybrzeża; że wyświadczy usługę, jaką jedna część ludzkości winna drugiej; i że przez to przedstawi cywilizowanemu światu dobitną różnicę między arbitralnymi władcami, którzy uciskają i prześladują tych wygnanych patrjotów i obrońców wolności, a rycerskością wolnego narodu, który przyjmuje ich życzliwie i zabiega o ich pierwsze potrzeby. Dzieje naszej własnej chlubnej walki o wolność i niepodległość i udziału w niej wybitnych obcokrajowców również powinny wpłynąć na przychylne załatwienie prośby petentów. Czyż rodacy Pułaskiego, De Kalba (?) i Kościuszki mają błagać nadarmo potomków patrjotów rewolucyjnych o pomoc, gdy tyrani Europy odmawiają im przytułku dlatego, że są żołnierzami wolności? Komitet nie sądzi tak i w tej opinji z ufnością polega na serdecznem współdziałaniu senatu i całego narodu amerykańskiego. Komitet więc nie wchodząc w kwestję pomocy pieniężnej, którą pozostawia zdrowemu rozsądkowi senatu, jednogłośnie poleca nadanie całego townshipu, który ma być wyszukany pod dyrektywą prezydenta Stanów Zjednoczonych, w stanie Illinois lub terytorjum Michigan, i podzielenie go między 235 Polaków po równej części, by mogli na nim zamieszkać i uprawiać go i w tym to celu przedstawiamy bil".

Jak widać z raportu, była też mowa w kongresie o udzieleniu Polakom zapomogi pieniężnej, ale projekt ten pozostał projektem.

W obu izbach bil o nadaniu gruntów miał zapewnione przejście. Rozchodziło się tylko o to, czy mają być nadane bezpłatnie, czy też za minimalną opłatą. Senat 12 maja uchwalił 25 głosami do 14 nadać je bezpłatnie, izba jednakowoż żądała zapłaty po $1.25 za akier, płatnej po upływie 10 lat, i ostatecznie bil przeszedł z tem zastrzeżeniem i uzyskał aprobatę prezydenta Jacksona, dnia 30 czerwca 1834.

Bil, zamieniony w prawo, nosił tytuł: "Prawo, nadające grunta niektórym wygnańcom z Polski" i opiewał:

"Zostaje uchwalonem, że niniejszem nadaje się Ludwikowi Bończakiewiczowi i jego towarzyszom, 235 wygnańcom z Polski, przewiezionym do Stanów Zjednoczonych na rozkaz cesarza Austrji, 36 sekcji gruntu (sekcja równa się jednej mili kwadratowej, czyli 640 akrom; 36 sekcji jest to t. zw. township, o obszarze 6 mil kwadratowych), które mają sobie wybrać pod dyrektywą sekretarza skarbu w którymkolwiek z trzech przyległych townshipów z gruntów publicznych, jakie są już lub zostaną rozmierzone a położonych w granicach stanu Illinois, lub terytorjum Michigan (dzisiejszy stan Wisconsin).

"Paragraf 2, zostaje dalej uchwalonem, że sekretarz skarbu ma obowiązek postarać się o listę nazwisk wspomnianych 235 polskich wygnańców i złożyć ją i zarekordować w biurze komisarza głównego urzędu gruntowego.

"Paragraf 3. Zostaje dalej uchwalonem, że po wymierzeniu wspomnianych 36 sekcji gruntu i wybraniu ich w sposób, przepisany w pierwszym paragrafie, sekretarz skarbu ma obowiązek nakazać podział wspomnianych 36 sekcji na równe części między wspomnianych 235 Polaków. Podział ma odbyć się przez losowanie sposobem przepisanym przez sekretarza skarbu.

"Paragraf 4. Zostaje dalej uchwalonem, że każdy z obdarzonych ma prawo wejścia na przyznany mu dział gruntu i objęcia go w posiadanie; i że po upływie dziesięciu lat, obdarowani uzyskają prawo do tytułu własności na dział gruntu, przyznany im w sposób powyższy. O ile obdarowani przez wspomniany okres dziesięciu lat bez przerwy rzeczywiście będą zamieszkiwali i uprawiali zajęty township ziemi w stosunku jedna osada na każde 500 akrów i o ile przedstawią sekretarzowi skarbu dowód zamieszkania i uprawy, oraz o ile zapłacą we właściwym urzędzie gruntowym minimalną cenę za akier, obowiązującą w czasie płatności, w ciągu tych dziesięciu lat, wtedy tytuły własności zostaną im wydane, a nie inaczej".

Prawo było więc uchwalone. Wygnańcy mogli wreszcie znaleźć wymarzone schronisko i na nowym lądzie rozpocząć nowe życie.

Ale okoliczności tak się złożyły, że żaden z nich nie skorzystał z tego daru, który przeszedł do historji jako t. zw. "Polish claim" i, przez długie lata, wydawszy jedynie stosy urzędowej korespondencji, ostatecznie przeszedł w zapomnienie.

Przedewszystkiem wygnańcy byli za biedni na osadnictwo. Dola-

ry, otrzymane od rządu austrjackiego przy lądowaniu w Nowym Jorku, rozeszły się szybko na życie. Nie było za co opłacić dalekiej podróży na zachód, ani też za co zakupić najpotrzebniejszych narzędzi i środków żywności na początek, nim grunta zostaną wykarczowane, zasiane i dadzą pierwszy plon.

Życzliwi Polakom kongresmani rozumieli ich położenie i już w następnym roku zaczęli robić starania o poprawkę do aktu nadawczego. Szczególnie gorliwie zabiegał o to senator Poindexter. Aby umożliwić wygnańcom osiedlenie, zaproponował w lutym 1835 taką zmianę w prawie, któraby pozwoliła im zaciągnąć pożyczki na grunta celem zapomożenia się na początek. "Warunki, na których nadano te grunta", powiedział Poindexter w senacie podczas debaty nad poprawką, "są gorsze niż dla zwykłych nabywców ziemi. Tymczasem powinien to być szlachetny dar".

Mimo obaw niektórych senatorów, że poprawka wedle projektu Poindextera może wywołać spekulację, senat uchwalił ją 18 lutego, 1835.

Izba dopiero w r. 1836 zabrała się do poprawy prawa. Na skutek rezolucji izby komitet gruntów publicznych przedstawił projekt dnia 31 maja 1836, ale zaraz podniosły się głosy protestu. Powtórzono zarzuty że ulgi przyznane Polakom mogłyby doprowadzić do spekulacji.

Szczególnie zawzięcie oponował reprezentant Bouldin z Virginii. Powiedział, że "nie będzie za poprawką głosował. Gdyby odbierała cokolwiek obdarowanym, nie głosowałby za nią. Nie miałby bowiem sumienia rabować rabusia a tembardziej żebraka" — wołał, posuwając ton mowy aż do obelgi. "Gdyby poprawka dodawała obdarowanym cokolwiek, chociażby na szerokość włosa, nie głosowałby za nią również. — Dlaczegóż bowiem mamy obdarowywać gruntami Polaków? Czy dlatego, że zasłużyli? Nasi właśni obywatele są tak samo zasłużeni. Czy dlatego, że Polacy są biedni? Nasi obywatele, i bardzo wielu z nich, są również biedni. Czy chcemy zachęcać do rebelji w obcych krajach? Zagroziłoby to naszemu bezpieczeństwu, naszemu imieniowi uczciwego narodu, naszemu charakterowi jako mądrego i roztropnego ludu. Tego nie naraziłbym nigdy na szwank". Bouldin zakończył swą mowę atakiem na rząd, który opiekuje się obcokrajowcami, a nie dba o własnych żołnierzy rewolucyjnych.

Ostatecznie poprawka ta została ubita i do zmiany prawa nie doszło.

Tymczasem wygnańcy, przymuszeni nędzą i pobudzeni nadzieją poprawy bytu do szybkiego działania, wybrali z pomiędzy siebie dwuch pełnomocników, majora Ludwika barona Chłopickiego, krewnego sławnego generała, i Jana Prechala, którzy mieli udać się do Illinois i wybrać grunta. Pełnomocnictwo ich zostało zaświadczone przez Feliksa Gwinczewskiego, dra Karola Kraitzira i Bertolda Wiercińskiego.

Nim jeszcze pełnomocnicy wyjechali na zachód, w gronie wygnańców powstało niezadowolenie z wyboru. Wyrazem tego był list protestacyjny, wysłany dnia 5 sierpnia, 1834, na ręce ówczesnego sekretarza skarbu, Levi'ego Woodbury. Podpisani na nim major Jan Lepine Gerard, Wojciech Konarzewski i Jan Czarniecki oświadczali, że Gwinczewski, Kraitzir i Wierciński działali bez upoważnienia, wyznaczając Chłopickiego i Prechala. Na ich miejsce autorzy listu proponowali niejakiego Ludwika i Walczakiewicza, jako odpowiedniejszych.

Na ten występ, typowo polski, sekretarz Woodbury odpowiedział, że "nie widzi dostatecznego powodu do niezadowolenia, gdyż Chłopicki i Prechal są porówni z innymi zainteresowani w swej misji i nie mogą nadużyć zaufania bez równoczesnego zaszkodzenia samym sobie". List Woodbury'ego, grzeczny zresztą, załagodził burzę i pełnomocnicy mogli wyjechać na poszukiwanie gruntów.

Wyjechał jednak tylko Chłopicki. Prechal, z nieznanych powodów, nigdy nie skorzystał z nadanego mu pełnomocnictwa. Okoliczność ta stała się potem jednem z utrapień skrupulatnych biurokratów waszyngtońskich, którzy wyzyskali ją na niekorzyść wygnańców.

Chłopicki przybył do Illinois w listopadzie 1834 r., i przedstawiwszy swe pełnomocnictwa w urzędzie gruntowym w Saint Louis, rozpoczął wyszukiwanie gruntów. Jeszcze z końcem tego miesiąca zawiadomił urząd gruntowy, że wybrał szmat ziemi nad rzeką Rock, w stanie Illinois, przy drodze z Chicago do Galena. Grunta te tworzyły jedną całość, na 18 mil długą, a 2 mile szeroką w północno-zachodnim zakątku Illinois. Rzeka przepływała je przez środek, co podnosiło ich wartość.

Ponieważ ziemia wybrana nie była jeszcze wymierzona przez rządowych mierniczych, urząd gruntowy w St. Louis nakazał dokonać pomiarów. Z powodu zimy odłożono je do wiosny, kiedy Chłopicki miał ostatecznie wybrać poszczególne sekcje i objąć je w posiadanie w imieniu wygnańców.

Lata tysiąc ośmset trzydzieste były to czasy powstawania pierwszych osad białych w t. zw. środkowym zachodzie Stanów Zjednoczonych. Okolice, gdzie Chłopicki wybrał grunta, były jeszcze bardzo słabo zamieszkałe, zresztą stanowiły je puszcze i pustkowia. W r. 1834 zamieszkiwało je około 30 rodzin, ale liczba osadników wzrastała tak szybko, że w 20 lat potem cały Illinois był już skolonizowany.

Pomiary ciągnęły się bardzo powoli. Chłopicki zmieniał wybrane townshipy. Ostatecznie dopiero w maju 1836 przedłożył listę sekcji wybranych w townshipach 44 i 46 (na północ od linji podstawowej, w rzędzie pierwszym na wschód od głównego południka).

Już przedtem jednak zaczęły do Waszyngtonu napływać skargi na Chłopickiego. Rozpoczął je niejaki D. A. Spaulding, rządowy

mierniczy, który w liście do kongresmana Williama L. Maya, nacechowanym niechęcią do Chłopickiego i Polaków wogóle, zarzucał, że pełnomocnik polski obiecywał zrazu osadnikom ominąć ich osady przy wyborze gruntów, następnie zaś "z namowy swych rodaków i kilku innych osób w St. Louis, które chcą spekulować na gruntach polskich", złamał swe słowo i wszystkie osady zagarnął. Wywołało to wielkie oburzenie osadników, pisze Spaulding i daje upust swej niechęci do Polaków. Słowa jego są widocznie wykładnikiem tych uczuć, z jakiemi oczekiwano przybyszy nad rzeką Rock:

"Nadzieja publiczna została srogo zawiedziona w sprawie wygnańców polskich; okazali się oni, z małymi wyjątkami, bandą nędznych upadłych moralnie włóczęgów. Obecnie są rozprószeni po wszystkich częściach Stanów Zjednoczonych; a niektórzy z nich, o ile mi wiadomo, udali się do Texas. Trudnią się oni powszechnie prowadzeniem groserń i wielu z nich są to ludzie rozpustni, gnuśni i źli, nieposiadający żadnych kwalifikacji na godnych szacunku obywateli. Sam stary Chłopicki prowadzi jedną z najpodlejszych groserń w St. Louis. Generał Langham powiedział mi przed dwoma tygodniami, iż jest pewny, że następny sąd przysięgłych powiatu St. Louis oskarzy Chłopickiego o prowadzenie domu nierządu. Opinja publiczna jest teraz bardziej przeciwna Polakom, niż kiedykolwiek była im przychylną. Powszechnie też panuje przekonanie, że Polacy nie powinni dostać teraz ani jednej stopy ziemi od kongresu".

"Polacy niechaj lepiej wynoszą się z powrotem do Polski a nie przychodzą nad rzekę Rock", — kończy Spaulding swój list i obiecuje kongresmanowi ponowny wybór, byle niedopuścił Polaków do zajęcia wybranych gruntów.

Spaulding nie pisał prawdy. Skądżeby wygnańcy tak rychło mogli dorobić się sklepów? O moralnej ich wartości świadczą korzystnie inne źródła, a i o Chłopickim musiał autor listu przeholować.

Po Spauldingu rozpoczęli protestować osadnicy, którzy, z powodu zwłoki w urzędowem załatwieniu uchwały kongresu napływali coraz liczniej na wybrane grunta. Ton tych protestów, uchwalanych na masowych wiecach i wysyłanych do Waszyngtonu, jest nie wiele przychylniejszy. Jeden z nich datowany jest z Rockford, Ill., 20-go września, 1837 i pochodzi od osadników z townshipu 44 dwa zaś z Pekatoneka (dziś Pecatonica), Ill., 18 października 1837, od osadników townshipu 46.

"W r. 1834 dwie osoby osiedliły się w tym townshipie" — brzmi jeden z tych ostatnich protestów. — " Wr. 1835 i przed listopadem tegoż roku liczba osadników wzrosła do 16. W listopadzie 1834 przyjechał tu Chłopicki i chociaż jest to człowiek upadły moralnie skutkiem pijaństwa, przyjęty został z największą gościnnością i zobowiązał się słowem wobec wielu osób, że nie włączy ich ziemi do wybranych gruntów. Gdyby tego nie obiecywał, byłoby wtedy łatwą rzeczą zmienić osady, jeszcze nie wiele ulepszone, zwłaszcza, że było

dużo gruntów niezajętych. Podczas swego pobytu w okolicy Chłopicki rzeczywiście polecił pewnej osobie zwiedzić tę część kraju ponad Illinois, która wówczas zwała się Michigan, a teraz Wisconsin.

"Możecie sobie wyobrazić zdumienie osadników, gdy jakoś w r. 1836, po zabezpieczeniu się obietnicami, po poniesieniu wielkich kosztów wyżywienia się, gdy trzeba było wozić żywność sto mil w głąb kraju, po zoraniu i ogrodzeniu i zasianiu zbiorów, po pobudowaniu się i wezwaniu swych rodzin do przybycia i po nabraniu przekonania, że najcięższe ich trudy i cierpienia minęły; powtarzamy, możecie sobie wyobrazić zdumienie osadników, gdy przeczytali w gazecie, że wszystkie ulepszone osady w tym townshipie zostały wciągnięte na listę wybranych gruntów.

"Osadnicy przypuszczali, że gdy wybór zostanie zatwierdzony, wygnańcy przybędą osiedlić się. Ale od r. 1835, o ile wiemy, żaden z nich nie był bliżej, jak St. Louis". (Lista wybranych przez Chłopickiego gruntów nie była jeszcze zatwierdzona ani też nigdy potem nie zyskała aprobaty sekretarza skarbu, wobec czego wygnańcy nie nie mieli czego szukać w Illinois).

"Prawdą jest", — brzmi dalej ten protest — "że Polacy nie zamierzali osiedlić się na gruntach i uprawiać je własnoręcznie. Nie są oni ludźmi praktycznymi, pracowitymi, jacy jedynie nadają się do osiedlenia na nowych gruntach".

Protesty żądały uznania praw pierwszeństwa osadników do zajętych gruntów, a unieważnienia wyboru Chłopickiego. Jednakowoż prawa ich do tej ziemi, na podstawie t. zw. preemption law, były wątpliwe, co parokrotnie stwierdzone zostało urzędowo.

Chłopicki nie musiał być bez winy w tej sprawie. Przez objęcie gruntów osadników swą listą, całkiem niepotrzebnie wzbudził ich niechęć i utrudnił towarzyszom skorzystanie z daru kongresu. I Polacy nie byli zadowoleni z jego postępowania, bo dnia 15-go kwietnia, 1837, komitet wygnańców usunął Chłopickiego, a na jego miejsce pełnomocnikiem zamianował Jana Rychlickiego.

Sekretarz skarbu Woodbury, nadzorujący wykonania uchwały kongresu co do Polaków, nigdy poważnie nie brał w rachubę pretensyj osadników, co dowodzi, że nie mieli podstaw prawnych do swych protestów.

Nieprzychylne stanowisko osadników było łatwiejszą do ominięcia przeszkodą, niż najrozmaitsze trudności natury technicznej, które wynikły albo z wad samego aktu nadawczego, albo też z niedokładności w jego wykonaniu. Biurokratyzm miał tu szerokie pole do popisu.

Sekretarz skarbu Woodbury, zaraz po przedłożeniu listy wybranych przez Chłopickiego gruntów (3 maja 1836), podniósł trzy zarzuty: 1) że lista podpisana była tylko przez jednego z pełnomocników polskich i brak było podpisu Prechala; 2) że zamiast w 36 sekcjach, jak przewidywało prawo, wybrane grunta są rozmieszczone

w 38 sekcjach; 3) że brak dowodów, czy wybór nie wchodzi w kolizję z prawami osadników na mocy t. zw. preemption law.

Ethan Brown, ówczesny komisarz gruntów publicznych, podał (5 maja 1836) Woodbury'emu prosty sposób ominięcia tych trudności. Brakowi sankcji obu pełnomocników, wedle jego propozycji, można było zaradzić przez poddanie listy gruntów komitetowi polskiemu do zatwierdzenia. Co do 38 sekcji, wskazuje, że Chłopicki ogółem wybrał 22,970 akrów, czyli o 69,22 akrów mniej, niż pełny township, do jakiego miał prawo, ale przez poprawkę będzie to można uzgodnić z prawem. Co do osadników okazało się, że pretensje ich są wątpliwe.

Ponieważ okazało się także, że na listę swą Chłopicki wciągnął pewne grunta indyjskie, nadane na mocy traktatu ze szczepem Winnebago z r. 1829, przeto Rychlicki otrzymał instrukcje poczynienia koniecznych zmian.

Nową trudnością był punkt prawa, przewidujący podział 36 sekcji na 235 równych części. Z podziału tego wynikłoby dla każdego wygnańca po 98 akrów z drobnym ułamkiem. Podział taki był wbrew istniejącym prawom mierniczym i sekretarz Woodbury wcześnie zaczął się upominać u kongresu o zmianę aktu nadawczego w sposób, umożliwiający podział zgodny z prawami.

Kongres jednak, o ile szybko uchwalił akt nadawczy, o tyle teraz wolno brał się do jego naprawy. Zwłoka zaś ciągle piętrzyła trudności.

Dnia 11 stycznia 1838 James Whitcomb, nowy komisarz gruntów publicznych, wskazywał konieczność szybkiej akcji kongresu.

"Położenie tych nieszczęśliwych ludzi (Polaków) — pisał do Woodbury'ego — jest takie, że należałoby jak najszybciej umożliwić im korzystanie z zamierzonego daru rządu, by mogli zacząć pracę na roli dla utrzymania się. Zwłoka w tej sprawie, — zdaniem mojem, przyczyniła się do zwiększenia opozycji ze strony osadników i ułatwiła osadnictwo na gruntach, które wymierzono dla Polaków, skąd powstały nowe trudności w załatwieniu sprawy, prócz wad samego prawa".

Rychlicki dokonał zmian w liście wybranych gruntów, wymaganych przez władze, ale z powodu niemożności podziału ich na 235 równych części ze względów technicznych, sekretarz skarbu nie chciał ostatecznie listy zatwierdzić, oczekując na akcję Kongresu.

Kongres odkładał akcję z sesji na sesję, aż wreszcie dnia 8-go czerwca 1838 prezydent Jackson, na wniosek departamentu wojny, część polskich gruntów nadał Indjanom.

Fakt ten wydaje się conajmniej dziwnym. Można było spodziewać się, że prezydent wstrzyma się z tem przynajmniej do rozstrzygnięcia pretensji polskich. Sekretarz Woodbury już po niewczasie usiłował zwrócić uwagę na właściwość uszanowania praw polskich.

W styczniu 1839 senat znowu zainteresował się sprawą i zapytał departament skarbu, czy Polacy uczynili zadość warunkom daro-

wizny, a jeżeli nie, czy departament uzna prawa ich za przepadłe, by grunta mogły być sprzedane.

Odpowiedź Woodbury'ego jest miarodajnym i urzędowym dowodem, że wina zmarnowania darowizny leży po stronie kongresu.

"W wykonaniu 3-go artykułu prawa (o podziale 36 sekcji na 235 równych części) natrafiono na takie trudności, że zajęcie gruntów przez poszczególnych Polaków było niemożliwe", pisał sekretarz skarbu 7-go stycznia 1839. "Kongres przez odpowiedni komitet był o tem informowany, ale z powodu braku dalszej koniecznej legislacji, pełne wykonanie prawa musiało być w dalszym ciągu zawieszone.

"Zdaniem mojem jednak, nie może być mowy o uznaniu pretensji polskich za przepadłe, gdyż obdarzeni gruntami Polacy wypełnili wszelkie wymagania, o ile to było możliwe. Ze zwłoki powstały nowe trudności, których nie można będzie usunąć bez akcji kongresu".

Wszystko to było jednak grochem o ścianę. Kongres z trudną do zrozumienia obojętnością traktował prośby o akcję zarówno ze strony urzędowej jak i prywatnej.

Nic dziwnego, że to wszystko wywoływało niezadowolenie i rozgoryczenie wygnańców, którzy spodziewali się wiele po uchwale kongresu, a doświadczyli przez nią tylko zawodów, nieporozumień i kosztów. Ciekawym wyrazem ich uczuć jest zakończenie książki "Polacy w Stanach Zjednoczonych Ameryki", napisanej przez doktora Karola Kraitzira i wydanej w Filadelfji w r. 1837.

"Wiara", pisze dr. Kraitzir, "z jaką wygnańcy polscy przyjmowali ze wszech stron wynurzenia współczucia i przyjaźni, doprowadziła ich do położenia, bardzo przypominającego położenie ich ojczyzny. P. Albert Gallatin, przewodniczący polskiego komitetu w Nowym Jorku, zachowywał się wobec nich, jak niegdyś Katarzyna wobec Polski. Aby zepsuć ich plan wspólnego osiedlenia się, aby sparaliżować ich starania o utrzymanie się w jednej gromadzie, udawał pozornie przyjaźń, a pokryjomu chował listy, adresowane do nich lub do ich komitetu. wygłaszał fałszywe oświadczenia na ich rachunek, siał nieufność i niezgodę między nimi, ochraniał oszustwa, obracał fundusze, przeznaczone na ich ogólny i wspólny użytek, na inne cele i t. p. Dr. S. G. Howe, sekretarz polskiego komitetu w Bostonie, był bardzo posłusznym pomocnikiem p. Gallatina, potępiając plan Polaków, szkodząc ich dobrej sławie i przedstawiając fałszywie ich sprawy swemu komitetowi.

"Pod przewodem tych panów udaremnione zostały wszystkie dobre chęci społeczeństwa amerykańskiego i panów Mateusza Carey z Filadelfji, Erastusa Corning z Albany, Teofila Smitha z Vandalia, przewodniczących komitetów niesienia pomocy Polakom, p. Jakóba Fenimore Coopera, pastora Jana Breckenridge i innych.

"Ze wszystkich pieniędzy, złożonych przez obywateli amerykańskich na wspólny użytek Polaków, 127 dolarów i 85 centów zostały

użyczone przez pana S. V. S. Wildera z Nowego Jorku na pokrycie kosztów pierwszej polskiej deputacji do Waszyngtonu. Od tego czasu i odkąd p. Gallatin zaczął działać, ani jeden cent z wyżej wzmiankowanego funduszu nie został użyty na wykonanie planu, rozpoczętego pod tak pomyślną wróżbą. Suma składek, nazwiska ofiarodawców i użycie funduszów, zebranych w Nowym Jorku i Bostonie, nie są znane. Grunta, wybrane nad rzeką Rock w Illinois, zostały rozmierzone w zimie 1835-6 roku. Uchwała kongresu nie jest jeszcze wykonana, pomimo trzech memorjałów do kongresu, przedłożonych przez polski komitet i pomimo wszelkich wysiłków i ofiar pieniędzy i czasu, ponoszonych przez ten komitet nieustannie od czasu przybycia wygnańców aż do teraz.

"Wszystkie sympatje narodu amerykańskiego dla rodaków Pułaskiego i Kościuszki zostały w ten sposób udaremnione i wszystkie nadzieje tułaczy polskich, wyrażone w ich memorjale, zostały zwarzone przez kaprys lub złą wolę wspomnianych panów".

Trudno dzisiaj, wobec braku bliższych szczegółów tych zarzutów, określić granice ich prawdziwości. Być może, że wynikły z osobistych starć i nieporozumień, gdyż trudno posądzać takiego n. p. człowieka, jak dr. Howe, znanego skądinąd ze swych szczerych uczuć dla Polski, o chęć szkodzenia wygnańcom. Urzędowe dokumenty wskazują, że przyczyna niepowodzeń polskich leżała gdzieindziej, choć — bez wątpienia — niezgoda nie przyczyniała się niczem do zaradzenia im.

W tym opłakanym stanie rzeczy wygnańcy wystosowali nowy memorjał do "dostojnego Senatu i Izby reprezentantów Stanów Zjednoczonych Ameryki, zebranych w Kongresie".

"Podpisani, stanowiący komitet wydalonych z ojczyzny Polaków, mieli zaszczyt wystosować memorjał do waszego dostojnego ciała, jako wygnańcy za sprawę wolności i mieli szczęście znaleźć w was nietylko szczerą sympatję ale i szlachetne życzenie niesienia pomocy w ich niezasłużonem nieszczęściu przez nadanie im "townshipu" z gruntów publicznych ,aby w ten sposób zapewnić im byt niezależny i pomódz do zostania pożytecznymi członkami przybranej ojczyzny. Polacy przyjęli dar ten z wdzięcznością i uznali go nie za czyn miłosierdzia wobec cierpiących osób, ale za objaw uczuć jednego wielkiego narodu wobec drugiego, również wielkiego, chociaż nierównie szczęśliwego. Teraz, nie jako wygnańcy, ale jako obywatele Stanów Zjednoczonych, mamy zaszczyt prosić wasze dostojne ciało o pomoc w urzeczywistnieniu szlachetności narodu Stanów Zjednoczonych i pragnień Polaków, którzy chcieliby wejść w posiadanie wspomnianych gruntów.

"Pięć lat upłynęło już od czasu nadania gruntów Polakom a niema żadnej nadziei ani widoków, by mogli kiedykolwiek wejść w ich posiadanie z powodu niemożności podzielenia ich na części, wedle artykułu 3-go aktu Kongresu z 30 czerwca 1834 roku. Komitet pol-

ski, uważając to za swój obowiązek wobec swych wyborców, wnosił petycje w tej sprawie do kongresu raz po raz na każdej sesji, bezpośrednio lub przez departament skarbu a zawsze bezskutecznie. Wskutek tych zwłok, spowodowanych przez niewypełnienie 3-go artykułu aktu, nie z winy Polaków, ani też z winy komitetu, obdarowani przez 5 lat nie mogli wypełnić warunków 4-go artykułu tegoż aktu. Wobec tego, komitet polski ośmiela się przedłożyć do waszego rozpatrzenia następującą prośbę:

1) "By kongres zechciał akt z 30-go czerwca 1834, który w obecnych warunkach nie może być wykonany, poprawić w taki sposób, by obdarowani mogli praktycznie skorzystać z czynu szlachetności wielkiego i potężnego narodu.

2) "By kongres zechciał uchwalić rezolucję, któraby usunęła trudności, jakie obecnie nie pozwalają na natychmiastowe zajęcie ziemi przez obdarowanych.

3) "By każdemu Polakowi wydany został tytuł własności, skoro tylko będzie miał pewną ilość ziemi pod uprawą.

"Podpisani, pokładając wszelką nadzieję w szlachetności waszego dostojnego ciała, kreślą się i t. d.

"Chillicothe, Ohio, 25 stycznia, Marcin Rosienkiewicz,

"Wilmington, Delaware, 3 lutego 1840, Feliks Gwinczewski.

"Washington City, w lutym 1840, dr. Karol Kraitzir, Komitet polskich wygnańców".

Cóż kongres na to? — Nic, absolutnie nic.

Dopiero w styczniu 1842 r. komitet gruntów publicznych z łona senatu, w odpowiedzi na nowy apel osadników ze stanu Illinois, żądających usunięcia t. zw. "Polish Claim" do pewnych gruntów, znowu zabrał się do rozpatrywania całej sprawy.

Zamiast jednak szukać winy we własnej bezczynności, wytykanej mu przez sekretarza skarbu Woodbury'ego, komitet senatu powrócił do zapomnianych już trzech zarzutów jego, podniesionych przed 6 laty przeciw niedokładnościom w wykonaniu prawa przez samych Polaków. Stało się to mimo tego, że Woodbury sam dawno je zaniechał.

Komitet senatu uznał, że wobec braku podpisu drugiego pełnomocnika polskiego, Prechala, na liście wybranych gruntów; wobec tego, że wybrano 38 sekcji, zamiast 36; wobec braku wreszcie stanowczych dowodów że wybór nie koliduje z prawami osadników — Polacy nie wykonali warunków aktu nadawczego i nie mają żadnych praw do wybranych gruntów, choć sam akt darowizny pozostaje nadal ważny.

Odnośna uchwała przeszła w obu izbach i została aprobowana przez prezydenta Tylera, dnia 14 kwietnia 1842.

Wobec tego nie było nic do roboty. Jak mogli wygnańcy korzystać z prawa, które przez władze wykonawcze nie mogło być wykonane z powodu wad technicznych, gdy równocześnie kongres nie miał ochoty do naprawy jego braków?

Trudno pozbyć się wrażenia, że kongres był niechętny do akcji na rzecz Polaków. Kongresmani, widać, więcej liczyli się ze swymi obywatelami, protestującymi od lat przeciw obdarzeniu Polaków, niż z garścią wygnańców, którzy zresztą w miarę upływu czasu musieli coraz słabiej upominać się o spełnienie obietnicy, danej w chwili uniesienia uczuć dla Polski.

O ile sam akt nadawczy jest jedną z najpiękniejszych kart w historji stosunków polsko- amerykańskich, o tyle dalsze jego losy są mniej pochlebne dla Ameryki.

Skoro kongres zdobył się wspaniałomyślnie na dar dla Polaków, powinien był dopilnować sprawy, zwłaszcza, że niejednokrotnie i Polacy i sekretarz skarbu Woodbury przypominali mu o tem.

Kilka mil kradratowych ziemi było niczem wobec obszaru kraju. Chodziło o sam akt szlachetności wobec ludzi, którzy na to w zupełności zasługiwali.

Zaznaczyć tu należy, że sekretarz Woodbury przez cały przeciąg lat, przez który sprawa nie schodziła z porządku dziennego, zawsze odnosił się życzliwie do wygnańców i, o ile mógł, starał się być im pomocnym.

Sprawa gruntów została wznowiona w r. 1856, kiedy Franciszek Włodecki, jeden z 235 wygnańców wniósł petycję do kongresu o przyznanie mu części gruntów publicznych na podstawie aktu nadawczego z 30 czerwca 1834.

Z petycji Włodeckiego i załączonych dokumentów okazuje się, że był oficerem w armji polskiej. Wkrótce po wylądowaniu w Nowym Jorku przeniósł się z rodziną do Albany, N. Y., gdzie przez przeszło dwa lata pracował w jednym z tamtejszych hotelów jako posługacz, ku zupełnemu zadowoleniu swego chlebodawcy. W połowie 1836 przeniósł się z powrotem do Nowego Jorku, a w r. 1844 wyjechał do Illinois i mieszkał tam stale aż do czasu petycji. W r. 1842 został naturalizowanym obywatelem. W petycji swej wspomina, że jest już starcem i pragnie otrzymać grunta, aby na nich spokojnie osiąść na resztę dni swoich. Przytacza też pochlebne świadectwa znajomych i pracodawców o swym charakterze.

Kongres przychylił się do jego prośby i w dwa lata potem uchwalił nadać Włodeckiemu 120 akrów ziemi. Uchwała została aprobowana 21 kwietnia 1858.

Czy Włodecki skorzystał z tego, niewiadomo. W każdym razie nie mógł już osiedlić się na ziemi, wybranej przez Chłopickiego, ani wogóle w stanie Illinois, gdyż wszystkie grunta publiczne były tam już wyprzedane.

W uchwale kongresu na rzecz Włodeckiego charakterystyczna jest jedna rzecz. Gdy chodziło o poprawę aktu nadawczego z 30-go czerwca 1834 w ten sposób, by przypadające na każdego wygnańca 98 akrów z ułamkiem zmienić na jakąś ilość zgodną z prawami mierniczemi, kongres odpowiadał, że to drobnostka, którą sekretarz

Woodbury powinien był sam jakoś załatwić. Woodbury dla tej "drobnostki" wstrzymał swą aprobatę listy gruntów. Tymczasem, przy wniesieniu bilu w sprawie Włodeckiego komitet izbowy wyraźnie orzekł, że "Włodecki jest uprawniony do blisko 100 akrów; ponieważ jednak byłoby to nielegalną miarą, komitet poleca wydzielenie mu 120 akrów".

Potwierdza to zdanie sekretarza Woodbury'ego, że Polacy uczynili wszystko, co według prawa powinni byli uczynić, natomiast kongres, przez swą opieszałość, zmarnował dar, przyrzeczony wygnańcom w chwili szlachetnego uniesienia.

Taka jest historja gruntów w stanie Illinois, wedle urzędowych dokumentów.

A cóż tymczasem stało się z resztą wygnańców?

Kiedy sprawa gruntów zaczęła się przewlekać, a dochód ze składek zmniejszał się, wygnańcy powoli rozchodzili się z Nowego Jorku w rozmaite strony kraju, by zarobić na chleb w jakikolwiek sposób, nim nadejdzie chwila osiedlenia się na stałe.

Tragiczny los spotkał wygnańców, którzy jakimś sposobem przedostali się do Nowego Orleanu, La. Około dwudziestu z nich z początkiem 1835 r. postanowiło przejść do Meksyku w nadziei, że tam poszczęści się im lepiej. Bez przewodnika, bez znajomości drogi, bez zapasów i jakichkolwiek funduszów, puścili się z Nowego Orleanu przez puszcze i pustynie Teksasu Na błądzący oddział napadli Indjanie. Polacy mieli ze sobą kilka strzelb i stawili opór napastnikom. Wywiązała się krwawa i zacięta walka. Większość napastników poległa, ale Polacy ponieśli też dotkliwe straty. Dwaj z nich zostali zabici, wszyscy pozostali odnieśli rany i zmarli następnie z upływu krwi, głodu i pragnienia. Zaledwie jeden z tej nieszczęsnej wyprawy zdołał powrócić do Nowego Orleanu jako zwiastun klęski.

Wysoko wybił się Kazimierz Stanisław Gzowski, twórca pierwszego mostu przy wodospadach Niagary, uważanego dotychczas za arcydzieło sztuki inżynierskiej. Gzowski przesiedlił się do Kanady niedługo po przybyciu do Ameryki i tam doszedł do najwyższych zaszczytów. Był adjutantem królowej Wiktorji, odznaczonym licznymi orderami. Umarł w Toronto w r. 1898, pozostawiając znaczny majątek. Pomnik jego wznosi się w pobliżu wodospadów Niagary po stronie kanadyjskiej.

Ożeniony z Amerykanką z Erie, Pa., Gzowski pozostał do końca życia Polakiem. Przed śmiercią pragnął chociażby na krótko zwiedzić strony ojczyste, ale odradzono mu ze względu na to, że jako powstaniec był skompromitowany wobec rządu rosyjskiego, a przed jego zemstą nie osłoniłoby go nawet obywatelstwo kanadyjskie i wysokie stanowisko.

Synowie i wnukowie Gzowskiego zachowali nazwisko ojca, ale stracili nietylko narodowość polską, ale i religję katolicką. Żyją dotychczas w Toronto.

O zasługach Henryka Kałussowskiego, który także należał do tej grupy powstańców, wie niemal każdy Polak amerykański.

Z innych wygnańców, Józef Truskolaski pozyskał opiekę sławnego pisarza J. F. Coopera, który go zabrał z Nowego Jorku do swego domu w Cooperstown, N. Y., i gościł go tam przez czas dłuższy. Truskolaski został z czasem inżynierem.

Paweł Sobolewski, również jeden z wygnańców, był prawnikiem w Illinois. Zasłużył się jako autor "Polish Poets and Poetry" (Chicago, 1881). Dzieło to obejmuje tłumaczenia poetów polskich, począwszy od Reja aż do współczesnych, z krótkimi ich życiorysami. Dotychczas nie mamy lepszych przekładów angielskich nad prace Sobolewskiego.

Feliks Wierzbicki, dobiwszy się stopnia doktora medycyny, udał się do Kalifornii, gdzie dorobił się znacznego majątku i sławy jako wybitny lekarz i autor prac naukowych.

Henryk Głowacki był wybitnym prawnikiem w stanie Nowy Jork. Ludwik Bończakiewicz i kilku innych wykładali jako profesorowie w szkołach. Niektórzy pracowali jako chemicy. A. Węgierski prowadził w Buffalo, N. Y., szkołę tańców i szermierki "polskiej i francuskiej". Większość, jak zaświadcza prasa nowojorska, uczciwie zarabiała na chleb ciężką pracą fizyczną, rozprószona po całym kraju. W grudniu 1835 z 235 wygnańców, do których doliczyć należy jeszcze 37, deportowanych następnie przez korwetę austrjacką, — pozostawało w Nowym Jorku zaledwie około 70. Część Polaków udała się na zachód w nadziei, że zajmą niedługo grunta rządowe i ci drobnymi grupami osiedlili się w St. Louis, Louisville, Cincinnati i innych miastach. Reszta zamieszkała w West Troy, Lowell, Mass., Boston, Fredericksburg, Va., i t. d., utrzymując się z pracy fizycznej.

Na tem nie koniec jeszcze.

Do historji 235 wygnańców należą jeszcze dwa czcigodne dokumenty.

Są to nieznane na Wychodźtwie listy zasłużonych patrjotów polskich: ks. Adama Czartoryskiego i Juliana Niemcewicza do tułaczy naszych amerykańskich.

Stare one i zapomniane, ale słowa ich do dziś dnia i na całą przyszłość naszą mają wartość żywą.

"Rodacy!" — pisał książę Adam. "Z powodu szczupłości funduszów i okoliczności, że nasze konieczne potrzeby nie pozwalają na więcej, posyłamy wam tysiąc franków. Przyjmijcie tę drobną ofiarę tylko jako dowód naszej pamięci i troskliwości o was, a nie jako miarę naszych uczuć i żalu z powodu waszego losu. Czuję się szczęśliwy, że mogę dołączyć list p. J. U. Niemcewicza, czcigodnego weterana klęsk naszej nieszczęśliwej ojczyzny. Zachowajcie w pamięci jego ojcowskie rady i tak postępujcie w tym dalekim kraju, do którego was los zapędził i gdzie imię polskie nie jest obce, aby je nie narazić na poniżenie. Ameryka przyjęła was niewątpliwie jako rodaków

Kazimierza Pułaskiego i Tadeusza Kościuszki. Pułaski, pierwszy bohater trwającej dotychczas naszej walki, padł walcząc o niepodległość Ameryki. Tam spoczywają jego kości. Kilka miejscowości nowego świata nosi jego imię. Kościuszko, bardziej szczęśliwy, powrócił z odległej wojny do swej Ojczyzny. Tam walczył chwalebnie i ustępując jedynie przed przeważającą siłą, przekazał swe imię potomności jako pobudkę do nowych walk, które muszą się zakończyć nie inaczej, jak naszem zwycięstwem. Żołnierze tej samej sprawy i tej samej walki! Pamiętajcie o tych sławnych dwuch polskich nazwiskach!"

A "czcigodny weteran klęsk Ojczyzny", niezmordowany w trudach dla Niej, Niemcewicz — dawał wygnańcom prawdziwie ojcowskie rady:

"Niezbadany wyrok Opatrzności polecił wam szukać nowej siedziby. Pozwólcie, że dam wam kilka rad, jako pochodzących od starca, który zna kraj i czerpie je z doświadczenia. Zaczynajcie wszystko z Bogiem. Zanim będziecie mogli zbudować kościół, módlcie się w cieniu drzew o uwolnienie naszego kraju z pod jarzma, za waszych braci w nim pozostałych, i za tych także, którzy są rozprószeni po całej ziemi, aby, oczyszczeni w ogniu przeciwności, mogli kiedyś powrócić do Ojczyzny. Bądźcie pracowici i zachowujcie się tak, by zaskarbić sobie szacunek i miłość obywateli i zapewnić sobie niezależność. Żadna społeczność nie może żyć bez organizacji. Wybierzcie z pomiędzy siebie takich ludzi, jacy zasługują i mają zdolność, by być opiekunami waszej osady. Braterska zgoda i jedność celu są jak najpotrzebniejsze w początkach, które będą ciężkie. Powodzenie uwieńczy wasze wspólne wysiłki. Nie ustępujcie przed trudnościami. Strzeżcie się niegruntownych planów i bezplanowych przedsięwzięć. Pamiętajcie, że jesteśmy wszyscy wśród obcych, którzy nieznają naszych czynów, ani naszych obecnych prawdziwych warunków. Będą oni z zachowania waszego sądzili cały naród polski. Jak świętym jest nasz obowiązek ustrzeżenia honoru Polski, naszego dobrego imienia, od najmniejszej skazy! Zachowajcie język swych ojców, jako obronę naszej narodowości, tak, by, jeśli naszym potężnym i okrutnym wrogom udałoby się wytępić go w Europie, szczątki jego mogły zostać w Ameryce, gdzie ucisk i niewola są nieznane. Dlaczegoż wiek mój i siły moje, złamane przez tyle nieszczęść, nie pozwalają mi zobaczyć znowu Ameryki, tego kraju, który mi dał gościnny przytułek przez dziewięć lat, którego obywatelem mam szczęście i zaszczyt być, z którym jestem złączony najdroższymi węzłami pamięci i pokrewieństwa! Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł zakończyć swe nędzne życie wśród was. Kamień polny nad moim grobem w wolnym kraju, byłby mi chlubniejszym, niż najwspanialszy grobowiec w kraju niewolników.

"Vivite felices, memores et vivite nostri:

"Sive eximus, sive nos fata fuisse solent.

"Julian Ursyn Niemcewicz".

Wiek prawie minął, jak stojący nad grobem towarzysz Kościuszki dawał te rady wygnańcom. Dla nas są one równie cenne.

Niechajże słowa jego zostaną żywe w sercach naszych i w sercach przyszłych pokoleń wychodźczych!

XIV.

Amerykanin w Polsce w r. 1834

(Urywki z pamiętnika Jana Lloyda Stephensa.)

Jeżeli jeszcze dzisiaj narzekamy, że Amerykanie zamało znają Polskę, to cóż dopiero mówić o stosunkach, jakie pod tym względem panowały przed wiekiem.

Rozwój komunikacji zbliżył wzajemnie Stany Zjednoczone i Polskę. Dzieła o Polsce w języku angielskim stają się coraz liczniejsze, a obecnie, od czasu powstania odrodzonej Ojczyzny naszej, mnożą się nieledwie z miesiąca na miesiąc.

Ale przed stu laty Polska była dla Ameryki nieledwie owym bajecznym krajem za dziesiątą górą i dziesiątą rzeką. Ogół mieszkańców Ameryki mógł ją znać powierzchownie z tradycyj o bohaterskich bojach Kościuszki i Pułaskiego, z ogłosów gigantycznej epopei napoleońskiej, potem walk powstańczych, ze skromniutkiej wreszcie liczby wydawnictw — przeważnie angielskich — dotyczących Polski pośrednio lub bezpośrednio.

Wśród porewolucyjnego pokolenia Amerykanów najdzielniej imię Polski rozsławił "Tadeusz z Warszawy", pióra Angielki Jane Porter, która jako młoda dziewczyna, przejąwszy się nieszczęściem Polski, stworzyła dzieło pełne naiwnego i poczciwego uwielbienia dla ojczyzny Kościuszki.

"Tadeusz z Warszawy" był jedną z najpopularniejszych powieści w Anglji i Ameryce z początkiem 19-go wieku, a o poczytności jego świadczy niezwykle wielka liczba wydań.

Nad zapomnianą dziś tą książką niejeden młody Amerykanin ronił łzy rozczulenia, na niej uczył się kochać i podziwiać daleki a bratni naród, ale też i na niej ograniczały się zazwyczaj jego wiadomości o Polsce.

Olbrzymia przestrzeń i trudności komunikacji ówczesnej odgradzały oba kraje. Amerykanin w Polsce był rzadkością. Jeżeli prócz poety Joela Barlowa, komisarza Stanów Zjednoczonych przy Bonapartem, zmarłego pod Wilnem w r. 1812, trafił się tam wówczas jaki Jankes, był to najczęściej karjerowicz, szukający zaszczytów i godności, albo też awanturnik w rodzaju nienawidzonego ogólnie generała Karola Lee, oficera armji polskiej za Stanisława Augusta.

Jednym z takich karjerowiczów był Jan Paweł Jones, dzielny oficer morski z wojny rewolucyjnej, który dowództwo nad flotą carską otrzymał, ale zniechęcony intrygami rychło ustąpił i w Warszawie przez pewien czas bawił, odnowiwszy przy tej sposobności znajomość z Kościuszką. Takim także był pułkownik Munroe, syn poczmistrza z Waszyngtonu, adjutant dzikiego wielkiego księcia Konstantego podczas jego pobytu w Warszawie.

Oczywista, że ludzie ci mało wpływali na zbliżenie Polski i Ameryki.

Powstanie listopadowe wznieciło potężnie sympatje polskie w

Ameryce i wkrótce potem pojawił się pierwszy prawdopodobnie opis podróży po Polsce pióra Amerykanina.

Ciekawa to dla nas książka nietylko z tytułu swego pierwszeństwa, ale i ze względu na zmienione warunki, wśród których Amerykanin przed blisko stu laty podróżować musiał po Polsce. Jakim wydał się mu wówczas nasz kraj rodzinny? Jakie wyniósł z niego wrażenia?

Przedewszystkiem kilka szczegółów o autorze książki, którym był Jan Lloyd Stephens, podróżnik amerykański. Stephens urodził się w r. 1805 w Shrewsbury. N. J. Po studjach uniwersyteckich został adwokatem w Nowym Jorku. Ale prawo nie zupełnie w smak było młodemu Stephensowi i w r. 1834, częścią dla poratowania zdrowia, częścią dla zaspokojenia swej cygańskiej żyłki, wyruszył w daleką podróż. Zwiedził zachodnią i południową Europę, północna Afrykę, wschodnią Azję, wreszcie przez Rosję zawitał do Polski. Z podróży swej nadsyłał listy opisowe do "American Monthly Magazine" i te zdobyły taką wziętość, że po powrocie do Nowego Jorku w r. 1836 wydał je ponownie, znacznie rozszerzone. Dzieło zyskało uznanie nietylko w Ameryce, ale i w Anglji. W r. 1839 prezydent Van Buren wysłał go w misji dyplomatycznej do środkowej Ameryki. Misja wprawdzie nie powiodła się z przyczyn od Stephensa niezależnych, ale popchnęła go do badań miejscowych zabytków historycznych, zwłaszcza w Jukatanie. Stephens był pierwszym, który je dokładnie opisał. Był potem jednym z organizatorów pierwszej transatlantyckiej linji parowej, a w r. 1849 został członkiem kompanji, która podjęła się budowy kolei żelaznej przez przesmyk panamski. Kolej ta, łącząca dwie części zachodniej półkuli, powstała pod osobistem jego kierownictwem. Trudy pracy w niezdrowym klimacie spowodowały przedwczesną jego śmierć w r. 1852. Na najwyższym szczycie górskim, wznoszącym się nad koleją, stoi do dziś pomnik przedsiębiorczego Amerykanina.

Jego książka o Polsce nosi tytuł "Wypadki w podróży po Grecji, Turcji, Rosji i Polsce" (Incidents of Travel in Greece , Turkey, Russia and Poland). Pierwsze jej wydanie pojawiło się w r. 1838. Pięć wydań w ciągu tegoż roku, nie licząc następnych, których było jeszcze kilka, dosadnie dowodzą z jaką ciekawością rozczytywała się w niej publiczność amerykańska.

Do popularności tej przyczyniły się głównie zajmujący styl opowiadania i świeżość tematu. Stephens sam w przedmowie swej zaznacza, że "droga od morza Czarnego do Bałtyku, przez wnętrze Rosji i z Petersburga przez wnętrze Polski do Warszawy i Krakowa była stosunkowo bardzo mało znana jego rodakom".

Z jakiemż uczuciem przybywał ten gość do Polski?

Stanowczo z życzliwem. Poznać to można już z wrażenia, jakie na nim wywarł tron królów polskich, oglądany jako łup wojenny na zamku białych carów w moskiewskim Kremlinie:

"Przechodząc mimo koron obładowanych klejnotami, baldachimów i tronów, zdobnych w aksamit i złoto, zatrzymałem się przed tronem nieszczęsnej Polski! Widziałem wielkie miasta opustoszałe i w ruinach, wspaniałe świątynie zagrzebane w piaskach pustyni afrykańskiej, i okolice, niegdyś kwitnące urodzajnością, teraz zaś nagie i martwe; żaden jednak pomnik upadłej wielkości nie wzruszył mnie tyle co ten. Był on pokryty błękitnym aksamitem i wysadzany złotemi gwiazdami. Niegdyś zasiadali na nim Kazimierz, Sobieski i Stanisław August. Dzielni mężowie gromadzili się koło niego i przysięgali bronić go i umierali dochowując swej przysięgi. Śluby ich zapisane są w niebie, ciała ich spoczywają w krwawych grobach. Dzisiaj Polska jest wymazana z listy narodów a jej tron, niesplamiony hańbą, świetny, jak gwiazdy, które błyszczą na nim, pokazywany jest jako łup rosyjski. Najsilniejszy mąż nie potrzebowałby się wstydzić łzy nad nim uronionej".

A więc z serdeczną życzliwością wjeżdżał do Polski Stephens drogą z Petersburga przez Litwę w lecie 1834 roku. Towarzyszył mu Francuz, urodzony w Belgji a wychowany w Polsce i spolszczony, z którym zapoznał się przypadkiem w Petersburgu. Ze znajomości tej Amerykanin skorzystał dla ułatwienia i uprzyjemnienia sobie drogi. O kolejach żelaznych, rzecz jasna, jeszcze wówczas nie było mowy, więc podróż odbywano karetą pocztową, powozem, lub furką chłopską.

Pierwszą rzeczą, która Stephensa uderzyła przy wjeździe do Polski byli żydzi o "ostrych rysach, długich brodach i powłóczystych szatach". O nich pisze te bardzo prawdziwe słowa:

"Wieki przeminęły, rewolucje po rewolucjach wstrząsały globem, coraz to nowe myśli niepokoiły ludzkość, ale żyd polski oparł się wszelkim zmianom. Jest on taki sam jakim uczyniły go ciemne przesądy średnich wieków, taki sam w swym zewnętrznym wyglądzie i taki sam w sposobie myślenia, jaki schronił się do Polski przed wiekami".

I opisuje Stephens pokrótce historję żydów, ich prześladowania w innych krajach europejskich i szlachetną rolę Polski, która stała się schroniskiem dla nieszczęśliwych.

Pomimo zajęcia, jakie wzbudzały w nim historja żydów i ich położenie w Polsce, Stephens z konieczności trzymał się od nich zdala. "Zupełne poniżenie spaczyło ich umysły" — pisze o nich dalej —; "zepchnięci do niskich i podłych zajęć, myślami i uczuciami nie nie wznoszą się ponad nie i, pogardzani, stali się pogardliwymi wobec drugich. Z żydem polskim zapoznałem się głównie w roli karczmarza. Karczma jest to zwykle nędzna buda, łącząca się z dużą szopą, służącą za stajnię i wozownię. Wchodzi się do niej przez niskie podsienie. Podłoga jest z ubitej ziemi. Całe jej umeblowanie stanowi długi stół i w jednym rogu garść słomy, lub czasem kilka tapczanów, nakrytych słomą. Obok izby jest nora zapełniona brudnemi betami, sta-

remi kobietami i dziećmi niedostatecznie okrytemi a tak niechlujnemi, że nigdy — pomimo największego zmęczenia — nie poważyłem się wejść między nich dla spoczynku."

W Mińsku zaszedł znowu drobny epizod, świadczący o życzliwości Stephensa dla Polski: "Podczas gdy mój towarzysz umawiał się o konie pocztowe i obiad, wyszedłem na miasto sam — to znaczy z około tuzinem Izraelitów, postępujących za mną krok w krok. Jeden z nich zwrócił moją uwagę srebrnym pieniądzem, który mi wsunął przed nos. Nie był to antyk, ale w moich oczach miał większą wartość, niż gdyby został wykopany z ruin zagrzebanego miasta i miał na sobie obraz Juljusza Cezara. Po wybuchu ostatniej rewolucji jednym z pierwszych czynów rządu polskiego było wybicie narodowej monety, na której były herby dawnego królestwa polskiego, biały orzeł i pogoń litewska, z napisem dokoła brzegów: "Boże zbaw Polskę". Kiedy powstanie zostało zduszone, celem zniszczenia w umysłach Polaków wszelkich wspomnień krótkiej ale szczytnej chwili wolności, moneta ta została odwołana i zniszczona a na jej miejsce Rosjanie wybili nową, z małym orłem polskim, dla poniżenia umieszczonym poniżej skrzydeł dwugłowego orła Rosji. Moneta, którą mi żyd ofiarował do kupna, była jedną z emisji powstańczej i bardzo rzadką. Kupiłem ją za tyle, ile żyd żądał i schowałem jako pamiątkę po dzielnym i niewolnym narodzie..."

"Nie będę nużył czytelnika szczegółami naszej podróży przez ten posępny i nieciekawy kraj" — pisze dalej nasz podróżnik o północno-wschodnich kresach dawnej Rzeczypospolitej. "Jechaliśmy ciągle, zatrzymując się tylko dla zmiany koni. Nigdy nie stawaliśmy na nocleg, gdyż rzadko trafiało się przy drodze jakieś lepsze schronisko niż karczma żydowska, a na naszym wozie mogliśmy stanowczo lepiej wypocząć".

Wśród gwałtownej ulewy Stephens przejechał przez Bug i znalazł się na terytorjum Kongresówki. W Brześciu Litewskim miał przyjemność zapoznać się z rewizją rosyjską. Przeszukano go od stóp do głów, przetrząśnięto mu tłumoki, a żandarm z listą zakazanych artykułów w ręku sprawdzał ich zawartość. "Szczęściem dla mnie" — pisze Stephens — "rząd rosyjski jeszcze nie zabronił podróżnym w Polsce nosić pantalonów i koszuli, chociaż zakazywał już żałobnych szat. Ale mój towarzysz poniósł wielkie straty". Ograbiono go do szczętu z rozmaitych cacek i drobiazgów, które zakupił w Petersburgu i wiózł jako gościniec do domu. Pocieszył się dopiero, gdy w drodze zaczął ze Stephensem rozprawiać na temat piękności Polek tak przekonywująco, że mu Amerykanin musiał przyznać słuszność:

"Od wieków śmiertelna nienawiść istnieje między Rosjanami a Polakami i Rosjanie obecnie panują nad Polakami z najbezwzględniejszą bezczelnością i tyranią. Ale piękność dzierży między nimi

najwyższą władzę. U stóp kobiet polskich klęczą zwycięzcy ich ojców, mężów i braci. Pierwszy zajazd pocztowy, w którym zatrzymaliśmy się, potwierdził wszystko, co mój towarzysz powiedział, gdyż córka poczmistrza była niezwykle piękna, o oczach czarnych i żywych. Łagodny jej wpływ do reszty uspokoił zły humor mojego przyjaciela, gdyż ze współczuciem ubolewała nad jego nieszczęściem, szczególnie gdy usłyszała, że chodziło tu o grzebienie, pierścionki, pantofle i świecidełka, przeznaczone dla sióstr i fraucymeru domowego".

Piękność Polek oczarowała i Stephensa, nie na tyle jednak, by nie zauważył z odrazą sceny tak powszechnej w Polsce — ekonoma z kijem w ręku, pilnującego kobiet, pracujących "na pańskiem".

"Zaledwie pożegnaliśmy się z córką poczmistrza spostrzegłem widok najhaniebniejszy, jaki kiedykolwiek widziałem w Europie, a nawet w barbarzyńskich krajach wschodu. Czterdzieści lub pięćdziesiąt kobiet pracowało w polu a wysoki, porządnie ubrany mężczyzna z fajką w ustach i długim kijem w ręku przechadzał się między niemi jako dozorca. W naszym kraju najpospolitszy robotnik oburzyłby się na samą myśl, by jego żona lub córka stanęły do pracy w otwartem polu. Widziałem to jednak i w ugrzecznionej Francji i w pięknych Włoszech; nigdzie jednak nie wyglądało to tak poniżająco jak tu i wolałbym był to widzieć raczej gdziekolwiek indziej, niż w rycerskiej Polsce".

Drogi w Polsce Stephens znalazł o wiele lepsze niż w Rosji. Od Brześcia do Warszawy wiódł bity gościniec, gładki i równy jak stół; zajazdy pocztowe były wygodniejsze, chociaż kosztowniejsze, a poczmistrze grzeczniejsi niż rosyjscy.

"Jechaliśmy przez te bogate okolice rolnicze, dzięki którym Polska od wieków słynęła jako spichlerz Europy; a chociaż kraj był zupełnie płaski i niemalowniczy, ale ziemia była doskonała i w tym czasie brzemienna bogatym plonem. Spotykaliśmy ciągle ślady zniszczenia po niedawnem powstaniu. Cała ta droga była polem walki, po którem Polacy wyparli Rosjan zagranicę i następnie sami cofali się pod Warszawę; raz po raz lała się na niej rosyjska i polska krew, płonęły wzdłuż niej domy i wsie, a zczerniałe ich ruiny sterczały jeszcze ze ziemi, podniecając w zwyciężonym, ale niepokonanym Polaku niegasnącą nienawiść do Rosjan.

"Na tej drodze Dybicz na czele 80.000 ludzi posuwał się ku Warszawie. Jego prawe i lewe skrzydło miały połączyć się z nim w Siedlcach, jednem z większych miast, przez które przejeżdżaliśmy. Zmieniliśmy konie trzykrotnie i jechaliśmy przez całą noc bez zatrzymywania się. Rano mój towarzysz wskazał mi stary dąb, pod którym jeden ze sławnych oficerów, prowadzący czwarty pułk polski przeciw carskiej gwardji, z pogardą śmierci wydał rozkaz odrzucenia prochu i uderzenia z bagnetem w ręku na nieprzyjaciela. W innem miejscu pięciuset szlachty, ubrani w czarne fraki, meszty i jedwabne pończochy i uzbrojeni tylko w małe szpady, wybrawszy się do walki

z Rosjanami jakby na jaką swywolę lub bal, rzucili się na oddział gwardyjski i po najrozpaczliwszej walce zginęli co do jednego. Dalej nieco, opodal drogi, na granicy pobojowiska Grochowa była wielka mogiła, pokryta czarnymi krzyżami, sterczącymi nad grobami Polaków, którzy tam polegli. Około godziny jedenastej zbliżyliśmy się do brzegów Wisły. Przejechaliśmy przez przedmieście Praga, ostatnie pole walki Kościuszki (?), gdzie krwawy Suworow wyrżnął z zimną krwią trzydzieści tysięcy Polaków. Na przeciwnym brzegu rzeki leży Warszawa, bohaterska, ale upadła stolica Polski, miasto dzielnych mężczyzn i pięknych kobiet, miasto Stanisława Leszczyńskiego, Sobieskiego i Kościuszki i — nie będę się tego zapierał — posiadające w moich oczach wiele czaru romantycznego jako miasto bohatera mej młodości, "Tadeusza z Warszawy". Po prawej stronie jest zamek dawnych królów polskich, obecnie zajęty przez rosyjskiego gubernatora. Nad murami jego powiewała flaga rosyjska. Przejechaliśmy przez most i wjechaliśmy do miasta. Rozbrzmiewała właśnie muzyka wojskowa i rosyjscy żołnierze i kozacy maszerowali przez ulice. Zatrzymaliśmy się, aby ich przepuścić. Przechodzili jakby władcy zwyciężonego miasta, z groźnemi minami, a mieszkańcy przypatrywali się im w posępnem milczeniu. Zajechaliśmy do hotelu Lipskiego, gdzie wykąpałem się i przywołałem doktora".

Pobyt swój w Warszawie zaczął Stephens od choroby. Towarzysz jego dla wygód przeniósł go do swego pokoju, a "ponieważ miał wielu znajomych w Warszawie, którzy schodzili się gromadnie, by go zobaczyć, musiał im wszystkim opowiadać historję Amerykanina, leżącego w łóżku w kącie izby. Przez cały następny dzień leżałem sam w pokoju, gapiąc się na sufit i licząc pęknięcia w ścianach. Od napadu złego humoru uratowałem się gniewem i ciśnięciem butów na służącego, który nie mógł zrozumieć moich poleceń. Późnym wieczorem przyjaciel mój powrócił z teatru z trzema czy czterema znajomymi i razem przesiedzieliśmy całą noc, ja zażywając lekarstwa, oni paląc fajki. Byli z nich doskonali chłopcy..."

Na trzeci dzień Stephens czuł się już znacznie lepiej i w towarzystwie jednego ze swych nocnych znajomych udał się spacerem nad brzeg Wisły, skąd było widać pola Grochowa. Tam na wzgórzu, na którem podczas bitwy stały tłumy mieszkańców Warszawy, z niepokojem śledząc jej przebieg, towarzysz opowiedział mu dzieje walki, jako jeden z jej naocznych świadków:

"Był wówczas chłopcem siedemnastoletnim i ze łzami w oczach prosił o pozwolenie na towarzyszenie bratu. Ale owdowiała matka wymogła na nim obietnicę, że zostanie przy niej. Przez cały dzień oboje stali na tem samem wzgórzu, na którem staliśmy — ona trzymając jego dłoń w swej dłoni i ściskając ją konwulsyjnie, jak gdyby każdy huk działa był wyrokiem śmierci na jej starszego syna. A kiedy potem z pola walki wracali ułani, skoczyła ku nim, gdyż w chwiejącej się postaci oficera poznała swego dzielnego chłopca. Syn

zachwiał się na siodle, oko zaszło mu szkliwem i jeszcze tego wieczora zmarł w jej ramionach".

Żywo, ze szczerem odczuciem świeżej tragedji narodowej opisuje Stephens w tem miejscu dzieje powstania listopadowego i ubolewa głęboko nad obojętnością Europy, która dała upaść "dzielnej, rycerskiej i bohaterskiej Polsce".

"Historje nieszczęść i cierpień wygnańców polskich, jakie docierają do Ameryki, nie są przesadzone" — pisze dalej. "Spotykałem ich tułających się w wielu rozmaitych krajach, ale szczególnie jeden, którego poznałem w Kairze, utkwił mi w pamięci. Był to mężczyzna około 35-letni, ubrany w zniszczony mundur wojskowy, o prawdziwie męskiej i marsowej postawie. W Warszawie pozostawił żonę i dwoje dzieci. W Konstantynopolu wysłał prośbę do cara o pozwolenie na powrót, obiecując nawet nigdy więcej nie podnieść broni przeciw Rosji. Ale odpowiedziano mu, że termin amnestji minął i nieszczęśliwy Polak tułał się po świecie jak błędny rycerz, którego cały majątek stanowiła szabla. Ofiarował swe służby sułtanowi i paszy egipskiemu, zmuszony do tego ostateczną nędzą, gdyż poprostu żebrać musiał o kawałek chleba. Odczułem głęboko niedolę tego wygnańca..."

Autor przechodzi następnie do opisu Warszawy, która wywarła na nim imponujące wrażenie, chociaż przeżywała wówczas najsmutniejszy i najcięższy swój okres i liczyła zaledwie 140,000 mieszkańców.

"Większość domów jest z kamienia lub cegły; są one numerowane jednym ciągiem w całem mieście, a numerem pierwszym jest oznaczony zamek królewski, zajęty przez Paskiewicza. Najwyższy numer wynosi przeszło pięć tysięcy. Kościoły są liczne i wspaniałe; pałace, budynki publiczne i wiele domów wybitniejszych obywateli są to wielkie budowle, bardzo okazałe i zazwyczaj o pięknej architekturze. Jedna wielka ulica przebiega nieregularnie przez całe miasto, którego najgłówniejszemi i najmodniejszemi częściami są ulica Miodowa i Nowy Świat. Jak we wszystkich miastach arystokratycznych, tak i w Warszawie ulice są bardzo źle brukowane i nie mają chodników dla pieszych przechodniów. Rosyjskie dorozki są w powszechnem użyciu. Hotele są liczne, zwykle mieszczące się w starych pałacach, a u wejścia każdego stoi wysoki portjer z pióropuszem na głowie i laską o srebrnej gałce w ręku. Są też dwie główne cukiernie, na podobieństwo francuskich kawiarń, w których wielu Warszawiaków jada śniadanie i spędza ranki na próżniactwie".

Niewiadomo dlaczego Stephens przypisuje Polakom tatarskie pochodzenie i jako zabytek dawnej ich barbarzyńskości uważa "zamiłowanie w wystawności, objawiające się w dużych spinkach u koszul i złotych łańcuchach na kamizelkach".

Wspomniawszy o żydach warszawskich, których "przenikliwe

oczy i długie brody spotykał na każdym kroku", Stephens przechodzi do wrażeń, jakie wywarło na nim społeczeństwo polskie:

"Chłopi są na najniższym szczeblu umysłowego upadku. Szlachta, liczniejsza niż w innych krajach Europy, tworzyła naród polski. Jest ona dzielna, porywcza, szczera, gościnna i wesoła i oddawna zyskała przydomek Francuzów północy.

"Cały handel jest w rękach żydów, a wszystkie rzemiosła są wykonywane przez obcych. Nie znalazłem ani jednego Polaka wśród kupców warszawskich; właścicielami hotelów są cudzoziemcy, przeważnie Niemcy; mój krawiec był Niemcem, mój szewc Francuzem, a zegarmistrz Włochem z Medjolanu. A chociaż ta niechęć do pożytecznej pracy jest z punktu społecznego plamą na narodowym charakterze, jednakowoż zwiększyła moją ciekawość względem "dumnych Polaków". I może to było tylko złudzenie, ale przez cały czas mego pobytu w Warszawie zdawało mi się, że, mimo otwartych sklepów i kawiarń, mimo tłumów cisnących się na ulicach, jakaś chmura smutku ciąży nad miastem. A jeżeli na chwilę straciłem to wrażenie, wnet oddział kozaków, przeciągający z dziką muzyką, lub nawet pojedyńczy oficer rosyjski, jadący we fiakrze i otulony w płaszcz wojskowy, przypominał mi, że stopa zwycięzcy leży na karkach mieszkańców Warszawy. Takie było moje uczucie po długim spacerze letnim po ulicach. Wieczorem poszedłem do teatru, który był dużym budynkiem, szczelnie zapełnionym i wspaniale oświetlonym. Ale myśl o smutku, przenikającym miasto, tak mi ciążyła, że za kilka chwil wyszedłem. Nie rozumiałem ani słowa z treści sztuki; smutna arja, która wzruszyła mnie, mogła być wyrazem nieszczęść bohatera scenicznego i prawdopodobnie byłbym zdziwił jakiegoś smutnie wyglądającego sąsiada, gdybym, wnosząc o przyczynie jego smutku z moich myśli, wyraził mu współczucie z powodu cierpień jego ojczyzny".

Następny dzień był niedzielą. Tłumy, spieszące do kościołów, nasunęły Stephensowi myśli o polskiem życiu religijnem. Jako protestant nie zachwyca się katolicyzmem Polski, ale przyznaje jej tytuł "kraju tolerancji religijnej".

Popołudniowa przechadzka po Ogrodzie Saskim przyniosła mu nowe wrażenia. "Była wówczas godzina spaceru śmietanki towarzyskiej i cała modna Warszawa przechadzała się po ogrodzie. Słyszałem o tej niedzielnej promenadzie i po przejściu głównej ulicy ogrodu, zauważyłem do towarzyszy, że zawiodłem się, gdyż nie spostrzegłem nikogo z wysoko urodzonych i arystokratycznych Polaków. Powiedzieli mi jednak, że Warszawa zmieniła się pod każdym względem i że zmiana ta nigdzie tak dobitnie nie objawia się, jak właśnie w tem ulubionem miejscu przechadzek. Przed powstaniem Ogród Saski był zawsze przepełniony wesołą i świetną arystokracją Warszawy, ale rewolucja rozbiła i rozprószyła rodziny; jedni zginęli lub poszli na wygnanie, drudzy żyli w odosobnieniu, za dumni w swym upadku, by pokazywać się w publicznych miejscach, gdzie sama

obecność rosyjskich zwycięzców była im obelgą. Rozumiałem dobrze to uczucie, które nakazywało im trzymać się w cieniu, gdyż wśród przechadzającego się tłumu najbardziej rzucali się w oczy oficerowie rosyjscy, dumni i świadomi swej roli panów, pobrzękujący szablami i migający piórami u czapek. Z bolesnem zaciekawieniem chodziłem po tem niegdyś ulubionem miejscu wytchnienia arystokratycznej Warszawy. Towarzysze moi spotęgowali jeszcze to smutne wrażenie przez przyciszoną rozmowę, prowadzoną prawie szeptem. Wyszliśmy przez ustronną ścieżkę, gdzie spotkaliśmy starego szlachcica, nie mogącego widocznie oderwać się od miejsca, uświęconego wspomnieniami całego życia. Zażywał swej codziennej przechadzki zdala od tłumu, przeżywając ostatki swych dni wśród gorzkich myśli o upadku narodu i ojczyzny".

Tegoż dnia Stephens zwiedził Belweder i Łazienki, oraz Wilanów, siedzibę Jana III-go. Zachwyciły go Aleje Ujazdowskie, podówczas jedna z najpiękniejszych, zdaniem jego, ulic w Europie. Nazajutrz udał się na zwiedzenie Woli, pamiętnej elekcjami królów i opisując sposób ich wyboru zaznacza, iż "elekcje te przedstawiały nieraz gorszy widok, niż wszystkie zła amerykańskiego powszechnego prawa wyborczego".

Trzeba było jednak myśleć o dalszej drodze. "Miałem już dosyć jazdy pocztą, szukałem więc za lepszą sposobnością przedostania się do Krakowa. Jakiś żyd zgłosił się do mnie i z nim poszedłem oglądnać olbrzymi wóz bez dna i wierzchu, podobny do naszych wozów, używanych do zwózki siana; wóz żyda wypchany był słomą dla ochrony pasażerów i pakunków od wypadnięcia. Żyd pokazał mi dwuch dosyć podejrzanie wyglądających jegomościów, którzy mieli być moimi towarzyszami podróży i oświadczył, że we trójkę będziemy mogli bardzo wygodnie leżeć na spodzie pojazdu. Wygląd dwujki nie zwiększył zalet woza w moich oczach. Mimo to gdybym znał język polski i był dosyć silny do tego rodzaju podróży, byłbym może skorzystał z tej okazji, gdyż dałaby mi sposobność lepszego poznania charakteru mieszkańców. Wróciwszy jednak do hotelu, zastałem adres pewnego oficera polskiego z prośbą, bym go odwiedził. Poszedłem i spotkałem mężczyznę lat około 40, średniego wzrostu, bladego i wychudłego, rannego i kalekę, ubranego w polski mundur powstańczy. Pierwszy to raz widziałem ten mundur. Po powstaniu był on ostro zakazany, ale wobec zupełnego ujarzmienia kraju, rząd patrzył w tym wypadku przez palce. Jednakowoż mundur na tym kalece wyglądał prawie na żart; gdyby bowiem Polska zerwała znowu swe kajdany i podano mu do rąk obnażoną szablę, nie mógłby już ani jednego ciosu zadać w jej obronie.

"Na moje nieszczęście, albo raczej na moje szczęście, nie umiał on po francusku i wkrótce zobaczyłem myślącą, smutną i bardzo interesującą kobietę, przybraną w żałobę po dwuch dzielnych braciach, którzy zginęli w bitwie pod murami Warszawy".

Sprawa, dla której Stephens został wezwany do domu Polaka, była zupełnie prozaiczna. Kaleka-oficer powrócił właśnie z żoną z Krakowa w powozie, wynajętym na granicy. Z życzliwości dla wieśniaka, których ich przywiózł, chciał Amerykaninowi polecić go. Stephens z radością zgodził się na propozycję. Życzliwy gospodarz dał mu listy polecające na drogę, a pani przygotowała spis słów polskich, najpotrzebniejszych w podróży, którą Stephens miał odtąd odbywać sam.

Potem wszedł do pokoju starzec, którego pani przedstawiła jako swego ojca. Miłość, z jaką ta trójca odnosiła się do siebie nawzajem, i smutek przebijający z ich twarzy i słów, wzruszyły Stephensa.

"Chciałem im powiedzieć jak głęboko współczuję w nieszczęściach ich ojczyzny, ale smutek ich zdawał mi się za świętym" — pisze. — "Wiedziałem, że uderzyłbym w uczuciową strunę, gdybym był powiedział, że jestem Amerykaninem. Nie chciałem jednak otwierać krwawiących jeszcze ran. Dopiero na odchodnem oświadczyłem, że nie zapomnę ich grzeczności za powrotem do swej ojczyzny. Gdy zaś wspomniałem, że jestem Amerykaninem, pani zaraz zapytała mnie o los nieszczęsnych rodaków, którzy zostali jako wygnańcy wyrzuceni na nasze wybrzeża. Z dumą oświadczyłem, że znaleźli wśród naszych obywateli tę sympatję, na jaką zasługują dzielni w nieszczęściu i że nasz rząd postanowił obdarzyć ziemią wygnanych rodaków Kościuszki. Pani pytała szczegółowo czem się zajmują, mówiąc, że większość z nich posiada tylko wykształcenie wojskowe, nieużyteczne w Ameryce. Nie wiedziałem wówczas jak prorocze były jej słowa, gdyż czytałem później w gazecie, że część tych nieszczęsnych wygnańców, niezadowolona z warunków życia, próbowała przejść przez Góry Skaliste i została wyrżnięta co do nogi przez oddział Indjan. Przygnieceni własnemi nieszczęściami, nie słyszeli oni nic o losie wygnańców i zauważyłem, że jakiś błysk zadowolenia zjawił się w smutnych twarzach moich gospodarzy, gdy dowiedzieli się, że bracia ich znaleźli przyjaciół w Ameryce. A na ostatku powiedzieli mi, abym mówił Polakom gdziekolwiek ich spotkam, że o powrocie do ojczyzny niechaj nawet nie marzą.

"Z żalem pożegnałem ich. Udałem się do hotelu, gdzie powiedziałem swemu przyjacielowi o rozmowie z majorem i jego żoną. Znał ich ze słyszenia. Postacie ich tem więcej zaciekawiły mnie, gdy dowiedziałem się od niego, że ojciec i syn jedni z pierwszych chwycili za broń podczas powstania i taką cieszyli się miłością mieszkańców Warszawy, że rząd rosyjski nie ważył się posuwać względem nich do ostateczności".

Po wielu trudnościach paszportowych i pożegnaniu z poznanymi w Warszawie przyjaciółmi Stephens gotów był do dalszej drogi. "Woźnicą i przewodnikiem moim był polski chłop. Nim zobaczyłem go, liczyłem na to, że zwykły rozum ludzki zdoła, do pewnego stopnia,

służyć jako środek porozumienia z nim; przekonałem się jednak, że miałem zanadto wygórowane pojęcia o boskości ludzkiej natury. Gdy wróciłem do hotelu, zastałem go śpiącego na bruku. Jeden ze służących kopnięciem rozbudził go i wyjaśnił mu, że odtąd ja będę jego panem na czas podróży. Podbiegł zaraz ku mnie, ucałował mi rękę i zanim spostrzegłem się upadł na kolana i powtórzył to samo pozdrowienie na moich butach. Amerykanin, może więcej niż kto inny, nie znosi poniżania się człowieka przed bliźnim. Uczucie to było we mnie tak silne, że nim wyjechałem zagranicę nienawidziłem prawie białych, pracujących jako służący. Podróż wyleczyła mnie z tego uczucia; ale kiedy zobaczyłem białego człowieka, wysokiego, silnego i potężnej budowy ciała, klękającego i całującego mi nogi, z trudnością wstrzymałem się, by go nie odtrącić od siebie".

Ujemne to wrażenie musiało zwiększyć się, gdy tłumacz zapewnił Stephensa, że będzie miał w chłopie ślepego niewolnika, byle tylko nie żałował mu wódki.

Po dwudniowej podróży zajechał nasz Amerykanin do Radomia. Jedynym ważniejszym dla niego jej wypadkiem było spotkanie Anglika, właściciela dużej fabryki żelaza, zdążającego za interesami do Warszawy. Była to pierwsza w Polsce dusza, z którą Stephens mógł porozumieć się w rodowitym języku, to też prawie noc całą przepędził na rozmowie z Anglikiem w przydrożnej karczmie.

W Radomiu czekała go nowa męczarnia paszportowa, wobec której przejścia warszawskie były drobnostką. Zaraz na rogatce miejskiej wsiadł żandarm do powozu, odebrał paszport i odeskortował Stephensa do biura policyjnego.

Po długiem oczekiwaniu "wszedłem do wnętrza biura i zastałem tam trzech czy czterech ludzi, którzy nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi. Czekałem znowu chwilę, a widząc swój paszport na stole przed jednym z nich, podszedłem i bez najmniejszej chęci ubliżenia, wziąłem paszport do ręki, by zwrócić nań jego uwagę. W tym samym jednak momencie pisarz wyrwał mi go z ręki i mierząc mnie oczyma hardo i bezczelnie, powiedział coś, o treści czego nie mogłem wątpić z wyrazu jego twarzy; potem zaś trzasnął paszportem o stół. Weszło kilku urzędników, każdy z nich popatrzył na mój paszport i każdy go odłożył znowu, aż wreszcie jakiś mężczyzna, widocznie naczelnik biura, napisał jakąś notatkę i podawszy to żołnierzowi, kazał mi iść za nim".

Żołnierz zaprowadził Stephensa do biura gubernjalnego. Tam po nowem kilkugodzinnem czekaniu "wprowadzono mnie do dużej sali, w której było dwudziestu czy trzydziestu pisarzy i niższych urzędników w mundurach. Skoro tylko wszedłem, powstał ogólny ruch; przywołano na tłumacza jakiegoś młodzieńca, który mówił po francusku, włożono mu mój paszport do ręki" i rozpoczęły się badania.

"Tłumacz zapytał mnie naprzód co robię w Polsce i co mnie tam sprowadziło. Odpowiedziałem, że jedynie ciekawość podróżnika. Zno-

wu zadał mi pytanie, co szczególnie pragnę widzieć w Polsce. Gdybym był mógł odpowiedzieć to, co czułem, byłbym mu odrzekł, że prócz chęci zaspokojenia ciekawości, jaką wzbudzały we mnie jej bohaterskie dzieje, pragnąłem zobaczyć na własne oczy ucisk olbrzymiej stopy na karku ujarzmionego narodu i że spodziewałem się ujrzeć ten właśnie system inkwizycji i szpiegostwa, którego doświadczyłem na sobie. Ale, rzecz jasna, musiałem to zatrzymać w sobie i dałem odpowiedź wymijającą, która widocznie nie zadowoliła ich".

Potem pytanie za pytaniem spadało na Stephensa, którego tymczasem otoczyła cała zgraja urzędników i złośliwemi spojrzeniami i minami wyprowadzała go coraz więcej z równowagi i spokoju.

Gdy tłumacz zaczął pytać o wiek, wysokość, kolor oczu itp., odrazu przejęła go myśl, że odpowiedzi mogą nie być zupełnie zgodne z paszportem i rzeczywistością. "Czułem mimowoli, że przy skrupulatnem badaniu nos mój może okazać się dłuższym, oczy ciemniejsze, albo w czem innem mogę różnić się od opisu". Zmieszanie Stephensa rozzuchwalało jego prześladowców, ale też wzrastająca ich bezczelność przywracała mu powoli zimną krew.

"Zauważyłem zaraz z początku, że większość tych ludzi byli to Polacy, którzy sprzedali się Rosji za lichy urząd i pensję, — zdrajcy w swych sercach i uczynkach, odstępcy od wszelkich uczciwych uczuć, tchnący większą nienawiścią ku swej uciemiężonej ojczyźnie, niż sami Rosjanie. Powiedziałem tłumaczowi tak spokojnie, jak tylko można było w tym wypadku, aby sam przyjął do swej wiadomości i podzielił się tem ze swymi kolegami, że pamiętać będę tę mieścinę dopóki żyję; że podróżowałem z Anglji przez Francję, Włochy, Grecję, Turcję i Rosję i nigdzie nie spotkałem się z taką złośliwą gburowatością i obelżywością, jakich od nich doznałem; że nie spodziewałem się, by w jakimkolwiek kraju europejskim dwudziestu urzędników mogło wyśmiewać się i drwić z zakłopotania cudzoziemca i ani jeden z pomiędzy nich nie wystąpił ku jego pomocy; że głęboko ubolewam, iż spotkało to mnie w Polsce; że jestem przekonany, iż między nimi niema ani jednego prawdziwego Polaka, gdyż sama narodowość moja amerykańska ocaliłaby mnie od obelg.

"Tłumacz zdawał się być nieco zawstydzony, ale z mściwych twarzy reszty widziałem, że jeszcze więcej podrażniłem ich. Badanie zostało przerwane i kazano mi przyjść o pół do szóstej, gdy będzie policmajster. Tymczasem w mieście powstał niepokój i — jak się potem dowiedziałem — rozeszła się już pogłoska, iż pewien Amerykanin został aresztowany jako podejrzany o podróżowanie pod fałszywym paszportem. Powóz mój stał przez cały dzień na rynku. Mieszkańcy widzieli mnie wędrującego od biura do biura z żołnierzem następującym mi na pięty, a mój biedny woźnica chodził po ulicach rozpowiadając każdemu o mnie, a zwłaszcza o swej obawie o te dziesięć rubli, które mu obiecałem. Gdziekolwiek szedłem, ludzie oglądali się za mną. Udałem się do cukierni, a dama cukierniana, pełna uśmie-

chów i słów dla drugich, na mnie nawet nie spojrzała. Poszedłem do drugiej cukierni, gdzie zastałem kilku mężczyzn poważnie rozmawiających. Ucichli zaraz, gdy mnie spostrzegli. Drobnostka wywołała zamieszanie w tej mieścinie. Podróżny był rzadkiem w niej zjawiskiem; rząd rosyjski stawiał wszelkiego rodzaju przeszkody i drogę najeżył takiemi trudnościami, że była prawie nie do przebycia. Francuzi, albo obywatele wolnego kraju, jak Ameryka, byli zawsze podejrzani, że są politycznymi emisarjuszami, podburzającymi Polaków do rewolucji. Pod despotycznym rządem rosyjskim podejrzenie zdawało się równać winie. Polacy niejednokrotnie byli świadkami surowych kar za drobne przestępstwa i prawdopodobnie w oczach połowy Radomia byłem już straconym człowiekiem. Udałem się na rynek i siadłem w swym powozie. Mój Polak usiadł na koźle patrząc na mnie. Zmierzył mnie oczyma od stóp do głów i zapewne, jak inni, uważał mnie już za przepadłą ofiarę. Prawdopodobnie doznał odemnie lepszego obejścia, niż od kogo innego, chociaż za każdą grzeczność z mej strony prześladował mnie stale klękaniem i całowaniem nóg.

"O pół do szóstej byłem znowu u drzwi pałacu. Na schodach spotkałem swego poprzedniego tłumacza. Chciał mnie wyminąć, ale zatrzymałem go i prosiłem, by wrócił ze mną. Zapytałem go czy policmajster mówi po francusku i przedstawiając mu, że gdyby się znalazł w obcym kraju, pragnąłby zapewne sam doznać grzeczności, błagałem, aby wrócił ze mną i pośredniczył mi jako tłumacz. Ale on wyrwał mi się brutalnie i uciekł po schodach. Żołnierz otworzył drzwi i wprowadził mnie do tejsamej sali. Wszyscy pisarze siedzieli przy biurkach zajęci pisaniem. Wszyscy zwrócili ku mnie głowy, gdy wszedłem, ale żaden z nich nie poprosił mnie siedzieć, ani nie zdobył się na najdrobniejszą grzeczność. Czekałem chwilę, ale oni zdawali się pilnie udawać, że mnie nie widzą. Czułem oburzenie na ich prostactwo. Nie sądziłem, że mogą mi grozić jakie cięższe następstwa poza, może, zatrzymaniem aż do czasu wyjaśnienia sprawy przez p. Wilkinsa, naszego ambasadora w Petersburgu, i postanowiłem nie dać się upokorzyć tym sługusom. Ruszyłem więc prosto ku drzwiom policmajstra, gdy jeden z nich, który szczególnie obelżywie zachowywał się podczas czytania paszportu, szorstko zatrzymał mnie i oparłszy się plecyma o drzwi zaczął rękami przed sobą wymachiwać, aby mi nie dać wejść do wnętrza. Na szczęście cofnąłem się na czas nim dotknął się mnie. Krew uderzyła mi do głowy błyskawicznie i dzisiaj nawet uważam to za cud, żem go wtedy nie zbił.

"Niedługo potem otworzyły się drzwi i żołnierz kiwnął na mnie, abym wszedł. Naprzeciw w drugim końcu pokoju siedział za stołem policmajster, złośliwie wyglądający, chudy mężczyzna lat około 50, w mundurze zapiętym aż pod szyję. Obok na stole leżały jego czapka i szabla, a ręce trzymał na moim nieszczęsnym paszporcie. Gdy zbliżyłem się ku niemu wodził ciągle oczyma z paszportu na mnie i ze mnie na paszport; a skoro stanąłem przed nim, odczytał znowu cały

opis mej osoby, po każdem zdaniu patrząc na mnie. Wreszcie potrząsnął głową ze złośliwym uśmiechem niedowierzania i odłożył paszport, jakby zupełnie ze siebie zadowolony. Czułem, że twarz goreje mi z oburzenia i że pod wpływem tego uczucia musiałem chyba stracić podobieństwo do osoby, opisanej w paszporcie. Otworzyłem więc usta, aby powiedzieć, że prostackie obejście się, jakiego doznałem w drugim pokoju, zapewne zmieniło wygląd całej mej twarzy, ale zaraz machnął ręką, abym był cicho; wziąwszy arkusz papieru napisał list czy rozkaz, niezrozumiały dla mnie i dał go żołnierzowi, który udał się z tem do kąta i przybił pieczęć. Policmajster potem złożył paszport, dołączył list i wręczył to znowu żołnierzowi, który znowu odszedł do kąta i przyczepił nową olbrzymią pieczęć lakową, wyglądającą bardzo groźnie i zalatującą Sybirem. Kiedy zaś żołnierz wrócił z opieczętowanym papierem, policmajster wstał i nie patrząc na mnie ręką wskazał mi, bym szedł za żołnierzem. Byłbym chętnie rzucił się na nich, gdyby nie rozwaga. Wszystko kipiało we mnie z oburzenia i gotów byłem do popełnienia jakiego szaleństwa, ale na każdym kroku stał żołnierz. Widziałem niestosowność tego kroku i zgrzytając zębami z udręki i wściekłości, zrobiłem co mi kazano.

"U bramy pałacu gubernatora zastaliśmy wielki tłum, który wiedząc, że o tej porze miałem się stawić, czekał, by zobaczyć co się dalej stanie. Wzdłuż drogi powstał szpaler ludzi, którzy widząc mnie pod strażą żołnierza, powitali mnie złowróżbną ciszą. Droga wypadła nam koło więzienia. Więźniowie ręce przepychali przez kraty i wołali na mnie, jakby obiecując mi miejsce wśród siebie. Na chwilę ogarnęła mnie obawa. W zupełnej nieświadomości co te wszystkie badania znaczą, przypominałem sobie rozmaite opowiadania, jakie słyszałem o tyranji rosyjskiej i w myśli zamajaczył mi Sybir".

Zbliżył się jednak kres udręki Stephensa. Żołnierz zaprowadził go do generał-gubernatora, który przyjął Amerykanina z grzecznością, rażącą wobec niedawno doznanych upokorzeń. Kiedy zaś Stephens poskarżył się na prostactwo urzędników, adjutant gubernatora, znający język francuski, wyjaśnił mu, że wszystkiemu winni Polacy, gdyż oni zapełniają niższe urzędy, a wobec niespokojnego stanu umysłów w gubernjach nadwiślańskich rząd musi być bardzo ostrożny względem podróżujących obcokrajowców. Grzeczne przyjęcie i rozkaz wydania wizy tak radośnie usposobiły Stephensa, że czemprędzej uciekł od gubernatora, nie dowiedziawszy się już nigdy w życiu dlaczego go rząd carski tyle naprześladował w Radomiu.

Była już godzinia 9-ta wieczór i Stephens, wróciwszy do biura policyjnego po wizę, zastał je zamknięte. W bramie kręcili się pisarze, którzy mu tak dotkliwie dokuczyli z rana. Gdy im żołnierz, towarzyszący Stephensowi, powiedział o wyniku wizyty u gubernatora, odrazu zmienili się i, o ile przedtem byli brutalni, o tyle teraz stali się usłużni. "Jeden z nich zaprowadził mnie do pobliskiego mieszkania, gdzie zastałem starszą kobietę i dwie jej córki, obie mówiące po fran-

cusku. Przeprosiłem za swe najście; powiedziałem, że gorąco pragnę opuścić Radom jeszcze tej nocy i prosiłem, by mi znalazły kogo, ktoby mój paszport z rozkazem gubernatora zaniósł do policmajstra. Byłem już zdenerwowany i nie uważałem się za bezpiecznego póki nie opuszczę tego miasteczka. Siostry przywoł[illegible] [illegible]ego brata, który pośpiesznie ruszył z poleceniem, a ja usiadłem, aby czekać na jego powrót. Kobiety polskie muszą być chyba czarodziejkami. Byłem poprostu wściekły na cały świat. Dręczono mnie przez cały dzień, tak że byłem pełen złości, a nie miałem sposobności wyładowania jej. Czułem się tak, że z przyjemnością rzuciłbym się na kogo. Ale w kilku minutach cała moja gorycz i złość rozpłynęły się i nim wypiliśmy podaną herbatę, zapomniałem już, że wleczono mnie przez cały dzień przez drogę krzyżową. Przebaczyłem nawet gburom, którzy wystawili mnie na pośmiewisko, gdyż widziałem w nich teraz tylko rodaków kobiet, które okazały mi tyle grzeczności. Nawet i do nich odniosłem się z początku z rozjątrzeniem, które nie odstępywało mnie przez cały dzień. Ale gdy odpowiedziały mi spokojnie i smutno, że wszystkie moje kłopoty były rzeczywiście przykre, ale małe, bardzo małe w porównaniu z tem, co wycierpieli oni i ich blizcy, zawstydziłem się swej zgryźliwości. Kilka słów przekonało mnie, że byli to ci sami Polacy, jacy żyli w mej wyobraźni i w mem sercu. Owdowiała matka została z sierotami, ojciec zginął w bitwie, dzielny brat tułał się na wygnaniu we Francji. Zdaje mi się, że to wspomnienie kobiet polskich usposabia mnie przychylnie do wszelkiej rewolucji. Nie spotkałem Polki, która nie byłaby w duchu rewolucjonistką i póki hasła powstańcze będą płynęły jak muzyka z ich pięknych ust, póty Rosjanie nie zaznają w Polsce spokoju.

"Po przeszło godzinie wrócił brat ku wielkiemu mojemu żalowi, gdyż po swych zapewnieniach o pośpiechu nie wypadało mi zostawać dłużej. Byłem pierwszym Amerykaninem, którego Polki te oglądały. A chociaż może nie zachowały mnie w pamięci z innego względu, cieszę się, że wyleczyłem je z jednego przesądu przeciw mej ojczyźnie, sądziły bowiem, że wszyscy Amerykanie są czarni".

Oczarowany słodyczą Polek, podniesiony na duchu, późno już w nocy wyszedł Stephens na miasto, aby odszukać swego woźnicę. Nie było mu jednak pisane opuścić Radom w tym miłym nastroju. Ani powoza, ani woźnicy nie było na rynku. Miasto spało już, ulice leżały puste i ciemne. Błądząc w mrokach nocy Stephens skierował się instynktowo ku drodze, którą miał wyjechać do Krakowa, i, po długiem poszukiwaniu, w podwórzu zajazdu znalazł swój powóz z zaprzężonymi jakby do drogi końmi i woźnicę, okładającego je z zapamiętaniem i wykrzykującego po polsku.

Rozegrała się scena komiczna. Woźnica, zobaczywszy Amerykanina, porzucił konie i poskoczył ku niemu, wymachując zamaszyście rękami i jeszcze zamaszyściej wywijając językiem. Za chwilę chłop wrócił do koni, czemprędzej wyrwał im z pod pysków worek ze sia-

nem, poprawił uprząż i znów z worem w ręku wrócił do Stephensa, nie przestając przytem krzyczeć i gestykulować jak opętany.

"Byłem w rozpaczy! Cóż teraz znowu zawiniłem? Nawet mój biedny chłop zwracał się przeciw mnie. Dziś rano jeszcze całował mi nogi, a teraz chce mi workiem ze sianem głowę rozwalić! Zbudzona hałasem staruszka, właścicielka zajazdu, wyszła z latarnią na podwórze, prowadząc ze sobą swą córkę, piękną dziewczynkę lat około dwunastu. Popatrzyłem na nie zrozpaczony, nie spodziewając się nawet, by mi mogły wiele pomódz. Mój chłop skakał teraz to do nich, to do mnie, to do koni, wywijając ciągle workiem i coraz więcej zapalając się gniewem. Patrzyłem na to wszystko w przerażeniu, aż tu dziewczynka podeszła ku mnie i dygnąwszy zapytała w najpiękniejszym francuskim języku, jaki kiedykolwiek słyszałem:

"Que voulez vous, monsieur?" (Czego pan sobie życzy?)

"Mógłbym był porwać ją w objęcia i ucałować z radości! Jak każdy mężczyzna, ucierpiałem dużo od płci pięknej, ale uważam wiele dawnych rachunków za spłacone przez pomoc, dwukrotnie doznaną w tym dniu ze strony Polek".

Przy pomocy dziewczynki Stephens dowiedział się wreszcie co za mucha siadła na nos rozkrzyczanego i rozmachanego Maćka. Wszystko to było z troskliwości o los przygodnego pana, ale więcej jeszcze z obawy utraty obiecanych dziesięciu rubli. Sprawa została załagodzona i wkrótce udobruchany Maciek wiózł dalej Amerykanina, ściganego wspomnieniami pełnego wydarzeń dnia.

Po drodze do Miechowa w jednym z zajazdów Stephens zawarł krótką znajomość z jakimś majętnym obywatelem i jego dorosłym synem, którzy czwórką pięknych koni z krakusem na koźle wracali z podróży do swych posiadłości. Stary pan był nadzwyczaj grzeczny i gościnny, a z synem Stephens był wkrótce na jak najlepszej stopie. Wzajemna rozmowa szła jednak jak po grudzie. Stephens prócz angielskiego znał język włoski i francuski, a z nowych znajomych syn znał tylko francuski piąte przez dziesiąte. "Raz, nie mogąc znaleźć odpowiedniego wyrazu syn zagadnął mnie: Parlatis latinum? (Czy mówisz pan po łacinie?) Myślałem zrazu, że to jakiś djalekt krajowy i trudno mi było wierzyć, że chciał naprawdę rozmawiać językiem łacińskim. Tonący chwyta się brzytwy, więc też przez trzy godziny nieustannie gawędziliśmy złą łaciną i jeszcze gorszą francuzczyzną.

"Jak każdy Polak, którego spotkałem, prócz urzędników rosyjskich ,syn z głębokości serca nienawidził Moskali. Był żołnierzem w powstaniu i leżał w szpitalu okryty ranami, kiedy Warszawa upadła, a wraz z nią i powstanie. Pokazałem mu pieniądz, który przypadkiem dostał się w moje ręce. Przy rozstaniu powiedział mi, że mu wstyd, ale nie może powstrzymać się od prośby o tę monetę. Dla mnie była ona jedynie osobliwością, dla niego pamiątką świetnej, choć krótkotrwałej niepodległości ojczyzny. Żal mi było rozstawać się z nią i wolałbym był dać mu raczej wszystkie guziki od ubrania — ale ze

względu na jego patrjotyczne uczucie nie mogłem mu odmówić".

Po przejeździe bez wypadku przez Kielce Stephens dotarł do Miechowa. "Musiałem tu postarać się o przejazd do Krakowa. Rozstałem się już z moim biednym woźnicą, który żegnał mnie ze wzruszeniem i wdzięcznością za łagodne postępowanie z nim podczas drogi i błahy podarek wręczony na pożegnanie. Stałem właśnie w drzwiach poczty z walizką w ręku, nie wiedząc co mam ze sobą zrobić. Tłum ludzi zebrał się dokoła mnie. Każdy z nich był gotów do pomocy, ale, niestety, nie umiałem im powiedzieć czego chcę. Jakiś młodzieniec szczególniejszą objawiał chęć dopomożenia mi; przemówił do mnie po rosyjsku, po polsku i po niemiecku. Odpowiedziałem mu po angielsku, po francusku i po włosku wreszcie — i na tem skończyła się chwilowo nasza rozmowa. Chwytając się ostatniej deski ratunku i drząc prawie przed własną śmiałością, zadałem mu pytanie, którego nauczył mnie mój wczorajszy znajomy:

"Parlatis latinum?

"Młodzieniec odpowiedział mi z taką łatwością i potoczystością, że wprowadził mnie w nowy kłopot. Schwyciwszy mnie za ramię zaczął mi gratulować, że zdołałem znaleźć język zrozumiały dla nas obu, potem wychwalał piękne języki starożytne, wreszcie zaofiarował mi swe usługi — a wszystko to mówił z taką biegłością, że musiałem wstrzymać go i prosić, by mówił wolniej o ile chce, bym go rozumiał. Przerwawszy potok wyrazów zwolnił trochę. Wtedy, przy wielkiej jego pomocy, dałem mu do zrozumienia, że potrzebuję woza do Krakowa.

"Venite cum me — (pójdź ze mną), powiedział mój przyjaciel i oprowadzał mnie po mieście tak długo, aż znaleźliśmy wóz.

"Potem powiedziałem mu, że potrzebuję wizy na paszport, by przejechać granicę.

"Venite cum me, znowu powiedział mój przyjaciel i zabrawszy mnie ze sobą postarał się o wizę.

"Potem chciałem iść na obiad. Venite cum me — znowu rzekł mój przyjaciel i zaprowadził mnie do jadłodajni, gdzie razem spożyliśmy obiad. Przy stole mój klasyczny przyjaciel zachowywał się trochę nieklasycznie. W wazie wśród kwasu pływał olbrzymi ogórek. Przyjaciel mój zapytał mnie, czy go chcę, i wziąwszy go w palce zjadł na deser, wypił kwas z wazy, mlasnął językiem, otarł wąsy o obrus i oświadczył: optimum (znakomite). Przez trzy godziny rozmawialiśmy ciągle i tylko po łacinie. Dla niego była to rzecz łatwa, gdyż, jak mówił, językiem tym posługiwał się wyłącznie w szkole. Mnie jednak szło ciężko, ale po mozolnym początku mówiłem już tak, że z pewnością moi dawni nauczyciele byliby ze mnie dumni, gdyby mogli mnie słyszeć. Na pożegnanie ucałował mnie w oba policzki, natarł je z czułością swemi wąsami i, gdy już siedziałem na wozie, rzekł mi jeszcze: Semper me servate in vestra memoria. (Zawsze przechowaj mnie w swej pamięci).

Po nowych kłopotach paszportowych na granicy Galicji i Królestwa Polskiego, zajechał Stephens do Krakowa i stanął w hotelu "pod Białą Różą".

Kraków był wówczas wolnem miastem pod opieką trzech rządów zaborczych, a właściwie potrójnie ujarzmioną mieściną, liczącą trzydzieści tysięcy mieszkańców "razem z żydami". Na ulicach spotkał Stephens to, czego za kordonem widzieć nie mógł — wiarusów w czamarach i konfederatkach, które, jego zdaniem, "szczególnie szczęśliwie odpowiadają wysokiej i szlachetnej postaci dumnego Polaka". Zachwyciły go wiejskie stroje krakowskie.

Na tej ruinie dawnej potęgi Rzeczypospolitej, wśród pamiątek jej sławy, przedumał Stephens niemal całą historję nieszczęśliwego kraju. Zwiedził kościoły, Łobzów, kopiec Kościuszki, katedrę, na każdym kroku wsłuchując się w echa przeszłości.

W podziemiach katedry wawelskiej ze szczególnem wzruszeniem zbliżył się syn wolnej Ameryki do grobu tego, który za wolność jej walczył.

"W podziemiach kościoła" — pisze Stephens — "obok grobu Poniatowskiego, tego polskiego Bayarda, jest grób człowieka, który w moich oczach szlachetnością przewyższył wszystkich królów polskich i całego świata. Grób ten jest z czerwonego marmuru, ozdobiony krakowską czapką z piórem i ma prosty napis: T. Kościuszko. W całym kościele czytałem kunsztowne panegiryki o tych, którzy spali snem wiecznym w grobowcach królewskich i dlatego ten prosty napis zwrócił moją uwagę. Przypomniała mi się biała marmurowa kolumna, wznosząca się wśród wspaniałej okolicy nad Hudsonem (w West Point). Często patrzyłem na nią z pokładu parowca i często stałem u jej stóp, odczytując również majestatyczny w swej prostocie napis: "Kościuszko". Było już nad wieczorem i razem ze mną u grobu była gromadka wieśniaków, dwaj Polacy z dalszych stron Polski, oraz kilku obywateli Krakowa, wśród których były także panie. Ja nie znałem ich języka, oni nie znali mego; urodziliśmy się i żyliśmy oddaleni od siebie o tysiące mil; byliśmy zupełnie sobie obcy myślami i uczuciami, wszystkiemi naszemi nadziejami i widokami na przyszłość, ale u grobu Kościuszki łączył nas wspólny węzeł sympatji. Jedna z pań znała język francuski i przez nią powiedziałem Polakom, że w dalekiej mej ojczyźnie imię ich narodowego bohatera jest otaczane czcią, a chłopcy szkolni wznieśli pomnik na jego pamiątkę. Wiedzieli, że walczył przy boku Waszyngtona, ale nie wiedzieli, że pamięć jego zasług jest jeszcze tak żywa w Ameryce. I wszyscy zgodnie przyznaliśmy, że nie można było oddać mu większego hołdu, jak umieszczeniem tylko jego nazwiska na pomniku. Znaczyło to bowiem, że wszelkie wyjaśnienia były już zbyteczne, gdyż chyba nie ma człowieka, któryby nie wiedział kim był Kościuszko".

Późnym wieczorem, pełen podniosłych wrażeń, powrócił

Stephens do hotelu "pod Białą Różą" i w restauracji hotelowej spotkał jedną z najwybitniejszych postaci ówczesnej Polski.

"Przy stoliku naprzeciw mnie" — opowiada autor o tem spotkaniu — "siedział sławny generał Chłopicki, do którego Polska po wybuchu powstania zwróciła się jak do drugiego Kościuszki i który byłby godzień spocząć u boku jego, gdyby nie to, że zachwiał się w ciężkich chwilach wojny... Polacy mówią o nim więcej ze żalem, niż ze złością. Powiadają, że nie dosyć, iż narażał swe życie na polu walki; że powinien był oddać dla sprawy wszystkie swe wielkie zdolności wojskowe i potężny wpływ swego nazwiska; że będąc bez dzieci i rodziny, mógł bez narażania kogokolwiek przez swe czyny, złożyć ostatki swego sławnego żywota na ołtarzu wolności ojczyzny.

"Chłopicki wyglądał na lat sześćdziesiąt pięć, włosy miał zupełnie siwe, czerstwą cerę, wyraz twarzy silny i stanowczy, zdrowie widać krzepkie jeszcze. Z dumnej jego postawy można było odrazu poznać wybitnego weterana. Nie wierzę, by mógł splamić swą długą i świetną karjerę dla tego tylko, by żyć jeszcze kilka lat w niesławie. Obcy byłem, a jednak przykro mi było, że okoliczności, słusznie czy niesłusznie, przyćmiły jego sławę u schyłku życia. Rażąco przemawiało przeciw niemu to, że widziałem go siedzącego w publicznej restauracji w Krakowie, nie molestowanego przez rząd rosyjski".

Następnego dnia Stephens zwiedził kopalnie soli w Wieliczce pod przewodem gadatliwego starego wiarusa napoleońskiego, żyjącego z oprowadzania gości po podziemiach. "Są one, zaiste, cudownem widowiskiem i z pewnością żaden podróżny, który je zwiedził, nie zapomni nigdy o potężnem wrażeniu, jakie wywierają".

W książce zwiedzających zapisał Stephens swe nazwisko i zauważył, że przed miesiącem kopalnie zwiedzili dwaj znajomi mu Amerykanie. "Potem wsiadłem do powozu i w godzinę po zapadnięciu zmroku dojechałem do brzegu Wisły. Paszport mój został znowu zbadany przez żołnierza a mój powóz przeszukany przez urzędnika cłowego. Przejechałem most, zjadłem kolację z czcigodnym gospodarzem hotelu "pod Białą Różą" i słuchając jego wzruszającego opowiadania o powstaniu polskiem, zadrzemałem w krześle".

W tem miejscu Stephens urywa swój pamiętnik.

W pracy jego odczuwa się przedewszystkiem wielką życzliwość dla Polski, zapał dla jej bohaterskiej historji. Uczuć tych nie wygasiły nawet przykrości, doznane przez zamorskiego podróżnika ze strony Polaków, zwłaszcza w Radomiu. Kiedy autor mówi o stronach ujemnych życia i charakteru Polaków, mówi o nich ze żalem i zawodem, że nie w innym kraju je znalazł, ale w Polsce, którą w wyobraźni swej podniósł niemal do wyżyn ideału.

Dzisiaj już nikt nie czyta pamiętników Stephensa. Zastąpiły je nowe wydawnictwa, może więcej wszechstronne, może i obszerniejsze i dokładniejsze, szkoda tylko, że nie zawsze tak dla Polski przyjazne.

Ale książki, równie jak inne rzeczy, ulegają wpływom czasu. Tylko arcydzieła zdołają się oprzeć jego zabójczemu działaniu.

Książka Stephensa nie jest arcydziełem, ale dla naszego Wychodźtwa szkic ten będzie z pewnością pożyteczną rzeczą, aby, poznając przeszłość stosunków polsko-amerykańskich i dawne węzły, które łączyły dwa narody, mogło skuteczniej pracować dla przyszłości.

XV.

Major Kasper Tochman, zapomniany apostoł sprawy polskiej w Ameryce.

Upadek powstania listopadowego wyrzucił na gościnne brzegi Ameryki nieliczną wprawdzie, ale stale odtąd rosnącą garstkę Polaków.

Dla masy ludu polskiego Ameryka była jeszcze ziemią nieznaną. Z natury więc rzeczy dawny ten napływ polski był imigracją inteligencji, byłych oficerów i żołnierzy armji powstańczej, patrjotów skompromitowanych wobec rządów zaborczych, którzy w wędrówce swej po krajach zachodniej Europy nie znaleźli nigdzie oparcia ni przytułku, a w Ameryce spodziewali się spotkać życzliwsze serca i zdobyć łatwiej chleb codzienny.

Imigrację jednostek pomnożyły stosunkowo znacznie dwie austrjackie fregaty "Guerriere" i "Hebe", które zawinąwszy do portu nowojorskiego dnia 31 marca 1834, wysadziły na bruk amerykańskiej metropoli 235 powstańców, deportowanych przez rząd austrjacki.

Dalszy napływ naszych pjonierów wychodźczych — pojedyńczo lub małemi grupkami — powiększał stale drobną kolonję polską, która wśród warunków zupełnie sobie obcych musiała imać się przeważnie twardej pracy ręcznej, by zarobić na kęs chleba.

Wśród tej gromady nie brak było umysłów wybitniejszych, które powoli, żmudną pracą, zaczynały wysuwać się nad resztę i zdobywać wpływy i poszanowanie w społeczeństwie amerykańskiem.

Polska tkwiła głęboko w sercach dawnych wychodźców, boć przecie...

"Polak chociaż stąd między narodami słynny,
"Że bardziej niźli życie kochaj kraj rodzinny..."

Nie dziwota więc, że wśród tej imigracji polskiej znaleźli się ludzie, którzy wyuczywszy się języka angielskiego i porósłszy nieco w pierze, poświęcali swój czas i pracę, by wśród Amerykanów urabiać opinję przychylną dla nieszczęśliwej Ojczyzny.

Nie brak w rocznikach dawnych gazet i czasopism amerykań listów i artykułów tułaczy naszych, przedstawiających krzywdy Polski i jej dzieje, lub prostujących zarzuty nieprzyjaciół, których mieliśmy zawsze i wszędzie.

Od czasu do czasu pojawiała się też książka lub broszurka jaka, pisana przez Polaka i traktująca o sprawach ojczystych.

Już około r. 1834 Józef Hordyński, major 10-go pułku ułanów litewskich, wydał w Bostonie "Historję ostatniej rewolucji polskiej i wypadki kampanji" w języku angielskim. (History of the late Polish Revolution and the Events of the Campaign). Dzieło to,, zadedykowane "narodowi amerykańskiemu", liczyło około 500 stron druku i było ozdobione portretami Kościuszki i Pułaskiego, oraz licznemi planami bitw z okresu powstania listopadowego.

W kilka lat potem, mianowicie w r. 1837, doktor Karol Kraitzir

wydał w Filadelfji "Polacy w Stanach Zjednoczonych" (The Poles in the United States), dzieło angielskie, traktujące o historji polskiej i Polakach w Ameryce. W gazecie "National Intelligencer" z r. 1843, znajdujemy następującą wiadomość o tej pracy i jej autorze:

"Dr. Kraitzir jest zacnym i wykształconym Węgrem; walczył jako ochotnik w obronie sprawy polskiej podczas ostatniej rozprawy, a po upadku rewolucji, gdy mu nie pozwolono wrócić do rodzinnego kraju, przyjechał do Ameryki i obecnie jest profesorem uniwersytetu Virginia. Nigdy nie miał on pretensji do tytułu historyka polskiego i książka jego nie jest wolna od wielu błędów". W każdym razie była pisana w duchu przyjaznym dla Polski i miała na celu zaznajomienie Amerykanów z jej historją.

O dalszych wczesnych wydawnictwach polskich w Ameryce podaje tygodnik nowojorski "The New World" z 19 lutego 1842 r. w rubryce "wiadomości literackie":

"Wyszła z druku książka p. t. "Żywot hrabianki Emilji Plater" (The Life of the Countess Emily Plater) przez J. K. Salmońskiego, wygnańca polskiego z Nowego Jorku. Chociaż autor niema wielkiego wyrobienia literackiego, książka jest bardzo zajmująca i polecamy ją uwadze czytającej publiczności. Pełen życia i pięknie odlitografowany portret bohaterki ozdabia książkę".

W tym samym roku 1842 kilku wygnańców polskich podjęli nawet wydawnictwo czasopisma w języku angielskim. Tytuł jego był: "Poland - Historical, Literatury, Monumental and Picturesque", a wydawcami byli Sobolewski, Wyszyński i Spółka, 1½ Pine st., Nowy Jork. Bliższe szczegóły o miesięczniku tym podaje "The New World" z 28 maja 1842:

"Pojawiły się trzy zeszyty tego popularnego i zajmującego wydawnictwa. Każdy numer jest upiększony rycinami i zawiera dobre i prawdziwe artykuły o rozmaitych sprawach, tyczących nieszczęśliwej Polski. Wydawnictwo zasługuje na poparcie i spodziewamy się, że publiczność amerykańska nie poskąpi mu go. Wydawane jest po niskiej cenie 50 centów za numer."

Było to więc najdawniejsze polskie perjodyczne wydawnictwo w Ameryce, co prawda, w języku angielskim, ale poświęcone wyłącznie sprawom polskim. Zdaje się, że żywot jego był dosyć krótki. Jeden z wydawców, Paweł Sobolewski, zasłużył się następnie wydaniem dzieła "The Poets and Poetry of Poland", obejmującem przekłady najlepszych poezji naszych i życiorysy poetów polskich.

Rok 1847 przyniósł nowe ciekawe dzieło polskie, mianowicie "Odzyskanie Polski", napisane przez J. N. Kryczyńskiego, "wygnańca polskiego". (The Recovery of Poland, by J. N. Kryczynski, a Polish exile. Philadelphia, Published by Kryczynski and Wasilewski, 1847).

Jest to znowu historja Polski z obszernym dodatkiem o okrucieństwach wielkiego księcia Konstantego. W przedmowie autor wspo-

mina, że pracował nad swą książką 7 lat, że dedykuje ją narodowi amerykańskiemu z wdzięczności za przytułek i że do wydawnictwa pomógł mu drugi wygnaniec polski, A. Wasilewski. "Będąc obaj wygnańcami, bez majątków, bez żadnych dóbr doczesnych, bez przyjaciół, ożywieni tylko dobrym zamiarem, wypływającym z czystych i słusznych pobudek dopomożenia wielkiej i szlachetnej sprawie naszej nieszczęśliwej ojczyzny, postanowiliśmy książką tą przyłożyć swą cząstkę, aby ulżyć jej smutnemu losowi, co jest niczem innem, jak naszym prostym obowiązkiem" — tłumaczą się poczciwie wydawcy.

Kryczyński był Wielkopolaninem, ale przeniósłszy się do Warszawy, służył w armji polskiej jako ochotnik. Losy jego w Ameryce są nieznane.

W pracy agitacyjnej na rzecz Polski brali też udział autorowie amerykańscy. Wiersze, artykuły wiadomościowe, nawet i osobne dzieła literackie, osnute na tle życia bohaterów polskich, trafiały się dosyć często w latach przed i po powstaniu listopadowem.

Powyższe wiadomości bibljograficzne o najdawniejszych polskich wydawnictwach w Ameryce — dzisiaj zaginionych niemal bez śladu — nie są z pewnością kompletne, świadczą jednak dostatecznie, że poprzednicy nasi w Ameryce odczuwali potrzebę podzielenia się żalem nad utraconą Ojczyzną z gościnnem otoczeniem i starali się, jak mogli, propagować wśród obcych sprawę. Polski.

Najwięcej na tem polu zasłużył się Kasper Tochman, major armji polskiej z r. 1831 i krewny generała Skrzyneckiego. Nie tylko piórem w prasie amerykańskiej, ale i skuteczniejszem żywem słowem siał wytrwale przyjaźń dla Polski wśród Amerykanów. W ciągu kilku lat urządził sto wieców w sprawie polskiej w wielu miastach Ameryki. Przemawiał przed legislaturami stanów i spowodował uchwalenie całego szeregu rezolucyj przyjaznych dla Polski. Stworzył wreszcie stowarzyszenie z najwybitniejszych ówczesnych mężów Ameryki, mające na celu zbliżenie polsko-amerykańskie na polu literackiem. Szkic niniejszy ma na celu odgrzebanie z zapomnienia tego wytrwałego apostoła sprawy polskiej w Ameryce.

Tochman po upadku powstania listopadowego wyemigrował do Francji razem z tysiącami swych towarzyszów broni i tam przez kilka lat brał żywy udział w gorącem życiu emigracyjnem. Do Stanów Zjednoczonych przyjechał w roku 1837. Początki jego na obcym lądzie nie musiały być łatwe, ale trudności przezwyciężył i w kilku lat potem został adwokatem i to nie byle jakim, jeżeli późniejszym jego wspólnikiem był Reverdy Johnson, senator Stanów Zjednoczonych i generalny prokurator w gabinecie prezydenta Taylora.

Jako prawnik Tochman uzyskał rozgłos w latach 1840-tych w związku ze sprawą spadku po Kościuszce, w której reprezentował interesy spadkobierców. Sprawa, zresztą czysto sądowa, przybrała charakter polityczny, gdy ówczesny minister rosyjski w Waszyngto-

nie, Aleksander Bodisco, podjął starania, aby per fas et nefas Tochmanowi — jako byłemu poddanemu rosyjskiemu, skrompromitowanemu w oczach rządu rosyjskiego nietylko udziałem w powstaniu ale i działalnością propolską, a wybitnie antyrosyjską w Ameryce, odebrać prawo zastępowania spadkobierców Kościuszki przed sądami amerykańskimi. Tochman, jako naturalizowany obywatel Stanów Zjednoczonych, uciekł się pod opiekę rządu amerykańskiego. Wprawdzie ten nie udzielił mu tej opieki w mierze dostatecznej, ale sprawa została poruszona w obu izbach kongresu i dała okazję do ostrego potępienia Rosji i jej ministra przez kongresmanów. Była to swego czasu jedna z najgłośniejszych spraw sądowych w Ameryce.

Pracę swą za zdobyciem sympatji Ameryki dla Polski rozpoczął Tochman wcześnie. Wiadomo, że już w r. 1839 i 1840 prowadził publiczną agitację propolską żywem słowem i pisanem.

Ciekawych faktów o dalszej działalności Tochmana dowiadujemy się z jego broszury, wydanej w Baltimore w r. 1844 pod przydługim nieco tytułem: "Odczyt, wygłoszony przed członkami stanowych legislatur New York, Massachusetts, New Hampshire, Vermont, Connecticut, Virginia, Ohio, Indiana i Kentucky i przed członkami konwencji stanowej New Jersey, na temat społecznych, politycznych i literackich stosunków w Polsce i jej widoków na przyszłość, wspólnie z polityką Rosji wobec Stanów Zjednoczonych". (Lecture delivered before the members of the State Legislatures of New York, Massachusetts, New Hampshire, Vermont, Connecticut, Virginia, Ohio, Indiana and Kentucky, and before the members of the New Jersey State Convention, on the subject of the social, political and literary conditions of Poland, and her future prospects, conjointly with the policy of Russia toward these United States, by Major G. Tochman, a Polish exile).

Odczyty Tochmana były odpowiedzią na prorosyjską propagandę, prowadzoną wówczas w Ameryce, w szczególności zaś na artykuły w poważnem piśmie nowojorskiem, "National Intelligencer", których autor, między innemi, twierdził, że "spodziewać się wskrzeszenia Polski jest to to samo, co wyczekiwać cofnięcia się wstecz postępu ludzkości, lub odbudowy rzymskiego imperjum".

Broszura obejmuje 48 stron druku zwykłego formatu książkowego. Treść jej podaje już obszerny tytuł, a uzupełniają ją relacje z przebiegu wieców. Tochman wykazuje faktami historycznymi, że Polska była od wieków najdemokratyczniejszym i najbardziej tolerancyjnym krajem na kontynencie Europy, że rozbiór jej był największym w historji gwałtem politycznym, że, mimo niewoli, literatura i sztuka polska rozwija ją się potężnie i że, wbrew wszelkim nadziejom zaborców, Polska żyje i nie zginie.

"Prawdą jest", — powiada Tochman niemal proroczo w jednem miejscu — "że despoci północnej Europy połknęli Polskę, ale nigdy jej nie strawią! Raczej ona przyprawi ich o rozkład własnych ciał".

Już wówczas przepowiadał on wojnę światową i przestrzegał, że wybuchnie niechybnie skoro tylko despotyzm, krzewiony i broniony przez Rosję, zaciąży nad całą Europą. Wówczas Ameryka, jako odosobniona wyspa wolności wśród morza despotyzmu, będzie może musiała walczyć sama przeciwko całemu światu, opanowanemu przez knut kozacki. Nie wiele pomylił się w swych przewidywaniach.

W swej pracy zwraca się Tochman wyłącznie przeciw Rosji. O Niemczech i Austrji nie wspomina, chyba ogólnikowo. Pod tym względem jest poniekąd wyrazicielem ówczesnych poglądów polskich. Pamiętał Tochman tryumfalny pochód rozbitków armji polskiej przez Niemcy, musiał czytać entuzjastyczne poezje niemieckie na cześć Polski. Europa stała zresztą wówczas przed wiosną ludów 1848-go roku i Polak z pod braterstwa narodów wyłączał tylko jednego Moskala. Ciekawe pod tym względem jest godło, umieszczone na drugiej karcie broszury. Przedstawia ono połączone herby Polski i Litwy, w otoczeniu flag narodowych Anglji, Ameryki, Francji, Belgji, Węgier i... Niemiec, a u góry napis: "Wolność, Całość, Niepodległość" i gwiazda wolności.

Odczyt Tochmana opracowany jest zajmująco, pięknym językiem angielskim i do dzisiaj nie wiele stracił na aktualności. Możnaby z niego śmiało cytować całe ustępy w dostosowaniu do doby dzisiejszej. Major Tochman przebiegł z nim niemal całe ówczesne Stany Zjednoczone, a głosy prasy amerykańskiej świadczą, że przyjmowano go wszędzie życzliwie.

Z reguły, równocześnie z odczytem, Tochman urządzał wiece masowe, na których obywatele uchwalali rezolucje, podnoszące sprawę Polski. Rezolucje te są bardzo ciekawymi dokumentami historycznymi i świadkami gorących sympatji, jakie dawna Ameryka żywiła dla nieszczęśliwego narodu polskiego.

Przewodniczącymi i sekretarzami wieców byli z reguły najwybitniejsi obywatele miejscowi. W spisie ich znajduje się wiele nazwisk, związanych z historją Stanów Zjednoczonych. Podnosi to zarówno ważność tych rezolucji, jak i wartość pracy polskiego wygnańca.

O celach i sukcesach swej pracy pisze sam Tochman w liście polemicznym z 22 maja 1843 r. w "National Intelligencer", stanowiącym odpowiedź dla niejakiego Williama Darby, stale szkalującego Polskę w prasie amerykańskiej:

"Staję przed publicznością amerykańską w imieniu mej ojczyzny, Polski, w obronie tej samej sprawy, której niepowodzenie w ostatniej walce wygnało mnie do tego dalekiego kraju. Przedstawiam historję, urządzenia, krzywdy, cierpienia i nadzieje mojego kraju nie dlatego, aby naród amerykański nakłonić do wypowiedzenia wojny oprawcom Polski, ale, aby zdobyć opinję publiczną i uzyskać od niej potępienie gwałtów, popełnianych na wolnym niegdyś narodzie...

"W liście zwolenników sprawy mej ojczyzny i mojej własnej

osoby są sławny historyk amerykański, profesor Jared Sparks, i wybitny uczony, Jan Pickering z Bostonu. Pierwszy wniósł rezolucje na wiecu publicznym w Cambridge, drugi w Bostonie, a obie zwracały uwagę narodu amerykańskiego na charakter i doniosłość moich odczytów. Pięciu gubernatorów stanowych z obu politycznych partyj, (z których trzej są jeszcze w urzędzie) przewodniczyli na publicznych wiecach, zwołanych dla wyrażenia przychylnej opinji obywateli amerykańskich w sprawie, którą broniłem. Podobne rezolucje zostały uchwalone przez dziewięć legislatur stanowych, z których cztery były pod kontrolą wigów, a pięć demokratów. Około sto publicznych zebrań obywateli i instytucyj literackich, prowadzonych przez najwybitniejszych mężów obu stronnictw politycznych i duchowieństwo najrozmaitszych wyznań chrześcijańskich, wyraziły również swe sympatje dla tejże sprawy i najgorętsze życzenia dla powodzenia mej misji".

Pierwszy swój odczyt wygłosił Tochman dnia 26 października 1840 r. w Marietta, O. W tymże jeszcze roku miał odczyty w następujących miejscowościach: 10 listopada w Oxford, O.; 26 listopada w Maysville, Ky.; 12 grudnia w Lancaster, O.; 15 grudnia w Logan, O.; 21 grudnia w Athens, O.

Już w początkach następnego roku, 1841, rozpoczął Tochman swe prelekcje przed legislaturami. Rezolucje ich to już urzędowe objawy sympatji dla Polski i dlatego zasługują, by Wychodźtwo poznało je w dosłownem brzmieniu.

"Ohio State Journal" z 25 stycznia 1841 tak opisuje występ Tochmana przed legislaturą stanu Ohio w Columbus, O.:

"Dnia 22-go stycznia wieczorem w sali Izby Reprezentantów odbyło się zebranie członków legislatury, obywateli miasta Columbus i innych dla wysłuchania ostatniego ze serji odczytów majora Tochmana, byłego oficera armji polskiej, na temat historji Polski. Na wniosek p. Vincenta, członka Izby, p. Seabury Ford, przewodniczący Izby Reprezentantów, został powołany na przewodniczącego zebrania, a na wniosek generała Bella, członka Izby, Jan W. Andrews został mianowany sekretarzem.

"Po skończonym odczycie, na wniosek p. Van Vorhes, członka Izby, następujące rezolucje zostały jednogłośnie uchwalone:

"Ponieważ zebranie to słyszało z wielką przyjemnością kilka odczytów na temat historji polskiej, wygłoszonych przez majora Tochmana i jest zupełnie zadowolone z jego bardzo zdolnej obrony przed licznemi potwarczemi oskarzeniami, jakie są podnoszone przeciw dzielnemu, ale uciśnionemu narodowi polskiemu; w celu wyrażenia publicznie naszych uczuć dla narodu polskiego i z poczucia sprawiedliwości względem osoby prelegenta,

"Postanowiamy podziękować majorowi Tochmanowi za jego piękny i ciekawy odczyt i zapewnić go o naszem gorącem pragnieniu

jego osobistej pomyślności a ostatecznego tryumfu Polski nad wszystkimi jej nieprzyjaciółmi;

"Postanawiamy, że objawiając w ten sposób nasze uczucia oburzenia i serdecznego współczucia z powodu krzywd, wycierpianych przez Polskę, dajemy tylko wyraz uczuciom całego narodu amerykańskiego; i że modlitwy każdego patrjoty słane są do nieba za szybkie uwolnienie jej synów — rodaków Pułaskiego i Kościuszki".

Rezolucje te podpisał Seabury Ford, jako przewodniczący, i Jan W. Andrews, jako sekretarz.

Już w kilka dni potem Tochman stanął przed legislaturą stanu Indiana. "Indianapolis Tri-Weekly Journal" z 9 lutego 1841 r. donosi, że "zebranie członków legislatury, obywateli i gości odbyło się w hali Izby Reprezentantów w Indianapolis, a po skończonym odczycie majora Tochmana, na wniosek senatora Elliotta z powiatu Henry, Dawid Wallace, były gubernator Indiany, został powołany na przewodniczącego, a S. V. B. Noel na sekretarza wiecu".

Następujące rezolucje przyjęto:

"Ponieważ zebrani wysłuchali z wielkiem zajęciem odczytów majora Tochmana, byłego oficera armji polskiej, wygłoszonych w ciągu bieżącego miesiąca w tej sali, i

"Ponieważ mają powód do sądzenia, że publiczność została wprowadzona w błąd co do wielu faktów, tyczących historji i zwyczajów narodu polskiego przez artykuły pewnego pisarza, ogłaszane w "National Intelligencer" i podpisane "Tacitus", oraz innych autorów, przeto postanawiamy:

"Że w zupełności polegamy na historycznych faktach, podanych przez majora Tochmana;

"Że głęboko współczujemy z Polską i że należycie rozumiemy klęski, które spadły na Polaków ze zniszczeniem i rozbiorem ich ojczyzny i że uważamy to zniszczenie za nieusprawiedliwiony i tchórzowski zamach tyranów, bezprzykładny w rocznikach historji nowożytnej i zasługujący na potępienie ze strony wszystkich republikanów;

"Że żywimy nadzieję, iż Polska znowu będzie wolną, iż znowu stanie się schroniskiem i przytułkiem dla uciśnionych i prześladowanych i pochodnią światła, między ciemnymi i ogłupionymi narodami starego świata, dla przyjaciół wolności i swobodnego rządu.

"Że wyrażamy majorowi Tochmanowi nasze szczere podziękowanie za zadowolenie, jakie sprawiły nam jego odczyty i za informacje w nich zawarte".

Na rezolucji tej podpisali się Dawid Wallace i S. V. B. Noel, przewodniczący i sekretarz zebrania.

Z Indianapolis Tochman zawędrował do Frankfort, Ky., gdzie jego odczyty o Polsce spotkały się z równie szczerym oddźwiękiem współczucia. "Louisville Daily Journal, Ky.," z 27 lutego 1841 podaje następujące szczegóły:

"Na zebraniu członków legislatury stanu Kentucky i obywateli miasta Frankfort, odbytem w Hali Reprezentantów dnia 16 lutego 1841 wieczorem, po zakończeniu ostatniego odczytu majora Tochmana o historji i instytucjach Polski, oraz o ostatniej rewolucji, w której Polska dzielnie powstała, by zrzucić jarzmo rosyjskiego despotyzmu; na wniosek p. Wm. F. Bullocka, członka Izby Reprezentantów z miasta Louisville, major Tomasz Speed z powiatu Nelson został powołany na przewodniczącego, a Leonard Bliss, jr., mianowany sekretarzem. P. Bullock wniósł następujące rezolucje, które zostały jednogłośnie przyjęte:

"Postanawiamy wyrazić podziękowanie zebranych dla majora Tochmana za jego bardzo umiejętne i zajmujące odczyty o historji i instytucjach Polski i ostatniej bohaterskiej, choć niepomyślnej walce o wolność tego dzielnego narodu.

"Postanawiamy, że naród amerykański nigdy nie może zapomnieć o kraju, ani o narodzie, który wysłał do naszej wojny rewolucyjnej takich patrjotów, jak Kościuszko i Pułaski, walczących przy boku naszego Waszyngtona i lejących krew za naszą wolność; i że głęboko współczujemy z tym nieszczęśliwym narodem w jego klęskach i cierpieniach i wierzymy w nieomylną sprawiedliwość Boga Narodów, iż Polska powstanie jeszcze jako wielki, wolny i szczęśliwy naród i, zrzuciwszy ze siebie jarzmo żelaznego despotyzmu ukoronowanych rabusiów północy, zajmie znowu swe miejsce wśród niepodległych narodów świata.

"Postanawiamy, że uważamy sprawę Polski za sprawę wszystkich wolnych ludzi i że jej los leży na sercu wszystkich prawdziwych przyjaciół wolności w całym świecie.

"Postanawiamy, że nasze najlepsze życzenia i najgorętsze sympatje zawsze towarzyszyć będą dzielnemu i wybitnemu przedstawicielowi i zdolnemu obrońcy Polski, który do nas przemawiał; czy major Tochman będzie dzierżył miecz, czy pióro w jej obronie, niechaj zwycięstwo uwieńczy jego sprawę".

Pod pięknemi temi rezolucjami są podpisani Tomasz Speed i Leonard Bliss, jr.

Prócz trzech występów w legislaturach, major Tochman wygłosił odczyty o Polsce w 29 miastach w ciągu roku 1841, a mianowicie w:

Mt. Vernon, Ohio, 2 stycznia.
Granville, Ohio, 8 lutego.
Cincinnati, Ohio, 9 marca.
Zanesville, Ohio, 3 kwietnia.
Wheeling, Va., 14 kwietnia.
Pittsburg, Pa., 23 kwietnia.
Bedford, Pa., 12 maja.
Chambersburg, Pa., 15 maja.
Carlisle, Pa., 22 maja.

Lancaster, Pa., 28 maja.
Filadelfja, Pa., 19 czerwca.
Portland, Maine, 20 lipca.
Bangor, Maine, 30 lipca; przewodniczącym tego wiecu był gubernator Kent.
Belfast, Maine, 4 sierpnia.
West Prospect Village, Maine, 5 sierpnia.
Ellsworth, Maine, 12 sierpnia.
West Machias, Maine, 14 sierpnia.
Lubec, Maine, 19 sierpnia.
Calais, Maine, 3 września.
East Machias, Maine, 11 września.

Augusta, Maine, 22 września; przewodniczącym kongresman Luther Severance.

Brunswick, Maine, 22 września; przewodniczącym wiecu był Robert F. Dunlap, członek kongresu, a sekretarzem William Smith, profesor kolegjum Bowdoin.

Hallowell, Maine, 30 września.

Saco, Maine, 6 października, pod przewodnictwem gubernatora Jana Fairfielda.

Kennebunk, Maine, 8 października.

Cambridge, Mass., 19 października; rezolucje, wyrażające sympatje dla Polski, wniósł sławny historyk Jared Sparks, profesor uniwersytetu Harvard.

Boston, Mass., 25 października; zebraniu przewodniczył pułkownik Samuel Sweet, sekretarzem był Ryszard Robins, a rezolucje wnieśli Jerzy H. Snelling i Jan Pickering.

Dnia 19 listopada wygłosił Tochman swój odczyt w Lyceum of Roxbury, w Roxbury, pod Bostonem a ostatni w r. 1841, dnia 4-go grudnia w Nowym Jorku przed radą dyrektorów Stowarzyszenia Bibljoteki Handlowej.

W ciągu roku 1842-go miał Tochman prelekcje przed pięcioma legislaturami — stanów New York, Connecticut, New Hampshire, Massachusetts i Vermont.

Przebieg jego wiecu w Albany, N. Y., był następujący, wedle "Albany Evening Journal", który donosi o tem pod tytułami: "Odczyty majora Tochmana o Polsce. — Przebieg zebrania w Izbie w Kapitolu, w którem wzięli udział członkowie obu izb legislatury, obywatele Albany i inni, dnia 3-go marca 1842":

"Po skończonym odczycie dr. Piotr Wendell z Albany, kanclerz uniwersytetu, został powołany na przewodniczącego na wniosek dra. Taylora z Onondaga, tymczasowego speakera Izby. Następujący panowie zostali mianowani sekretarzami: senator Maurycy Franklin, poseł Jerzy A. Simmons z Essex i poseł Lemuel Stetson z Clinton, na wniosek p. p. dra. Taylora, Grouta i Swackhamera.

"Po pięknej mowie majora A. Devezaca z Nowego Jorku następujące rezolucje zostały odczytane i jednomyślnie przyjęte:

"Postanawiamy wyrazić podziękowanie zebranych majorowi Tochmanowi za wymowny i piękny odczyt, w którym przedstawił tak żywy obraz chwały, równej jedynie klęskom jego bohaterskiej ojczyzny.

"Postanawiamy, że żadne fałszywe rozumowanie, żadne błędne przedstawienie zmyślonych ulepszeń, dokonanych rzekomo przez Rosję w fizycznym czy moralnym stanie Polski, nie mogą usprawiewiedliwić ani naprawić krzywdy rozbioru niewinnego narodu między drapieżnych sąsiadów, którzy nie mieli żadnego prawa do swej ofiary prócz brutalnej siły i nie mają żadnego wytłumaczenia przed ludzkością, prócz sukcesu swej niegodziwości.

"Postanawiamy, że żaden obywatel wolnej republiki nie może nigdy być obojętnym na los narodu, którego dzieje świecą tak licznemi dowodami zamiłowania wolności, religijnej tolerancji i umysłowej kultury; ani też żaden Amerykanin nie może nie odczuć gorąco i głęboko minionych krzywd, obecnych cierpień i przyszłych nadziei kraju, który wysłał Kościuszkę i Pułaskiego, by stanęli jako godni towarzysze broni przy boku Waszyngtona w przedniej straży walk za naszą własną wolność".

Rezolucje podpisali kanclerz Wendell, senator Franklin i posłowie Simmons i Stetson.

"New Haven Daily Herald" z 13-go maja 1842 donosi o sukcesie dzielnego apostoła sprawy polskiej przed legislaturą stanu Connecticut:

"W zeszły czwartek, 12-go maja, w Hali Reprezentantów odbyło się zebranie celem wysłuchania odczytu majora Tochmana, oficera dawnej armji polskiej, na temat historji i obecnych stosunków w Polsce.

"Po odczycie William S. Hollabird, prezydent Senatu, został powołany na przewodniczącego, a senator Silas H. Hickok i reprezentant Fryderyk A. Crittenden zostali mianowani sekretarzami.

"Na wniosek p. J. C. Smitha, jr., członka Izby, następujące rezolucje zostały przyjęte jednogłośnie:

"Ponieważ zebrani wysłuchali z najgłębszem zajęciem pięknego i wymownego odczytu majora Tochmana w obronie jego dzielnego, ale uciśnionego narodu i pragną w ten sposób publicznie wyrazić swe uczucia sympatji dla Polski, przeto

"Postanawiamy, że we wszystkich walkach między tyranem a uciśnionym nasze najlepsze życzenia są po stronie tego ostatniego a szczególnie wyrażamy je narodowi polskiemu, którego historja błyszczy przykładami bohaterstwa i którego najszlachetniejsi wojownicy walczyli przy boku naszych ojców za wielką sprawę wolności amerykańskiej.

"Postanawiamy, że dając w ten sposób wyraz naszym uczuciom

litości i oburzenia na okrutne krzywdy, zadane Polsce przez zbrojnych rabusiów północy, jesteśmy tylko echem uczuć całego narodu amerykańskiego, a zwłaszcza obywateli stanu Connecticut, którzy od dwuch wieków, w każdej walce o wolność, stali w pierwszych szeregach obrońców.

"Postanawiamy wyrazić majorowi Tochmanowi nasze najlepsze życzenia dla jego osobistej pomyślności i dla powodzenia szlachetnego przedsięwzięcia, któremu poświęca się z takim zapałem i skutkiem".

Senatorzy Hollabird i Hickok, oraz reprezentant Crittenden podpisali te rezolucje.

Niedługo potem Tochman przedstawił sprawę Polski przed legislaturą stanu New Hampshire, jak notuje o tem "New Hampshire Statesman and State Journal" z 1-go lipca 1842.

"Stosownie do rezolucji, przyjętej przez Izbę Reprezentantów stanu New Hampshire" — czytamy tam — "major Tochman, wygnaniec polski, wygłosił mowę o cierpieniach swej ojczyzny przed Jego Ekscelencją gubernatorem Hubbardem i Radą, czcigodnym Senatem, członkami Izby Reprezentantów i licznem obywatelstwem z Concord, N. H., w Hali Reprezentantów we środę wieczór, 22 czerwca 1842 roku.

"Po mowie majora Tochmana, na wniosek p. Swasey'a, speakera Izby Reprezentantów, Jego Ekscelencja Henryk Hubbard został wybrany przewodniczącym zebrania.

"Na wniosek p. Quincy, prezydenta Senatu, klerkowie Senatu i Izby Reprezentantów zostali wybrani sekretarzami zebrania.

"Bardzo silnie i piękne mowy wygłosili potem Jego Ekscelencja Henryk Hubbard, p. Franklin Pierce i p. Samuel Swasey.

"Na wniosek p. Swaseya, senator Josiah Quincy, reprezentant Samuel Swasey, reprezentant Andrzej Pierce z Dover, senator Symeon Warren i reprezentant Mojżesz Norris, jr., zostali mianowani komitetem do ułożenia i przedstawienia rezolucyj.

"P. Quincy z komitetu rezolucyj przedstawił zebranym co następuje:

"Zważywszy, że słyszeliśmy tego wieczora z wielkiem zajęciem bardzo piękny odczyt majora Tochmana z Polski o historji i położeniu jego ojczyzny i o charakterze, walkach i krzywdach jej bohaterskiego, chociaż nieszczęśliwego i uciśnionego ludu.

"Postanawiamy, że jako Amerykanie i jako ludzie wolni, zawsze uczuciami naszemi i najlepszemi życzeniami będziemy po stronie walczących przeciw tyranji i że szczególnie gorące sympatje odczuwamy dla tego dzielnego i szlachetnego narodu, który od wieków walczył, chociaż dotychczas niepomyślnie, przeciw koronowanym rabusiom Europy i gwałcicielom przyrodzonych praw człowieka. Kraj, który podczas amerykańskiej wojny rewolucyjnej przysłał Pułaskiego i Kościuszkę, by ramię przy ramieniu z Waszyngtonem i Greenem

toczyli boje za naszą wolność, ma teraz, w swym obecnym poniżonym stanie, prawo do naszego najzupełniejszego współczucia i na wypadek nowej walki przeciw swym ciemięzcom powinien otrzymać, i ufamy, że otrzyma, pomoc i współpracę naszych wdzięcznych rodaków.

"Postanawiamy, że sprawa Polski jest wspólną sprawą przyjaciół wolności na całym świecie i że siła nie uświęca krzywdy. Wierzymy w Boga Sprawiedliwego, że Polska, choć obecnie poniżona, rozdzielona i zdeptana żelazną stopą wojskowego despotyzmu, w niedługim już czasie powstanie, zerwie swe więzy i zostanie wolną.

"Postanawiamy wyrazić majorowi Tochmanowi nasze najgłębsze życzenia osobistej pomyślności i powodzenia w chwalebnem przedsięwzięciu, któremu oddany jest obecnie".

Pod rezolucją tą, jedną z najsilniejszych, jakie Tochman uzyskał od legislatur, podpisali się gubernator Henryk Hubbard i klerkowie Senatu i Izby, H. Hibbard i J. B. Wiggin.

Krótką tylko, ale niemniej serdeczną rezolucją przyjęła legislatura stanu Massachusetts, którą Tochman odwiedził niedługo potem.

Zebranie odbyło się dnia 17 września 1842 w Hali Izby Reprezentantów przy pełnym udziale członków obu izb i licznej publiczności.

"Po mowie majora Tochmana" — pisze "Boston Daily Advertiser" z 19 września 1842 — "S. H. Walley, członek Izby Reprezentantów, został powołany do przewodnictwa.

"Następujące rezolucje zostały wniesione przez p. Stevensona, reprezentanta z Bostonu, i przyjęte jednogłośnie:

"Postanawiamy, że podziękowania tego zebrania należą się majorowi Tochmanowi za zajmującą mowę, którą nas dziś zaszczycił;

"Postanawiamy, że w opinji zebranych społeczeństwo nasze spogląda z podziwem na bohaterstwo, a ze smutkiem na cierpienia narodu polskiego".

Legislatura stanu Vermont, przed którą Tochman stanął następnie, była jedyną, w której podniósł się głos opozycji przeciw rezolucji, wyrażającej sympatje dla Polski. Jednakowoż sprzeciw ten pochodził raczej ze względów technicznych, niż z wrogiego stanowiska opozycjonisty względem Polski, o czem świadczy zresztą to, że veto swoje cofnął.

Protokół z posiedzenia Izby stanu Vermont ze środy, 26 października 1842, podaje, że wniesiona została rezolucja, dosyć ciężka i zawiła, treści następującej:

"Postanawiamy, że Izba ta, złożona z przedstawicieli wolnego i niepodległego stanu, odczuwa głębokie zainteresowanie w ustanowieniu i utrzymaniu wolnych i liberalnych zasad rządu na całym świecie. A chociaż należyty wzgląd dla charakteru naszego własnego rządu i narodu, dla zachowania spokoju zarówno między nami samymi, jak i we wszystkich prawnie ustanowionych rządach, nie skłania nas do zachęcania do oporu siłą i rewolucji, chyba w wyjątkowych wy-

padkach, jednakowoż sądzimy, że każdy taki wypadek zależy głównie od swych szczególnych okoliczności.

"Dlategoteż uznajemy sprawę Polski jako jedną ze szczególnie obchodzących wszystkich przyjaciół wolności i usprawiedliwiającą tę deklarację naszych uczuć względem niej.

"Oprócz faktu, że nasza wolna republika cieszy się błogosławieństwami cywilnej i religijnej wolności, okupionej poniekąd trudami i poświęceniem i krwią szlachetnych i rycerskich synów tego nieszczęsnego kraju, wśród których z dumą wspominamy Kościuszkę i Pułaskiego; nikt nie może wspominać historji krzywd i cierpień i ucisków tego nieszczęśliwego kraju w jego walce o wolność i nie czuć, że każdy wolny rząd jest głęboko zainteresowany tą historją. Stosunki z dawna istniejące między Polską a Rosją są, że tak powiemy, tylko obrazem despotycznej władzy i bezlitosnej tyranji z jednej strony, z drugiej zaś spokojnej, stanowczej, rozumnej, rycerskiej i wyczerpującej walki o wolność.

"Dlategoteż my, w imieniu mieszkańców stanu Vermont, oświadczamy wobec całego świata, że wierzymy i ufamy w Boską Opatrzność, że Polska pozostanie wierna swym dążeniom i wytrwa w swych walkach o wolność, aż samodzierżca Wszechrosji pozna i uczuje, że jest to niezmiennym wyrokiem Rządcy Wszechświata, iż zasada wolności, raz rozwinięta w sercach ludzi, nigdy nie może być wyplenioną przez jakikolwiek ucisk, bez względu na to jak surowy lub długi".

Po wniesieniu tej rezolucji, jak podaje protokół, major Tochman przemówił "bardzo zajmująco i wymownie", prosząc o jej uchwalenie. Sprzeciwił się temu reprezentant Canfield z Arlington i wyraził wątpliwość, czy Izba może zajmować się sprawami, nie związanemi ściśle z prawodawstwem.

Podniósł się zaraz reprezentant Harrison i oświadczył, że "głęboko ubolewa, iż jego przyjaciel z Arlington uznał za swój obowiązek zająć stanowisko, zmierzające do zamącenia lub osłabienia szlachetnej i zacnej sympatji, która bez wątpienia ożywia piersi każdego członka tej Izby względem uciśnionych Polaków i ich rodaka, który tak zdolnie i wymownie omówił rezolucję. On sam nie jest za tem, aby łamać przepisy zwyczajów parlamentarnych przez uchwalenie wniosków, nie mających związku z ustawodawstwem. Ale żaden techniczny przepis parlamentarny nie może mu — nawet w charakterze członka tej Izby — zabronić wyrażenia swych uczuć dla uciśnionych Polaków i stanowczego potępienia polityki, stosowanej przez rosyjskiego samodzierżcę względem tego rycerskiego narodu".

W dalszym ciągu swej mowy szlachetny Harrison porównał majora Tochmana z Franklinem, który w podobny sposób szukał ongiś na dworze francuskim sympatji i poparcia dla rewolucji amerykańskiej.

Posłowie Pettibone i Davis poparli wywody Harrisona, poczem Canfield cofnął swój protest i rezolucja została jednogłośnie uchwa-

iona, nadto zaś druga, wniesiona przez Harrisona, wyrażająca Tochmanowi podziękowanie za odczyt.

W ciągu roku 1842 Tochman urządził pozatem 26 wieców polskich w następujących miastach:

Batavia, N. Y., 5 kwietnia.

Buffalo, N. Y., 13 stycznia; przewodniczącym był pułk. Ira A. Blossom, sekretarzem H. K. Viele.

Lockport, N. Y., 19 stycznia.

Canandaigua, N. Y., 29 stycznia; odczyt przed miejscowem Towarzystwem Literackiem.

Geneva, N. Y., 4 lutego; przewodniczący generał Józef A. Swift.

Utica, N. Y., 15 lutego; przewodniczący sędzja Gridley.

Syracuse, N. Y., 19 lutego; przewodniczącym gen. Jakób Lawrence.

Pittsfield, Mass., 12 marca.

Worcester, Mass., 22 marca; przewodniczącym sędzia Barton; rezolucje wniósł A. H. Bullock, adjutant gubernatora.

Middletown, Conn., 21 kwietnia; przewodniczącym pastor Natan Bangs, rektor uniwersytetu Wesleyan; rezolucje wnieśli burmistrz miasta N. A. Phelps i sędzia W. L. Storrs z najwyższego sądu stanu Connecticut.

Bridgeport, Conn., 9 maja.

Hartford, Conn., 13 maja.

Cabotville, Mass., 4 czerwca.

Greenfield, Mass., 16 czerwca.

Keen, N. H., 13 czerwca.

Hanover, N. H., 28 czerwca.

Burlington Vt., 8 lipca.

Keeseville, N. Y., 16 lipca.

Saratoga Springs, N. Y., 26 lipca.

Troy, N. Y., 5 sierpnia; przewodniczył burmistrz Troy, Jonasz C. Heartt.

New Bedford, Mass., 31 sierpnia.

Taunton, Mass., 2 września; pod przewodnictwem gubernatora Marcusa Nortona.

Nantucket, Mass., 8 września.

Dover, N. H., 6 października.

Portsmouth, N. H., 12 października.

Montpelier, Vt., 26 października; przewodniczącym był senator Stanów Zjednoczonych, Samuel C. Craft, a sekretarzem F. F. Merril, klerk Izby Reprezentantów Stanu Vermont.

W roku 1843 Tochman wygłosił 11 odczytów o Polsce, z tego jeden przed legislaturą stanu Virginia. Przebieg tego odczytu był następujący, wedle "Richmond Whig" z 11-go marca 1843:

"Zeszłego czwartku wieczorem, stosownie do poprzedniej zapowiedzi, członkowie legislatury stanu Wirginia zebrali się w hali Izby

Delegatów i po wysłuchaniu pięknej mowy majora Tochmana, wygnańcy polskiego, o krzywdach i cierpieniach jego ojczyzny, na wniosek p. Leake z Albermare, p. Joel Holleman, speaker Izby Delegatów, został zaproszony na przewodniczącego, a p. Ryszard H. Toler z Lynchburga został mianowany sekretarzem.

"Następnie p. Randolph z Albemarle przedłożył następujące rezolucje, które zostały jednogłośnie przyjęte:

"Postanawiamy, że wysłuchaliśmy z uczuciami najżywszego zainteresowania pięknego odczytu majora Tochmana o historji i krzywd i cierpień jego ojczyzny, Polski.

"Postanawiamy, że, ciesząc się sami błogosławieństwami wolnego rządu, uczuciami i sympatjami jesteśmy zawsze z tymi, którym nie wiedzie się walka o wolność; i my, jak ongiś ojcowie nasi, z najwyższym podziwem patrzyliśmy na wytrwałą i nieustraszoną walkę tego ofiarnego narodu przeciw swym ciemięzcom. I uznajemy z wdzięcznością zasługi Kościuszki i Pułaskiego, którzy wspólnie dzielili niebezpieczeństwa z naszymi ojcami w pełnej wydarzeń walce, jaka dała nam miejsce wśród niepodległych narodów świata.

"Postanawiamy, że sprawa Polski jest sprawą wolności i sprawą ludzkości przeciw tyranji i sile; i chociaż Polska leży obecnie powalona przez potężne ramię despotyzmu i zdeptana jego nogą, jej cierpliwa wielkoduszność i jej niezwyciężona stałość wróżą już świt lepszego jutra.

"Postanawiamy wyrazić majorowi Tochmanowi nasze najlepsze życzenia osobistego powodzenia i sukcesu przedsięwzięcia, którego się podjął".

Rezolucje te podpisał speaker Holleman i sekretarz Toler. Tochman zrobił takie wrażenie na prawodawców Virginii, że jednogłośnie zaprosili go, by przy najbliższej okazji powtórzył swój odczyt, jednakowoż do tego już nie doszło.

W następujących miastach przemawiał jeszcze Tochman w ciągu roku 1843:

W Baltimore, Md., trzykrotnie: 20 stycznia, 25 lutego i 1 marca; dwa ostatnie wiece były pod przewodnictwem wybitnych wojskowych.

W Norfolk, Va., 18 kwietnia, przed zebraniem milicji Light Artillery Blues.

Portsmouth, Va., 25 kwietnia.

Frederick, Md., 21 maja. pod przewodnictwem senatora stanowego R. Pottsa.

Gettysburg, Pa., 13 czerwca.

Lancaster, Pa., 4 lipca, na zebraniu organizacji Lancaster Fencibles.

Cambridge, Md., 3 sierpnia.

Westminster, Md., 7 sierpnia.

W roku 1844-ym — ostatnim w tej pracy agitacyjnej Tochmana — najważniejszym był jego występ przed stanową konwencją w hali

Izby Niższej legislatury w Trenton, N. J., dnia 18-go maja. Zebraniu przewodniczył gubernator Mahlon Dickerson a wymowne rezolucje wniósł pułkownik Zabriskie, jeden z delegatów konwencji i potomek dawnych wychodźców polskich:

Rezolucje brzmiały:

"Ponieważ zebrani słyszelj z najgłębszem zajęciem odczyt majora Tochmana o krzywdach i okrutnych prześladowaniach, znoszonych przez dzielny i rycerski naród jego nieszczęśliwej ojczyzny, a uważając to za swój obowiązek względem wielkiej sprawy wolności, za którą tak wielu synów Polski tak szlachetnie walczyło, dlatego

"Postanawiamy, że sympatyzujemy jak najszczerzej z uciśnionymi synami i córkami Polskj, której historja jest jednem ciągłem pasmem cnót i ofiarnego patrjotyzmu;

"Postanawiamy, że to publiczne wyrażenie naszych uczuć dla dzielnego, ale okrutnie uciśnionego narodu polskiego należy się z naszej strony wielkiej sprawje wolności jak i pamięci jej najszlachetniejszych bojowników, którzy dzielnie walczyli przy boku naszych ojców w wielkiej wojnie za naszą niepodległość;

"Postanawiamy, że wyrażamy majorowi Tochmanowi nasze sympatje i najlepsze życzenia zdrowia i pomyślności, i szczerze ufamy, że czas jest niedaleki, kiedy jego ojczyzna zostanie uwolniona z niewoli i odzyska swą państwowość i niepodległość".

Za przyjęciem rezolucji przemawiał gorąco William Halsted, poczem przyjęto je jednogłośnie.

Ostatnie swe trzy odczyty wygłosił Tochman w Westchester, Pa., 7-go lutego 1844; w Plymouth, Mass., 27 lutego, i w Trenton, N. J., 23 maja. Ten ostatni wiec odbył się pod przewodnictwem gubernatora W. Penningtona.

Czteroletnia działalność agitacyjna Tochmana nie mogła pozostać bez wyników.

Wszystkie te "manifestacje opinji publicznej" — jak sam pisze w jednym ze swych listów polemicznych — "nie są bezowocne. We Francji i Anglji po każdej takiej manifestacji w salach ciał ustawodawczych, następowały dyplomatyczne noty albo protesty rządu rosyjskiego. W tym kraju takie noty dyplomatyczne nie byłyby brane pod uwagę i z tego właśnie powodu manifestacje opinji publicznej w obronie mej ojczyzny ze strony narodu Stanów Zjednoczonych są tem skuteczniejsze; dochodzą one do uszu ludów całej Europy i samego Mikołaja".

Dochodziły one rzeczywiście do uszów cara i ściągnęły zemstę jego z okazji sprawy spadku Kościuszki nie tylko na samego Tochmana, ale i na spadkobierców, których zastępował w sądach amerykańskich. Tochmanowi gniew carski nie wiele mógł już zaszkodzić, jako obywatelowi amerykańskiemu, ale Władysław Wańkowicz, prawnik

Kościuszki z bocznej linji, stracił swój majątek na Litwie za to tylko, że wybrał "buntownika" Tochmana na swego adwokata.

Równocześnie ze swą akcją odczytową Tochman walczył piórem w prasie amerykańskiej w obronie Polski, atakowanej przez stronniczych lub nieświadomych pisarzy. Gazety ówczesne pełne są tochmanowych "Polonjad", który to przydomek nadali przeciwnicy jego rozprawom. Boje te słowne toczyły się miesiącami i latami. Tak naprzykład, spór ze wspomnianym już Williamem Darby z Waszyngtonu, zagorzałym zwolennikiem Rosji, trwał przez przeszło trzy lata w rozmaitych gazetach, głównie zaś w nowojorskim "National Intelligencer", i omal nie wywołał wielkiej publicznej dysputy przed kongresem Stanów Zjednoczonych.

Darby pierwszy wyzwał Tochmana na pojedynek ustny, zapowiadając, że dla usprawiedliwienia rozbiorów Polski zobowiązuje się "w przeciągu godziny wykazać na podstawie dowodów historycznych, iż korona polska była po śmierci każdego króla przez przeszło dwa wieki przed pierwszym rozbiorem jedynie tylko zabawką, ofiarowywaną przez rozmaite stronnictwa kandydatom rosyjskim, pruskim, austrjackim, francuskim i t. d."

Tochman godził się w zasadzie na publiczną dysputę, ale słusznie domagał się zmiany tematu.

"I o czem p. Darby chce ze mną rozprawiać? Jedynie tylko o sporach stronnictw politycznych!" — odpowiadał mu Tochman w "National Intelligencer" z 22 maja 1843. — "Nie zaprzeczam, że przodkowie nasi mieli wiele kłopotu z wyborem królów; że trafiło się raz czy dwa razy, iż wybrano dwuch królów równocześnie, i że ci spierali się z bronią w ręku o prawowitość swego wyboru, ale czyż fakty te usprawiedliwiają zbrodnie najeźdźców i rabusiów Polski? Czyż którykolwiek naród ma prawo mieszać się do wewnętrznych spraw drugiego? Czy p. Darby mógłby mi pokazać chociażby tylko jedną rodzinę wolną od podobnych wypadków?

"Celem moich odczytów nie jest jednakowoż bronić lub potępiać stronnictwa, które działały w Polsce w ciągu jej istnienia jako państwo niepodległe. Przedstawiam w prawdziwem świetle jej urządzenia, wyjaśniam proces rozwoju jej wolnościowych zasad, nauki i literatury — i chcę wykazać, przy pomocy stwierdzonych faktów, że polityka jej zawsze dążyła do dobra ludzkości, do zdobycia praw człowieka i do polepszenia warunków bytu wśród wielkiej masy jej własnego narodu. Na podstawie tych właśnie zasad potępiam rozbiór mej ojczyzny jako nieusprawiedliwiony, szkodliwy dla interesów wszystkich wolnych ludzi i zagrażający bezpieczeństwu wolnego narodu. Jeżeli p. Darby pragnie nadal usprawiedliwiać zbrodnie jej oprawców i stanąć ze mną do dysputy na powyższy temat, jestem gotów przyjąć jego wyzwanie. Kiedy zacząłem objeżdżać i wygłaszać mowy w tym kraju, za swych sędziów wybrałem mieszkańców wielkiej republiki amerykańskiej i ich przedstawicieli i będę to uważał za je-

den z największych zaszczytów, o jakie taki pielgrzym, jak ja, może się ubiegać, jeżeli mi będzie dozwolonem przedstawić sprawę mojej ojczyzny przed ich Najwyższym Trybunałem w Waszyngtonie — przed członkami Kongresu".

Do dysputy nie doszło, gdyż Darby nie chciał ustnie i publicznie omawiać słuszności rozbioru Polski, zadawalniając się tem, że może pisemnie i pod pseudonimem wychwalać go jako błogosławieństwo dla świata.

Dalszym ciągiem agitacji polskiej Tochmana było w r. 1846 zorganizowanie "Polsko-Słowiańskiego Literackiego Stowarzyszenia stanu New York" (Polish Slavonian Literary Association in the State of New York).

Statut stowarzyszenia został zatwierdzony przez legislaturę nowojorską 26-go marca 1846. Celem jego było rozszerzanie wśród Amerykanów wiadomości o historji, literaturze i sztuce Słowian, przedewszystkiem zaś Polski. Spis członków stowarzyszenia to spis niemal wszystkich, którzy wówczas w Ameryce stali u czoła narodu.

Jest wśród nich i William H. Seward, późniejszy sekretarz stanu w gabinecie Lincolna; i Samuel J. Tilden, jeden z najwybitniejszych polityków i w r. 1876 demokratyczny kandydat na prezydenta; i Reverdy Johnson, generalny prokurator Stanów Zjednoczonych w gabinecie Taylora; i Levi Woodbury, sekretarz skarbu w gabinecie Jacksona, potem sędzia Najwyższego Trybunału Stanów Zjednoczonych; i Albert Gallatin, były minister przy rządzie francuskim; i Jared Sparks, sławny historyk; i dr. Samuel Gridley Howe z Bostonu, "poprzednik Hoovera w Polsce"; i Fitz Greene Halleck, poeta; i Horace Greeley, redaktor i wydawca "New York Tribune"; i William Cullen Bryant, poeta i redaktor "New York Evening Post"; i Josiah Quincy, młodszy, burmistrz Bostonu, ongiś główny mówca na uroczystości poświęcenia sztandarów, ofiarowanych przez młodzież bostońską armji polskiej; i długi szereg nazwisk senatorów, reprezentantów, profesorów, biskupów, księży i pastorów, bankierów, sędziów, adwokatów, redaktorów i literatów, wogóle przedstawicieli wszelkich zawodów aż do najwyższych dygnitarzy kraju.

Z wychodźców polskich byli pomocni Tochmanowi przy zakładaniu tego stowarzyszenia: Paweł Sobolewski, profesor Henryk Kałussowski i dr. Feliks P. Wierzbicki.

Stowarzyszenie posiadało nadto członków honorowych, do których zaliczeni byli koryfeusze sztuki i nauki z najrozmaitszych krajów europejskich.

Musiał więc Tochman zajmować wysokie stanowisko w społeczeństwie amerykańskiem, jeżeli udało mu się przyciągnąć tyle wybitnych osób do tego stowarzyszenia. Dalsze jednak losy tego zrzeszenia są nieznane...

W r. 1852 osiadł Tochman w Wirginji, skąd dojeżdżał do pobliskie

go Waszyngtonu, o ile tego wymagał jego zawód adwokacki. Miał bowiem prawo praktyki przed Najwyższym Trybunałem.

Przejąwszy się zasadami Południowców, stanął po ich stronie po wybuchu wojny domowej. Rady jego niemało zaważyły na szalach decyzyj w krytycznej chwili. Mianowany generałem, udał się do Nowego Orleanu i tam zorganizował "Brygadę Polską". Jednakowoż rząd konfederacki, — skutkiem, zdaje się, intryg politycznych, — odmówił zatwierdzenia jego rangi. Tochman, zniechęcony, złożył dowództwo. Potem w kilku memorjałach upominał się od kongresu konfederackiego o zwrot pieniędzy, wyłożonych na rekrutację owej brygady. Nim zdołał odzyskać swoje, wojna skończyła się a z jej końcem przepadły i jego pieniądze.

(O roli Tochmana w wojnie domowej piszę obszernie w pracy "Udział Polaków w wojnie domowej amerykańskiej", którą od paru lat przygotowuję do druku.)

Burza wojenna zrujnowała Tochmana materjalnie. W r. 1867 gubernator Wirginji zamianował go jednym z dwuch "agentów dla europejskiej imigracji". Był to urząd specjalnie stworzony przez legislaturę w r. 1866 celem ożywienia i zwiększenia imigracji do Wirginii, spustoszonej i wyludnionej przez wojnę.

Herrmann Schuricht, historyk niemiecko-amerykański, w swem dziele "History of the German Element in Virginia" życzliwie o nim wspomina:

"W r. 1866 został zorganizowany (w Wirginii) Wydział Imigracyjny a generała K. Tochmana i p. B. Barboura mianowano agentami imigracji na Niemcy i Anglję. Jednakowoż stan nie zobowiązywał się ponosić kosztów tej imigracji i z powodu tej oszczędności nie można było spodziewać się większych rezultatów. Pułkownik Fr. Schaller został upoważniony przez gen. Tochmana do wyjazdu do Niemiec i odwiedzenia swej rodzinnej Saksonji celem ściągnięcia imigrantów do starej kolonji. Ale sukces był bardzo nikły. Pomimo to pełne uznanie należy się gen. Tochmanowi za jego starania i dobrą wolę... Po tym zawodzie w służbie jako agent imigracyjny opuścił on Wirginię w zniechęceniu".

Co się potem stało z Tochmanem, niewiadomo. Ale powyższe szczegóły wystarczą, by mu zapewnić miejsce w historji wychodźtwa polskiego w Ameryce.

Nie wiedzieliśmy o nim nic dotychczas. Zaledwie niewielu z nas znało go z nazwiska. Tymczasem zaś postać to, bądź co bądź, niecodzienna. Poświęcić się bowiem propagowaniu sprawy polskiej wśród obcych i przez lata wytrwale misję swą spełniać — na to trzeba prawdziwej miłości ojczyzny.

Przyjechać do obcego kraju z ubogim tobołkiem wychodźcy w ręku, a w krótkim stosunkowo czasie dobić się wysokiego stanowiska, wejść w przyjaźń i poważanie u najpierwszych w narodzie — tego też

nie każdy potrafi. A stąd przecie chluba nietylko dla jednostki, ale i dla ogółu rodaków.

Niechże więc ci, którzy pisać będą w przyszłości historję imigracji naszej, zostawią w niej także wybitną kartę dla Tochmana. Słusznie należy się to wytrwałemu apostołowi sprawy polskiej w Ameryce.

XVI.

Dr Karol Kraitzir

Węgrem był, nie Polakiem, ale i jemu należy się życzliwe, choćby krótkie wspomnienie za oddanie się sprawie polskiej z młodzieńczym zapałem i za udział w życiu dawnych polskich emigrantów w Ameryce.

Doktor Karol Kraitzir urodził się dnia 28-go stycznia 1804 roku w Smolnicach (Szomolnok) na Węgrzech. Po ukończeniu szkół niższych, wstąpił na uniwersytet w Budapeszcie i w r. 1828 uzyskał stopień doktora medycyny.

Niedługo jednak pracował w swej ojczyźnie. W dwa lata potem, na odgłos strzałów 29-go listopada, w młodym Węgrze, zadrgało zapalne serce. Porzucił spokojny kąt i chleb i pośpieszył do Warszawy, aby oddać swe usługi powstaniu polskiemu. Odbył chlubnie całą kampanję jako lekarz armji polskiej a po pogromie razem z towarzyszami broni uszedł do Francji, aby dzielić ich tułaczkę.

Na emigracji brał dalej czynny udział w życiu polskiem. Był nawet członkiem lelewelowskiego Komitetu Narodowego Polskiego.

Myśl gromadnego przesiedzenia się z Francji do Stanów Zjednoczonych ogarniała wówczas naszych tułaczy, prześladowanych i dręczonych przez obłudny rząd francuski. Uważali wszak Amerykę za "jedyny kraj, godny zostania schroniskiem ludzi, którzy poświęcali wszystko dla sprawy wolności". Dr. Kraitzir był jednym z tych nielicznych, którym udało się urzeczywistnić to niedościgłe dla innych marzenie.

W roku 1833-im wyjechał do Stanów Zjednoczonych i osiadł zrazu w Nowym Jorku. Kiedy dnia 31 marca 1834 zawinęły do portu nowojorskiego dwie austrjackie fregaty z 235 powstańcami, deportowanymi z Trjestu, dr. Kraitzir zaopiekował się wygnańcami i, wybrany do ich komitetu, rozpoczął starania o uzyskanie dla nich ziemi. Podpisy jego widnieją na kilku memorjałach, przedłożonych kongresowi Stanów Zjednoczonych. Woził je nawet sam do Waszyngtonu i następnie niejednokrotnie upominał się u władz o wykonanie już uchwalonego aktu darowizny. Zabiegi jego i innych pozostały bez skutku; powstańcy nigdy nie osiedli na wyznaczonych sobie gruntach w stanie Illinois. Samo prawo przez swą wadliwość uniemożliwiło im korzystanie z daru.

W związku ze sprawą gruntów polskich dr. Kraitzir napisał i wydał książkę pod tytułem "Polacy w Stanach Zjednoczonych" (The Poles in the United States, proceeded by the earliest history of the Slavonians and by the history of Poland, Philadelphia, January, 1837.)

Książka ta stanowi ciekawy zabytek wczesnych wydawnictw polskich w Ameryce i dowód dobrych chęci autora, ale darmo szukalibyśmy w niej szczegółów o polskiej imigracji w Ameryce, jakby można spodziewać się po tytule.

Autor, przeprosiwszy w przedmowie za słaby język angielski, którego nauczył się dopiero podczas "tułactwa polskiego", połowę dzieła, t. j. 90 stron, poświęca historji Słowian od najdawniejszych, mitycznych, początków aż do powstania państwa polskiego, drugą zaś połowę, od str. 91 do 192, pobieżnej historji Polski. Tylko cztery ostatnie stronice zawierają właściwą treść książki.

W ostatnim tym rozdziale znajdujemy memorjał wygnańców polskich, datowany z Nowego Jorku, dnia 9-go kwietnia 1834, do kongresu Stanów Zjednoczonych i akt kongresu, nadający im grunta. (Oba te dokumenty podane są w szkicu p. t. "Historja gruntów polskich w Illinois".) Wkońcu jest dodatek, przypisujący Albertowi Gallatinowi, przewodniczącemu komitetu pomocy Polakom w Nowym Jorku, wszystkie niepowodzenia, jakie spotkały wygnańców w staraniach o ziemię. Gallatin z pewnością nie zasługiwał na tę naganę.

Wyuczywszy się języka angielskiego, dr. Kraitzir poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu. W roku 1837 założył zakład naukowy, zwany Akademją, w Ellicott's Mills, Ind. Potem przeniósł się do Waszyngtonu ,uczył też przez jakiś czas Wirginii, a w latach 1841-1842 był przełożonym stanowej Akademji Maryland.

Później losy przerzuciły go na północ. Od roku 1842 do 1844 wygłaszał w Bostonie odczyty o filozofji i założył tam szkołę. W r. 1848, kiedy powstały rodzinne jego Węgry, pośpieszył do Europy ,aby podnieść broń za ojczyznę, zdaje się jednak, że nie zdołał się przedrzeć na plac boju. Powrócił więc do Bostonu. W r. 1851 przeniósł się do Nowego Jorku. Ostatnie lata życia spędził w Morrisania, N. Y., zajęty pracą naukowo-literacką, głównie z zakresu językoznawstwa.

Z pod pióra jego wyszły "Pierwsza czytanka angielska" (First book of English) i "Znaczenie alfabetu" (Significance of Alphabet), wydane w Bostonie w r. 1846. Późniejszą jego pracą jest "Glossologja, czyli rozprawa o naturze języka i języku natury" (Glossology being a treatise on the Nature of Language and on the Language of Nature) wydana w Nowym Jorku w r. 1852.

Umarł dnia 7-go maja 1860 r. w Morrisania, N. Y.

Do końca życia dr. Kraitzir żył w bliskich stosunkach z Polakami — spolszczył się niemal zupełnie. Utrzymywał żywą korespondencję z polską emigracją na zachodzie Europy, ale przekonaniami swemi skłaniał się ku radykalizmowi. Bolesław Limanowski w życiorysie Stanisława Worcella wspomina o sympatjach Kraitzira dla "Ludu Polskiego", emigracyjnej organizacji komunistyczno-narodowej, wyrosłej z Towarzystwa Demokratycznego w koszarach w Portsmouth wśród żołnierzy-chłopów, zatrzymanych w Anglji w r. 1835 podczas drogi do Ameryki. "Lud Polski", pisze Limanowski, "miał w Ameryce przyjaznego sobie Kraitzira, którego gorąca miłość ludzkości w czasie rewolucji naszej z Węgier do Polski zagnała i kazała mu ze sprawą ludowo-polską wieczne, nierozerwane zawrzeć przymierze".

XVII.

Prawdziwa Potwora

(SZKIC O ADAMIE HR. GUROWSKIM)

Szkoda go może i odgrzebywać z zapomnienia...

Wyparł się Polski, wyrzekł się wiary w tryumf słusznej sprawy, został dobrowolnym sługą jej wrogów i rozbitkiem bez ideałów.

Renegat — oto określenie Adama hrabiego Gurowskiego.

Zaprzaństwo leżało w jego naturze. Co czcił dzisiaj, na to gotów był plunąć jutro, z patrjoty umiał się przerobić w najradykalniejszego komunistę, z komunisty przerzucić się na wielbiciela caratu, a z carysty zostać ultra-republikaninem, ale po to tylko, by przy lada sposobności dezertować pod jaki nowy sztandar.

"Prawdziwa potwora" — nazywa go Ignacy Domejko w swych pamiętnikach i dodaje,że "umiał ująć, obałamucić i zdradzić, kogo chciał. W salonach był na wielką skalę arystokratą, w klubach czem chesz: radykalnym, komunistą i terrorystą".

Charakter podły, pozbawiony jakichkolwiek podstaw moralnych; ciągły tułacz, szukający wszędzie ojczyzny dla siebie i nigdzie jej nie znajdujący; wędrowny kuglarz mrzonkami społeczno-politycznymi — takim był Adam hrabia Gurowski, powstaniec-emigrant z roku 1831, który po haniebnej karjerze życie swoje w Ameryce zakończył.

I doprawdy, szkoda by może i pisać o nim, gdyby nie to, że w dziejach powstania listopadowego znaczną odegrał rolę, że potem na emigracji we Francji czas jakiś rej wodził, że i tu w Ameryce dzięki swym stosunkom i zdolnościom wybił się wyżej, niż inni z dawnych jego towarzyszów broni, że wreszcie niektóre z dawniejszych podręczników historji polskiej, używane w naszych szkołach parafjalnych, niesłusznie wspominały go wśród zasłużonych dawnych emigrantów polskich.

Miał Gurowski, wedle słów Domejki, "światowe wykształcenie, światowe grzeczne ujęcie i twarz dosyć szlachetną, choć zimną i choć był jednooki. Z wielką łatwością mówił kilku językami i okazywał niepospolite zdolności w wysłowieniu się". W Ameryce obracał się wśród najwyższych sfer, działał w czasach ważnych dla narodu amerykańskiego i polskiego. Mógł życiem swem zarobić na wdzięczną u rodaków pamięć, zyskał hańbę i potępienie.

Historja nie dobiera charakterów. Bierze i opisuje je tak, jak się zarysowały na kartach przeszłości. Jeśli więc godną jest rzeczą pisać o jasnych pamiątkach polskich w Ameryce, równie słuszną jest poznać tę, tak mało jeszcze znaną przeszłość i w rzeczach ujemnych.

Gurowski urodził się dnia 10-go września 1805 roku w Rusocicach, w ziemi kaliskiej, jako potomek rodziny bardzo smutnie zapisanej w okresie rozbiorowym. Wydalony w r. 1818 i ponownie w r. 1819 z gimnazjum w Warszawie i Kaliszu za rewolucyjne demonstracje, kształcił się dalej w niemieckich uczelniach w Lipsku, Getyndze i Heidelbergu. Powrócił potem do Polski i zrazu przebywał w Poznań-

skiem, następnie zaś w Królestwie, gdzie poświęcił się zajęciom rolniczym i literackim.

Gdy nadeszły gorące czasy przedpowstańcze, Gurowski stanął zrazu w pierwszym szeregu patrjotów. Razem z Maurycym i Kamilem Mochnackim, Piotrem Wysockim, Sewerynem Goszczyńskim, bratem swym, Józefem, i innymi należał do związku podchorążych, który ostatecznie doprowadził do wybuchu powstania. Sławny, chociaż niedoszły do skutku tak zwany spisek koronacyjny, który miał na celu zamordowanie Mikołaja na placu Saskim w dniu koronacji na króla polskiego, był głównie dziełem Gurowskiego.

Po nocy listopadowej, w owym ciężkim okresie, kiedy to w Warszawie przez dwa miesiące ruch rewolucyjny, dążący do śmiałego unarodowienia i rozszerzenia powstania, zmagał się z ruchem kontrrewolucyjnym, niewierzącym w przyszłość, bojącym się wojny i zerwania z Rosją i każdego stanowczego kroku, Gurowski rzucił się w wir agitacji, został jednym z najżarliwszych klubistów i jednym z kierowników prądu rewolucyjnego. Mochnacki, pisząc w swem "Powstaniu Narodu Polskiego" o Gurowskim w ówczesnej postaci, przyznaje, że był "pełny talentów, żywy dowcip, na demagoga stworzony, niezmordowany", ale też wytyka, iż był "ambitny, niestały jak powietrze, fantastyk, wichrzyciel, ze złemi zbyt porywczemi manierami".

Wszelako w tej chwili, może jedyny raz w życiu, serce w piersi czerwonego hrabiego biło naprawdę szlachetnie. Świadczy o tem fakt, że stanąwszy przed rejentem w Kaliszu, nadał "na własność wieczystą po 24 morgi ziemi, wrąb na opał i pastwisko każdemu z włościan ze swych dóbr, który w obecnej wojnie walczyć będzie za wyjarzmienie ojczyzny".

Gurowski brał udział w organizacji pierwszego klubu rewolucyjnego w Warszawie, był najgłośniejszym krzykaczem w osławionej kawiarni Honoratce, potem pracował nad organizacją Towarzystwa Patrjotycznego, ale też był główną przyczyną "hajdamactwa", jakie rozgnieździło się w obozie rewolucyjnym i skrzywiło jego działalność. On to w dniu 25-go stycznia powiódł przed Sejm teatralny pochód pogrzebowy na cześć straconych rewolucjonistów rosyjskich; on to wówczas pod kolumną Zygmunta równie teatralnie w czapce czerwonej z białem piórem przemawiał do pospólstwa, podniecając je do rozruchów przeciw Sejmowi.

Mochnacki wnet porzucił niedołężne Towarzystwo Patrjotyczne i wziął pióro do ręki i wtedy Gurowski za własne fundusze założył mu dziennik " Nową Polskę". Z łam jego płomienny trybun ludu ciskał ostatnie swe pioruny rewolucyjne językiem, jakiego Polska od Skargi niesłyszała. Gurowski był zresztą sam współredaktorem "Nowej Polski". Gdy znów potem Mochnacki, widząc bezowocność swej walki z półśrodkowością władz rządzących i ich niewiarą w zwycięstwo, wstąpił do wojska, Gurowski razem z nim poszedł na pole walki. Ramię przy ramieniu walczyli w pierwszym pułku strzelców pieszych,

w brygadzie Bielińskiego, w dywizji Szembeka. Stoczyli szereg potyczek, byli pod Okuniewem i Wawrem, gdzie nawet Gurowski odznaczył się walecznością.

Ale tu już nastąpił pierwszy przełom w historji jego żywota. Ogień patrjotyczny prędko wypalił się w duszy Gurowskiego, nie zostawiając ani iskry po sobie.

Po bitwie pod Wawrem stchórzył. Przewidując klęskę powstania "zawczasu pomyślał o sobie i postanowił umknąć z Warszawy, nim wejdą do niej wojska rosyjskie", jak podaje Artur Śliwiński w dziele p. t. "Maurycy Mochnacki". "Ucieczkę swoją upozorował jakąś misją dyplomatyczną, którą jakoby otrzymał od ówczesnego ministra spraw zagranicznych Małachowskiego". Cała ta misja była tylko wybiegiem. Małachowski rad był pozbyć się ze stolicy i z wojska krzykliwego agitatora, więc dał mu na drogę próżną kopertę do legacji polskiej w Paryżu, a tamtejszych przedstawicieli polskich zawczasu poufnie uprzedził o przyjeździe i charakterze Gurowskiego. Oddawszy rzekomy list, Gurowski nie kwapił się już z powrotem do Polski. Pozostał w Paryżu i "wszedł w stosunki z działaczami ludowymi we Francji. Gładki, obrotny, pełen zalet towarzyskich, nie zdążył jeszcze się zdradzić, i mimo swój wyjazd z Warszawy, który stał się głośnym, w Paryżu z powodzeniem grał rolę zagorzałego demokraty i rewolucjonisty".

Po upadku powstania, gdy "emigracja zaczęła napływać do Francji, Gurowski odrazu zajął wśród niej miejsce widoczne. Ceniąc niespolity umysł Mochnackiego, zbliżył się doń i znowu razem z nim rozpoczął walkę" przeciw Komitetowi Tymczasowemu Emigracji Polskiej, pierwszej organizacji wychodźczej, na której czele stał Bonawentura Niemojewski, ostatni prezes Rządu Narodowego. Z opozycji tej powstał Komitet Narodowy Polski, w którym Joachim Lelewel był prezesem, a Gurowski członkiem zarządu. Gdy i ten Komitet nie zadowolił Gurowskiego, rozbił go i wspólnie z kilkunastoma innymi jego członkami stworzył Towarzystwo Demokratyczne Polskie, które z czasem skrystalizowało się w lewicę emigracyjną.

Na bruku paryskim zetknął się Gurowski z wybitnymi członkami emigracji, ale charakter jego odstręczył od niego wszystkich. Stosunki ich wzajemne objawiały się w sporach i pojedynkach. Poznał się też, między innymi, z Mickiewiczem. Genjalny poeta w liście do Stefana Garczyńskiego z 5-go marca 1833 r. donosił, że Gurowski chce go ośmieszyć i ogłupić w pismach zagranicznych, aby "Polacy tem łatwiej uwierzyli, a obcy nie mogli sprawdzić". Mickiewicz nie robił sobie wiele z tych wysiłków hrabiego. "Cała ta historja moich przyjaciół gniewa, mnie śmieszy", dodawał Garczyńskiemu. Gurowski zachował na zawsze niechęć do poety i nawet w Ameryce po jego już śmierci będzie mu odmawiał talentu i uczucia i oczerniał w swych pismach amerykańskich.

Z jednym tylko Mochnackim żył na stopie przyjacielskiej do cza-

su, aż ten poznał się na nim. "Gurowski okulbaczył był Maurycego, korzystając z jego talentów i zdolności i wszędzie go na sztych wysadzał" — pisze serdeczny przyjaciel Mochnackiego, Michał Podczaszyński, do matki tegoż z Metzu, 6-go marca 1832. "Maurycy dobry jak anioł, zbyt towarzyski, nie umiał się odczepić od niego i chcąc nie chcąc brnął z nim razem... Nigdy ja tego człowieka nie lubiłem. Bez planu w działaniach, bez zdania o ludziach i rzeczach, nic nie ma stałego, wszystkiego żąda czego nie masz, więc się zdaje czasem, że ma racją, ale dobrej rzeczy nie żąda dla tego, że dobra, tylko dla tego, że jej nie ma; jak prędko chwyta, tak prędko porzuca, do żadnej myśli się nie przywięzuje, w żadnem żądaniu wytrwać nie może, bredzi,tumani,poniewiera wszystko, czego najlepszego się tknie, to znikczemni i spodli w swych rękach. Namiętności jego zapalone nie wiodą do niczego dobrego, szlachetnego, ani rozumnego. Jednem słowem, właściwsze mu miejsce w kozie, lub u Bonifratrów, jak w radzie".

W r. 1834 redagował Gurowski w Paryżu pismo p. t. "Przyszłość" ale już wnet potem, w jesieni tegoż roku, "sam — jak pisze dalej Śliwiński — zdziera z siebie maskę i z odwagą całej swej bezczelności zamieszcza w gazetach nowe wyznanie wiary, w którem potępia powstanie, emigrację, cały naród polski i oświadcza, że prosił cesarza Mikołaja o amnestję. Ten cynizm i to w czasie, kiedy w Petersburgu zapadał dekret śmierci na wybitniejszych uczestników powstania (między skazanymi na śmierć przez powieszenie znajdowali się wszyscy głośniejsi klubiści, a między nimi i sam Gurowski), zdumiał wszystkich, przeraził nawet i tych, których trudno było czemkolwiek przerazić. Głęboko musiał odczuć postępek Gurowskiego i Mochnacki, bo z renegatem żył w swoim czasie bliżej, niż inni".

Zerwawszy z ojczyzną, przekreśliwszy odrazu wszystko, co do niedawna zdawało się być mu święte, Gurowski posunął się jeszcze krok dalej i w r. 1835 wydał dzieło po francusku p. t. "La verite sur la Russie" (Prawda o Rosji), w którem propagował ideę zlania się wszystkich ludów słowiańskich w jedną całość polityczną pod berłem cara. Dzieło było wodą na młyn rosyjski i zwróciło uwagę władz petersburskich na autora. Gurowski odrazu znalazł się w łaskach rosyjskich. Uzyskał amnestję, otrzymał pozwolenie na powrót do Rosji, a nawet dostał zaproszenie do wejścia w służbę rządową. Gurowski skwapliwie z tego skorzystał i w roku 1836 udał się do Petersburga, gdzie oddawna mieszkała jego siostra, dama dworu carowej, ciesząca się jej szczególnymi względami

Zrazu pracował Gurowski w prywatnej kancelarji cara, potem w ministerstwie oświecenia publicznego, gdzie zaprojektował i wprowadził w czyn rozmaite ukazy, zmierzające do rusyfikacji Polaków. Przez jakiś czas rósł w łaskach i względach carskich. Otwierała się

przed nim świetna karjera. Jakoś w tym czasie ożenił się i owdowiał, a syna potem oddał do służby wojskowej rosyjskiej.

Niedługo jednak trwała zgoda między renegatem a ciemięzcami zdradzonej ojczyzny. Niespokojny duch i niepohamowany język nigdzie nie pozwalały mu długo zagrzać miejsca i wszędzie wprowadzały go w kłopoty i nieprzyjemności. Pozatem Gurowski, zrywając z polskością i pozorując zdradę zmianą przekonań, czynił to w znacznej mierze z powodów materjalnych; chodziło mu bowiem o odzyskanie skonfiskowanego majątku. Po konfiskacie popowstaniowej rząd obdarzył nim jednego z jego braci, który nigdy nie zgrzeszył podniesieniem broni przeciw carowi. Póki Gurowskiego ożywiała nadzieja odzyskania dóbr, póty podlił się carowi, póty język trzymał w karbach. Ale skoro poznał, że starania jego są daremne, wnet sprzykrzyła mu się służba rosyjska. Zachowaniem swem doprowadził wreszcie do tego, że w roku 1844 musiał chyłkiem uciekać z Rosji, aby uniknąć uwięzienia i Sybiru.

Ucieczka Gurowskiego z Rosji stała się głośnym wypadkiem w Europie. Uciekinier schronił się zrazu do Berlina. Rząd petersburski, posiadający znaczne wpływy na dworze pruskim, starał się o jego wydanie, ale uzyskał tylko tyle, że Gurowskiemu kazano opuścić granice Prus. Wówczas udał się naprzód na uniwersytet do Heidelberga, a potem do Monachjum, gdzie oddał się pracy naukowej. Następnie przez dwa lata był profesorem ekonomji politycznej na uniwersytecie w Bernie szwajcarskiem. W tym czasie wydał kilka dzieł politycznych w językach niemieckim i francuskim, wrogich Polsce i panslawistycznych. Tułał się potem po Włoszech, aż w roku 1848 powrócił do Paryża, a w następnym, zaopatrzywszy się w listy polecające od wybitnych osób, wyjechał szukać szczęścia w Ameryce.

W listopadzie 1849 r. wylądował w Nowym Jorku. Jakób Fenimore Cooper, sławny powieściopisarz amerykański, notuje w liście do żony z Nowego Jorku w grudniu 1849: "Hrabia Gurowski, jednooki Polak, który odwiedzał nas w Paryżu, jest w moim domu i rozmawiałem z nim dziś rano".

Był to pierwszy krok Gurowskiego na nowym lądzie. Nie popasawszy długo w Nowym Jorku, udał się do Bostonu i tam listy polecające od znakomitości paryskich otwarły mu dostęp do najwyższych sfer towarzyskich. Do przyjaciół jego w tym okresie należeli historycy Prescott i Ticknor, poeci Longfellow i Lowell, pastor Parker, senator Sumner, profesorzy Felton i Everett, ówczesny prezydent uniwersytetu Harvard.

Ekscentryczny wygląd i charakter Gurowskiego wywołały wśród Amerykanów ogólne zajęcie się jego osobą. Na ucho szeptano sobie, że jest szpiegiem rosyjskim, ale w oczach obywateli Nowej Anglji nazwa ta była zupełnie niewinnem określeniem. Ameryka nie oba-

wiała się niczego ze strony zaprzyjaźnionej z sobą Rosji, ani nie miała żadnych nadzwyczajnych tajemnic do szpiegowania.

Właściwym powodem podróży Gurowskiego do Bostonu była nadzieja uzyskania katedry na uniwersytecie Harvard. Stosownie do tego zamieszkał w Cambridge, w prywatnym hotelu przy ul. Main, blisko uniwersytetu. W styczniu 1851 r. urządził w domu Everetta cykl wykładów o prawie rzymskiem, zanadto jednak specjalny, aby mógł zainteresować nawet prawników amerykańskich. Skutkiem tego sala podczas wykładów świeciła pustkami. Zaledwie dwadzieścia czy trzydzieści osób uczęszczało na nie a i te nudziły się podczas nich rzetelnie. Gdyby nawet temat był bardziej interesujący dla Amerykanów, Gurowski nie mógł liczyć na powodzenie jako prelegent z powodu braków językowych. Znając doskonale język angielski teoretycznie, posiadając wielki zapas słów, mówił tak obcym akcentem, że tylko z trudnością można go było zrozumieć. Skutkiem tego, zdaje się, minęła go też posada na uniwersytecie Harvard.

Łaskawość, z jaką przyjęto Gurowskiego wśród arystokracji bostońskiej, niedługo zamieniła się w niechęć i złość, gdy zaczęto poznawać jego charakter i odczuwać żądła jego szyderczej krytyki. Wyśmiewał wszystkich i wszystko dokoła. Uciszyć go było niemożliwością. Powoli coraz więcej odsuwano się od niego. Kiedy wreszcie raz w prywatnym domu w obecności licznej śmietanki towarzyskiej zwymyślał sławnego Daniela Webstera od oszustów i osłów i doradzał powieszenie go na szubienicy za to, że uważał prawo o zwrocie zbiegłych niewolników za konstytucyjne, z oburzeniem zamknięto przed nim wszystkie domy.

"W tym czasie, jakoś na wiosnę 1851 roku, poznałem Gurowskiego", pisze o nim autor amerykański, Robert Carter, w wspomnieniu pośmiertnem (w "Atlantic Monthly" z listopada 1866). "Pewnego dnia stałem we drzwiach czytelni Lyceum Hall w Cambridge, gdzie wówczas mieszkałem, gdy spostrzegłem zbliżającą się przez Harvard Square dziwaczną postać, o której wiedziałem, że musi być hrabią Gurowskim, gdyż opisywano mi go często; do tego jednak czasu nie miałem sposobności widzieć go. Liczył wtedy lat około 45, był średniego wzrostu, posiadał dużą głowę i wielki brzuch. Szedł otulony w olbrzymi i dziwacznie skrojony płaszcz z niemieckiej materji i niemieckiego wyrobu. Na głowie miał wysoki kapelusz kształtu dzwona i o szerokich krysach; z kapelusza zwisał długi, niebieski welon, którym osłaniał sobie oczy od promieni słonecznych. Kamizelka jego była z flaneli barwy jasno-czerwonej a że sięgała aż do kłębów i okrywała prawie całe jego obszerne przedsięwzięcie, stanowiła przeto silnie rzucającą się w oczy część jego odzienia. Oprócz welona, oczy miał osłonięte niebieskiemi okularami nadzwyczajnych rozmiarów i ze szkłami nietylko na przodzie, ale po bokach. Niezwykłe te środki ostrożności dla ochrony jego wzroku były konieczne, gdyż

stracił jedno oko, nie w pojedynku, jak ogólnie mówiono, ale przez upadek na otwarty scyzoryk, gdy był chłopcem dziesięcioletnim. Zranione oko było zupełnie stracone i wypłynęło, oczodół zaś po niem bolał go często i silnie, a, jak zwykle w takich wypadkach, cierpienia te obejmowały także drugie oko. Podczas pierwszego i drugiego roku pobytu w Ameryce silne promienie słoneczne dokuczały mu wiele; ale potem, przyzwyczaiwszy się do nich, porzucił welon i w innych względach także strój swój dostosował do tutejszych zwyczajów.

"W czytelni było kilku znajomych nam panów i jeden z nich przedstawił mnie Gurowskiemu, który powitał mnie bardzo serdecznie i natychmiast zaczął z wielkiem ożywieniem rozprawiać o Koszucie i Węgrzech. Mówił z nadzwyczajną potoczystością i zdawał się już wtedy posiadać zadziwiająco obfity zapas słów angielskich, lecz wymowa jego była bardzo słaba. Póki nie otrzaskałem się z jego akcentem, z trudnością tylko mogłem go rozumieć. Jednakowoż nie obchodziło to wiele Gurowskiego. Gotów był mówić do kogokolwiek, ktoby tylko chciał go słuchać i nie dbał wiele, czy będzie zrozumiany, czy nie.

"Podczas tej rozmowy Gurowski wdał się w dyskusje z jednym z obecnych, profesorem uniwersytetu, który wyraził wątpliwość w prawdziwość jego słów o Węgrzech. W jednej chwili Gurowski pienił się ze wściekłości i formalnie wyzwał profesora na szpady lub pistolety. Gdy niezwykły ten sposób rozstrzygnięcia sporu historycznego został z miejsca odrzucony, Gurowski aż osłupiał ze zdziwienia, jak człowiek honorowy może odrzucić taką słuszną propozycję. Przerywając nagle spór, odszedł, prosząc mnie tylko ,abym mu towarzyszył, gdyż chciał poradzić się mnie w pewnej sprawie. Zgodziłem się na to chętnie, gdyż ciekawość moja była silnie podrażniona dziwnym wyglądem i szczególnym jego charakterem.

"Szliśmy razem w milczeniu i wkrótce znaleźliśmy się w jego mieszkaniu, które było dosyć wygodne. Zajmował salon i sypialnię na drugiem piętrze, porządnie umeblowane, chociaż w zupełnym nieporządku, zarzucone książkami, papierami, ubraniem i innemi rzeczami, pozostawionemi gdziebądź. Dał mi cygaro i usiadłszy zaczął mówić całkiem spokojnie i rozsądnie o zajściu w czytelni. Wzburzenie jego przeminęło. Zdawał się jakby żałować swej szorstkości wobec profesora, dla którego miał wysoki szacunek i który zawsze okazywał mu uprzejmość. Powiedziałem mu otwarcie, że zachował się nieodpowiednio i postąpił głupio wyzywając na pojedynek, gdyż pojedynki są szczególnie niepopularne w Ameryce, a już najmniej zgodne z pojęciami Nowoanglików — i przez to naraził się tylko na śmiech. Było w jego charakterze coś tak szczerego i dziecinnego, że, chociaż znałem go tylko godzinę, byliśmy już na poufałej stopie i od tego cza-

su aż do dnia jego śmierci nigdy nie wahałem się mówić z nim o wszystkiem tak otwarcie, jakby ze swym bratem.

"Przyjął przychylnie moją naganę i widocznie wstydził się swego postępowania, choć był za dumny, by się przyznać do tego. Zapytał jednak, co powinien zrobić dla załagodzenia sprawy. Doradziłem mu, by nic nie robił, ale pozwolił ludziom o niej zapomnieć i nigdy o niej nie wspominał. Zdaje mi się, że posłuchał mej rady. W każdym razie, wkrótce był znowu na dobrej stopie z wyzwanym.

"Spędziłem kilka godzin z Gurowskim przy tej sposobności, a że obaj mieliśmy dosyć wolnego czasu, wkrótce zaprzyjaźniliśmy się i zwykle znaczną część dnia spędzaliśmy wspólnie. Przez długi czas miałem w zwyczaju odwiedzać go codziennie w jego mieszkaniu, najczęściej z rana, on zaś przybywał do mnie prawie każdego dnia po południu. Posiadał wiele dowcipu, ale nie wiele humoru i nie lubiał żartów. Najbardziej lubował się w poważnej rozmowie o sprawach polityki, historji lub teologji, o których potrafił rozprawiać cały dzień z wysokiem wykształceniem i cudowną potoczystością "najlepszej łamanej angielszczyzny". Był wielce oczytany w egiptologji i średniowiecznej historji i posiadał ogólną szeroką znajomość nauk, ale szczegółowo znał tylko prawo. Pogardzał natomiast historją przyrodniczą i nienawidził jej profesorów, których zajęcie wydawało mu się pustem.

"Gurowski nieoszczędzał nikogo, albo rzadko kogo w swych sądach osobistych. Z wielkiej liczby jego znajomych w Nowej Anglji, tylko Felton, Longfellow i Lowell byli wybitniejszemi osobistościami, o których mówił zawsze z respektem. Było, doprawdy, bolesnem patrzeć jak jego rozległa wiedza i jego wielkie siły umysłowe traciły wszelką wartość przez dziecinność usposobienia i wrodzoną przekorę, skutkiem której nie mógł poprostu mówić o nikim z umiarkowaniem i sprawiedliwością. Odczuwał jakąś piekielną przyjemność w odkrywaniu słabych stron swych znajomych, a miał w tem straszną szybkość i przenikliwość. Najdrobniejsza rzecz wystarczała mu. W okamgnieniu widział czułe miejsce i zwracał przeciw niemu swe ostrze. Jednym rzutem swego jedynego oka odsłaniał najtajniejsze błędy, najdelikatniejsze własności, zakryte może przed oczyma długoletnich przyjaciół.

"Spory były jego żywiołem i przedłużał dyskusje z dnia na dzień z niezmniejszającem się zajęciem. Pamiętam, raz rozprawialiśmy o czemś z historji średniowiecznej, o czem wiedziałem bardzo mało, ale udawałem, że wiem dobrze, aby wybadać zasoby jego wiedzy, które były rzeczywiście olbrzymie w tym kierunku. Po gorącej dyspucie kilkugodzinej rozeszliśmy się, pozostawiając kwestję nierozstrzygniętą. Następnego dnia przyszedłem do jego mieszkania wcześnie po południu. Zapukałem do drzwi. Zawołał: "Proszę", ale, gdy otworzyłem drzwi, usłyszałem, że odchodzi do przyległej sypialni. Stamtąd wysunął głowę, a zobaczywszy kto przyszedł, wrócił do salonu zupeł-

nie tak, jak go Bóg stworzył. Nawet okularów nie miał na sobie. W ręce tylko trzymał kalesony, które widocznie miał włożyć na siebie, gdy wszedłem. Wymachując gwałtownie tą częścią garderoby jedną ręką, drugą podał mi cygaro i odrazu wybuchnął potokiem argumentów na wczorajszy temat. Nie odpowiadałem nic, ale przy pierwszej przerwie zaproponowałem, że lepiej zrobi, jeżeli się ubierze. Nie zwracając na to uwagi, biegał dalej dokoła pokoju i gadał ciągle ze zwykłą sobie gwałtownością i potoczystością. Upłynęło pół godziny, gdy znowu ktoś zapukał. Gurowski zawołał: "Proszę!" Otworzyła drzwi... służąca i, naturalnie, czemprędzej uciekła. Zamknąłem drzwi na klucz i znowu zacząłem nakłaniać hrabiego, aby się ubrał. Nie zrobił jednak tego, dalej prowadząc swe wywody. Niedługo ktoś inny zapukał. "Jest to Desor", powiedział hrabia. "Znam jego pukanie, wpuść go". Desor był to Szwajcar, który mieszkał w sąsiednim domu. Gurowski wiódł z nim widocznie także uczony spór, bo zaraz zaczął mówił do niego o historji naturalnej, ale Szwajcar nie chciał wcale słuchać i wyniósł się wkrótce. Po jego odejściu Gurowski wrócił do swych średniowiecznych argumentów. Odmówiłem jednak stanowczo pozostania z nim dłużej, o ile nie ubierze się. Z niechęcią ustąpił i odszedł do swej sypialni, ja zaś wziąłem do ręki jakąś książkę. Raz po raz wyskakiwał stamtąd, by wyładować nowe argumenty, jakie mu się nasuwały. I jeszcze nie był zupełnie ubrany, gdy przy końcu trzeciej godziny oznajmienie o gotowym obiedzie zakończyło wreszcie naszą dyskusję.

"Zawiedziony w nadziei otrzymania zajęcia w Cambridge jako lektor, albo nauczyciel, na które liczył jako na środek utrzymania, Gurowski wpadał w coraz większą biedę, w miarę jak wyczerpywał się niewielki zapas pieniędzy, przywieziony z Europy. Niewygody ubóstwa bynajmniej nie łagodziły jego usposobienia, ani nie umniejszyły jego okropnej niesforności. Im stawał się biedniejszy, tem zarazem rósł w dumę i drapieżność. Był bardzo oszczędny i nie pozwalał sobie na żadne zbytki, prócz cygar, których jednak nie palił wiele, rzadko kiedy więcej, jak trzy lub cztery na dzień. Ale przy wszystkiej ostrożności pieniądze wreszcie wyczerpały się, ostatni dolar rozszedł się. Spodziewał się przesyłki z Polski, ale ta nie nadchodziła. Na domiar nieszczęścia dowiedział się, że z jakiegoś powodu nie dostanie nic przynajmniej do końca tego roku. Zwykle opowiadał mi co dnia o postępie swego "upadku", jak się wyrażał, zaznaczając niejednokrotnie, że gdy przyjdzie najgorsza chwila, potrafi zamienić się w "Ajrysza" i wziąć się do pracy zarobkowej. Nie zwracałem wiele uwagi na to jego gadanie, gdyż Gurowski i ręczna praca były to pojęcia tak krańcowe, że nie mogłem ich w wyobraźni połączyć ze sobą. Jednakowoż mówił to więcej serjo, niż myślałem.

"Udawszy się pewnego razu o swej zwykłej godzinie do jego mieszkania, nie zastałem go. W ciągu dnia jeszcze raz poszedłem tam, ale znów nie było go w domu, a sąsiedzi powiadomili mnie, że wyszedł

jeszcze wczesnym rankiem. Następnego dnia było to samo. Trzeciego dnia zasadziłem się na niego w jego mieszkaniu, do którego przyszedł już o zmroku, w jak najnieszczęśliwszym stanie, z dłońmi pełnemi pęcherzów, w ubraniu zabrukanem, z wszelkiemi oznakami najzupełniejszego wyczerpania. Wesół był jednak i bardzo serdeczny i z ożywieniem opisywał mi swe przygody z "życia ajryskiego", jak je nazywał. Okazało się, że zapoznał się z panem Hovey, właścicielem dużych ogrodów między Bostonem a kolegjum, i z rana tego dnia, którego nie zastałem go w domu, poszedł do niego i poprosił o pracę jako robotnik w ogrodach. Hovey był zdumiony propozycją, ale gdy hrabia nalegał, dał mu wreszcie łopatę do ręki i tak Gurowski zaczął pracować "po ajrysku". Dla nieprzywykłych jego muskułów była to straszna męczarnia, ale mówił, iż lepsze jest cokolwiek niż zaciąganie długów. U Hoveya mógł zarobić dolara dziennie, co wystarczało mu na utrzymanie i cygara. Ubrań miał dosyć do końca życia, zwłaszcza, że — jak dodawał żałośliwie, prawdopodobnie "ajryski tryb życia" nie pozwoli mu żyć długo.

"Uważałem, że żart zaszedł zadaleko i że należało coś zrobić. Dlatego w następny dzień poszedłem do Bostonu i udałem się do wydawcy jednego z tygodników, nieźle wówczas stojącego, ale dziś już nieistniejącego, "The Boston Museum". Przedstawiłem mu położenie i zdolności Gurowskiego i zaproponowałem, by wynajął hrabiego do napisania co tygodnia jednego artykułu, odpowiednio długiego o życiu europejskiem, za co miał pobierać dwanaście dolarów. Na siebie wziąłem korektę artykułów, by angielszczyznę Gurowskiego uczynić dostatecznie zrozumiałą. Wydawca chętnie przyjął propozycję; a hrabia, gdy mu powiedziałem o tem, był tak uradowany, jakby odkrył kopalnię złota. Mimo swej filozoficznej wesołości, był już kompletnie zniechęcony do pracy łopatą, do której był zupełnie niezdolny. Raźno zabrał się z powrotem do pióra i napisał artykuł o prywatnem życiu na dworze rosyjskim, który przepisałem z koniecznemi poprawkami i zaniosłem do wydawcy "Museum". Ten był bardzo z niego zadowolony i chętnie zapłacił umówioną sumę.

Przez kilka miesięcy Gurowski pisał artykuły do tygodnia, co przychodziło mu z wielką łatwością. Wkrótce też, przy swych skromnych wymaganiach, mógł finanse swe znowu doprowadzić do ładu. Ba, nawet zbogacił się na tyle, że mógł lato spedzić w Newport, o co mu wielce chodziło, gdyż zauważył, że Amerykanie z najwyższych warstw społecznych uznawali wizytę letnią w tej miejscowości za główną przyjemność życiową i najwyższą chwałę swej cywilizacji. Wyjechał tam w czerwcu 1851 roku i potem widywałem go już tylko w długich przerwach i przelotnie.

"Pobyt jego w Newport był krótki. Stamtąd udał się do Nowego Jorku, gdzie niedługo został pisarzem artykułów redakcyjnych dla "Tribune". Do jednego z mych przyjaciół z Cambridge, który spotkał go na Broadway, wyraził wielkie zadowolenie ze swego nowego zaję-

cia. "Jest to najprzyjemniejsza praca, jaką możesz sobie wyobrazić", powiedział mu Gurowski — "mogę wymyślać każdego w świecie oprócz Greeleya, Ripleya i Dany" (pierwszy był wydawcą, dwaj drudzy redaktorami "Tribune").

"Ripley i Dana zaangażowali też Gurowskiego do współpracy przy czterech pierwszych tomach "Nowej Encyklopedji Amerykańskiej", dla której napisał artykuły o Aleksandrze Wielkim, Aleksandrach rosyjskich, arystokracji, Attyli, Borgia, Bunsenie i kilka innych. W tym też czasie hrabia napisał swe dzieło "Russia as it is" i "America and Europe". W przygotowaniu artykułów i książek pomagał Gurowskiemu Ripley, który poświęcił im dobrowolnie olbrzymi zasób pracy, za co spotkała go czarna niewdzięczność ze strony hrabiego, gdyż ten kłócił się ustawicznie z nim i z Daną i potem złośliwie i jak najniesprawiedliwiej wymyślał im obu z właściwą sobie hojnością.

"Przez następne dwa czy trzy lata straciłem go z oczu. W tym czasie wiódł nieco koczownicze życie, włócząc się po południu i mieszkając kolejno w Waszyngtonie, Newport, Geneseo i Brattleborough. Pewnego wieczora grudniowego 1860-go roku spotkałem go raz w Nowym Jorku, w klubie Athenaeum. W palarni, między unjonistami z jednej a tak zwanymi "Copperheads" z drugiej strony, wrzał spór o właściwości Północy i Południa. Gurowski, który czytał w przyległym pokoju, przybliżył się zwabiony gwarem, ale zrazu nic nie mówił, tylko stał w milczeniu poza kołem spierających się . W tem pewien obywatel z Południowej Karoliny, obecny przy tem, zaczepił go, mówiąc: "Hrabio, byłeś przecie na południu, powiedz nam swe zdanie; liczymy, że przynajmniej ty będziesz bezstronny". Gurowski wypiął naprzód głowę, jak zwykł był czynić zawsze, gdy miał powiedzieć coś dobitnego, i odparł jak najenergiczniej: "Byłem dosyć długo na południu, jak i na północy i znam dobrze obie części kraju i powiadam wam, panowie, że więcej inteligencji, więcej ogłady, więcej oświaty, więcej cnoty i więcej dobrych manjer jest w jednej wsi nowoangielskiej, niż w całem południu". Wyrok ten odrazu zakończył spór. Obywatel z Południowej Karoliny uciekł wściekły, a Gurowski, krztusząc się od śmiechu, wrócił do swego czytania.

"Niedługo potem zamieszkał w Waszyngtonie, gdzie wnet został jedną z najwybitniejszych osobistości. Przyjmowano go w najpierwszych domach. Wieczorami można go było widywać u Willarda, w tej politycznej giełdzie stołecznej, gdzie jego szczególna postać i dobitna wymowa zwykle były przedmiotem niemałej ciekawości. Dochody z dzieł, jakie wydał, zawsze nie wielkie, rozeszły się tymczasem. Żył potem w biedzie, choć go to nie martwiło wiele. Kilku z senatorów, którzy lubieli go i litowali się nad nim, nakłonili p. Sewarda, sekretarza stanu, aby mu dał jakieś zajęcie w swym departamencie. Urzędowym jego obowiązkiem było przeglądać dzienniki europejskie za wiadomościami, obchodzącemi rząd amerykański i na żądanie

przedstawiać sekretarzowi stanu opinje w sprawach dyplomatycznych. Miał on, jak raz powiedział mi w swój zwięzły sposób, "czytać gazety niemieckie i pilnować Sewarda, aby nie robił głupca ze siebie". Pierwsza część jego obowiązku, mówił, była dosyć łatwa, ale druga nieco trudna. Gurowski utrzymał się na tym urzędzie dłużej, niż przypuszczałem, znając jego usposobienie i nałogowe zrzędziarstwo. Ale cierpliwość Sewarda wyczerpała się wreszcie i Gurowski został wydalony za ciągłe lekceważące uwagi o swym urzędowym przełożonym.

"Jakoś w roku 1862 spotkałem Gurowskiego w Waszyngtonie w pokojach senatora Sumnera, gdzie zwykle bywał co wieczór. Nie widziałem go oddawna i powitał mnie bardzo serdecznie. Wkrótce jednak zauważyłem, że nałóg dogmatyzmu zwiększył się u niego bardzo i że więcej niż przedtem niecierpliwił się wszelkim sprzeciwem. Zaczął mówić piskliwym głosem o McClallanie, armji Potomaku i o przypuszczalnem trwaniu rebelji. Poglądy jego, po większej części wydawały się dosyć na miejscu, ale były tak obraźliwie wyrażone, że częścią z niecierpliwości, częścią dla zabawy, zacząłem mu się sprzeciwiać. Gurowski wściekał sie i przez godzinę szalał i biegał dokoła pokoju, w którego środku siedział p. Summer w swem wielkiem krześle, nie biorąc udziału w dyskusji i tylko od czasu do czasu bezskutecznie próbując uspokoić Gurowskiego; ten wreszcie wybiegł z pokoju w furji, za wielkiej nawet na jego wygadany język. Po jego wyjściu p. Summer zauważył, że przypomina mu wieloryba z cyrku Barnuma, który ciągle pływa dokoła swego wąskiego basenu i z całej siły wyrzuca strumienie wody skoro tylko wyjdzie na powierzchnię. Porównanie było rzeczywiście bardzo trafne.

"Spotkałem Gurowskiego w następny wieczór w biurze "Tribune" w pobliżu Willarda, jeszcze rozdrażnionego i gotowego do wrzasków. Pohamowałem go jednak, oświadczywszy, że mam dosyć niedorzeczności i chcę z nim mówić na trzeźwo. Wziąwszy go pod ramię, poszedłem z nim do jego mieszkania, gdzie, podczas gdy on ubierał się na jakieś przyjęcie, co zawsze czynił z wielką starannością, skłoniłem go do wypowiedzenia swej opinji o ludziach i sprawach. Był niezwykle umiarkowany i logiczny i opisywał "sytuację", wedle wyrażenia dziennikarskiego, z siłą i przenikliwością. Zapytałem go co myśli o Lincolnie. "Jest to bydlę" — to wszystko co o nim chciał powiedzieć. W rzeczywistości Gurowski miał niewielki zmysł humoru i żartobliwość, która stanowiła wybitną część zewnętrznego charakteru Lincolna, była niezrozumiała i odrażająca dla niego.

"Była to moja ostatnia rozmowa z Gurowskim. Spotkałem go jednak raz jeszcze w Waszyngtonie na wiosnę 1863-go roku. Przechodziłem ulicą 15-tą, koło departamentu skarbu i doszedłem do jednej z przecznic, gdy akurat nadjechał duży oddział kawalerji. Ulicę pokrywało błoto po kostki, tylko wązki poprzeczny chodnik był możliwy do przejścia. Śpieszyłem się, by przebiegnąć na drugą stronę nim

nadciągnie kawalerja. W środku chodnika wpadłęm na Gurowskiego, owiniętego w długi, czarny płaszcz i olbrzymi kapelusz filcowy, nieco zniszczony. Roztworzył szeroko swe ramiona, by mnie zatrzymać i bez żadnego powitania ni wstępu zaczął lżyć Horacego Greeleya. W okamgnieniu wojsko wpadło na nas i zostaliśmy otoczeni przez pędzące i wspinające się konie i żołnierzy, wołających na nas, abyśmy usunęli się z drogi. Gurowski zupełnie nie zwracając uwagi na to, co się wkoło niego działo, podniósł swój głos ponad zgiełk i zaczął wołać donośnie, że Horacy Greeley jest "osłęm, zdrajcą i tchórzem". Nie była to pora i miejsce do odbywania z nim narady nad tą sprawą, więc wyrwawszy się mu, pobiegłem na przeciwny chodnik, a potem, obróciwszy się, zobaczyłem Gurowskiego poraz ostatni, otoczonego chmurą jazdy, przez którą spokojnie przeciskał się swym zwykłym, zamyślonym krokiem..."

Tu Carter urywa swe wspomnienie, ciekawe, choć może życzliwiej pisane, niż zasługiwał na to jego bohater.

Uzupełnić należy je jeszcze krótkim zarysem działalności literackiej Gurowskiego w Ameryce.

Zmoskwiczony hrabia rozpoczął ją dziełem o Rosji. Wyszło ono z pod prasy równocześnie w Londynie i w Nowym Jorku. Wydanie angielskie miało tytuł "Russia and its people" (Rosja i jej mieszkańcy), amerykańskie zaś: "Russia as it is" (Rosja w świetle prawdy). Rodowity Moskal nie mógł pisać przychylniej o "matuszce Rosji", a z większą niechęcią o Polsce. W dziele tem autor przedstawia ustrój społeczny Rosji. Narodowi przypisuje wielkie przymioty i z góry zakreśla mu fantastyczną rolę w historji świata. Wierny swej idei panslawistycznej, nie przypuszcza możliwości rozpadnięcia się Rosji. Co stało się jej częścią składową, to już, jego zdaniem, na zawsze przy niej pozostanie. Rozbiory Polski uważa za rzecz usprawiedliwioną. Jeden tylko caryzm potępia.

Najciekawszą dzisiaj częścią dzieła jest dla nas jego wstęp, a raczej tylko dodatek do wstępu, opuszczony w wydaniu londyńskiem. Zawiera on spowiedź zdrajcy i stanowi dokument dostateczny do potępienia go. Gurowski usiłował usprawiedliwić się nim w oczach tych, którzy znali go dawniej jako wielbiciela caratu, a teraz mieli go ujrzeć jako jego wroga, z kolei namaszczającego naród rosyjski na wykonawcę misji panslawistycznej.

"Przez blisko trzydzieści lat" — spowiada się zdrajca — "istnieniem mojem wstrząsały burze polityczne, które szalały nad mą ojczyzną i nad innemi częściami Europy. Miałem wówczas sposobność złożenia dla idei i osobistych przekonań nie mniejszej ofiary, jak inni, choć narażałem przez to swą szyję, niewspominając już o stratach majątkowych, jakie poniosłem. Drogo opłaciłem prawo działania niezawiśle we własnem imieniu. W młodości swej razem z innymi patrjotami brałem czynny udział w sprawach Polski, mego rodzinnego kraju. A chociaż przez kilka lat byłem celem osobistych

prześladowań, naszymi wspólnymi wysiłkami doprowadziliśmy do powstania z lat 1830-31, podczas którego dążyłem do utworzenia rządu republikańskiego. Skutkiem nieszczęsnego końca powstania, zostałem potępionym wygnańcem. Spędziłem długie lata na tułaczce po Europie, głównie zaś w Paryżu. Miałem więc sposobność zapoznać się w znacznej mierze z każdym odcieniem myśli i ludźmi wszelakich poglądów; badać i sądzić rozmaite wypadki i poświęcać czas swój studjom społecznym i historycznym. W sposobie mego myślenia zaszedł zupełny przewrót. Rozbierając z sumienną dokładnością przyczyny politycznego upadku Polski, straciłem wiarę w jakąkolwiek możliwość jej wskrzeszenia. Losy rasy słowiańskiej, pojawiającej się obecnie na horyzoncie, nie mogły być zawisłe od jednej z jej najsłabszych, zwiędłych i zniszczonych gałęzi. Jedynie Rosja przedstawiała żywotność słowiańską wśród zmieniających się powikłań Europy i świata zachodniego. Między rozmaitymi powodami upadku Polski najzgubniejszym był zupełny brak jakiejkolwiek skupiającej idei, jakiejkolwiek zorganizowanej i kierowniczej władzy. Rosja zawdzięcza swój wzrost właśnie istnieniu takiego wpływu..."

"Przywiązanie i zainteresowanie, jakie odczuwałem względem swej dawnej ojczyzny, znikły zupełnie, a zastąpiły je zainteresowanie się całą rasą, której Polska była zresztą tylko nieznaczną odnogą..."

Po tem bluźnierczem wyznaniu zdrady pisze dalej:

"Będąc z pochodzenia Słowianinem, zacząłem szukać gdzie żyje potężny pień mojej rasy i odkryłem, że Rosja sama jedna jest tym pniem. W ten sposób powstała we mnie idea panslawizmu. Oznacza ona połączenie rozrzuconych rodzin słowiańskich, z których niektóre wegetują nędznie pod obcem jarzmem Madziarów, Turków i Niemców, w jednolitą całość, zgrupowaną dokoła jednego potężnego szczepu...

"Studja nad wielkiemi prawdami, objawionemi przez Fouriera, przywiązanie do nich i jego osobista rada wpłynęły silnie na moje postanowienia. Ktokolwiek czytał jego dzieła, wie jak wielokrotnie Fourier wskazuje na Rosję, a nawet na cara, jako na narzędzie najszybszego urzeczywistnienia teorji komunizmu. Tak więc udałem się do Rosji i do cara.

"W tym czasie car Mikołaj promieniał jasnością samowładcy, zapalającego pochodnię cywilizacji. Ogłosił on o swem pragnieniu wydobycia jej z narodowego genjusza Słowiańszczyzny. Ku takiemu ognisku kierowały się dążenia Słowian z nad Elby, z nad Dunaju, z pod Karpat i gór Bałkańskich. Jak wielu innych, i mnie olśniła pozorna świetność celu i tak zostałem świadomie wyznawcą wiary w wysokie i opatrznościowe powołanie caratu. Przez kilka lat miałem sposobność obserwować jego charakter, jego działalność i badać, o ile może spełnić misję, jaką w mej ognistej wyobraźni i w pragnieniach przeznaczałem tej najwyższej, tej nadludzkiej władzy. Jedna-

kowoż zgłębiając nietylko charakter męża, ale i samej instytucji (caratu), zacząłem chłodnąć w swym entuzjażmie. Mimo tego starałem się nie tracić nadziei. Ale łuska po łusce opadała z mych oczu, aż wreszcie gwałtownie zerwałem łańcuch, jaki dobrowolnie na siebie włożyłem i podjąwszy swą laskę pielgrzymią, odzyskałem wolność.

"Nie warto nawet wspominać o ulewach obelg, jakie spadały na mnie z różnych stron. Nigdy one nie zrobiły na mnie wrażenia, ani nigdy nie zrobią. Postępując wedle wskazówek sumienia, nigdy nie wahałem się zmieniać przekonań... Często wśród tej ciernistej pielgrzymki miałem smutną satysfakcję, iż wypadki usprawiedliwiały moje czyny i poglądy, pomimo oskarzeń i potępień. Tak np. na kilka lat przed wypadkami z r. 1848 w jednem z swych pism wyraziłem wątpliwość w łatwe zjednoczenie się Niemiec; dotychczas zdarzenia potwierdzają moje przeczucia. Zerwawszy otwarcie przed osiemnastu laty z moimi dawnymi rodakami i współwygnańcami, jako powód tego podałem zupełną niemożliwość odbudowy Polski, zwłaszcza przez pomoc i interwencję obcą. Dotychczas niema najmniejszego znaku na horyzoncie, któryby mógł przekreślić moje twierdzenia...

"Bezdomny tułacz po świecie, dotarłem do Ameryki. Tu odżyły moje dawne młodzieńcze dążenia. Tu znalazłem częściowo urzeczywistnienie tego, za czem Europa jeszcze napróżno wzdycha..."

Zdawało mu się tylko. Pomylił się Gurowski w swych uczuciach dla Ameryki, jak i w swem złowróżbnem krakaniu nad Polską.

Zdrajca własnej ojczyzny nie mógł być dobrym synem przybranej.Gurowski odegrał wobec Stanów Zjednoczonych taką samą komedję, jak ongiś wobec caratu. Naprzód został ich bałwochwalcą, potem zaś, gdy nie powiodło się mu wedle myśli, opluł je i zbeszcześcił.

Dzieło "America and Europe", wydane w Nowym Jorku w r. 1857, to wykwit pierwszego stanu duszy Gurowskiego: bałwochwalczego uwielbiciela dla nowego ideału.

Książka stanowi porównanie stosunków społecznych amerykańskich z europejskimi. Gurowski widzi w Ameryce wszystko najlepsze i uważa ją za tymczasowy szczyt doskonałości, póki komunizm Fouriera — wedle jego mniemania — nie zawładnie światem. W rozdziale "Foreign Elements" znajduje się podły atak na religję katolicką, którą oskarza o działalność destrukcyjną, o spychanie narodów w nędzę moralną i materjalną.

Były Polak i były Moskal, zostawszy nagle ultrapatrjotą amerykańskim, z nienawiścią wyraża sie dalej o świeżej wówczas imigracji irlandzkiej a Irlandczyków stawia poniżej murzynów. Z zajadłością potępia przechowywanie granic narodowościowych przez obcokrajowców w Ameryce i usprawiedliwia ówczesny ruch szowinistyczny zwany "Know-Nothing". Dzisiejsi "stuprocentowcy" i Ku Klux Klaniści mogliby cytować dosłownie ustępy z tego dzieła Gurowskiego i podawać je jako swe wyznanie wiary.

Dziwić się Gurowskiemu nie można. Człowiek, który wyznawał zasadę: "gdzie dobrze, tam ojczyzna", nie mógł zrozumieć szlachetnych uczuć wychodźców względem porzuconej ojczyzny. Zdrajca, z natury rzeczy, pragnął, by wszyscy byli zdrajcami.

Nie na długo jednak wystarczyło mu tego ultrapatrjotyzmu amerykańskiego.

Jego "Pamiętniki" z okresu wojny domowej są zjadliwym paszkwilem na prezydenta Lincolna, sekretarza stanu Sewarda i wszystkich, którzy wtedy stali u steru rządu.

Jest ich trzy tomy, wydanych w rozmaitym czasie między rokiem 1862 a 1866. Prócz wszystkich innych swoich błędów, Gurowski wlał w nie zgryźliwość starości i nienawiść. Wyszedł z tego jedyny w swoim rodzaju dokument podłoty, nie posiadający nadto wielkiego znaczenia historycznego jako pamiętnik. Bawiąc przez cały czas wojny w Waszyngtonie, obracając się w samem sercu wojującej Północy, stykając się niemal codzień z Lincolnem i innymi przywódcami narodu, mógł był Gurowski zostawić w "Pamiętnikach" choć skromny materjał historyczny, gdyby był notował wypadki z odrobiną przedmiotowości. Tymczasem każda karta ich zieje lekceważeniem i niechęcią względem Lincolna i kierowników wojny, opowiada o wrażeniach autora, a milczy o faktach. Napróżno usiłuje swe niskie uczucia osłonić pochlebstwami dla mas. Nieszczerość i fałsz przebijają zbyt silnie z chaotycznej treści, by ich nie odczuć.

Jak społeczeństwo amerykańskie przyjęło ten szczególny wymiot starego złośliwca?

"New York Evening Post" stosunkowo łagodnie skrytykował "Pamiętniki" i przyznał, że niedołężne prowadzenie wojny przez Północ zasługuje na naganę. Ale zaraz na wstępie recenzji zaznaczył sprawozdawca:

"Praca jest wzorem cierpkiego pióra. Wyjawia wiele rzeczy, o których można się było dowiedzieć jedynie przez zdradę zaufania i wiele innych, opartych jedynie na najgołosłowniejszych plotkach. Przesądza i ludzi i wypadki. Humor jej jest często humorem Tersytesa, gdy ciernisty jego język prażył bohaterów obozowych... Nikt, naszem zdaniem, nie może uwielbiać sposobu wyrażania myśli, nie wielu tylko zgodzi się z jej treścią..."

"Pamiętniki" sprowadziły nawet na Gurowskiego proces sądowy, od którego skutków, jak się zdaje, uratowali go z litości ci nieliczni, których jeszcze nie zdołał zupełnie zrazić do siebie.

Również skąpe jest to dzieło w szczegóły z prywatnego życia autora, choć te byłyby ciekawsze dla nas, niż jego dąsy i złości. Z tego jednak, co wspomina o sobie, można poznać, iż natarczywe jego wścibstwo mogło było śmiało iść w zawody z mickiewiczowskim "Farysem". Właził wszędzie, gdzie go nie posiano, zasypywał memorjałami Lincolna i członków gabinetu, dawał rady generałom, narzucał

się ambasadorom, pouczał członków kongresu o ich obowiązkach. Drwinami i pogarliwem milczeniem zbywano starego tetryka.

W początkach wojny domowej zrodził się w głowie Gurowskiego pomysł zorganizowania do walki przeciw Południowi ochotniczych pułków murzyńskich, czyli "afryko-amerykańskich", jak je nazwał. "Na sztandarach Afryko-Amerykanów, dowodzonych przezemnie, wypiszę: Hic niger est! hunc tu (rebel) caveto! Ludzi moich nauczę, by nie brali żadnych jeńców w bitwach i by nie pozwalali brać się żywcem do niewoli" — pisał w swych "Pamiętnikach", przejęty pustą wojowniczością. Proponował nawet uzbrojenie oddziałów murzyńskich w kosy i podejmował się sam wyćwiczyć tych czarnych kosynierów. Wojennych jego planów nie chciano jednak traktować poważnie w Waszyngtonie. Osoba projektodawcy była dostatecznym powodem, by je odrzucić, tak więc te osobliwe czarne legjony pod wodzą zdrajcy-Polaka nie doszły do skutku.

Prócz wyżej wspomnianych dzieł wydał Gurowski broszurę pt. "Sprawa turecka" (The Turkish Question, New York, 1854), zwróconą przeciw Turcji, która wówczas prowadziła wojnę z Rosją. Potępiał w niej autor zabiegi w celu stworzenia oddziałów polskich w Turcji, bronił Rosji i modlił się o zwycięstwo jej oręża, a w jednym z ustępów taki wypisał nagrobek Polsce:

"Zagarnięcie Polski zwykle wskazywane jest jako dowód drapieżnych dążności Rosyi. Ale, chociaż dowód ten wygląda na prawdopodobny, nie ma on żadnej rzeczywistej wartości. Polska była wewnętrznie martwą, nie mogła żyć życiem niezawisłem wśród swych sąsiadów i stała pod każdym względem niżej od pełnej żywotności, rozwijającej się i potężniejącej Rosji".

By zdobyć się na takie bezczelne kłamstwo, trzeba było, doprawdy, być "prawdziwą potworą".

Jedynem amerykańskiem dziełem Gurowskiego, wolnem od objawów wstrętnego moskalofilstwa, jest "Niewolnictwo w historji" (Slavery in History), wydane w Nowym Jorku w r. 1860. Opisuje ono instytucyę niewolnictwa u rozmaitych narodów i w rozmaitych okresach historycznych. Zwrócona przeciw niewolnictwu w Ameryce, książka ta jest też chyba jedynym dodatnim czynem Gurowskiego po jego zdradzie Polski.

Jako publicysta amerykański, posiada Gurowski w piórze tę samą dosadność i ciętość, jaką miał w języku. Z powodu pewnych zewnętrznych zalet pisarskich i szerokich stosunków towarzyskich działalność jego w Ameryce była tem szkodliwsza dla Polski. Nie pisał wprawdzie o Polsce specjalnie, ale w swe dzieła wplótł wiele kłamstw o niej. Rzadko zresztą przyznawał się do polskiego pochodzenia. Jeżeli wspominał o niem, to zazwyczaj tylko ogólnie jako o słowiańskiem, gdyż pojęcie słowianizmu lepiej odpowiadało jego mrzonkom panslawistycznym. Nie potrafił nawet wytrwać w swej niechęci do caratu, gdyż już na cześć następcy Mikołaja, cara

Aleksandra II, piał hymny pochwalne w swych "Pamiętnikach". A co warte były obłudne uwielbienia dla przybranej ojczyzny, świadczą jego własne groźby w tychże "Pamiętnikach", że "rzuci do ustępu swój dokument naturalizacyjny i powróci do Europy, choćby mu przyszło pracować na okręcie za przejazd, jeżeli zwyciężą secesvoniści". Zaznaczyć też należy, że wzmianka o ustępie jest jeszcze dosyć przyzwoita w stosunku do innych jego wyrażeń w tym paszkwilu.

Umarł Gurowski w Waszyngtonie dnia 4-go maja 1866, wzgardzony przez Polaków, odepchnięty przez Rosjan, nielubiany przez Amerykanów, zdoławszy jeszcze przed śmiercią usprawiedliwić Suworowa z rzezi praskiej, akuratnie w tym czasie, gdy pola polskie zlewała znowu męczeńska krew powstańców 1863-go roku.

Niechaj za to Moskale wdzięczną pamięć o nim zachowują. Polak może powtórzyć o nim tylko to, co powiedział mu raz Podczaszyński: — "podlec".

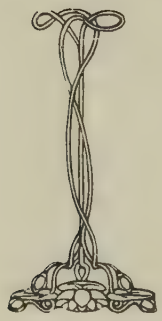

XVIII.

Rok 1863 w amerykańskiej korespondencji dyplomatycznej.

Uczuciami narodów kieruje przedewszystkiem własny interes. Altruizm i polityka nie znoszą się i nie zgadzają w życiu nowoczesnem.

Niemaż narodu wolnego od egoizmu. Każdy ma go w większym lub mniejszym stopniu. Bez niego naród nie byłby bowiem narodem.

Z dumą jednak możemy stwierdzić, że egoizm narodu polskiego nigdy nie był zaborczy i drapieżny. Nie był nawet na tyle dobitny, by zapewnić mu nieprzerwany wolny byt. Unja Lubelska, Warna, Wiedeń, hasło: "Za naszą wolność i waszą" — to niemal osamotnione w historji świata przykłady stosowania miłości bliźniego w życiu międzynarodowem. Polska, nawet w mękach niewoli, zdołała uróść w oczach wieszczów na "Chrystusa narodów".

Młody naród amerykański idealizmem politycznym może najwięcej zbliżył się do nas. Obca mu zaborczość. Umie odczuć los uciemiężonych i nieszczęsnych. W chwilach, kiedy imię Polski gorzało krwią na horyzoncie Europy, tu zawsze mieliśmy serca przyjazne i gorące, tu zawsze otwarty przytułek.

Żeśmy może tego współczucia nie zawsze tyle doświadczali, ile nam się należało — wina to przedewszystkiem długiego niebytu politycznego Polski. Że raz nawet w chwili krytycznej Ameryka sympatjami swemi przerzuciła się na stronę naszego ciemięzcy, wina to raczej zewnętrznych stosunków ówczesnych, które wróg umiał sprytnie wyzyskać dla siebie.

Było to w roku "miatieży" 1863-cim, kiedy w Polsce lała się krew męczeńska i skrzypiały szubienice. W Ameryce racja stanu przydusiła wówczas współczucie dla Polski. Rząd Lincolna znalazł się w objęciach Petersburga.

Jak do tego przyszło, jakie były tego przyczyny i jak wyglądał rok 1863-ci w korespondencji dyplomatów amerykańskich, wyjaśni nam poniższy szkic.

* * *

Utrwaliło się w opinii amerykańskiej pojęcie o przyjaźni rosyjskiej, choć w rzeczywistości jest ona tylko bezpodstawną legendą. Jeżeli kto, to Rosja przedewszystkiem była z natury rzeczy wrogiem republikańskich Stanów Zjednoczonych, chociaż dla polityki nieraz odgrywała rolę ich przyjaciela. Przyjaciel ten umiał być to chłodniejszym, to gorętszym w swych uczuciach, zależnie od tego, w jakim stopniu potrzebował Ameryki do swych rachub politycznych.

Otwarcie i nieprzejednanie wrogie było stanowisko carycy Katarzyny względem powstających kolonji amerykańskich. Francis Dana, wysłany jako minister do Petersburga przez kongres kontynentalny, przez dwa lata oczekiwał napróżno na uznanie, aż w r. 1783 wrócił do Ameryki, nie zdoławszy również zawrzeć poleconego sobie trakta-

tu handlowego z braku pieniędzy na łapówki dla ministrów rosyjskich.

Katarzyna z taką pogardą traktowała kolonje, że zakazywała jakichkolwiek stosunków z posłami Stanów Zjednoczonych nawet swym ambasadorom zagranicznym.

W r. 1812 Rosja wystąpiła z pośrednictwem w wojnie angielsko-amerykańskiej, co niektórzy przytaczają jako jeden z dowodów jej przyjaźni dla Ameryki. W rzeczywistości Rosja była wtedy związana z Anglją w szóstej koalicji przeciw Napoleonowi i chodziło jej nie o co innego, jak o uwolnienie Anglji od kłopotliwej wojny w Ameryce. Pośrednictwo, nawiasem mówiąc, nie przyniosło żadnego skutku.

Niedługo potem nastąpiło silne naprężenie stosunków między oboma krajami. W listopadzie 1815 roku Kozłow, rosyjski konsul generalny w Filadelfji, został aresztowany pod oskarżeniem o kryminalny napad na 12-letnią służącą. Zbrodnia, o ile ją popełnił, uszła mu płazem, gdyż ze względu na urzędowy charakter oskarżonego sprawę przekazano sądom federalnym, a federalne ustawodawstwo nie miało prawa o gwałcie. Pomimo jednak tej bezkarności, rząd rosyjski i jego poseł w Waszyngtonie, Daszkow, zaczęli gburowato upominać się o znieważenie majestatu carskiego przez rzekomo bezprawne aresztowanie konsula Jego Imperatorskiej Mości. Car Aleksander wydalił ze swego dworu Harrisa, amerykańskiego charge d'affaires. W październiku 1816 r. Daszkow zerwał stosunki z rządem amerykańskim. Bezczelność Moskwy doszła do takiego stopnia, że "gdyby to zdarzyło się w innym kraju" — pisze o tej sprawie historyk John C. Hildt — "takie zachowanie się rządu rosyjskiego i jego upełnomocnionego przedstawiciela w Stanach Zjednoczonych byłoby uważane za powód wojny. Ale ponieważ dopiero co skończyła się wojna z Anglią, rząd amerykański nie mógł narażać kraju na nową walkę."

Dalsze stosunki amerykańsko-rosyjskie układały się niewiele pomyślniej. Sławna doktryna Monroe'a była głównie następstwem zachłannej i autokratycznej polityki rosyjskiej, która, z jednej strony, dążyła do odcięcia Stanów Zjednoczonych od Pacyfiku, z drugiej zaś usiłowała narzucić drugiej półkuli władzę "świętego przymierza".

Z czasem w stosunkach między Ameryką a Rosyą nastaje złagodnienie. Urzędowo zapanowuje nawet przyjaźń. Rozkwit jej przypada na czasy wojny domowej.

Dyplomatyczna gra Rosyi, kierowana wówczas ręką kanclerza Gorczakowa, była prawdziwie mistrzowską. Nic dziwnego, że złapał się na nią rząd amerykański, nie zbyt doświadczony w sztuczkach dyplomatycznych, a przytem siłą wypadków pchany w objęcia Rosyi.

O co Petersburgowi chodziło w tej grze?

Na pytanie to historycy amerykańscy nie zdołali dotychczas dać

prawdziwej odpowiedzi, gdyż nie połapali się, że Polska była kluczem zagadki. Są wśród nich nawet tacy łatwowierni, którzy utrzymują, iż gorąca przyjaźń Rosyi w czasie wojny domowej wypływała z czystych uczuć i że "Jankesi Północy" — jak ich naiwnie nazywano wówczas w Ameryce — gotowi byli nawet orężnie wystąpić w obronie nagle umiłowanych Stanów Zjednoczonych.

Tymczasem fakty wskazują następującą prawdę historyczną:

Rosya mordowała wówczas Polskę i amerykańska wojna domowa była dla niej bardzo dogodną dla zachowania pozorów przyzwoitości, takich, jakie były konieczne nawet wśród rozbójniczych rządów Europy.

A druga prawda historyczna jest taka:

Powstanie styczniowe, pozornie zostające bez związku z wojną domową w Ameryce, przyczyniło się w niemałej mierze do zasłonięcia Stanów Zjednocznych przed interwencją mocarstw europejskich. Bez powstania w Polsce Rosya nigdy nie zajęłaby tak wyzywającego stanowiska wobec Francyi i Anglii, jawnie popierających konfederację przeciwko Unji.

W lutym 1861-go roku zaszły w Warszawie wypadki, znamionujące groźne wzburzenie umysłów. W kwietniu tegoż roku rozpoczęła się wojna domowa. Dla Rosyi był to bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności. Gorczakow odrazu spostrzegł pozorne podobieństwo położenia Petersburga i Waszyngtonu. Południe, podnoszące broń przeciw amerykańskiemu rządowi federalnemu, dało się w pojęciach dyplomatycznych doskonale porównać z Polską, buntującą się przeciw władzy rosyjskiej. Podobieństwo polityczne, bez względu na wartość moralną porównania — było rzeczywiście doskonałe.

Ażeby zabezpieczyć się na przyszłość, Gorczakow w lipcu 1861-go roku wysłał notę do Waszyngtonu, która, doprawdy, mogła wzruszyć Amerykanów swą "bezinteresownością". W przeciwieństwie bowiem do Anglii i Francyi, które zachowaniem swem sprawiały tyle zmartwień rządowi Lincolna, Rosya w nocie tej stanowczo opowiadała się po stronie Unii amerykańskiej, usilnie popierała konieczność utrzymania jej, podnosiła wspólność interesów Ameryki i Rosyi, i wreszcie, dla formy, wzywała wojujące strony do pojednania.

Waszyngton może jeszcze wówczas nie przenikał właściwego znaczenia noty, choć po odrzuceniu wszystkich pieknych zwrotów i przenośni dyplomatycznych znaczyła ona: — Popieramy was, gdyż jesteśmy zagrożeni buntem Polski, który zamierzamy stłumić równie bezwzględnie, jak wy bunt Południa; jak wy bowiem stany południowe, tak my Polskę uważamy za integralną część państwa.

Bliska przyszłość wykazała przezorność i zręczność kroku Gorczakowa.

W styczniu 1863-go roku wybuchło powstanie w Polsce. Nota do Stanów Zjednoczonych z r. 1861-go dawała Rosyi teraz dogodną pod-

stawę do brutalnego tłumienia powstania polskiego z zachowaniem pozorów przyzwoitości dyplomatycznej.

Że Rosya rzeczywiście utożsamiała bunt Południa z powstaniem polskiem; że minister amerykański w Petersburgu, generał Clay — nawiasem mówiąc, typ taniego politykiera — działał w tym duchu, bez sympatyi dla naszej sprawy polskiej; że i w Ameryce przyjęto ten pogląd, dowodzi tego niejeden ustęp dołączonych tu dokumentów.

Dalsze wypadki coraz to więcej zacieśniały nienaturalną przyjaźń najwolniejszej w świecie republiki z najokrutniejszym samodzierzcą.

Dnia 23-go kwietnia 1863 r. Drouyn de l'Huys, minister spraw zagranicznych cesarza Francyi, Napoleona III-go, polecił Mercierowi, posłowi francuskiemu przy rządzie Stanów Zjednoczonych, zaprosić tenże rząd do wspólnej z Francyą, Anglią i Austryą interwencyi u dworu petersburskiego na korzyść Polski. Co prawda, zamierzona interwencya była gestem dyplomatycznym, którego autorzy byli przeświadczeni z góry o jego próżności.

William H. Seward, sekretarz stanu, po porozumieniu się z prezydentem Lincolnem, odpowiedział notą, w której, zasłoniwszy się doktryną Monroe'a, odmówił współudziału w akcyi na korzyść Polski Notę tę, jak wogóle wszelką ówczesną korespondencyę Sewarda z dyplomatami europejskimi, cechuje chłód względem Polski, pokrywany tu i ówdzie czulszymi, ale nic nie znaczącymi frazesami. Trudno zresztą specyalnie obwiniać o to Stany Zjednoczone. Szlachetny zapał, szczerość nie należą do zalet żadnej współczesnej dyplomacyi.

Jakże jednak blado, jak niemęsko brzmi jedyny ustęp tej noty, tyczący przyszłości Polski i ograniczający się do wyrażenia nadziei, że "oświecony i ludzki" car Aleksander II. przyjmie interwencyę z przychylnością, zgodną "z ogólnem dobrem wielkiego swego państwa".

Francya przez swe zaproszenie Ameryki do interwencyi wywołała tylko nowy niespodziewany sukces Rosyi. Gorczakow mógł tryumfować. Jak bardzo nota Sewarda była mu na rękę, świadczy pospiech, z jakim ogłosił ją w Petersburgu. "Korespondencya zdaje się być bardzo zadawalniająca dla Rosyan", donosił poseł Clay Sewardowi a zupełnie wyraźnie mówi o tem sam Gorczakow w liście do Claya, wystosowanym zaraz po otrzymaniu noty:

"Rząd Jego Majestatu Cesarza jest głęboko wzruszony uczuciem ufności, jakie rząd Stanów Zjednoczonych pokłada w jego poglądach i zamiarach co do ogólnego dobrobytu cesarstwa. Musi ono wzmocnić węzły wzajemnych sympatyi, jakie łączą oba kraje i stanowią wypadek, który zbyt odpowiada dążeniom Jego Majestatu Cesarza, by nie spoglądał na niego z przyjemnością.

"Jego Majestat równie wysoko ceni stanowczość, z jaką rząd Stanów Zjednoczonych podtrzymuje zasadę nieinterwencyi...."

Tak wiec Ameryka stała się jedynem państwem, które poparło rząd rosyjski w r. 1863 przeciw tej nieśmiałej i słabej interwencyi, z

jaką w obronie Polski wystąpiły wszystkie rządy Europy z wyjątkiem Prus.

We wrześniu 1863 r. car wysłał swą wojenną flotę z tajemniczymi "zapieczętowanymi rozkazami" do Stanów Zjednoczonych. Jaki był cel tej wycieczki floty, różni różnie tłumaczą. Niektórzy z amerykańskich dziejopisów twierdzą, że "tajne rozkazy" polecały flocie oddać się do dyspozycyi Stanów Zjednoczonych i wspólnemi siłami przeszkodzić Francyi i Anglii w interwencyi na korzyść Konfederacyi. Mniej przychylni Rosyi uważają demonstracyę floty za bezcelowy przypadek. Inni inaczej jeszcze ją tłómaczą. Pewnego zaś żaden z nich nie wie, gdyż Rosya nigdy nie wytłómaczyła powodu tego ruchu, który wywołał duże wrażenie w świecie politycznym i do dziś przytaczany jest za główny tytuł do przyjaźni amerykańsko-rosyjskiej.

A jednak łatwo odnaleźć wytłómaczenie tego manewru Rosyi, jeżeli zwrócimy uwagę na Polskę. Gdy cała niemal Europa stawała w obronie duszonego Królestwa Polskiego, gdy tylko jedne Stany Zjednoczone podtrzymywały zasadę nieinterwencyi, czyż wycieczka floty rosyjskiej do Ameryki mogła znaczyć co innego, jak dobitne zaakcentowanie tej zasady odnośnie do Rosyi i pokazanie żelaznych zębów tym, którzy chcieli mieszać się do "wewnętrznych" jej spraw?

Carowi z pewnością nie chodziło o ratowanie Ameryki od nieproszonego wtrącania się Francyi i Anglii, ani nawet nie o wywołanie entuzyastycznych wylewów przyjaźni amerykańskiej dla Rosyi, ale jedynie o pogrożenie opiekunom Polski, o nastraszenie ich "tajnymi rozkazami", których w rzeczywistości, zdaje się, nawet wcale nie było.

Nie o Amerykę mogło chodzić podłemu Petersburgowi, bo ta za mało wtedy ważyła w polityce międzynarodowej i w oczach carów miała tyle znaczenia, ile można ją było użyć przeciw Anglii, czy przeciw komukolwiek innemu.

Ale o Polskę chodziło carom zawsze bardzo wiele.

Zupełnie według kroju rosyjskiego rozumiał rzecz poważny tygodnik nowojorski "Harper's Weekly", który w artykule z 17-go października 1863, napisanym na powitanie floty rosyjskiej w Nowym Jorku, zaszedł nawet aż do propozycyi odstąpienia od doktryny Monroe'a i zawarcia przymierza z Rosyą.

"W obecnym czasie", brzmi ustęp z tego artykułu, "Rosya i Stany Zjednoczone znajdują się w niezwykle podobnem położeniu. Część poddanych cesarstwa rosyjskiego, zamieszkałych w Polsce, (jak starannie autor ominął tu nazwę Polaków, która mogłaby drażnić gości!), próbowała oderwać się od państwa i stworzyć niepodległy narodowy byt, tak właśnie, jak nasi południowi władcy niewolników próbowali oderwać się od Unii i założyli niewolniczą Konfederacyę. Car, podobnie jak rząd Unii, przedsięwziął zduszenie powstania siłą broni. W ten sposób zresztą musiałby postąpić każdy rząd pod karą państwowego samobójstwa. Jednakowoż Rosyi, jak i Stanom Zjedno-

czonym, zaczęły przeszkadzać i dokuczać Francya i Anglia swem wtrącaniem się. Car, podobnie jak Lincoln, pomimo tego, trwa w swem przedsięwzięciu. A będąc stanowczy w swym zamiarze i zdecydowany na wszystko, wysłał flotę na nasze wody, aby w razie wojny handel Anglii i Francyi nie wywinął mu się tak łatwo, jak podczas wojny krymskiej...

"Przymierze między Rosyą a Stanami Zjednoczonymi w obecnym czasie prawdopodobnie uwolniłoby oba kraje od wszelkich obaw obcego wtrącania się..."

Na szczęście, i wówczas niecała Ameryka z takiem lekkiem sercem sprzedawała Polskę za miskę soczewicy. Na szczęście, i wtedy znaleźli się ludzie, dla których Polacy byli nie tylko "zbuntowanymi poddanymi cara". Kroniki ówczesne notują szereg wieców i zebrań Amerykanów na rzecz powstania. Ale większość narodu dała się unieść fali sympatyi prorosyjskiej.

Pobyt floty w Ameryce był jedną ciągną owacyą. "Prywatne osoby, miasta i ciała publiczne", — notuje tenże tygodnik, "prześcigają się nawzajem w honorach dla Rosyan. Szlachetne bowiem stanowisko Rosyi w powstrzymaniu się od interwencyi w naszej wojnie rozrzewniło serca wszystkich Amerykanów i napełniło je wdzięcznością."

Niestety, "szlachetność" ta była okupiona krwią i łzami Polski...

Rada miasta Nowego Jorku, ta sama, która w roku 1831-ym zapewniała Warszawę o swych najgorętszych i najszczerszych życzeniach zwycięstwa i winszowała jej dzielnej obrony przed hordami Rosyi, ta sama rada uchwaliła teraz rezolucyę na cześć Rosyan i przez specyalny komitet wysłała ją na ręce admirała Lisowskiego, dowódcy floty. Ta sama rada wydała świetne przyjęcie dla oficerów rosyjskich, a sto tysięcy osób witało ich pochód przez ulice miasta. Bal w Academy Music Hall na cześć gości kosztował milion dolarów, sumę niebywałą, jak na owe czasy, a rozrzutność ta w czasach wojny i potrzeby narodowej, zawstydziła nawet takiego przyjaciela Rosyi, jak "Harper's Weekly".

Równie hucznie witano i w innych miastach pojawienie się Moskali, tak samo serdecznie podejmywano ich w Waszyngtonie.

"Życzliwość, z jaką witano rosyjską flotę w naszych głównych portach, była mimowolnym odruchem narodu amerykańskiego", —pisał sekretarz stanu Seward do posła Claya w Petersburgu. "Była ona zarówno powszechną, jak i żywiołową. Prezydent gorąco pragnął, aby przyjęcie ich w stolicy mogło być odbiciem serdeczności i przyjaźni, jaką nasz naród odczuwa dla Rosyi i mogę stwierdzić z radością, że życzeniu temu, jak dotychczas, stało się zadość."

Clay zaś pisał z Petersburga Sewardowi:

"Przyjęcie Rosyan na wodach amerykańskich jest przedmiotem rozmów we wszystkich kołach; i zarówno wyższe warstwy, jak i prości ludzie zdają się równie dobrze pojmować i odczuwać te przyjazne demonstracye, jakich doznała flota właśnie w tym czasie, kiedy

Francya, Anglia i Austrya próbują wykląć Rosyę z grona państw chrześcijańskich za to, że broni niepodzielności swego cesarstwa."

Powrót floty do Rosyi dał sposobność do nowych hucznych demonstracyi, tym razem rosyjskich na cześć Ameryki. Podczas nich minister amerykański wznosił toasty na cześć cara "oswobodziciela", który, jeżeli kogo oswobadzał, to chyba tylko dusze Polaków z powłoki ziemskiej przy pomocy szubienicy i tortur.

Jak by nie dosyć było tych wszystkich czułości, sekretarz stanu Seward w r. 1864 polecił Clayowi zaprosić wielkiego księcia Konstantego, brata carskiego, do zwiedzenia Ameryki. Clay uczynił to z takim zapałem, że zapewnił Konstantego, iż czeka go "owacya, jakiej świat rzadko był świadkiem od czasu upadku imperjum rzymskiego". Wielki książę wymówił się jednak nawałem obowiązków.

Tryumfowała więc w całej pełni racya stanu nad słuszną, ale zdeptaną sprawą Polski. Nie krępowano się nią wcale, nie liczono się z tem, co przystoi, a co nie przystoi nad świeżym grobem męczonego narodu. Ale Ameryka nie była wyjątkiem wśród państw świata.

Stany Zjednoczone z wszystkich tych manifestacyi rosyjskich w okresie wojny domowej zyskały tylko przemijający efekt. Bo, jak z jednej strony, Rosya gotowa była walczyć o Polskę z całym światem, tak z drugiej, dla Ameryki z pewnością pożałowałaby choćby jednego strzału, gdyby w rzeczywistości zaszła tego potrzeba.

Niedługo potem zaszedł wypadek, rzucający jeszcze przykrzejsze dla nas światło na zachowanie się Stanów Zjednoczonych.

Dnia 16-go kwietnia 1866-go roku nihilista Karakozow strzelił w Petersburgu do cara Aleksandra II-go. Niejaki Osip Iwanowicz Komisarow, podbiwszy mu rękę w górę, uratował carskie życie.

Z okazyi tego "cudownego" ocalenia kongres Stanów Zjednoczonych zdobył się na akt bezprzykładny w historyi Ameryki a niezwykły w historyi narodów.

Dnia 4-go maja izba a dnia 8-go maja tegoż roku senat uchwaliły jednogłośnie rezolucyę, wyrażającą carowi głębokie ubolewanie z powodu zamachu i gratulacye z powodu "opatrznościowego" ocalenia, a zarazem postanawiającą doręczenie carowi tejże rezolucyi przez umyślnego posła.

Takiej czołobitności nie wymagała już teraz żadna rzeczywista, czy pozorna potrzeba.

Posłem wyznaczono Gustawa V. Foxa, podsekretarza marynarki, któremu jako eskortę przydano flotylę okrętów wojennych. Wycieczka Foxa do Rosyi była jednym ciągiem deklamacyi o wzajemnej przyjaźni, toastów, przyjęć i bankietów. Wysłannik amerykański złożył swój hołd carowi, któremu w superlatywach wyraził uczucia Ameryki, poczem odwiedził nawet Komisarowa, zbawcę Aleksandra, dziękując mu "w imieniu Stanów Zjednoczonych, że został wybrany przez Boską Opatrzność do ocalenia życia tak drogiego nie tylko dla Rosyi, ale i dla cywilizowanego świata."

Dobrze ówczesny nastrój umysłów amerykańskich maluje wiersz poety Olivera Wendella Holmesa, napisany specyalnie dla misyi Foxa i kończący się następującą zwrotką:

"A nation's love in tears and smiles
"We bear across the sea;
"O Neva of the hundred isles.
"We moor our hearts in thee!"

Realnymi wynikami misyi był list odręczny cara do prezydenta Lincolna z wyrazami przyjaźni i podpisem "your good friend Alexander", oraz rozmaite dary, które członkowie misyi przywieźli.

W r. 1867-ym Ameryka zakupiła od Rosyi Alaskę. I tę transakcyę uważa wielu historyków amerykańskich za dowód bezinteresownych uczuć rosyjskich. Tymczasem Rosya pozbywała się Alaski, po pierwsze, dlatego, aby uwolnić się od dalekiego, niebronionego terytoryum, które łatwo mogło wpaść w ręce Anglii w razie wojny, jaka wówczas groziła wybuchem; po drugie, chciała wzmocnić Stany Zjednoczone jako rywala Anglii; po trzecie, potrzebowała pieniędzy, a po czwarte, uważała Alaskę za nieużytek.

Wraz z tem kupnem Stany Zjednoczone dostały się w długie i nie bezpieczne spory z Anglią o prawa rybołostwa i granice, które dopiero w r. 1903-im zostały ostatecznie polubownie załatwione.

Wnet potem sielankowa przyjaźń amerykańsko-rosyjska pękła nagle jak bańka mydana.

Powodem tego była t. zw. "Perkins claim", sprawa o zapłatę dla obywatela amerykańskiego za amunicyę, dostarczoną Rosyi podczas wojny krymskiej. Rząd rosyjski odmawiał stanowczo uznania pretensyi, rząd amerykański nalegał na uznanie. Brzydkie intrygi, jakie towarzyszyły tej sprawie, doprowadziły do takiego zaostrzenia stosunków, że minister rosyjski w Waszyngtonie, Katakazy, omal nie został odwołany, a wielki książę Aleksander, syn cara, późniejszy car Aleksander III-ci, wysłany z flotą do Ameryki celem podziękowania za misyę Foxa, chociaż witany owacyjnie przez masy, w sferach urzędowych spotkał się z bardzo chłodnem powitaniem. Szczególnie zimno przyjął go prezydent Grant.

Car nie omieszkał odpłacić się pięknem za nadobne. Gdy na następnem dworskiem przyjęciu dziękował ministrowi Stanów Zjednoczonych za entuzyastyczne przyjęcie syna przez naród amerykański, ten oświadczył dobrodusznie, że doniesie o tem prezydentowi. Aleksander zawołał na to: "Nie, nie prezydentowi, ale narodowi!" Potem dopiero kanclerz Gorczakow objaśnił zdziwionego ministra, co znaczyła niełaska cara na prezydenta i ubolewał przytem, że rząd amerykański tak źle wywdzięczył się carowi za wysłanie floty w r. 1863.

Dalsze stosunki rosyjsko-amerykańskie były mniejwięcej normalne. Pod wpływem zręcznej propagandy rosyjskiej utrwalało się w Ameryce pojęcie o przyjaźni Rosyi.

Ślady tej urojonej przyjaźni znajdujemy nawet w nocie sekreta-

rza stanu Bainbridge'a Colby z sierpnia 1920, określającej stanowisko Stanów Zjednoczonych wobec najazdu Polski przez bolszewików. 'Rząd i naród Stanów Zjednoczonych" — powiada nota, — "żywią szczerą sympatyę dla wielkiego narodu rosyjskiego. Przyjaźń, jakiej dowody złożyła Rosya względem naszego narodu w czasie próby i potrzeby, pozostawiła w nas niegasnące uczucie wdzięczności."

Z wdzięczności tej rząd prezydenta Wilsona do ostatka odmawiał uznania państw, powstałych na gruzach Rosyi po wielkiej wojnie, z wyjątkiem Finlandyi i Polski. Z wdzięczności tej wzywał Polskę, by swe armie, ścigające bolszewików po "cudzie nad Wisłą". zatrzymała na sławnej "linii Curzona". Wnet jednak, co prawda, zmienił swe stanowisko.

Taka jest pokrótce historya stosunków rosyjsko-amerykańskich. Streszczając się, powtarzamy: Stosunek Rosyi do Ameryki — w tych momentach, w których car przybierał na siebie maskę życzliwości, był zawsze obłudny. Każdy ruch Petersburga, rzekomo przyjazny, był obliczony z góry dla własnej korzyści. Rosya z natury rzeczy była zawsze raczej wrogiem Ameryki, nie strasznym jedynie tylko dlatego, że za dalekim. Najdobitniejszy niby dowód uczuć rosyjskich — wysłanie floty w r. 1863 — wywołany został wyłącznie powstaniem polskiem i ówczesną interwencyą mocarstw na rzecz Polski. Ameryka wobec Rosyi niema żadnego długu wdzięczności. Jeżeli zaś komukolwiek winna ją za poparcie Rosyi podczas wojny domowej, to tylko Polsce. Objawy sympatyi Ameryki dla Rosyi, nie zawsze licujące z godnością najwolniejszej republiki, były conajmniej przykre dla narodu polskiego, który w czasie rozkwitu tej pseudo-przyjaźni toczył śmiertelny bój o te same ideały, o jakie walczyła Ameryka w rewolucyi, a przeciw cięższej i podlejszej tyranii, niż angielska.

Uczuciami narodów — tu stwierdzić jeszcze raz należy—kieruje przedewszystkiem własny interes.

Na tle tego zarysu dyplomatycznych stosunków między Rosyą a Ameryką zrozumialszą bedzie amerykańska korespondencya dyplomatyczna, dotycząca roku 1863-go, a wydobyta tu poraz pierwszy z dokumentów kongresu Stanów Zjednoczonych. Korespondencya ta nie jest zupełna. Wiele listów, prawdopodobnie najciekawsze, a może najdrażliwsze, zostały pominięte w wydaniu ich z r. 1866-go i zatrzymane w archiwach waszyngtońskich. Z innych tylko wyjątki zostały opublikowane. Jednakowoż zbiór poniższy wystarczy do wyjaśnienia tematu i z pewnością zostanie ciekawym przyczynkiem do dziejów roku 1863-go.

KORESPONDENCJA MIĘDZY WILLIAMEM L. DAYTONEM, POSŁEM STANÓW ZJEDNOCZONYCH W PARYŻU, A WILLIAMEM H. SEWARDEM, SEKRETARZEM STANU.

Dayton do Sewarda,

Paryż, 23-lutego, 1863.

Panie: Nie widziałem p. Drouyn de l'Huys'a (francuskiego ministra spraw zagranicznych) przez ostatnie kilka dni i niemam nic nadzwyczajnego do doniesienia. Powstanie polskie przesłoniło chwilowo sprawy amerykańskie. Zaburzenie na kontynencie, zwłaszcza w Europie środkowej, zdaje się być tak bliskie a dotyczyłoby tylu koronowanych głów krajów, że dalekie wypadki przestają zajmować uwagę publiczną, póki te bliższe niepokoje nie ustaną. Nic publicznie nie wiadomo o poglądach Jego Cesarskiej Mości (Napoleona III), choć prasa francuska prawie powszechnie potępiła Rosyę i sympatyzuje z Polską. Jak mi doniesiono, dzisiaj rano o godzinie 8-ej wyjechał kuryer do Petersburga z odręcznym listem Jego Cesarskiej Mości do cesarza Aleksandra. O treści tegoż listu jednakowoż nic nie wiadomo. Pomimo ostatniej wojny na Krymie, osobiste stosunki między oboma cesarzami są podobno dobre...

William L. Dayton.

Dayton do Sewarda.

Paryż, 27-go marca 1863.

Panie: ...Wczoraj przedstawiłem panu Drouyn de l'Huys "wspólne reolucye kongresu w sprawie zagranicznej interwencyi w obecnej

Nie robił żadnych uwag nad niemi i widocznie nie miał ochoty wchodzić w rozmowę na ten temat. Umysł jego zdaje się być zajęty Polską i związanemi z nią rzeczami...

William L. Dayton.

Seward do Daytona.

Waszyngton, 8-go kwietnia 1863.

Panie: ...Uwagi Pana, jakie podaje depesza z 20-go marca, (brakującą w zbiorze) o zamiarach i polityce rządu francuskiego w sprawie Polski, zgadzają się z przewidywaniami w tym przedmiocie, jakie tu panują pod względem otrzymanych już oświadczeń parlamentarnych i not dyplomatycznych.

O ile wierzyć doniesieniom, które prześcigły depeszę Pana, powstanie skończyło się już i to wcześniej, niż przypuszczano w Paryżu, i dzielny naród, którego krzywdy, którego nieszczęścia, i którego waleczność wywoływały tak głęboką i powszechną sympatyę w Europie, jest znowu na łasce i wspaniałomyślności cara. Charakter jego ma

wiele rysów, które pozwalają nam spodziewać się, iż przyzna Polakom prawa i przywileje, których nie zdołali odbić siłą.

William H. Seward.

Dayton do Sewarda.

Paryż, 9-go kwietnia 1863.

Panie: ...(Po omówieniu spraw amerykańskich) p. Drouyn de l'Huys zaraz zaczął mnie informować o stanie sprawy polskiej, która zdaje się głównie zajmować jego umysł. Powiedział, że Francya, Anglia i Austrya mają wkrótce wyrazić Rosyi swe poglądy lub życzenia; że w głównych zarysach zgodziły się już na charakter zamierzonej akcyi; że wszystko będzie w jak najłagodniejszej formie, bez jakiejkolwiek próby nacisku i t. d. W rzeczywistości, zdaje mi się, że Francya zamierza stosować do Rosyi tę samą politykę, jaką zamierzała stosować do nas; tylko w tym wypadku otrzymała pozwolenie innych mocarstw do wspólnego z nią działania, czego nie było w stosunku do nas. Ale i tu także cesarz (Napoleon) dał inicyatywę. Powiedziałem panu Drouyn de l'Huys, że to są wszystko sprawy polityki europejskiej, które, chociaż obchodzą nas ogólnie, są zupełnie podrzędne interesom naszego własnego kraju i kontynentu...

William L. Dayton.

Seward do Daytona.

Waszyngton, 24. kwietnia 1863.

Panie: ...Prezydent przyjął z wielkiem zaciekawieniem oświadczenie p. Drouyn de l'Huysa w sprawie polityki Francyi co do powstania w Polsce (dotyczy to poprzedniego listu). Zdaje się nam, że cesarz rosyjski przedsięwziął politykę dobroczynnych reform w wewnętrznej administracyi. Jego znana mądrość i jego dobre chęci pozwalają ufać, że Polska nie będzie pozbawiona sprawiedliwej części łask cesarskich, o ileby rewolucya, podniesiona przez jej bohaterski naród, została zduszona, jak się tego ogólnie teraz spodziewają w Europie...

William H. Seward.

Drouyn de l'Huys, francuski minister spraw zagranicznych, do H. Merciera, posła francuskiego w Waszyngtonie.

Departament Spraw Zagranicznych,
Wydział Polityczny.

Paryż, 23. kwietnia 1863.

Panie: Wypadki w Polsce zwróciły na siebie baczną uwagę wszystkich gabinetów.

Czy na wybuchłą walkę będziemy patrzyli ze stanowiska ludzkości, czy politycznych interesów, musi ona zająć troskliwość mocarstw.

Zaburzenia, które co jakiś czas ponawiają się, świadczą o ciągłem istnieniu trudności, których czas nie wyrównał, i objawiły znowu nie bezpieczeństwo, jakie mogą ściągnąć. Dwory Francyi, Anglii i Austryi, porówni przejęte temi myślami, rozpoczęły narady celem przedłożenia wspólnie gabinetowi petersburskiemu uwag, które usuwa ten stan rzeczy; i zgodziły się one odrazu wysłać do swych przedstawicieli przy Jego Majestacie Cesarzu Aleksandrze depesze, któreby ci równocześnie przedłożyli rządowi rosyjskiemu.

Przy niniejszym liście znajdzie Pan kopię naszej noty. Noty Anglii i Austryi są mniejwięcej w tym samym duchu.

W przygotowaniu tego dokumentu celem naszym było stać się możliwie najwierniejszymi tłumaczami powszechnej opinii. Unikaliśmy wszelkiego nakazu pojęć nam właściwych; nie wysuwaliśmy żadnego spostrzeżenia, którego by inne dwory nie mogły przyjąć za swoje. Sądzimy więc, że możemy się spodziewać, iż poglądy, przyjęte przez rząd Cesarza, otrzymają aprobatę wszystkich gabinetów i że dobrowolnie poprą one manifestacyę u dworu petersburskiego.

Proszę więc Pana odczytać tę depeszę panu Sewardowi i równocześnie pozostawić w jego rękach odpis tej, którą wysyłam w załączeniu. Prosimy o urzędowe przystąpienie do akcyi rozmaitych rządów i chcemy wierzyć, że chętnie zgodzą się na życzenie, jakie im wyrażamy, albo przez wystosowanie do dworu rosyjskiego noty, podobnej do naszej, albo przez przedstawienie mu podobnych uwag. Dobre stosunki, istniejące między rządem Stanów Zjednoczonych a rosyjskim dworem, mogą tylko przydać większej wagi radom, przedstawionym w przyjaznej formie; a polegamy zupełnie na gabinecie waszyngtońskim w doborze środka, jakim będzie mógł najlepiej przedstawić swe poglądy rządowi rosyjskiemu.

Przyjm, Pan... **Drouyn de l'Huys.**

Załącznik.

(Depesza ministra de l'Huysa do ks. Montebello, ambasadora francuskiego w Petersburgu.)

Książę: Powstanie, którego sceną jest obecnie Królestwo Polskie, wywołało w Europie żywe zaniepokojenie wśród spokoju, któremu żaden bliski wypadek zdawał się nie zagrażać. Ubolewania godny rozlew krwi, którego walka ta jest powodem, i smutne wypadki, które ją charakteryzują, wywołują poruszenie zarówno powszechne, jak i głębokie.

Rząd Jego Majestatu spełnia więc swój obowiązek, wyrażając dworowi Rosyi myśli, które ten stan rzeczy mimowoli nasuwa, i zwracając jego uwagę na niewygody i trudności, jakie za sobą pociąga.

Cechą ruchów w Polsce, Panie Książę, nadającą im wyjątkową doniosłość, stanowi to, że nie są one wynikiem przemijającego kry-

zysu. Skutki, które powtarzają się, prawie niezmiennie, co pokolenie, nie mogą być przypisane wyłącznie przypadkowi. Wstrząśnienia, które stają się perjodycznemi, są objawami zastarzałej choroby; dowodzą one bezsilności sposobów, obmyślanych dotychczas dla pogodzenia Polski z jej położeniem. Z drugiej strony, te zbyt częste zaburzenia są, za każdym wybuchem, przedmiotem niepokoju i obawy. Każdy ruch w Polsce, zajmującej środkowe położenie na kontynencie, musi wywołać ruch w rozmaitych państwach, położonych w sąsiedztwie jej granic, a odbicie tych ruchów daje się odczuć w całej Europie. Zdarzyło się to w każdej epoce, kiedy tylko Polacy chwycili za broń. Następstwem tych walk, o ile sądzić z tego, czego jesteśmy w tej chwili świadkami, jest nie tylko wzburzenie umysłów w niepokojącym stopniu; walki te, przedłużając się, wpływają ujemnie na stosunki gabinetów i wywołują jak najsmutniejsze komplikacye. Dla wspólnego dobra wszystkich mocarstw należałoby skutecznie usunąć niebezpieczeństwa, które ciągle wznawiają się.

Chcemy wierzyć, Panie Książę, że dwór rosyjski przyjmie te rozważania, tak godne jego uwagi, z takiem samem uczuciem, jakie nam je podyktowało. Ufamy, że udowodni on, iż ożywiają go liberalne zamiary, — a rządy Jego Majestatu Cesarza Aleksandra dały już wiele takich dobitnych dowodów — i że w swej mądrości uzna obecną chwilę za odpowiednią do obmyślenia środków dla trwałego uspokojenia Polski.

Proszę oddać odpis tej depeszy Jego Ekscelencyi Ksieciu Gorczakowowi. **Drouyn de l'Huys.**

Seward do Daytona

Waszyngton, 11. maja 1863.

Panie: Pan Mercier odczytał mi i na moją prośbę pozostawił mi odpis instrukcyi z daty 23-go kwietnia b. r., otrzymanej przez niego od p. Drouyn de l' Huys'a i odnoszącej się do podniecających i ciekawych wypadków w Polsce, któremi teraz jest poważnie zajęta uwaga głównych państw Europy zachodniej.

P. Mercier równocześnie raczył zostawić mi odpis instrukcyi, dotyczącej tych samych wypadków, a wysłanej przez pana Drouyn de l'Huys do ambasadora francuskiego w Petersburgu.

Z pierwszego z tych papierów dowiadujemy się, że akcya, postanowiona w Paryżu celem wywarcia moralnego wpływu na cesarza Rosyi, otrzymała zgodę i obietnicę współdziałania ze strony dworu wiedeńskiego i gabinetu londyńskiego, i że cesarz Francuzów słusznie oceniając z jednej strony naszą historyczną sympatyą dla Polaków, z drugiej zaś naszą dawną przyjaźń z Rosyą, byłby zadowolony z współdziałania rządu Stanów Zjednoczonych w tej ważnej akcyi.

Otrzymawszy polecenia prezydenta, mogę teraz przedstawić nasze poglądy na ten przedmiot dla wiadomości pana Drouyn de l'Huys.

Rząd nasz jest głęboko i przyjemnie dotknięty względami, które cesarz okazał Stanom Zjednoczonym przez zaproszenie ich do udziału w akcyi, mającej na celu podwójne dobro porządku publicznego i ludzkości. I nie mniej przyjemnie dotknięty jest uczuciami i trafnemi uwagami, które cesarz w tak odpowiedni sposób wyraził dworowi petersburskiemu. Muszą one znaleźć oddźwięk w słusznych wzruszeniach i najlepszych sympatyach ludzkości. Oświecony i ludzki charakter cesarza rosyjskiego, który objawił się tak niedawno uwolnieniem wielkiej masy narodu rosyjskiego z dziedzicznej niewoli i ustanowieniem bezstronnej i skutecznej administracyi sądownictwa w całem państwie, usprawiedliwia nadzieję, że przyjmie i odpowie na apel z całą łaskawością, zgodną z ogólnem dobrem wielkiego państwa, nad którem włada z taką wybitną mądrością i umiarkowaniem.

Pomimo jednak przychylności, z jaką przyjęliśmy propozycyę cesarza Francuzów, rząd nasz znajduje nieprzezwyciężone trudności na drodze do jakiejkolwiek czynnej akcyi z rządami Francyi, Austryi i Wielkiej Brytanii, do której został zaproszony.

Twórcy naszej republiki, założywszy nasze instytucye na zasadzie praw człowieka, zyskali odrazu opinię politycznych reformatorów i wkrótce stało się widocznem, że rewolucyoniści w każdym kraju witali ich jako takich i wyczekiwali od Stanów Zjednoczonych skutecznej sympatyi, a nawet czynnego poparcia i opieki. Zaledwo nasza bezcenna Konstytucya została ustanowiona, a już rząd Stanów Zjednocznych musiał zastanowić się w jakim stopniu moglibyśmy stosownie, bezpiecznie i skutecznie, czy to przez przymierze, czy przez wspólną akcyę z zaprzyjaźnionemi mocarstwami, czy w inny sposób, interweniować w sprawach politycznych państw zagranicznych. Nagłe wezwanie o taką pomoc otrzymaliśmy od Francyi a wypływało ono z istniejącego wówczas traktatu wzajemnego przymierza i obrony, traktatu, bez którego, co możemy i teraz przyznać ku chwale Francyi, nie zdołalibyśmy tak wcześnie zdobyć własną suwerenność i niepodległość. Wezwanie to tak głęboko wzruszyło serce narodu amerykańskiego, że tylko poszanowanie, jakie żywili dla rad Ojca Ojczyzny, który był wówczas w pełni swej nieskazitelnej wielkości moralnej, pogodziło ich z surową decyzyą, że, ze względu na położenie naszej republiki, charakter, zwyczaje i uczucia jej składowych części, a zwłaszcza ze względu na jej skomplikowaną, a jednak jedyną i bardzo popularną Konstytucyę, naród amerykański musi pracować dla sprawy postępu ludzkości przez mądre wykonywanie władz samorządu, wyrzekając się na zawsze jakichkolwiek zagranicznych przymierzy, interwencyi lub mieszań się.

Prawdą jest, że Waszyngton myślał, że może nadejść czas, kiedy po silnem ustaleniu naszych instytucyi i wprowadzeniu ich w życie z zupełnem powodzeniem, będziemy mogli bezpiecznie, a może i skutecznie wziąć udział w naradach państw zagranicznych dla wspólnej korzyści narodów. Od tego czasu zdarzały się często sposobności, któ

re kusiły nas do zboczenia z drogi, pozornie wyglądającej na kierunek odosobnienia i obojętności. Nie ma potrzeby przypominać ich. Jedną z nich było zaproszenie na kongres nowo-wyzwolonych państw hiszpańsko - amerykańskich; inną był gorący apel o pomoc dla rewolucyi węgierskiej, dążącej do przywrócenia dawnej i świetnej niepodległości Węgier; jeszcze inną projekt wspólnej z Francyą i Wielką Brytanią gwarancyi Kuby dla Hiszpanii; później zaproszenie do demonstracyi w Meksyku razem z Hiszpanią, Francyą i Wielką Brytanią; a jeszcze później projekt jednego z państw hiszpańsko-amerykańskich w sprawie wspólnej rady państw republikańskich, położonych na kontynencie amerykańskim. Wszystkie te propozycye zostały jedna po drugiej odrzucone przez nasz rząd, a decyzya jego w każdym wypadku została zatwierdzona przez rozważny sąd narodu amerykańskiego. Nasza polityka nieinterwencyi, prosta, stanowcza i osobliwa, jak może się wydawać innym narodom, stała się w ten sposób tradycyjną i nie mogłaby być poniechaną bez wielkiej potrzeby, równej z widoczną koniecznością. Stanowczo nie byłoby rzeczą mądrą odstąpić od niej teraz, kiedy istnienie lokalnych, choć, jak ufamy, tylko przejściowych zaburzeń — pozbawia rząd rady części narodu amerykańskiego, którą tak dalekie odstąpienie od ustalonej polityki kraju obeszłoby, w każdym razie, bardzo głęboko.

Prezydent nie pozwala sobie myśleć ani na chwilę, że cesarz Francuzów będzie widział co innego, jak uszanowanie i przyjaźń dla siebie i dla narodu francuskiego, oraz przychylne życzenia dla zachowania pokoju i porządku i dla postępu ludzkości w Europie w tem pozostaniu Stanów Zjednoczonych w tym wypadku przy polityce, której trzymały się dotychczas z bezpieczeństwem własnem i nie bez korzyści, jak sądzimy, dla interesów całego świata.

Pozostaję i t. d. **William H. Seward.**

Dayton do Sewarda.

Paryż, 29. maja 1863.

Panie: Depeszę nr. 342 (z 11-go maja) otrzymałem. Podaje ona odpowiedź prezydenta na propozycyę rządu francuskiego, by połączył się z nim i z innemi państwami do akcyi, postanowionej w Paryżu celem wywarcia moralnego wpływu na cesarza Rosyi w sprawie Polski. Skoro tylko otrzymałem tę depeszę, udałem się do ministerstwa spraw zagranicznych i zakomunikowałem ją przez odczytanie w całości panu Drouyn de l' Huys. Powiedział on, że zupełnie nie czuje się zawiedzionym co do wyniku swej prośby do nas, a jeszcze więcej w tem uczuciu utwierdziły go przykłady, przytoczone przez Pana, ilustrujące historyę i wykazujące przeszłe zachowanie się naszego rządu wobec kwestyi interwencyi. Powiedział, że właściwie prośba o współudział w interwencyi została wysłana nam raczej dla uczczenia i szacunku niż z innych względów. W odpowiedzi oświadczyłem

mu, że z Pańskiej depeszy widać wyraźnie, że rząd Stanów Zjednoczonych słusznie i przychylnie ocenia zachowanie się Francyi w tej sprawie i na tem zakończyła się nasza konferencya w tym przedmiocie.

Zapewne zauważył Pan z gazet, że powstanie w Polsce nie zostało zduszone tak prędko jak przypuszczano. Doprawdy, że trudno obecnie zgadnąć, kiedy zostanie zduszone i do czego może doprowadzić. Jednakowoż nie przypuszczam, by mogło wywołać ogólne powszechne zaburzenia w Europie..

William L. Dayton.

Seward do Daytona.

Waszyngton, 12. czerwca 1863.

Panie: Depeszę z 29. maja otrzymałem. Prezydent jest zadowolony z wiadomości, że odpowiedź nasza na propozycye pana Drouyn de l'Huysa w sprawie powstania polskiego została w pełni oceniona przez rząd cesarza.

Wiadomości, jakie Pan podaje o powstaniu polskiem, są bardzo ciekawe. **William H. Seward.**

Dayton do Sewarda.

Paryż, 17. lipca 1863.

Panie: ...Tutejszy korpus dyplomatyczny oczekuje z pewnym niepokojem przybycia odpowiedzi Rosyi (spodziewanej dziś lub najdalej jutro) na propozycyę trzech mocarstw w sprawie Polski. Jednakowoż nie spodziewam się, by z tego wynikła wojna, bez względu na to, jaka będzie odpowiedź.

Francya nie ruszy się, jak już Pana poprzednio informowałem, bez Anglii, a Anglia nie rozpocznie wojny za Polskę...

William L. Dayton.

Dayton do Sewarda.

Paryż, 6. listopada 1863.

Panie: Wspaniała ceremonia otwarcia Izb przez cesarza odbyła się wczoraj. Mowa Jego Majestatu była bardzo oklaskiwana, zwłaszcza jej część, odnosząca się do Polski. Mowa uważana jest za ważną, zwłaszcza o ile tyczy Rosyi. Ogólne wrażenie wśród korpusu dyplomatycznego, o ile sam słyszałem, było, iż zapowiada ostateczną wojnę z Rosyą. Wątpię w to. Rosya, jak powiadają, gotowa jest do konferencyi europejskiej we wszystkich ogólnych sprawach, włączając w to Polskę, ale inne wielkie mocarstwa nie są przygotowane. O ile by tak było, cesarz zyska na czasie i jego program ostatecznie upadnie — nie z jego winy, jak będzie się mógł wymówić. W każdym

razie, będzie mógł powiedzieć, że proponował jedyny praktyczny sposób pomocy Polsce, której sprawa jest tak popularna we Francyi...

William L. Dayton.

—o—

KORESPONDENCYA MIĘDZY CASSIUSEM M. CLAYEM, POSŁEM STANÓW ZJ. W PETERSBURGU, A SEKRETARZEM STANU SEWARDEM,

—o—

Seward do Claya.

Waszyngton, 11. maja 1863.

Panie: Uważam za stosowne, abyś Pan miał odpis noty, którą dziś wystosowałem do p. Daytona w sprawie propozycyi, aby nasz rząd wspólnie z rządami Francyi, Austryi i Wielkiej Brytanii przedłożył swe poglądy na powstanie w Polsce pod rozwage cesarza Rosyi.

Nie będzie rzeczą niestosowną, jeżeli Pan formalnie oznajmi księciu Gorczakowowi treść tego dokumentu.

William H. Seward.

Clay do Sewarda.

Petersburg, 7. maja 1863.

(W liście tym Clay, przybyły właśnie poraz drugi jako poseł Stanów Zjednoczonych do Petersburga, podaje treść swej mowy i cara Aleksandra przy przedkładaniu listów uwierzytelniających. Odnośnie do interwencyi w sprawie Polski Clay powiedział:)

"Chociaż naród Stanów Zjednoczonych nie może być obojętny na bieg wypadków w innych państwach, rozumie on, że ostrożne wstrzymanie się od nieproszonej interwencyi w sprawach wewnętrznych innych narodów jest konieczne dla pokoju świata...

Prezydent i senat, wybierając mnie, którego poglądy i uczucia są dobrze znane, do ponownego reprezentowania ich na dworze Waszej Cesarskiej Mości, dają przez to Waszej Cesarskiej Mości i światu zapewnienie, iż wierzą jak najsilniej, że rząd cesarski tak będzie wykonywał obowiązki swe względem własnego narodu i ogólnego dobra ludzkości, aby pomnożyć te sławę, którą charakter Waszej Cesarskiej Mości i Jego rząd zapisały w historyi..."

Clay do Sewarda

Petersburg, 19. maja 1863.

Panie: Pańscy korespondenci przy innych dworach bezwątpienia poinformowali Cię już o charakterze not, wystosowanych przez Anglię, Francyę, Austryę i niektóre mniejsze państwa do Rosyi w sprawie Polski, jak i o odpowiedziach księcia Gorczakowa .Sądzę, że dam tylko wyraz prawie powszechnemu tu zdaniu, gdy powiem, iż odpowiedź księcia uważana jest za tryumfującą i wyczerpującą. Dowodem

tego jest fakt, że podczas gdy przedtem koła handlowe były poruszone obawami wojny, obecnie wszędzie wierzą w pokój ze wszystkiemi mocarstwami, o ile to dotyczy Polski...

C. M. Clay.

Clay do Sewarda.

Petersburg, 2. czerwca 1863.

Panie: Mam zaszczyt poświadczyć odbiór depeszy nr. 8 (z odpisem noty Sewarda do Francyi). Skoro tylko otrzymałem ją, zaraz kopię Pańskiej noty do p. Daytona posłałem Jego Ekscelencyi Księciu Gorczakowi z następującym własnym listem:

Legacya Stanów Zjednoczonych w Petersburgu,
18. maja 1863.

"Niżej podpisany, minister pełnomocny i poseł nadzwyczajny Stanów Zjednoczonych Ameryki, ma zaszczyt otrzymać od swego rządu odpis noty, wystosowanej przez sekretarza stanu do naszego ministra w Paryżu w odpowiedzi na komunikat p. Drouyn de l'Huysa do rządu Stanów Zjednoczonych, której to noty treść ma polecone zakomunikować w nieformalny sposób dworowi rosyjskiemu. Amerykański minister nie wie, w jaki inny sposób lepiej mógłby wykonać swój miły obowiązek, niż przez wysłanie Jego Ekscelencyi Ks. Gorczakowowi, wicekanclerzowi i ministrowi spraw zagranicznych Jego Cesarskiej Mości, wiernego odpisu tej noty, co niniejszem czyni przez załączenie do tego listu.

"Niżej podpisany z wysokiem zadowoleniem przekonuje się, że jego rząd notą tą podtrzymuje w zupełności te poglądy, które po średnio w sprawie Polski przy sposobności ostatniego przyjęcia miał zaszczyt wyrazić Jego Cesarskiej Mości.

"Amerykański minister korzysta z obecnej okazyi, aby ponowić u Jego Ekscelencyi Księcia Gorczakowa zapewnienia swego najwyższego szacunku.

"C. M. Clay."

List Pana otrzymałem w sobotę. W niedzielę posłałem kopię Pańskiej odpowiedzi dla p. Drouyn de l'Huysa wicekanclerzowi, a dziś, dnia drugiego czerwca, na wezwanie odwiedziłem księcia Gorczakowa, który prosił mnie o pozwolenie opublikowania tej noty. Zgodziłem się na jej ogłoszenie a to z następujących powodów: Stanowisko Pańskie było słuszne i dlatego nie może być obraźliwe dla naszych potężnych rywalów, którzy także działają obraźliwie względem Rosyi. Jakikolwiek wpływ miała nota wywrzeć na Anglię i Francyę, wywarła go już. Opublikowanie noty pomoże Rosyi przez nasze moralne poparcie w kraju i zagranicą a poparcie to jest potrzebne natychmiast; skuteczność jego mogłaby być stracona przez zwłokę, gdybym pytał o dalsze instrukcye od Pana. W końcu zaś, i przedewszystkiem, czułem, że winniśmy to byli Rosyi z wdzięczności za jej przeszłe sta-

nowisko względem nas w naszych kłopotach, aby i ją także poprzeć moralnie w obronie całości jej państwa.

Czuję wprawdzie konieczność stosowania swej działalności do Pańskiej w ogólnym kierunku, który masz prawo dyktować, ale w braku specyalnych instrukcyi, będę postępował tak samo otwarcie i sprawiedliwie w sprawach państwowych, jak uważam to za właściwe w życiu prywatnem.

Wierząc, że mój postępek zyska aprobatę departamentu, pozostaję... **C. M. Clay.**

Seward do Claya.

Waszyngton, 6. czerwca 1863

Panie: Depesza Twoja z 7-go maja została przedłożona prezydentowi i jest aprobowana. Mowa, którą wygłosiłeś do Jego Cesarskiej Mości (przy przedkładaniu papierów), wiernie wyraziła uczucia naszego rządu względem Rosyi... **William H. Seward.**

Seward do Claya.

Waszyngton, 12 czerwca 1863.

Panie: Depesza Pańska z 19. maja została przedłożona prezydentowi. Dowiedziałeś się zapewne z poprzednich moich depesz o uczuciach, jakie nasz rząd uznał za stosowne wyrazić w sprawie Polski... **William H. Seward.**

Clay do Sewarda.

Petersburg, 7. czerwca 1863.

Panie: ...Książę Gorczaków w odpowiedzi na moją notę i wysyłkę odpisu Twego listu do p. Daytona w sprawie interwencyi polskiej przysłał mi list, który mam zaszczyt dołączyć. Przetłómaczyłem go z francuskiego i wysyłam z tym listem. **C. M. Clay.**

List Gorczakowa do Claya.

Petersburg, 22. maja (s. s.) 1863.

"Panie: Bezzwłocznie przedłożyłem Cesarzowi, mojemu dostojnemu Panu, depeszę, którą mi zakomunikowałeś na polecenie swego rządu a zawierającą odpowiedź p. Sewarda do p. Daytona w sprawie niedawnej akcyi rządu francuskiego odnośnie do wypadków w Królestwie Polskiem. Jego Cesarska Mość był bardzo wzruszony wyraza mi ufności, jaka rząd Stanów Zjednoczonych pokłada w jego poglądach i zamiarach co do ogólnego dobra jego cesarstwa. Nasz dostojny pan sądzi, że zasłużył na to zaufanie: i jest mu ono konieczne, aby mógł przeprowadzić to, co zamierzył. Jest to dla Jego Cesarskiej Mo-

ści źródłem szczerego zadowolenia, gdy widzi, że jego wytrwałe wysiłki, by w spokoju i bez zaburzeń prowadzić wszystkie części swego cesarstwa do stopniowego rozwoju, są należycie oceniane przez naród, dla którego Jego Cesarska Mość i naród rosyjski żywią jak najprzyjaźniejsze uczucia. Takie objawy muszą wzmocnić węzły wzajemnej sympatyi, łączącej oba kraje i stanowią wypadek, który zbyt odpowiada dążeniom Jego Cesarskiej Mości, aby nie spoglądał nań z przyjemnością.

"Jego Cesarska Mość równie wysoko ceni stanowczość, z jaką rząd Stanów Zjednoczonych podtrzymuje zasadę nie-interwencyi, której znaczenie w naszych czasach jest zbyt często opacznie stosowane oraz lojalność, z jaką odmawia narzucania innym państwom prawidła, którego pogwałcenia nie zniosłyby same w stosunku do siebie.

"Rząd federalny daje w ten sposób przykład sprawiedliwości i politycznej uczciwości, co musi powiększyć szacunek, jaki nasz dostojny Pan żywi dla narodu amerykańskiego.

"Bądź Pan łaskaw przedłożyć p. Sewardowi wyrazy tych uczuć Jego Cesarskiej Mości i równocześnie przyjąć zapewnienia mego najgłębszego poważania. **"Gorczakow".**

Clay do Sewarda.

Petersburg, 17. czerwca 1863.

Panie: ...Książę Gorczakow za mojem pozwoleniem opublikował w Dzienniku Petersburskim swą notę do mnie, potwierdzającą odbiór Pańskiego listu do p. Daytona w sprawie interwencyi polskiej. Cała korespondencya zdaje się być bardzo zadowalniająca dla Rosyan...

C. M. Clay.

Seward do Claya.

Waszyngton, 29. czerwca 1863.

Panie: Depeszę Pańską nr. 7 (brak jej w zbiorze) otrzymałem i jak najserdeczniej dziękuję za informacye, jakie podaje o postępie dyskusyi w sprawie Polski, która tak głęboko obchodzi Rosyę a równocześnie z konieczności wzbudza wiele powszechnego zainteresowania w całej Europie... **William H. Seward.**

Seward do Claya.

Waszyngton, 30. czerwca 1863.

Panie: Otrzymałem Twą depeszę z drugiego czerwca w sprawie moich instrukcyi z 11. maja do p. Daytona w odpowiedzi na instrukcye p. Drouyn de l' Huysa do p. Merciera z 23. kwietnia b. r., dotyczące powstania polskiego.

Podczas gdy opublikowanie tej korespondencyi byłoby rzeczą niestosowną dla naszego rządu, nie może on sprzeciwiać się ogłoszeniu jej przez którekolwiek z mocarstw, którym była doręczona.

William H. Seward.

Seward do Claya.

Waszyngton, 2. lipca 1863.

Panie: Depesza Pańska z 7. czerwca została otrzymana i aprobowana.

Jest moim miłym obowiązkiem zawiadomić Pana, że odpowiedź księcia Gorczakowa na Twą notę, dołączoną do odpisu moich instrukcyi z 11. maja do p. Daytona w sprawie powstania polskiego, przyjęta została przez prezydenta z zupełnem zadowoleniem.

William H. Seward.

Seward do Claya.

Waszyngton, 13. lipca 1863.

Panie: Otrzymałem Twoją depeszę z 17. czerwca. Ogłoszenie noty księcia Gorczakowa do Ciebie w sprawie odpowiedzi naszego rządu na niedawne propozycye w sprawie Polski jest zupełnie zadowalające... **William H. Seward.**

Seward do Claya.

Waszyngton, 12. sierpnia 1863.

Panie: Otrzymaliśmy Twoją ciekawą depeszę z 23. lipca (brak jej w zbiorze). Na podstawie informacyi z różnych stolic europejskich jesteśmy przekonani, że chociaż dyplomatyczna wymiana zdań w sprawie powstania polskiego może się przeciągnąć, a nawet stać się gorącą, jednak do prób czynnej interwencyi nie dojdzie.

William H. Seward.

Clay do Sewarda.

Petersburg, 2. września 1863.

Panie: ...Ostatnie odpowiedzi trzech mocarstw do ksiecia Gorczakowa nie zostały jeszcze ogłoszone, ale ogólnie przyznają, że wojna z nich nie wyniknie, przynajmniej w tym roku. Tymczasem Rosya nie zaniedbuje swych środków obronnych na lądzie i morzu a cesarz odzyskał na nowo popularność u niezadowolonej szlachty dzięki stanowczości, z jaką broni integralności państwa.

C. M. Clay.

Seward do Claya.

Waszyngton, 3. września 1863.

Panie: ...Wiadomości otrzymane ostatnio z Europy potwierdzają przekonanie, jakie już Panu zakomunikowałem, że zachodnie mocarstwa będą się starały uniknąć wojny z Rosyą, przynajmniej w ciągu tego roku... **William H. Seward.**

Seward do Claya.

Waszyngton, 5. września 1863

Panie: .. .Depeszę Pańską z 13. sierpnia (brak w zbiorze) otrzymałem i dziękuję za informacye, jakie podaje o wypadkach w Polsce.

Relacya Pańska o charakterze noty francuskiej do Rosyi i przypuszczalnym tonie not Austryi i Wielkiej Brytanii zgadza się we wszystkich szczegółach z wiadomościami, jakie otrzymaliśmy tu w tej sprawie . **William H. Seward.**

Clay do Sewarda.

Panie: Wczoraj gen. maj. Greig, członek świty Jego Cesarskiej Mości, złożył mi wizytę w imieniu oficerów marynarki i powiedział: "że został wyznaczony przez nich do odwiedzenia mnie i podziękowania moim rodakom, którzy okazali tak wiele przyjaźni i grzeczności ich kolegom w Ameryce..." Odpowiedziałem, że raczej moi rodacy czują się zobowiązani względem cesarza i narodu rosyjskiego, że masowe manifestacye na cześć oficerów floty rosyjskiej nie były zwykłemi grzecznościami, ale serdecznym wyrazem wdzięczności całego narodu amerykańskiego dla Jego Cesarskiej Mości, który jest uwielbiany za uwolnienie niewolnych i ukochany za swe przyjazne stanowisko względem federalnej Unii...

Przyjęcie Rosyan na wodach amerykańskich jest przedmiotem rozmów we wszystkich kołach; i zarówno wyższe warstwy, jak i prości ludzie zdają się równie dobrze pojmować i odczuwać te przyjazne demonstracye, jakich doznała flota właśnie w tym czasie, kiedy Francya, Anglia i Austrya próbuja wykląć Rosyę z grona państw chrześcijańskich za to, że broni niepodzielności swego cesarstwa... (Ustęp ten, opuszczony w zbiorze korespondencyi, znajduje się w broszurze: "The United States and Russia" przez O. S. Straussa).

C. M. Clay.

Clay do Sewarda.

Petersburg, 25. stycznia 1863.

Panie: Wczoraj otrzymałem od dyrektora "Inwalidy Rosyjskiego" list donoszący, że na rozkaz ministra wojny posłał mi kilka numerów

tego dziennika, zawierających porównanie powstania polskiego z konfederackiem i wyrażających sympatye, jakie Rosya czuje dla Ameryki....

Przyjaźń narodu rosyjskiego i rządu rosyjskiego objawia się w rozmaity sposób i została znacznie wzmocniona przez serdeczne przyjęcie, zgotowane przez naszych rodaków dla oficerów rosyjskich... Na balu, wydanym 24. b. m. w pałacu cesarz wyrażał się z wielkiem zadowoleniem o coraz czulszych stosunkach między oboma krajami.

C. M. Clay.

Seward do Claya.

Waszyngton, 24. lutego 1864.

Panie: Depeszę Pańską z 25. stycznia otrzymałem. Będę bardzo wysoko cenił dar dla naszych archiwów, złożony przez "Inwalidę Rosyjskiego".

Prezydent jest bardzo zadowolony z uczuć przyjaźni, wyrażonych przez cesarza...

William H. Seward.

Clay do Sewarda.

Petersburg, 27. czerwca 1864.

(Długi list Claya, przepełniony pochwałami dla reform cara)... Z własnej obserwacyi uważam, że liberalne rządy cesarza wlały nowe życie w Finlandyę; takie same rządy zaczynają już przynosić owoce w Polsce; całe państwo weszło na nową drogę bardziej swobodnych urządzeń i ustalonych form...

C. M. Clay.

KORESPONDENCYA MIĘDZY J. LOTHROP MOTLEYEM, MINISTREM STANÓW ZJEDNOCZONYCH WE WIEDNIU, A SEKRETARZEM STANU, SEWARDEM.

Motley do Sewarda.

Wiedeń, 1. czerwca 1863.

Panie: ...Stanowisko Europy jest obecnie wyczekujące. Wspina się ona na palce w oczekiwaniu, że usłyszy i zobaczy nadzwyczajne wypadki; w kołach dobrze poinformowanych krążą najsprzeczniejsze pogłoski. Wybitnym ich tematem jest naturalnie Polska. Zostałem poinformowany z dobrego źródła, że cesarz Francuzów postanowił, w przymierzu lub bez przymierza z innemi mocarstwami, wypowiedzieć wojnę Rosyi celem zdobycia zupełnej niepodległości królestwa polskiego.

Jednakowoż mam jak najsłuszniejsze powody do przypuszczenia,

że pogląd ten jest zupełnie błędny. Od czasu do czasu rozchodzą się bardzo niepokojące pogłoski o bliskim wybuchu wojny; skutkiem tego spadają papiery na giełdzie ze zwykłą szybkością, na czem korzystają nieuczciwi; pomimo to, dotychczas nie odkryłem żadnego słusznego powodu do przypuszczania, by w tym roku miała wybuchnąć wojna europejska.

Niedawno mówiono, że Szwecya razem z Francyą jest gotowa do wypowiedzenia wojny Rosyi..., ale zdaje mi się, że Szwecya nigdy nie była dalej od myśli o wojnie, niż obecnie.

Ogólnie powiadano i wierzono w to, że Anglia, bez porozumienia z innemi państwami, wydała Rosyi propozycyę rozejmu z powstańcami polskimi. Ponieważ taki krok byłby równoznaczny z uznaniem przez cara jego zbuntowanych poddanych za stronę wojującą i wymagałby układów z niewidzialną i tajemniczą potęgą, zwaną Komitetem Narodowym Polskim, o którym nic nie wiadomo pozatem, że istnieje, przeto trudno było uwierzyć w taką pogłoske. Pozatem już z tego względu propozycya taka byłaby niemożliwa, że przez jedną stronę mogła być jedynie odrzucona i uznana za obelgę, drugiej zaś nic by nie pomogła. Powiadomiono mnie potem, że takiej propozycyi nie było.

Powszechnie panuje to przekonanie, że wojny nie będzie. Język tych, którzy są przedewszystkiem powołani do przemawiania z upoważnieniem, jest bardzo pokojowy. Rosya, Francya, Anglia, Austrya wolą pokój, przynajmniej w ciągu bieżącego roku, niż wojnę. Tymczasem zaś Polacy, zachęceni wyrazami entuzyazmu i sympatyi krajów zagranicznych i ofiarami poszczególnych osób na ich sprawę, prowadzą jak najrozpaczliwszy i najdzielniejszy, ale, jak się zdaje, beznadziejny bój o uwolnienie się od władzy rosyjskiej. W Polsce leje się krew, a w kancelaryach wielkich mocarstw leje się obficie atrament; ale dotychczas niema żadnego namacalnego dowodu jakiegokolwiek skutecznego ruchu ze strony rządów zagranicznych na rzecz powstańców.

Powstańcy polscy mają po swej stronie tak zwany "moralny wpływ", jak go mieli i mają zbuntowani panowie niewolników w Stanach Zjednoczonych, a przyniósł on korzyści jednym akurat tyle, co drugim. Jednakowoż, o ile to tyczy Polaków, nie dostali tej materyalnej i politycznej pomocy, za którą byliby bardzo wdzięczni. Dotychczas jeszcze nie było żadnej proklamacyi neutralności miedzy Rosyą a Polską; powstańców nie ogłoszono za prawnych belligerentów; ani też żaden okręt wojenny, zbudowany, obsadzony, wyekwipowany i uzbrojony w portach angielskich nie wywiesił flagi polskiej i nie spalił rosyjskich okrętów handlowych na oceanie (jak to się działo na rzecz konfederatów). A przecież okręty te tak samo łatwo mogły zawijać ze swemi łupami do Polski, jak i do "Konfederacyi".

Opowiadania, jakie krążą o stosunkach w Polsce, przechodzą wyobrażenie. Nie odnoszę tego do czynów okrucieństwa, których ma-

ją dopuszczać się wojska po obu stronach. Okropności te przepełniają dzienniki wszystkich krajów i przypominają te, które zdarzają się lub są zmyślane w każdym czasie i w każdym kraju, dotkniętym klęską wojny domowej. Ale potężna władza, wykonywana tak tajnie i tak gorliwie przez warszawski Komitet Narodowy, jest bezprzykładną w Europie od czasu średniowiecznych "Vehmgerichtów", jeżeli tylko połowa jest z tego prawdziwa, co o nim opowiadają.

Urzędnicy rządu carskiego w wielkiej liczbie są podobno oddanymi sługami powstania. Ukryta ta siła powoływa mężczyzn z miast tak odległych, jak Wiedeń, i zmusza ich do służby w armii polskiej, a nikt nie zna sposobu, w jaki jej rozkazy są przenoszone i wykonywane. Zdobywa tajne wiadomości i rozrzuca gazety powstańcze przed samemi oczyma rządu. Rekrutuje armie, żywi je i odziewa, dowodzi niemi, spełnia władzę miejską, zakłada regularną służbę policyjną i dzierży prawo życia i śmierci nad milionami ludzi. A nikt nie wie, kim jest ta władza i jak wykonuje swe rozkazy.

Martwe ciała wybitnych osobistości znachodzone są na ulicach Warszawy z przypiętemi kartkami i opisem zbrodni, za które zostały skazane na śmierć i potajemnie stracone.

Tak więc podwójne panowanie teroru, otwartego i ukrytego, rządowego i powstańczego, zdaje się przesycać całą atmosferę...

Walka wygląda stanowczo na nierówną, chociaż ci, którzy powinni wiedzieć najlepiej, nie sądzą, aby rząd rosyjski zdołał łatwo zdusić powstanie.

Co do dyplomatycznych zabiegów starałem się, nie próbując odgadywać szczegółów, które zostaną wkrótce ogłoszone, zaznaczyć tylko ich charakter na podstawie osobistych wrażeń. Dążą one do zwłoki i pokoju.

Optymiści wierzą, że osiągnięte zostanie doskonałe załatwienie sprawy, gdyż Polska napewno dostanie konstytucyjną autonomię i reprezentacyjne instytucye, a z konieczności dostanie je także i cała Rosya i że Polacy, chociaż teraz mówią, że walczą o nic mniej jak o zupełną narodową niepodległość. z wielką radością przyjmą taką dużą część swych praw, jak powyżej wymieniono.

Pesymiści, przeciwnie, przewidują, że powstanie będzie ciągłe i przejdzie w stan chroniczny, wybuchając coraz to w innem miejscu nie tylko w Polsce Kongresowej, ale i w dawnych prowincyach południowo-wschodnich na Podolu, Wołyniu i Ukrainie i że nie skończy się nigdy, aż wywoła powszechną wojnę europejską, albo aż Polacy z braku obcej pomocy zostaną zdziesiątkowani i wyczerpią swe siły.

Wstrzymuję się od wszelkiego roztrząsania słuszności i niesłuszności tej kwestyi. Celem moim, jak oświadczyłem powyżej, jest dostarczyć Panu takie materyały, jakie mam do rozporządzenia dla obliczenia wypadków najbliższej przyszłości.

Austrya, może Pan być pewny, jest usposobiona jak najbardziej

pokojowo. Rząd cesarski dotychczas współdziałał z zachodniemi mocarstwami w ich odezwach do wspaniałomyślności i łaskawości cara; Polska zaś austryacka nie objawiła jeszcze dobitnie swych sympatyi dla powstania. Dla Austryi byłoby rzeczą niemożliwą wziąć udział w wojnie przeciw Rosyi, celem odbudowy niepodległego królestwa polskiego, gdyż przez to straciłaby sama znaczną prowincyę. Rządy czasem rozpoczynają wojnę dla zyskania prowincyi, ale rzadko tylko z wyraźnym zamiarem pozbycia się ziemi...

J. Lothrop Motley.

Seward do Motleya.

Waszyngton, 14. lipca 1863.

(Jest to odpowiedź na wcześniejszy, nieogłoszony list)... Jeżeli Pańskie przypuszczenia co do powstania polskiego są słuszne, a przypuszczam, że są, w takim razie położenie w bezpośredniej sferze polityki europejskiej, jak n. p. Rosyi, ma pewne dobre, ale i złe strony. Państwa europejskie znoszą wiele i przebaczają wiele państwu, na które spadnie klęska wojny domowej, o ile tylko leży ono blisko nich. Ale są one bardzo niewyrozumiałe dla państwa na tym lądzie, które pozwala swym domowym kłótniom zamącać pokój świata. Polacy nie są jeszcze uznani za stronę wojującą ani przez Francyę ani przez Wielką Brytanię. Gadają one o interwencyi na rzecz Polski, ale nic nie robią...

William H. Seward.

Seward do Motleya.

Waszyngton, 20. września 1863.

Panie: Depesze Twoją z 1. czerwca otrzymałem i przeczytałem z wielkiem zajęciem.

Gdyby tylko można polegać zawsze na najmądrzejszych choćby rządach w najbardziej oświeconych państwach, że działać będą wedle słusznych zasad lub przynajmniej zgodnie z swemi prawdziwemi i trwałemi potrzebami, mielibyśmy bardzo mało sposobności do badania znaków politycznej pogody w Europie. Ale, niestety, stan moralności jest jeszcze taki, że naród, który miał nieszczęście utracić swą powagę przez wpadnięcie w wojnę zagraniczną lub domowa, bardzo prędko widzi się zmuszonym być na czujnej baczności przed nowymi nieprzyjaciółmi ze stron dotychczas spokojnych i przyjacielskich. Szczęściem ze względu na dobro ludzkości. można wprawdzie spodziewać się, iż granice wojny na lądzie europejskim nie zostaną rychło rozszerzone. ale, z drugiej strony, zdaje się tam panować tyle niepokoju, iż można obawiać się, że mocarstwa zachodnie powezmą porywcze i nieostrożne kroki, szkodliwe dla nas...

William H. Seward.

Motley do Sewarda.

Wieden, 21 września, 1863.

...Od czasu rewelacyi p. p. Roebucka i Lindsaya w parlamencie angielskim byłoby głupotą wątpić o uczuciach władcy Francyi (przyjaznych dla Południa). Obecnie piła jego polityki, między Polską z jednej strony a Meksykiem z drugiej, zdaje się przesuwać ku naszej stronie świata.

Dyplomatyczna korespondencya między trzema mocarstwami a Rosyą została widocznie zawieszona na ten rok a trudno byłoby powiedzieć, że rząd cara poniósł porażkę w tem starciu słownem. Tymczasem zaś Polacy w swych walkach o niepodległość już blisko od roku nadarmo proszą wielkie mocarstwa o to uznanie za stronę wojującą, które zbuntowani panowie niewolników w Stanach Zjednoczonych otrzymali tak łatwo zaraz po wybuchu rewolty. Jest to fakt, który historya zapisze na zawsze.

Pozostawiono Polaków, by walczyli gołemi rękoma i nadzy przeciw całej potędze Rosyi, a trudno spodziewać się, żeby Francya odważyła się sama na zimową kampanię w ich obronie...

J. L. Motley.

Motley do Sewarda.

Wiedeń, 5. października 1863.

...Co się tyczy Polski i prawdopodobnych wyników powstania, nie widzę powodu do zmiany zapatrywań, wyrażonych już w tej korespondencyi. Dalsze listowne polemiki między trzema mocarstwami z jednej strony a Rosyą z drugiej zdają się być niemożliwe po ostatniej nocie z Petersburga a nie słyszałem nic, by które z trzech mocarsw miało jakikolwiek zamiar udzielenia materyalnej pomocy powstańcom polskim.

Wedle powszechnego zdania, pokój między czterema temi mocarstwami nie zostanie zerwany, przynajmniej w tym roku. Zimowa kampania na Bałtyku byłaby prawie niemożliwa dla samej Francyi. Była pogłoska o nadaniu powstańcom polskim praw belligerentów, jak nadano je zbuntowanym panom niewolników przy wybuchu ich rewolty, ale środek ten miałby tylko niewielki skutek, gdyby na to nie zgodziły się wielkie państwa, graniczące z Polską — Austrya i Prusy; a zgodę tę uważam za nieprawdopodobną. Prawdą jest, że na podstawie tego uznania Anglicy mogliby budować, ekwipować i obsadzać okręty wojenne, któreby, płynąc pod polską flagą z portów angielskich, paliłyby i rabowałyby rosyjskie okręty handlowe na pełnem morzu: ale możliwe jest, iż car nie zgodzi się na doktynę niektórych polityków i prawników angielskich, że takie postępowanie jest zgodne z neutralnością i międzynarodowem prawem. Trudno więc

jest widzieć jakąkolwiek korzyść z proklamacyi na rzecz Polaków, o ile nie zgodzą się na nią mocarstwa najbliższe miejsca wojny...

J. Lothrop Motley.

Motley do Sewarda.

Wiedeń, 24 listopada 1863.

Panie: Pragnę zwrócić uwagę Pana na debatę w parlamencie austryackim, której tłumaczenie załączam. Mowy obu posłów galicyjskich i odpowiedzi ministrów Schmerlinga i Mecsery'ego dadzą Panu lepszy pogląd na stan rzeczy w austryackiej Polsce i stanowisko rządu cesarskiego w prowincyach, niż moje własne roztrząsania. Osądzi Pan sam, czy rząd cesarski będzie mógł kiedykolwiek przystąpić z Francyą, czy innem mocarstwem, do wojny przeciw Rosyi za Polskę albo czy też przyzna choćby prawa belligerentów powstańcom tak blisko swej własnej granicy. Rzecz jasna, że bez zezwolenia Austryi wszelkie próby podniesienia ich do godności belligerentów byłyby daremne.

Ogólnie mniemają tu, że powstanie w Polsce jest bliskie upadku. W bitwach i potyczkach, jakie ostatnio zdarzyły się, Polacy prawie za każdym razem zostali pobici a zupełny upadek ich nadziei na pomoc zagranicy szybko doprowadza ich do rozpaczy.

Gwałtowne mowy i pięknie brzmiące noty, jakie powstanie w obfitości wywołało w innych krajach, z pewnością nie przyniosłyby wielkiej korzyści sprawie wolności i postępu ludzkości, skoro odmówiono mu pomocy materyalnej. W międzyczasie propozycya kongresu europejskiego przesłoniła mgła straszne sceny, których ten nieszczęsny kraj był oddawna teatrem i które do niedawna jeszcze zajmowały całą uwagę Europy. Teraz świat pilnie omawia projekt kongresu i bezcelowem byłoby komentowanie zręczności, z jaką propozycya ta została niespodzianie i dramatycznie przedstawiona, oraz nagłości, z jaką sprawa polska została odsunięta na tył. Jest to powszechne mniemanie, że zanim kongres zbierze się, o ile wogóle się zbierze, Rosya zdusi powstanie polskie; jednakowoż nie słyszałem nawet, by po projekcie tym spodziewano się jakiegokolwiek innego praktycznego rezultatu.

O ile to tyczy Austryi, głównem jej pragnieniem jest pokój...

J. Lothrop Motley.

(Do listu załączone są: mowa dra. Dietla w sprawie gwałtów rządu austryackiego w Galicyi i odpowiedź ministra von Schmerlinga, oraz długa mowa posła Zyblikiewicza w sprawie prześladowań Polaków w Galicyi z odpowiedzią von Mecsery'ego, ministra policyi, z dnia 17. listopada 1863, wedle protokółów Reichsratu.)

Motley do Sewarda.

Wiedeń, 1. grudnia 1863.

...Bardzo mało mówi się teraz o powstaniu polskiem, które jest uważane za prawie zupełnie zgniecione przez przeważną siłę rządu rosyjskiego. Wynikiem wielomiesięcznej dyplomatycznej korespondencyi ze strony trzech wielkich mocarstw z Rosyą było tylko wzniecenie nadziei, które nigdy nie miały być urzeczywistnione, i rozbudzenie gniewów, które nie łatwo dadzą się uspokoić.

Innego wyniku trudno było spodziewać się, gdy jedno z trzech interweniujących mocarstw wyraźnie oświadczyło, że nigdy nie dobędzie miecza w tym sporze, i skoro było rzeczą zupełnie widoczną, iż takie oświadczenia ze strony drugiego byłyby całkiem zbyteczne.

Pozwalam sobie zwrócić szczególniejszą uwagę Pana na debaty w austryackim parlamencie, których tłumaczenia dołączyłem do poprzedniej depeszy. Zobaczy Pan z nich, że wzięcie udziału w wojnie przeciw Rosyi w sprawie Polski było zawsze niemożliwością dla cesarskiego rządu Austryi. Wynik interwencyi słownej i listownej był więc całkiem przeciwny od dobroczynnego. Wedle słów cesarza Napoleona, "kroki Anglii, Austryi i Francyi, zamiast powstrzymać walkę, zatruły ją tylko..."

J. Lothrop Motley.

Motley do Sewarda.

Wieden, 7. marca 1864.

Panie: Posyłam przy niniejszem przekład dokumentu, którym austryacka Polska została oddana pod stan oblężenia.

Środek ten był tu niespodzianką tylko dla niewielu, choć może był nieoczekiwany w krajach zagranicznych.

Z wielu moich depesz, zwłaszcza z datowanej 24. listopada 1863, razem z załącznikami, musiał Pan zauważyć, że coś w rodzaju stanu oblężenia już oddawna istniało w Galicyi i Krakowie. Formalna proklamacya tego stanu nie jest uważana tu za przedwczesna, ani też — mojem zdaniem — niema żadnego związku z tajnemi politycznemi kombinacyami między Austryą a innemi mocarstwami.

Wiadomą było rzeczą, że "rząd narodowy", o którego działaniu często mówiłem w tej korespondencyi, pokrył swą działalnością austryacką część Polski prawie tak dokładnie, jak rosyjską. Tajna acudownie zbudowana jego maszyna ściąga podatki, zaciąga wojska, odbywa sądy, wydaje i wykonywa wyroki śmierci i to wszystko wbrew władzom legalnym a z precyzyą prawie niezrównana w historyi. Zorganizowany mord, kierowany przez niewidzialną władzę, przejmuje dreszczem całą ludność. Krótko mówiąc, chociaż tarcia religijne, które są tak ostre w Polsce rosyjskiej, nie istnieją w Galicyi, chociaż niezadowolona część ludności zdaje się być mniejszością całości, i

chociaż władze austryackie nie popełniły tych krzywd, które zmusiły Polaków do rewolucyi przeciw rządowi rosyjskiemu, jednak, ostatecznie, różnica zachodzi tylko co do siły i powszechności gorączki rewolucyjnej w jednem i drugiem terytoryum.

J. Lothrop Motley.

(Do listu dołączony jest manifest cesarza austryackiego z 24. lutego 1864 r., ogłaszający stan wojenny w Galicyi.)

Seward do Motleya.

Waszyngton, 15. października 1864.

Panie: Zwracam uwagę Pana na załączony odpis depeszy od p. M. A. Jacksona, konsula Stanów Zjednoczonych w Halifaxie, i na wyciąg z jednej z ostatnich gazet z Charlestonu, który był do niej dołączony, w sprawie planu pobudowania w Europie pewnej liczby szybkich parowców celem złamania blokady w Wilmington i przewiezienia wojsk z Polski do Ameryki w liczbie trzydziestu tysięcy. Niech Pan użyje zwykłej swej czujności, aby wspomniany plan unicestwić.

William H. Seward.

(Wspomniana depesza znajduje się w korespondencyi Sewarda z ministrem Adamsem w Londynie.)

Motley do Sewarda.

Wieden, 8. listopada 1864

Panie: Mam zaszczyt potwierdzić odbiór Pańskiej depeszy z 15. października z załączoną depeszą od p. Jacksona, konsula Stanów Zjednoczonych w Halifaxie, w której podane są pogłoski z gazet z Charlestonu i Halifaxu o rzekomym planie wysłania 30,000 lub 40,000 żołnierzy polskich do armii rebelianckich. Nie zaniedbam wykonać Pańskiego polecenia o użyciu należytej czujności, by udaremnić ten plan; ale pozwalam sobie powiedzieć, że, o ile to tyczy Polski austryackiej, stan wojenny jeszcze tam istnieje i byłoby rzeczą niezwykle trudną dla rekrutów tej polskiej armii konfederackiej przekroczyć granicę w którymkolwiek kierunku, chyba z pozwoleniem rządu, które z pewnością nie byłoby udzielone.

J. Lothrop Motley.

KORESPONDENCYA MIĘDZY C. F. ADAMSEM, MINISTREM STANÓW ZJ. W LONDYNIE, A SEKRETARZEM STANU SEWARDEM.

———o———

Adams do Sewarda.

Londyn, 26. lutego 1863.

Panie: ...Sympatya (Francyi) dla Polaków byłaby uważana za zupełnie zgodną z tak zwaną tradycyjną polityką Francyi i prądem uczuć narodu. W tej właśnie chwili żywione są wielkie obawy, że z wypadków tych wyniknie poważna trudność. Przychylam się jednak do zdania, że żadne państwo nie jest przygotowane na możliwość wybuchu powszechnej wojny. Dlatego też wysiłki dla osiągnięcia jakiegoś załatwienia będą wzrastały i prawdopodobnie osiągną pomyślny skutek.

C. F. Adams.

Adams do Sewarda.

Londyn, 6. marca 1863.

Panie: ...Sądzą tu powszechnie, że cesarz francuski nie zamierza podjąć natychmiastowej akcyi. Powstanie w Polsce razem z tajnem porozumieniem między Rosyą a Prusami stanowią nowy przedmiot pilny i ważny, który wymaga załatwienia przynajmniej do tego stopnia, by odwrócić niebezpieczeństwo wojny...

C. F. Adams.

Seward do Adamsa.

Waszyngton, 19. października 1864

Panie: Nasz departament otrzymał informacye w sprawie rzekomej rekrutacyi kilku tysięcy Polaków do woiskowej służby w szeregach konfederackich i o przygotowaniach do przemycenia ich przez blokadę. Przesyłam Panu do przeglądnięcia odpis listu z 7 b. m. od konsula Stanów Zjednoczonych w Halifaxie w tej sprawie i będę wdzięczny, jeżeli Pan użyje zwykłej swej czujności w udaremnieniu tego planu i doniesie mi, cokolwiek dowie się o tem.

William H. Seward.

List konsula Jacksona do Sewarda (załącznik 1.)

Panie: Mam zaszczyt dołączyć do niniejszego duplikaty wyjąt-

ków z gazety z Halifaxu (Acadian Recorder) w sprawie zaciągnięcia kilku tysięcy Polaków do służby konfederackiej i o zamierzonych przygotowaniach do przewiezienia ich do stanów konfederackich.— Pozostaję... ...**M. A. Jackson, konsul Stanów Zjedn.**

Do p. Williama H. Sewarda, sekretarza stanu.

Wyjątki z "Halifax Acadian Recorder" z 7. października 1864.

(załącznik 2)

Pomoc dla Południa.

"Charleston Courier" z dnia 23. września oświadcza:

"Układ został zawarty między rządem rebelii a komisarzem, reprezentującym pewien europejski naród, na mocy którego armie rebelianckie zostaną wzmocnione o 30,000 żołnierzy .Wynagrodzenie stanowić mają grunta, ale niewiadomo, gdzie są one położone. O ile wiadomo, żołnierze ci mają przybyć z Polski."

Już przed kilkoma miesiącami mieliśmy wiadomość, że układ taki ma dojść do skutku i że, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, 40,000 Polaków pomnoży wkrótce armię konfederacką. Odezwa, ogłoszona przez delegacyę polską w gazetach w Willmington, była potem potwierdzeniem tej wiadomości. W międzyczasie dowiedzieliśmy się, że rząd konfederacki wydał zamówienia na budowę około pięćdziesięciu szybkich parowców w Anglii, podobnych do "Colonel Lamb", który znajduje się obecnie w naszym porcie, aby przewieźć tych cudzoziemców na południe przez blokadę.

Adams do Sewarda.

Liverpool, 10. listopada 1864.

Panie: Wiadomości wspomniane przez Pana w depeszy z 19. października co do zaciągu armii polskiej dla sprawy rebelii obiegały gazety angielskie niejednokrotnie, tak że zwróciły moją uwagę już poprzednio. Wygląda na to, że jakiś awanturnik ofiarował swoje usługi w tym celu, spodziewając się odpowiedniego wynagrodzenia dla siebie za swą pracę bez względu na to, czy się uda, czy nie. Od czasu, gdy tu jestem, stawiano i mnie podobne propozycye i to ze strony osób, które mogłyby podjąć się wykonania ich ze znacznie większą możliwością powodzenia. Muszę jednak przyznać się, że nie widzę najmniejszej wartości tego planu. Wymagałby on wydatków pieniężnych i nastręczałby takie trudności w wyekwipowaniu i przewiezieniu ludzi, jakim nikt nie mógłby podołać i na jakie finanse rebelii, w obecnym swym stanie, nie mogłyby sobie pozwolić. Nie jest rzeczą niemożliwą, że niektórzy powstańcy polscy, wypędzeni z ojczyzny przez upadek ostatniego powstania, dali się pojedyńczo sku-

sić do spróbowania szczęścia w Ameryce obietnicami bezpłatnego przejazdu i zajęcia. Zdaje mi się jednak, że o wiele chętniej zaciągnęliby się na tych samych warunkach pod sztandar Stanów Zjednoczonych, niż pod sztandar rebelii. W rzeczywistości tego rodzaju prośby dostawałem ciągle od byłych powstańców polskich, ale dawałem na nie jednakową odpowiedź, że nie mam upoważnienia do zawierania tego rodzaju umów. Być może, że niektórzy z nich udali się potem do rebelianckich agentów, który nie mają wiele skrupułów i cieszą się prawie bezkarnością za łamanie prawa; może też powiodło się im, o ile można użyć to słowo, zaciągnąć się do służby dla sprawy, opartej na oszustwie i podtrzymywanej wszelkiego rodzaju nieuczciwością. Mojem zdaniem, posiłki te nie mogą wiele wzmocnić ich siły oporu.

C. F. Adams.

———o———

KORESPONDENCYA MIĘDZY J. S. PIKE, MINISTREM STANÓW ZJEDNOCZONYCH W HADZE, A SEKRETARZEM STANU SEWARDEM.

———o———

Pike do Sewarda.

Haga, 20 maja 1863.

Panie: ...Holandya, podobnie jak niektóre inne drobne królestwa, a przez Francyę i Anglię, by przyłączyła się do dyplomatycznego ruchu, polegającego na wystosowaniu not do rządu rosyjskiego w sprawie Polski. Gabinet holenderski przychylił się do prośby i wysłał swą notę do ministra holenderskiego w Petersburgu celem odczytania jej księciu Gorczakowowi... J. S. Pike.

Pike do Sewarda.

Haga, 2. września 1863.

Panie: ...Zdaje się być już rzeczą pewną, że sprawa polska nie zakłóci pokoju Europy. Rosya twierdzi, że powstanie jest zduszone...

J. S. Pike.

Pike do Sewarda.

Haga, 2 grudnia 1863.

Panie: Zapewne dowiedziałeś się Pan już, że proponowany kongres monarchów i ich ministrów w Paryżu prawdopodobnie nie doj-

dzię do skutku, gdyż Anglia odmówiła w nim udziału. Kongres miał na celu sprawę Polski i nic więcej.

Pike do Sewarda.

Haga, 16 listopada 1864.

Panie: Mam zaszczyt potwierdzić odbiór Pańskiej depeszy z 19. października, zawierającej odpis listu od konsula Satnów Zjednoczonych w Halifaxie w sprawie zaciągu Polaków do służby w szeregach rebelii. Przywiązuję niewielką wiarę do tej wiadomości, choć niedawno temu pojawiła się w dziennikach europejskich.

J. S. Pike.

Sekretarz stanu Seward do Jakóba E. Harveya, ministra Stanów Zjednoczonych w Lizbonie.

Waszyngton, 24. kwietnia 1863.

Panie: Twoją, bardzo ciekawą depeszę z 22. marca 1863 otrzymałem. (Depesza ta nie została opublikowana w zbiorze). Naród polski jest przedmiotem tradycyjnej sympatyi, która rozciąga się tak daleko, jak daleko sięga cywilizacya. W żadnym kraju sympatya ta nie jest silniejszą, niż w Stanach Zjednoczonych. Ponieważ państwa europejskie, które wzięły pod rozwagę sprawę tego bohaterskiego narodu, postanowiły ograniczyć swą akcyę na jego korzyść do apelu do wspaniałomyślności Rosyi, jest rzeczą wielce pożądaną, aby ta bardzo pokojowa forma interwencyi nie pozostała bez skutku. Szlachetny charakter obecnego władcy Rosyi pozwala, zdaje mi się, spodziewać się, że, gdy tak pilnie i wspaniałomyślnie polepsza położenie narodu rosyjskiego w ogólności, nie będzie się wahał obdarzyć łaską wolności swych niechętnych polskich poddanych. Pozostaje...

W. H. Seward.

Jakób S. Haldeman, minister Stanów Zjednoczonych w Sztokholmie, do sekretarza stanu, Sewarda.

Sztokholm, 20. czerwca 1863.

Panie: ...."Ward Jackson", okręt, który został zapędzony do portu Malmo przez krążownik rosyjski razem z powstańcami polskimi, został wydany przez ten rząd J. Spence'mu, Williamowi S. Lengowi i Aleks. Kyd Curtissowi, którzy sobie rościli pretensye do niego, twierdząc, że wynajęli parowiec do podróży, którą uważali za legalną. Rząd angielski nie mieszał się do tej sprawy przez swą ambasadę i w żaden sposób nie pomagał właścicielom okrętu. Nie wątpie, że rząd szwedzki kierował się w swej decyzyi częścią uległością dla opinii publicznej, ale więcej jeszcze junackiem wyrażeniem dziedzicznej nienawiści: "nie boimy się Rosyi — nie dbamy o jej przyjaźń". Powia-

dają, że gdy prawy właściciel zgłosi się po broń, zostanie mu także zwrócona. Rosyjski minister oświadczył mi, że hrabia Manderstrom dał mu to do poznania.

Dnia 5. bieżącego miesiąca powstańcy polscy w liczbie około stu pod dowództwem pułkownika Łapińskiego wyjechali z Malmo, w Szwecyi, małym okrętem "Fulton", dostarczonym im przez rząd, do Kopenhagi, gdzie przesiedli się na żaglowiec angielski, płynąc nibyto do Anglii; blisko wyspy Gothland, przy wschodnim brzegu Szwecyi, przesiedli się na statek duński i w Połądze, o 25 mil od Kłajpedy, na wybrzeżu Rusi (Ruthenia!!) próbowali wysiąść na ląd. Dwudziestu czterech ludzi utonęło; pozostali zaś zostali zapędzeni z powrotem na okręt. Wiadomość o tem nadeszła wczoraj telegrafi cznie. Ruś (Ruthenia), obecnie gubernia Kowno, była częścią dawnej monarchii polskiej przed pierwszym rozbiorem w 1772 i 1773 r.

Rzecz jasna, że może to narazić rząd szwedzki na surową naganę. Trzymał bowiem powstańców przez miesiące a gdy wyjeżdżali z Malmo, badał ich tak niedbale, że pozwolił im wyjechać z bronią. Ale, ponieważ Polacy mają sympatyę większości Europy, z wyjątkiem Prus, które, po Rosyi, są uważane za największego nieprzyjaciela Skandynawii, a przynajmniej Szwecyi, przeto naród i rząd nie robią sobie z tego wiele. Mojem zdaniem, liczebnie małe państwo powinno jak najsurowiej i jak najwierniej pilnować ścisłego przestrzegania prawa międzynarodowego, zwłaszcza gdy jest otoczone przez potężnych i za zaborczych uważanych sąsiadów. Pozostaję...

J. S. Haldeman.

DODATEK.

(Ze względu na swą ważność historyczną poniższe rezolucye w sprawie Polski mogą niejednokrotnie przydać się rodakom w tekście oryginalnym, dla zacytowania Amerykanom. Opuszczone są w nich tylko niektóre ustępy, tyczące osoby majora Tochmana. — Przypisek autora.)

—o—

Rezolucya legislatury stanu New York
z dnia 3. marca 1842.

Resolved, That the thanks of this meeting be tendered to Major Tochman for the eloquent and able lecture in which he has laid before it so vivid a picture of the glories, equalled only by the woes, of his heroic native country.

Resolved, That no sophistry, no fallacious representation of imaginary improvements, by Russia, either of the physical or moral state of Poland, can justify or expiate the injustice of the partition of the unoffending nation among rapacious neighbours, claiming no other right over their victim save that of brutal strength, and offering no apology to mankind, save the success of their iniquity.

Resolved, That no citizen of a free republic can ever be indifent to the fate of a nation whose annals shine with so many a bright record of her love of liberty, of religious toleration, and of scientific culture; nor can any American fail to sympathize warmly and deeply in the past wrongs, the present sufferings, and the future hopes, of the land which sent a Kosciuszko and a Pulaski, to stand as worthy brethren in arms, by the side of Washington, in the van of the battles of our own freedom.

Peter Wendell (of the city of Albany, Chancellor of the University) chairman,
Morris Franklin,
Geo. A. Simmons,
Lemuel Stetson, secretaries.

Rezolucya legislatury Massachusetts
z września 1842.

Resolved, That the thanks of this meeting are due to Major Tochman for the interesting address with wich he has favoured it this evening.

Resolved, That in the opinion of this meeting this community still looks with admiration upon the valour, and with grief upon the sufferings of the people of Poland.

Rezolucya legislatury New Hampshire.
z czerwca 1842.

Resolved, That we have heard this evening with much interest, the very able lecture of Major Tochman, of Poland, upon the history and condition of his native country, and the character, struggles and wrongs of her heroic, though unfortunate and oppressed people.

Resolved, That as Americans and as freemen, our feelings and best wishes are always with man in his contest against tyranny, and particularly are our sympathies enlisted in behalf of that brave and generous people, who have for centuries been battling, though as yet unsuccesfully, against the sceptered plunderers of Europe and tramplers upon the common rights of man, and that the land which in the war of the American revolution gave Pulaski and Kosciuszko to fight side by side, with Washington and Green, our battles for freedom, is now, in her present depressed condition, entitled to our fullest sympathies, and in the event of another struggle with her oppressors, would merit, and we trust **receive** the aid and co-operation of our grateful countrymen.

Resolved, That the cause of Poland is the common cause of the friends of freedom throughout the world,—that might does not sanctify wrong, and that though now humbled, dismembered and trampled under the iron heel of military despotism, we trust in the God of Justice, that the time will ere long come when she shall rise, break her fetters and be free...

Henry Hubbard, chairman

Harry Hibbard,

J B. Wiggin, secretaries.

Rezolucya legislatury Vermont
z 26 października 1842.

Resolved, that this Assembly, as the representatives of a free and independent State, cannot but feel a deep interest in the establishment and maintenance of free and liberal principles of government throughout the world. And while a proper regard to the charac ter of our own American government and people, for the preservation of quiet, both among ourselves, and in all regularly constituted governments, would induce us not to encourage forcible resistance and revolution, in any but extreme cases, we do consider that each case of that class must depend mainly upon its own peculiar circumstances.

We, therefore have, and do esteem the case of Poland as one of such peculiar interest to all the friends of liberty, as to justify this declaration of our sentiments in regard to it.

In addition to the fact, that this free republic is enjoying the blessings of civil and religious freedom, as in some sense the price of the toil and sacrifice and blood of some of the noble and chivalrous sons of that illfated land, among whom we are proud to recollect Kosciuszko and Pulaski; no one can trace the history of the wrongs and sufferings, and oppressions of that unhappy country in her struggle for liberty, and not feel that it is one in which every free government has a deep interest. The relations for a long time subsisting between Poland and Russia are, so to speak, but the personification of arbitrary power and heartless tyranny on the one hand, and sober, determined, intelligent, chivalrous and agonizing struggles for liberty on the other.

We, therefore, on the behalf and in the name of the inhabitants of the State of Vermont, do say to all world, that we hope and trust in Divine Providence, that Poland will continue her aspiration and her struggles for liberty, till the autocrat of all the Russias shall know and feel, that it is the unalterable decree of the Ruler of the Universe that the principle of freedom, once developed in the hearts of a people, can never be extinguished by any course of oppression, however severe or long continued.

Rezolucya legislatury Connecticut
z 12. maja 1842.

Whereas, this meeting has heard with the deepest interest, the able and eloquent lecture, delivered by Major Tochman, in defence and vindication of the gallant but opressed people of his native land, and desirous thus publicly to express our feelings of sympathy in their behalf, therefore,

Resolved, that in all conflicts between the tyrant and oppressed, our best wishes are due to the latter, and are especially extended to the Polish nation, whose history is bright with examples of heroism, and whose noblest warriors have fought by the side of our Fathers, in the great cause of American freedom.

Resolved, that in thus manifesting our emotions of pity and indignation for the cruel wrongs which have been suffered by Poland from the armed robbers of the north, we but echo the feelings of the whole American people, and particularly those of the people of Connecticut, who for two centuries, in every struggle for freedom, have ever been found in the fore-front of the battle...

William S. Hollabird, (President of the Senate) chairman.
Silas H. Hickok, F. A. Crittenden, secretaries.

Rezolucya legislatury Virginii,
z marca 1843.

Resolved, that we have heard, with feelings of the deepest interest, the able lecture of Major Tochman, on the history of the wrongs and sufferings of his native country, Poland.

Resolved, that ourselves enjoying the blessings of a free government, our feeling and sympathies are ever with the unfortunate in their struggles for liberty; and we, as our fathers before us, have viewed with the highest admiration the steady and intrepid resistance of that devoted nation against their oppressors. And we acknowledge, with gratitude, the services of a Kosciuszko and a Pulaski, who shared a common danger with our fathers, in the eventful contest which gave us rank among the independent nations of the earth.

Resolved, that the cause of Poland is the cause of Liberty and of men against tyranny and power; and, although crushed by the giant of despotism, and trodden under foot, her patient magnanimity, and her invincible firmness, fore-shadow the dawn of a brighter destiny...

J. Holleman (speaker of the House of Delegates) chairman,
Richard H. Toler, secretary.

Rezolucya legislatury Ohio,
z 22. stycznia 1841.

Whereas, this meeting have heard, with much pleasure, the several lectures relative to the history of Poland, delivered by Major Tochman, and are fully satisfied with the very able defence made by him — against the many slanderous charges preferred against her gallant, but oppressed people. For the purpose of giving an expression of our feelings thus publicly in their behalf, and also as an act of justice to that individual,

Resolved, that we tender to Major Tochman our thanks for his able and interesting lectures,

Resolved, that in thus manifesting our feelings of indignation and strong sympathy for the wrongs that have been suffered by Poland, we but echo the feelings entertained by the whole American people; and that the prayers of every patriot are ascending to Heaven for the speedy emancipation of her sons—the countrymen of Pulaski and Kosciuszko...

Seabury Ford (speaker of the House of Represent.) chairman
John W. Andrews, secretary.

Rezolucya legislatury Indiana,
z lutego 1841.

Resolved, that we deeply sympathise with, and duly appreciate the calamities, which have befallen the Poles in the destruction and dismemberment of their country, and that this meeting look upon that destruction as an unwarrantable and craven assumption of tyrannical power, unparalleled in the annals of modern history, and deserving the execration of all republicans.

Resolved, that the aspirations of this meeting are, that Poland will again be free, will again become a refuge and a home for the oppressed and persecuted, and a beacon light, in the midst of the dark and besotted nations of the old world, to the friends of Liberty and Free Government.

David Wallace, (late governor of Indiana) chairman
S. V. B. Noel, secretary.

Rezolucya legislatury Kentucky,
z 16 lutego 1841.

Resolved, that the thanks of this meeting be tendered to Major Tochman for his very able and interesting Lectures on the history and the institutions of Poland, and the late gallant but unsuccesful struggle of that brave people, in the cause of Liberty.

Resolved, that the American people can never forget the land nor the nation which sent to our revolutionary struggle such patriots as Kosciuszko and Pulaski, who fought side by side with our Washington, and bled in defence of our liberties; and that we deeply sympathise with the woes and sufferings of that unhappy people, and trust in the retributive justice of the God of Nations, that Poland shall yet rise a great, a free, and happy people, and shaking off the yoke of the iron despotism of the crowned robbers of the north, shall again resume her place among the independent nations of the earth.

Resolved, that we regard the cause of Poland as the cause of all free men, and that all true friends of liberty throughout the world are deeply interested in her fate...

Thos. Speed, chairman
Leonard Bliss, jr., secretary.

Rezolucya Stanowej Konwencyi w Trenton, N. J.,
z 18 maja 1844.

Whereas, this meeting has heard with the deepest interest the

Lecture just delivered by Major Tochman, upon the wrongs and cruel oppressions inflicted upon the brave and gallant people of his ill-fated, but native land; and feeling it to be due to the great cause of liberty, for which so many of the sons of Poland have so nobly struggled, therefore,

Resolved, that we sympathise most sincerely with the oppressed sons and daughters of Poland—whose history is one continued transcript of valor, and devoted patriotism.

Resolved, that this public expression of our sympathy for the gallant, but cruelly opressed people of Poland, is due to the great cause of liberty, as well as to the memory of some of her noblest warriors, who bravely fought beside our fathers in the great struggle for our independence.

Resolved, that we tender to Major Tochman our sympathies, and best wishes for his health and prosperity; and we sincerely trust that the period is not far distant, when his native land will be emancipated from thraldom, and restored to her nationality and independence.

Mahlon Dickerson, (governor) chairman

S. R. Hamilton, secretary.

SPIS RZECZY

Przedmowa 5

1) Polacy wśród pionierów 7

2) Jak Imć P. Wojewoda 27

3) Pułaski pod Brandywine 35

4) Historya sztandaru Puł. 45

5) Śmierć, pogrzeb i pomnik 53

6) Obrońca honoru Puł. 69

7) Druga broszura Bent. 89

8) Kościuszko w W. Point 103

9) Kongres St. Zj. wobec śmierci 115

10) Walka o spadek Kościuszki 123

11) Jakób Fen. Cooper 149

12) Dr. G. Hove 169

13) Historya gruntów polskich 189

14) Amerykanin w Polsce 217

15) Major K. Tochman 239

16.. Dr. K. Kraitzir 263

17) Prawdziwa Potwora 267

18) Rok 1863 287

Dodatek 325

UNIA POLSKA W AMERYCE, Ink.

Najlepsza Organizacya ubezpieczeniowa dla Polaków w Ameryce pod kontrolą władz Stanowych.

Polisa Unii Polskiej w Ameryce jest najlepszem zabezpieczeniem na wypadek nieszczęścia w rodzinie.

Wydawane są rozmaite rodzaje polis, stosownie do życzenia.

W oddziałach młodzieży zabezpieczane są dzieci do lat szesnastu.

Opłaty są jak najniższe, tańsze niż w obconarodowych kompaniach asekuracyjnych.

Unia Polska w Ameryce jest inkorporowaną i pozostaje pod kontrolą władz poszczególnych stanów, dlatego jest organizacyą zupełnie pewną.

Unia Polska w Ameryce stoi na straży wiary i polskości. Nie jest ona obliczona na zarobek jednostek, ale dla wspólnej korzyści członków.

Zostań członkiem Unii Polskiej w Ameryce!

Urzędnicy Unii Polskiej w Ameryce z chęcią udzielą wszelkich informacyi co do ubezpieczenia.

UNIA POLSKA W AMERYCE
765 Fillmore Ave., Buffalo, N. Y.

STANISŁAW CZASTER, Prezes
PIOTR KOPRUCKI, Skarbnik
FR. ZANDROWICZ, Sekretarz gen.

DZIENNIK ZWIĄZKOWY

Największe, najpopularniejsze i najpoczytniejsze pismo polskie w Stanach Zjednoczonych. Wydawany przez Związek Narodowy Polski nie dla zysku i na spekulacye lecz jedynie w celu szerzenia oświaty i patrjotyzmu wśród szerokich mas wychodźtwa w Ameryce.

DZIENNIK ZWIĄZKOWY

1406-08 W. Division St.

Chicago, Ill.

"W kobiecie polskiej przyszłość narodu polskiego."

Piękne i prawdziwe słowa wyryte zostały na kamieniu węgielnym Domu Związku Polek w Chicago.

Nie w kim innym, tylko w kobiecie polskiej leży przyszłość Wychodźtwa polskiego w Ameryce.

Skoro zaś tak wielkie zadanie spoczywa na Polce-Amerykance, czyż może ona stać na uboczu w tych czasach, które są wiekiem organizacji?

Tylko silni, tylko zjednoczeni wygrywają w walce życiowej, Kobieta polska, ta strażniczka i kierowniczka rodziny polskiej, musi się też jednoczyć do wspólnej walki o wspólne ideały.

Organizacją polską dla Polek - Amerykanek jest:

Związek Polek w Ameryce

Związek Polek w Ameryce nietylko zabezpiecza rodziny polskie na wypadek nieszczęść i pomaga członkiniom materjalnie, ale też rzetelnie pracuje dla moralnego dobrobytu Wychodźtwa.

Tak jak miejsce matek - Polek jest w Grupach dorosłych tak miejsce dziewcząt polskich w Ameryce jest w Wiankach Związku Polek.

Matki polskie, wstępujcie do Grup Związku Polek i zapisujcie swe córki do Wianków.

Związek Polek w Ameryce

1309 - 15 N. Ashland Ave., Chicago, Ill.

Emilja Napieralska, prezeska,

Joanna Andrzejewska, kasjerka **Wiktorja M. Latwis, sekr.**

Zjednoczenie Polsko R. K. w Am.

ZAŁOŻONE W ROKU 1873.

—o—

Jestto najstarsza, największa i najbogatsza w świecie katolicko-polska organizacya bratniej pomocy.

—o—

ZJEDNOCZENIE ubezpiecza na życie mężczyzn, kobiety i dzieci, przyjmuje na członków osoby w wieku od 1 roku życia do 55 lat, a nawet do 60 lat, jeżeli do Zjednoczenia przystępuje całe towarzystwo in gremio.

W Zjednoczeniu można się ubezpieczyć na sumy od $100 do 5 tysięcy dolarów, wstępujący nie płaci żadnego wstępnego ani lekarza badającego.

Zjednoczenie ma cztery rodzaje ubezpieczenia dla dorosłych i dwa dla dzieci, mianowicie:

ubezpieczenie opłacane przez całe życie,
ubezpieczenie opłacone w dwudziestu latach,
ubezpieczenie z całą sumą płatną za życia,
ubezpieczenie na dziesięć lat,

Dzieci można ubezpieczać na sumę $250 i na $500 lub na obie sumy razem czyli na $750.

Zjednoczenie wypłaca członkom wsparcie w Kalectwie i w razie nieuleczalnej choroby, wydaje członkom pożyczki na realności, daje stypendya czyli pomoc naukową dzieciom Zjednoczeńców, gdy się wyżej kształcą, wydaje dwa pisma.

Zjednoczenie ma 150 tysięcy członków i blisko dziesięć milionów dolarów majątku, wartość certyfikatu Zjednoczenia wynosi 116 i trzy czwarte, czyli na każde sto centów ubezpieczenia Zjednoczenie posiada sto szesnaście centów pokrycia.

Zjednoczenie wypłaciło wdowom i sierotom 12 milionów dolarów tytułem pośmiertnego, krocie wydało na wsparcie w kalectwie i na oświatę, oraz na różne cele humanitarne i narodowe.

Zjednoczenie P. R. K. jest organizacyą ludu, przez lud i dla ludu.

GŁÓWNE BIURO: 984-986 Milwaukee ave., CHICAGO, ILL.

Piszcie po informacye do GŁÓWNEGO BIURA lub zgłoście się do Towarzystwa ZJEDNOCZENIA w najbliższej parafii.

A. KAŹMIERCZAK, Prezydent
S. GODZICH, Sekretarz Generalny.
P. ROSTENKOWSKI, Skarbnik.

ZASADY I CELE
Unji Polskiej w Stanach Zjed. Północnej Am.

ZAŁOŻONEJ W ROKU 1890.

———o———

BÓG I OJCZYZNA, oto hasło i wytycznie założyciela dzisiaj potężnej Organizacyi ś. p. Najprzew. Ks. Prałata Dominika Majera.

UNIA POLSKA, jest organizacyą ubezpieczeniową. Posiada ona 3 rodzaje ubezpieczenia: 1—opłacane ubezpieczenie przez całe życie; 2—opłacane ubezpieczenie na 20 lat i 3—opłacane ubezpieczenie w 20 latach .Ubezpieczenie życiowe dochodzi do sumy $2,000, a oprócz tego wspomaga ona swych członków w kalectwie, w chorobach nieuleczalnych i w starości.

UNIA POLSKA, posiada Oddział Młodzieży, w którym ubezpiecza dzieci w wieku od 3 miesięcy do 16 roku życia, poczem przechodzą one do Wydziału Starszych. Młodzież swą otacza ona szczególną opieką, a setkom ubogich lecz zdolnych uczni i uczennic udziela stypendyów, dopomagając im do zdobycia wyższych stanowisk społecznych.

UNIA POLSKA, posiada milionowe kapitały. Interesy jej prowadzone są wzorowo, umiejętnie i uczciwie. Kapitały swe wypożycza ona członkom, na budowę kościołów i szkół parafialnych. Wspomaga ona hojnie Sierocińce i Instytucye polskie, i nie odmawia nigdy ofiar na cele narodowe i potrzeby Ojczyzny.

UNIA POLSKA, jest zainkorporowaną na prawach Stanu Pennsylvania i jest Organizacyą ABSOLUTNIE pewną, pod ścisłą kontrolą rządu. Wypłaca pośmiertne natychmiast bez zwłoki, co może poświadczyć tysiące wdów i sierot po ubezpieczonych zmarłych członkach Unii Polskiej.

Po wszelkie informacye odnośnie do założenia nowej Grupy w każdej miejscowości, uprasza się pisać do

Biura Sekretarza Jeneralnego,
S. W. WARAKOMSKIEGO,
900—906 Miners Bank Bldg., Wilkes-Barre, Pa.